

# OPACTWO

LUIS ZUECO

Luis Zueco

# OPACŃWO

Tłumaczyła  
Magdalena Pabisiak

**fabuła  
frazza**  
WYDAWNICTWO

WARSZAWA

Warszawa 2019

© Copyright for the Polish edition by Fabuła Fraza

© Copyright for the Polish translation by Magdalena Pabisiak, 2019

Projekt graficzny i skład: DM QUADRO

Redakcja: Dariusz Wilczak

Korekta: Alicja Kobel

Fabuła Fraza Sp. z o.o.

[www.fabulafraza.pl](http://www.fabulafraza.pl)

[biuro@fabulafraza.pl](mailto:biuro@fabulafraza.pl)

ISBN: 978-83-65411-35-8

Primera edición: mayo de 2018

© 2018, Luis Zueco

© 2018, Penguin Random House Grupo Editorial, S.A. U.

Travessera de Gràcia, 47-49. 08021 Barcelona

Penguin Random House Grupo Editorial apoya la protección del copyright.

El copyright estimula la creatividad, defiende la diversidad en el ámbito de las ideas y el conocimiento, promueve la libre expresión y favorece una cultura viva. Gracias por comprar una edición autorizada de este libro y por respetar las leyes del copyright al no reproducir, escanear ni distribuir ninguna parte de esta obra por ningún medio sin permiso. Al hacerlo está respaldando a los autores y permitiendo que PRHGE continúe publicando libros para todos los lectores.

ISBN: 978-84-666-6312-0

Depósito legal: B-5.750-2018

Compuesto en Infillibres, S. L.

Impreso en Rodesa

Villatuerta (Navarra)

BS 6 3 1 2 0

Penguin  
Random House  
Grupo Editorial

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

Dedykacja

Wstęp

Postacie historyczne

Godziny kanoniczne

Dzień pierwszy. MNISI

1. Matutinum
2. Oblat
3. Notariusz królewski
4. Sala opata
5. Strach
6. Refektarz
7. Infant
8. Cellarium
9. Cień

Dzień drugi. ŚLEDZTWO

10. Infirmeria
11. Brat Rogelio
12. Dzwonnica
- 12 + 1. Kuchnia
14. Kostnica
15. Cmentarz

Dzień trzeci. SIOSTRY

16. Pralnia
17. Dormitorium oblatów
18. Kołysanka
19. Stara z gościńca

20. Kwiaty

21. Więzień Verueli

#### Dzień czwarty. BURZA

22. Biblioteka

23. Srebrny dzik

24. Relikwie

25. Nigromanta

26. Mnich

27. Noc

#### Dzień piąty. BIAŁY DZIK

28. Wyznania

29. Wątpliwości

30. Kościół

31. Furta

32. Białe kompanie

33. Nieprzyjaciół

34. Taran

#### Dzień szósty. POLEGLI

35. Wyznania

36. Sprzedaż

37. Cysterna

38. Rodzina

39. Staw

40. Zjawy

#### Dzień siódmy. NOC DUSZ

41. Tajemnice

42. Calefactorium

43. Umarli

44. Opat

45. Zamek w Grisel

46. Prawda

Od autora

*Panu wód, mojemu ojcu*  
L.Z.

*Pani mojego serca, Lidii*  
J.K.

Celem mądrości powinna być umiejętność odróżnienia dobrego od złego.

CYCERON



## Wstęp

Od czasów starożytnych uznawana za magiczną, niemal świętą, góra Moncayo wyznaczała w połowie XIV wieku granicę pomiędzy królestwami Kastylii, Nawarry i Aragonii. Jedna z jej dolin została wybrana przez zakon cystersów na miejsce budowy jednego z najznacześniejszych sanktuariów zakonu: opactwa Santa María de Veruela.

Ów gród, otoczony warownymi murami, wkrótce zaczął wytwarzać wszystko, czego potrzebował do samodzielnego funkcjonowania, co nadało mu cechy potężnego i skutecznego systemu gospodarczego. Jego mieszkańcy zamieniali niewykorzystane dotąd ziemie w pola uprawne, hodowali trzodę, zakładali kopalnie, młyny i kuźnie, czerpiąc zyski z tej działalności.

Choć jednak opactwo Santa María de Veruela miało w zamyśle przypominać niebiańskie miasto, być wiernym odwzorowaniem królestwa niebieskiego, to przecież mieszkali w nim zwykli śmiertelnicy, którzy co noc odwracali twarze od tego, co boskie, ulegając swoim niskim pasjom. Mury tego klasztoru bywały świadkami historii ambicji, zdrady i zemsty. Jak również miłości, seksu i... śmierci.

## *Dramatis personae*

### Postacie historyczne

**Opat Sancho Marcilla Muñoz**, opat klasztoru Santa María de Veruela od 1362 do 1383 roku; jego nagrobek zachował się w południowej ścianie sali kapitulnej.

**Bertrand du Guesclin**, słynny rycerz bretoński w służbie króla Francji Karola V. Wódz tzw. białych kompanii, został wysłany, aby wspierać Henryka II Trastámara przeciw Piotrowi I Okrutnemu. Odzyskał ziemie na granicy aragońskiej i otrzymał godność hrabiego Borja.

**Książę Walii**, Edward Woodstock, syn pierworodny i dziedzic króla Anglii Edwarda III i ojciec króla Ryszarda II angielskiego. Znany jako Czarny Książę, wybitny dowódca wojskowy, zasłynął zwycięstwami nad silami francuskimi w bitwach pod Crécy i Poitiers.

**Infant Alfonso**, syn pierworodny i dziedzic króla Aragonii Jakuba I; śmierć infanta (w wieku trzydziestu ośmiu lat) poprzedziła zgon ojca; został pochowany w opactwie Veruela, niezgodnie z zapisem w testamencie, w którym wybrał na miejsce swojego pochówku zakon kaznodziejów w Huesce.

**Hugh Hastings**, rycerz angielski, uczestnik bitwy pod Ariñez (w języku baskijskim Inglesmendi).

### *Mnisi z opactwa Santa María de Veruela*

**Przeor Antón**, prawa ręka opata, zarządza opactwem pod jego nieobecność i ma nadzór nad wszystkim, co dotyczy życia w klasztorze.

**Dziekan Estéban**, odpowiedzialny za *cellarium* (klasztorny spichlerz

oraz magazyn), za produkcję płodów rolnych, wina i takich specjałów, jak oliwa.

**Dziekan Adolfo**, najstarszy z mnichów, który poznał ostatnich ośmiu opatów w Verueli.

**Brat Cipriano**, furtian, jeden z braci obarczonych największą odpowiedzialnością; sypia w celi ulokowanej w bramie prowadzącej do klasztoru.

**Brat Julian**, znany powszechnie jako *pan wód*; pod jego pieczę znajdują się wszystkie ciągi wodne, rowy nawadniające, wąwozy, zbiorniki oraz rzeki na rozległych ziemiach należących do opactwa.

**Brat Timoteo** to architekt kongregacji; dogląda wszystkich budowli.

**Brat Saturio** odpowiada za uprawę ziół leczniczych, rozsadnik i zbiór nasion; troszczy się o uprawy we wszystkich folwarkach opactwa.

**Brat Ramiro** jest aptekarzem Verueli; ma własną izbę, w której gromadzi specyfiki, księgi i instrumenty potrzebne w swojej sztuce; kuruje chorych.

**Brat Bartolomé**, poza odpowiedzialnością za kostnicę klasztorną, jest pomocnikiem dziekanów i przeora.

**Brat Rogelio** to mnich, który zajmuje się domem gościnnym, przeznaczonym dla cudzoziemców odwiedzających opactwo.

**Brat Hugo**, najmłodszy członek kongregacji, któremu nie przydzielono jeszcze konkretnej funkcji w opactwie; najwięcej czasu spędza w bibliotece.

**Brat świecki (oblat) Octavio** był odpowiedzialny za *cellarium*; obecnie wykonuje prace ciesielskie i pomaga dziekanowi Estebánowi.

**Brat Prudencio (oblat)** ma pod pieczę pomieszczenia i potrzeby świeckich członków zakonu.

**Brat Isidoro (oblat)** jest głównym pomocnikiem architekta.

### *Postacie świeckie*

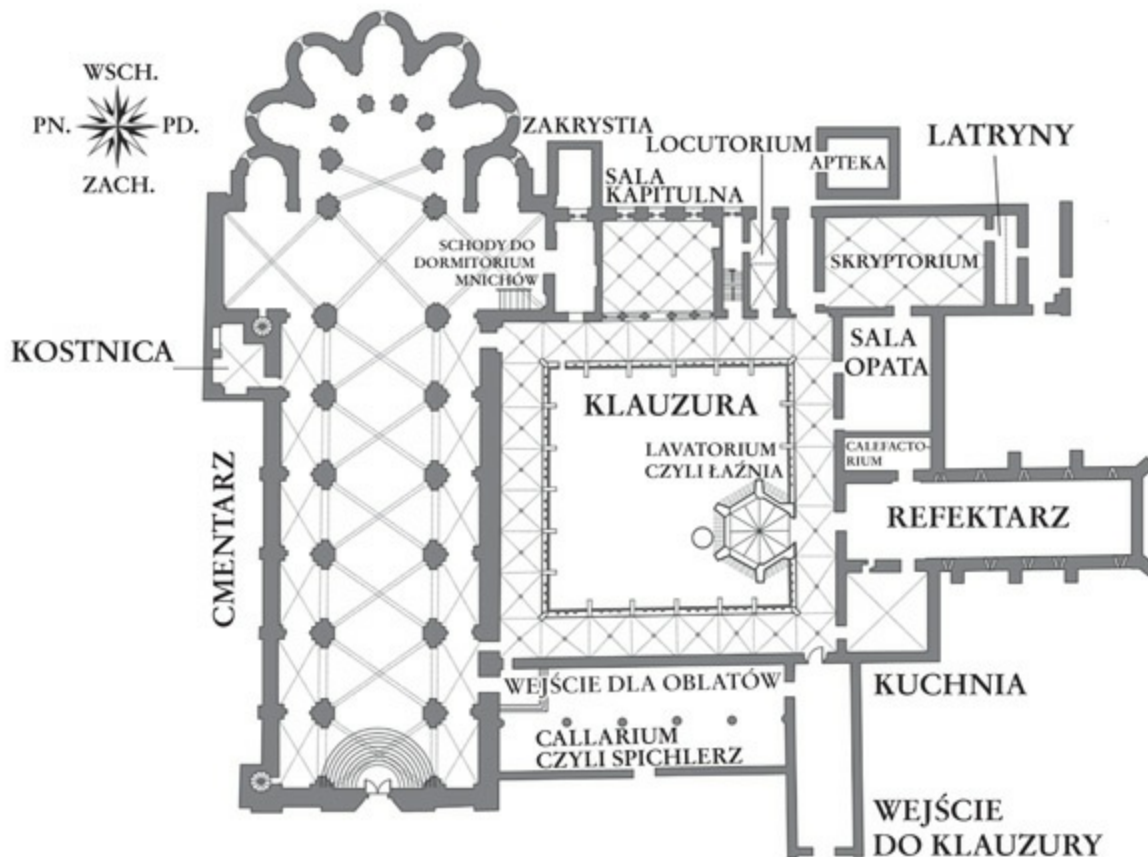
**Bizén de Ayerbe**, pomocnik notariusza królewskiego z Saragossy;

towarzyszy swojemu mistrzowi w celu odzyskania szczątków infanta Alfonsa na rozkaz króla Piotra IV Aragońskiego.

**Marta i Elena** to dwie siostry z folwarku należącego do opactwa w Verueli.

**Atilano i Jednooki**, poddani opactwa, należą do straży, której zadaniem jest obrona murów warownych.

## PLAN OPACTWA SANTA MARÍA DE VERUELA



## GODZINY KANONICZNE

Każda doba w klasztorze cysterskim była rozplanowana według tak zwanych godzin kanonicznych, które ustalono odpowiednio do wschodów i zachodów słońca. Te, które tu podajemy, odpowiadają porom właściwym dla października 1363 roku, w którym rozgrywają się wydarzenia przedstawione w powieści.

**Matutinum:** przed świtem, około godziny 1.30.

**Lauda:** około godziny 3 w nocy.

**Prima:** o wschodzie słońca, około godziny 6.

**Tercja:** trzecia godzina po wschodzie słońca, około godziny 9.

**Seksta:** o 12 w południe.

**Nona:** około godziny 14.

**Nieszpory:** po zachodzie słońca, około godziny 18.

**Kompleta:** przed odpoczynkiem nocnym, ok. godz. 20.30.

**T**ego ranka powietrze zastygło w bezruchu, nie odczuwało się najłżejszego powiewu. Gęsta, mroźna mgła rozwijała się nad ziemią jak płachta, wnikając ostrą sierścią w każdą szczelinę. Chłód tego dnia był nasycony wilgocią, najgorsza odmiana zimna. Antonio Martínez de Peira, szczelnie opatulony w długi, wełniany płaszcz, daremnie się trudził, aby opanować drżenie. Palce miał tak skostniałe, że z trudem utrzymywał w dłoniach wodze. Zdawało się, że samo piekło zamarzło, a ta mgła jest lodowatym tchnieniem, dobywającym się z najgłębszych czeluści otchłani. Był przekonany, że ta diabelska niepogoda to kara boska za wojnę, jaką chrześcijańscy królowie toczyli między sobą od lat, zbyt wielu lat.

Sprawował urząd notariusza generalnego na wszelkie ziemie i dominia króla Aragonii, aczkolwiek sam nie pochodził z tego królestwa. Urodził się na wybrzeżu, w Bilbao, świeżo założonym mieście, które jednak przyszło mu opuścić w dzieciństwie. Antonio Martínez de Peira, zwany przez wszystkich po prostu don Antonio, należał do tych ludzi, których wieku nie dałoby się określić, choćby człowiek przyglądał się cały dzień. Zawsze milczący, zawsze obserwujący w skupieniu wszystko, co było w zasięgu wzroku. Jego oczy wpijały się w każdy przedmiot czy szczegół, który zwrócił jego uwagę, jego uszy otwierały się na wszelkie rozmowy, nawet te z pozoru banalne.

Don Antonio zwykł był przyjmować wszelkie zlecenia, nie tak jak większość notariuszy, którzy nieradzi oddalali się od najludniejszych miast królestwa. I choć doszły do jego uszu budzące obawę historie, jakie opowiadano o ziemiach, do których właśnie się udawał, zgodził się wyruszyć w tę podróż. Był człowiekiem pragmatycznym i zawsze z powątpiewaniem podchodził do wszelkich legend i niesamowitych opowieści, ponieważ miał z tego rodzaju przekazami spore doświadczenie i wiedział, że za taką gadaniną najczęściej kryje się fałsz

oraz interesowność z jednej strony, a z drugiej ciemnota i że te niesamowite zdarzenia to na ogół nic innego, jak skomplikowany splot różnych okoliczności.

Traktował zatem z należyтым dystansem wszystko, co ludzie opowiadali o tej górze wznoszącej się nad wielką rzeką Ebro, dokładnie na granicy między trzema dużymi chrześcijańskimi królestwami na południe od Pirenejów.

Orszak don Antonia poruszał się pod eskortą ośmiu zbrojnych, a dowodził nimi Ramiro de Aguilera, wytrawny rycerz, który zadawał niewiele pytań, a do tego jedyny śmiałek, jaki zdecydował się chronić podróżnych w drodze na te rubieże. Znalezienie takiego notariusza jak on też nie było rzeczą łatwą. Bracia z zakonu kaznodziejskiego w Huesca zapłacili mu sporą sumę za podjęcie się tego zadania. Ze spotkania, jakie z nimi odbył, don Antonio wynioskował, że zakonnicy już od dawna pragną, aby ta wyprawa doszła do skutku i długo czekali na sprzyjające okoliczności, te zaś najwidoczniej właśnie zaistniały, choć nie wiedział dokładnie, w czym rzecz.

Podróżowali konno, szerokim, okrytym bujną roślinnością brzegiem rzeki Ebro aż do miejsca, gdzie wpada do niej Huecha, ostatnia rzeka przed granicą z sąsiednim królestwem Nawarry. Tam skręcili w górę dopływu i dalej jechali doliną przecinającą tereny równinne. Mgła ukrywała ich przed wzrokiem straży zamków panujących nad tym obszarem, jednak notariusz królewski był świadom, że zanim dotrą do miejsca przeznaczenia, czekają ich większe niebezpieczeństwa niż owe twierdze, przyczajone na skalnych szczytach i pagórkach.

Po stolicy królestwa rozniosły się pogłoski, że książę Walii właśnie przekroczył Pireneje z armią liczącą sześć tysięcy najemników, ponad dwa tysiące Akwitańczyków i co najmniej tysiąc Anglików. Wszystko to za przyzwoleniem króla Nawarry, który pragnął zachować pozycję neutralną wobec obydwu sąsiadów, jak gdyby podobny zamysł w ogóle był do wykonania. Monarcha Nawarry postępował, jakby był mu obcy pierwszy aksjomat wszelakiej wojny: kiedy dwa królestwa



stają do walki, istnieją tylko wrogowie albo sprzymierzeńcy. Tę regułę można odnieść do każdego konfliktu. Wstrzemięźliwe stosunki są dobre na czas pokoju, a to był czas wojenny.

Książę Walii przybył z wyraźną intencją udzielenia wsparcia odsuniętemu od władzy Piotrowi Okrutnemu, królowi Korony Kastylijskiej, który gotował się do odzyskania tronu. Zanosilo się na bezwzględną rozprawę. Don Antonio miał wątpliwości, czy uda im się sięgnąć po koronę Aragonii. Aż do tej chwili monarcha aragoński popierał uzurpatora kastylijskiego tronu, Enrique de Trastámara, a w Moncayo stacjonowały silne oddziały francuskich najemników, które zostały tam osadzone w celu pilnowania granicy. Można było zakładać, że jeśli król uzurpator obieca im w zamian złoto, Francuzi będą gotowi stanąć do walki z księciem Walii. Królestwa Anglii i Francji od dziesięcioleci toczyły między sobą boje; byli już zmęczeni i znużeni walką o ziemie Normandii i Akwitanii, toteż południowe obszary Pirenejów mogły stać się nowym terytorium zmagania. Odnosiło się wrażenie, że w razie potrzeby będą toczyć wojnę choćby i sto lat.

Chociaż nigdy nie wszczynano działań zbrojnych przed Wielkim Postem, Francuzi nie mogli sobie pozwolić na powrót do swoich włości. Pozostali zatem w Moncayo, szukając sposobu na przetrwanie do czasu wznowienia walk w lecie. Jednak fakt, że książę Walii przeprowił się przez Pireneje, zmieniał całą sytuację i nie ulegało wątpliwości, że spowoduje to przyspieszenie rozwoju wydarzeń.

Żaden mieszkaniec królestwa, świadomy tych przesłanek, nie odważyłby się zbliżyć do granicy z Kastylią, ale notariusz królewski zwęszył dobrą okazję tam, gdzie inni dostrzegali jedynie zagrożenie i ryzyko.

Kompania dążyła naprzód brukowanym traktem prowadzącym do wioski zwanej Bulbiente, a należącej do klasztoru, który był celem ich podróży. Garstka chat skupionych wokół zamku ze zrujnowaną wieżą. Jej ściany, sądząc po fragmentach, które dotąd się nie przewróciły, zostały uszkodzone całkiem niedawno. Twierdza nosiła

znamiona pożaru, a w murach fortecznych otwierał się wyłom. Mimo żałosnego widoku, jaki teraz przedstawiała, budowla zachowała ślady dawnej potęgi.

– Trzeba się trzymać z daleka – ostrzegł towarzyszy Ramiro de Aguilera, dosiadający potężnego wierzchowca kasztanowej maści – w tych ruinach mogą nas oczekiwać przykre niespodzianki.

Rycerz, który stał na czele całej grupy, nosił na krzepkiej szyi głowę pokaźnych rozmiarów. Na szerokim obliczu połyskiwała para oczu piwnych i głębokich, które rzucały wyzywające spojrzenia, potwierdzając zuchwałą naturę i żołnierską twardość tego człowieka.

Don Antonio umiał błyskawicznie rozpoznawać ludzkie charaktery, nauczył się tego przez długie lata obcowania z zatargami, testamentami, wszelkiego typu spornymi sprawami, które jak żadne inne, ujawniają najgorsze cechy człowiecze. Widział rodziny, które zawzięcie się kłóciły i zrywały wszelkie relacje z powodu paru miedziaków. Rodziców, którzy oddawali siedmioletnie córki o czterdzieści lat od nich starszym mężom w zamian za prawo do spadku. Był nawet przekonany, że to nie natura przyłożyła ręki do niektórych z tych dziwnych zgonów, jakie przyszło mu poświadczać urzędowo, a jedno ze współmałżonków. Szybko zatem się zorientował, że Ramiro de Aguilera jest człowiekiem przezornym, że wie, kiedy należy dobyć miecza, a kiedy schować go do pochwy. I ta świadomość go uspokajała, ponieważ w miarę, jak zagłębiali się w dolinę, narastało poczucie, że ktoś śledzi ich ruchy.

– Myślicie, że w tym zamku mogą być żywi ludzie? – zapytał don Antonio, wskazując w kierunku Bulbiente.

– Nie mam zamiaru się zbliżyć ani do tej, ani do żadnej innej fortecy – odrzekł stanowczo Ramiro de Aguilera. – Wszystkie zamki w rejonie Moncayo są zajęte przez Francuzów i zapewniam was, że nie pragniecie się z nimi spotkać, a już na pewno nie z ich kapitanem.

– A to dlaczego?

– Domyślam się, że nie słyszeliście, co mówią o du Guesclinie.

– Nie miałem dotąd przyjemności.

– Przyjemności? To szkarada, jest szkaradny jak diabeł! – wszyscy żołnierze z eskorty parsknęli śmiechem.

– Aż tak?

– Wiedźcie, notariuszu, że jego brzydota jest legendarna. Powiadają, że łeb ma potężny, krótkie nogi, a oczy małe i zapadnięte – zagłębił się w szczegóły Ramiro de Aguilera – o wejrzeniu żywym, a przenikliwym. Zaś nos ma spłaszczony, a nieliczne zęby, jakie mu zostały, biją się o to, który pierwszy mu ucieknie z gęby. Oddajmy mu sprawiedliwość: prawda jest taka, że du Guesclin niewiele łask jest winien naturze.

– Co za nieszczęście – notariusz królewski wyobraził sobie podobny twór boski i pomyślał, że Ramiro de Aguilera musi nieco przesadzać.

– Ale nie dajcie się zwieść, bo du Guesclin jest tak szpetnym mężczyzną, jak wyśmienitym żołnierzem. Obdarzony niewyobrażalną siłą, posługuje się bronią ze szczególną zręcznością, jest twardy, gwałtowny i niepokonany – podsumował całkiem odmiennym tonem. – Król mianował go hrabią miasta Borja, które leży zaledwie o dobę stąd, a jest jednym z najbardziej liczących się w królestwie. Zapewniam was, że nikt nie chciałby się z nim spotkać na placu boju.

Don Antonio słyszał o bezwzględności francuskich najemników, których król wezwał do ochrony granic, z czego wywiązywali się nader skutecznie, ale wojna była dla niego sprawą nieznaną. Nigdy nie miał broni w ręku, pióro i umysł – to był cały jego arsenał.

Notariusz królewski przywołał wówczas swojego pomocnika, Bizéna de Ayerbe. Taki miał zwyczaj, że zawsze brał ze sobą któregoś z uczniów, ponieważ potrzebna mu była pomoc przy sporządzaniu pism i ich przepisywaniu. Don Antonio podobnymi zajęciami już się nie trudnił osobiście, jego czas był zbyt cenny.

Spośród jego uczniów ten nie był najzdolniejszy, nie miał jednak innego wyjścia, jak zadowolić się jego usługami. Powód był dość prosty: pozostali praktykanci odmówili udania się w tę podróż pod różnymi pretekstami: ten miał chorego ojca, tamtemu wypadł ślub w rodzinie, jeszcze inny znalazł najdziwniejszy wykręt: nagły ból kiszek.

Szczególny to musiał być ból, skoro go skłonił do odmowy udziału w tak ważnym zleceniu.

Tak czy siak, Bizén de Ayerbe był jego ostatnią nadzieją i ostatnim, do którego się zwrócił.

Każdy by w mig zauważył, że to niedoświadczony młodzian; dbale zgolona broda to nie dosyć, żeby sobie dodać lat, ale przynajmniej był silnej budowy i dobrze jeździł konno.

Notariusz królewski jeszcze nie wyrobił sobie o nim zdania. Owszem, sądził, że ma możliwości, choć odkąd wstąpił do jego służby, don Antonio nigdy nie zauważył, żeby starał się w jakiś sposób ten swój talent wykorzystać. To miała być jego ostatnia szansa, jeśli się nie wywiąże, to go odprawi, bo w każdym mieście królestwa jest skrybów na pęczki.

Kiedy wieża zamku w Bulbiente utonęła we mgle, cała kompania przystanęła przy skromnym, drewnianym moście. Poczynając od tego miejsca, rzeka wsiąkała w ziemię, zanikała.

– Może będzie bezpieczniej podążać korytem rzecznym – zasugerował Ramiro de Aguilera, po czym wydał kilka poleceń swoim ludziom. – Powinno nas zaprowadzić w pobliże klasztoru.

– Cystersi zawsze budują swoje opactwa blisko źródła obfitującego w wodę – uzupełnił brat Jorge. – Ten klasztor nie może być daleko.

Wyschłe łożysko rzeki było pokryte grubą warstwą okrągłych kamieni, po których konie stąpały bez większego wysiłku. Brzegi nie były zbyt zarośnięte, a mgła słała się jeszcze gęściej na dnie rzecznych łożysk.

Dotarli do kolejnego mostu, tym razem kamiennego. W tym miejscu opuścili koryto rzeczne i ruszyli dalej traktem, który prowadził od rzeki w kierunku wschodnim. Po drodze mijali kolejną osadę. I tu widoczne były zgliszcza zamku. W chatkach nie palił się ogień i trudno było zgadnąć, czy byli w nich jacyś mieszkańcy, czy też wszyscy stąd uciekli. Nie było innej rady, jak przejechać pod murami, bo tamtędy prowadziła droga. We mgle, która coraz mocniej zagęszczała się nad ziemią, trudno

było dojrzeć jeźdźca wysuniętego o dwa kroki naprzód, a co dopiero marzyć o znalezieniu trasy, która pozwoliłaby uniknąć przejazdu obok tej zrujnowanej twierdzy.

Ta placówka miała być ostatnia przed dotarciem do klasztoru. Konie były wyczerpane, droga poczęła się piąć stromo pod górę, a im bardziej się wznosili, tym bardziej wzmagął się nieznośny chłód.

Roślinność się zmieniła, przemierzali teraz zaorane ziemie, miejsce wykarczowanych drzew zajęły pola uprawne. Panowała głucha cisza, ani chrzęstu kamieni, ani szelestu opadającego liścia, powietrze znieruchomiało i ciążyło podróżnym jak ołów. Śmiertelna cisza. Równie dziwaczny i przerażający kształt przybrała mgła, oplatająca ich kłębem, jakby chciała ich spętać, uwięzić. I tak się to skończyło.

To był tylko świst, nikt sobie nie uświadomił, że żaden podmuch wiatru nie przedarłby się przez tę mgłę.

Nagle znikąd wychynęły cienie, jak dzikie zwierzęta. Konie dostrzegły je pierwsze, spłoszyły się i zakwiczały, jak wieprze w przeddzień świniobicia. Krzyk dobiegający z końca formacji potwierdził, że wpadli w pułapkę, ale wówczas było już za późno na ucieczkę.

Jeden z żołnierzy stanowiących tylną straż kolumny padł na ziemię. Jego towarzysz musiał go wyminąć, żeby jego koń nie stratował leżącego, ale kiedy chciał się przekonać, co z tamtym, coś z całej siły szarpnęło go za nogę i zrzuciło z siodła. Próbował się podnieść, lecz poczuł dłoń przyłożoną do czoła, po czym z przeraźliwym dźwiękiem prześlizgnęło się po jego szyi ostrze, przecinając ją z końca w koniec.

– To zasadzka! Musimy się rozproszyć! – huknął Ramiro de Aguilera.

Rycerz dobył miecza, szukając, z kim go skrzyżować. Otaczający ich napastnicy przypominali widma. Tylko wrzaski bólu jego ludzi i rzenie koni dowodziły ich obecności, kimkolwiek byli.

Ramiro de Aguilera krzepko uchwycił oręż i skupił wzrok na błyszczącym punkcie po prawej. Ledwie mógł cokolwiek dojrzeć, toteż wyrównał oddech, żeby uważnie wsłuchać się w dźwięki dokoła. Należało tylko wyczekać sposobnego momentu i ten przyszedł.

Uprzedził go lekki trzask. Co sił zamachnął się mieczem na prawo.

Krew zbrzygała mu całą twarz i ryk bólu zawibrował w uszach.

Oczy miał zachlapanie, potrząsnął głową, żeby je oczyścić z krwi przeciwnika.

Wówczas kolejny nieprzyjaciel zaszedł go z tyłu. Nie mając czasu, żeby się obrócić, wygiął dłoń w przegubie i poprowadził miecz pod pachą prosto w szyję postaci, która już wznosiła maczugę nad jego głową. Zaraz potem obrócił się w prawo i kolejnym ciosem zwałił tamtego pod kopyta własnego wierzchowca.

Nie mógł tak stać i czekać, popędził konia i ruszył naprzód, gotów poćwiartować każdego, kto mu stanie na drodze. Nagle zamajaczyły przed nim dwie ciemne postaci. Już uniósł ramię, żeby uderzyć mieczem, kiedy... znieruchomiał, rozpoznawszy przerażone twarze królewskiego notariusza i jego ucznia.

– Na miłość boską! Co robicie? Ruszajcie stąd! – popędził ich konie. – Uchodźcie!

– Dokąd? – rzucił roztrzęsiony notariusz królewski.

– Naprzód, klasztor jest tuż, prędzej! – ponaglał ich rozpaczliwie.

Don Antonio i jego pomocnik spięli konie i wnet zniknęli we mgle. Ramiro de Aguilera zrobił zwrot i właśnie wtedy czyjaś kopia powaliła pod nim wierzchowca.

Don Antonio z uczniem puścili się cwałem w bezkres nocy, przekonani, że jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi jest lepsze od tej zasadzki. W rozpaczliwej ucieczce prowadził ich strach. Ich konie przesadziły powalone drzewo i przebiegły między dwoma pniami, które dzieliła tak nikła odległość, że jeźdźcy niemal otarli się o nie barkami. Widać dzielne zwierzęta też czuły, że jedynie ucieczka może im ocalić życie, bo zamiast okazywać lęk wobec przeszkód, omijały je tak zręcznie, jakby ich wzrok był zdolny przebić gęstą mgłę. A jednak... Don Antonio zahaczył w pędzie o jakąś gałąź i omal nie runął z konia. Odniósł tylko płytką ranę w policzek, za to jego wierzchowiec galopował dalej, dając jeźdźcowi do zrozumienia, że odtąd ma zamiar radzić sobie bez jego

pomocy.

Kiedy notariusz doszedł do siebie po uderzeniu, obrócił głowę, żeby się upewnić, czy jego uczeń wciąż za nim podąża i tak też było. Konie były wycieńczone, a oni zagubieni. Don Antonio dał znak, żeby zwolnić tempa. Rozejrzał się wokół. Byli we mgle, w lesie.

Nie wiedział, w którą stronę się zwrócić, ale czuł, że nie powinni się zatrzymywać. I wtedy pojawił się przed nimi jakiś stwór. Coś jakby centaur, jakie opisano w bestiariuszach: pół koń, a pół człowiek, zbrojny w kuszę, z której do nich mierzył.

– Jesteśmy ludźmi króla Aragonii – zawołał. – Nie strzelaj, okaż nam litość!

Ten cień nie znał litości, bełt przeszył mglistą noc.

DZIEŃ PIERWSZY

ONISI



## Matutinum

*Klasztor Santa María de Veruela,  
28 października roku 1366*

**B**rat Saturio jako pierwszy zbudził się na dźwięk mechanicznego zegara. Sypiał we wspólnej izbie z pozostałymi mnichami, tylko opat miał własną komnatę. Łóżka zakonników były proste: zwykła drewniana rama, na której leżał siennik wypchany słomą. Obok posłania sędziwego mnicha stało łóżko jednego z najmłodszych i podobny układ powtarzał się dalej. Wszyscy spali odziani i przepasani, żeby móc niezwłocznie się poderwać na matutinum, nabożeństwo odprawiane po północy.

Tego dnia ciężko mu było się przebudzić. Czuł się jakiś oszołomiony, jakby przyduszony po głębokim śnie. Nie spał tak mocno, odkąd sięgał pamięcią. Ale choć przytomniał dłużej niż zwykle, spojrzawszy na innych braci, stwierdził, że jeszcze się przeciągają, a ten i ów dotąd nie podniósł się z posłania.

Brat Saturio trudnił się ogrodnictwem. Cerę miał ciemną, nos wydatny i poruszał się powoli, a to nie z powodu zmęczenia, tylko nawyku związanego z wykonywanym zajęciem. Po tylu latach poświęconych troskliwej opiece nad każdą ze swoich roślin, wybieraniu pędów na nowe szczepy, zbieraniu nasion, które gromadził jak skarby, przemienił się w człowieka cierpliwego. Upływ czasu oraz surowa reguła świętego Benedykta, jaką rządziło się życie w klasztorze, uspokoiły w nim niegdyś buntowniczego i obdarzonego energią ducha.

Był dumny ze swojej pracy u boku dziekana Estébana. We dwóch zdołali ulepszyć winne szczepy na ziemiach należących do klasztoru, co,

zdaniem mnichów, przyniosło znakomite wyniki. Nawet sam opat zachwycał się tym nowym winem wytwarzanym ze szczepu garnacha, jaki uprawiali w swoich winnicach.

Ale mimo że tak długi czas przeżył u stóp Moncayo, Saturio nie do końca pogodził się z klasztornym żywotem. Bezwzględnie posłuszny regule milczenia, przemierzał długie galerie zdobione owymi misternie rzeźbionymi kapitelami. Posty i ćwiczenia, utrzymujące w ryzach ciało, które w pierwszych latach wydawały mu się tak nieznośne, teraz pozwalały mu się cieszyć niezmiernymi dobrodziejstwami. A jednak były inne sprawy, z którymi dotąd nie potrafił się pogodzić.

Lubił wczesnie wstawać i schodzić do kościoła niemal bez światła, ponieważ białawe ściany klasztoru Veruela czyniły wówczas wrażenie, jakby żyły własnym życiem. Ciszę zakłócały przeróżne przerywane odgłosy, właściwe dla tego rodzaju budowli. Pogwizdywanie wiatru przenikało przez otwory okienne, skrzypienie stropów, trzeszczenie drzwi, wreszcie różnorodność wszelkich owadów, krążących pod sklepieniami, po sieniach, korytarzach, piwnicach i przejściach. To miejsce ukrywało w sobie niezliczone zakamarki i pomieszczenia. Brat Saturio często zadawał sobie pytanie, czy podobna budowla nie jest potwarzą dla Boga, czy wysokie, kamienne sklepienia wieńczące kościół nie są aby dowodem pychy w oczach Stworzyciela.

Czy człowiek nie powinien być skromny? Prawdziwy chrześcijanin nie potrzebuje tej całej wystawności. Samo słowo Boże powinno mu wystarczyć. Po co budować tak wyrafinowane świątynie? Po co gromadzić tyle bogactw? Kiedy Jezus chodził po ziemi, nie dbał o nie wcale.

Takie wątpliwości trapiły go przez lata żywota w Verueli, ale nie ośmielił się nimi z nikim podzielić, bo zdawało się, że te ściany mają oczy i uszy.

Wstał i podszedł do okienka, które wpuszczało nieco powietrza do wspólnego dormitorium.

„Dziś mgła też się nie podniesie”, pomyślał.

Pozbawiony ciepła derki, którą się okrywał, uczuł chłód. Klasztor był wrosnięty w górną partię doliny, leżał w górach, nieprzyjaznych zimową porą. Śnieg i lodowaty wichur były mu zwykłymi towarzyszami. Co innego mgła.

„Nie znam drugiej, równie nienawistnej rzeczy”, powtórzył sobie w myśli.

I nie brakowało w tym racji. Każdy dzień, który upływał bez widoku słońca, potęgował wilgoć i chłód przenikający do kości. Temperatura nie zmieniała się przez całą dobę, najmniejszy promyk słońca nie przebijał się przez powłokę spowijającą całą dolinę, która w taki czas trwała w martwocie, jak zaklęta w kamień.

Postąpił w stronę schodów. U końca dormitorium pochylił się ku miejscu, gdzie zwykł sypiać brat Bartolomé, ten, którego chrapanie zaburzało obowiązujący braci zakonnych nakaz milczenia. Zdziwił się, widząc, że ten, jako jedyny, dotąd leży na pościeli.

Odziany w biały habit, z czarnym szkaplerzem zakonu cystersów na szyi, otworzył wąskie drzwi i ruszył w dół schodami wiodącymi do świątyni. Używano tego przejścia jedynie w porach modłów przypadających na nocne godziny, aby nie tracić czasu na wstawanie i nie spóźnić się na nabożeństwa, tak jak teraz, na matutinum.

Stopnie były wysokie i pokonywał je z trudem przy tak słabym świetle. Sam dotyk schodów sprawiał, że chłód wnikał przez stopy w całe ciało, jak tryskająca z podłoża ciecz. O tak wczesnej porze kościół był ogromną lodownią zatopioną w całkowitych ciemnościach. Zaledwie można było dostrzec inskrypcje, tak liczne na kamiennych ścianach, pobielonych i poprzecinanych czerwonymi smugami, przypominającymi linie łączenia ciosów.

Przeszedł obok zegara mechanicznego, najnowszego, kosztownego nabytku klasztoru. Urządzenie miało kształt pięknie pomalowanej, brzuchatej beczki z drewna, w której wnętrzu kryły się różne przekładnie, kółka i walce. Przemysłność tego mechanizmu fascynowała wszystkich mnichów, bo potrafił wybijać godziny tak za dnia, jak i nocą.

Trzeba go było tylko regulować codziennie o wschodzie słońca, bo miał zwyczaj się opóźniać o jakąś minutę u końca dnia.

Usłyszał za plecami czyjeś kroki.

– Zapalcie świece – nakazał przeor Antón, który był nierad, ilekroć ktoś go wyprzedzał w przybyciu na nabożeństwo.

Brat Saturio skinął głową. Przeor był zakonnikiem tchnącym spokojem, poważanym i cieszącym się wielkim mirem wśród mnichów.

Mijając w mroku skrzyżowanie naw, brat ogrodnik poczuł, jak ciężar tej ogromnej świątyni przygniata mu barki, jakby się nagle przeistoczył w atlasa. Przełknął ślinę, z wysiłkiem wciągając w płuca lodowate powietrze. Ruszył dalej drobnym krokiem, minął po prawej zakrystię, a po lewej drzwi prowadzące do klauzury i dotarł do początku ambitu, gdzie podczas wielkich uroczystości – jak na przykład w zbliżający się dzień Wszystkich Świętych – wystawiane były drogocenne relikwie znajdujące się w posiadaniu klasztoru, prawdziwy skarb Verueli.

Kiedy znalazł się w pobliżu ołtarza, owionęła go jakaś dziwna woń i pomyślał, że po nabożeństwie trzeba będzie poszukać źródła tego fetoru. Bywało, że któryś z kotów, jakie trzymali do pilnowania ogrodu, wślizgnął się do świątyni i zostawiał w niej resztki upolowanej zdobyczy albo odchody i brat Saturio czym prędzej sprzątał te nieczystości. A że to on zajmował się tymi zwierzakami – miał osiem kotów pod opieką – każdy z nich reagował na swoje imię i wszystkie były mu zazwyczaj posłuszne. Jeden tylko się buntował, biały, niebieskooki Nube. Ale mnich najbardziej sobie cenił burasa, który się wabił Caco i nie przepuścił żadnemu gryzoniowi, próbującemu się dostać do składu nasion, a jednocześnie był największym pieszczochem, co zawsze miauczeniem upominał się o pieśczoły. Mnich nadał mu imię pochodzące z legendy, jaka zachowała się w Moncayo. Ponoć tysiące lat temu zjawił się na tych ziemiach starożytny heros zwany Herkulesem i napotkał olbrzyma imieniem Caco, który okpił przybysza i wykradł mu stado bydła.

Do brata Saturia dołączył inny mnich, mężczyzna o krzaczastych

brwiach, włosach białych jak śnieg, nieco otyły i przygarbiony. To był brat Timoteo, ten spośród zakonników, który odpowiadał za prace budowlane w licznych posiadłościach Verueli, poczynając od zabudowań gospodarczych, poprzez zamki i pałace, a na kościołach kończąc. W kongregacji nazywano go architektem i najczęściej można go było oglądać zajętego kreśleniem planów budynków na pergaminie, wykonującego pomiary przy użyciu dziwacznych aparatów, jakie wynajdował w księgach zgromadzonych w klasztornej skrypcji, albo też zawiadującego pracami na ziemiach należących do zakonu. Był niemal głuchy, mówili, że za sprawą upadku z rusztowania, kiedy pracował w Rzymie, zanim przybył do Verueli.

– Zapalę świece – powiedział brat Saturio, spragniony odrobiny światła w mrokach kościelnego wnętrza.

– Co mówicie? – Timoteo podszedł bliżej, żeby go lepiej słyszeć.

– Że zapalę świece – powtórzył brat Saturio, przyzwyczajony do tego, że trzeba mówić z bliska, a często wielokrotnie powtarzać słowa.

Brat ogrodnik przesunął się o parę kroków w lewo, macając dłońmi kamienną ścianę, póki jego palce nie natrafiły na górną półkę stołu, gdzie leżały krzemienne odłupki. Uderzył jednym o drugi nad zamocowaną obok głównią. Ta zajęła się ogniem za drugą próbą. Od jej płomienia mnich zapalił świece oświetlające schody, żeby ułatwić schodzenie pozostałym braciom. Następnie wrócił ze świeczką w dłoni do miejsca, gdzie stał architekt, żeby zapalić jeszcze parę świec u wejścia do klauzury.

Płomyk w jego dłoniach przypominał samotną gwiazdkę, do której pośród mrocznej nocy po kolei dołączały się następne. Podczas matutinum nie oświetlano całej świątyni, tylko *via sacra*, czyli odcinek prezbiterium, gdzie było odprawiane nabożeństwo. Tam właśnie zapalił dwie wielkie świece ustawione w pobliżu świętych ksiąg i we dwóch oczekiwali przybycia pozostałych zakonników.

Bracia schodzili do kościoła jeden po drugim, w całkowitym milczeniu, ze zmęczeniem rysującym się twarzy, i wolnymi krokami

podążali ku prezbiterium. Kiedy wszyscy członkowie kongregacji się zbrali, wznieśli głosy, napełniając śpiewem bezkres kościoła Santa Maria de Veruela, który zadawał się ożywać, ilekroć śpiewali, jakby ten kamień był zdolny chłonać wibracje ich głosów.

Kiedy przeor zakończył modły, wszyscy mnisi powstali jednocześnie. On sam zgasił dwie wielkie świece u wejścia do chóru, by następnie poprowadzić cały pochód przez *via sacra* w głównej nawie ku drzwiom do klauzury, a dwaj inni zakonnicy, Saturio i Timoteo, stali w gotowości, by je otworzyć. Ledwie je uchylili, wpadł do świątyni kot, Caco, i obrzucił ich obojętnym spojrzeniem.

– Co tu robi ten zwierzak? – rzucił ostro zagniewany brat Julian, wyróżniający się spośród innych szczególną drażliwością. – Nie wolno mu wchodzić do klasztoru.

Dziekan Estéban podszedł, żeby go złapać, ale zwierzę go wyminęło, korzystając z faktu, że okrągły brzuch mocno ograniczał ruchliwość ścigającego, i czmychnęło ku skrzyżowaniu naw.

– Łapać go! – zawołał przeor.

Wówczas cała gromada zakonników puściła się w pościg. Kot przebiegł pod habitem architekta, zwinnie wyminął brata Ramira, aptekarza, po czym przystanął naprzeciw najmłodszego z zakonników, miauknął i wycofał się między dwa wielkie lichtarze. Wówczas bracia Saturio i Timoteo z obu stron zastąpili mu drogę. Caco tylko się im przyjrzał, a kiedy gotowali się, by go pochwycić, zmylił ich dwoma szybkimi ruchami z lewa na prawo i umknął do prezbiterium pod osłoną ciemności, królującej w tej części ogromnej świątyni.

– Nic nie widać – poskarżył się architekt, bardziej nawykły do wznoszenia sklepień kościelnych niż do gonitwy pod nimi.

– Trzeba znaleźć to zwierzę – inny zakonnik usiłował wysledzić kota w mrokach.

– Caco ma więcej sprytu niż wy wszyscy razem wzięci – zaśmiewał się tymczasem dziekan Adolfo, najstarszy z braci, który wsparty na lasce dobrze się bawił tą sceną. – No dalej, biegiem! – zachęcał resztę

mnichów.

– Bracie Adolfie – przeor rzucił mu karcące spojrzenie.

Mnisi, podkasawszy białe habity, bez powodzenia poszukiwali diabelskiego kota. Gdy tak ze świecznikami w rękach myszkowali między licznymi grobowcami i ołtarzami w bocznych nawach, świątynia rozkołysała się morzem cieni.

Tylko najmłodszy z zakonników stał nieruchomo w ambicie.

– Hugo, a czemuż tu tkwicie, jakbyście wrosli w ziemię? – napomniał go brat Saturio. – Powinniście być pierwszym w pościgu za tym kotem z piekła rodem. No, jazda!

Ale mnich się nie poruszył.

Przeor Antón dostrzegł, że młodzieniec wbija wzrok w jakiś punkt. Przyglądał się przez chwilę cherlawemu braciszкови z ogoloną głową, gdy tymczasem reszta zakonników bezskutecznie uganiała się za burym kotem. Przeor dostrzegł jakiś niepokój na jego twarzy. Podszedł bliżej.

– W czym rzecz, bracie Hugo?

– Tam – wyciągnął rękę w stronę ołtarza.

Przeor zwrócił oczy we wskazanym kierunku i zrobił parę kroków, podążając za spojrzeniem młodego cystersa. Na posadzce majaczył w mroku jakiś kształt.

– Co to jest? – przeor wyteńczył wzrok. – Dajcie tu więcej światła!

Jeden z zakonników podszedł ze świecą.

– Jest światło. Tu się zaszyło to kocisko?

– Nie wiem – odrzekł przeor z głębokim westchnieniem.

Ani przeor, ani jego towarzysze nie zbliżyli się do tego miejsca, zrobił to brat Timoteo, który wreszcie nadszedł z kolejną świecą w rękę i zatrzymał się niewielkiej odległości od ołtarza. Zbliżył światło i nagle się przeżegnał, cofnął o krok i spojrzał na mnichów. W jego oczach malowało się przerażenie.

– Co to jest? – przeor był zatroskany, na dodatek nie widział wyraźnie na taką odległość.

– On nas nie słyszy – przypomniał brat Bartolomé, wskazując na uszy.

– Timoteo! – krzyknął głośniej. – Z każdym dniem bardziej głuchy...

Brat Timoteo ukląkł bez słowa.

– Co też robicie? – przeor skierował się do niego. – Bracie, dlaczego...? Panno święta! – on również się przeżegnał.

– Co się stało, przeorze? – dziekan Estéban dołączył do nich pospiesznie. – O co chodzi? – nalegał, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Tam leży człowiek – i przeor wskazał nieruchome ciało spoczywające na kamiennej posadzce. – Martwy!

\* \* \*

Słońce jeszcze nie wstało, kiedy Atilano przeciął ogród, mijając grządki rozsadnika, a potem plantację szczepów winnych w obrębie murów klasztornych i zbliżył się do wschodniego skrzydła. Musieli się pospieszyć, bo do świtu zostało niewiele. Jego kompan, Jednooki, wychynął zza kuźni. Pchał przed sobą wózek, na którym spoczywał jakiś pękaty toból. Jednooki był chuderlawy, o wiele lżejszy od swojego towarzysza i ruchy miał zdecydowane. Szybko dotarł do rogu, gdzie czekał na niego Atilano.

– Widział cię ktoś?

– Nie, Atilano, było pusto, dokładnie tak, jak nam powiedział – odrzekł, przeciągając ostatnią sylabę.

– Idziemy – Atilano chwycił wózek i pchnął go energicznie, a Jednooki go wyprzedził i podbiegł do muru.

– Gdzie ten oblat? – spytał Atilano.

– Też się zastanawiam.

– Tutaj jestem – brat Prudencio stanął przed nimi. – Czemu się tak guzdraliście?

– Nie było tak łatwo – odrzekł Jednooki.

– Ty nic, tylko się użalas. No, naprzód, bo jeszcze nas ktoś zobaczy.

Właśnie w tym momencie dał się słyszeć jakiś głos przypominający wycie wilka.



– Boże święty! – Jednooki wsunął rękę pod opończę i wygiął szyję, żeby spojrzeć na kawałek pergaminu przyszyty do wewnętrznej strony okrycia, ucałował go trzykrotnie i wymamrotał coś w rodzaju modlitwy.

– Jednooki, do cholery! Daj spokój tym głupotom – warknął na niego Atilano.

– To nie żadne głupoty.

– Przyłapią nas. Na co wy czekacie? – oblat był zdenerwowany i nieustannie rozglądał się na boki.

Obydwaj mężczyźni przeszli przez bramę w murze, którą im otworzył.

– Wyniesiecie się stąd wreszcie? – nalegał brat Prudencio.

– Za grosz nie mam do niego zaufania – mruknął Jednooki.

– Ani ja.

– My to zawsze musimy mieć pecha – Jednooki wzruszył ramionami. – Ty przynajmniej możesz się pocieszać, że jednooki na ciebie spojrział, ale ja... – wskazał palcem brakujące oko.

– No i znowu te zabobony – Atilano zamachnął się, jakby chciał go uderzyć w twarz. – Naprawdę nie wiem, dlaczego się z tobą zadaję.

– Bo wszyscy inni mają cię gdzieś.

– Jak śmiesz! – oburzył się tamten – Ja jestem Atilano, już niedługo się stąd wyniosę, będę wojował na Morzu Śródziemnym, poznają mnie na Sardynii, Sycylii i w Atenach.

– A na razie jesteś za stróża relikwii w święta i znają cię w czterech zagrodach o rzut kamieniem od klasztoru.

– Jeszcze przyjdzie mój czas – odburknął Atilano, zaciskając pięści.

– Owszem, ale jak szybko nie zaczniesz, to osiwiejesz, a miecz ci posłuży do podpierania się, zamiast laski – docinał mu Jednooki.

– Co ty pleciesz! Wkrótce obrócę miecz przeciw niewiernym i heretykom.

– Tak, przeciw zającom i królikom – syknął ledwie dosłyszalnie Jednooki.

– Można wiedzieć, co tam mruczysz pod nosem?

– A nic, że pragnąłbym zostać waszym giermkiem, panie, kiedy

wyruszyście na rozprawę z niewiernymi na oślim grzbiecie – i wybuchnął śmiechem.

– Ty wiejski gburze! – i znów złożył się do ciosu. – A po co, twoim zdaniem, to robimy? To, co zarobię, starczy na najlepszą kolczugę, tarczę i konia.

– Dużo tego będzie, no nie, Atilano?

– Co ty o tym możesz wiedzieć...

– Tyle samo co ty, bo jesteśmy sąsiadami od urodzenia.

– Dostyc gładzenia, czasu nie mamy.

Obaj mężczyźni pchali wózek po miękkim podłożu. Nagle usłyszeli jakiś hałas.

– Co to było? – Jednooki powiódł spłoszonym wzrokiem wokół siebie.

– Ktoś tam jest, nakryli nas!

– Zamkniesz ty się wreszcie? Jak się będziesz tak wydzierał, to jasne, że nas nakryją – zawyrokował Atilano. – Skręć do rowu, wszystko mam robić za ciebie?

Znów usłyszeli hałas.

– Szybciej! – ponaglał go Atilano.

– Przeklęty los... Ostatni raz cię posłuchałem.

Z bliska dobiegł jakiś skowyt i Jednooki znów sięgnął po swój kawałek pergaminu i ucałował żarliwie.

– Co ty wyprawiasz, gamoniu?

– To nocne zjawy...

– Nie pleć bzdur!

– Tak, to upiory.

– Gdyby tak było, to już by było po nas. No patrz, to jakiś człowiek wrzeszczy pod bramą klasztoru.

– O tej porze? To nie może wróżyć nic dobrego... – i znów zanurzył dłoń w fałdach opończy.

– Zamknij się wreszcie, Jednooki – mruknął Atilano. – Przestań biadolić i pchaj mocniej, bo musimy to zawieźć do młyna.

## Oblat

Człowiek leżący na posadzce kościoła był zwrócony twarzą ku ziemi. Okrywał go brunatny habit, jakie nosili świeccy członkowie zakonu. Brat Timoteo przykucnął i, nie bez chwili wahania, ujął jego głowę w dłonie i delikatnie przekręcił. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Przeżegnał się, a potem wyprostował, kładąc dłoń na sercu.

Trup miał otwarte oczy i skupione spojrzenie, jakby przyglądał się mnichowi. Z długiego cięcia na jego szyi wciąż jeszcze broczyła świeża krew, jak z gardła zarżniętego wieprza w świniobicie. U końca rany tkwił sztylet, za pomocą którego zadano mu śmiertelne cięcie.

– To jest... – brat Timoteo ledwie mógł się zdobyć, by wymówić to imię – to jeden z oblatów, Octavio!

Mnisi pospiesznie się przeżegnali, a przeor postąpił w kierunku zmarłego i nakreślił w powietrzu znak krzyża.

– Ale jak to możliwe? Kto mógł mu to zrobić?

Wszyscy obecni przybliżyli się trwożnie, przerażeni tak okropnym odkryciem.

– Bracie Ramiro, jesteście aptekarzem, proszę was, żebyście go zbadali – polecił przeor.

Aptekarz ujął go za prawą rękę i stwierdził, że jest sztywna. Potem rozchylił habit, żeby się przekonać, czy nie ma więcej ran, ale napotkał tylko nagą skórę, bladą i zimną. Ponownie spojrzął na rozwarte oczy zmarłego, położył dłoń na twarzy nieboszczyka i opuścił mu powieki.

– Przeorze, nikt nie może się dostać do kościoła nocą, jego tu być nie powinno, jest oblatem ... Drzwi dla świeckich braci są zamknięte dla wszystkich! – wtrącił się dziekan Estéban.

– Wiem, zachowajmy spokój – przeor dał znak milczenia wszystkim członkom kongregacji. – Kto z nas pierwszy zszedł na jutrznię?

– Ja, przeorze – odpowiedział brat Saturio. – Wy sami widzieliście, jak schodzę po schodach.

– Nikogo więcej nie było, kiedy weszliście do kościoła.

– Nie.

– Jesteście pewni? – nalegał przeor.

– No cóż, było mało światła... – wyjaśnił brat Saturio. – Ale ja nikogo nie widziałem.

Brat Timoteo trwał na klęczkach przy zmarłym, wciąż poruszony tym, co się wydarzyło. Jeden z zakonników stanął za nim. Był wysoki, miał kasztanowe, proste włosy, ostry jak nóż nos, żywe spojrzenie, a policzki zapadnięte pod kośćmi jarzmowymi. Położył prawą dłoń na ramieniu klęczącego i zabrał głos.

– Możliwe, że ten, który dopuścił się tej zbrodni, jest teraz pośród tych ścian.

Brat Timoteo obrócił się w jego stronę i wskazał na swoje ucho.

– Mówię, że ten, który go zabił, może ciągle tu być – powtórzył mnich za jego plecami, żeby być lepiej słyszany.

– Bracie Rogelio, nie wiemy, co właściwie się zdarzyło – zaprotestował przeor z wielkim spokojem.

– Naturalnie, ale ten człowiek ma sztylet wbity w szyję... Powinniśmy coś przedsięwziąć, natychmiast!

Przeor się nie odezwał, obrócił się tylko i zlustrował zakonników spojrzeniem.

– Sprawdźcie wszystkie wejścia: drzwi dla braci świeckich, dla wiernych, do zakrystii, do kostnicy, z której jest wyjście na cmentarz, a także wejście na dzwonnice – rozkazał. – Przyjrzyjcie się dobrze każdemu drzwiom.

Mnisi w białych habitach usłuchali polecenia bez sarkania i nawet architekt dołączył się do tej inspekcji. Tylko brat Rogelio pozostał przy boku przeora.

- Nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków.
- Naturalnie, przeorze. Ale ja nie potrafię pojąć... – brat Rogelio był wyraźnie zaskoczony – co robił oblat w świątyni w środku nocy?
- Wyjaśnimy to.
- Nasi bracia świeccy mają własne dormitorium z osobnym przejściem do kościoła, którym udają się na modlitwy do swojego chóru. Ale to my zamykamy drzwi od wewnątrz.
- Nie potrzebujecie mi zdawać sprawy z tego, co sam wiem doskonale.
- Jeśli wszystkie drzwi były zamknięte kiedy go znaleźliśmy, to w jaki sposób wytłumaczymy to, co się wydarzyło?
- Nie uprzedzajmy wydarzeń, zawiła jest ścieżka prowadząca do prawdy.
- Przeorze – podszedł do nich najmłodszy z braci – drzwi zakrystii są zamknięte.
- Dziękuję wam, bracie Hugo.
- Przeor trwał w ciszy i zadumie. Nagle spostrzegł, że najstarszy z mnichów wspina się po schodach prowadzących do dormitorium.
- Dokąd to się wybieracie, bracie Adolfo?
- Za grubszą potrzebą.
- Właśnie teraz?
- W moim wieku to prawie cud, człowiek nie może grymasić, kiedy nadchodzi ta chwila.
- Przeor powstrzymał się od uwag, spuścił wzrok i spoglądał, jak wokół gromadzą się zakonnicy ze zbolałym wyrazem twarzy, ogarnięci nastrojem duszącego przygnębienia.
- Wszystkie drzwi są porządnie zamknięte – stwierdził dziekan Estéban. – Sprawdziliśmy wejście dla braci świeckich, drzwi od cmentarza i portal od strony fasady. Nikt nie mógł tu wejść ani się stąd wydostać.
- W takim razie przeszukamy całą świątynię, piędź po piędzi, i nie zaprzestaniemy poszukiwań, dopóki się nie wyjaśni, co tu zaszło dziś w nocy.

Przeor podszedł do miejsca, gdzie leżało ciało. Uważnie przyjrzał się scenerii zabójstwa, krwi, pozycji zabitego oraz sztyletowi wbitemu w szyję ofiary. Narzędzie zbrodni zwróciło jego szczególną uwagę: to był złoty sztylet, drogocenna broń, jaką niełatwo zdobyć. Zwłaszcza komuś o statusie Octavia, zwykłego oblata.

Ci zakonnicy świeccy byli najmłodszymi członkami bractwa. Trudnili się pracami fizycznymi i zajmowali różnymi sprawami świeckimi, co pozwalało duchownym poświęcać się liturgii godzin oraz studiom. Brunatny kolor habitu odróżniał ich od mnichów, którzy ubierali się na biało. Mieli swoją własną sypialnię, refektarz i osobny chór w sąsiedztwie głównego wejścia do świątyni.

Przeor podniósł oczy ku figurze Madonny w głównym ołtarzu. Ona jedyna była świadkiem tego, co tu zaszło.

Tymczasem pozostali zakonnicy kończyli przeczesywanie kościoła. Jeden po drugim przyłączali się do kręgu skupionego naprzeciw ołtarza. Było ich dziesięciu, wszyscy w białych habitach z długimi rękawami, bardzo obszernych, ułożonych w pionowe fałdy. Stroju dopełniały szkaplerze z czarnego płótna.

– Nikogo prócz nas nie ma w kościele – orzekł dziekan Estéban.

– Sprawdziliście dokładnie?

– Tak – odpowiedział bezzwłocznie – przepatrzyliśmy wszystkie kąty. Drzwi są zamknięte, a zakrystia, dzwonnica i kostnica są puste.

– W jaki sposób wymknął się zatem człowiek, który zamordował naszego brata? – zapytał przeor. – I jak on oraz nieboszczyk zdołali dostać się do kościoła?

– Do kościoła można wejść tylko z naszego dormitorium, schodami – zauważył ojciec Adolfo, który właśnie powrócił.

Obecni w świątyni mnisi przybrali ponury wyraz twarzy, ten i ów się przeżegnał, a inni złożyli dłonie na piersi, jakby te słowa przeszyły ich bólem.

– Ależ, bracie Adolfo... – przeor obrócił się ku niemu, skonsternowany.

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– To, co słyszycie. Myślę, że bardzo jasno to ująłem – powiedział starzec z przekonaniem.

I właśnie w tym momencie rozległo się stukanie do drzwi dla oblatów, nie dając przeorowi czasu na odpowiedź. Bracia spojrzeli po sobie spłoszeni.

– Może zabójca czegoś tu zapomniał, prawda? – mruknął leciwy mnich.

– Miarkujcie się, na Boga! – napomniał go brat Julian.

Znow ktoś zastukał do drzwi.

– Ja otworzę – powiedział dziekan Estéban i podążył nawą leżącą po prawej stronie ołtarza, którą nazywano nawą epistoły, w kierunku chóru braci świeckich, gdzie znajdowały się drzwi łączące kościół z sypialnią oblatów.

– Kto to taki? – zapytał, doszedłszy do drzwi klauzury.

– Prudencio i Isidoro.

W kręgu zakonników rozległ się cichy pomruk.

– W jakim celu przychodzą do kościoła o tej porze? Nie wiedzą, że jest bardzo wcześnie? – szepnął brat Rogelio do przeora.

– Nie wiem – odrzekł ten, rozkładając ręce.

– Co robimy, przeorze? – zapytał brat Timoteo.

– Otwórzcie im – nakazał przeor Antón. – Może oni coś wiedzą.

Zdjęli rygle z wejścia i brat Prudencio pierwszy stanął w drzwiach. Był brunetem o pospolitych rysach twarzy, w której jedyną cechą charakterystyczną była wysunięta żuchwa. Za nim wkroczył drugi konwers, zwalisty Isidoro. Miał kolosalną postać, przy której wszyscy inni wyglądali jak miniatury ludzi. Obydwaj byli odziani w brunatne habity.

– Zbliżcie się – polecił przeor.

– Czy coś się stało? – zapytał Prudencio, który, czując na sobie spojrzenia wszystkich braci, z lękiem podszedł do przeora i uklęknął przed nim.

– Wstańcie. Po co przyszliście do kościoła o tej porze? Jest za wcześnie,

przecież o tej godzinie nie wolno wam się modlić w świątyni.

– Wiem, przeorze, prosimy o wybaczenie. Usłyszeliśmy głosy i to nas zdziwiło. Pomyśleliśmy, że może coś się wydarzyło.

– Co miało się wydarzyć?

– Nie wiem. Ostatnio bracia są tacy niespokojni – odrzekł Prudencio. – Niektórzy mówią, że widzieli w nocy jakiś cień błakający się wokół klasztoru.

– A cóż to za brednie?

– Wiem, wiem – Prudencio opuścił głowę. – Ale są bardzo czujni, zbliża się Noc Dusz Pokutujących... I rozumiecie...

– Dosyć! Nie chcę więcej tego słuchać, mamy teraz pilniejsze sprawy – rzekł i westchnął. – Gdzie jest wasz brat Octavio? – zapytał.

– Nie widziałem go, wstając z łóżka.

– A kiedy ostatnio go widziałeś?

– Myślę, że w porze komplety, podczas matutinum się modliłem – wyjaśnił Prudencio łamiącym się głosem, unikając spojrzeń pozostałych mnichów i zbity z tropu sposobem, w jaki go traktowało zgromadzenie.

– Mam iść po niego?

– Nie ma takiej potrzeby – przeor przeniósł wzrok na Isidora. – A wy, widzieliście dziś Octavia? – zapytał.

Gigantyczny oblat przecząco potrząsnął głową.

– Jesteście pewni, że go nie widzieliście? – nalegał tamten.

Isidoro ponowił przeczący gest. Pytania przeora wzbudzały w nim lęk, choć był tak olbrzymi.

– Czy brat Octavio zachowywał się ostatnio jakoś dziwnie?

– Nie, ja w każdym razie nie zauważyłem, wiadomo, że ciągle jest zajęty jakąś pracą – odpowiedział Prudencio.

I zapadła cisza.

– Czy stało się coś złego, przeorze? – zapytał rwącym się głosem.

– Bóg widzi wszystko, kłamstwo w Jego domu to jeden z najcięższych grzechów, jakie człowiek może popełnić, ale zabójstwo to przewina zasługująca na wieczne potępienie! – wtrącił się brat Julian.



– Dlaczego zwracacie się do mnie w te słowa?

– Tej nocy zdarzyło się coś potwornego. Wasz brat Octavio nie żyje – i wskazał prawą ręką ciało leżące na posadzce kościoła.

Obaj bracia świeccy zwrócili oczy we wskazanym kierunku. Wyglądało na to, że z początku nie pojęli, o co chodzi. Prudencio postąpił parę kroków naprzód w zastygłym kręgu mnichów i ujrawszy zmarłego, osunął się na klęczki. Za to na obliczu Isidora widok nieruchomego ciała nie wywołał żadnej zmiany.

– To Octavio! – zawołał przerażony Prudencio.

– Obawiam się, że wzrok was nie myli – potwierdził przeor. – Co się tu zdarzyło?

– Ja... Nie wiem...

– Co tu robił Octavio w środku nocy? – nalegał przeor. – Kto go zabił? Spaliście w jednej izbie, musicie znać prawdę.

– Wyznajcie swoje winy lub będziecie się smażyć w ogniu wieczystym! – przerwał najbardziej nerwowy ze wszystkich zakonników, brat Julian.

– Nie wiem... Ja nic nie wiem, przysięgam wam – wykrztusił wśród łkania Prudencio.

– Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu potrafi wybaczać. Ale żeby uzyskać wybaczenie, musicie się ukorzyć i wyznać grzech. Kto zabił Octavia? Czy wy to uczyniliście, Prudencio? – spytał przeor, wymawiając z naciskiem każde słowo.

– Nie, panie. Ja nie zrobiłem nic złego, to nie ja.

– Kłamiecie! – padło oskarżenie.

– Bracie Julianie, powstrzymajcie się od wydawania sądów, czy to jasne?

– Jestem niewinny, klnę się Bogiem, przysięgam na Najświętszą Panią i na świętych apostołów. Uwierzcie mi, ja go nie zabiłem – powtarzał oblat przez łyzy.

– Jeśli prawdą jest, co mówicie, to kto się dopuścił tej zbrodni?

– Przysięgam, że nie wiem! Przysięgam!

– A wy? – zwrócił się do Izydora. – Też nic nie wiecie?

– Nie, nie – powtórzył tamten, podnosząc dłonie do swojej małej głowy, jakby sobie chciał zasłonić uszy.

Również on ukląkł na posadzce u stóp przeora, który nie potrafił ustać w spokoju i ciągle tarł dłonie. Za jego plecami duchowni trwali w milczeniu, wzburzeni tym, co rozgrywało się przed ich oczyma.

Przeor po raz kolejny przyjrzał się oblatom i potrząsnął głową. Obrócił się ku członkom zgromadzenia i wpatrzył się w ich oblicza.

– W jaki sposób Octavio mógł się dostać do kościoła?

– Zło wniknęło do klasztoru wcześniej, niż oczekiwaliśmy – wycedził zgrzybiały ojciec Adolfo. – Zostały cztery dni, a zły już przysłał pierwszego ze swoich – i spojrzał im w oczy. – Jesteśmy w niebezpieczeństwie, wszyscy! To dopiero początek.

– Nie powinniśmy posuwać się do tak niebezpiecznych stwierdzeń – przeor panował nad nerwami.

– Veruela uległa zepsuciu, klasztor ze wszech stron pyszni się zbytkiem, a biedni ludzie cierpią głód. Na Boga! Skoro już nie zawstydzają was te wszystkie marności, zapłacicie przynajmniej nad tak wielkim marnotrawstwem pieniędzy.

– Bracie Adolfie! Nie zamierzam tolerować tych insynuacji – odezwał się przeor tonem niecierpiącym sprzeciwu.

– Jaką rację bytu mają w naszych salach te wszystkie pokraczne stwory, tyle ozdób o wydumanych kształtach i tyle kunsztownych wynaturzeń? – ciągnął starzec. – Te wyuzdane małpy, straszne lwy, potworne centaury, te sceny i maskarony ze zwierzęcymi ciałami i ludzkimi obliczami?

W owej chwili od drzwi łączących kościół z klauzurą dobiegł kolejny hałas.

– A któż to taki może się dobijać o tej godzinie? – zdumiał się dziekan Estéban, spoglądając na przeora.

Znów rozległo się łomotanie do głównych drzwi kościoła.

– Powinniście sprawdzić, kto zacz – rzekł z uśmiechem na twarzy

sędziwy Adolfo ku ogólnemu zaskoczeniu. – Być może tym razem to rzeczywiście morderca.

– Adolfo! To nie jest odpowiednia chwila na wasze kpiny, zginął jeden z naszych braci – zgromił go przeor.

– Wiem o tym. Wiadomo mi również, że zgodnie z naszą regułą mistrz jest odpowiedzialny za wszystkie występki swoich uczniów, zaś Pan, ustami swojego proroka, ostrzega pasterzy, że własną krwią przyjdzie im płacić rachunki za tych, co umarli w grzechu. I dlatego sędzę, że niezwłocznie powinniśmy się udać na rozmowę z opatem.

– Bracie Adolfie, opat jest cierpiący, dobrze o tym wiecie.

– A wy sprawujecie władzę pod jego nieobecność. Czy może się zdobyć się na odwagę, żeby karcić innych ten, kto sam ma się za nieskazitelnego?

– Zważcie na to, co mówicie...

– Czy to być może, żeby jasność świata przemieniła się w mrok? Żeby ci, którzy własnym życiem winni wytyczać ścieżkę cnoty – ciągnął starzec – przemienili się w ślepców, prowadzących inne ślepe ofiary pychy, jaka bije z ich czynów?

– Uspokójcie się – dziekan Estéban próbował załagodzić sytuację. – Już dosyć mamy kłopotów. Musimy otworzyć wejście dla wiernych i przekonać się, kto się tak uporczywie dobija do kościoła.

– Dobrze, zostańcie wszyscy na miejscach – przeor Antón wystąpił naprzód. – A wy chodźcie ze mną, bracie Hugo – rzekł, wybierając spośród zgromadzonych najmłodszego mnicha, któremu jeszcze nie puścił się zarost na twarzy.

Ten, zaskoczony, podniósł głowę i po chwili zwłoki ruszył za przeorem, który podążył w kierunku nawy bocznej, nie omieszkawszy wcześniej wydać ostatniego, precyzyjnego polecenia.

– Niech nikt się nie rusza z miejsca i nie zbliża do zmarłego.

Brat Hugo niepewnie szedł za przeorem, w którego postawie widoczna była niezłomna determinacja. Jego wyprostowana, wysoka sylwetka kontrastowała z postawą młodego zakonnika, który szedł

przygarbiony i trwożny.

Głośne uderzenia w drzwi znów rozniosły się po świątyni.

- Kto tam? – zapytał przeor.
- Brat Cipriano – rozległa się odpowiedź z drugiej strony.
- O co chodzi? Dlaczego opuściliście bramę klasztorną?
- Zjawił się przybysz, który domaga się, żebyście go przyjęli.
- O tej porze? Otwórzcie – rozkazał przeor.

Brat Hugo spojrzał na niego niepewnie.

- Kazałem otwierać, na co jeszcze czekacie?

## Notariusz królewski

**M**łody zakonnik natychmiast wypełnił polecenie. Sztaba, choć ciężka, przesunęła się w otworze ściany, w której były zamocowane klocki służące za prowadnice, żeby łatwiej się poruszała. Odblokował rygiel i uchylił skrzydło drzwi. Po drugiej stronie ukazał się mnich w białym habicie, a u jego boku mężczyzna niewyglądający na duchownego, wysmukły, ze starannie przystrzyżoną brodą i przenikliwym wejrzeniem.

– Bracie Cipriano, w czym rzecz? Zostawiliście furtę bez dozoru?

– Wybaczcie, ojcie przeorze – odpowiedział mnich. – To przez wzgląd na przybysza, który przed chwilą dotarł do klasztoru i powiada, że przynosi wiadomości wielkiej wagi.

– Kim jesteście?

– Zwą mnie Bizén de Ayerbe i jestem notariuszem królewskim.

– Notariusz królewski w Verueli, o tak wczesnej godzinie... – przeor zlustrował go spojrzeniem od stóp do głów. – Tuszę, że sprowadza was jakaś istotna sprawa.

– Nie mylicie się – odrzekł Bizén, nadając swemu głosowi uroczysty ton. – Jestem notariuszem jego królewskiej mości Piotra IV z Aragonii.

– Czemu zawdzięczamy waszą wizytę w naszym klasztorze?

– Moi ludzie zostali napadnięci o parę mil stąd. Jestem jedynym, który uszedł z życiem.

– Szczerze nad tym ubolewam – odrzekł przeor. – Jesteśmy na ziemiach granicznych, połowa zamków znajduje się w rękach Kastylijczyków. A te, które pozostały dotychczas w posiadaniu waszego króla, są obecnie pod pieczęcią tego francuskiego najemnika, Bertranda du Guesclin. Nasz

ukochany król mianował go hrabią Borja, istna zgroza!

– Zgroza? – powtórzył notariusz królewski.

– Owszem, ponieważ to właśnie pierwszy pan na Borja dokonał donacji tych ziem na rzecz klasztoru, ponad dwa wieki temu. Szczątki jego i jego rodziny spoczywają w naszym kościele. Gdyby był świadom tak wielkiej zniewagi... Wstałby z grobu!

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – rzekł Bizén.

– A dokąd zdążaliście, kiedy na was napadnięto?

– Zmierzaliśmy właśnie tutaj, do Verueli, przeorze. Już was o tym powiadomił brat furtian. Przybywam z posłaniem do waszego opata.

– Pokażcie mi pismo.

– Powtarzam, że jest adresowane do opata klasztoru Santa María de Veruela – Bizén de Ayerbe złożył prawicę na torbie podróżnej. – Ma je przeczytać wasz opat we własnej osobie, taki jest królewski rozkaz.

– Wiecie zapewne, że król nie ma władzy w tych murach – zauważył brat furtian stojący obok przybysza.

– A papież? Ponieważ wraz z nim wiozę dwie bulle papieskie.

– Niezwykła to pora na odwiedzin emisariusza królewskiego i papieskiego w naszym klasztorze – powiedział przeor.

– Bywa czasem, że nie można czekać stosownej pory.

– To prawda – przeor zwrócił się do przybysza w odmienny sposób. – Kto was napadł, notariuszu?

– Nie znajduję odpowiedzi na to pytanie. Nie widziałem ich twarzy.

– Jaką się posługiwali mową?

– Okoliczności nie sprzyjały rozmowie...

– Mieli jakiś sztandar? – nalegał przeor.

– Żadnego.

– No proszę, można by myśleć, że zaatakował was oddział widm – rzekł po cichu brat furtian. – Napastnicy bez głosu, bez twarzy, bez znaku...

– Gdybyśmy zdołali dostrzec, że się zbliżają...

– Posłuchajcie, powiem wam szczerze, że chwila, w której się

zjawiliście, jest niefortunna – powiadomił go przeor. – Poza tym opat nie może przyjmować nikogo. Jeśli te dokumenty są tak ważne, jak mówicie, powierzcie mi je, a ja je przekażę, kiedy to będzie możliwe. To wszystko, co w obecnej sytuacji mogę dla was zrobić.

Bizén opuścił wzrok i westchnął głęboko.

– Jesteście notariuszem królewskim? – dobiegł głos z wnętrza kościoła.  
– Przybywacie zatem w samą porę.

– To nie jest właściwy czas, bracie Adolfo – napomniał go przeor ściszym głosem.

– Co rzekliście? – Bizén postąpił o krok w głąb świątyni.

– Miało tu miejsce straszne, nieszczęśliwe zdarzenie, mości notariuszu – odpowiedział starzec wsparty na lasce, potakując głową.

– Bracie Adolfo... – przeor tracił panowanie nad sobą. – Ani słowa więcej.

– A zatem to prawda – Bizén nie ukrywał zaskoczenia. – Co takiego się zdarzyło?

– Sami chcielibyśmy się dowiedzieć... – wysapał sędziwy mnich.

– Ojcie przeorze, czas mi wracać do furty – przerwał brat Cipriano. – Czy to jakaś poważna sprawa?

– Obawiam się, że tak. Ale wracajcie na miejsce. Tego jeszcze teraz brakowało, żeby brama została niestrzeżona.

– Tak uczynię.

– Muszę się widzieć z opatem. Pół tuzina ludzi straciło życie po to, abym ja zdołał się tu dostać – przypomniał przybysz.

– Jedną chwilę – i rzucił okiem ku ołtarzowi, gdzie reszta mnichów toczyła cichą rozmowę. – Wejdźcie. A wy, Hugo, zamknijcie drzwi.

Przeor przyjrzał się Bizénowi de Ayerbe, po czym lekko się skłonił.

– Pozostańcie tutaj z bratem Hugo, wróć po was najszybciej, jak to będzie możliwe.

– Mam tu czekać na stojąco? W kościele?

– Na razie tak – odparł przeor. – Bracie Adolfo, podejźmy do ołtarza.

Tak uczynili. Powrócili do nawy bocznej, w której znajdował się ciąg

ołtarzy poświęconych rozlicznym świętym i rzędem stały grobowce z przedstawionymi w pozycji leżącej figurami spoczywających tam osobistości.

– Bracie Rogelio, czy ci dwaj oblaci wyznali coś więcej? – zapytał szybko.

– Nie – odrzekł zakonnik.

– Wy – zwrócił się przeor do dwójki podejrzanych, którzy w kornej postawie przebywali przed głównym ołtarzem – upartym wypieraniem się winy nie uzyskacie nic, poza pogorszeniem własnego przerażającego czynu w oczach Boga – przestrzegł ich. – Wyznajcie winy, a On okaże wam miłosierdzie.

– Przysięgam wam na Najświętszą Panią, że nie mam z tą zbrodnią nic wspólnego – zajęczał Prudencio z obliczem skąpanym we łzach.

– Posuwacie się do krzywoprzysięstwa?

– Nie, tylko ja... Nic nie zrobiłem – mężczyzna zanosił się łkaniem jak dziecko. – To szczerą prawdą, jestem niewinny. Pomóżcie nam – błagał Prudencio, spoglądając w oczy Bizéna.

– Nie możemy ich w ten sposób oskarżyć, ojcie przeorze – zwrócił uwagę brat Rogelio. – Nie mamy żadnych dowodów winy tych oblatów.

– Kto zatem, waszym zdaniem, wszedł do kościoła i dopuścił się tej zbrodni?

– Zło mieszka między nami, bracia – rozległ się głos sędziwego Adolfa, wywołując wyraz zaskoczenia na wszystkich twarzach. – Opuściło swoje pieczary na szczytach gór, a teraz jak wąż wiję się po dolinie. Napotkało wyłom w naszych murach, przeniknęło do wnętrza i wyleguje się pomiędzy nami.

– On się czołgał po ziemi – przerwał tę perorę brat Timoteo, który również przysunął się do miejsca, w którym spoczywało ciało. – Na posadzce widać smugę krwi.

Na te słowa inni mnisi podeszli, żeby popatrzeć. Brat Timoteo pochylił się ze świecą i oświetlił spory odcinek posadzki, na którym



widoczne były plamy krwi. Bracia podążyli owym krwawym szlakiem, a widząc, skąd bierze początek, zamarli z przerażenia.

– Matko święta! – zawołał brat Julian.

Ślad doprowadził ich do prostokątnego grobowca ulokowanego w najważniejszym, najgodniejszym miejscu w świątyni: naprzeciw głównego ołtarza. Kiedy bracia to pojęli, rozległy się pomruki, jakieś stłumione szepty wypowiedane między zębami.

– Czyj to grobowiec? – zapytał brat ogrodnik.

– Infanta, dziedzica tronu – odrzekł sędziwy Adolfo.

W tej samej chwili od drzwi w głębi kościoła zbliżył się do nich inny oblat w towarzystwie brata Hugo i notariusza.

– Co to znowu? Co tutaj robicie? – zapytał przeor. – Ten cudzoziemiec powinien oczekiwać w miejscu, które mu wskazałem.

– Ojcie przeorze – nowo przybyły zakonnik zbliżył się i wyszeptał mu do ucha – Opat życzy sobie widzieć się z wami i z bratem aptekarzem.

– Teraz?

– Tak, niezwłocznie. Wie, że coś się wydarzyło i jest zaniepokojony – odrzekł mnich.

– Jak mogło to dotrzeć do jego uszu? – przeor nerwowo potarł dłonie.

– No dobrze, bracie Ramiro, udajmy się do opata.

– Chce również zobaczyć się z przybyszem – dodał posłaniec.

– Trudno w to uwierzyć – zachnął się przeor.

– Polecenie było jasne.

– Ale jakim sposobem opat mógł się dowiedzieć o jego obecności?

– Nie wiem, ojcie przeorze. Wiem tylko, że polecił, żebyście go przyprowadzili – odrzekł oblat.

## Sala opata

**D**waj bracia powiedli Bizéna de Ayerbe klasztorными galeriami. Tego ranka mgła nie dozwoliła, by słoneczne promienie rozświetliły obszerny wirydarz w całym jego przepychu. Ale nawet w takich warunkach notariusz królewski sięgał wzrokiem pomiędzy zwieńczone rozetami ostrołuki, pod którymi skrywały się biforia, pary bliźniaczych okienek, również o ostrym szczycie, udekorowanym niewielką, ażurową rozetą.

Nad ich głowami wznosiło się sklepienie żebrowe rozpostarte na ostrołukowych łękach wspartych na konsolach zdobionych misterną snycerką w kamieniu. Dominowały tam motywy roślinne, choć trafiały się również rzeźby figuralne. Łuki, jak i cały zespół architektoniczny były tak pomyślane, by przyciągać wzrok urzekającą grą światła, która hipnotyzowała umysł i powodowała lubie doznanie ociążałości, jakiego doświadczamy we śnie. Tylko echo kroków towarzyszących mu zakonników przywoływało Bizéna de Ayerbe do rzeczywistości, gdy zapuszczał się wzrokiem w prześwity łuków, za którymi, u krawędzi dachu, widoczne były gargulce przeznaczone do odprowadzania wody deszczowej, o kształtach fantastycznych i potwornych.

Przemierzywszy całą galerię, dotarli do wejścia znajdującego się w najodleglejszej części klauzury. Brat Ramiro otworzył drzwi i Bizén wszedł wraz z zakonnikami do środka. Pierwszym doznaniem, jakie powitało go we wnętrzu, był intensywny odór śmierci. Po obu stronach wejścia stały wysokie półki, posadzkę pokrywały dywany tkane w geometryczne wzory, zaś kobierce na ścianach i wytworne meble dopełniały wystroju komnaty. Sala nie przypominała celi w zakonie

cystersów, raczej wykwintną komnatę jakiegoś pałacu w Barcelonie czy Saragossie. W głębi znajdowało się łożo z baldachimem, zdobnym przejrzystymi draperiami, a świece, płonące w wysokich lichtarzach po obu jego stronach, rozjaśniały to miejsce łagodnym, przyćmionym blaskiem.

Przeor ruszył naprzód, przeżegnał się i skłonił u stóp łoża. Aptekarz zrobił to samo, po czym odsunął się na stronę i dał Bizénowi znak, żeby do nich dołączył. Opatem klasztoru był don Sancho Marcilla Muñoz, drugi syn jednego z najważniejszych dostojników królewskich. Już niemal od dziesięciu lat zarządzał losami klasztoru Santa María de Veruela, choć wcale nie był tak stary, jak mógłby wskazywać jego wygląd. Twarz miał obrzmiałą, z wielkimi workami pod oczyma, które pozostawały przymknięte. Okalały ją cienkie, jasne włosy i kłaki źle przyciętej brody oraz biaława skóra podbródka, usiana ciemnymi plamami i wielkimi krostami.

Bizéna poruszył widok opata w tak godnym pożałowania stanie, spod oka przyjrzał się mnichom i dostrzegł ich kamienne oblicza.

– Wybaczcie, że was niepokoję, ojcie – przemówił przeor zaskakująco drżącym głosem. – Jak się czujecie?

– Jestem słaby – odrzekł człowiek spoczywający w bezruchu na pościeli.

Aptekarz pospiesznie się doń zbliżył z przeciwnej strony łoża.

– Muszę wam zaaplikować maści, ojcie opacie – pochylił głowę i czekał na kolejny gest przeora, żeby rozpocząć swoją pracę.

– Czy jest z wami przybysz?

– Tak, to notariusz królewski.

– Co się wydarzyło tej nocy, przeorze? – zapytał opat, który, mimo że niezdrów i złożony niemocą w tym wykwintnym łożu pałacowym, zdawał się zachowywać całkowitą jasność umysłu.

– Co was skłania do takiego przypuszczenia, panie?

– Pokój klasztoru został zmacony, jestem opatem i rozumiem mowę tych ścian. Powiedzcie mi, co zaburzyło pokój w kongregacji.

– Ojciec opacie... – przeor rzucił spojrzenie ku wysłannikowi królewskiemu.

– Nie zważajcie na przybysza, mówcie bez ogródek – orzekł ten, który sprawował najwyższą władzę w Verueli. – Chcę, żebyście mi zdali sprawę z tego, co zaszło ostatniej nocy w klasztorze.

– Straszna śmierć, opacie – odrzekł przeor Antón, wspierając dłonie na pościeli. – Jeden z braci świeckich został odnaleziony martwy w kościele podczas matutinum.

– Czy wiadomo, w jaki sposób zmarł ten nieszczęśnik?

– Opacie, to było morderstwo. Podoznięto mu gardło – odrzekł z wahaniem.

– Boże mój, kto go zamordował?

– Dotąd nie znaleźliśmy winnego.

Opat odkaszlnął.

– Ramiro, pomóż mi się podnieść – aptekarz bardzo ostrożnie uchwycił opata pod pachy i zdołał go usadzić z plecami wspartymi na wezgłowie.

Bizén de Ayerbe mógł się lepiej przyjrzeć mnichowi siedzącemu w tej pozycji. Oblicze miał opuchnięte, skóra na szyi zwisała w fałdach, jakby w środku była pusta. Długie kosmyki włosów bezładnie opadały na szare oczy, brwi dawno przemieniły się w niewyraźne wspomnienie, skóra pokryła się niezdrową czerwienią.

– Co robił brat świecki we wnętrzu kościoła?

– Staramy się dociec.

– Czyż wszystkie drzwi nie są zamykane na noc? – nalegał opat.

– Tak, ojciec, dlatego też nie wiemy, jak zdołał się tam dostać.

– Sprawdziliście wszystkie drzwi? Przeszukaliście kościół?

– Naturalnie. I nie znaleźliśmy nikogo, a wszystkie drzwi były dobrze zamknięte.

– Ktoś zatem musiał jedno z tych drzwi otworzyć, żeby Octavio mógł się dostać do wnętrza – rzekł opat łamiącym się głosem.

– Wiecie, panie, że można je otworzyć tylko od wewnątrz, dlatego nie potrafimy znaleźć żadnego wyjaśnienia.

– Nie? Ja myślę, że w takich przypadkach najprostsza odpowiedź jest prawdziwa, choćby się wydawała nieprawdopodobna. Któryś z mnichów musiał go wpuścić.

– Ależ, ojcze, to jest niemożliwe, to by oznaczało, że...

– Jeden z zakonników jest mordercą – zawyrokował opat. – Na tym polega nieszczęście. Przeorze, musicie natychmiast wykryć sprawcę i przywrócić Verueli spokój. Zbliża się dzień Wszystkich Świętych, musimy wystawić relikwie i nie możemy być uwikłani w tego rodzaju zdarzenie.

– Uczynię to.

– I zróbcie to co prędeż, znajdźcie odpowiedzialnego za śmierć tego oblata. Każdy z zakonników, bez wyjątku, mógł otworzyć drzwi i zabić tego konwersa.

– Każdy...

– Zamilczcie, przeorze – napomniął go opat. – Rzekłem każdy, każdy z was, w tej liczbie ty, Antón.

Bizén przebiegał tymczasem wzrokiem całe pomieszczenie. Pośród niezliczonych przedmiotów najsilniej przykuł jego uwagę bogato srebrzony kufer, stojący na stole. Podszedł i położył na nim dłoń.

– Jak mogło wam przejść przez myśl, ojcze opacie, że byłbym zdolny dopuścić się takiego okrucieństwa?

– Sprawowanie obowiązków opata to ciężkie brzemie – ozwał się chory wyrozumiałym tonem. – Zawsze starałem się dawać miłosierdziu prymat nad rygorami sprawiedliwości. Byłem ostrożny i choć możliwe, że straciłem z oczu moją własną słabość, próbowałem, by raczej mnie kochali, niż się bali. Nigdy jednak nie wyobrażałem sobie, że w tych murach może zdarzyć się coś tak strasznego.

– Rozumiem was, ale uwierzcie mi, ojcze, nie mam nic wspólnego z tą śmiercią – upierał się przeor.

– Jeden z was zabił świeckiego brata, nie ma innej możliwości – powtórzył opat. – Skoro drzwi były zamknięte, tylko mnich mógł popełnić ten grzech śmiertelny. Niech się do mnie zbliży cudzoziemiec –

rzekł i spojrzął na Bizéna.

– Zwiąż mnie Bizén de Ayerbe – rzekł ów, występując naprzód. – Boleję nad tą nieszczęsną śmiercią i podzielam z wami smutek. A chociaż ubolewam nad tą sytuacją, muszę was poinformować, że mam przy sobie dokumenty, które powinniście co prędzej przeczytać. Wszyscy, którzy eskortowali mnie do tego miejsca, zginęli w zasadzce.

– Podajcie mi te pisma – wskazał je ręką. – Przeorze, zróbcie mi tę łaskę i przeczytajcie mi je, żebym mógł poznać ich treść, mój wzrok nie jest już taki, jak kiedyś.

Bizén wyjął pergaminy z torby i wręczył je przeorowi, który przybliżył je do płomienia jednej ze świec oświetlających pomieszczenie, złamał pieczęć pierwszego pisma i spojrzął na Bizéna niechętnie. Podszedł do opata, żeby na ucho przeczytać mu pismo. Ten uważnie wsłuchiwał się w jego treść. Przeor pokazał mu podpis na dokumentach oraz pieczęć odciśniętą w lace. Opat skinął głową i zamilkł na parę chwil. Wreszcie przeor otworzył dwa kolejne dokumenty i cały ciąg czynności się powtórzył.

– Nalegają na nas, byśmy przekazali szczątki infanta, następcy tronu don Alonsa Aragońskiego, pierworodnego syna króla Jakuba I Zdobywcy, które spoczywają naprzeciw ołtarza w naszej świątyni. Jako uzasadnienie tego polecenia przytacza się testament spisany przez infanta, w którym wyraził wolę, by go pochowano w zakonie braci kaznodziejów w Huesca. W tym celu załączone zostały dwie bulle papieskie oraz edykt króla Piotra IV Aragońskiego.

– Właśnie ta sprawa sprowadziła mnie do Verueli.

– Trzeba wam jednak wiedzieć – ciągnął opat – że te szczątki nigdy nie opuszczą tutejszego klasztoru.

– Ależ ojcie opacie, wszak trzymacie w ręku dwie bulle papieskie oraz edykt królewski – odparł Bizén de Ayerbe.

– To nie ma znaczenia. Nie jesteście pierwszym, który przybywa tu z taką misją, nie będziecie ostatnim. Zakonnicy z Hueski już wcześniej czynili o to starania – wyjaśnił opat obojętnie. – Niemal sto lat minęło,

odkąd infant spoczął w tych murach i będzie w nich spoczywał najmniej przez drugie tyle.

– Śmiecie się przeciwstawić woli królewskiej i papieskiej?

– My tu jedynie mamy na względzie wolę Boga, nikogo poza Nim, czy to pojmujecie? – powiedział opat. – Udzieliliśmy wam schronienia i, jako chrześcijaninowi, jakim jesteście, okazali miłosierdzie; nie zapominajcie o tym.

– Nie powinniście byli tu przyjeżdżać – dodał przeor. – Ci ludzie, którzy byli z wami, zginęli na próżno. Proście o zmiłowanie naszego Pana Jezusa Chrystusa, bowiem On tylko może odpuścić nam nasze przewiny, jak my odpuszczamy naszym winowajcom – z tymi słowami przeor zwrócił mu dokumenty.

– Wpadliśmy w zasadzkę – próbował tłumaczyć Bizén.

– A czegoż się spodziewaliście? – przeor pokiwał głową. – Wszak żyjemy w czasach wojennych. Królowie Aragonii i Kastylii toczą między sobą walkę jak głupcy. Ściągnęli tu ze sobą Francuzów, Anglików i mieszkańców Nawarry. Od dwóch tygodni mgła nie pozwala nam widzieć słońca, chłód przenika ciało do kości. Kamień przypomina lód, woda krzepnie w strumieniach, cóż sprawia, że zdecydowaliście się wybrać do Moncayo w takiej porze?

– Notariuszu – przemówił znów opat – zważcie, że waszym zamiarem jest otwarcie grobowca i wydarcie zeń szczątków syna królewskiego. Nigdy nie pozwolę na taką profanację – rzekł uroczyście i z mocą. Nie potrzebował podnosić głosu, jego ton zmuszał do posłuchu.

– Ograniczam się do wykonywania rozkazów.

– Zbliźcie się, chcę dokładniej przyjrzeć się waszej twarzy.

Bizén de Ayerbe zawahał się przez chwilę, spojrzął na towarzyszących mu zakonników i wreszcie postąpił po dywanie ku łożu. Żałosny wygląd opata Verueli z tak niewielkiej odległości budził odrazę.

– Znam wasze nazwisko – stwierdził opat. – Zdumiewa mnie to, że potomek rodu Ayerbe zajmuje takie stanowisko. Tuszę, że macie ku temu poważne racje.

- Jestem dumny z tego, że służę jego wysokości, królowi Piotrowi IV.
- O tak, w to nie wątpię – powiedział chrapliwym głosem. – Wasz ojciec dosłużył się tytułów, wojując z mieczem w ręku na Sardynii, wy dla odmiany wojujecie piórem na polu bitewnym ksiąg i rachunków.
- Nie wszyscy z mojego rodzeństwa mogli pójść śladem ojca. Chciałbym parać się wojaczką, jednak...
- Którym z kolei synem jesteście? Czwartym, piątym?
- Czwartym.
- A starsze siostry?
- Mam dwie.
- Rozumiem – opat mówił wolno, ale trudność, z jaką słowa wydostawały się z jego ust, nie umniejszała ich dostojeństwa. – Zakon cystersów jest jednym z najpotężniejszych ramion Kościoła i tego królestwa, wiele pracy poświęciliśmy dla dobra korony i król jest tego świadom. Veruela to nie tylko ta budowla, wokół klasztoru posiadamy wioski, gospodarstwa i rozległe dominia.
- Wierzę, panie – Bizén nie mógł oderwać oczu od ciemnych plam pokrywających szyję opata.
- Nie litujcie się nade mną, zapewniam was, że istnieją rzeczy gorsze od tej choroby. Na przykład ignorancja. Czy zdajecie sobie sprawę, że są różne rodzaje ignorancji? Są takie, które zasługują na wybaczenie, bo czy na przykład wieśniak ponosi winę za to, że nie potrafi czytać i pisać?
- Myślę, że nie ma w tym żadnej jego winy.
- Istotnie, ale są też inne rodzaje, bardziej subtelne, okrutne i trudniejsze do usprawiedliwienia. Jak ignorancja tych, którzy nie wiedzą, że są w błędzie.
- Wybaczcie, ale chyba was nie zrozumiałem.
- Tak też sądziłem. Nas, ludzi, poruszają niewidzialne nitki, ciągną nas, sprawiają, że podążamy w tym czy w innym kierunku, przy czym najczęściej nie jesteśmy tego świadomi. Człowiek powinien być wolny, żeby, spoglądając na własne kroki celne i fałszywe, potrafił stąpać prostą drogą ku Bogu.



– Ludzie powinni wyzwolić się ze swoich pasji, czy to właśnie chcecie mi powiedzieć?

– Nie, ludzie powinni się wyzwolić od posłuszeństwa woli innych ludzi. Nieszczęściem ignoranta jest to, że nie jest świadom własnej ignorancji – nagły atak kaszlu przerwał mowę opata. – Podajcie mi wodę, bracie Ramiro.

Aptekarz pospieszył opatowi na pomoc i podał mu glinianą czarę.

– Notariuszu, odpowiedzcie mi na jedno pytanie – ciągnął chory, przełknąwszy łyk wody – Co wiecie o tym klasztorze? Proszę, mówcie szczerze.

– Ma się rozumieć – obiecał Bizén de Ayerbe. – Wiem, że posiadacie rozległe włości i że z przyczyny wojny, która nas rujnuje, i przybycia cudzoziemców okolice góry Moncayo przemieniły się w bardzo niebezpieczny obszar. Dlatego musimy ulokować szczątki następcy tronu w miejscu, które nie jest zagrożone.

– Widzieliście grobowiec?

– Jeszcze nie.

– Znajduje się w podwyższeniu u głównego ołtarza kościoła. Zwróciliście uwagę na pozostałe grobowce?

– Te, których tak wiele w kościele i klasztorze?

– Tak – odrzekł opat. – Są tu pochowani wielcy panowie, niektórzy z nich mogli dojść do godności królewskiej, jak Pedro de Atarés, fundator tego klasztoru. Ten, który mógł zostać królem Aragonii, wolał spocząć skromnie w ziemi u wrót dla zakonników, przypominając wszystkim, którzy nad nim przechodzą, że nikt z nas nie przewyższa innych, czy to ze względu na bogactwa, które posiada, czy tytuły, jakie zyskał.

– Musiał to być człowiek wielkiego rozumu i rozwagi.

– Większość ludzi porwałaby się na życie innych dla korony, on zaś odmówił jej przyjęcia.

– A dlaczego tak postąpił?

– Bo korona to wielka odpowiedzialność, o czym zapominają ludzie

ambitni i głupi. Los opata w klasztorze również przypomina los skazańca.

– Dlaczego zatem żywimy takie ambicje, skoro są dla nas przekleństwem? – zapytał cichym głosem Bizén. – Czemu wy zgodziliście się przyjąć ten ciężar?

– Ponieważ byłem do tego zmuszony, bo rozejrzałem się wokół i nie dostrzegłem nikogo, kto mógłby... – opat nie dokończył zdania. – Gdybyż się znalazł ktoś taki! To cały powód. Nikt nigdy nie jest przygotowany do tego, żeby zostać królem, ale są tacy, którym nie jest dany wybór, rodzą się po to, by panować.

– Ja się nad nimi nie użalam – odrzekł Bizén. – Widziałem, jak chłopskie dzieci mrą z głodu. Czy ich życie lepsze?

– Ależ skąd – odrzekł opat.

– A zatem?

– Jeśli wieśniak zrobi coś niewłaściwego, cierpi on, jego żona, dzieci... Ale kiedy król podejmie złą decyzję, skazuje na cierpienie wszystkich swoich poddanych, nieraz nawet wiele pokoleń. Czy wy potrafilibyście żyć z takim ciężarem na barkach?

– Król ma przynajmniej możliwość popełniania błędów – ripostował Bizén z żarliwością. – Wielu jest takich, którzy nie mają żadnego wyboru.

Przeor i aptekarz zwrócili się ku opatowi w oczekiwaniu surowej nagany, ale srodze się rozczarowali.

– Uparty z was człowiek – odrzekł opat po chwili milczenia, podczas której z trudem łapał powietrze w płuca, po czym ciągnął dalej. – U wejścia dla zakonników, o którym wam już mówiłem, są trzy kamienne sarkofagi, spoczywają tam żona i trzech synowie Pedra de Atarés. A że pomarli młodo, znajdują się pod ochroną kamiennych lwów, które strzegą ich szczątków złożonych pod nagrobnymi płytami. Nie brak też innych szlacheckich panów w tych murach.

– Żaden z nich jednak nie jest synem pierworodnym króla Jakuba I Zdobywcy.

– Przekeniacie infanta następcę tronu; zmarł, nie doczekawszy koronacji i nie wsławił się żadnym chwalebny czynem – wyjaśnił mu opat. – Szczerze mówiąc, nie był znacznym człowiekiem. Zgodzicie się ze mną, że to podważa wasze argumenty za przeniesieniem jego szczątków.

– To miejsce już nie jest bezpieczne, w sąsiedztwie toczy się wojna, i to nie lada jaka. Jak słusznie powiedzieliście, Anglicy i Francuzi postanowili stoczyć grę o przyszłość swoich monarchii na tych ziemiach. To sprawia, że można naliczyć pół tuzina królestw zamieszanych w tę walkę.

– Skoro wojna jest zagrożeniem, to dlaczego nie przenieść w bezpieczne miejsce wszystkich przedstawicieli znakomitych rodów, jacy tu spoczywają? – przeor lekko zakasłał i z dezaprobatą spojrział na Bizéna.

– Ja tylko wypełniam rozkazy. Moja misja polega na doręczeniu tych dokumentów i dopilnowaniu, aby zostało wykonane to, co w nich zalecono.

Opat zachował milczenie, przyglądał się Bizénowi de Ayerbe.

– Wszyscy w tym życiu wypełniamy rozkazy, a zatem nie jest to żaden przywilej i nie zwalnia was od odpowiedzialności za inne sprawy. Miejcie na uwadze, że życie jest równie ważne, jak śmierć, że to tylko dwie różne strony tej samej monety. – Opat przez chwilę błędził spojrzeniem gdzieś w przestrzeni, po czym ponownie zatopił wzrok w twarzy Bizéna. – Nie wiedzieliście do tej pory, jaka jest treść tych pism, prawda?

– Ja... – Bizén spod oka spojrział na przeora. – Nie, nie wiedziałem.

– Chciałbym rozmówić się z notariuszem królewskim na osobności – tu zwrócił oczy na przeora i aptekarza. – Antón, zechcecie nas zostawić?

– Opacie... – przeor powstrzymał się od głośnego wypowiedzenia myśli. – Chodźmy, bracie Ramiro, zostawmy ojca opata sam na sam z posłańcem.



## Strach

Obydwaj mnisi, zaskoczeni, opuścili komnatę opata i zamknęli drzwi niemal bezszelestnie. Wewnątrz pozostali sam na sam opat klasztoru Santa María de Veruela i notariusz królewski.

– Jesteście tu od niedawna, jakie wrażenie wywarł na was nasz dom?

– Wprawia mnie w zmieszanie.

– Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem – odpowiedział ze smutkiem opat. – Posłuchajcie, młodzieńcze. Klasztor cysterski powinien naśladować miasto doskonałe, wyposażone we wszystkie rzeczy, jakie są mu potrzebne do zaspokajania własnych potrzeb – tłumaczył opat. – Nasz fundator, święty Bernard, powiedział to bardzo wyraźnie: „Jeśli to możliwe, należy zbudować klasztor tak, żeby posiadał wszystko, co konieczne, czyli wodę, młyn, ogród i żeby były w nim uprawiane różne rzemiosła”.

– Odniosłem wrażenie, że tak właśnie jest w Verueli.

– Poza znaczeniem symbolicznym, jest to miejsce funkcjonalne, gdzie każda rzecz ma swoje uzasadnienie. Veruela została zbudowana jako enklawa po długich studiach i dokładnym zaplanowaniu, ponieważ klasztor ten był w swej istocie miejscem, w którym przebywają mnisi, ale jednocześnie odzwierciedleniem Niebiańskiego Jeruzalem na ziemi, na której żyje Bóg. Zgodnie z naszą koncepcją, wszystkie klasztory cysterskie są zakładane ku czci królowej nieba i ziemi. Nigdy nie umieszcza się ich w miastach, wioskach czy na zamkach.

– To enklawa, w której można odczuć bliskość Boga – uzupełnił Bizén de Ayerbe.

– Żadnej rzeczy nie traktuje się tu jako osobistej własności, wszystko

jest wspólne.

– A jeśli któryś z zakonników w swoim wcześniejszym, świeckim życiu posiadał dobra?

– Z chwilą wstąpienia do zakonu stają się wspólną własnością – odrzekł opat łagodnym tonem.

– Nie ma zatem w waszych sercach ambicji.

– Nie powinno być dla niej miejsca – uściślił opat. – Ambicja prowadzi ludzi do zepsucia i skłania do walk takich jak obecna wojna, która nas wyniszcza. Zamiast w jedności udać się ku południowi, by walczyć z niewiernymi, walczymy między sobą...

– Jak się zdaje, obecnie trwa zawieszenie broni.

– Wy w to wierzycie?

– Kastylia jest podzielona pomiędzy dwóch władców – odpowiedział Bizén. – Nie sądzę, aby starczyło jej sił, by nas zaatakować.

– A Francuzi, którzy jak drapieżcy czają się w naszych zamkach? I Anglicy, którzy nie pozwolą, żeby sprzymierzony z Anglią król zasiadł na kastylijskim tronie?

– Miejmy nadzieję, że wszyscy oni wycofają się na północ Pirenejów.

– Tak, miejmy nadzieję – opat nie spuszczał oka z przybysza. – Powinniście wiedzieć, że dla naszej wspólnoty wasza obecność jest niepożądana, rzekłbym nawet: niemiła.

– Boleję nad tym, w żadnym razie nie chciałbym zakłócać wam zwykłych zajęć. Pragnę jedynie spełnić moją misję.

– Wiem, jednak mnisi są bardzo przewrażliwieni. Pomyślcie, że większą część czasu spędzają w samotności, na modlitwach – wyjaśnił mu opat, po czym przez dłuższą chwilę obserwował gościa w milczeniu.

– Chciałbym wam zadać inne pytanie, notariuszu.

– Służę.

– Ale najpierw pomóżcie mi się podnieść, nie lubię leżeć w łóżku.

– Jesteście tego pewni?

– Tak, bez obaw.

Bizén podał mu ramię i opat wsparł się na nim całym ciężarem ciała,

by z jego pomocą usiąść na brzegu łoża, z nogami zwisającymi nad podłogą. Stopy miał ciemne i brudne.

– Przed czym odczuwa strach człowiek waszego pokroju?

– Strach?

– Tak. Czego lęka się notariusz królewski? Syn jednego ze szlachciców, którzy podbili wyspę Sardinie.

– To złożone pytanie, nie umiałbym na nie odpowiedzieć.

– Odczuwanie strachu to jedna z podstawowych ludzkich właściwości, wszyscy odczuwamy lęki i zwykle płyną z podobnych źródeł.

– Wy także się boicie?

– Jestem złożony niemocą w łożu, chory. Jestem opatem, a jako taki odpowiadam w pełni za wszelkie skazy powierzonych mi owiec. Jakże mógłbym być wolny od strachu?

– Myślę, że boję się tego samego, co wszyscy ludzie: śmierci.

– A dlaczego boicie się śmierci? – zapytał opat, który zachowywał lotność umysłu pomimo fizycznego niedomagania.

– Ponieważ nie wiem, co jest po niej.

– Na to pytanie odpowiada nam Biblia: wszyscy zostaniemy osądzeni – opat znów zakaszłał. – Dusze nasze zostaną zważone i o naszej przyszłości zdecydują nasze uczynki. Kiedy nadejdzie godzina, nie będzie takiego, który mógłby czuć się bezpieczny przed Bożym sądem, mnie także to dotyczy.

– Dlatego wszyscy się boimy śmierci.

– O nie. Choć może to wydać się sprzeczne z rozsądkiem, są tacy, którzy boją się życia – sprzeciwił się opat. – Nie są zadowoleni z tego, co otrzymali od Boga, i zamiast myśleć o Sądzie Ostatecznym, skupiają się na życiu codziennym. Ci, którzy nie boją się śmierci, są niebezpieczni, bo nie boją się również Boga i z łatwością dają się skusić złu.

– Ludzie gotowi na wszystko, byle zaspokoić swoje ziemskie pragnienia.

– Otóż właśnie, ten, kto nie boi się śmierci, jest zwykłym egoistą, kimś poszukującym wyłącznie własnych korzyści, człowiekiem, który prędeż

czy później ulegnie pokusie.

W komnacie opata zapanowała przejmująca cisza. Od czasu wejścia do tej sali Bizén ani na chwilę nie zaprzestał przyglądania się poszczególnym szczegółom jej wystroju. Meble, malowidła, wszystko tu sprawiało, że to pomieszczenie zdecydowanie odróżniało się od klasztornej surowości, z jaką się spotykał do tej pory.

– Udzielę wam pewnej rady: tropcie lęki ukryte w umęczonych duszach ludzkich, osaczcie je, a uzyskacie odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie was trapią – orzekł opat.

– Nie wydaje się to rzeczą łatwą.

– Być może to nie jest łatwe. Trudno się dziwić, ludzie zadają sobie wielki trud, aby zataić swoje najgłębsze lęki, ale zaufajcie mi: nie da się ich ukryć. Strach jest tak potężny, że nie w naszej mocy mu się przeciwstawić.

– To, co mówicie, nie jest krzepiące.

– Tak musi być, nie ma nic gorszego niż okłamywać siebie samego – przyświadczył przeor. – Coś wam wyznam. Kiedy byłem młody, nikomu by do głowy nie przyszło, że kiedyś zostanę opatem Verueli. Nawet ja we własnym umyśle odrzucałem taką możliwość, a jednak stało się inaczej.

Bizén zachował milczenie, a opat przyglądał mu się ze swojego łoża.

– Dlaczego nie mówicie mi prawdy? – spytał znienacka duchowny. – Przecież ja wam powiedziałem, że było niemal wykluczone, żebym został opatem. W jaki sposób, waszym zdaniem, nim jednak zostałem?

– Nie umiałbym zgadnąć, myślę, że jesteście człowiekiem inteligentnym, pracowitym...

– Może i tak, jednak w tym zakonie jest wielu pracowitych, inteligentnych mnichów, sam przeor jest człowiekiem niestrudzonym i może się poszczycić wybitnym umysłem, a mimo to nigdy nie zostanie opatem.

– Nie wiem, z jakiej zatem przyczyny?

– Ponieważ ja zawsze potrafiłem rozpoznać, kiedy ktoś próbuje mnie



oszukać, tak jak wy teraz.

– Ojciec opacie, ja nie...

– Zdobądźcie się na szczerość – opat wciąż wpatrywał się w Bizéna.

Młodzieniec pojął, że wpadł w pułapkę, i rozpaczliwie szukał odpowiedzi. Przeczucie podpowiadało mu, że od słów, jakie teraz wypowie, zależą jego dalsze losy.

– Nie jestem królewskim notariuszem, w ogóle nie jestem notariuszem – wyznał Bizén. – Jestem uczniem don Antonia Martíneza de la Peira, naczelnego notariusza królestwa Aragonii. Podawałem się za takiego, ponieważ mój mistrz padł zraniony w zasadzce, w jaką wpadliśmy przed przybyciem tutaj, i zaklinał mnie, żebym go zastąpił, aby udało się doręczyć pisma. To była misja, za której wykonanie mój mistrz poręczył własnym słowem i dlatego czułem się zobligowany do owego fałszerstwa.

– Kiedy chcesz przyłapać komedianta, pozwól mu mówić – podsumował wymownie opat Sancho.

– Proszę was o wybaczenie, ja... Nie powinienem był tak postąpić, za nic nie powinienem był was oszukiwać – Bizén nagle zmałał, skruszony i zawstydzony.

– Prawda ma wyzwalającą moc, zgodzicie się ze mną? Wielu ludzi tkwi całe życie w niewoli kłamstwa. Kłamstwa nie znają litości, płodzą kolejne kłamstwa, a co gorsza – nieprawość i ból – oświadczył chory opat.

– Błagam was o wybaczenie.

– Jest jeszcze coś, co chmurzy wasz umysł. Nie ma nic bardziej wyzwalającego niż wyznanie przed Bogiem, On potrafi wybaczać. Ale bez skruchy nie ma wybaczenia. Jest coś jeszcze, co chcecie mi powiedzieć?

Bizén rozejrzał się wokół siebie, jakby w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu przyjść z pomocą, ale był całkiem sam naprzeciw potężnego opata z Verueli.

– Nie, teraz już wiecie, kim jestem.

Opat z Verueli zachował milczenie. Bizén poczuł, że zbliża się jego koniec.

– Zawołajcie teraz zakonników, niech tu wejdą ponownie – rozkazał mu opat. – Muszę ich powiadomić o tym, co tu zaszło.

Bizén de Ayerbe poczuł całe brzemie tych słów, jednak wolnym krokiem ruszył ku drzwiom, jak skazaniec prowadzony do lochu.

Przeor i brat aptekarz czekali w klauzurze w milczeniu, ciemne gargulce na dziedzińcu wpatrywały się w tę scenę swoimi koszmarnymi obliczami, rozdziawiając wielkie paszcze. Obydwaj duchowni z niecierpliwością oczekiwali chwili powrotu do komnaty opata i kiedy notariusz uchylił drzwi i skinieniem głowy potwierdził, że już, pospiesznie weszli do wnętrza.

– Bracia, podjąłem pewną decyzję – rzekł opat uroczyście. – Przystanę na przeniesienie prochów infanta następcy tronu.

– Ależ, ojcie opacie...

– Cisza, Antón! – przeor opuścił oczy.

– Muszę się sprzeciwić, opacie – ciągnął przeor z oczyma wbitymi w ziemię. – Nie możemy się na to zgodzić. Mamy teraz poważniejsze problemy do rozwiązania. Tuż przed uroczystością Wszystkich Świętych w kościele zabito świeckiego brata!

Notariusz królewski lękał się kolejnych słów opata, ale ten, zamiast powiadomić zakonników o jego oszustwie, zakomunikował im zamiar wydania ciała infanta, wypełniając tym samym jego prośbę. Młody Bizén był zupełnie zбитy z tropu.

– Dotąd nie wiemy, co ubiegłej nocy wydarzyło się w kościele, nieprawdaż, przeorze? – zagadnął opat.

– Obawiam się, że nie.

– A waszym zdaniem, notariuszu, kto mógł zabić naszego świeckiego brata?

– Opacie, ja... – Bizén poczuł, że gardło mu się zaciska w węzeł i mięśnie odmawiają posłuszeństwa, nie czuł się zdolny do udzielenia odpowiedzi na to pytanie.

- Odpowiedzcie opatowi – ponaglał przeor.
- Bizénie de Ayerbe, chciałbym poznać wasze zdanie. A zapewniam was, że nie mam zwyczaju prosić o opinie świeżo poznanych osób.
- Z tego, co usłyszałem wynika, że morderca musiał się znajdować tej nocy w świątyni i o ile dobrze zrozumiałem, można się tam dostać tylko jednym wejściem, schodami, które prowadzą do pomieszczenia, gdzie śpią zakonnicy monastyczni.
- W rzeczy samej, widzę, że pamięć macie dobrą.
- Z całym szacunkiem i ostrożnością... – niemało wysiłku kosztowało Bizéna dokończenie tego zdania – sędzę, że to musiał być któryś z mnichów.
- Jak śmiecie! – oblicze przeora zapłonęło gniewem. – Powinniście się wstydzić, że podobna myśl zaświtała wam w głowie.
- Tak, on ma rację – przytaknął opat – Lękam się, że to musiał być jeden z mnichów.
- Cóż to znaczy, ojcze opacie? – zapytał wzburzony przeor.
- Mnie również ciężko pogodzić się z tą myślą, ale taka jest okrutna prawda. Tylko zakonnik mógł otworzyć drzwi od wewnątrz, wpuścić do kościoła brata świeckiego, zabić go, a potem ponownie zaryglować drzwi.
- Ojcze opacie, gdyby to było prawdą... Co możemy zrobić?
- Znaleźć mordercę, ma się rozumieć – orzekł ochrypłym głosem sprawujący najwyższą władzę w Verlueli. – Wy jesteście jedynym obcym w tym klasztorze – ciągnął, wskazując Bizéna. – Nie ciąży na was podejrzenie, nie ma żadnej sprawy, która by was wiązała z naszym opactwem. A ponadto jesteście notariuszem królewskim, nieprawdaż?
- Ja... Tak, jestem.
- Znajdźcie mnicha, który zamordował oblata, bo tylko wówczas wyrażę zgodę na wydanie ciała infanta.
- Nie możecie uczynić takiej rzeczy! – zawołał przeor Antón, który dłużej nie potrafił gryźć się w język. – Dlaczego mielibyśmy ufać jakiemuś obcemu? Nic o nim nie wiemy, a co będzie, jeśli nas oszuka?

– Dosyć tego – opat podniósł głos, co doprowadziło go straszliwego ataku kaszlu, zaczął się dusić.

Brat Ramiro pospieszył na ratunek. Musiał przygiąć jego ciało ku przodowi, żeby ułatwić mu oddychanie. Atak z wolna ustępował, chory odzyskał oddech i choć tętno miał przyspieszone i obficie się pocił, przynajmniej przestał się dusić. Kiedy przyszedł do siebie, popatrzył na Bizéna.

– Macie moje pozwolenie na zbadanie wszystkich zakątków klasztoru, każde zamknięte drzwi mają być dla was otwarte, każdy zakonnik, świecki czy duchowny, jakiego spotkacie na swojej drodze, jest zobowiązany do udzielenia odpowiedzi na wasze pytania – opat zrobił przerwę, żeby zaczerpnąć powietrza. – Aczkolwiek musicie uszanować nasze godziny liturgiczne, a także reguły milczenia oraz odosobnienia naszego zakonu.

– Opacie, jestem wam niewymownie wdzięczny za zaufanie, nie pojmuję jednak...

– Zamilczcie, sądzę bowiem, że zdajecie sobie sprawę, że nie możecie mi odmówić, czyż nie mam racji?

– Ale ja przybyłem... – bronił się Bizén.

– Znacie historię opata Virili? Z pewnością nie, opowiem wam. Virila był opatem w klasztorze w Leyre, w królestwie Pamplony. Pewnego dnia zapragnął udać się na spacer do lasu i zmęczony wędrówką usiadł na odpoczynek u źródła, żeby posłuchać śpiewu ptaków, szumu wody i westchnień wiatru. Już po chwili poczuł się urzeczony, całkowicie oddany kontemplacji tego piękna – opowiadał, a notariusz królewski chłonał jego słowa z wielką uwagą. – Kiedy powrócił do klasztoru, ze zdumieniem stwierdził, że nie rozpoznaje zakonników, ale co dziwniejsze, żaden z braci nie wie, kim jest on sam.

Kiedy im wyjaśniał, że jest opatem Virilą, komuś się przypomniało, że kiedyś słyszał takie nazwisko. Poszukali w archiwum opactwa i stwierdzili, że istotnie, Virila był opatem tego klasztoru... przed trzystu laty i że pewnego dnia bez śladu przepadł w lesie. Wtedy dopiero Virila

zdał sobie sprawę, że przez te wszystkie lata trwał w ekstazie w owym górskim zakątku.

– Czy to prawda? – zapytał z niedowierzaniem Bizén.

– Oczywiście, że prawda. Jeśli mi nie wierzycie, udajcie się do Leyre. Do tej pory zachowała się ścieżka prowadząca do źródła, przy którym Virila spędził trzy wieki.

– Nie podaję tego w wątpliwość, ale dlaczego opowiadacie mi o tym zdarzeniu?

– Ponieważ kiedy powrócił, wielu powątpiewało w opowieść Virili, tak jak wy to teraz czynicie – podkreślił opat z nutą ironii w głosie. – A kiedy pewnego ranka wyszedł z klasztoru, jeden z niedowiarków go dogonił i poprosił, żeby uczynił jakiś cud, który uwiarygodni jego słowa. A wówczas opat Virila zapytał: „Ile godzin będzie miała dzisiejsza doba?” „Dwadzieścia cztery”, odrzekł zapytany, „jak każda inna” – opat zrobił pauzę, żeby przyjrzeć się twarzy Bizéna. – Na co Virila rzekł: „Macie zatem dwadzieścia cztery cuda, tylko ich nie zmarnotrawcie”. Ów człowiek, który nie był głupcem, zrozumiał, że święty odkrył przed nim prawdę. Zasmucił się z powodu tych wszystkich cudów, które zmarnował przez całe swoje życie, ale równocześnie ucieszył się z tych, które ma przed sobą.

– Chciecie mi powiedzieć, że powinienem wykorzystać czas...

– Tak, a teraz odejdźcie i dajcie mi odpocząć – i zwrócił się do brata Ramiro, wyciągając rękę. – Wody!

Aptekarz zbliżył do jego ust naczynie, a on powoli wysączył parę łyków.

– Jeszcze jedna uwaga, notariuszu – dodał opat, kiedy odzyskał głos.

– Tak jest, słucham.

– Podejdźcie do mnie – i uczynił znak, że brat aptekarz nie powinien ich słyszeć. Bizén de Ayerbe niepewnie przysunął się do opata Verueli i zbliżył ucho do jego ust. – Każdy człowiek ma przynajmniej jedną tajemnicę, której nie powierza nikomu – szepnął. – Trzeba bardzo pieczołowicie strzec własnych sekretów, żeby nie wyszły na jaw. Każdy

z nas wierzy, że jest zdolny do podtrzymania kłamstwa, jednak nic dalszego od prawdy. To wymaga wiele wysiłku i skupienia, a jeśli pozwolimy sobie na jedną chwilę nieuwagi, wszystko może się wydać.

– Będę o tym pamiętał.

– Strach może się obrócić w największą siłę człowieka lub w jego piętę Achillesa. Wszyscy ukrywamy lęki, widać mamy ku temu ważne powody – pouczył go jeszcze, zanim kolejny atak kaszlu odebrał mu mowę.

Brat aptekarz pospieszył po dzban i napełnił wodą czarę. Opat nie przestawał kaszleć, w jego plwocinach widoczne były ślady krwi.

Przeor Antón podszedł, żeby pomóc mu schylić się niżej. Naczynie spadło i cała woda rozlała się po posadzce.

– Idźcie już, potrzebuje odpoczynku, za dużo mówił – rzekł przeor.

Bizén ogarnął wzrokiem umierającego opata, któremu bladość skóry i jasna barwa włosów nadawały widmowy wygląd. Opuścił komnatę zatrwożony o jego stan zdrowia. Nie zdemaskował go, nie powiadomił mnichów o jego kłamstwach. Na dodatek powierzył mu zadanie tyleż ważne, co niezwykle. Choć Bizén bardzo się silił, żeby to pojąć, nie znajdował żadnego wyjaśnienia.

Niewiele później również i przeor opuścił komnatę chorego, zostawiając go pod opieką brata aptekarza. Wszedłszy do klauzury, przystanął obok wspornika jednego z atlasów i obrócił się do Bizéna.

– Co powiedzieliście naszemu opatowi? W jaki sposób udało wam się go usidlić?

– Nie rozumiem, co macie na myśli. Czybyście pragnęli mnie obrazić?

– Jesteście oszustem – wycedził mu w samą twarz, z tak bliska, że owiał go oddech przeora.

– Nic podobnego, przeorze. Jesteście w błędzie, jeśli tak sądzicie.

– Nie, to nie ja jestem w błędzie. Nie wiem, jakimi łgarstwami zbałamuciliście starca, ale nie łudźcie się, że ja się na nie nabiorę.

Bizén powstrzymał się od odpowiedzi, cofnął się o krok, aby zaakcentować dystans, jaki przeor powinien uszanować i przeniósł

wzrok na wspornik atlasa, odciążający jeden z łuków sklepiennych klauzury.

On wyznał opatowi prawdę, a ten, zamiast go ukarać, udzielił mu dyspensy do swobodnego poruszania się po klasztorze.

– Mnie nie wyprowadzicie w pole. Pamiętajcie, że nie spuszczę was z oka – uprzedził, poprawiając czarny szkaplerz na piersi.

– Przyjmuję ten warunek, o ile zechcecie mi pomagać. Słyszeliście, co rzekł opat: mam odkryć zabójcę brata świeckiego. Powróćmy zatem do kościoła, bo czeka nas tam wiele pracy.

Przeor fuknął gniewnie, posłał mu spojrzenie wyrażające bezmiar niechęci i ruszył naprzód. Wszedł do świątyni, w której nie było już żadnego z zakonników. Bizén, bez śladu lęku, podążył za nim. Ciało zabitego zostało już usunięte, tylko ślady krwi wciąż były widoczne na posadzce świątyni.

Młodzieniec podszedł do głównego ołtarza. W głębi widniał długi tekst łaciński, w którym wymieniano, na podobieństwo inwentarza, wszystkie relikwie, jakie były w nim pomieszczone. Na podwyższeniu ołtarza, nieco wyniesiony ponad poziom posadzki, zajmował miejsce grobowiec następcy tronu. Był to sarkofag o kształcie trapezu, wykuty w wapieniu inkrustowanym ciemnymi wstawkami i pokryty w całości barwnikiem o czerwonym odcieniu. Na podłużnej płycie, stanowiącej wieko skrzyni, widniały dwie tarcze herbowe, obydwie jednakowych rozmiarów i kształtów, w barwach królewskich: szkarłatne słupy w złotym polu.

Górna tarcza była zaczepiona na haku, jakby wisiąca na ścianie. Między jedną a drugą znajdowały się dwa bezanty, a u spodu dolnej – zamek z trzema wieżami.

Bizén nie miał wcześniej okazji oglądać grobowca księcia, człowieka, który mógł zostać królem i który zapewne zasiadłby na tronie, gdyby nie dopadła go przedwczesna śmierć.

Część kamiennego wieka była zbryzgana krwią zabitego brata świeckiego.

- Kto był obecny w kościele, kiedy znaleźliście zmarłego?
  - Tylko bracia monastyczni – odparł przeor.
  - Wszyscy?
  - Tak.
  - Kto pierwszy go zobaczył? – naciskał Bizén.
  - Brat Saturio, odpowiedzialny za uprawę roślin. To dobry zakonnik, posłuszny i prostoduszny.
  - Powiedzieliście, że wszystkie drzwi były zamknięte od wewnątrz.
  - Tak, bracia świeccy nie mogą wchodzić bez naszego pozwolenia. Nawet do swojego chóru w tylnej części kościoła.
  - Ktoś musiał od środka otworzyć zmarłemu, któryś z mnichów.
  - To już wiemy – rzekł przeor.
  - Podejrzewacie kogoś?
  - Nie, absolutnie.
  - Jakie więc jest wasze wyjaśnienie tego, co się tu zdarzyło?
  - Jak na razie – przeor zastanowił się, jakich słów użyć – żadne. Ale je znajdę i pomoc obcego mi niepotrzebna. Żaden z mnichów nie byłby zdolny do zabójstwa, tym bardziej w domu Bożym. Ktoś jeszcze musiał się tu dostać.
  - Ale jakim sposobem? Czy może istnieje jakiś inny sposób, żeby wejść do kościoła?
  - Już wam mówiłem, że nie – i zamilkł na widok innego zakonnika, tego najmłodszego, który właśnie pojawił się w świątyni.
  - Przeorze, czas na posiłek – cysters wskazał na mechaniczny zegar.
  - Dobrze, Hugo.
  - Jadacie o tej porze?
  - Od września do Wielkiego Postu dni są krótsze od nocy, dlatego spożywamy tylko jeden posiłek w porze nony. Musicie uszanować nasze powinności i obyczaje, podkreślił to również opat.
  - W takim razie chciałbym jeść przy waszym stole.
- Przeor Antón zatrzymał się, odetchnął głęboko i udzielił odpowiedzi, nie obracając się do Bizéna.



– Nasze jadło jest skromne, mogę zarządzić, żeby wam podano, czego zapragniecie, w domu gościnnym.

– Jestem wam wdzięczny, ale pragnę bliżej poznać zakonników – odparł Bizén de Ayerbe. – Jestem przekonany, że wasza strawa wystarczy mi aż nadto, żeby się posilić.

– Jak sobie życzyście.

## Refektarz

**Z**nów znaleźli się w klauzurze, w której skład wchodziły wszystkie pomieszczenia używane przez mnichów. Podążyli jednym z korytarzy do łaźni zaplanowanej w kształcie kolumnady w otwartej przestrzeni. Pozostali członkowie kongregacji zjawili się tam punktualnie. Po tym, co wydarzyło się nocą, powrócili do swoich codziennych zajęć, do pracy w rozsadniku, spichlerzu, czyli *cellarium*, w części przeznaczonej dla gości, w izbie zielarskiej oraz w furcie. To właśnie furtian, brat Cipriano, przybył jako ostatni. Przed udaniem się do refektarza wszyscy zakonnicy obmyli ręce i stopy i osuszyli je płóciennymi ręcznikami, które następnie oddali bratu Hugo.

W refektarzu stał prostokątny, drewniany stół, a na nim czekały porozkładane misy i kubki z wypalanej gliny. W głębi sali znajdowało się podium górujące o parę piędzi nad poziomem reszty pomieszczenia, a na nim stół z pięcioma miejscami do siedzenia.

Bracia Bartolomé i Hugo pełnili w tym tygodniu dyżur i z pomocą zwawo się krzątających oblatów podawali posiłek wszystkim członkom kongregacji.

Dyżurni, poza swoją normalną racją żywności, dostawali nieco chleba i wina, żeby w porze posiłku usługiwać pozostałym bez większej przykrości i bez utyskiwania, jak nakazywała reguła świętego Benedykta.

– Pójdźcie za mną, dostaniecie miejsce pomiędzy mną a dziekanem Estébanem. Jak rzekłem, nie zamierzam was spuszczać z oczu – oznajmił przeor.

– Nie ma więcej zakonników?

– O tej porze roku wielu spośród naszych braci spędza czas w innych posiadłościach. Przygotowujemy się na przyjście zimy, stąd konieczność sporządzenia inwentarza w gospodarstwach i posiadłościach.

– A zatem obecni są tu dziś ci mnisi z Verueli, którzy znajdowali się w dormitorium.

– Tak, jest nas w sumie dziesięciu zakonników monastycznych, nie licząc brata furtiana, którego już mieliście okazję poznać – odparł przeor.

– Dziekan Estéban jest odpowiedzialny za *cellarium*, brat Adolfo jest najstarszy wiekiem, brat Saturio ma w swojej pieczy hodowlę ziół i roślin uprawnych, jest jeszcze nasz architekt, brat Timoteo – wymieniając ich funkcje i imiona, przeor wskazywał gestem poszczególnych zakonników, żeby ułatwić Bizénowi orientację. – A to brat Julian, który zajmuje się wszystkim, co się wiąże z wodą. Brat Ramiro, nasz aptekarz. Wreszcie brat Bartolomé, który w tym tygodniu pełni dyżur, oraz brat Rogelio, zarządzający gospodą dla przybyszy, i brat Hugo, który, choć najmłodszy, pomaga nam już przy księgach, jak również w innych zadaniach.

Zakonnicy zajęli miejsca i pobłogosławili stół, składając dziękczynienie za jadło, które mieli spożywać. Brat Bartolomé, z brzuchatym kociołkiem w rękach, ruszył prosto do przeora.

– Nie, obsłużcie najpierw naszego gościa.

– Jak każecie – odrzekł posłusznie mnich.

W czasie kiedy podawano strawę brat Ramiro, stojąc przy pulpicie w pobliżu stołu prezydialnego, odczytywał rozdział z reguły zakonnej, bowiem przy żadnym posiłku zgromadzenia nie mogło zabraknąć lektury. Co tydzień, poczynając od niedzieli, kolejny brat zajmował miejsce przy pulpicie, by pełnić dyżur lektora.

Brat Ramiro rozpoczął swoją służbę modlitwą za zmarłego Octavia:

*Otwórz moje wargi, Panie,*

*A usta moje będą głosić Twoją chwałę.*

Podczas lektury panowało głębokie milczenie, żaden dźwięk nie

zakłócał słów dyżurnego lektora. Zakonnicy podawali sobie wzajemnie to czy owo, porozumiewając się między sobą prostymi gestami i spojrzeniami.

Posiłek składał się z gęstej zupy fasolowej, były też owoce i jarzyny. Do tego każdy otrzymał funt chleba. Bizén zauważył, że ci, którzy parali się cięższą pracą, dostali nieco więcej. Na stole znajdowała się miska z solą, żeby każdy mógł przyprawić swoje danie stosownie do smaku, a także dzbanki z oliwą. Jego szczególną uwagę zwróciło wino, jego ilość i jakość. To był czysty, mocny trunek o wspaniałej barwie. Na początek wszyscy mnisi lekko wzniesli swoje kubki ku przeorowi w oczekiwaniu na błogosławieństwo, a później każdy umoczył w winie trzy kawałki chleba.

Bizén wiedział, że musi zachować ostrożność i że nie powinien się odzywać przy stole. Poza godzinami modlitwy i snu była to jedyna chwila w ciągu dnia, którą całe zgromadzenie spędzało wspólnie.

Posiłek przebiegał bez żadnych incydentów. Bizén de Ayerbe pojął natychmiast, że niełatwo mu będzie wywiązać się z misji, jaką powierzył mu opat. Że chcąc odkryć tajemnicę zaskakującej śmierci i tym sposobem uzyskać zgodę na przeniesienie szczątków infanta, musiałyby skruszyć wiele murów.

Przyjrzał się po kolei każdemu z zakonników siedzących przy stole, bo wszyscy należeli do kręgu podejrzanych. Habity sprawiały, że na pierwszy rzut oka całe to grono wyglądało jednolicie, żaden z braci się nie wyróżniał i gdyby jego pobyt w Verueli miał się ograniczyć do przelotnej wizyty, żaden nie zwróciłby jego szczególnej uwagi.

Od swojego mistrza don Antonia nauczył się wszystkiego, co przydatne przy obcowaniu z testamentami, ugodami, umowami kupna i sprzedaży, które musiał kopiować i porządkować. Oddając się temu zajęciu, odkrył potęgę pisma, które można przeczytać tyle razy, ile potrzeba, żeby zrozumieć jego sens. Natomiast żeby dokładnie pojąć słowa mówione, trzeba bardziej się skupić, analizować każde zdanie i każdy wyraz, zanim się zatrze w pamięci. Ale Bizén de Ayerbe i to

potrafił.

Spojrzał na zakonników jedzących fasolową zupę i pijących wino. Wiedział, że to nie będzie łatwe zadanie, że chcąc trafić na jakiś trop, musi porozmawiać z każdym z braci.

W całkowitym milczeniu uczestniczył w posiłku. Po zupie podano karpie i więcej wina. Tym razem było to grzane wino, które z małej beczułki przelano do misy, żeby nieco przestygło. Trunek chłodził się dobrą chwilę, zanim dziekan Estéban go skosztował i rozdzielił pomiędzy stołowników, którzy zmieszali go z wodą. Ryba okazała się soczysta, miała lekki, ziołowy aromat. Bizén de Ayerbe, idąc za przykładem współbiesiadników, skropił ją obficie oliwą, żeby wydobyć pełny smak dania.

Przyglądając się uważnie braciom, dostrzegł coś szczególnego, rzecz nieznaczną, a zarazem bardzo znaczącą. Otóż dzbanek oliwy stał u jednego końca stołu, gdzie zajmował miejsce brat Timoteo, zaś brat Cipriano, siedzący u przeciwnego końca, spojrzał, jakby poszukiwał wzrokiem oliwy do ryby.

Nic nie powiedział, wykonał tylko jakieś ledwie dostrzegalne znaki. Poruszył palcami lewej ręki w określonym porządku, a następnie uniósł prawą dłoń do piersi. Brat Timoteo natychmiast podał dzbanek swojemu sąsiadowi i dał znak furtianowi, po czym zrobił jeszcze kolejny szybki, nieznaczny gest.

Dzbanek w mgnieniu oka dotarł do przeciwnego końca stołu.

„O co tu chodzi?“, zastanawiał się Bizén. „Czyżby mnisi porozumiewali się jakimś tajnym językiem?“

Gdy tak patrzył, jak przy akompaniamencie dobiegających z głębi refektarza słów brata Ramiro ochoczo pałaszują podanego chwilę wcześniej karpia i popijają grzane wino, znienacka zaświtała mu w głowie pewna myśl. Czy to możliwe, że drogocenny sztylet wbity w szyję ofiary był własnością któregoś z nich?

## Infant

Jeden po drugim, zakonnicy w milczeniu opuszczali refektarz. Bizén uznał, że najlepiej będzie rozpocząć śledztwo od miejsca zbrodni.

Policzył kroki, jakie dzieliły go od kościoła. Miał taki nawyk od dzieciństwa. Przeszedł obok wejścia do przylegającej do refektarza sali opata, następnie minął *locutorium* i salę kapitulną. Przy tej ostatniej przystanął na chwilę, by nasycić wzrok pięknoscią jej łuków sklepiennych i mnogością płyt nagrobnych, jakie się w niej znajdowały. Nim przekroczył drzwi do świątyni, zatrzymał się przy grobowcach rodu Pedra Atarés, owego szlachetnego pana, który wyrzekł się korony, choć mógł zostać monarchą. Bardzo uważał, by nie dotknąć stopą jego płyty grobowej, która, jak się wcześniej dowiedział, została wbudowana dokładnie w progu przejścia z klauzury do kościoła.

Naliczył, że refektarz znajduje się w odległości czterdziestu trzech kroków od świątyni.

Kiedy już wkroczył w obręb poświęconej ziemi, zaczął uważnie badać ją wzrokiem. Z miejsca, w którym się znajdował, miał widok na prawdopodobną trasę, jaką przebywali mnisi zdążający do prezbiterium. Dokładnie naprzeciw znajdowała się część modlitewna dla braci świeckich. Te dwie przestrzenie dzieliły nawę na dwoje, uniemożliwiając przemierzenie jej na całej długości. Można było dostać się w głąb kościoła drzwiami, którymi te dwie przestrzenie były połączone, bądź przez jedną z naw bocznych. Nawa po prawej, jako miejsce, skąd odczytywano Listy Apostolskie, zwana tu powszechnie epistolarną, mieściła długi szereg nagrobków i skromnych ołtarzy usytuowanych u każdej z kolumn podpierających sklepienie. Bizén,

który nie spostrzegł tego w chwili swojego przybycia, zdziwił się teraz na widok owego ciągu ołtarzy o tak niepozornych rozmiarach.

Cała świątynia była pomalowana na biało, tylko miejsca łączenia ciosów wyróżniały się grubymi, czerwonymi liniami. Poza tym w każdym z ołtarzy widniały inskrypcje poświęcone świętemu, któremu był ofiarowany.

Podniósłszy oczy, zdumiał się ogromną wysokością, na jaką wspinały się łuki ostre podtrzymujące strop. Zwrócił spojrzenie ku transeptowi. W głębi otwierał się ambit, stosowny raczej dla miejsc kultu będących celem tłumnych pielgrzymek niż dla tej odciętej od świata enklawy. Nie ulegało wątpliwości, że ta świątynia przypominała raczej jedną z katedr na trasie do Santiago de Compostela, budowli przystosowanych do przyjmowania licznych gości i pielgrzymów, niż miejsce zagubione w górskim odludziu.

Jego kroki głośno rozbrzmiewały w bezmiarze tej przestrzeni, ginąc w zakątkach, o których Bizén de Ayerbe jeszcze nic nie wiedział. Majestat tej świątyni był niezaprzeczalny. A jednak elementem, który na pewien czas skupił na sobie całą uwagę młodego człowieka, nawykłego bardziej do życia światowego niż do religijnego, był wspaniały zegar mechaniczny ustawiony u podnóża stromych schodów prowadzących na wyższe piętro. Intuicja odpowiedziała mu, że tamtędy musi prowadzić droga do dormitorium i że prawdopodobnie chodzi o jedyne drzwi, które były otwarte w chwili zabójstwa.

Bizén słyszał opowieści o tych cudach mechaniki, ale nigdy jeszcze czegoś takiego nie oglądał na własne oczy, zwłaszcza zegara tak okazałych rozmiarów. Doszło do jego uszu, że zaczęto je stosować w najbogatszych klasztorach, żeby z większą dokładnością mierzyć godziny, co w życiu monastycznym miało zasadnicze znaczenie. Zegary słoneczne spełniały swoje zadanie jedynie pod warunkiem obecności słońca, ale w zimie ich przydatność była bardzo ograniczona. Żeby jakoś poradzić sobie z tym kłopotem, wymyślono zegary piaskowe i wodne, ale teraz oto miał przed oczyma twór zwiastujący nowy czas, przyszłość:

zegary mechaniczne, naszpikowane przekładniami, kołami, bloczkami, niezliczoną ilością tajemniczych wytworów ludzkiej przemyślności i ręki.

Urzeczony jego pięknem i geniuszem, przeszedł pod skrzyżowaniem naw i stanął przed tym niezwykłym mechanizmem.

Zegar był prostokątny, umieszczono go na smukłym cokole. Wskazówki wpisane były w tarczę słoneczną z dekoracją w postaci motywów heraldycznych. Był naprawdę piękny i niezwykły. Mając na uwadze jego rozmiary, Bizén de Ayerbe domyślał się, że wewnętrzne mechanizmy muszą być bardzo liczne i skomplikowane.

„To istne cudo, bardzo kosztowne cudo”, skonstatował w duchu domniemany notariusz królewski.

Przedmiot, który w sposób równie nieubłagany wskazywał upływ czasu, wzbudzał w nim niepokój. W miejscu jak ten klasztor, gdzie właśnie czas zdawał się trwać w zawieszeniu, odkrycie, że dzieje się wręcz przeciwnie, wprawiało w zakłopotanie.

Bizén miał więcej powodów do niepokoju. W Verueli znajdowała się osoba, która poznała prawdę o nim albo przynajmniej część prawdy. Mimo że wyczuł, w którym miejscu powinien się zatrzymać, dręczyła go niepewność, czy opat Sancho przejrzał go do końca, czy też nie.

Zakończył oględziny genialnego dzieła mechaniki i zwrócił wzrok ku nagrobkowi infanta następcy tronu. To był prawdziwy powód jego przybycia do Verueli. Treścią pism, które wiozł jego mistrz, było żądanie ciała pochowanego w tym miejscu.

– Robi wrażenie, prawda? – rozległ się jakiś głos za jego plecami.

– Przecież to książę.

– Owszem, mógł zostać królem – głos należał do sędziwego Adolfa.

– Należycie do nielicznych osób w tym klasztorze, które są skłonne do mówienia.

– Cóż, milczenie jest naszą główną cnotą. Ludzie w miastach za wiele obracają językami, tu za to słowa należą do dóbr rzadko spotykanych.

– Jeśli mam się dowiedzieć, co wydarzyło się bratu świeckiemu, muszę porozmawiać z każdym z was.



– W takim razie powinniście wybrać dogodny czas i miejsce. Żaden mnich nie odezwie się do was jednym słowem podczas nabożeństwa, posiłku czy na terenie klauzury. Żaden, bez wyjątku.

– A zatem?

– Ten klasztor jest ogromny i choć to prawda, że niełatwo nas skłonić do rozmowy, to wcale nie znaczy, że kiedy już zdecydujemy się otworzyć usta, nie będziemy mieli nic do powiedzenia. Wprost przeciwnie.

– Chcecie przez to powiedzieć, że powinienem wypytywać zakonników dyskretnie?

– W spichlerzu, w kuchni, w ogrodach... O ile spotkacie się z nimi sam na sam i nie zastaniecie ich na modlitwie.

– Pojąłem to podczas posiłku.

– Jemy tylko raz dziennie. Wyobrażacie sobie, że moglibyśmy marnować tę porę na rozmowy? Nie da się mówić z pełnymi ustami – uśmiechnął się. – Nasza reguła poucza, że powinniśmy się sycić słowem Pańskim, dlatego w refektarzu zawsze towarzyszy nam lektura. Ale podejrzewam, że jesteśmy wówczas nieco bardziej oddani sprawom ziemskim. A jeśli chcecie nacieszyć się w pełni smakiem potraw, nigdy nie zapominajcie skropić ich oliwą.

– Co takiego? – Bizén był zaskoczony, że rozmowa nagle potoczyła się w takim kierunku.

– Ludzie nie doceniają dobrej oliwy. Zwróćcie uwagę na jej barwę i zapach.

– To oliwa ma zapach?

– Jakże by inaczej? Czym pachnie oliwa z Moncayo?

– Nie potrafiłbym określić...

– Oliwa może mieć znakomity aromat, a jej funkcja polega na przydaniu smaku wszystkiemu, czym się posilamy. W Wielkim Poście nie spożywamy wina ani oliwy, ale aż do tej pory...

– I w ogóle nie jadacie mięsa?

– Mięso rozbudza żądze i utrudnia panowanie nad ciałem.

– Daje również siłę i wigor.

– Nie, to wino daje siłę i żywotność – zaproponował z uśmiechem starzec. – Ilość pożywienia zawsze musi być umiarkowana, ot tyle, żeby napełnić żołądek, ale nie za bardzo. Kiedy nocą wstajemy na modlitwy, nasze ciała nie powinny wydawać dźwięków właściwych trawieniu, lecz te, które się biorą z apetytu.

– A nie sądzicie, że wino jest bardziej sprośne od mięsa?

– A cóż to za bluźnierstwo! – zganił go oburzony starzec. – Święty Paweł zalecił Tymoteuszowi, żeby winem leczył się ze swoich dolegliwości żołądka. Dowiedzcie się, że wino jest lekiem na wszystkie choroby.

– To prawda, jednak ma i tę właściwość, że zaćmiewa ludzki umysł.

– Nie, o ile jest spożywane z umiarem – odrzekł zakonnik. – Umiar jest w życiu kluczem wszelkich cnót. To niepohamowanie skazuje nas na potępienie.

Bizén nie do końca zrozumiał słowa Adolfa.

– Nie zapominajcie, że wino jest podstawowym składnikiem eucharystii – ciągnął zakonnik. – Należy pić je zmieszane z wodą, bo inaczej prowadzi do zamroczenia, utraty panowania nad własnym zachowaniem i moralnego zepsucia, co jest prostą drogą do rozpusty, bałwochwalstwa i występku.

– Z tym zgadzam się całkowicie, ale wracając do rzeczy...

– Ja lubię ciepłe winko – zamruczał zakonnik ku zdumieniu Bizéna, który zaczynał pojmować, jak trudna jest rozmowa z tym człowiekiem. – Nie to, które dziekan Estéban wyrabia w swoim spichlerzu. Robi z nim dziwne rzeczy, przez całe miesiące przechowuje moszcz w drewnianych baryłkach, możecie sobie coś podobnego wyobrazić?

– Każdy wie, że wino nie wytrzyma tyle czasu, tym bardziej bez dodatku wody.

– Z ust mi to wyjęliście – przytaknął dziekan Adolfo. – Już dwa lata tak robią. Trzymają wino w drewnianych beczkach, aż się zepsuje i stanie do niczego. Widział kto takie zwyczaje?

– Szczera prawda – Bizén wzniosł oczy ku sklepieniu świątyni. – Ten kościół, cały ten klasztor jest niesłychany, istny cud.

– Nie dajcie się zwieść piękności tego miejsca. Bywa, że najlepsi ludzie dopuszczają się straszliwych rzeczy.

– Co przez to rozumiecie? – ostatnie słowa starca zaintrygowały Bizéna.

– Muszę już iść, ktoś się zbliża.

Zakonnik, utykając, oddalił się jedną z bocznych naw ogromnego kościoła. Jednocześnie inny mnich wkroczył na scenę, to był Bartolomé, mnich pełniący w tym tygodniu obowiązki dyżurnego. Bizén błyskawicznie ukrył się za jedną z kolumn. Przybysz rozejrzał się na lewo i prawo, a upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, padł na klęczki przed grobem infanta, złożył dłonie na wysokości piersi i pogрузzył się w modlitwie.

Bizén przyglądał mu się w milczeniu, póki nie zakończył modlitwy i nie opuścił kościoła przejściem prowadzącym do klauzury. Dopiero wówczas wyszedł ze swojej kryjówki i zbliżył się do królewskiego nagrobka. Przyjrzał się śladom krwi na kamiennym wieku. Powróciły doń ostatnie słowa brata Adolfa: „Bywa, że najlepsi ludzie dopuszczają się straszliwych rzeczy”. Uchwycił w dłonie płytę grobową i spróbował ją przesunąć. Była ciężka, zbyt ciężka na jego siły, nie mógłby zresztą popełnić takiego świętokradztwa. W oddali zauważył innego zakonnika i ruszył mu na spotkanie.

– Bracie – zwrócił się do niego – gdzie przebywa przeor?

Zakonnik nie odpowiedział.

– Muszę z nim porozmawiać, to bardzo pilne. Wiem, że jesteście zobowiązani do przestrzegania ślubu milczenia, ale zaklinam was, abyście kazali go przywołać do kościoła, ja będę go tu oczekiwał, nie odmawiajcie mi tej przysługi.

Brat Saturio ogarnął go nieco spłoszonym spojrzeniem, ale na koniec kiwnięciem głowy dał znak, że się zgadza.

Bizén odprowadził go wzrokiem, rozmyślając ciągle nad tym, co mu

rzekł sędziwy Adolfo. W postępowaniu z cystersami musi wykazać się inteligencją. Nie powinien ich zagadywać we wspólnych pomieszczeniach ani nakłaniać do rozmowy, czasami jakiś drobny gest może się okazać pomocny.

Cofnął się o parę kroków i spojrzął w głąb korytarza. Panowała tam pustka, cisza. Doznał wrażenia, jakby ludzkie podobizny wykute w kamiennych wspornikach śledziły jego ruchy. Głęboka cisza uwrażliwiała jego słuch na dźwięki, na które w innych okolicznościach nie zwróciłby uwagi.

Postanowił poczekać na przeora w kościele. Czuł się tam pewniej, nie na darmo zwał to miejsce domem Bożym. Tam nic złego nie może się człowiekowi przytrafić, tak przynajmniej sądził do niedawna. Chociaż w świetle wydarzeń, jakie rozegrały się w tych ścianach zaledwie parę godzin temu, świątynia w Verueli zdawała się zaprzeczać podobnemu mniemaniu.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego – przeor przeżegnał się pod figurą Najświętszej Panny. – Oderwaliście mnie od obowiązków, mój czas jest bardzo cenny.

– Nie wątpię, jednak muszę wam coś pokazać.

– Nie zwlekajcie.

– Grobowiec jest zbryzgany krwią, nieprawdaż? – Bizén wskazał grób infanta następcy tronu. – Czy to nie wydaje się wam dziwne?

– Zabito człowieka i to mnie martwi, nie zaś to, że jego krew splamiła płytę nagrobną, niezależnie od tego, kto pod nią spoczywa, nawet jeśli to potomek królewski.

– Znaleźliście go tam – powiedział, wskazując miejsce, gdzie posadzka była najmocniej zabarwiona krwią. – To spora odległość, jeśli przyjmiemy, że wbito mu sztylet w szyję koło nagrobka.

– Tak, nasz brat Octavio usiłował na chwiejnych nogach ująć przed mordercą.

– Ja to widzę inaczej. Zastanówcie się przez chwilę, ojcie przeorze.

– Do czego zmierzacie?

– Mój mistrz zawsze powtarzał, że trzeba zwracać uwagę na każdy szczegół, bo to, co widoczne na pierwszy rzut oka, jest jawne dla wszystkich, a drobiazgi uchodzą naszej uwadze. A w nich właśnie może ukrywać się prawda – wyjaśnił Bizén. – Wszyscy wiemy, że oblat został zamordowany, ale dlaczego jego krew znajduje się na płycie nagrobnej?

– Pojąłem, do czego dążycie, ale to na nic. Nie otworzymy grobowca infanta! – rzekł przeor oburzony.

– Ta myśl jest mi przykrzejsza niż wam, ale sądzę, że powinniśmy wykorzystać wszelkie wskazówki, które mogą być pomocne w rozwikłaniu okoliczności tego zdarzenia – odparł Bizén. – Ojciec przeorze, zgodnie z moim skromnym przekonaniem powinniśmy go otworzyć.

– Zależy wam jedynie na tym, żeby wasza świętokradcza misja się powiodła, żeby nam skraść ciało syna króla Jakuba I Zdobywcy.

– Przysięgam wam, że nie mam takiego zamiaru.

– Lepiej się strzeżcie krzywoprzysięstwa, ponieważ...

– Czy tego nie rozumiecie? Na płycie grobowej jest krew. Jeśli mamy dociec prawdy o tym, co tu zaszło, musimy zbadać każdy szczegół, nawet najdrobniejszy.

– Nie wystarczy zwykłe podejrzenie, żeby otworzyć grób królewski – przeor podszedł do grobowca i zatrzymał się u jego wezgłowia.

– Nie wiem, co by o tym powiedział opat... Ale możemy jego zapytać o zdanie.

– To jest tarcza herbowa domu królewskiego: szkarłatne słupy w złotym polu. Czy rzeczywiście pragniecie zhańbić własne nazwisko profanacją królewskiego grobowca?

– Nie ma mowy o hańbie. Znacie treść pism, które tu z sobą przywiozłem. Ojciec Święty poleca wam wydać szczątki następcy tronu, a zatem wcześniej czy później ten grób musi zostać otwarty. A ja powiadam, że powinniśmy to zrobić teraz, żeby się upewnić, co znajdziemy w jego wnętrzu.

– Jesteśmy tu po to, żeby czuwać nad tymi zmarłymi – sprzeciwił się

przeor – nie po to, żeby zakłócać ich spoczynek.

– Przeorze, na tym grobie jest krew zamordowanego człowieka. Musimy go otworzyć. Czy chcecie się dowiedzieć, kto jest zabójcą?

– Naturalnie, że chcę.

– Wy tu jesteście przeorem, a nie ma drugiego człowieka, który poszukiwałby mordercy gorliwiej ode mnie.

– Trzeba jednak postępować ostrożnie, notariuszu. Igramy z ogniem, a gdy raz zatli się płomień, niełatwo ugasić pożar.

– Musimy poznać prawdę.

– Nie macie najlepszego pojęcia, czym jest prawda. Powiedziałem wam już, że jesteście zwykłym komediantem, ambitnym oszustem. Popełniacie błąd, a ja będę pierwszym, który wam go wypomni.

– Każdemu z nas zdarza się zbłądzić – odrzekł Bizén. – Nawet morderca brata świeckiego nie mógł się ustrzec jakiegoś błędu czy zaniedbania i niewykluczone, że znajdziemy go tam, w środku. Otworzycie grobowiec królewski czy też będziemy zmuszeni ponownie nękać waszego chorego opata?

– Otworzymy go – oznajmił przeor. – I niech nam Bóg wybaczy. Nie chcę, żeby ktokolwiek nas zobaczył, nie życzę sobie wywoływać poruszenia w całej kongregacji. Zamknijcie te drzwi, a ja zarygluję pozostałe.

Upewnili się, że w kościele nie ma żywej duszy.

– Płyta jest ciężka. Podajcie mi ten świecznik, żeby ją podważyć – polecił mu przeor. – Wy będziecie pchać, a ja go wsunę w szczelinę, później mi pomożecie.

Wieko z wykutym emblematem rodu królewskiego Aragonii, przedstawiającym podwójną tarczę herbową, zaczęło się przesuwac. Mimo ogromnego ciężaru, udało im się wspólnymi siłami unieść je z jednej strony.

Bizén wstrzymał oddech. Minęło ponad sto lat i szczątki infanta musiały przez ten czas przeobrazić się w garść kości, a jednak w świątyni i w przypadku pierwotnego syna monarchy można było oczekiwać

niespodzianki. Gdyby napotkali nienaruszone ciało, razem ze wszystkim, co się z tym wiąże, nie byłby to pierwszy taki przypadek. A jednak tego, co ujrzeli, nie spodziewał się żaden z nich i nie dało się usprawiedliwić upływem czasu.

– Grób jest pusty! – przeor się przeżegnał.

– To niemożliwe – Bizén przetarł oczy. – Gdzie jest? Gdzie się podziało ciało infanta? – zwrócił się do przeora. – Wy wiecie! – zawołał, wskazując go palcem.

– Nic podobnego – bronił się tamten. – Skąd ja miałbym wiedzieć, że grobowiec jest pusty? Nie wiem, co mogło się wydarzyć – przeor nie posiadał się ze zdziwienia. – To nie ma sensu. Musimy go ponownie zamknąć, szybko!

– Dlaczego?

– Róbcie co wam każę, bo jeśli mi nie pomożecie go przykryć, będziecie gorzko żałować, że zjawiliście się w Verueli – zagroził.

– Ale najpierw podajcie mi powód.

– Za parę dni nadejdzie Noc Dusz Czyśccowych, która poprzedza uroczystość Wszystkich Świętych. Jeśli wieść o tym, że zmarły zniknął z grobowca, się rozniesie, zacznie się szerzyć panika. Czy wy macie pojęcie, jacy są tutejsi ludzie?

– Co takiego dzieje się w Noc Dusz?

– Mieszkańcy Moncayo wierzą, że tego dnia otwierają się drzwi piekielne i przez parę godzin zmarli krążą po ziemi. Stosują przeróżne pogańskie praktyki, żeby się zabezpieczyć przed przybyszami z innego świata. Ale jeśli się o tym dowiedzą, to... Boję się myśleć, jak zareagują ci ciemni ludzie.

– Przecież ten pusty grobowiec nie oznacza, że...

– Chwileczkę, w grobie jest krew, wygląda na świeżą – przeor wskazał dno grobowca.

– To niemożliwe.

– Sprawdźcie sami – Bizén dostrzegł krople krwi w kamiennej skrzyni.

– Ów sztylet, którym go zabito, przyjrzelście się sztyletowi? – ciągnął

przeor.

– To cenny przedmiot, sztylet jakiegoś możnego pana.

– Albo następcy tronu...

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– Sztylet należał do infanta, z nim go pochowano – przeor nerwowo potarł dłoń o dłoń. – Tu wchodzi w grę tylko jedno wytłumaczenie.

– Mam nadzieję, że nie powiecie tego, czego się domyślam.

– Zły duch, to zły duch przeniknął przez mury klasztoru i zaczął się między nami – wypowiedział te słowa z całym przekonaniem. – „A On będzie Bogiem z nimi. I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie”.

– Chyba nie chcecie mi wmówić, że infant naprawdę...

– W Księdze czynów czytamy: „Nie dziwcie się temu, bo przychodzi godzina, w której wszyscy złożeni w dostojnych grobowcach usłyszą jego głos i wyjdą”.

– Przeorze, człowiekiem, który zabił brata świeckiego, jest jeden z waszych mnichów, nie szukajcie wyjaśnienia na tamtym świecie. A to, że grobowiec jest pusty, oznacza wyłącznie tyle, że trafiliśmy na motyw zabójstwa oblata – orzekł Bizén – którym było nie co innego, jak zamiar wykradzenia prochów następcy tronu.

– Inaczej to przyjmą mieszkańcy Moncayo. Nie po to wzniesiono tu ten klasztor, żeby się stał miejscem odosobnienia na ziemiach godnych zagospodarowania – tłumaczył przeor. – Był ku temu inny, ważniejszy powód. Moncayo to nie jest góra jak każda inna; członkowie kongregacji ani nasi poddani nie mogą się dowiedzieć, że grobowiec królewski jest pusty.

– Ale, przeorze Antón, jest morderca i doszło do świętokradztwa!

– W Moncayo dzieją się rzeczy niewytłumaczalne, właśnie po to pobudowano wokół tej góry kościoły, zamki i klasztory, żeby otoczyć kręgiem istoty, które żyją w jej sercu.

– Przeorze, wasze słowa zaczynają mnie przejmować grozą. O jakich demonach mówicie?



– Nikt nie ma prawa się dowiedzieć, że grobowiec jest pusty. Nikt, pod żadnym pozorem – i przeor przysunął się do niego, a w jego oczach nagle pojawił się wyraz desperacji. – Sądzę, że trudno uważać za zwykły zbieg okoliczności fakt, że przybyliście tu domagać się ciała następcy tronu i tej samej nocy jego szczątki zniknęły z grobu.

– Cóż to za insynuacja?

– Dobrze wiecie.

– Wykradziono ciało z waszego kościoła – powiedział Bizén, siląc się na zachowanie stanowczego tonu – i jestem przekonany, że wasz brat próbował zapobiec profanacji i poniósł śmierć z tego powodu.

W tym samym momencie słynny zegar mechaniczny wybił godzinę.

– To nona, zakonnicy przybędą na modlitwę – przerwał mu przeor. – Szybko! Zamykajmy grobowiec i otwórzmy drzwi.

Bizén go usłuchał i we dwóch zdołali z powrotem nasunąć ciężką płytę na skrzynię grobowca dokładnie w chwili, kiedy pierwsi bracia zjawili się u drzwi.

– Odczytamy stosowny rozdział, a potem powrócimy do tej sprawy.

– Nie możemy teraz tak tego zostawić!

– Muszę wam przypomnieć, że to jest klasztor cysterski. Jesteśmy tu po to, aby wypełniać nasze powinności – napomniał go przeor. – Naszym życiem rządzi ścisła reguła. Mamy się modlić i czytać stosowne do pory rozdziały, szczególnie w tej sytuacji.

Bizén patrzył, jak bracia zakonni podążają do chóru i zasiadają na swoich miejscach. Rozpoczęła się lektura psalmów i pieśni. Ponownie rzucił okiem na grób królewski, westchnął głęboko i opuścił świątynię.

## Cellarium

**B**izén znów wyszedł z klauzury. Noc nadawała otoczeniu jakąś fantasmagoryczną aurę, nastrój jak z sennych majaków. W tym kamiennym ogrodzie cisza i samotność znajdowały niezrównaną scenerię, by zniewolić dusze tych wszystkich, którzy tu przebywali. Bizén de Ayerbe pozwolił spojrzeniu wzbić się między ornamenty kapiteli i buszować wśród różnorodności kamiennych roślin, z których wiele rozpoznawał. Zatrzymał wzrok na jednym ze wsporników, który wyobrażał atlasa podtrzymującego na barkach jeden z łęków wirydarza.

Matka uczyła go od dzieciństwa, że nie wolno mu dopuścić, by ktokolwiek mu dyktował, co potrafi robić, a czego nie. „Nie sposób osiągnąć rzeczy, której człowiek nie spróbuje osiągnąć”, powtarzała. I nikt lepiej od niego nie wiedział, jak wiele można się nauczyć na błędach. Z wiekiem rozwinął w sobie umiejętność obserwacji i cierpliwość. To, że potrafił czekać na odpowiedni moment, już nieraz okazało się jego jedyną obroną. Była to sztuka, którą był zmuszony opanować w dzieciństwie.

Zatrzymał się u drzwi do kościoła i odczekał chwilę. Mógł stąd obserwować licznych braci świeckich nadchodzących ze swojego dormitorium, które było usytuowane dokładnie przed wejściem do spichlerza i do klauzury. Ofiara musiała wyjść z tego punktu i dostać się do kościoła przez drzwi przeznaczone dla braci świeckich bądź też, okrążywszy całą klauzurę, wejść drzwiami dla zakonników monastycznych. Przechadzając się po tej części budowli, zastukał do drzwi *cellarium*. Z wnętrza dobiegały jakieś niezrozumiałe słowa, postanowił więc popchnąć drzwi i wejść. Miał przed sobą obszerne

pomieszczenie pełne beczek, worków ziarna, koszy z jarzynami i owocami, pęków czosnku wiszących na ścianach. Panował w nim silny zapach wina. Kiedy przestąpił próg, dziekan Estéban przetaczał dużą beczkę.

– Notariusz. Co za nieoczekiwana wizyta.

– Przechowujecie tu niewiarygodne mnóstwo rzeczy – odpowiedział na to Bizén. – Te wszystkie baryłki zawierają wino?

– Tak. Wiele wysiłku nas kosztowało ich napełnienie.

– Wyobrażam sobie...

– Co tu robicie o tej porze?

– Będę z wami szczery – Bizén szukał stosownych słów. – Mój cel nie jest wam obcy, wiecie również, do czego upoważnił mnie opat.

– Wiem.

– Oczekuję od was pomocy.

– Naturalnie – dziekan Estéban odstawił beczkę – choć nie wiem, do czego mógłbym wam być przydatny.

Bizén przyjrzał się uważnie korpulentnemu mnichowi. Pękaty brzuch, kosmyk włosów opadający na czoło, wypukłe znamię pod lewym okiem... Choć może długa broda była najbardziej wyrazistym elementem jego wyglądu.

– Żeby znaleźć mordercę, muszę dobrze poznać klasztor i wszystkich zakonników – stwierdził Bizén de Ayerbe. – To trudne zadanie dla cudzoziemca i potrzebna mi pomoc.

– I chodzi o to, żebym ja był waszym przewodnikiem, czy tak?

– Tak – odrzekł Bizén z zapałem.

– Podejmę się tego z przyjemnością, ale musicie pamiętać, że sam należę do kręgu podejrzanych – zauważył tamten.

– To prawda, jednak Veruela to nie tylko klauzura i kościół. Ten klasztor ma pod pieczę setki mężczyzn i kobiet, gospodarstwa, kanały nawadniające, młyny, wydaje mi się, że zarządzacie nawet kopalniami.

– Zgadza się. I wierzcie mi, że utrzymanie tego wszystkiego wymaga mozolnej pracy.

– Nie mam co do tego wątpliwości, dlatego proszę was o pomoc. Jesteście tu dziekanem, jednym z zakonników obarczonych największą odpowiedzialnością.

– Dobrze – brat Estéban westchnął przeciągle – ale najpierw wypijcie trochę naszego wina – rzekł, wskazując na misę. – Lepiej napić się trochę wina dla dobra żołądka niż w wodzie topić udręki i niepokoje.

– Nie wiem, czy powinienem...

– Pijcie – nalegał dziekan – już w świętych księgach Paweł doradzał Tymoteuszowi picie wina, a nawet sam Pan go używał. Nawet mu zarzucali pijaństwo, ale On dał je do picia apostołom i z jego pomocą ustanowił sakrament eucharystii.

– Macie rację, chętnie się napiję – wówczas dziekan Estéban wziął kubek, nalał do niego wina z beczki i podał mu do wypicia.

– Wyśmienite wino – zawyrokował Bizén, upiwszy łyk.

– To nasz drobny skarb – dziekan Estéban oparł dłoń na beczce.

– Chciałbym was spytać, za co jesteście odpowiedzialni w klasztorze.

– Jako dziekan jestem pomocnikiem przeora i opata, poza tym mam pod pieczę spichlerz i nadzoruję wszystkie uprawy w naszych grangiach, które są bardzo liczne. Razem z bratem Saturio, który jest ogrodnikiem i zielarzem, przygotowujemy nasiona i dbamy o polepszanie plonów – odpowiedział, przeciągając słowa.

– Jesteście również specjalistą od produkcji znakomitego wina, które wyrabia się w klasztorze – dodał Bizén z uśmiechem.

– Szczep, który tu uprawiamy, to garnacha. Pierwsi bracia, którzy przybyli na te ziemie, wybrali tę odmianę ze względu na szczególny klimat, jaki tu panuje.

– Co w nim tak niezwykłego?

– Wysokość, suchość, a szczególnie wiatr północny zwany *cierzo* – wyjaśnił. – Najgorszy dla upraw jest ten wiatr. Wynaturza je, tak samo jak ludzi. Dawni mieszkańcy mówili, że może nawet doprowadzić do szaleństwa.

– Wiatr?

– Tak – odpowiedział dziekan – wiem, że trudno w to uwierzyć. Jak ktoś się urodził na ziemiach Moncayo, to jest przyzwyczajony do *cierzo*, do jego siły, a zwłaszcza uporczywości. Nasze winnice rosną tu od wielu lat, więc zdążyły się zaaklimatyzować. Ale kiedy sadzimy nową odmianę winnej latorośli czy innego rodzaju uprawy, najczęściej się nie przyjmują, giną. Tak samo jest z cudzoziemcami, którzy tu przybywają.

– Czyli niewielu jest takich, którzy pozostają, by tu pędzić życie.

– Moncayo to trudna ziemia – wyraz twarzy dziekana się zmienił, kiedy wspomniał o ogromnej, ciemnej górze, dominującej nad całym krajobrazem.

– Słyszałem o niej wiele opowieści.

– Ta góra przyciąga jak śpiew syreny, bywa, że człowiekowi się zdaje, że wabi go szeptem – westchnął. – Pomyślcie, że stąd aż do Pirenejów nie ma żadnej innej góry, a ta panuje nad granicą z królestwami Nawarry, Kastylii i Aragonii. Kiedy podróżni ją dostrzegają z odległości wielu mil, zbliżają się tu, zwabieni czymś, czego nikt nie potrafi wytłumaczyć.

– To brzmi jak zabobon, jakieś gusła, aż ma się wrażenie, że kryje się za tym jakiś zły duch.

– Jak to się mówi, kiedy rzeka szumi, to znak, że niesie wodę – potwierdził dziekan, a na jego pełnym obliczu zarysował się cień uśmiechu. – Powiedzieliście, że wam zależy na poznaniu klasztoru i zakonników, żeby odnaleźć zabójcę, ale zapomnieliście o ziemi, musicie też poznać teren, na jakim się znajdujemy – wyjaśnił. – Tu przebiegają granice między trzema królestwami. No powiedzcie: czy jest drugie takie miejsce w chrześcijańskim świecie?

– Być może nie ma – Bizén się zadumał.

– Mieszkańcy Moncayo to mieszanina różnych ludów i cywilizacji. Odziedziczyli waleczną krew po Celtyberach, którzy zwycięsko walczyli przeciwko legionom mocarnego Rzymu, z domieszkami krwi innego pochodzenia: Gotów, Wandalów, którzy plądrowali i niszczyli łacińską kulturę. Potem przybyli niewierni, Żydzi, a wreszcie chrześcijanie

z północy, wszystko to się mieszało.

– Kim są teraz?

– To już musicie odkryć samodzielnie – stwierdził zakonnik. – Tutaj ludzie opowiadają historie o Maurach, Żydach, nigromantach, czarownikach i czartach... Wszystkie legendy i zabobony, jakie moglibyście usłyszeć podczas tysiąca podróży, możecie poznać tutaj, bo wszystkie żyją na tych ziemiach. Opowiadają nawet, że Herkules tu przywędrował i stoczył walkę z dwoma olbrzymami.

– To pogańskie historie...

– Ależ tak, jednak warto pamiętać, że nie ma dymu bez ognia.

– Bez ognia? Nie rozumiem, co chcecie mi powiedzieć. Cóż by mogły znaczyć te wszystkie historie?

– Tego nie wiem, jestem skromnym mnichem, który, jak słusznie zauważyliście, ogranicza się do wyrobu wina, to wszystko.

– Ale czy to nie zaskakujące, że pośród tylu zamków, jakimi jesteście otoczeni, żołnierzy, cudzoziemskich najemników, po niemal dziesięcioletniej wojnie, w której padły tak liczne fortece na tych pogranicznych ziemiach, bo i Tarazona, i Borja, i Magallón, czy to nie zaskakujące, powiadam, że Veruela ciągle się trzyma?

– Jesteśmy opactwem – odrzekł dziekan Estéban – my się nie znamy na ziemskich potęgach i bitwach.

– No tak, ale przecież cała Veruela jest opasana długim murem z basztami; od zewnątrz bardziej przypomina z wyglądu fortyfikacje miejskie niż klasztor.

– Moncayo nigdy nie było bezpieczną enklawą. Parę lat temu Kastylijczycy napadli na opactwo i wykorzystali jego dziedziniec jako zagrodę dla swoich koni.

– Ale wasz mur jest w doskonałym stanie, zauważyłem natomiast spękania w kopule waszej świątyni – drążył Bizén de Ayerbe. – Jak to jest, że przykładacie większą wagę do muru niż do świątyni, w której spędzacie wiele godzin dziennie?

– Wyobrażałem sobie, że jesteście raczej biegli w prawie niż

w budownictwie – odciął się dziekan. – Wiedźcie, że mamy mistrza budowy, który troszczy się o te wszystkie drobiazgi, które tak bardzo was ciekawią.

– Jeśli się nie mylę, mowa o bracie Timoteo, który mocno niedosłyszy.

– Głuchota nie ma nic do architektury, ten mnich jest jednym z najlepszych mistrzów budowy, jakich można znaleźć w tym królestwie.

– Macie rację – tu Bizén zrobił pauzę – bracie Estébanie. A wy, skąd pochodzicie?

– Nie jestem z Moncayo, jeśli o to mnie pytacie – odpowiedział wymijająco.

– A gdzie się urodziliście?

– W Tortosie, nad morzem.

– Musiało się tam żyć całkiem inaczej, prawda?

– Owszem, ale nasze miejsce urodzenia czasem nic nie znaczy – zapewnił mnich. – Są takie miejsca, które wystarczy raz zobaczyć i już człowiek wie, że jest tam u siebie. Ja mógłbym przyjść na świat w dowolnym miejscu i jestem pewien, że i tak trafiłbym tutaj, do Moncayo. Do tego zakonu, do tego opactwa.

– Zakon cystersów jest tak niezwykły, jak mówią?

– Cóż wam na to pytanie może odpowiedzieć jeden z nas? – uśmiechnął się. – Powiem wam tylko, że zakon cystersów nie wziął początku z jakiejś reformy ani nawet nie powstał po to, by się przeciwstawić jakiemukolwiek innemu zakonowi czy ruchowi religijnemu w łonie Kościoła. Zakon cystersów to gwiazda zaranna, rozświetla świat chrześcijański od Portugalii po rubieżę królestw Norwegii czy Szwecji, od krańca świata w Finisterre po królestwo Polski.

– Ale w tym odległym zakątku jest niewielu mieszkańców, niewielu wiernych, którymi trzeba się opiekować. Czy nie czulibyście się bardziej przydatni w mieście?

– Nie o to nam chodzi, my nie jesteśmy zakonem kaznodziejskim – podkreślił. – Pragniemy być blisko Boga. To przywilej należeć do Verueli, rozumiecie?

– Przywilej?

– Przybywamy tu po to, żeby się modlić, nie po to, by głosić kazania.

– A w jaki sposób wspomagacie ludność tych ziem? – dopytywał się Bizén.

– Dobrym przykładem i modlitwą za ich dusze. Ten klasztor jest światłem pośród mroków świata, światłem, które opromienia te góry, dlatego do nas przychodzą – wyjaśnił. – Nie potrzebujemy chodzić i szukać wiernych. Chrystus też nie musiał tego czynić; pierwsi chrześcijanie przyłączyli się do niego, przyciągnięci jego słowami i czynami.

– Trudno to pojąć.

– O tak, niełatwo. Ale nie upadajcie na duchu, każda rzecz w tym życiu ma swój czas, również śmierć.

Dziekan Estéban ruszył w głąb sklepionej sali.

– Dlaczego trzymacie wino w tych beczkach?

– Staram się znaleźć sposób, żeby je dłużej przechowywać.

– I dlatego, zamiast je wywozić z klasztoru, tu je trzymacie? Nie widzę w tym większego sensu – drażył Bizén de Ayerbe – chociaż wiem, że są tacy, którzy dodają do wina ziół i innych składników, które przedłużają jego świeżość.

– To tylko psuje wino.

– A tak się nie psuje?

– Dacie wiarę, że im dłużej je tu przechowuję, tym jest lepsze? Wino, im starsze, tym więcej ciepła ma w sobie. To całkiem odwrotnie niż z ludzką naturą, co im dłużej żyje, tym bardziej stygnie.

– Jaka jest tego przyczyna?

– Winogrona się zbiera, tłoczy, otrzymujemy moszcz, który później fermentuje – tłumaczył dziekan Estéban. – Wino wytrzymuje parę miesięcy, a po upływie tego czasu musimy je podawać rozwodnione, z dodatkiem ziół i podgrzane, bo w przeciwnym wypadku nie nadawałoby się do picia.

– Jeśli się pije wino, które ma parę miesięcy, to nic złego się nie



dzieje, to wie każdy.

– Ja chcę osiągnąć takie wino, żeby przetrwało lata.

– Lata? – Bizén pojął, że dziekan wcale nie żartuje.

– Tak, muszę zapewnić procesowi jeszcze większą czystość – wyjaśnił zakonnik. – Jestem przekonany, że przechowywanie w drewnie nadaje mu większą trwałość, a nawet lepszy smak. Drewno jest porowate, dzięki czemu wino oddycha i dojrzewa.

– Nie przesiąknie smakiem drewna?

– Nie, pod warunkiem, że wszystko będzie zrobione należycie, a i to możliwe, że nabierze nowych aromatów – pouczył go zakonnik. – I sprawdzam, jak smak się zmienia w zależności od rodzaju drewna. Teraz używam dębowych beczek.

– Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem... Nie wiem, co o tym myśleć i na co może być przydatne wino, które wytrzyma przez lata – Bizén de Ayerbe przesunął dłońmi po jednej z tych beczek. – W każdym razie tak wielka ilość wina nie może być przeznaczona dla waszego klasztoru. Dokąd je wysyłacie?

– Do innych klasztorów cysterskich, do Poblet, Piedra czy Fitero, do takich placówek, jak Borja czy Tarazona.

– W tych miejscowościach stacjonują teraz kompanie francuskich najemników – zauważył Bizén.

– To nie moja sprawa.

– Zapewniam was, że tak... A oni wiedzą, że wino, które piją, stąd pochodzi? Z klasztoru odległego o dobę jazdy konnej?

– Półtorej doby – sprostował zakonnik – ale nie mam pojęcia, czy oni to wiedzą. Czemu pytacie?

– Złaknieni uciech mercenariusze, na obcej ziemi i w pobliżu spichlerza pełnego dobrego wina...

– Nikt nie zbecześci klasztoru dla paru dzbanów wina. Zyski są przeznaczane dla całej kongregacji – bronił się dziekan. – Nie sprzedajemy go z chciwości.

– Ja was tylko uprzedzam, wiem do czego są zdolni najemnicy.

Pragnieniem króla jest, by opuścili jego ziemie. A Anglicy nie są od nich lepsi, gdyby książę Walii zdecydował się na podbój Moncayo, jego ludzie wszystko zrównaliby z ziemią. Oni nie szanują ani klasztorów, ani kobiet, ani duchownych.

– Święta Mario – rzekł z cicha i przeżegnał się.

– A to nie wszystko. Jeśli to wino, które wyrabiacie, jest tak przednie, jeśli może zachować dobry smak przez tyle czasu... Kiedy Anglicy się o tym dowiedzą, przyjdą po nie. Większość zysków księstwa Akwitanii pochodzi z handlu winem. Jeśli dostrzegą w was rywali, wypowiedzą wam wojnę.

– Z powodu wina?

– Dziekanie Estébanie, nie macie pojęcia o tym, do czego ludzie mogą się posunąć dla tego trunku. Większość z nich pracuje, cierpi i umiera, a wino pozwala im zapomnieć o smutkach, o ciężkim życiu.

– Co w takim razie miałbym zrobić waszym zdaniem? Przestać je wyrabiać?

– Trzymajcie swoją recepturę w tajemnicy, a przede wszystkim nie sprzedawajcie wina francuskim mercenariuszom.

– Będę to miał na względzie – uśmiechnął się. – Jestem wam szczerze wdzięczny.

– Dziekanie, i ja będę szczery. Kto, waszym zdaniem, zabił oblata?

– Dobrze wiedziałem, że chcieliście mnie o to zapytać zaraz po przyjściu – na oblicze rozłożystego mnicha znów wypłynął cień uśmiechu, który gościł na nim często, a Bizén de Ayerbe uznał go za znak, że ma do czynienia z osobą, która ostrożnie waży każde słowo, zanim je wypowie.

– Zakładam, że macie swoją odpowiedź na to pytanie, czyżbym był w błędzie?

– Zło ufa własnej potędze – odrzekł dziekan Estéban, kierując się w stronę jednej z baryłek i zatrzymując się przy niej – i w pewnym sensie się nie myli. Każdy z nas w jakiejś chwili swojego życia był świadkiem jego działania. Jednak w rzeczywistości ten świat zdąży

ku harmonii.

– Naprawdę tak sądzicie, dziękuję? Od lat toczy się wojna; ja dostrzegam wokół więcej zniszczenia i śmierci niż harmonii.

– To dlatego, że skupiacie się wyłącznie na czynach ludzkich, ale spójrzcie na naturę, bo nią rządzi harmonia, choć ani śmierć, ani choroba nie są jej obce. To my, ludzie, jesteśmy winni zniszczenia i przeinaczania rzeczywistości.

Bizén de Ayerbe wyglądał na zagubionego po wysłuchaniu tych słów.

– Pomyślcie tylko: wszyscy wiemy, jaki jest nasz świat – i obrócił się do niego – każda rzecz powinna się znajdować na swoim miejscu. Jeśli wyjdziecie poza te mury, zobaczycie ludzi trudniących się własną pracą, takich, co orzą ziemię, rąbią drewno; zobaczycie niewiasty z dziećmi; a tutaj, w obrębie klasztoru, napotkacie brata aptekarza zajętego przy ziołach, brata Timoteo oglądającego jakąś zawilgoconą ścianę i tak dalej. Nasz świat dąży do harmonii, na różne sposoby, ale stale do niej dąży, ponieważ Bóg tak go stworzył i choćbyśmy my, ludzie, uparli się, żeby go zniszczyć, nie leży to w naszej mocy.

– Jesteście pewni tego, co mówicie? To pocieszające, jednak zło istnieje.

– Oczywiście – tym razem oblicze dziękana Estébana nie przybrało przyjaznego wyrazu – i ma wielką moc, jak już mówiłem. Zło przeobraża rzeczywistość i jest chytre, robi to w bardzo przemyślny sposób, żebyśmy go nie zdemaskowali.

– Rozumiem.

– Ale można wykryć zło, ponieważ choćby nie wiem jak się starało, pozostawia za sobą ślady.

– Dowody swoich czynów – uzupełnił Bizén.

– Tak.

– W naszym przypadku można odnieść wrażenie, że zabójca oblata nie pozostawił żadnych śladów.

– Zło zawsze się maskuje, ponieważ nie należy do naszej

rzeczywistości, do rzeczywistości boskiej – zgodził się mnich. – Zdarzają się przypadki, w których zło działa w sposób tak bezlitosny, iż pozostawia potężne piętno, że przeobraża jakieś miejsce w przybytek przeklęty, gdzie owe ślady są na tyle widoczne, że można je odczuć.

– To prawda, słyszałem o takich przeklętych miejscach.

– Lepiej, żebyście nigdy się do nich nie zbliżali – ostrzegł go dziekan. – Zło tak się w nich panoszy, że może was pochwycić w szpony.

– Nie mam najmniejszego zamiaru, dziekanie Estébanie.

– Bo, zauważcie, dobro zwycięża samo przez się, taka jest jego natura – stwierdził cysters, przybierając poważniejszy ton – natomiast zło zawsze potrzebuje współników, nie jest zdolne nic uczynić samo, konieczna mu jest ludzka pomoc.

– Chodzi o to, że zabójca oblata musiał się posłużyć czyjąś pomocą?

W owej chwili ktoś wszedł do spichlerza.

– Wybaczcie, dziekanie Estébanie – powiedział przybysz, jeden z oblatów – przychodzę przelać wino, tak jak się wczoraj umówiliśmy.

– Jest późno, odłóżmy to do jutra – i machnął dłonią. – Notariusz królewski też musi być zmęczony. Brat Rogelio, zakonnik, który zajmuje się domem gościnnym, przygotuje jakąś celę, żebyście się przespali, notariuszu.

– O tak, dziękuję wam za pomoc.

## Cień

**D**ziekán poprowadził go do wyjścia z klauzury, potem wspólnie ruszyli do miejsca, gdzie od portalu kościoła brała początek brukowana droga, której końca nie pozwalała dostrzec uporczywa mgła. W obrębie murów Verueli mieściły się liczne zabudowania gospodarcze, a za nimi mieszkali wieśniacy, którzy pracowali dla klasztoru. Ale w nocnej porze, wśród mgły, odnosiło się wrażenie, że prócz nich dwóch nie ma wokół żywej duszy.

Mnich powiódł go do budynku dla gości. Bizén, zgodnie ze swoim nawykiem, liczył odległość. Naliczył osiemdziesiąt sześć kroków do wejścia, w którym powitał go gospodarz, brat Rogelio. Ten poprowadził go na dziedziniec, do kamiennych schodów. Bizén de Ayerbe ledwie miał czas, żeby przyjrzeć się temu miejscu, ponieważ zakonnik zaraz wskazał mu, żeby się udał korytarzem na prawo. Choć ta budowla ustępowała dostojnością klauzurze, to jednak jej rozmiary były godne podziwu.

– Ubolewam nad tym, że wasze przybycie wypadło w tak niesprzyjających okolicznościach; zapewniam, że w naszym klasztorze panuje zazwyczaj znacznie większy spokój.

– Nie trąpcie się tym, nie nam wybierać okoliczności, raczej jesteśmy ich niewolnikami – odrzekł z cicha Bizén, przyglądając się wnętrzu. – Muszę ponadto przyznać, że wasz opat wydał mi się niezwykłym człowiekiem.

– No cóż – brat Rogelio potarł palcami kark, jakby czuł się niezręcznie w tej sytuacji. – Opat słabuje na zdrowiu, w tych dniach pości i nie opuszcza swojej komnaty.

– Pości?

– Asceza ma dla nas wielkie znaczenie, pomaga nam trzymać na wodzy ciało, panować nad nim.

– Mogę sobie wyobrazić trudności, jakie musi pokonywać opat tak potężnego klasztoru, ponosi odpowiedzialność za niezliczone sprawy.

– Zakon cystersów ulepsza życie w miejscach, gdzie osiada. Przygotowujemy nowe ziemie pod zasiewy, uprawiamy i zmieniamy w bardziej płodne istniejące wcześniej pola, zajmujemy się gospodarką, poczynając od kopalń, a kończąc na młynach. Nasza reguła ogranicza dzienne racje mięsa, prawie w ogóle go nie jemy, a jeśli już, to tylko drób, unikamy wszystkiego, co ma cztery nogi. Dzięki temu okoliczna ludność może się odżywiać mięsem naszych trzód, a także rybami, bo hodujemy je w rzekach, w których ich nie było przed naszym przybyciem.

– Zaczynam pojmować – Bizén przystanął. – Czyli wprowadziliście na ziemiach należących do opactwa te wszystkie udogodnienia?

– Zbudowaliśmy sieć kanałów nawadniających i śluzy, żeby podlewać uprawy i zaopatrywać w wodę klasztor – bratu Rogelio rozwiązał się język. – Sprowadziliśmy ryby, których tu nie znano, na przykład karpie. Wykopaliliśmy płytkie, zacienione stawy, żeby się rozmnożyły, a potem przenieśliśmy je do większych stawów, gdzie można je łowić, kiedy osiągną większe rozmiary i nadają się do jedzenia.

„Ten klasztor to nie tylko mury, kościół i klauzura. Veruela całkiem przypomina wielkie miasto”.

– Chciałbym was spytać...

– Notariuszu, jest późno, czas mi wracać na modlitwy – przerwał mnich. – Zresztą zadajecie zbyt wiele pytań. To nie jest dobra droga do poznania prawdy, powinniście ograniczyć się do wyboru właściwych pytań.

Aż do tej chwili brat Rogelio zachowywał się jak stateczny zakonnik, nieskończenie cierpliwy i tak niewzruszony, jak kamienne ściany gospody, w której się znajdowali. Jego ruchy, a nawet słowa były

dostojne i pewne jak skała.

– To wasza cela – brat Rogelio postąpił parę kroków naprzód i otworzył drzwi jednej z izb.

Bizén przyjrzał się jej od progu; miała duże okno, łóżko, stół, a na nim świecę, którą jego gospodarz zapalił, a także taboret. Zakonnik wyjął spod łóżka koc i rozłożył go na sienniku. Bizén spostrzegł, że na stole leży książka.

– Mam nadzieję, że będzie wam wygodnie, jak wicie, nasza kongregacja jest bardzo skromna.

– Jednak klasztor jest wielki i otoczony silnymi fortyfikacjami. Czy w domu gościnnym bawi więcej gości? – rzucił Bizén, nim zakonnik zdążył wyjść.

– Nie, nie ma nikogo. O tej porze roku ludzie nie zbliżają się do Moncayo. A teraz muszę was zostawić – uciał.

– A dlaczego tak się dzieje? Jesteście na pograniczu, powinno tędy przejeżdżać wielu kupców.

– To górskie tereny, ludzie zawsze boją się gór – odpowiedział, nie podnosząc wzroku.

– Wasza reguła jest ścisła, niełatwo pewnie przestrzegać wszystkich przepisów zawartych w poszczególnych rozdziałach i unikać pokus...

– Praca jest zorganizowana, a w godzinach lektury zawsze któryś ze starszych zakonników przechadza się po klasztorze, aby nie dopuścić, by któryś z nas uległ pokusie gadulstwa czy lenistwa, bowiem jedno i drugie jest wrogiem duszy.

– To znaczy, że żyjecie pod nadzorem – ironicznie skonstatował Bizén.

– Lenistwo jest szkodliwe nie tylko dla nas samych, ale i innych odciąga od tego, co istotne. Żaden z braci nie powinien obcować z innymi w nieodpowiednich porach i miejscach.

Bicie dzwonu z wieży kościelnej przerwało ich rozmowę.

– Muszę już iść. Nie wiem, czym to tłumaczyć, ale jestem bardzo zmęczony. Wypocznijcie, notariuszu.

Mnich zniknął za drzwiami. Bizén zdjął płaszcz i rękawice, usiadł

na brzegu łóżka. Wziął torbę podróżną i wyjął z niej pisma, które pieczołowicie schował pod siennikiem, oraz parę książek.

Zadumał się. Ujął w palce krzyż zawieszony na piersi. Nie wyglądał na szczególnie cenny, on jednak spoglądał nań z nabożeństwem, jak na klejnot.

Rozejrzał się dokoła.

Nie mógł uniknąć pokusy wyjścia na korytarz bez nadzoru mnichów. Z wolna otworzył drzwi. Po drugiej stronie za jedynych towarzyszy miał teraz półmrok i ciszę. Wrócił do izby po świecę i ruszył w kierunku schodów, które go tu przyprowadziły.

Nagle posłyszał stukanie, dochodzące z któregoś z sąsiednich pomieszczeń. Odgłosy umilkły i Bizén przystanął, niepewny, co ma robić dalej. Dostrzegł słabe światło zbliżające się od strony schodów. Błyskawicznie wycofał się ku swojej celi. Znowu rozległo się stukanie. Przystanął i spojrzał w kierunku, skąd dochodziły dźwięki. W tym momencie pojawiła się jakaś postać odziana w biały habit. Bizén natychmiast schował się w swojej izbie.

Zablokował drzwi, przyciągając do nich stół.

Postawił świecę i wziął w dłonie księgę zakonu świętego Benedykta, regułę, której w każdym klasztorze, niezależnie od tego, w którym zakątku chrześcijańskiego świata się znajdował, przestrzegali cystersi.

Trafił samotnie do skromnej celi ogromnego opactwa, usytuowanego na jednym z najbardziej niebezpiecznych i oddzielonych od reszty świata skrawków całego królestwa.

*Ora et labora*, „Módl się i pracuj”. To było ich zawołanie. Od końca XI wieku zakon rozprzestrzenił się w zdumiewający sposób. W całym chrześcijańskim świecie powstały setki nowych klasztorów, najpierw w królestwie Francji, ale wkrótce potem na innych ziemiach. Od północy po południe, od zachodu po wschód. Niektórzy utrzymywali, że na ziemi jest ponad tysiąc opactw cysterskich.

Właśnie gościł w jednym z nich, choć znalazł się tam w okolicznościach, jakie nigdy by mu nie przyszły do głowy. Jak bardzo



może się zmienić ludzkie życie w jeden dzień! – pomyślał, zanim pokonał go sen.

Chociaż brat Cipriano pełnił obowiązki furtiana, rzadko mu się zdarzało wychodzić poza obręb klasztoru. W tym względzie reguła była jasna i bezwzględna: mnisi nie powinni mieć żadnych potrzeb poza murami, w żadnym razie nie było to wskazane dla ich dusz.

Cipriano był o tym przekonany. Ze swojego uprzywilejowanego stanowiska widział niezliczone rzeczy. Ludzi podchodzących pod furtę w poszukiwaniu chrześcijańskiego miłosierdzia, które było ich ostatnią nadzieją. Złodziei i zabójców, którzy się tam czaili na podróży, żeby ich ograbić. Żołnierzy, którzy nadciągali pod mury licznymi oddziałami, żeby przypuścić szturm. Dotkniętych zarazą, którzy jak widma błąkali się po drogach w poszukiwaniu miejsca, gdzie będą mogli skonać. Nie wspominając już o nieszczęśnikach, którzy stracili rozum i włóczyli się po ziemi bez żadnego celu. Zdarzało mu się też widywać dziwne zwierzęta, których potem na próżno poszukiwał w księgach z klasztornej biblioteki.

Brat Cipriano wiedział lepiej niż inni, że opactwo Santa María de Veruela nie jest sanktuarium cysterskim jak każde inne, co to, to nie. Po pierwsze było najstarszym klasztorem w całym królestwie i nie ulegało wątpliwości, że najrozleglejszym i najbogatszym ze wszystkich. Tak czy owak on sam nie traktował go jak się traktuje ośrodek religijny, duchowy; dla niego Veruela była przede wszystkim twierdzą. Potężnym bastionem chronionym murami, basztami i wieżyczkami, blankami, bramą strzeżoną przez wieżę oraz barbakanem. I jako forteca miała swoich własnych obrońców, których on przysposobił do straży przez lata służby.

Skąd ta cała przezorność?

Przyczyną nie była obawa o napaść ze strony Kastylijczyków, Anglików, Francuzów czy wojsk z Nawarry.

Brat Cipriano znał legendy, słyszał, co opowiadają miejscowi, czytał

również księgi zgromadzone w bibliotece, a co gorsza, było mu dane oglądać niejedno na własne oczy.

Owszem, brat furtian żył w ciągłym przestachu i dlatego zanosił modły do świętego Bartłomieja, jedyne, który mógł ich uratować, jedyne, który potrafił odkryć podstępny zły duch. Zanosił błagania do świętego, aby przeklętą ziemię Moncayo raczył wydobyć z ciemności, w której była pogrążona.

Nieobce mu były opowieści, jakie krążyły o tej górze. To nie znaczy, że przywiązywał do nich większą wagę niż do swojej wiary, jednak wolał zachowywać czujność. Wielu z tych, którzy przestąpili tę furte, przybywało z wieściami o najstraszliwszych okrucieństwach, mówili o złośliwych istotach, o ludziach, którzy zaginęli w lasach, o potworach.

O tak, brat Cipriano oglądał z furty niejedno.

DZIEŃ DRUGI

**ŚLEDZTWO**

## Infirmeria

O wschodzie słońca, zgodnie z zapowiedzią najstarszych mieszkańców, mgła w Verueli wreszcie się podniosła i dało się zobaczyć imponującą sylwetę Moncayo. Wierzchołek tej majestatycznej góry zdobiła korona śniegu. Czyste niebo pozwalało rozróżnić poszczególne typy lasów, porastających zbocza góry do poziomu, gdzie już nie było żadnej roślinności i odsłaniał się szczyt skalisty i ciemny.

Miejscowi z radością powitali pogodny poranek. Lód, który nocą ściał wodę, zaczął topnieć. W ostatnich miesiącach roku słońce jest szczególnie pożądane i tego ranka w osadzie pod murami, gdzie mieszkali włościanie przypisani do klasztoru, panował ożywiony ruch. Szykowali się do zbioru oliwek i przycinania migdałowców.

W tym samym czasie liczni oblaci, których dormitorium było usytuowane w sąsiedztwie wejścia do klauzury, zgromadzili się w *locutorium*, sali, w której przeor zwykł był wyznaczać ich codzienne zajęcia.

Większość zakonników właśnie zakończyła modlitwy przypadające na primę i przebywała w klauzurze, oddając się pobożnym lekturom.

Bizén spał jak zabity, co wydało mu się nadzwyczajne. Nie pamiętał nocy, podczas której nie obudziłby się kilkakrotnie, a potem zwykle było mu bardzo trudno ponownie zapaść w sen. W Verueli zdarzyło się inaczej. Mimo lęku, jaki dręczył go w tej samotnej celi, wpadł w ramiona Morfeusza jak niemowlę. Nawet kiedy się wreszcie obudził, potrzeba mu było sporo czasu i siły woli, żeby wstać z pośłania.

Po tercji Bizén de Ayerbe udał się do klauzury. On również z radością

przyjął fakt, że mgła, która okrywała te ziemie, wreszcie się rozwiązała. Idąc korytarzem, doznawał dziwnego uczucia, na poły przyjemnego i melancholijnego. Przyjrzał się elementom, które składały się na ten kamienny ogród: twarzom, roślinom, tarczom herbowym i płytom nagrobnym... Spostrzegł tam pewien szczegół, który zwrócił jego szczególną uwagę, ponieważ nie potrafił zrozumieć, co też może oznaczać, a był przekonany, że każda rzecz musi mieć jakieś wytłumaczenie. Nie na darmo było to najważniejsze miejsce w klasztorze, w którym zakonnicy spędzali najwięcej czasu, miejsce, które im służyło do cichej modlitwy. Prywatna przestrzeń. Kościół od czasu do czasu był otwarty dla wiernych, ale klauzura – nigdy. Kamienny ogród należał do mnichów, żaden z profanów nie miał do niego wstępu.

Spośród wszystkich elementów dekoracyjnych najbardziej niepokoiły go gargulce. Były to przerażające podobizny ni to potworów, ni istot ludzkich, z obliczami wykrzywionymi takim grymasem, takim bólem i cierpieniem, że raniły wzrok. Na co taka brzydota w klasztorze? Choć jednocześnie kryło się w nich pewnego rodzaju piękno. Bizén nie potrafił oderwać wzroku od tych stworów.

W myśli odtworzył sobie jedną po drugiej twarze zakonników. Wszyscy byli cystersami i przestrzegali reguły świętego Benedykta, a jednak... Jakie myśli naprawdę snuły się w ich głowach?

Habity, reguła, milczenie: wszystko to sprawiało, że byli do siebie podobni. Wiedział, że musi dalej próbować wciągnąć ich do rozmowy.

Zatrzymał się u wejścia do sali kapitulnej. Całą jego uwagę skupiły na sobie nagrobki, które się w niej znajdowały. Dwa polichromowane mieściły się w ścianach, a w posadzkę wmurowano ponad tuzin płyt nagrobnych z laską, symbolizującą godność opata i tarczami herbowymi poszczególnych rodów. Wszystko to były znaki władzy, jaka wiązała się z tytułem opata Verueli, godnością, którą mogli osiągnąć wyłącznie potomkowie wielkich rodów.

Oparł się na gzymsie u wejścia do klauzury i przyglądał się ciekawym

symbolom, jakie tam były wyryte. Były to cztery pary koncentrycznych, przecinających się wzajemnie okręgów, tworzące zagadkową figurę, dalej niezbyt widoczna ekierka i trzy miary stóp.

Co to takiego? Dlaczego taka figura została wyryta w sali kapitulnej, najdostojniejszym pomieszczeniu w całym opactwie?

Bizén miał poważny problem, nie potrafił zrozumieć wszystkiego, co mieściło się w tym klasztorze. Nie był mnichem, nie był nawet duchownym, w dodatku nie pochodził z tych ziem. Czy zdoła uchwycić sens wszystkich subtelnych szczegółów, w których skrywa się prawda o tym miejscu?

„Wszystko to, co człowiek odczuwa głęboko lub wyobraża sobie jasno, pozostaje odcisnięte w jego podświadomości i ujawnia się pod postacią owych pozornie nieznaczących drobiazgów”, skonstatował sam dla siebie.

To zawsze szczegóły, nawet nikłe, wskazują drogę do prawdy.

Opuścił salę kapitulną, a znalazłszy się ponownie w korytarzu klauzury, ruszył w kierunku świątyni. Przemierzył obszerne skrzydła, proste i surowe, ujmujące pięknem i doskonałością. Pośród chmur, sunących po niebie dzięki podmuchom północnego wiatru, przebijały sobie drogę przyćmione blaski słoneczne.

Przystanął obok nagrobków usytuowanych na prawo od wejścia do kościoła i płyty nagrobnej wmurowanej w posadzkę. Przypomniał sobie, co mu opowiadał opat o fundatorze klasztoru. Nazywał się don Pedro de Atarés, był panem na Borja, tym, który mógł sięgnąć po koronę królestwa Aragonii. To musiał być jego grób: w progu drzwi prowadzących z klauzury do kościoła spoczywał tak skromnie „ten, który mógł królować”.

Była to szeroka, ciemna płyta, na której nie było żadnego godła czy inskrypcji, prócz wyobrażenia miecza, nieudolnie wyrytego w kamieniu. Jakże skromne było miejsce wiecznego spoczynku tak możnego rycerza.

Obok tego grobu znajdował się inny, przykryty równie niepozorną płytą; należał on zapewne do małżonki szlachcica, pochowanej obok

dwóch ich synów. Jedyne grób kobiety, jaki dotąd napotkał w Verueli.

Pchnął te same drzwi, którymi konwers musiał wejść do kościoła tej nocy, kiedy padł ofiarą mordu.

Znalazłszy się w świątyni, Bizén de Ayerbe ruszył w kierunku głównego ołtarza i zatrzymał się przed grobem następcy tronu. Od nowa rozważył zdarzenia, które miały tu miejsce.

Przypomniawszy sobie krew na dnie sarkofagu i poszedł za śladami na posadzce do miejsca, w którym znaleziono zmarłego. Wykoncypował, że płyta nagrobna musiała leżeć na swoim miejscu, kiedy oblat został zaatakowany. Że musiał się siłować ze swoim zabójcą, który koniec końców rozplątał mu szyję sztyletem znalezionym w grobie infanta.

Bizén zaczął się poruszać, odtwarzając scenę zabójstwa według wyobrażenia, jakie powstało w jego umyśle i w przestrzeni, która była scenerią zbrodni. Starał się wczuć w rolę ofiary, unoszącej dłoń do rany na szyi, odtworzył w wyobraźni krew oblata tryskającą na wieko grobowca. Próbował sobie wyobrazić jego ból i rozpacz, zobaczyć, jak pada i czołga się po posadzce aż do chwili śmierci.

Ale skąd w takim razie wzięła się krew na dnie sarkofagu? W każdym razie nie miał zamiaru brać na poważnie szalonych domysłów przeora. Człowiek Kościoła nie powinien sobie pozwalać na podobne insynuacje.

No a sztylet? Dlaczego miał wbity sztylet?

Sprawdził, czy to możliwe, żeby krew przesączyła się przez płytę, jednak wydało mu się nieprawdopodobne, żeby mogła przeniknąć przez tak gruby kamień.

Znowu sobie wyobraził scenę. W którymś momencie musieli wydobyć szczątki infanta. Oblat miał współnika, otworzyli grobowiec we dwóch, wydobyli zwłoki, położyli płytę na miejscu, a wówczas ten drugi zaatakował swojego towarzysza.

Wydawało się, że teraz elementy zaczynają do siebie pasować, ale ta krew we wnętrzu? Żeby unieść płytę, trzeba było dwóch ludzi, jak się o tym przekonał ubiegłej nocy, dźwigając ją z pomocą przeora. Jednym z tych dwóch musiał być zabity oblat, którego do kościoła wpuścił

któryś z mnichów. Ten zakonnik był niewątpliwie drugim ze współników.

Obydwaj chcieli zabrać ciało.

Wyjęli je z grobowca i wówczas mnich rzucił się na oblata, być może po to, żeby tamten się nie wygadał albo żeby nie dzielić się z nim jakimś zyskiem, który spodziewali się osiągnąć.

Ale sprawa krwi we wnętrzu grobowca dalej pozostawała bez wyjaśnienia, chyba że morderca się zranił. Odsunęli płytę na tyle, żeby dało się wydostać ciało, a potem, kiedy wystarczyło jedynie ją przesunąć, mógł sobie z tym poradzić w pojedynkę.

Ale gdzie się podziały szczątki?

Bizén de Ayerbe powędrował do skrzyżowania naw, spojrzał w stronę głównego ołtarza z podobizną Najświętszej Marii Panny i polecił się jej opiece.

„Im więcej się człowiek przygląda, tym więcej dostrzega”, pomyślał.

Kluczem do zagadki było odkrycie miejsca, gdzie znajdowały się zwłoki infanta.

Dokąd też je zabrali?

Wyostrzył wzrok i jął przemierzać kościół, kiedy zaskoczył go dźwięk dzwonu. To zegar mechaniczny wybijał godzinę: nadeszła seksta. Wkrótce zaczęli się schodzić zakonnicy, zmuszeni przedefilować tuż przed nim, aby dotrzeć do swoich miejsc na chórze.

Przyglądał się ich twarzom, ich minom, habitom, nawet ich dłoniom. Jeden z tych ludzi był zabójcą.

Cierpliwie doczekał do końca mszy, a kiedy znów gęsiego skierowali się ku wyjściu, ruszył ich śladem. Przeor pierwszy skręcił do *locutorium*, a pozostali udali się do klauzury. Bizén przyspieszył kroku, żeby ich nie zgubić.

– Dzień dobry, bracie Adolfie.

– Witajcie, Bizén – odpowiedział starzec.

– Możecie mi wskazać, gdzie jest infirmeria?

– Naturalnie. Co wam dolega?



– Rzecz w tym, że coś mi leży na żołądku.

– To najgorsza dolegliwość, jaka może się przytrafić, ja wam to mówię, a znam się na rzeczy – pokiwał głową – Chodźcie za mną, nasza infirmeria jest znakomita, sami się przekonacie.

Razem wyszli z klauzury i ruszyli na zachód, przechodząc koło stajni, gdzie kilku oblatów karmiło konie.

– W tej części klasztoru znajdują opiekę chorzy zakonnicy i najstarsi z naszej wspólnoty. Działa jak mały klasztor w łonie głównego. Ma regułę odmienną od reszty opactwa, zwłaszcza w kwestii odżywiania, ponieważ chorzy mają prawo jeść mięso zwierząt czworonożnych.

– Nie wiedziałem o tych różnicach.

– Tak, my jadamy tylko drób, i to przy szczególnych okazjach. To tutaj – i wskazał bardzo szeroki portal jednopiętrowej budowli.

– Bóg zapłać, nie ma potrzeby, żebyście mi towarzyszyli.

– Na pewno?

– Z całą pewnością – oświadczył Bizén. – Już zrobiliście więcej, niż mogłem oczekiwać.

– Jak wolicie, na wszelki wypadek uprzedzam, że nasz brat aptekarz nie jest zbyt rozmowny. I nie przepada za odwiedzinami, nie lubi się dzielić swoimi sprawami, rozumiemy się?

– Jestem wam wdzięczny za tę uwagę, będę o tym pamiętał.

Bizén podszedł do drzwi infirmerii i pchnął ich skrzydło. Przywitał go silny aromat ziół, których nie potrafił rozpoznać. Wzdłuż sali, która zamiast posadzki miała klepisko z ubitej ziemi, stało pół tuzina łóżek, wszystkie puste. Jedną ze ścian zajmowała szafa z niezliczonymi szufladkami, a naprzeciw niej znajdował się stół cały zastawiony moździerzami, sitami, szpatułkami i szklanymi naczyniami oraz półka pełna manuskryptów i książek.

W głębi Bizén dostrzegł jakiś sprzęt, ale niewyraźnie. Wychynął zza niego ciemnowłosa, blady brat Ramiro ze swoim orlim nosem i niezmiennie poważną i niedostępną twarzą. Stał jak wryty na widok niespodziewanego gościa, a na jego obliczu odmalowało się

niezadowolenie.

– Przeszedłem prosić was o pomoc, bo mam bóle żołądka. Jeśli macie jakiś lek, który pomoże mi się wypróżnić, będę wam bardzo wdzięczny.

Aptekarz nic nie odpowiedział. Umył ręce w miednicy i starannie wytarł je kawałkiem lnianego płótna. Zniknął w miejscu, z którego się wyłonił, a po chwili powrócił z małym słoiczkiem.

– Zażywajcie łyżkę przed każdym posiłkiem – brat Ramiro nie rzekł ani słowa więcej i obrócił się na pięcie.

– Bóg wam zapłać. Czy zechciecie mi poświęcić krótką chwilę? Chciałbym was spytać o coś jeszcze.

Mnich, nie kryjąc niechęci, stanął przed nim w milczeniu.

– Jak to możliwe, że nie ma tu żadnych chorych?

– Teraz jest niewielu zakonników. Na zimę przenoszą się do doliny i powracają wiosną.

– Rozumiem. A czy wielu zakonników uskarża się na jakieś dolegliwości w ciągu roku? – dopytywał się Bizén, posuwając się jednocześnie w głąb pomieszczenia i przyglądając instrumentom aptekarza.

– Nie.

– Jaki lek teraz sporządzacie?

– Specyfik na migreny opata.

– Przypuszczam, że to jakiś skomplikowany środek.

– Nie – lakoniczność tych odpowiedzi doprowadzała Bizéna do rozpacz.

– Z jakich składników go robicie? Chyba że to tajemnica – zagadnął najuprzejmiejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

– Trzeba mieszać jęczmień, bukwicę i parę innych ziół. Robi się z tego napar do picia, a dodatkowo zawija się zioła w płótno i stosuje się jako okład na czoło. To skuteczny lek.

– Pewnie niewiele się zdarza przypadków gwałtownych zgonów, takich jak śmierć tego oblata? – brat Ramiro nie zareagował. – Nie, to oczywiste. Ale skaleczenia, rany pewnie tak, przy tak licznych pracach

rolnych i budowlanych, jakie są wykonywane na ziemiach klasztoru, musicie być przyzwyczajeni do opatrywania rannych.

– Jestem biegły w mojej pracy.

– Nie wątpię – Bizén wykorzystał okazję, żeby okrążyć stół i przypatrzeć się przedmiotom leżącym po jego drugiej stronie. – Kiedy zdarzyło się po raz ostatni, że zgłosił się ktoś ze skaleczeniem lub krwawiącą raną?

– Czemu o to pytacie?

– Muszę poznać Veruelę, żeby dobrze spełnić moje zadanie – odparł Bizén i nagle natrafił spojrzeniem na jakieś płótna splamione krwią. – Jak się zdaje, mieliście ostatnio robotę – wziął je do ręki.

– Nie dotykajcie tego!

– Kogo ostatnio kurowaliście?

– Czekają na mnie obowiązki. Zechciejcie mnie zostawić.

– Zadałem wam pytanie. Czyja to krew? – w tym momencie Bizén spostrzegł miednicę zbryzganą czerwoną cieczą. – Nic mi nie powiecie?

– To krew chorego, którym zajmowałem się wczoraj. Właśnie miałem zamiar ją wylać. Ta krew jest zepsuta.

– To któryś z zakonników?

– Nie – brat Ramiro zwlekał z odpowiedzią – ojca opata.

– Jest ranny?

– To jeden z zabiegów – uciął mnich stanowczo.

Bizén przeniósł wzrok na długą szafę z szufladami, wnękę, gdzie stały szeregiem jakieś flakony, i zbiór ksiąg. Zbliżył się do nich, chcąc się dowiedzieć, co też ukrywa przed nim aptekarz. Brat Ramiro natychmiast ruszył w jego stronę, żeby mu odciąć drogę do tej wnęki, ale Bizén zrozumiał manewr i zmienił kierunek. Był tam jeszcze jeden drewniany stół, a na nim książka, otwarta na stronie, na której widniała podobizna centaury.

– Interesujecie się mitologią?

– Nie.

– Centaury nie cieszą się dobrą sławą, to agresywne istoty –

powiedział Bizén i spostrzegł, że zakonnik zwija w dłonie w pięść i mocno zaciska. – Powiadają, że powodują się najniższymi instynktami...

– Chiron był mądrym centaurem, uczonym. I w odróżnieniu od swoich pobratymców miał dobry charakter! – rzekł zduszonym głosem brat Ramiro, a w jego słowach po raz pierwszy dało się odczuć żar.

– Ta księga... – Bizén się uśmiechnął, obserwując reakcję rozmówcy. – Czy opat wie o tym, że taką książkę bierzecie do rąk? A nie jest to przypadkiem księga zakazana?

– Oczywiście, że nie! – mnich znów był zbity z tropu.

– Spokojnie, nic nie powiem, chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego ta księga. Jeśli będziecie łaskawi mi wyjaśnić.

– Nic nie powiecie?

– Macie moje słowo – Bizén starał się go uspokoić.

– W starożytnym Rzymie mieli boga od medycyny. Jego ojcem był Apollo, matką Koronis. Od dzieciństwa kształcił go centaur Chiron, który go nauczył wszystkiego, co się tyczy sztuki medycznej, a szczególnie leczniczych roślin.

– Widzę, że to temat dobrze wam znany – teraz Bizén ruszył w głąb sali. – A tam, co tam chowacie?

– Moje instrumenty.

– Mogę się im przyjrzeć?

– Nie ma mowy.

– Wiecie, że mam pozwolenie opata, chyba nie próbujecie niczego przede mną ukryć? Zechcecie się zbliżyć ze światłem? Bo tam ciemno.

– To kiepski pomysł – brat aptekarz nie kwapił się do współpracy.

– Powtarzam, że opat dał mi zgodę na przetrząśnięcie wszystkich zakamarków klasztoru i wypytanie zakonników.

– Skoro tak wam zależy...

Wobec uporu Bizéna aptekarz wziął świecę z jednego z lichtarzy i zagłębił się mrocznej części pomieszczenia. Notariusz postąpił za nim.

W miarę jak światło sączyło się w panującą tam ciemność, przed jego oczyma zaczynały majaczyć zarysy skrzyń.

– Co jest w środku?

– Moje narzędzia.

– Chciałbym obejrzeć zawartość – rzekł Bizén, mimo niechęci malującej się na twarzy mnicha. – Nie słyszeliście?

– Owszem – zakonnik podszedł do pierwszej skrzyni, zaopatrzonej z obu stron w uchwyty, i podniósł wieko.

Bizén pochylił się, oczekując widoku takich instrumentów, jak wagi, szklane flakony czy tego rodzaju przedmioty, jednak nic podobnego tam nie było. Napotkał tylko ciemność, jakby w skrzyni skrywała się nicość. Wtem usłyszał cichy syk i odniósł wrażenie, że tam się kryje coś żywego. Wziął świecę i oświetlił wnętrze.

– Boże wszechmocny! Co to jest? – odskoczył przestraszony.

– Już wam mówiłem, moje narzędzia.

– Narzędzia? Co wy tam chowacie?

Aptekarz wsunął rękę do wnętrza drewnianej skrzynki i syk zabrzmiał głośniejsz. Bizén w napięciu przyglądał się tej scenie.

Naraz aptekarz wyciągnął z niej węża. Stworzenie rozwarło paszczę, ukazując kły i wyzywający, rozdwojony język.

– Odsuńcie to ode mnie! – Bizén wycofał się jeszcze o krok.

– Zapomnieliście, że sami się upieraliście, żeby go zobaczyć? – mnich pogładził głowę gada. – Ostrzegałem, że to kiepski pomysł.

– Po co tu trzymacie węża?

– Wąż jest symbolem medycyny – wyciągnął ku niemu rękę – to zmija. Z jej skóry robi się kataplazmy i maści przydatne do leczenia wielu chorób.

– Jakbym słuchał czarownicy.

– Nie macie o tym żadnego pojęcia, notariuszu.

– Skoro tak, to mnie oświećcie.

– Patronem medycyny jest święty Łukasz, był medykiem, zanim poznał Pawła. Jak dobrze wiecie, jest autorem trzeciej Ewangelii i Księgi

czynów apostołskich – Bizén wreszcie osiągnął swój cel, aptekarz zaczął mówić płynnie. – Jego Ewangelia jest napisana po grecku, najdłuższa i najlepiej zredagowana. Zawiera również najwięcej szczegółów z dzieciństwa Jezusa Chrystusa, ponieważ to on spisał słowa Marii Dziewicy. On to wreszcie namalował jedyny zachowany portret Matki Zbawiciela, który znajduje się w katakumbach w Rzymie.

– Doskonale, jednak w Tetramorfie jego symbolem jest wół lub byk, co go zatem łączy z wężem?

– To, że stosował już *theriaca magna*, antidotum złożone z ponad siedemdziesięciu składników, które zawiera między innymi mięso żmii.

– Chcecie mi powiedzieć, że trzymacie tego gada, żeby przygotować ów magiczny lek? – wykrzyknął Bizén, który ciągle jeszcze miał przestraszony wymalowany na twarzy.

– Nie ma tam żadnej magii, już wam mówiłem, że święty Łukasz go stosował; to antidotum przeciwko truciznom, włączając w to skutki ukąszenia zwierząt. Służy też do leczenia wielu innych chorób.

– I jest objęty tajemnicą?

– Całkowitą. Jego przygotowanie jest bardzo skomplikowane. Żeby zadziałał, trzeba przestrzegać czystości i dokładnych proporcji składników – wyjaśnił brat Ramiro. – W przypadku odstępstwa od formuły *theriaca magna* nie przyniesie pacjentowi żadnego pożytku.

– Jestem przekonany, że zakonnik z waszą wiedzą i mający do dyspozycji tak dobrze zaopatrzoną aptekę potrafi ten specyfik przygotować we właściwy sposób?

– Tak, dlatego muszę mieć składniki pod ręką – aptekarz spojrzął na żmiję, którą trzymał w ręce tuż poniżej łebka, żeby nie mogła go ukąsić. – Ja najchętniej nasączam jego roztworem paździerze, które aplikuję w postaci kataplazmów – dodał.

Bizén, pragnąc uwolnić się od niemiłej bliskości gada, okrążył mnicha i podszedł do innej z licznych skrzyń. Miała podobny system uchwytów jak poprzednia. Tym razem on sam uniósł pokrywę i zaraz się zorientował, że i w niej kryje się coś żywego. Wziął świecę i w jej

blasku zobaczył z tuzin jaszczurek różnych odmian i wielkości.

– Domyślam się, że i one służą do przygotowania tej cudownej maści.

– Tak.

– A macie tu jeszcze jakieś inne zwierzęta?

– Nie – zakonnik znów ograniczał się do lakonicznych odpowiedzi.

– To dla mnie pociecha – odrzekł, choć w tej samej chwili jego wzrok spoczął na dużej, wysokiej flaszy wypełnionej wodą. – A tam, co takiego chowacie? Ryby? – zbliżył się nieufnie. – Cóż to znów za diabelstwo?

– Pijawki.

– Co?! – Bizén odsunął się z odrazą. – Nienawidzę tego robactwa, jest obrzydliwe.

– Muszę je mieć pod ręką, bo nie zawsze mogę się w nie zaopatrzyć, kiedy są potrzebne.

– Hodujecie je?

– Nie, ale zbieram je, kiedy są małe – wytłumaczył mnich bez ogródek. – Dzięki temu starczą mi na dłużej.

– Do czego ich używacie?

– Wiele by o tym mówić, a wzywają mnie obowiązki.

– Chciałbym się dowiedzieć, spróbujcie mnie oświecić – nalegał Bizén pojednawczym tonem, który przynosił najlepsze wyniki w rozmowie z bratem aptekarzem.

– Choroba pojawia się, mówiąc krótko, kiedy dochodzi do zaburzenia równowagi między czterema humorami, którymi są krew, śluz, żółć żółta oraz żółć czarna. Ciało dąży do pozbycia się tego, co w nadmiarze, dlatego jest tak ważne, żebyśmy mu w tym dopomogli – objaśniał brat Ramiro z niezbyt ukontentowanym wyrazem twarzy.

– I odciągacie to, co zbędne, z pomocą pijawek.

– Ale nie wszystkie pijawki się do tego nadają – ciągnął aptekarz. – W dawnych tekstach podaje się, w jaki sposób dokonać wyboru. Powinny spełniać wiele warunków. Liczy się przede wszystkim miejsce, gdzie się lęgną. Trzeba szukać takich, które żyją w potokach z czystą wodą i kamienistym korytem, a unikać tych, które pochodzą z wód

ślizgawych, mętnych i wydzielających przykrą woń.

– Żeby uniknąć gnicia.

– Słusznie. Jedną z oznak, które wskazują miejsca odpowiednie do łowienia pijawek, to obecność licznych żab. Inną istotną wskazówką są cechy zewnętrzne, którym dobre pijawki odróżniają się od trujących. Dobre muszą być niewielkie i wdzięczne.

– Boże wszechmogący! Tylko tyle?

– Nie, trzeba też uwzględnić barwę grzbietu zwierzęcia. Opinie są podzielone między uczonych, którzy twierdzą, że grzbiet powinien być w odcieniu zielonkawym z cienkimi żółtawymi pręgami, i tych, którzy utrzymują, że od zielonkawych lepsze są czarne. Ja jestem zwolennikiem tych pierwszych. W każdym razie jadowite pijawki można rozpoznać po tym, że są dużych rozmiarów.

Bizén nie był zachwycony tą lekcją; nie tego rodzaju wiedzy przyszedł szukać w infirmerii. Wszystkie pytania, które zadawał, miały na celu zachęcenie mnicha do rozmowy, podczas której on sam będzie miał okazję do rozejrzenia się po sali. Okazało się, że niełatwo ten plan wykonać.

Ktoś zastukał do drzwi.

– Wejdźcie – zawołał medyk klasztorny.

Przybyszem był jeden z konwersów, otyły mężczyzna z rzadkimi włosami, pucułowaty i spocony.

– Ojcze – schylił głowę.

– Co wam dolega, bracie?

– Strasznie mnie boli, przychodzę was prosić o coś, co mi przyniesie ulgę – oświadczył mężczyzna ze strapionym wyrazem twarzy.

– No dobrze, ale co was boli? – spytał aptekarz.

– No więc, chodzi o to, że... – nieufnie spojrział na Bizéna.

– Myślę, że powinienem was zostawić. Jestem wam wdzięczny, bracie aptekarzu – z tymi słowami opuścił infirmerię, ale nie mógł sobie odmówić pozostania jeszcze przez parę chwil pod drzwiami, skąd podsłuchiwał, co dolega owemu oblatowi.



– Chodzi o zadek, aptekarzu. Boli mnie, kiedy się wypróżniam, a w moich kupach jest krew.

– Obawiam się, że macie hemoroidy, a trzeba wam wiedzieć, że to sprawa poważna – dobiegł go głos aptekarza. – Sporządę dla was miksturę z koguciego grzebienia, korzenia kolcolistu i innych ziół. Musicie odpoczywać i nie natężyć się w trakcie wypróżniania, bo w przeciwnym razie...

– Co mi grozi? To niebezpieczne?

– Grozi krwotok.

Bizénowi odechciało się dalszego podsłuchiwania.

## Brat Rogelio

**P**o odwiedzinach w *cellarium* i w aptece rozmaite myśli zaczęły krążyć Bizénowi po głowie. Powróciwszy do klauzury przemierzył wolno, w skupieniu cały odcinek galerii wzdłuż ściany refektarza, głośno licząc kroki. Zatrzymał się w kolumnadzie, gdzie mieściło się *lavatorium*, podniósł wzrok i wpatrzył się w zwornik sklepienia. W tym najwyższym punkcie znajdowała się rzeźba przedstawiająca rycerza na koniu z tarczą w królewskich barwach: szkarłatne słupy w złotym polu.

Przyjrzał się gargulcom, które tak go niepokoiły, a jednocześnie fascynowały. Trwał tak, póki dźwięk zbliżających się kroków nie wyrwał go z zadumy. Z przeciwnej strony klauzury nadchodził brat Rogelio. Bizén ukrył się w *lavatorium*, obserwując zbliżającego się mnicha. Ten otworzył refektarz i zniknął w wejściu, pozostawiając uchylone drzwi. Bizén namyślał się przez chwilę, upewnił się, że nikt go nie śledzi i wszedł do refektarza.

– Notariuszu – stojący w kącie pomieszczenia brat Rogelio przywołał go gestem dłoni.

Nad całą salą dominował długi stół przeznaczony dla opata, przeora i dziekanów, usytuowany na podeście pośrodku pomieszczenia. Brat Rogelio otworzył wąskie drzwi po lewej i wszedł do przyległej izby. Bizén podążył jego śladem, ale jak wielkie było jego zdumienie, gdy poczuł powiew gorącego powietrza dopływającego z wnętrza.

– Nie bójcie się, to *calefactorium* – wyjaśnił zakonnik. – Tu zawsze pali się ogień, żeby ogrzać pomieszczenia. Poczyniliście postępy w śledztwie? – zagadnął.

– Rozumiecie, że nie wolno mi z nikim rozmawiać na ten temat.  
– Oczywiście, jestem jednym z podejrzanych – uśmiechnął się.  
– Czy chcielibyście się ze mną podzielić jakimiś informacjami?  
– Nie wiem, kto zabił oblata.  
– Szkoda, zaoszczędzilibyście mi wiele trudu.  
– Za to wiem o tym opactwie inne rzeczy, które mogłyby wam się przydać – dodał mnich ściszym głosem.

– Słucham was.

– Na przykład to, że początkowo nie było tu galerii prowadzącej do spichlerza. To ta od zachodu. Powstała w związku z obecnością świeckich zakonników i korytarza, którym przechodzą do kościoła oblaci. Kiedy zostało zbudowane to przejście, pojawiła się możliwość dodania *cellarium*, naszego głównego spichlerza. A że jest on usytuowany w sąsiedztwie pomieszczeń dla oblatów, to głównie do nich należy większość obowiązków związanych z jego obsługą.

– Wiecie, kogo tam odwiedziłem?

– Oczywiście, że wiem – odpowiedział z niezmiennym wyrazem twarzy. – Domyślam się, że rozmawialiście z dziekanem Estébanem.

– Zgadliście. Zrobił na mnie wrażenie zakonnika bardzo... inteligentnego.

– To powód, dla którego został dziekanem. To druga najważniejsza osoba w hierarchii w naszym opactwie. Czasami zanadto się wymądrza, ale jest bardzo wytrwały, tak jak wy – brat Rogelio ponownie ukazał Bizénowi swoją życzliwszą twarz. – Na ile zdołałem się zorientować, wykonujecie swoje zadanie w sposób przemyślany. Przypuszczam, że to tłumaczy, w jaki sposób tak młodo osiągnęliście urząd notariusza królewskiego.

– Nie zawdzięczam go niczyjej łasce.

– Naturalnie, nam, młodszym synom, pozostają w rodzinie jedynie okruchy ze stołu. Jakieś nazwisko, stare rodowe opowieści i niepewna przyszłość – stwierdził mnich. – Nie patrzcie tak na mnie, przecież wiecie, że prawie wszyscy zakonnicy przyszli na świat jako drudzy, trzeci z kolei

mężcy potomkowie w rodzinie. Pierworodni nigdy nie przywdziewają habitu, to kolejni synowie są skazani na służbę Kościołowi.

– Wnioskuje z tych słów, że nie sprowadziło was tu powołanie.

– Czyżbyście przypuszczali, że którykolwiek z nas tu obecnych znalazł się tu z powołania? – odpowiedział. – Żaden młody mężczyzna nie wstępuje do klasztoru, żeby służyć Bogu. On to wie i, wierzcie mi, wcale Mu to nie przeszkadza. Kiedy już złożymy śluby, Chrystus potrafi nas wyszkolić na swoich rycerzy. Nasze pochodzenie, poglądy czy pragnienia nie mają dla Niego znaczenia, wie, że wszyscy, co tu wstąpili, będą mu służyć z całym oddaniem.

– Rozumiem – Bizén starał się ukryć zaskoczenie.

– Wy chcecie rozwikłać zagadkę, co tu zaszło minionej nocy i ja to pojmuję, ale nie zdołacie tego zrobić samodzielnie.

– Ofiarujecie mi pomoc?

– Powiedziałbym „współpracę”, „wzajemną pomoc”, „wymianę informacji” – mruknął zakonnik – nazwijcie to, jak chcecie.

– A na czym by ta wymiana miała polegać? – zapytał Bizén nieufnie.

– Dziekan Estéban jest niezwykle ostrożny, nigdy nie powie złego słowa, w każdej chwili okazuje gotowość do pomocy.

– Nie widzę w tym nic złego.

– Nie dowiedcie się od niego niczego, co mogłoby mieć negatywny wpływ na reputację klasztoru – wyjaśnił brat Rogelio.

– A od was tak.

– Powiedzmy, że ja jestem bardziej pragmatyczny i lepiej niż ktokolwiek inny mogę was wprowadzić w tutejsze sprawy. Zastrzegam się, że nie wiem, kto zamordował oblata ani gdzie są szczątki infanta.

– Skąd wiecie, że zniknęły? Wiedzieliśmy o tym tylko ja i przeor! – wykrzyknął Bizén, cofając się o krok.

– Cóż, nie byłem tego całkiem pewien, ale teraz nie mam wątpliwości – powiedział mnich z cieniem uśmiechu.

– Oszukaliście mnie!

– Nie, nic podobnego – mnich zamachał rękami. – Podejrzywałem,

że to zabójstwo ma jakiś motyw i za niezwykły zbieg okoliczności uznałem wasze przybycie tej samej nocy. Pozostawało tylko powiązać oba fakty.

– Ale przecież nikt nie wiedział, co zawierają dokumenty, które tu przywiozłem, nawet ja sam!

– To jest Veruela, wyobrażaliście sobie, że taka rzecz może się przed nami ukryć? Nie odgrywajcie zaskoczenia jak opat czy przeor, oni byli poinformowani tak o waszym przybyciu, jak o jego celu.

– To niemożliwe! Napadli na nas w lesie...

– I wiedzieli, co robią – przerwał mu brat Rogelio, potęgując wzburzenie Bizéna. – Już wam mówiłem, że nie będę miał skrupułów z opowiedzeniem wam tego, o czym powinniście wiedzieć. Tyle że to wy musicie zadawać pytania.

– A zatem opat mną manipulował.

– Możecie to określić, jak wam się podoba, ale nie bierzcie sobie tego do serca, czy to pierwszy raz was oszukano? – powiedział mnich, umniejszając wagę całego zajścia. – Skupcie się na tym, co ważne; musicie rozwikłać zagadkę zabójstwa, a kradzież ciała infanta jest częścią tajemnicy, więc w gruncie rzeczy na jedno wychodzi.

Bizén zwlekał z reakcją, znać było, że to, co usłyszał, głęboko go poruszyło.

– Zbudowanie takiego klasztoru kosztowało mnóstwo pieniędzy – wyglądało na to, że brat Rogelio dobrze wie, o czym mówi. – Skąd, waszym zdaniem, pochodzą te środki?

– Z waszych pól i lasów, z datków na odprawiane przez was msze – wyliczył Bizén bez większego entuzjazmu.

– Owszem, a także ze sprzedaży wina, oliwy, ziarna. Sprzedaż mięsa ma w nich mniejszy udział.

Bizén dalej milczał, a tymczasem jego mózg zaczął pospiesznie przetwarzać otrzymane informacje. Wiedział, że musi być bardzo ostrożny. Czuł, że mu umyka jakiś szczegół o zasadniczym znaczeniu.

– Widzę, że nie do końca mnie rozumiecie. Wszystkie przychody

klasztoru są pod nadzorem *cellarium*. Od czasu kiedy dziekan Estéban dołączył to stanowisko do pozostałych spraw, za które jest odpowiedzialny, stał się człowiekiem, który ma pełną kontrolę nad wszystkimi środkami klasztoru. I jestem pewien, że część z nich zachowuje dla siebie.

– Oskarżacie go o kradzież? – zaskoczył go Bizén pytaniem wprost.

– Ani mi się śni, nie mógłbym tego dowieść.

– Czego zatem oczekujecie ode mnie?

– Żebyście szeroko otwierali oczy, a jeśli coś wypatrzyacie, to żebyście się ze mną podzielili spostrzeżeniami – odparł brat Rogelio.

– Proście mnie, żebym śledził dziekana, czy tak?

– Jak wam wcześniej powiedziałem, uznajcie to za wymianę, możemy sobie pomóc wzajemnie. Bo z jednej strony nigdy wcześniej nie było tu nikogo, kto miałby możliwość rozmawiać ze wszystkimi zakonnikami tak, jak wy to teraz czynicie, a z drugiej jesteście tu obcy, zupełnie nie znacie Verueli... Nie wydaje wam się dziwne, że to was wybrano do prowadzenia śledztwa? Czy powierzenie tego zadania mnichowi należącemu do kongregacji nie byłoby bardziej logiczne?

– Do czego zmierzacie, bracie?

– Że mogliście zostać wybrani umyślnie, jako ten...

– Który nie wykryje zbrodniarza – dokończył Bizén. – Opat mnie wykorzystuje!

– Albo przynajmniej nie chce, żeby ktoś z zakonu korzystał z dyspensy, jaką wy otrzymaliście. A to może być spowodowane jedną z dwóch przyczyn: albo nie ufa nikomu z kongregacji, albo też sam ma coś do ukrycia i jest przekonany, że go nie zdemaskujecie. Przypuszczam, że opat sądzi, że jesteście bezbronni.

– Opat mówił ze mną o sekretach, mówił o tym, jak duże znaczenie ma to, które z nich się wyjawia – odrzekł Bizén głęboko zamyślony.

– Cały on – zawyrokował brat Rogelio.

– Mówił mi także o lęku.

– Wielu jest takich, którzy się boją prawdy, nie na darmo wolą być

oszukiwani, niż się z nią zmierzyć.

– Ten klasztor przypomina wielki labirynt.

– Tak, dlatego potrzebujecie mojej pomocy – brat Rogelio wziął go pod ramię. – Zaufajcie mi, ja was po nim oprowadzę, a wy nam wyjawicie, czy dziekan okrada nas z części zysków klasztoru. A jeśli tak, to gdzie je ukrywa. Ta informacja będzie dla mnie wynagrodzeniem.

Mnich zamilkł na kilka chwil, czekając na reakcję notariusza królewskiego.

– Cóż – rzekł z westchnieniem Bizén – zakładam, że nikt więcej nie wie o tych sprawkach dziekana.

– Nie odważyłbym się tego gwarantować. On jest sprytny i bardzo dyskretny i jako że osobiście odpowiada za wszystkie sprzedaże, nie możemy go kontrolować.

W refektarzu dały się słyszeć jakieś kroki.

– Ciii – mnich polecił mu zamilknąć, przykładając palec do ust. Przeczekali jakiś czas bez ruchu, wreszcie kroki ucichły, a brat Rogelio otworzył drzwi *calefactorium*.

– Chwileczkę – Bizén chwycił go za ramię. – Kiedy mogę liczyć na waszą pomoc?

– Kiedy zechcecie, ale teraz muszę iść. Poczekaście, aż się oddalę, nie mogą nas widzieć razem.

Bizén spojrzał w ślad za odchodzącym mnichem i obrócił się ku ogniowi, którzy nieprzerwanie ogrzewały to pomieszczenie. Najwyraźniej każdy zakonnik w Verueli miał swoją tajemnicę.

Wyszedł, kiedy gorąco w pomieszczeniu zaczęło mu się dawać we znaki. W refektarzu nie było nikogo. Wzniósł oczy ku drewnianemu stropowi i zatrzymał je na okienku do wydawania potraw, które łączyło tę salę z kuchnią. Przemyślny i zarazem dyskretny sposób połączenia tych przestrzeni. Rozległ się dzwon wzywający na modlitwę. Szybko opuścił klauzurę i udał się do galerii sali kapitulnej. To była seksta i mnisi zaczęli się schodzić do kościoła. Widział, jak przeor i dziekan Estéban znikają w wejściu do świątyni.

Szybkim krokiem przemierzył korytarz, żeby zdążyć, zanim zamkną drzwi. Przekroczył próg. Trudno mu było przywyknąć do rozmiarów tej budowli. Światło sączyło się do wnętrza wielkimi oknami przez białe, przejrzyste tafle, co nadawało przestrzeni czarowny nastrój. Czuł się przytłoczony tym, co go otaczało, proporcjami, dekoracją, ale najbardziej frapował go wspaniały zegar mechaniczny. Nie znajdował się dostatecznie blisko, żeby mu się dokładnie przyjrzeć. Kiedy bracia zakonni zajęli miejsca w prezbiterium, usiadł na ławce naprzeciw nich i przysłuchiwał się nabożeństwu.

Choć miał okazję oglądać to już wiele razy od chwili swojego przybycia, ciągle go urzekało to, że mnisi, ledwie usłyszeli sygnał, porzucali wszystkie swoje zajęcia i przybywali pospiesznie, ale z godnością, unikając ruchów, które można by uznać za zbyt frywolne.

Zniewalał Bizéna ten religijny nastrój, fakt, że śpiewane nabożeństwo tworzyło aurę, w której każdy z uczestników, nawet on sam, był bliski ekstazy. Z jednym istotnym zastrzeżeniem: o ile bracia zakonni próbowali odnaleźć zbliżenie z Bogiem, Bizén usiłował połączyć puzzle, które składały się na tajemnicę Verueli.

Jego mistrz zawsze zalecał swoim uczniom głębokie rozważenie, nawet głośne wypowiedzenie tekstu, zanim go napiszą. To samo robił teraz Bizén przed przystąpieniem do kolejnego etapu poszukiwań.

Nie należało tracić więcej czasu, śledztwo musiało się posuwać naprzód. Opuścił świątynię, zanim msza dobiegła końca, przemierzył kamienny ogród i wyszedł na zewnątrz. Zdecydowanym krokiem pomaszerował brukowanym traktem, obramionym szpalerem wysokich wiązów w kierunku furty. Obydwie bramy były otwarte, ponieważ ruch wozów i ludzi toczył się nieprzerwanie.

W Verueli zawsze panował ruch. Wieśniacy uwijali się bez spoczynku, to tu, to tam. Nie inaczej przedstawiciele różnych fachów: cieśle, garbarze, kowale w pobliskiej kuźni, a w oddali drwale rąbiący drzewo, praczki i kobiety dźwigające ciężkie kosze jarzyn zebranych w klasztornych ogrodach.



Kiedy ludzie z miasta mówili o opactwach, to mieli na myśli jedynie mnichów i opata. Często zapominali o wszystkich innych ludziach, którzy do nich przynależeli.

Bizén patrzył z podziwem, jak wielką liczbę robotników zdołała zgromadzić Veruela i jak dobrze nią zarządza. Wybrał sobie miejsce przy wózku załadowanym drewnem na opał i stamtąd przyglądał się ludzkiej krzątaniu.

## Dzwonnica

**N**im wybiła nona, Bizén powrócił w obręb murów, rozejrzał się po *cellarium* za dziekanem, jednak go tam nie napotkał. Przejściem dla oblatów podążył do kościoła. W drodze do chóru zatrzymał się przy ołtarzu świętego Wawrzyńca, gdzie klęczał jeden z konwersów. Nie ośmielił się zakłócić jego modlitwy, ruszył zatem dalej i przy następnej kolumnie natknął się na innego zakonnika, oddającego się modłom przed ołtarzem świętego Damiana. Szedł dalej lewą nawą, określaną przez zakonników jako nawa Ewangelii, w której jeden za drugim umieszczone były groby. Spoglądał na nie, zadając sobie w myśli pytanie, czy to możliwe, że któryś z nich również jest pusty.

Dotarł w ten sposób do odcinka zwanego *via sacra* i przystanął u wejścia do izby zmarłych, kostnicy, która była zamknięta. Pomyślał, że może powinien spróbować ją otworzyć, ale uznał, że chwila nie jest właściwa. Podążył do skrzyżowania naw, gdzie u wejścia do dzwonnicy jeden z oblatów zamiatał posadzkę.

– Przepraszam was, bracie.

– Tak? W czym mogę być wam pomocny?

– Jestem notariuszem królewskim i mam pozwolenie opata, żeby się poruszać po całym klasztorze i rozmawiać z każdym z braci – wyjaśnił – Chciałbym się spotkać z dziekanem Estébanem, nie wiecie, gdzie teraz przebywa?

– Zdaje mi się, że widziałem go opuszczającego zakrystię – wskazał miejsce po przeciwnej stronie skrzyżowania naw, gdzie było widać grupkę ludzi w habitach.

– Bóg wam zapłać.

Bizén nauczył się rozróżniać wszystkich braci monastycznych, ale oblatów było za wielu i z trudem rozpoznawał tylko owych dwóch, których ujrzał w noc swojego przybycia. W całym kompleksie klasztornym trzeba by do tego doliczyć z tuzin nowicjuszy, wszystkich bardzo młodych, których nie obdarzył szczególną uwagą.

Poszedł w kierunku zakrystii, minął grób królewski i przyjrzał się figurze Najświętszej Panny, która dominowała w głównym ołtarzu. W drodze do zakrystii nie napotkał wprawdzie dziekana Estébana, ale za to minął się z bratem architektem, oblatem Izydorem i innym bratem świeckim, którego nie znał z imienia.

Mistrz budowy wydawał polecenia swoim młodym towarzyszom. Bizén, stanąwszy w odpowiedniej odległości, czekał cierpliwie, aż skończą. Kiedy zdał sobie sprawę, że Izydor go obserwuje, wstrzymał się do chwili, kiedy brat Timoteo wreszcie znajdzie się sam. Wówczas ruszył ku niemu zdecydowanym krokiem.

– Bracie Timoteo – zakonnik nie zareagował. – Bracie Timoteo – mnich zachowywał się, jakby go nie słyszał, mimo że dzieliła ich odległość paru kroków.

Architekt stąpał przygarbiony, z wysiłkiem przemieszczając swoje otyłe ciało.

– Timoteo!

– Co się stało? Dlaczego krzyczycie?

– Proszę o wybaczenie.

– Notariuszu, co wy tutaj robicie? – zapytał architekt niechętnym głosem.

– Dziekan Estéban. Wiecie, gdzie jest dziekan Estéban?

– Nie, a dlaczego?

– Nic takiego, będę go dalej szukał – już miał odejść, ale po chwili wahania zwrócił się znów do zakonnika. – Bracie Timoteo, czy moglibyście mi pokazać zakrystię? – powiedział mu prosto do ucha.

– Zakrystię? – zdziwił się mnich.

– Tak, jeśli łaska, będę wam wdzięczny.

– Nie wiem, co dla was ciekawego może być w zakrystii, ale przeor bardzo wyraźnie powiedział, w jaki sposób mamy się odnosić do waszych próśb – rzekł z naciskiem – a zatem nie mam innego wyjścia...

Przeszli koło mechanicznego zegara i Bizén wpatrzył się w dziwaczne okienko usytuowane pod schodami.

– Wiem, co was dziwi – powiedział mnich. – Zastanawiacie się, do czego może służyć ten otwór pod schodami. Zgadłem?

– Domyślam się, że powstał przed zbudowaniem schodów.

– No to się źle domyślacie, to przez ten koszmary zegar.

– Potrzebujecie światła słonecznego?

– Nie, rzecz w tym, że spiesz się czy może spóźnia, nie pamiętam dokładnie – odrzekł mnich – i trzeba go regulować. Odpowiada za to brat Hugo i w tym celu zostało wykonane okienko. Kiedy się przez nie wychylić, widać zegar słoneczny klasztoru, ten, który nam służył od samego początku. Tak było przez dwieście lat, nie wiem, na co tu było sprowadzać ten cudaczny mechanizm.

– To pierwszy zegar mechaniczny, jaki oglądałem na oczy. Słyszałem, że coś takiego istnieje, ale nie umiałem sobie wyobrazić, jak wygląda.

– Ja już jestem za stary na te nowinki, ale ostatecznie... – otworzył drzwi do zakrystii. – Oto ona. W tych szafach przechowujemy szaty liturgiczne, tam dalej są przybory używane podczas eucharystii, a w tamtej części święte relikwie.

– Tu są przechowywane?

– Tak, w tej szafie – i wskazał na mebel zabezpieczony solidnym zamkiem. – To skarb Verueli. Są wystawiane wyłącznie w wielkie uroczystości. Za parę dni odbędzie się święto Wszystkich Świętych i z tej okazji wszystkie zostaną wystawione w ambicie. Te relikwie to prawdziwy cud.

– Zbliża się również Noc Dusz Pokutujących, jak słyszałem, na tych ziemiach...

- Co? Co na tych ziemiach?
- Ponoć ludzie są tu bardzo wyczuleni na to, co się dzieje owej nocy – odpowiedział Bizén.
- Tutaj jesteśmy bezpieczni, te relikwie chronią nas od złego.
- Są tutaj wszystkie?
- A gdzieby indziej? – odpowiedział rozdrażniony brat Timoteo.
- Wybaczcie mi, wydawało mi się, że widziałem relikwiarz w kształcie kufra w sali opata.
- To wam się źle wydawało.
- Czy mógłbym je zobaczyć?
- Nie, przeor tego zabrania. Bądźcie z nim ostrożni, to nie jest człowiek, w którym warto mieć wroga.
- Wyobrażam sobie – westchnął Bizén – ma w tych murach wielką władzę.
- Nie, to nie to, czego powinniście się obawiać.
- Co macie na myśli?
- Przeor nie zawsze był w tym klasztorze, był czas, kiedy oddawał się znacznie bardziej niebezpiecznej pracy – stwierdził brat architekt jakimś dziwnym tonem.
- Niebezpiecznej? Jakie były jego obowiązki?
- Ode mnie się tego nie dowiedzie, ale trzeba wam wiedzieć, że sam szatan się go lękał.
- Szatan...
- Owszem – podniósł wzrok ku sklepieniu zakrystii, które było ozdobione gwiazdami na białym tle. – Nie należy o tym rozmawiać, każdy z nas ma prawo zostawić przeszłość za sobą. Poza tym w klasztorze ściany mają oczy i uszy, strzeżcie się, notariuszu. Jak się człowiekowi raz rozwiąże język, to zaczyna mówić, o czym nie powinien.
- Nie odmawiam wam racji, ale to jest jedyna droga, żeby dojść do prawdy.
- Możliwe.
- W Verueli kryje się zbyt wiele tajemnic – powiedział Bizén

z ubolewaniem.

– Ten klasztor jest niczym wielkie, samowystarczalne miasto. Czy miasta nie kryją tajemnic?

– I to ile!

– Wiedźcie, że tutaj jest dokładnie tak samo – oznajmił brat Timoteo. – Tu czy tam, wszędzie żyją ludzie obciążeni wadami, pragnieniami, sekretami.

– To nie to samo, wy jesteście ludźmi świątobliwymi.

– Ale mimo wszystko jesteście ludźmi...

– Bracie Timoteo, chciałbym się dowiedzieć czegoś o waszej pracy w Verueli – Bizén zorientował się, że lepiej zmienić temat rozmowy. – Mury zewnętrzne są w znakomitym stanie, zauważyłem natomiast, że w kościele są widoczne niepokojące szczeliny. Dlaczego dom Boży znajduje się w tym stanie?

– Otóż budowle mają swoją własną regułę, której pierwszym przepisem jest dążenie do tego, żeby się nie zawalić.

– Obawiam się, że nie zrozumiałem.

– Powiadam wam, że budowle dążą do tego, żeby się nie zawalić, taka jest ich natura.

– Nie widzę w tym sensu.

– A jak byście mieli rozumieć?! Za kogo wy się macie, żeby mi zaprzeczać? – brat Timoteo robił wrażenie obrażonego. – Coś podobnego!

– Wybaczcie mi, proszę – Bizén starał się go ułagodzić po tym wybuchu gniewu. – Jestem profanem, przyznaję to – dodał ugodowym tonem – ale w mojej całkowitej niewiedzy sądziłem, że mury obronne są w lepszym stanie od kościoła.

– Remont murów polega w zasadzie na wypełnieniu szczelin. Za to kościół... Długo by o tym mówić.

Mnich architekt otworzył drzwi i wyszedł z zakrystii, przeszedł cały odcinek skrzyżowania naw i zbliżył się do drzwi, za którymi widoczne były strome schody w kształcie spirali. Zaczęli się po nich wspinać i wkrótce dotarli do kolejnych małych drzwiczek po lewej stronie.

Mnich jednak nie zwrócił na nie uwagi i kontynuowali wspinaczkę. Kręcili się i kręcili, a schody stawały się coraz węższe i pogrążyły się w całkowitej ciemności.

- Uwaga na stopnie, są wytarte i łatwo się poślizgnąć.
- Będę ostrożny.

Kiedy dotarli do zewnętrznej części wieży, znów stało się jasno. Bizén podniósł głowę i ujrzał w górze dwie pary dzwonów. Na tej wysokości północny wiatr *cierzo* hulał bez umiarkowania, ale brat architekt nic sobie z tego nie robił. Ze szczytu dzwonnicy ogarniało się wzrokiem ogromne połączenie terenu.

- Prawie wszystko, co stąd widoczne, należy do opactwa. Godne podziwu, prawda?
- Niewątpliwie.

Bizén przyjrzał się dachom nawy kościelnej, klauzury, wieży bramnej klasztoru i murom, które go opasywały. W dali widać było zamek otoczony domostwami, a przed nim wznosiła się potężna góra Moncayo.

- Stąd mamy widok jak ptaki.
- Rzeczywiście. Wiecie, po co was tu przyprowadziłem? – zapytał brat architekt.
- Szczerze mówiąc, nie.
- Posłuchajcie, kościół buduje się w dwóch etapach. Najpierw apsyda i prezbiterium, dotąd – wskazał jedną część dachu – a potem nawy, aż po fasadę. Macie na uwadze rozmiary tej świątyni?
- O tak! To jedna z największych, jakie widziałem w życiu – zapewnił Bizén, mocno się trzymając, żeby *cierzo* nie zwał go z wieży.
- Są katedry, które nie osiągną takich rozmiarów.
- Ale dlaczego kościół jest tak ogromny? Nie wydaje mi się, żeby w okolicach było aż tylu wiernych, wioski w tych stronach są nieliczne i niezbyt ludne.
- Wierni? To wy myślicie, że ten kościół został wzniesiony dla wiernych?

– A nie takie jest jego zadanie?

– Tutaj wierni nie przychodzą, chyba że jest jakaś ważna uroczystość – zakonnik małym skokiem przesadził niebezpieczny otwór, w którym zaczynały się schody, żeby znaleźć się po przeciwnej stronie dzwonnicy.

– Zanim przybył tu zakon cystersów, ta dolina była jałowa, bezludna, biedna i opuszczona.

– Teraz jest to bogate dominium, należą do niego rozległe ziemie, które dają wino, oliwę, mięso...

– Jest, jak mówicie. Na tym polega siła cystersów. Otrzymać dużą powierzchnię jałowej ziemi i przekształcić ją w żyzne włości.

– Przemienić wodę w wino – uzupełnił Bizén z lekkim uśmiechem.

– To bluźniercze porównanie!

– Istotnie, darujcie, proszę.

– Ziemie, przedmiot pragnień wszystkich opactw cysterskich, to ziemie. Bogate czy biedne, rozległe czy nie, to nie ma dla nas większego znaczenia. Naszą specjalnością jest osiągnięcie największej możliwej produktywności – wyjaśnił zakonnik – i zawsze dążymy do jej zwiększenia. To jest przyszłość, wielkie obszary ziemi i płodozmian, duża produktywność, wprowadzanie nowych upraw, wykwalifikowana siła robocza.

– Wszystko to bardzo ambitne.

– Nie, wszystko bardzo dobrze zaplanowane.

– Zgoda, ale co chcecie mi przez to powiedzieć? – Bizén znów spojrział w przepastny otwór w miejscu, gdzie znajdowały się kręte schody na wieżę.

– Ten klasztor zdołał się rozprzestrzenić i wzrosnąć i nie chciałbym, żeby cokolwiek zakłóciło jego teraźniejszość lub przyszłość – odparł mnich. – Musicie wykryć sprawcę śmierci oblata i to szybko.

– Staram się.

– Jest jeszcze coś, o czym powinniście wiedzieć – brat Timoteo westchnął – dlatego was przyprowadziłem tu, na górę, gdzie nikt nas nie może podsłuchać. Wśród zakonników był taki, który zbudził się owej



nocy i zszedł do kościoła.

– Dlaczego nie powiedzieliście mi o tym wcześniej?!

– Bo to nie on zabił oblata.

– Tego wiedzieć nie możecie – zawołał Bizén wzburzony wyznaniem, które właśnie usłyszał.

– Wiem, bo ten zakonnik to ja.

– Wy? – Bizén chwycił się rękami za głowę. – Zeszliście do kościoła!

I co tam zobaczyliście?

– Zobaczyłem zabitego oblata na posadzce, w tym samym miejscu i stanie, w jakim znaleźliśmy go podczas matutinum.

– Nic ponad to?

– Nie.

– A z jakiej przyczyny zeszliście do kościoła? – nalegał zaniepokojony Bizén.

– Z bardzo przyziemnej: w nocy mam napady niepohamowanego głodu, nie potrafię się temu oprzeć. Walczyłem z tym, ale to silniejsze ode mnie. Dlatego chowam jedzenie w pomieszczeniu, które znajduje się w połowie schodów.

– Przed świtem przychodzicie się pożywić do tej wieży i nikt was na tym nie przyłapał? – Bizén był zdumiony.

– Zachowuję się bardzo ostrożnie. Poza tym ostatnio mnisi śpią jak zabici, nie budzą się przez całą noc.

– Bracie Timoteo, to, co mi opowiadacie, źle wygląda, bo oznacza, że znaleźliście się bez żadnych świadków...

– Mówię wam prawdę, po to was tu przyprowadziłem. Kiedy zszedłem, w kościele nie było nikogo – powtórzył z naciskiem brat architekt.

– Dlaczego miałbym w to uwierzyć?

– Przysięgam, gdyby było inaczej, to po co bym wam to miał opowiadać? – zawołał mnich. – Poza tym jest coś, co powinniście wiedzieć o zabitym oblacie. Kiedy go znalazłem po raz pierwszy, Octavio nie miał żadnego sztyletu wbitego w szyję.

– Jak to – nie? Nie było broni?

– Nie, ktoś musiał mu później wbić ten sztylet – oznajmił brat Timoteo.

– Ale w jakim celu ktoś miałby wbijać sztylet w martwe ciało?

– Nie wiem, opowiadam tylko to, co widziałem – brat architekt spojrzał mu w oczy. – Musicie mi wierzyć. Zaklinam was, nie mówcie o tym nikomu. Byłem z wami szczery, ale nie chcę, żeby ktoś się dowiedział o moim niepohamowanym łakomstwie, a tym bardziej o tym, że tam byłem owej nocy – błagał mnich. – Z każdym dniem jest mi trudniej znosić ograniczenia naszego zakonu, zrobiłem błąd, przychodząc tutaj.

– Bądźcie spokojni, zachowam waszą tajemnicę – skinął głową Bizén.

– Jeszcze tylko jedno. O której godzinie zobaczyliście martwego zakonnika?

– Zszedłem o pierwszej, wiem, bo spojrzałem na zegar mechaniczny, i wróciłem do klauzury dokładnie przed godziną czytań.

– Z tego wynika, że oblat zginął niewiele przed godziną czytań. Jesteście pewni, że nie widzieliście żadnego innego zakonnika, który już nie spał?

– Ubolewam, ale nie widziałem, chociaż to nie znaczy, że takiego nie było – wyjaśnił brat Timoteo.

– No dobrze, jestem wam wdzięczny za szczerość. Jeśli wtedy nie było sztyletu, to znaczy, że to nie jest narzędzie zbrodni i że ktoś umyślnie wbił go w szyję zmarłego.

– Zejdźmy już, nie jest bezpiecznie, szczególnie kiedy wieje *cierzo* – mnich wskazał mu schody, zakasał habit, żeby mu się w nim nie zaplątały stopy. – Ostrożnie, nie byłibyście pierwszym, który poślizgnął się na tych stopniach i skończył z rozbitą głową – ostrzegł. A Bizén miał wrażenie, że w jego słowach dosłyszał jakiś ton pogróżki.

## Kuchnia

**P**o zejściu z dzwonnicy Bizén udał się do sadów owocowych, które opasywały klasztorne mury. Spacer dobrze mu zrobił, wiatr *cierzo* chłodził umysł. Mnisi, tak neutralni w swoim stroju zakonnym i zachowaniu w grupie, prywatnie okazali się bardzo różnymi typami ludzkimi. Jednoczyła ich wiara oraz oddanie dla zakonu cystersów, ale zdawało się, że ukrywają się za tym różne rodzaje wrażliwości, odniósł wrażenie, że również jakaś ciemna przeszłość.

Przypomniały mu się słowa brata Timoteo: „Dobro może istnieć bez zła, ale zło nie może się obyć bez dobra”.

Co dokładnie chciał przez to powiedzieć? W takiej wspólnoty jak Veruela, gdzie wszystko było podporządkowane modlitwie, gdzie tak usilnie poszukiwano zbliżenia do Boga poprzez dobroć, pracę, krótko mówiąc, poprzez dobro, czy mogło tam się zrodzić jakieś zło? Być może to był klucz do zagadki.

I czego zło mogłoby szukać w klasztorze? Co tak atrakcyjnego ma w sobie to miejsce? Może to coś takiego, czego pożądamy wszyscy ludzie?

Poprzez słowa brata architekta, podobnie jak przez słowa ojca przeora, prześwitywała myśl, że jakiś zły duch krąży po Verueli.

Musiał koniecznie wyśledzić ślad tego zła w śmierci oblata, zło musiało w jakiś sposób przeinaczyć rzeczywistość i pozostawić jakieś ślady, ale jakie?

Główną przeszkodą było to, że kongregacja była nie do zgłębnienia, zakonnicy nie mówili mu prawdy, tylko tę jej część, która była dla nich wygodna. Teraz przynajmniej rozumiał, dlaczego opat mu zaufał: nie dlatego, żeby uwierzył, że ma do czynienia z notariuszem królewskim,

ani też dlatego, że był przekonany o jego zdolnościach. Bynajmniej. Zrobił to dlatego, że nie mógł zaufać nikomu innemu. Innymi słowy, nie miał zaufania do swoich własnych mnichów. Był chory, przykuty niemocą do łóżka, sam zatem niewiele mógł zrobić.

Przerwała mu te rozważania czyjaś dłoń, która spoczęła na jego ramieniu. Bizén był tak pochłonięty myślami, że wzdrygnął się na ten dotyk.

– Notariuszu – dłoń należała do brata Saturia – darujcie mi, że was przestraszyłem.

– Ależ nie, wcale nie.

– Idę do rozsadnika, trzeba przygotować nasiona na przyszły tydzień.

– To bardzo ważne zadanie.

– Jedno z wielu, w Verueli nikt z nas nie jest bardziej potrzebny od pozostałych – odparł brat Saturio.

– To prawda i mam nadzieję, że znajdę zabójcę oblata, żeby wasza wspólnota odzyskała spokój.

– Oby się tak stało, co wieczór modlę się za was. Jestem przekonany, że wkrótce wam się to uda – i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– To wy pierwsi znaleźliście zamordowanego oblata, prawda?

– Tak – uśmiech zgasł.

– Jaki był brat Octavio? W takim klasztorze jak ten wszyscy musicie się dobrze znać – stwierdził Bizén, rozkładając dłonie w pytającym geście.

– To pozory, notariuszu. Jest mnóstwo pracy, a duża część dnia upływa nam na modlitwie, w samotności – odrzekł brat Saturio – to nie jest miasto.

– Rozumiem, jeszcze jedno pytanie. Widzieliście Octavia tego dnia, w dniu jego śmierci? Chodzi mi o to, czy z nim rozmawialiście w ciągu dnia albo czy widzieliście go rozmawiającego z jakąś inną osobą.

– Nie potrafię odpowiedzieć.

– Proszę, spróbujcie sobie przypomnieć.

– Zastanówmy się. Ja tego dnia pracowałem w ogrodzie, ponieważ

trzeba było zasadzić więcej ziół leczniczych – myślał na głos zakonnik. – Teraz nie potrzebujemy wiele, ale zawsze dbam o to, żeby niczego nie brakowało, a zwykle mamy za mało waleriany, myślę, że z winy kotów.

– Kotów? – zdumiał się Bizén. – Widziałem ich tu sporo, ale...

– Aromat tej rośliny wabi koty. Uwielbiają wyrwać sadzonki, tarzać się po nich i obgryzać liście. Jeśli chcecie się o tym przekonać, umieście walerianę gdzie zechcecie, a zaraz zjawi się kot. Z tej przyczyny niektórzy nazywają tę roślinę kocimiętką.

– To bardzo ciekawe, jednak wracając do mojego pytania, widzieliście oblata tamtego dnia?

– Sądzę, że widziałem go przelotnie. Późno, przed pójściem spać.

– To ważne – podkreślił Bizén. – Bracie Saturio, czy był sam?

– Tak, szedł przez klauzurę przejściem dla oblatów. Jak wiecie, wolno im używać tylko jednego korytarza w klauzurze, pozostałe są zarezerwowane dla nas.

– Tak, wiem. Ale co dokładnie robił?

– Ja byłem u wejścia, blisko spichlerza. Było już bardzo ciemno, ale jak się teraz nad tym zastanawiam, to mi się zdaje, że widziałem go z kimś – przypominał sobie Saturio. – Tak, z mnichem, miał na sobie biały habit, ale byli daleko, nie wiem, kto to mógł być.

– Nie moglibyście trochę tego sprecyzować? Podać przybliżonego opisu?

– Przykro mi, ale to wszystko, co pamiętam.

– To szkoda – Bizén się zamyślił. – Gdyby się wam coś jeszcze przypomniało, to proszę, dajcie mi znać.

– Bądźcie tego pewni, pragnę, żebyście znaleźli winnego i żeby wszystko w naszym klasztorze wróciło do normalnego stanu.

– Oby się to stało szybko – rzekł Bizén i dodał – bo muszę wam wyznać, że się lękam, czy morderca nie zechce ponownie...

– Co macie na myśli, notariuszu?

– Że jeśli ktoś raz ulegnie złu, może być skłonny dalej podążać tą drogą.

– Obawiacie się, że znowu zabije! – brat Saturio pobladł, nie potrafił zachować kamiennej twarzy tak jak przeor czy dziekan Estéban. Był zakonnikiem mniej doświadczonym i bardziej spontanicznym.

– Tak, może posunąć się do zabójstwa, kradzieży czy innego występku.

– Pojmuję wasze obawy i nie są próżne. Co możemy zrobić? – zapytał przejęty brat zielarz.

– Widziałem, że relikwie są przechowywane w zakrystii, pod kluczem. Ale zakon cystersów również bije monety.

– Owszem.

– Mogę zapytać, gdzie je trzymacie? Są zapewne dobrze strzeżone – drażył Bizén, korzystając z okazji.

– Czemu mnie o to pytacie? Z takim pytaniem lepiej zwrócić się do opata lub do przeora.

– Nie powinniśmy niepokoić opata; spodziewałem się, że w takiej wspólnotce jak wasza wszyscy bracia są zorientowani we wszystkim – wyjaśnił Bizén z odrobiną ironii. – Wyobrażam sobie, że sprzedaż wina czy oliwy przynosi klasztorowi poważne dochody.

– Tak też jest, ale to opat przechowuje nasze zarobki w swojej komnacie.

– To uzasadnione. Ale nie ma żadnego innego miejsca, w którym trzymacie cenne przedmioty czy jakieś zasoby na bieżące wydatki?

– Tak, w zakrystii – odpowiedział brat Saturio – razem z relikwiami, o których wspomnieliście.

– A ten sztylet, którym zabito oblata, gdzie też może być?

– Sztylet? Dlaczego o to pytacie?

– Bo ta broń to narzędzie zbrodni, a jednocześnie przedmiot o wielkiej wartości – wyjaśnił Bizén.

– No, sztylet to pewnie jest razem z ciałem, w kostnicy – odrzekł brat zielarz.

– A kto ma pieczę nad tym pomieszczeniem?

– Brat Bartolomé. Ale to dobry zakonnik – dorzucił mnich miękkim głosem – zapewniam was, że z jego strony nie potrzeba się niczego

obawiać. To dusza człowiek, zawsze gotowy do pomocy.

– Będę o tym pamiętał.

– Teraz mi się przypomniało! Tak, widziałem Octavia tamtego dnia – twarz mu się rozjaśniła – wychodzącego z kuchni.

– Jesteście tego pewni?

– O tak, całkowicie – potwierdził brat Saturio.

W owej chwili zbliżyli się do nich dwaj oblaci z narzędziami do pracy w polu.

Bizén pożegnał go i ponownie udał się do domu gościnnego. Spojrzawszy w górę, spostrzegł gęsty obłok. To z największego komina klasztoru dym wydobywał się wielkim słupem. Ruszył do budynku zdecydowanym krokiem.

Do kuchni wchodziło się z klauzury pierwszymi drzwiami po prawej. Było to kwadratowe pomieszczenie z wielkim paleniskiem pośrodku. Paliły się na nim żywym płomieniem świeżo dodane do ognia suche pędy i pnie winorośli. Słup dymu wznosił się szybko pod wysoki pułap, znajdując ujście w niewielkim otworze w dachu. Wszystko to razem sprawiało, że całe pomieszczenie przypominało ogromny piec.

Naprzeciw drzwi było jeszcze jedno, mniejsze palenisko, na którym woda gotowała się z bulgotem w glinianym garnku, a obok druga porcja wody, w metalowym kociołku, którego pokrywa postukiwała pod naporem błękitnawej pary.

Nie było żadnych dodatkowych drzwi ani nawet okna, nie licząc okienka, przez które podawano potrawy do refektarza. Bizén zorientował się, że otwór jest usytuowany w rogu pomieszczenia w taki sposób, że z refektarza nie widać kuchni, a co ważniejsze, nic z niej nie słychać. Dzięki temu ciszy, w jakiej jadali mnisi, nie mąciły pokrzykiwania i hałasy, jakie zapewne towarzyszyły przygotowaniu potraw.

Kiedy Bizén wszedł, w pomieszczeniu krzątało się trzech mężczyzn: dwóch młodszych, którzy podsycali ogień na głównym palenisku, i trzeci, który prawdopodobnie rządził w kuchni. Był to oblat o wyrazie

twarzą sfinksa, paru kosmykach włosów nad czołem, zadartym nosie, którego dziurki były tak duże, że ten narząd powonienia przypominał komin z dwoma przewodami. Rękawy zakasane powyżej łokcia pozwalały dostrzec przedramiona tak krzepkie i włochate, że można by je wziąć za dwa udźce baranie. Jego brzuch, równie obfity, zdolny konkurować zwycięsko z brzuchem dziekana Estébana, wyglądał jak pękaty wór uwieszony u pasa.

Kucharz wbił w przybysza oczy, nie wypuszczając z ręki noża, którym obcinał głowy tuzinowi oskubanych kurczaków, spoczywających na poczeriałym stole.

– Czego chcecie? – zapytał, odcinając kolejny łebek od szyi.

– Zdawało mi się, że zakonnicy nie jadają mięsa – zagaił Bizén.

– To na rosół, zresztą to drób – odrzekł kucharz, postępując parę kroków w głąb izby i wrzucając kurzy łeb do wiklinowego kosza.

– O ile się nie mylę, wy tu jesteście kucharzem?

– A co, widzicie jakiegoś innego w okolicy? – rzekł, zbierając kurze tuszki i wkładając je do glinianego naczynia. – W tym klasztorze tylko ja gotuję, nikt inny mi się do kuchni nie wtrąca, nikt! – i podniósł nóż w geście pogrożki.

– Nie wątpię – Bizén usiłował opanować lęk, choć ten kucharz budził w nim respekt. – Jestem notariuszem królewskim, próbuję dociec, co przydarzyło się bratu Octavio.

– Co w takim razie robicie w mojej kuchni? – chwycił pęk porów, podniósł rękę zbrojną w nóż i energicznymi uderzeniami zaczął siekać jarzyny.

– Myślę, że znaliście Octavia.

– Piekarza.

– Proszę?

– Octavio piekł chleb w naszym piecu – wskazał na rodzaj tunelu w głębi pomieszczenia. – Codziennie wstawał przed świtem, żeby przygotować chleb, to był dobry człowiek.

– Nie wiedziałem, że miał taki obowiązek.



– Bo to nie był jego obowiązek, on to robił, bo lubił pomagać – mruknął w odpowiedzi, odstawiając pory, i zaczął się kołysać na boki jak juczny muł. – Octavio nie pochodził z tych stron, przywędrował tu z klasztoru w Poblet, żeby się zajmować spichlerzem.

– Przecież spichlerz ma pod pieczę dziekan Estéban.

– Ale kiedyś było inaczej – wyjaśnił kucharz, sięgając po kubek, z którego wyjął jakieś podłużne liście, przypominające liście lauru.

– A ja myślałem, że dziekan Estéban od początku zarządzał *cellarium* w Verueli.

– Nie, pojawił się tu jakieś dziesięć lat temu – odrzekł kucharz. – Myślę, że wcześniej był w wielu innych klasztorach. Zgodnie z tym, co sam mi opowiadał, szukał dla siebie odpowiedniego miejsca.

– Odpowiedniego do czego?

– Dla własnych spraw. Dostyc już tych pytań, bo mnie tu zagadujecie, a jedzenie samo się nie zrobi.

– Opat mi polecił...

– To jest moja kuchnia i ja tutaj jestem od wydawania poleceń – przerwał stanowczo. – Wy dwaj – zwrócił się do swoich pomocników – przynieście mi karpie. No, ruszać się! Trzeba je wszystkie oczyścić. Tylko wcześniej dorzucicie do ognia, nie widzicie, że potrzeba więcej żaru?

Pomocnicy bez szemrania spełnili polecenia, podsycili ogień i zniknęli, pozostawiając ich sam na sam.

Bizénowi zaczynał już doskwierać skwar panujący w tym pomieszczeniu. Spoglądał, jak kucharz obficie się poci, krzątając się między garnkami i kotłami w otoczeniu słoików i przyborów kuchennych.

– Chcecie skosztować czegoś dobrego? – mężczyzna otarł dłonie zakrwawionym kawałkiem płótna, podszedł do półki, zdjął z niej parę butelek, zza nich wyciągnął jakąś małą flaszkę i nalał płynu do kubka. – Skosztujcie.

Bizén wziął naczynie i nieufnie podniósł je do ust. Pociągnął łyk i poczuł silne pieczenie, jakby gardło zaczęło mu się palić w środku.

Kaszlnął tak, że mało nie wylał reszty napoju z kubka.

- Przyznacie, że niezłe?
- Co to takiego? – Bizén znów kaszlnął.
- *Chordón* – odrzekł tamten z uśmiechem. – To Octavio pomógł mi sporządzić tę nalewkę. Robi się ją z jagód jednej takiej płożącej się rośliny, która rośnie na kamienistych, chłodnych zboczach Moncayo.
- Mocne – ocenił Bizén lekko chrapliwym głosem.
- O, tak! – rzekł z dumą rozmówca. – Cudowne! – i odstawił flaszkę na dawne miejsce. – Dziekan Estéban zakazał Octawiowi wyrobu tego kordiału. Powiedział mu po prostu, że reguła zakonna nie przewiduje marnowania czasu i wysiłku na wytwarzanie nalewek, tylko na wino. Wino, wino, coraz więcej wina. Ten człowiek ma obsesję na punkcie tego swojego wina.
- A wy nie gustujecie w winie, które on wytwarza?
- Jego wino jest dobre, gorzej z jego metodami – stwierdził kucharz.
- Co macie na myśli?
- Nie wiem, co wam dziekan Estéban opowiadał – kucharz znów chwycił nóż w jedną rękę, a w drugą kurczaka – ale pomysł z wlewaniem go do beczek nie był jego, to był pomysł Octavia.
- Nie, o tym mi nie wspominał.
- Co za zbieg okoliczności... Mnie on tam nie oszuka, strzeżcie się tego człowieka.
- Będę z nim ostrożny, ale dotąd mi nie wyjaśniliście, dlaczego Octavio przestał pracować w spichlerzu.
- To była sztuczka dziekana Estébana – tu kucharz się odwrócił na dźwięk jakichś szmerów dochodzących od strony drzwi pomieszczenia. – Oskarżył go, że pije wino poza posiłkami i opat na trzy dni wydalil go z klasztoru.
- A oskarżenie było fałszywe, tak?
- On się zajmował wyrobem wina, więc to jasne, że go próbował poza posiłkami, żeby się upewnić, czy się nie psuje. Ale dziekan Estéban zastawił na niego pułapkę. Kiedyś polecił mu spróbować trunku z tuzina beczek, uzasadniając, że jego zdaniem, w jednej skwaśniało – opowiadał

kucharz. – Octavio nie był o tym przekonany, ale posłuchał Estébana. Tylko nie wiedział, że gdy skończy, to tamten oskarży go przed opatem o pijaństwo.

– I tym sposobem dziekan Estéban się go pozbył.

– Tak. I spowodował, że Octavio popadł w niełaskę i został przydzielony do pomocy w kuchni przy wypieku chleba, pracował też jako cieśla. Obie te prace są podrzędne.

– Uważacie, że dziekan Estéban mógł mieć coś wspólnego z jego śmiercią?

– Ja nic takiego nie powiedziałem – zastrzegł się tamten.

– Oczywiście, że nie.

– Octavio był wyjątkowym zakonnikiem.

– Na czym to polegało? – Bizén był poruszony, ponieważ ten trop mógł nareszcie go doprowadzić do czegoś istotnego.

– Był świeckim zakonnikiem jak ja, nie miał nic przeciwko pracy, ale... dało się wyczytać z jego spojrzenia, że tęskni za czymś więcej. Miał bystry umysł, już wam wspominałem o jego pomysle, żeby wlewać wino do beczek. A poza tym był ambitny, to wygnanie nie mogło przekreślić jego planów, szukał jakiegoś sposobu, żeby odzyskać wysoką pozycję.

Pomocnicy powrócili do kuchni z okazałą wiązką karpia uwieszonych za pyszczki na metalowych hakach.

– A co tak długo? – zgromił ich kucharz. – Już jesteśmy spóźnieni z szykowaniem posiłku – co z was za obiboki!

Bizén usunął się na bok, żeby im nie stać na drodze.

– Grzyby! Gdzie położyliście grzyby?

Jeden z pomocników pospieszył po gliniane naczynie, a kucharz otworzył je ze złą miną i wydobyl z niego kilka białych, pękatych trzonków, długich na jakieś trzy palce i zakończonych brunatnym kapeluszem.

– Co to takiego?

– Ot, taki cud – uśmiechnął się kucharz – pokarm królów. Ten grzyb

jest jednym z najsmaczniejszych skarbów Moncayo.

– Nigdy takich nie jadłem.

– No to będziecie mieli okazję, oczywiście o ile mi pozwolicie w spokoju przygotować posiłek.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy Octavio był w kuchni tamtego dnia?

– Nie pamiętam – kucharz spuścił głowę i zaczął skrobać z łusek jedną z ryb.

– To sobie przypomnijcie, bo go widziano, jak stąd wychodził. Co robił? O czym rozmawialiście?

– Wpadł, żeby sprawdzić jakość wina tego wieczoru, on się dalej troszczył o te rzeczy. Otworzył beczkę, skosztował i poszedł sobie.

– Nie mówił nic szczególnego?

– Owszem, powiedział – kucharz na chwilę przerwał czyszczenie karpia. – Powiedział, że wino jest dobre. A zapewniam, że Octavio nigdy by tego nie powiedział o winie dziekana Estébana. Nie mam czasu na więcej głupot – kucharz obrócił się do niego plecami. – Idźcie zwracać głowę komu innemu, ja mam dużo pracy – i wskazał Bizénowi drzwi.

## Kostnica

**W**chodzenie do refektarza stanowiło cały, drobiazgowo zaplanowany ceremoniał. Najpierw rytuał obmycia dłoni i stóp w łaźni na dziedzińcu, potem wejście do sali w milczeniu. We wnętrzu oczekiwał ów długi stół, przy którym mnisi zasiadali w ściśle określonym porządku, bez konieczności wymieniania między sobą jakichkolwiek słów. Był też drugi stół dla przeora i braci dziekanów, usytuowany na podeście górującym nad resztą pomieszczenia, a po jego prawej stronie znajdowały się schodki prowadzące do pulpitu, z którego to miejsca czytano lektury towarzyszące posiłkowi. Tuż obok wejścia znajdowało się okienko do wydawania dań, gdzie właśnie zaczynały się pojawiać pierwsze potrawy. Temperatura była przyjemna, ponieważ refektarz znajdował się pomiędzy *calefactorium* a kuchnią, jedynymi ogrzewanymi pomieszczeniami w klasztorze.

Wszystko to zdawało się owocem przemyśleń światłego umysłu, który dołożył starań, aby umilić jedną z chwil, które dla wszystkich ludzi, świeckich czy duchownych, prostych czy szlachetnie urodzonych, mają tak wielkie znaczenie: porę posiłku.

Bizén znów zasiadł przy stole na podwyższeniu, pomiędzy dziekanem a przeorem. Uważnie przyjrzał się temu drugiemu. Jego postać jak zawsze tchnęła spokojem, jakby nic nie mogło go dotknąć. Jego błękitnawe wejrzenie było przenikliwe, spod srebrzystych, gładkich włosów wyglądała szyja równie smukła i wyprężona, jak cała jego szczupła sylwetka. Wyglądem różnił się diametralnie od okrągłego, brzuchatego dziekana Estébana, z tym jego wydatnym znamieniem

na twarzy oraz kosmykiem opadających na czoło włosów.

Wiedział, że posiłek zacznie się od funtowej porcji chleba i warzywnego bulionu z kawałkami mięsa. Brat furtian podniósł się z miejsca i pomodlił, aby przed mszą i komunią Bóg oddalił od niego wyniosłość ducha. Wypił nieco wina z wodą przed rozpoczęciem, a następnie przeczytał z pulpitu tekst, który został powtórzony aż trzykrotnie przez obecnych.

Po tym zapanowała absolutna cisza, tak głęboka, że nie było słycać żadnego dźwięku, żadnego głosu, wyjąwszy słowa czytane przez lektora. Bracia Bartolomé i Hugo podali wieczerzę przeorowi, a dwóch oblatów obsłużyło mnichów siedzących przy większym stole.

Mnisi wzajemnie podawali sobie potrzebne rzeczy, nie wymawiając słowa. Tylko jeden z nich pragnął, by mu przyniesiono więcej wina, co zasygnalizował znakiem dłoni.

Bizén przywykł już do atmosfery panującej przy posiłku i gdy spożywał go po raz drugi, jedzenie sprawiło mu większą przyjemność niż w dniu przybycia do klasztoru.

Milczał, wiedział bowiem, że najlepszym sposobem na zdobycie informacji od członków kongregacji jest rozmowa w cztery oczy, że tylko w takich warunkach są skłonni podzielić się sekretami, jakie ukrywali. Najlepiej było ich zagadnąć w jakimkolwiek innym miejscu: w spichlerzu, *locutorium* czy zakrystii, ale nie w refektarzu czy w klauzurze, gdzie każdy mógł ich zobaczyć.

Wieczera dobiegła do końca i opuścili salę.

Do tej pory Bizén odbył rozmowę z przeorem Antónem, z sędziwym bratem Adolfem, z bratem Saturio, dziekanem Estébanem, braćmi Ramiro, Timoteo i Rogelio.

Z dziesięciu mnichów, którzy ubiegłej nocy spali w klasztorze, zostało trzech, z którymi jeszcze nie zdążył się rozmówić: Julian, którego nazywano tu powszechnie panem wód, Bartolomé oraz Hugo, najmłodszy z zakonników.

Bizén ruszył w stronę domu gościnnego, ale zamiast wejść do środka,

szedł dalej, w stronę niewysokiej budowli usytuowanej w pobliżu wejścia do opactwa. Mimo że ten budynek niewiele wznosił się nad poziom gruntu, miało się wrażenie, że pełni istotną funkcję w klasztorze, zważywszy na jakość kamienia, z którego go wzniesiono. Obszedł go dokoła i zauważył, że naziemnym kanałem dopływa doń woda, doprowadzona z rejonu przy murach Verueli. Poszedł wzdłuż tego koryta i napotkał staw zasilany strumieniem przedostającym się przez otwór w fundamentach muru. Przekop biegł dalej po linii prostej aż do jakiejś kwadratowej konstrukcji. Idąc z wolna, dotarł do stopnia wodnego. Nie zatrzymał się tam na długo, ponieważ wydało mu się, że w oddali dostrzega brata Bartolomé w towarzystwie dwóch oblatów. Pospieszył mu na spotkanie i stanął przy nim w chwili, kiedy cała trójka zniknęła w drzwiach stolarni.

Bizén wszedł do środka. Było tam kilku braci świeckich, sporządzających coś na kształt podłużnej skrzyni.

– Nie chciałbym przeszkadzać.

– Zbijamy trumnę dla zmarłego Octavia.

– To także należy do waszych powinności?

– Tak jest – i zamilkł.

– Czy mógłbym z wami zamienić parę słów? Chciałbym wam coś pokazać.

– Mnie?

– Tak – nalegał Bizén – i wskazał mu drzwi. – Tam, na zewnątrz, to tylko chwila.

– Dobrze, ale mam niewiele czasu.

– Oczywiście – Bizén zaprowadził go na zaplecze stolarni, skąd widać było młyn wodny. – Odkryłem coś ważnego, co wiąże się ze śmiercią oblata.

– Co takiego? – zapytał miękko brat Bartolomé.

– Jeszcze nie mogę tego ujawnić, to ma związek ze sztyletem, z bronią, którą go zabito.

– Święci Pańscy! Mam nadzieję, że to nie jest nic złego!

– Obawiam się, że nic dobrego, bracie Bartolomé – Bizén ujął go za ramię. – Czy wiecie, do kogo ta broń może należeć?

– Ja? Nie, oczywiście, że nie. Skąd mógłbym takie rzeczy wiedzieć?

– To drogocenny sztylet, jego rękojeść kapie od złota. Czy macie pojęcie, jaką wartość przedstawia taki przedmiot? Możliwe, że ten sztylet był powodem śmierci oblata... – oznajmił Bizén. – Ta broń to klucz do tajemnicy. Jest u was?

– Nie, ja... ja go zostawiłem w kostnicy – odrzekł wystraszony brat Bartolomé.

– Mam nadzieję, że w bezpiecznym miejscu.

– No... na stole.

– Ale drzwi są dobrze zamknięte? – drążył Bizén, przypatrując się rosnącemu zdenerwowaniu, jakie malowało się na twarzy rozmówcy.

– Izba zmarłych jest zawsze otwarta, nie ma w niej żadnych kosztownych rzeczy, wszystko, co przedstawia większą wartość, jest przechowywane w zakrystii.

– Powiadacie, że wejście do kostnicy jest otwarte? – tym razem Bizén się zdenerwował. – Czy naprawdę pozostawiliście sztylet na łasce losu?

– Boże wszechmocny! – brat Bartolomé uniósł dłonie do piersi.

– To być nie może! Chodźmy tam! Musimy go natychmiast schować – ruszyli we dwóch w stronę kościoła.

Mnich szedł przodem, przypominał żywy kłębek nerwów. Bizén, nieco spokojniejszy, podążał za nim. Przemierzyli kłauzurę, a następnie przecięli kościół w miejscu, gdzie nawa główna krzyżowała się z boczną. Istotnie, drzwi sali zmarłych były otwarte, stężałe ciało oblata spoczywało na stole. Brat Bartolomé w panice zaczął przeszukiwać niewielkie pomieszczenie, na koniec spojrzał na Bizéna.

– Nie ma, zniknął!

Zakonnik padł na kolana i zaniósł się szlochem.

– Bracie – Bizén pomógł mu się podnieść – uspokójcie się. Powiedźcie mi, kiedy widzieliście sztylet po raz ostatni?

– Dziś rano – odpowiedział, pochlipując. – Żałuję, nie wiedziałem,



że jest taki cenny, ja tylko... Darujcie mi, błagam.

– Czy muszę wam przypominać, że na wszystkich zakonnikach ciąży podejrzenie o zabicie oblata?

– Ja nie, ja tylko... – mnich nie wiedział, co odpowiedzieć. – Ja nie mogę być podejrzany.

– Obawiam się, że tak, chyba że... – Bizén przyglądał mu się przez chwilę – chyba że macie mi coś do powiedzenia. Czy wiecie o wydarzeniach tamtej nocy coś, czego nie wiem?

– Nie, ja nic nie wiem – brat Bartolomé zatrzepotał rękami.

– W takim razie będę musiał zawiadomić przeora o waszym zaniedbaniu. To była broń, którą zamordowano waszego brata! I nie koniec na tym, to mógł być również motyw zbrodni. Czy zdajecie sobie sprawę, co to wasze fatalne zaniedbanie oznacza?

– Zmiłujcie się – brat Bartolomé znów padł na klęczki przed notariuszem. – Nie wydawajcie mnie.

– Przykro mi, bracie Bartolomé, ale muszę to zrobić.

– Ten sztylet nie ma nic wspólnego ze śmiercią Octavia.

– Co powiedzieliście?

– Nikt go nie chciał ukraść, ten sztylet był w grobie następcy tronu – odrzekł zakonnik – był częścią rynsztunku, z jakim go złożono do grobu.

– A skąd o tym wiecie? Co taicie przede mną, bracie?

– W dniu, kiedy to wszystko się zdarzyło, po południu pracowałem w kostnicy – wyznał z lękiem brat Bartolomé – przyszedł do mnie Octavio i coś mi opowiedział.

– Co wam powiedział Octavio?

– Miał zamiar wejść tej nocy do kościoła, opat go o to poprosił.

– Opat? – Bizén potrzebował chwili czasu, żeby dotarła do niego treść tych słów. – On polecił bratu Octavio udać się do kościoła?

– Tak mi powiedział. Octavia łączyły bliskie stosunki z opatem Sanchem. Nie był zwyczajnym oblatem. Octavio był z nich wszystkich najbardziej uzdolniony, w przyszłości mógł zostać zakonnikiem chórowym, jak my. I wydaje mi się, że opat był tego samego zdania

i dlatego darzył go zaufaniem.

– A zatem to opat kazał mu się udać do świątyni, kiedy wszyscy zasną. A kto go tam wpuścił?

– Ja – odrzekł, spuszcżając oczy.

– Bracie Bartolomé, wy otworzyliście drzwi i nie przyznaliście się do tego do tej pory?!

– Bałem się – zakonnik znów zaniósł się płaczem – ale go nie zabiłem! Musicie mi uwierzyć!

– To się okaże – Bizén chwycił go za rękę. – Co więcej wiecie? Mówcie.

– Ja zrobiłem wszystko, o co Octavio mnie poprosił przed kolacją.

– Czyli zaplanowaliście to tamtego popołudnia... Co wam kazał zrobić?

– Nalegał, żebym nie pił wina, mówił, że muszę być absolutnie trzeźwy. Ja prawie nie piję i mieszam tę odrobinę z dużą ilością wody, ale Octavio się upierał. Tłumaczył mi, że to jest polecenie opata – dodał mnich. – Posłuchałem go, nie tknąłem wina. Kiedy wszyscy zasnęli, zszedłem do kościoła, otworzyłem okienko pod schodami i czekałem, aż Octavio mnie przez nie zawoła.

– A potem?

– Otworzyłem drzwi i wróciłem do dormitorium.

– Bracie Bartolomé – Bizén uniósł ręce, przycisnął obie dłonie do karku i przemierzył drogę do drzwi, a potem na powrót – wyjaśnijcie mi, w jakim celu brat Octavio udał się do kościoła?

– Żeby... – mnich urwał i spojrzał na notariusza – on miał...

– Wyjąć z grobu ciało następcy tronu i ukryć je – skończył za niego Bizén ku całkowitemu zaskoczeniu zakonnika.

– Skąd wy to wiecie? – i mnich cofnął się przerażony.

– Bracie Bartolomé, kto go zamordował?

– Nie wiem, przysięgam!

– Obawiam się, że wam nie wierzę, teraz już nie. Kto zabił Octavia? – podszedł do zakonnika i chwycił go za habit.

– Powiadam wam, że nie wiem.

– Wy to zrobiliście! – rzucił mu w twarz.

- Nie – odpowiedział tamten z płaczem.
- Oczywiście, że tak – zacisnął mu ręce na szyi. – Przyznajcie się!
- Ja wróciłem do dormitorium, tak jak się umówiliśmy. Dlaczego miałbym go zabijać?
- Wyduście to w końcu, na miły Bóg!
- Notariuszu, klnę się na Jezusa Chrystusa, że nie zabiłem Octavia – Bizén go puścił, a mnich się przeżegnał. – Jeśli kłamię, niech spadnie na mnie cały gniew Boga, bo wówczas nie zasługiwałbym na Jego wybaczenie i miłosierdzie.
- Żeby wam zaufać, potrzebuję czegoś więcej niż przysięga, powiedzcie mi coś, czego nie wiem – Bizén przyłożył dłoń do skroni, jak ktoś, kto odczuwa nieznośny ból głowy. – Coś, co mi pomoże... – wypowiedział z zamkniętymi oczyma.
- Ja byłem wyczerpany, nie zmrużyłem oka przez całą noc, czekając na niego. Z tego powodu, kiedy już wróciłem do dormitorium, natychmiast zapadłem w sen. Może to nie ma znaczenia – brat Bartolomé głośno nabrał powietrza – ale tamtej nocy zauważyłem coś niezwykłego.
- Cóż takiego? – Bizén otworzył oczy i skierował wzrok na rozmówcę.
- Żaden z braci się nie poruszył, kiedy przyszedłem, a normalnie wszyscy wiemy, kiedy jeden z nas wstaje z posłania, choćby po to, żeby się udać do latryny. Już wam mówiłem, że to drobnostka – powiedział z cicha brat Bartolomé – ale chciałem was o tym powiadomić, żeby mieć czyste sumienie. Wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie. I jest jeszcze jeden drobiazg... Octavio był zadowolony. Jeśli się szykował do otwarcia tego grobu, to zapewne nie robił tego za darmo, spodziewał się dostać coś w zamian.
- Nie wiem, czy to mi wystarczy.
- Przynajmniej na razie nic nie mówcie, prowadźcie śledztwo – prosił zakonnik – na pewno znajdziecie inne ślady. Ja nie mam dokąd stąd odejść, co bym z sobą począł?
- Zgoda, tymczasem zachowam milczenie – odrzekł stłumionym

głosem Bizén – ale będę was obserwował.

Jeszcze raz omiół wzrokiem ciało oblata leżące na stole, a potem opuścili izbę zmarłych i pożegnał mnicha obietnicą, że wstrzyma się z wyjawieniem jego kłamstw. Powrócił do domu gościnnego już po ciemku. Tyle myśli kłębiło mu się w głowie, że trudno mu było je uporządkować. Musiał się z nimi zmierzyć w samotności. Usiadł na posłaniu w swojej celi oświetlonej paroma świecami ustawionymi na stoliku, przed oczyma stanął mu obraz klasztornego wirydarza. Wyobraził sobie, że go przemierza, przyglądając się pędom winorośli zdobiącym niektóre kapitele wykonane z najwyższym kunsztem rzeźbiarskim. Przypomniał sobie smak wina, które wytwarzał dziekan Estéban, niezmacony spokój przeora, postać opata przykutego chorobą do łoża i wyznania brata architekta. W tym klasztorze istniała jakaś mroczna tajemnica, tego był pewien, czuł jej obecność tak wyraźnie, jak tę woń, którą nasycone było powietrze jego kwatery, ten aromat, którego źródła nie potrafił ustalić. W niektórych miejscach zapach przybierał na sile, w niektórych miejscach i okolicznościach, a chociaż czasami tracił intensywność, nigdy nie zanikał całkowicie.

Jaki sekret kryła Veruela?

Być może to nie ograniczało się do grobu następcy tronu i śmierci oblata, mogło chodzić o coś zgoła innego. Jeśli czegoś był pewien, to obecności mrocznej tajemnicy. Nie wiedział, czy uda mu się ją rozwikłać, ale musiał próbować, musiał ją odkryć, ta konieczność stała się jego obsesją. Jak ukąszenie żmii, która wstrzyknęła jad, zatruwający z wolna całe ciało.

Jak bardzo brakowało mu teraz mistrza! Gdyby tak był przy nim don Antonio Martínez de la Peira, naczelny notariusz na wszelkie ziemie i włości króla Aragonii! Don Antonio, jak zwykł był go nazywać, nie był Aragończykiem, wywodził się z miasta Bilbao. To pochodzenie przyczyniało chwały mężowi, który osiągnął tak wysoki urząd. Był godnym obywatelem, który nie zawdzięczał łask wysokiemu rodowi, lecz własnej pracy, ofiarności i zdolnościom.

Don Antonio często mówił, że mozolną pracą zapłacił za to, co osiągnął. Bizén dążył do odznaczenia się podobnymi zasługami, jakie zdobyły jego mistrza, cieszącego się w Saragossie najwyższym szacunkiem, któremu zawdzięczał godność majordoma bractwa Świętego Tomasza z Akwinu.

Praca w jego służbie była dla Bizéna prawdziwym szczęściem, choć w rzeczywistości to matka wystarała się dla niego o to zajęcie. Słynny notariusz, z nieodmiennym zmarszczeniem brwi, często cytował zdanie prawnika z czasów starożytnego Rzymu, którego zwano Cyncerem: „Milczenie szkodzi prawdzie tak samo jak kłamstwo”.

A w tym klasztorze było wiele milczenia.

Zbyt wiele.

Był uprzedzony, że mnisi nie rozmawiają między sobą podczas jedzenia, w kościele ani w klauzurze. Słów wymieniali niewiele, a jednak miało się wrażenie, że znakomicie porozumiewają się wzrokiem.

Próbować nakłonić do mówienia kogoś, kto do tego nie przywykł, to rzecz trudna.

Zadanie Bizéna pierwotnie miało się ograniczać do sporządzania notatek dla don Antonia, teraz jednak sytuacja go zmusiła do przyjęcia całej odpowiedzialności. Odczuwał, że nieoczekiwana misja, jaką obarczył go opat Verueli, to ciężar nie do uniesienia, a jednocześnie podejrzewał, że to jedyny sposób, żeby odnaleźć szczątki infanta i zawieźć je braciom kaznodziejom z Huesca. A Bizén był zmuszony wywiązać się z tego posłannictwa, bo w przeciwnym wypadku po powrocie oczekiwałyby go poważne problemy.

Ciągle jeszcze nie pojmował do końca, dlaczego opat, zamiast go zdemaskować, nadał mu specjalne uprawnienia i zlecił tak ważne zadanie.

Jedynę pytanie, jakie natrętnie nękało jego umysł, brzmiało: który z zakonników zamordował oblata?

Wiedział, gdzie: w kościele. W kościele, którego drzwi są zamknięte

od zewnątrz, a do którego ofiara zbrodni – jeśli tylko ona – zdołała wejść dzięki pomocy brata Bartolomé.

Wiedział również kiedy: między nieszporami a matutinum.

Poza tym do niedawna sądził, że wie, w jaki sposób zabito oblata: sztyletem. Jednak zmienił zdanie za sprawą brata architekta, bo sztylet został wbity w szyję oblata, kiedy ten już nie żył. Nie był narzędziem zbrodni.

O tym szczególe, który uznawał za niezwykle istotny, wiedział tylko on. Jakimi względami powodowano się, podmieniając narzędzie zbrodni?

To pytanie prowadziło do kolejnego: gdzie znajduje się broń, którą naprawdę poderżnięto gardło oblatowi?

A szczątki infanta?

Hipoteza, jaka się nasuwała, była następująca: oblat otworzył sarkofag z pomocą zabójcy, wyjęli ciało infanta i ukryli je... ale gdzie? Oto zagadka, musieli je schować gdzieś w świątyni. Jedną z opcji było przyjęcie założenia, że mnich morderca miał dosyć czasu, żeby zabić oblata, wyjść z kościoła z ciałem, ukryć je, a następnie wrócić, jednak to wydawało się nieprawdopodobne. Gdyby tak postąpił, naraziłby się na to, że któryś z zakonników zejdzie i wszystko odkryje.

Istniało pewne prawdopodobieństwo, że oblat pomógł mnichowi wydostać z grobu szczątki infanta, a potem uciekł z nimi z kościoła i zaraz potem wrócił, żeby zabić...

Ale morderca nie mógł mieć aż tyle czasu, ponieważ brat architekt go zapewnił, że zszedł bezpośrednio przed matutinum, a zatem czas na kradzież ciała infanta i zabicie oblata zawierał się w krótkim przedziale.

Otwarcie grobowca królewskiego, wydobywanie ciała, ponowne zamknięcie grobu, wyniesienie szczątków zabrałoby znaczną ilość czasu. Jak mogli to zrobić? I gdzie ukryli ciało? Czyżby przeszli przez klauzurę i wyszli niepostrzeżenie? Nawet jeśli wszyscy zakonnicy byli pogrążeni we śnie, zdawało się to bardzo ryzykowne. Zresztą mógł się zbudzić

któryś z oblatów i przyłapać ich na gorącym uczynku.

Chyba że... ciało w ogóle nie opuściło kościoła!

Mogli je ukryć w innym, nieodległym miejscu. Świątynia jest przestronna, ale kiedy zakonnicy ją przeszukiwali, natrafiliby na nie.

W innym grobie!

A jeśli rzeczywiście tak zrobili? Jeśli ukryli infanta w jednym z grobów, których tyle jest w kościele? Choćby w jednym z tych, w których są pochowani członkowie rodziny Atarés, u samego wejścia do kościoła, albo w sali kapitulnej, gdzie groby są tak liczne. Veruela była pełna grobów, w których dało się ukryć szczątki zmarłego.

Gdyby Bizén zwrócił się do przeora o pozwolenie na otwarcie wszystkich grobów na terenie świątyni, żeby sprawdzić, czy we wnętrzu któregoś nie ukryto szczątków następcy tronu, ten wyrzuciłby go z Verueli potężnym kopniakiem.

Zresztą zakładając, że doszłoby do sprawdzania grobowców, w jaki sposób zdołałby ustalić, które szczątki są ciałem syna króla Jakuba I?

To był szczegół, ale konieczny do uwzględnienia: jak go rozpoznać teraz, kiedy został wyjęty z grobu? Być może jedyną osobą, która mogłaby dokonać identyfikacji, jest zabójca?

Tak czy owak otwieranie wszystkich grobowców w kościele wydawało się niewykonalne.

Brakowało mu odpowiedzi na dwa podstawowe pytania: jaki był motyw zbrodni i jakim narzędziem posłużył się zabójca.

Miał przynajmniej jednego poważnie podejrzanego: brata Bartolomé. Teraz jednak, kiedy wiedział, że to opat polecił oblatowi wykraść szczątki... Intuicja podpowiadała mu, że jeśli chce się upewnić, powinien dążyć dalej.

Bizén wziął jedną z książek, które tu ze sobą przywiózł, i przysunął się do niepewnego światła, jakie rozjaśniało celę. Co wieczór czytał parę stron. Kiedy zapadała noc, postaci z ksiąg ożywały w jego wyobraźni i roztapiał się w tych pisanych słowach. Podczas czytania czuł się wolny; nie ruszając się na krok z miejsca, wyruszał w podróż. Najbardziej lubił

księgi za to, że na jakiś czas pozwalały mu się przemienić w innego człowieka. Toteż, nie tracąc ani chwili, otworzył książkę.

W tym samym momencie usłyszał w korytarzu skrzypienie. Odczekał jakiś czas, nasłuchując, czy dźwięk się nie powtórzy, ale powróciła cisza. Ponownie wziął się do czytania. Wówczas skrzypienie rozległo się ponownie. Usiadł na posłaniu i wpatrzył się w drzwi. Kiedy opuścił wzrok ku podłodze, spostrzegł pergamin, który ktoś właśnie wsunął do jego izby. Wziął go ostrożnie i przeczytał bezgłośnie, co tam napisano:

*Jestem przyjacielem zakonników,*

*Chcę dostać, co mi obiecali.*

*Czekam na was dziś w nocy przy cmentarzu.*



## Cmentarz

**O**tej porze panował przenikliwy chłód, mimo to Bizén nie wahał się stawić w miejscu, które wskazano w liście. To była dla niego najlepsza sposobność, żeby rzucić nieco światła na to, co się wokół niego rozgrywało. Okrył się wełnianym płaszczem i różnym krokiem począł się oddalać od domu gościnnego, nie chcąc, żeby go ktoś zobaczył.

Dotąd nie zlokalizował cmentarza, który musiał przylegać do kościoła. A skoro klasztor był doklejony do prawej strony świątyni, rozsądek podpowiadał, że cmentarz musi leżeć po przeciwnej. Doszedł do fasady i skręcił w lewo. Znalazł się na terenie wychodzącym na ogrody klasztorne i rzeczywiście, napotkał tam skromne kamienne ogrodzenie, za którym widoczne były krzyże upamiętniające tych, których tam pochowano. Musiały stać na grobach mnichów i oblatów z Verueli, ponieważ opatów i przeorów grzebano we wnętrzu.

Nagle spostrzegł coś frunącego płaskim lotem. To była biała sowa, prawdziwa pani nocy w Verueli.

Złęczniony uskoczył w bok i przystanął obok jednego z krzyży. Był kamienny, wysoki, zachowany w dobrym stanie. Zaczął kluczyć pomiędzy grobami i zastanawiać się, ilu też mnichów może spoczywać na tym cmentarzu. Jeśli klasztor liczył sobie dwa wieki z okładem, ich liczba mogła być ogromna. I wszyscy leżeli w ziemi pod jego stopami.

- Ani kroku dalej – rozległ się jakiś ochrypły głos za jego plecami.
- Kto to?
- Milczeć.
- Chcę dostać to, co mi obiecano – szcęknął głos o dziwnym, jakby

metalicznym brzmieniu.

– Nie wiem, o co wam idzie.

– Zakonnicy z Hueski was wysłali i obiecali mi zapłatę.

– Zważcie, że zostaliśmy napadnięci w lesie – odrzekł Bizén – i tylko ja uszedłem z życiem.

– Wy jesteście notariuszem królewskim i znacie warunki umowy. Bierzecie mnie za głupka?

– Nie, oczywiście, że nie.

– No więc? – powtórzył tamten tym samym dziwnym głosem. – Ostrzegam was, że jeśli nie zostaną dotrzymane, biskup Tarazony z przyjemnością przyjmie moje powiadomienie.

– Bez pośpiechu – Bizén usiłował odnaleźć się w tej sytuacji, próbując jednocześnie odgadnąć, czy na cmentarzu ukrywa się ktoś jeszcze. – Najpierw musicie mi pomóc, w przeciwnym wypadku nie zdołam spełnić waszego żądania.

– Nie tak się układaliśmy.

– Okoliczności się skomplikowały, już wam mówiłem, że dotarłem do Verueli bez pomocników.

– A czego się spodziewaliście? Że wam pozwolą spokojnie dojechać do klasztoru? Uprzedzałem, że potrzebujecie zbrojnej eskorty, bo inaczej wam się nie uda.

Bizén daremnie się silił, żeby rozpoznać ten głos. Zastanowił się nad swoim położeniem i doszedł do wniosku, że trafia mu się okazja, żeby posunąć naprzód śledztwo.

– A poza tym w grobowcu nie ma ciała infanta.

– To niemożliwe! – głos po raz pierwszy zabrzmiał w bardziej naturalny sposób. – Co wy, do diabła, opowiadacie?

– Obawiam się, że możliwe. Odsunąłem płytę nagrobną z pomocą przeora i w środku było pusto.

– A do kroćset! Ktoś jeszcze o tym wie?

– Przeor prosił mnie o zachowanie tajemnicy, lęka się, że ludzie z Moncayo połączą to zniknięcie ze zmarłymi, którzy rzekomo

przychodzą z piekła, bo zbliża się Noc Dusz Pokutujących.

– I mają rację – potwierdził stanowczo głos.

– Kto nas zaatakował w drodze do Verueli?

– To już nie ma znaczenia, teraz ciało infanta zniknęło – zamilkł na dobrą chwilę. – Musicie je odszukać! Powiedziałem braciom z Hueski, że powrócicie najwcześniej, jak się da. Wasz powrót za bardzo się opóźnia!

– To nie moja wina. Kto mógł, waszym zdaniem, wykraść ciało z królewskiego grobu? – zapytał Bizén.

– Nie wiem, mógł to zrobić ktokolwiek – odrzekł głos za jego plecami.

– Czego nie pojmuję, to dlaczego zabito Octavia. Jaki to ma sens?

– Może chodziło o to, żeby milczał.

– W tym klasztorze nikt się nie kwapi do mówienia. To musiało być coś innego – mruknął tamten.

– Co podejrzewacie?

– To wy macie dociec przyczyny – do uszu obydwu dotarł z mroku jakiś trzask, który położył kres ich spotkaniu. – Liczcie do dwudziestu i nie próbujcie się ruszyć z miejsca, nim skończycie, bo gorzko pożałujecie. Kiedy znów się spotkamy, albo zdobędziecie więcej informacji, albo zrywam umowę.

Bizén został sam. Był zбитy z tropu, zaczął liczyć, ale doszedł tylko do jedenastu. Potem cofnął się o krok, a następnie szybko się obrócił. Wszystko tonęło w ciemności, wokół niego krzyże cmentarne rzucały niewyraźne cienie. Strach o własne życie sprawił, że pognał przez cmentarz jak chart i nie zatrzymał się w biegu, póki nie znalazł się przy głównym wejściu do kościoła.

Dostrzegł wówczas jakiś ruch nieopodal jednego z oddalonych zabudowań, jakieś cienie, które szybko roztopiły się w ciemności od strony klasztornych sadów. Bizén poczuł, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo; znów puścił się biegiem i nie zatrzymał się, póki nie dotarł do domu gościnnego.

Kiedy zakonnicy uczestniczyli w ostatniej modlitwie, niektórzy spośród mieszkańców Verueli mieli zwyczaj gromadzić się w pobliżu kanału, który brał początek przy klasztorze. Zbierali się w szopie, gdzie przechowywano narzędzia ogrodnicze, takie jak tyczki do zbioru oliwek czy małe sierpy, używane podczas winobrania. Było to miejsce dostatecznie oddalone, żeby z wyprzedzeniem wypatrzeć zbliżającego się mnicha, taka dodatkowa ostrożność, choć wiedzieli, że w godzinie nabożeństwa podobna wizyta była mało prawdopodobna.

Jednooki był pucułowatym tłuściochem, oczekującym na dzban wina z wielkim entuzjazmem. To był w jego życiu największy i jedyny luksus. Pił je chciwie, wielkimi haustami, wypełniając usta owym eliksirem ze szczepu garnacha, co tak cudownie rozgrzewał pierś i wnętrzności i sprawiał, że człowiek tryskał energią. Wino rozwiązywało mu język i skłaniało do opowiadania, co ślina na język przyniesie. A kiedy już wychylił kilka dzbanków, wzbierała w nim niepowstrzymana ochota do śpiewu. Całe szczęście, że Atilano i pozostali uciszali go paroma kuksańcami, nie dopuszczając do wybuchu grubszej awantury.

Trunek pozwalał im zapomnieć o władczej obecności mnichów. W tym zakątku, leżącym poza zasięgiem duchownych, wszyscy poddani klasztoru napełniali dzbany i bez ogródek rozprawiali na wszelkie tematy. To było jedyne miejsce, w którym rolnicy, rzemieślnicy, pasterze i stróże, wszyscy ci ludzie podlegli klasztorowi, czuli się wolni.

Atilano był największym osiłkiem wśród tej gromady. Jego normańska krzepa budziła respekt, portretu dopełniały wydłużona twarz, wielkie usta i uszy, czarne, proste włosy przypominające psią sierść. I pił chciwie, tak samo jak trzydziestka klasztornych poddanych, którzy się tam tłoczyli. Tylko Pedro, kowal, raczył się trunkiem umiarkowanie. Wiedział, że to wino jest mocne nawet po rozwodnieniu i łatwo po nim stracić głowę. Gdyby mnisi odkryli, że wykradli beczkę ze spichlerza, wymierzyliby im straszną karę.

Najmłodszym pośród obecnych był Nuño, syn kowala. Ojciec pozwolił mu dołączyć do kompanii po ostatnim napomnieniu, jakie

otrzymał od zakonników. Trzymali go zakutego w łańcuchy za to, że wziął dwa jabłka. Pedro od siebie też mu spuścił tęgie baty za to wykroczenie. To był jego jedyny syn i ojciec miał coraz większe wątpliwości, czy chłopak wyjdzie na ludzi.

– Powiadają, że Anglicy krążą po okolicach – mruknął Atilano.

– A wy co możecie wiedzieć o Anglikach? – odparł Pedro ze śmiechem.

– Więcej, niż wam się zdaje...

– Przecież wy znacie tylko tę stronę Moncayo, nigdy nie byliście dalej. To skąd możecie wiedzieć, mądralo, czy Anglicy są blisko czy daleko? – rzucił jakiś dryblas z gromady.

Wszyscy chłopci parsknęli śmiechem i wrócili do swoich dzbanów.

– Uważajcie na słowa – odciął się Atilano, wykonując ruch, jakby miał zamiar się z nim policzyć.

– Bo co? – rzekł tamten wyzywająco.

– Uspokójcie się, człowieku – przywołał go do porządku kowal.

– Bo on się ciągle nadyma, a tyle wie, co my wszyscy – nie dawał za wygraną tamten.

– Jednooki i ja znaleźliśmy parę dni temu Kastylijczyka – przemówił znów Atilano, a cała kompania naraz zamilkła.

– Jak to znaleźliście? – Pedro kowal odstawił swój dzban. – Co wy gadacie?

– Poszliśmy na polowanie w pobliżu wioski Vera – ciągnął. – Wystali nas zakonnicy, z dziesięć dni temu.

– A czemu nas wszystkich nie posłali? Też nam się należy! – zaoponował jeden z obecnych.

– Uciszcie się – kowal podniósł się z miejsca i nakazał obecnym milczenie. – Jak raz ma coś ciekawego do powiedzenia, to mu dajcie gadać.

– Mnisi nie chcieli, żeby się inni dowiedzieli, że tam jest zwierzyna. To, co wam opowiadam, musi zostać między nami.

– Mięso było dla nich? – chciał się dowiedzieć zaczepny dryblas.

– No pewnie, a co, z wami by się mieli dzielić, spryciarzu?

– Przecież mnisi nie tykają mięsa, co dopiero tuż przed Wszystkimi Świętymi... Nawet nam nie pozwalają!

– To nie moja sprawa – odrzekł Atilano. – No więc tropiliśmy stado saren i w jakimś zagłębieniu natknęliśmy się na ślady krwi. Dużo jej tam było, ale to nie była zwierzęca farba. Poszliśmy tym śladem, trafiliśmy na kryjówkę rycerza i to był Kastyljczyk.

– Nieżywy? – zapytał któryś z pasterzy.

– Umierający. Miał zbroję ze stalowych łusek, miecz ze złożoną rękojeścią, jakiej w życiu nie widziałem, a na przesywanicy herb: wspiętego lwa w czerwonym polu – wskazał miejsce na własnej piersi – To był znaczny rycerz, zapewniam was.

– I co powiedział? – to najbardziej ciekawiło kowala.

– Że przybył z północy i że się wywiązała bitwa.

– To kłamstwo – zawołał jeden z zebranych. – Wszystko zmyślacie, żeby się przed nami popisować. Już my was dobrze znamy!

– Powiadam wam, że to prawda, niech mnie piorun strzeli, jeśli kłamię.

– Na takie szczęście nie ma co liczyć.

– Który to powiedział? – pospieszył z odsieczą Jednooki, ale nikt się nie odezwał.

– W ogóle nie ma sensu z wami gadać – i łyknął z dzbana.

– Nie zwracajcie na niego uwagi, mówcie – nalegał znów kowal.

– Co to ja mówiłem... No i ten Kastyljczyk nam powiedział, choć ledwie mógł mówić, że przednia straż Anglików się umocniła na jednej górze i łucznicy stawili mocny opór konnicy prawdziwego króla Kastylii.

– Prawdziwego króla? A to w Kastylii jest więcej niż jeden król? – obruszył się inny spośród zebranych, zaciskając palce na dzbanie wina.

– Tak się wyraził, ja tam nie wiem – odpowiedział Atilano.

– Opowiadajcie, co jeszcze usłyszeliście od tego kastyljskiego rycerza – znów go ponaglił kowal. – Jak się ta bitwa skończyła?

– Powiedział, że potem przyszli Francuzi i piechota aragońska i zmiotli tych angielskich łuczników.

– To musi się toczyć wojna w Kastylji, widać jest dwóch pretendentów do tronu. I ja coś podobnego słyszałem od jednego kupca, co tędy przejeżdżał parę dni temu – potwierdził kowal. – Anglicy popierają jednego, a Francuzi i Aragończycy drugiego.

– A Nawarra po czyjej jest stronie? – zagadnął Jednooki.

– Któż by tam wiedział? – kowal wzruszył ramionami.

– A ten Kastyljczyk, co tu robił? – odezwał się jeden z pasterzy.

– On eskortował jakiegoś angielskiego rycerza, jeńca. Miał go odstawić do Borja, ale ten zbiegł, zabił dwóch innych strażników, a jego samego zranił śmiertelnie. No więc zabraliśmy go do klasztoru. No i wtedy jeden z mnichów nas posłał z bratem Prudenciem na poszukiwanie tego Anglika.

– Atilano! – Jednooki próbował go powstrzymać.

– No i znaleźliśmy go – nie dawał się uciszyć – i przywieźliśmy tutaj.

– A gdzie on teraz? Może go mnisi zjedli? – zakpił kowal.

– Za dużoście wypili, przestańcie opowiadać brednie – Jednooki dał mu kuksańca i zatkał usta ręką. – Chcecie, żebym wam zabrał dzbanek? Bo jak nie, to przymknijcie tę niewyparzoną gębę.

– Dajcie mu gadać, Jednooki, toż to tylko przechwałki.

– Prawdę wam mówię tak prawdziwą, jak ta pieść! – odparował Atilano, mierząc go pogardliwym wzrokiem. – Jechali do Borja nie tylko po to, żeby go odstawić do swojego hrabiego, który dowodzi francuskimi najemnikami, co tam stacjonują. Powiedział nam też, że król Aragonii przestał płacić hrabiemu, więc jego żołnierze zaczęli łupić okoliczne osady i żebyśmy się gdzieś schronili, jeśli nam życie miłe, bo nie znamy dnia ani godziny, kiedy najadą Veruełę.

– A mnie mnisi kazali kuć miecze – stwierdził kowal ku ogólnemu zaskoczeniu.

– Wszak to nie pierwszy raz, Pedro – wtrącił jeden z najstarszych.

– Prawda, ale te są inne, lżejsze.

– No widzicie? – Atilano znów się zerwał z miejsca. – Zakonnicy wiedzą, co tu się święci, szykują się do obrony opactwa, będą nas zbroić.

– Ja wiem tylko, że Borja i Tarazona są w rękach Francuzów. Jeśli w pobliżu są Anglicy, to oni się powinni martwić, nie my – zawyrokował pasterz.

– W tej wojnie już się nie ścierają Kastylijczycy z Aragończykami ani też Anglicy z Francuzami, tylko wszyscy ze wszystkimi – odpowiedział Atilano, wyciągając rękę z dzbanem, żeby mu dolali wina.

W owej chwili drzwi się otworzyły i do szopy wszedł brat Prudencio, jeden z oblatów, ciemnowłosa, o pospolitych rysach twarzy, której nieco charakteru nadawała jedynie wysunięta żuchwa.

– Niechaj będzie chwała oczom Pana, jeśli to nasz dostawca wina. Udało wam się wymknąć mnichom – zażartował Atilano.

– Obawiam się, że z tym koniec – odpowiedział oblat na to powitanie.

– Co znaczy: koniec? – Jednooki próbował się zbudzić z zamroczenia.

– Już więcej nie będę mógł wam dostarczać trunku ani wam otwierać bocznej bramy – stwierdził brat Prudencio, który przyszedł do nich ze skwaszoną miną.

– Co wy? Chyba nie chcecie podnieść ceny? – zapytał zaniepokojony Atilano.

– Nie w tym rzecz.

– Ale, bracie Prudencio, my wam nie możemy więcej płacić – dodał Jednooki – handlarze z Borja i Tarazony nie dadzą nam więcej za wino, przysięgam.

– Przecież powiedziałem, że tu nie chodzi o pieniądze.

– Bracie, co się dzieje? – zapytał kowal poważniejszym tonem.

– Wczoraj wydarzyło się w kościele coś strasznego – odrzekł oblat łamiącym się głosem.

– To pewne, ale wiecie, co? – i Atilano wznosił swój dzban. – Pewien mnich zgubił habit, kiedy się zabawiał z jedną z tych dziewczek, co do nich chodzą nocami – i parsknął śmiechem.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z ich dziewczkami i nałożnicami – oznajmił brat Prudencio z poważną miną.

– Dajcie już spokój – krzyknął Atilano – bo się zachowujecie, jakbyście



zobaczyli zjawę.

– Cały dzień rozmyślałam o tym, co się wydarzyło. Jest jakiś cudzoziemiec, co o wszystko wypytuje... – oblat rozejrzał się za dzbanem i pociągnął tęgi łyk wina. – Wypytuje wszystkich zakonników, ma specjalne pozwolenie opata, dlatego musimy się mieć na baczności.

– Ale co się stało? Dlaczego tak węszy? – naciskał Atilano, przeciskając się do miejsca, gdzie stał oblat.

– Zeszłej nocy ktoś zabił brata Octavia.

Zebrany naraz odechciało się wina i śmiechu. Strapieni wpatrzyli się w konwersa, a ten opowiedział im, jak znaleźli zwłoki Octavia. Wszyscy słuchali w napięciu.

– Gdzie to było?

– W kościele, a najgorsze, że nie wiemy, kto to zrobił.

– Ale... żeby w kościele? Tam mogą wchodzić tylko mnisi i wy, oblaci – zawołał kowal.

– To prawda.

– Czyli...

– Nie wiem! – brat Prudencio westchnął. – Ten cudzoziemiec ma to zbadać. Dlatego cały czas łązi po klasztorze, węszy i wypytuje.

– Mnisi nie puszczą pary z gęby, to zwarta klika – mruknął Jednooki.

– I ja tak przypuszczam, ale nie możemy im ufać – powiedział oblat.

– Kto go zabił? Wy wiecie? – zapytał Atilano, który go nie odstępował.

– Nie, ale... ja myślę, że to któryś z mnichów.

– Przekłęci szubrawcy... – Jednooki splunął na ziemię.

– Dosyć! Wy wszyscy jesteście zależni od klasztoru jak wcześniej wasi ojcowie, a w przyszłości wasi synowie i synowie waszych synów. Więc miarkujcie języki i okażcie nieco rozumu.

– Mnie tam wszystko jedno – rzucił ze złością Jednooki. – Nie ma drugiego, co by tak nienawidził tych szubrawców, niechby wszyscy wyzdychali. Przekłęci mnisi! Przeklęty dzień, kiedy się zagnieździli w Moncayo!

– Przypominam wam, że i ja wstąpiłem do tego klasztoru po to, żeby

zostać mnichem, tyle że mój ojciec stracił majątek i nie stać go było na wystarczającą donację. I dlatego obawiam się, że na zawsze zostanę oblatem – wyjaśnił rozdrażniony Prudencio – a nie mam zamiaru do końca życia być u mnichów na posyłki. *Ora et labora...* Tak, oni się ciągle modlą, ale od roboty to my jesteśmy.

– Szczera prawda.

– Veruela to nie klasztor, tylko więzienie – dodał któryś z obecnych.

Po pomieszczeniu przebiegł szmer i odezwało się sporo głosów poparcia dla słów oblata.

– Ale co my mamy zrobić z tym wszystkim, co powiedzieliście? – po raz kolejny rzeczowo odezwał się pasterz.

– Musimy to załatwić dziś w nocy.

– A jakże to mamy dziś załatwić? – pasterz ogarnął go zdumionym spojrzeniem.

– Jeśli ten notariusz dalej będzie tu węszył, to może się zorientować, w jaki sposób podkradamy wino, żeby je odsprzedać.

– A niby jakim cudem się tego dowie? – zwrócił się do niego Atilano, który ponownie usiadł, zaplatając ręce wokół oparcia stołka. – Przecież on się musi plątać po tym klasztorze po omacku, jak ślepiec macający kijem.

– Widziałem, jak jeden z mnichów coś mu opowiadał na osobności. A jeżeli się dowie o jakichś kompromitujących sprawkach, które mogą ściągnąć nieszczęście na opactwo? – odrzekł oblat. – Albo doprowadzić do tego, że mnisi zastosują środki, żeby te grzeszki ukrócić? Tak czy owak może nam to popsuć nasze interesy. Dlatego na razie nie możemy wynosić wina ze spichlerza.

DZIEŃ TRZECI

SIOSTRY

## Pralnia

**B**ył chłodny poranek ostatnich dni października. Na drewnianym stole stała miska zupy i czerstwy chleb. Kiedy Marta weszła do kuchni, jej starsza siostra pałaszowała w najlepsze. Przysiadła się do niej i obie jadły w milczeniu, póki w drzwiach nie stanęła ciotka.

– To wy jeszcze tutaj, nieudacznice? – zganiła je z kwaśną miną. – Umiecie się tylko opychać moją stawą i sprawiać kłopoty. Przeklęta chwila, kiedy was przygarnęłam. Gdyby nie ja, zdechłybyście z głodu, obydwie!

Odkąd matka je osierociła i ciotka Francisca wzięła je do siebie, nie było dnia, żeby im tego nie wypomniała. Zawsze ganiła je na powitanie, a czasem dwa, trzy razy dziennie, wszystko zależało od jej nastroju.

– Nie wiem, co to się dzisiaj wydarzyło, ponoć coś u mnichów, więc lepiej się pilnujcie.

Siostry bez słowa wymieniły spojrzenie.

– Kto wie, co znów narozrabiali ci rozpustnicy. Co to pacierzy, co to mszy, a niczym się nie różnią od innych chłopów – wypluła z siebie te słowa jak żółć. – Niejeden z nich się będzie w piekle smażył. Gdyby ściany tego klasztoru umiały mówić, nie byłoby takiej pokuty i nabożeństw, co by ich oczyściły z grzechów!

Ciotka Francisca właściwie nie mówiła, tylko krzyczała. To był jej naturalny sposób porozumiewania się z ludźmi: zawsze wypowiadała słowa znacznie głośniej niż trzeba, tak jakby osoba, do której się zwraca, nie znajdowała się przed nią, tylko w odległości przynajmniej tuzina kroków. Wszystko jedno, czy to było w domu czy w szczerym polu, taki już miała zwyczaj.

Marta i Elena milczały. Przez te lata nauczyły się znosić bez słowa ciotczyne wymówki i złorzeczenia, które w końcu same cichły i powracał spokój.

– Jesteście łachmaniarki i leniuchy, zupełnie jak wasza matka – ciągnęła. – Żadnego z was pożytku. Ruszycie się wreszcie do prania? Zapracować na to, coście zjadły. Ja to naprawdę zasługuję na nagrodę w niebie za to, co tu z wami cierpię. I to podwójną!

Siostry opuściły izbę bez pośpiechu. Wiał *cierzo*, silny, lodowaty, uporczywy wiatr z doliny. Poszły w dół rzeki, do pralni, ale ku swojemu zaskoczeniu stwierdziły, że kosze na bieliznę do prania są puste.

– Nic mnisi nie posłali – powiedziała Maria na widok ich zdziwionych min.

Maria była od nich starsza, przed paru laty wyszła za mąż, ale kilka miesięcy temu owdowiała. Jej męża znaleźli nieżywego wysoko w górach. Nikt nie wiedział, po co tam poszedł. Którejś nocy po prostu wyszedł bez uprzedzenia i przepadł. Mówili, że wpadł do rzeki, uderzył głową o kamień i utonął. Maria była w ścisłej żałobie, cała w czerni, z ciasno związanymi włosami, smutnym spojrzeniem. Mówiła mało i nigdy się nie śmiała. Ale i tak nie mogła ukryć swojej wyjątkowej urody.

– Albo ci mnisi szybko się zjawią, albo ja stąd idę. Nie będziemy tu tkwiły przez cały ranek, nie zanurzywszy kijanki w wodzie – rzekła wdowa z opuszczoną głową i tak smutno, jakby żałoba rozciągała się na wszystkie wypowiedane przez nią słowa.

– Nie możemy tak odejść – zaoponowała inna młoda kobieta oczekująca nad rzeką.

To była Iguazel, rówieśnica Marii. Iguazel nie wyszła za mąż; mówili o niej, że jest niezwykle bogobojna, choć miała równie bojaźliwy stosunek do przesądów i niezwykłych opowieści. W całym jej sposobie bycia wyczuwało się tę bojaźń, a kiedy się odzywała, jej słowa brzmiały skromnie i łagodnie. Miała szerokie biodra i obfite piersi, dlatego wielu się do niej umizgało, bo taka mogła rodzić i karmić potomstwo. Była

córką jednego z pasterzy. Zwał się Ibón, a był człowiekiem prostym i surowym, który wolałby córkę widzieć w habicie niż zameżną. Pracował zatem bez spoczynku, mając nadzieję, że za wstawiennictwem mnichów zdoła umieścić ją w nowicjacie w klasztorze Tulebras albo w Trasobares. Obydwa były położone niedaleko od Verueli i obydwie cysterskie.

– Dosyć tego, ja idę – María straciła cierpliwość.

– Przestań marudzić i stój w miejscu – napomniała ją Inés, jej matka, która właśnie dołączyła do grupy kobiet. – U mnichów dotąd zamknięte?

– Tak, nie przynieśli bielizny do prania – odpowiedziała jej córka z irytacją.

– No to czekamy.

Inés była żoną kowala i miała za zadanie doglądać pracy kobiet zamieszkujących wioskę na przedmurzu klasztornym, a María była jej jedyną córką. Kowalowa wydała na świat pięciu chłopców, z których ani jeden nie dożył dojrzałego wieku, wszyscy pomarli. Nie miała więc żadnego potomstwa prócz nieszczęsnej Marii, która owdowiała, nie dawszy jej wnuków. Teraz musiała dla niej znaleźć nowego męża, co wcale nie było takie łatwe.

Nadeszła ciotka Francisca.

– Jeszcze tu sterczycie?

– A co mamy robić? Póki nie przyniosą bielizny – wzruszyła ramionami Inés – co innego mamy do roboty?

– Dziwne, że ich nie ma – dodała Iguazel. – Oby już minęła Noc Dusz Pokutujących, bo taka jestem niespokojna...

– Cierpliwości, z pewnością zaraz się zjawią z bielizną – orzekła Inés.

– A jak nie przyjdą? – zapytała María.

– Kiedy nadejdzie taki dzień, że przestaną przychodzić – oznajmiła jej matka – to będziesz miała powody do zmartwienia, bo wszystko, co widzisz dookoła, jest ich własnością, tak samo jak my.

W tym właśnie momencie zbliżył się jeden z oblatów z wózkiem

pełnym bielizny. Wysypał jego zawartość u stóp praczek.

– Bracie Prudencio – zagadnęła go Inés – a co to dzisiaj tak późno?

– A co to ciebie obchodzi?

– Mnie nic – odrzekła żona kowala – ale wy zawsze jesteście tacy punktualni...

– Modliłem się za twoją duszę. Twoją i tych wszystkich utrapionych bab, powinnaś mi dziękować, więcej pracować i mniej gadać.

– Oni się tylko modlą za tych zmarłych, co ich tam mają, za tych, co im zapłacili – burknęła pod nosem Francisca.

– Co tam mruyczysz? – zapytał brat Prudencio, nadstawiając ucha, żeby lepiej usłyszeć jej odpowiedź.

– Że mamy szczęście, że się za nas modlicie, to powiedziałam.

– No! Do roboty!

Wówczas Iguazel dała Marii jakiś znak, a ta wstała ku zaskoczeniu oblata.

– A dokąd to się wybierasz? – spytał brat Prudencio.

– Kobiece sprawy – odrzekła.

– Chcielibyście, żebym wam to wyjaśniła, bracie? – zakpiła ciotka Francisca.

– No już, koniec próżniactwa, jazda do prania! – oblat oddalił się z grymasem złości na twarzy.

Tego ranka było mnóstwo prania i ciężko było na tym zimnie zanurzać ręce w lodowatej wodzie, ale co miały począć? Nagromadziło się dużo brudów w oczekiwaniu na dzień, kiedy ustąpi mgła. Żeby sobie uprzyjemnić pracę, kobiety zaczęły nucić śpiewkę o Moncayo. Wszystkie znały słowa, bo to była ta sama piosenka, którą śpiewały ich matki, a wcześniej matki ich matek, towarzyszyła im od niepamiętnych czasów. Jedną z praczek, których śpiew sprawiał niezmierną radość, była Elena. Starsza z siostr była z natury wesoła i radosna. Miała zielone oczy, lśniące spod pukli jasnej czupryny. Choć starsza, ustępowała wzrostem swojej siostrze Marcie, bo ta była rosła, wysmukła, a gąszcz ciemnych włosów opadał jej na plecy grubą zasłoną. Elena miała cerę tak jasną,

światlistą, że można by sądzić, iż Bóg ją stworzył ze śniegu i złota. Niewiele wiedziano o ich matce, o ojcu jeszcze mniej. O niej opowiadali, że przybyła z innej posiadłości klasztoru, leżącej w dół rzeki. Ci, co ją pamiętali, mówili, że starsza z sióstr zupełnie nie jest do matki podobna, bo tamta była brunetką o smagłej skórze, oczach i brwiach czarnych jak noc.

Kiedy tak tarły, płukały i wyżymały bieliznę, z wody wygramoliła się ropucha i ruszyła prosto w stronę Maríi, na co kobieta zareagowała okrzykiem przerażenia.

– Zabierzcie to ode mnie!

– Nie drzyj się, to zwykła ropucha – i ciotka Francisca przegnała płaza jednym klapnięciem ręki.

– Zwykła czy nie zwykła, ja ich nie znoszę. Gapi się to tymi wyłupiastymi oczami jak człowiek.

– Ano tak! Całkiem jak mąż Inés – ciotka Francisca wybuchła śmiechem, którym zaraziły się wszystkie praczki.

– Przymknijcie się, głupie baby. Każda by chciała takiego męża jak mój Pedro, co jest najlepszym kowalem w całym Moncayo.

– E, taki sam jak wszyscy inni, pies na służbie zakonników – fuknęła ciotka Francisca. – Nic, tylko by lizał furtiana po rękach.

– Nieprawda – uniosła się urażona kowalowa – nikt mu nie okazuje wdzięczności za to wszystko, co dla nas robi. A kto niby kuje narzędzia? A kto miecze ku naszej obronie?

– Przed kim? Przed ropuchami? – ciotka Francisca znów się jej roześmiała w twarz.

– Dobrze wiecie, że nie ropuchy nam grożą w Moncayo, tylko co innego – wtrąciła się wówczas María.

– Nie słuchajcie jej – mruknęła Francisca, trąc bieliznę o deskę. – Zawsze plecie niestworzone rzeczy.

– Onegdaj widziałam starą – wyszeptała María.

– Kogo? – ciotka Francisca spojrzała na nią spod oka, nie przestając trzeć płótna.



– Tę z gościńca do Trasmoz, co powiada, że wie o wszystkim, co się tyczy Moncayo.

Marta podniosła wzrok i obrzuciła spojrzeniem swoją starszą siostrę.

– Ty lepiej na nią uważaj, ona jest niebezpieczna – ostrzegła Marię matka. – Nawet mnisi się jej boją.

– Co prawda, to prawda – ciotka Francisca uderzyła mokrym płótnem o deskę.

– No to dowiedz się, że ona dużo wie, tylko zawsze prosi o coś w zamian – upierała się Maria. – Kiedyś jeden człowiek poszedł do niej, żeby się dowiedzieć, jak wejść do klasztoru. Powiadają, że stara z gościńca zna tajne przejście, o którym nawet zakonnicy nie mają pojęcia.

– To nie może być prawda – tym razem Iguazel wtrąciła się do rozmowy.

– A ja ci mówię, że tak! Ten człowiek chciał to sprawdzić, a kiedy się tam dostał, stara poprosiła, żeby jej coś stamtąd przyniósł.

– I co było dalej? – spytała Marta.

– Mówią, że mu pokazała nocą, którądy się wchodzi do środka, ale on nie dotrzymał słowa. Wszedł do klasztoru, ale jej nie przyniósł tego, co obiecał – ciągnęła – i przepadł, od tej pory nikt go nie zobaczył.

– Że też wam w smak takie historie – ciotka Francisca odłożyła wykręcone płótno. – Czy wy nie rozumiecie, że to są zwykłe brednie?

– Ty nie widziałaś tego co ja, nie słyszałaś tego, co mi matka opowiadała, ani tego, czego ona dowiedziała się od swojej matki – wszystkie kobiety czekały w napięciu, co dalej powie Inés. – Ta góra jest inna od wszystkich, ukrywają się w niej ostatnie...

– Ostatnie co? – niecierpliwiła się Iguazel.

– A co, może nie wiesz? Moncayo to magiczna góra.

– Mówiłam ci, żebyś nie słuchała jej paplaniny. Teraz to dopiero rozpuści jęzor – gderała ciotka Francisca, kręcąc głową, a jednocześnie wykręcając prześcieradła i znów tłukąc nimi o deskę.

– A dlaczego magiczna? – Iguazel była na te historie łasa, jak żadna

inna.

– Istnieją cztery duchy główne, które zamieszkują w czterech żywiołach: sylfy to istoty powietrzne, salamandry to mieszkanki ognia, diabliki chowają się we wnętrznościach ziemi, a ondyny żyją w wodach. Te dwa ostatnie duchy gnieźdzą się w górze Moncayo.

– Babcia mi o nich opowiadała, o diablikach – María potwierdziła słowa matki – mówiła, że to przeraźliwe stwory.

– O, tak – Inés zwróciła oczy ku ogromnej górze, która z wysoka panowała nad krajobrazem – Kiedy Moncayo okrywa się śniegiem, wilki porzucają swoje nory, schodzą gromadą po jej zboczach, wyjąc jak duchy nieczyste. Ale to nie wilki są najstraszliwszymi mieszkańcami Moncayo, bo na dnie jej rozpadlin, w szczelinach i kryjówkach jej podziurawionej powierzchni, pędzą życie przeklęte istoty, które nocą opuszczają wnętrze góry i ruszają w dół po jej zboczach jak rój pszczeleli. Przeskakują z kamienia na kamień, kołyszą się na gałęziach drzew i rozpryskują wody potoków. Bywa, że lepią wielkie kule śnieżne i zrzucają je ze szczytu Moncayo, a te rosną, tocząc i porywając wszystko, co napotkają po drodze.

– Moncayo w całości należy do Kościoła, czy to do opata Verueli, czy do biskupa Tarazony. Król Aragonii porzucił te ziemie dawno temu, nie chce wiedzieć o ich istnieniu, musiał mieć ku temu jakieś powody – włączyła się ciotka Francisca, nie podnosząc oczu znad bielizny, którą tarła w rękach – Kto miałby tu przyjść? Powyżej Verueli są tylko szpitalnicy od świętego Jana, też zakonnicy.

– Joannici. Wojują, chędożą się i bluźnią, tacy oni święci, jak wszyscy inni mężczyźni – weszła jej w słowo Inés – I kryją się w swoim zamku w Añón, tak jak my za murami opactwa.

– Ja mówię o tym, co jeszcze wyżej, tam gdzie się kończą lasy dębów ostrolistnych i zaczynają się buczyny i dąbrowy.

Wówczas i Marta przypomniała sobie opowieści swojej babki.

– Ale Czarna Forteca nie należy do Kościoła – wtrąciła Iguazel.

– Zamek Trasmoz – wyszeptała Marta.

– Nie wymawiaj jego nazwy w tym opactwie, słyszysz? – skarciła ją ciotka Francisca, która tym razem podniosła głowę i spojrzała na dziewczynę, jakby ta dopuściła się najgorszego bluźnierstwa – chyba że chcesz ściągnąć nieszczęście na swoją głowę.

– A czy to prawda, co o nim opowiadają? – wtrąciła się María.

– Niby co?

– Przecież wiecie – María powiodła spojrzeniem po obecnych, zatrzymując wzrok na siostrzenicach Franciski.

– Przeklęty! – ciotka Francisca splunęła na ziemię.

– Cicho, Francisca – próbowała ją powstrzymać żona kowala – Co ty o tym możesz wiedzieć, to plotki.

– Sam opat klasztoru Verueli wyklął tę całą osadę wraz z zamkiem. To było sto lat temu, ale ekskomunika obowiązuje nadal, przeklęty! – upierała się Francisca. Przerwała pranie i spojrzała na swoje towarzyszki, jakby chciała je ostrzec.

– Tam się dzieją rzeczy, o których lepiej nie wspominać. My wszyscy, co mieszkamy na ziemiach należących do Verueli, mamy zakaz stawiania stopy na tym wyklętym terenie. Kto by go złamał, również zostanie objęty klątwą.

Jakiś szmer przebiegł po gromadzie.

– A co takiego się tam dzieje? – zapytała María, przybierając ton naiwnej – Ty wiesz, Francisca?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – odrzekła.

– Matka mi opowiadała, że cała góra Moncayo jest w środku wydrążona – Inés wróciła do swojego wątku – że przenikają ją tunele i żyły wodne, prawdziwe gościńce, które łączą z sobą różne punkty na jej przeciwległych zboczach. Są takie trasy, które wymagają paru dni jazdy konnej, a oni je pokonują w jedną noc.

– Oni? A kim są oni? – spytała María.

– Jedyńymi istotami, jakie przemieszczają się pod ziemią, są gnomy.

– A skąd ty wiesz? – Elena odezwała się po raz pierwszy tego ranka – Przecież nam nie pozwalają wspinać się na tę górę.

– Ty lepiej słuchaj i milcz – ofuknęła ją ciotka Francisca – rozumiałaś? Elena spuściła głowę.

– Teraz jest zakaz wstępu powyżej źródła mnichów, nikomu nie wolno zapuszczać się dalej niż do buczyny w Peña Roya – potwierdziła spokojnie Inés – bo też nic dobrego człowiek nie napotka w tamtych stronach. Widma czy demony – nie wiem. Matka mi mówiła, że mój dziadek zapuścił się pewnego razu za źródło mnichów, aż do buczyny w Peña Tajada.

– Nie może być! Nikt nie wspiął się tak wysoko – ciotka Francisca się przeżegnała. – W wodach tamtejszego źródła meszka zły duch. Kto się waży zmacić ich nurt, słono płaci za swoje zuchwalstwo.

– Wiem, ale mój dziadek był ciekawski, zasłyszał, że w październiku, kiedy liście bukowe zmieniają kolory, nie ma na świecie piękniejszego zakątka niż ta buczyna – powiedziała żona kowala – więc postanowił ją zobaczyć na własne oczy.

– Rzeczywiście jest tam tak pięknie? – zapytała María melodyjnym głosem.

– O tak, powiedział mojej babce, że nie potrafiłby w żaden sposób opisać tego piękna, że musiałby się nauczyć nowych słów – na chwilę przerwała, a kiedy podjęła opowieść, jej głos był jakiś przygaszony. – Tak go to miejsce urzekło, że kolejnego dnia znów tam poszedł.

– I co tam zobaczył?

– Nie wiem, już nie wrócił.

– Boże miłosierny! – María uniosła dłoń do ust. Francisca nic na to nie rzekła, tylko z niechęcią spojrzała na kowalową. Jej siostrzenice były zafrapowane opowieścią, a Iguazel całkiem zapomniała o praniu.

– I nigdy go nie znaleźli? – westchnęła María.

– Nie. Szukali go cały tydzień i nie trafili na żaden ślad.

– Zdarzają się takie przypadki, ta góra jest zdradziecka – oznajmiła ponuro Francisca, która znowu zawzięcie tarła płótna o deski.

– Opowieść na tym się nie kończy – rzekła cichym głosem Inés ku zaskoczeniu wszystkich kobiet. – Babka wyznała mi coś jeszcze. Ona

go widziała.

– Twojego dziadka? – Iguazel natychmiast zwróciła ku niej twarz.

– Tak – potwierdziła Inés – Widziała go tak dokładnie, jak ja ciebie teraz.

– No i co? Co jej powiedział?

– Nic – odrzekła. – Babka opowiadała, że kiedy mu spojrzała w oczy, zaraz pojęła, że ten, który jest w ciele jej męża, to nie on. Że ten człowiek to już nie mój dziadek.

– Ale jak to możliwe? – Marta, która milczała do tej pory, była poruszona. – Co to ma znaczyć? Że ten mężczyzna był podobny do twojego dziadka czy rzeczywiście był twoim dziadkiem?

– Marta! – krzyknęła na nią ciotka.

– Daj dziewczynie spokój, Francisca, twoja siostrzenica zadała rozsądne pytanie. Babka mnie zapewniała, że to był mój dziadek, a jednocześnie kto inny – westchnęła. – Jeśli wam o tym opowiadam, to z jednej przyczyny: chcę was przestrzec, na wszystko, co wam miłe na tym świecie, niech wasza stopa nigdy, nigdy w życiu nie przekroczy granicy, jaką jest źródło mnichów. I za żadne skarby nie chodźcie do Peña Roya. Mój dziadek nie był pierwszym człowiekiem, który tam przepadł bez wieści i pewnie nie będzie ostatnim.

– To, co mówisz, nie może być prawdziwe – młoda wdowa powiodła wzrokiem po twarzach towarzyszek w poszukiwaniu jakiegoś wsparcia. – A może się mylę?

– To Kościół wypędził owe istoty z równin i dolin, gdzie się wcześniej gnieździły – ciągnęła Inés – więc się ukryły w trzewiach Moncayo i ta góra przemieniła się w ostatni bastion ich złośliwych harców.

– Ale co to za stwory? – María drżała z przerażenia.

– Wszelkiego rodzaju – zabrała teraz głos ciotka Francisca – ale najgorsze są gnomy. Znają podziemne drogi i są strażnikami skarbów ukrytych we wnętrznościach góry, pilnują ich bez spoczynku.

– Ale ty je widziałaś? – próbowała się upewnić María.

– Ja nie, ale wiem, co ludzie mówią – rzekła jej matka.

– Co takiego? Powiesz wreszcie?

– Ponoć w czasach, kiedy został wzniesiony ten klasztor, jakiś pasterz, szukając zaginionej owcy, wszedł do ciasnej, długiej gardzieli, która się ciągnęła, jakby nie miała końca. Spędził tam w środku cały dzień. Jego przyjaciele i krewni tak się zaniepokoiли, że wyruszyli na poszukiwanie i odnaleźli go u wejścia do jaskini, pobladłego jak sama śmierć.

Znalazł skarb gnomów, opowiadał o skałach, które błyszcząły i oświetlały całą grootę, o wielkich kamiennych komnatach, o rzekach podziemnych, o żyłach złota i srebra, o malowidłach zwierząt i dziwnych symbolach, o nieznośnej ciszy i powietrzu, które piekło jak ogień.

We wnętrznościach Moncayo napotkał ich: po części ludzi, po części gady, albo jedno i drugie naraz, bo ulegali ciągłym przemianom. Odrażające karły, które się uwijały pod ziemią jak robactwo.

– Boże święty! – María się przeżegnała, a reszta kobiet zakryła twarze dłońmi z jękiem trwogi.

– A skąd się wzięły bogactwa, których strzegą te stwory? – Francisca jako jedyna zachowała zimną krew.

– Oczywiście, że to skarby Maurów; one znają miejsca, gdzie je ukryli, zanim stąd uciekli, kiedy my, chrześcijanie, przybyliśmy na te ziemie. Odchodząc, poprzysięgli sobie, że tu powrócą. A że nie mogli zabrać ze sobą wszystkich swoich drogocności, ukryli je we wnętrznościach Moncayo. Kufry pełne złotych monet, klejnoty, drogie kamienie.

– Ale my – zapytała María – nie musimy się lękać tych potwornych gnomów? Jesteśmy bezpieczne?

– Nie, w Moncayo nigdy nie będziemy bezpieczne, szczególnie teraz.

– Mówisz tak z powodu Nocy Dusz?

– Tak, zostały już tylko dwa dni – odrzekła Inés z ciężkim westchnieniem.

– Ale jeżeli zapalimy świece w oknach, to nas ochronią? – María była wystraszona.

– Trzeba je zapalić w każdym domu, po jednej za każdą duszę

w rodzinie. Musicie je ustawić w oknach i trzymać się od nich z daleka. Tej nocy zagubione dusze włóczą się po ziemi w poszukiwaniu domu, do którego mogłyby się wcisnąć. Jak cię złapią, to mogą cię wciągnąć w ciemność.

– To nie wystarczy – orzekła ciotka Francisca – wiecie, że trzeba jeszcze iść na cmentarz.

– Tak. I dla każdego z umarłych zanieść dynię z zapaloną świecą – przyświadczyła Inés. – Gdyby jakiś mieszkaniec wsi zapomniał o którymś z nich, to nieboszczyk może się zjawić i porwać go ze sobą.

– Boże święty! – María znów się przeżegnała.

– Przestańcie już – wtrąciła Iguazel – Nie wolno rozmawiać o zmarłych, zwłaszcza w tym czasie.

## Dormitorium oblatów

**W**iązy rosnące szpalerem po obu stronach alei wiodącej od kościoła do wieży bramnej Verueli były tak wysokie, że kiedy wicher szarpał ich korony, łączyły się w ogromny, roślinny strop, przypominający sklepienie świątyni cysterskiej. Kiedy zegar mechaniczny wybił godzinę primy, zakonnicy pospieszyli na nabożeństwo i zajęli miejsca w prezbiterium, zaś oblaci zgromadzili się w chórze po przeciwnej stronie kościoła. Nawa główna była przecięta na dwoje drewnianą ścianą, dzielącą chór braci monastycznych od chóru braci świeckich. Były w niej drzwi, które otwierano jedynie przy szczególnych okazjach. Ten podział sprawiał, że nie można było oglądać nawy w całej rozciągłości: z tylnej strony kościoła nie widać było ołtarza, a żeby się przemieścić z jednego końca na drugi, trzeba było przejść jedną z naw bocznych, czy to nawą epistoły, czy nawą Ewangelii. Ale te dwie części kościoła różniły się od siebie, chór oblatów był o wiele skromniejszy, mniejszy i usytuowany przy wejściu, podczas gdy chór mnichów znajdował się w prezbiterium i od ołtarza dzieliła go jedynie *via sacra*. Siedziska w stallach były składane, szerokie i oddzielone oparciami, na których można było położyć ręce. Stalle posiadały wysokie zaplecki, a także *misericordię* czyli przedpiersie, na którym mnisi mogli się oprzeć, kiedy modlili się na stojąco.

Podczas gdy zakonnicy schodzili się na primę, jakaś postać wkraczała do przedsionka klauzury. Był to Bizén de Ayerbe, który skierował się prosto do przejścia dla oblatów. Był trochę spóźniony, ponieważ i tej nocy spał kamiennym snem i z trudnością przebudził się o poranku. Spokój panujący w Verueli uleczył go z bezsenności niby ręka jakiegoś



świętego cudotwórcy.

Kiedy mnisi się modlili, mógł korzystać ze swobody, wspiał się zatem drewnianymi schodami łączącymi przejście do kościoła z dormitorium oblatów. Pchnął drzwi, które zgodnie z jego przypuszczeniami były otwarte. Pomieszczenie było niewielkie. Mieściło około dwudziestu łóżek ustawionych w niedużych odstępach jedno od drugiego. Zza przepierzenia dolatywał silny odór, tam prawdopodobnie trzymali nocniki, których nie mieli czasu opróżnić.

Przyjrzał się łóżkom. Na wszystkich leżały rzucone byle jak okrycia, z wyjątkiem czterech, stojących obok siebie w jednym z kątów izby oraz jednego na środku.

Podszedł do niego, stwierdził, że istotnie nie ma na nim koca ani prześcieradła, co dowodziło, że nikt na nim nie spał ostatniej nocy. Położył rękę na sienniku, pochylił się i zajrzał pod spód.

Nic tam nie było.

Bracia zakonni ani świeccy nie posiadali żadnych dóbr materialnych, tak nakazywała reguła. W gruncie rzeczy nie spodziewał się, że coś tam znajdzie, ale znał ludzką naturę i wiedział, że to niemożliwe, żeby człowiek wyrzekł się posiadania na własność choćby jakiegoś drobiazgu, nawet jeśli był w zakonie cystersów. Nie dał zatem za wygraną, tylko przeszukał porządnie całe dormitorium i pomyszkował w pozostałych łóżkach.

Gdzie też Octavio mógłby coś schować w tej izbie?

To było pytanie, na które pragnął znaleźć odpowiedź i przyczyna, dla której zapuścił się do tej sali.

Obejrzał kamienne ściany, długi stół, na którym leżały poskładane habity, wąskie otwory okienne i dwuspadowy strop z drewnianych belek.

„Każdy człowiek ma swoje sekrety”, powiedział sam do siebie.

Musiał się pospieszyć, żeby opuścić pomieszczenie, zanim msza się skończy, i nie dać się zaskoczyć któremuś z konwersów. Zmarły Octavio musiał sypiać na tym łóżku pozbawionym pościeli, które stało

na środku, bo z jakiego innego powodu byłoby opuszczone?

Podszedł do niego jeszcze raz, popchnął, a kiedy zdołał je przesunąć, przyklęknął i powiodł dłońmi po chłodnej, drewnianej powierzchni. Nic nie znalazł. Rozczarowany położył się na ziemi i westchnął. Dopiero wówczas spostrzegł pewien szczegół, którym wyróżniało się to łóżko: na drewnianej ramie widniały nacięcia wykonane jakimś ostrym przedmiotem, nożem lub czymś podobnym. Domyślił się, że te nacięcia służyły do rachuby, zapewne do liczenia dni.

Wydało mu się prawdopodobne, że oblat prowadził rachunek dni spędzonych w klasztorze. Ale do tego potrzebowałby wielu łóżek, chyba że odliczał dni do określonej daty.

Tak czy owak było to dziwne i chociaż był pewien, że to musi coś oznaczać, na razie nie potrafił zgadnąć, co takiego.

Jako że znajdował się w pozycji leżącej, zbadał dokładnie cały drewniany szkielet łóżka i przesunął dłońmi po jego spodzie. Nagle poczuł, że jest tam coś niezwykłego. Pergamin. Udało mu się go wyszarpnąć spomiędzy desek. To był mały zwój, zaszyty nicią u obu końców. Rozwinął go i odczytał zdanie, które na nim widniało: „*Wszyscy jesteśmy nieczysti i skażeni grzechem*”.

– Co tam robicie na podłodze? – jego uszy przeszył stanowczy głos.

Wyprostował się natychmiast, uderzając głową o drewnianą ramę i wydając głośny jęk bólu.

– Boże miłosierny! Co wy tam robicie?

Bizén, lekko ogłuszony, podniósł oczy i ujrzał nad sobą twarze braci Timoteo i Juliana.

– Chciałem zobaczyć, gdzie sypiał Octavio.

– Co mówicie? – zapytał niedosłyszający brat architekt.

Bizén de Ayerbe nie miał innego wyjścia, jak wstać i powtórzyć odpowiedź mnichowi do ucha.

– Chciałem zobaczyć, gdzie sypiał Octavio.

– Po co? – zapytał wówczas brat Julian znacznie bardziej napastliwym tonem. – Bądźcie łaskawi wstać.

– Sam nie wiem – odrzekł Bizén głośno. – Liczyłem na to, że obejrzenie miejsca, w którym spał, pomoże mi się dowiedzieć, jaki był.

– A cóż to za pomysły! – zgromił go brat Julian – To jest wspólna sypialnia, cystersi nie posiadają żadnych prywatnych dóbr materialnych, nie znajdziecie tu niczego – powiedział niezbyt przyjaznym głosem. – Jesteście naiwnym ignorantem, lepiej by było, gdybyście się wynieśli z opactwa – nie ulegało wątpliwości, że mnich, którego nazywano w klasztorze panem wód, jest osobą bardzo drażliwą.

– Popełniłem błąd, wchodząc do tej sali – próbował się usprawiedliwić. – Już mnie tu nie ma.

Bizén de Ayerbe niezwłocznie opuścił pomieszczenie, odprowadzany wzrokiem obu zakonników. Zszedłszy po schodach, skierował się ku wyjściu z klauzury. To rozmowa z tajemniczym człowiekiem z cmentarza skłoniła go do odwiedzin w dormitorium oblatów. Możliwe, że Octavio miał coś do ukrycia, ale do tej pory nie odkrył niczego, co potwierdziłoby takie przypuszczenie.

W tych pierwszych godzinach poranka panował w opactwie ożywiony ruch. Wszędzie krzątali się oblaci, niektórzy mnisi również wychodzili, żeby nadzorować co ważniejsze prace. Przez otwartą bramę wtaczał się właśnie wóz czubato załadowany słomą. Bizén usunął się, żeby go przepuścić; postanowił wyjść poza obręb murów. Wejście wydało mu niepodobne do obrazu, który zapamiętał z chwili przybycia. Noc wszystko przeobraża, a kiedy człowiek zjawia się wystraszony i zrozpaczony, tym bardziej.

Nadjeżdżały kolejne wozy wypełnione słomą, widać zwozili to, co zebrali poprzedniego dnia. Wszyscy wyglądali na bardzo zajętych, a jednocześnie doskonale zorganizowanych.

Minął erem dla przyjezdnych i wyszedł z barbakanu. Chciał obejrzeć Veruelę z zewnątrz, aby poznać lepiej jej położenie. Do tej pory miał do czynienia z mnichami i sporadycznie z oblatami. Różnice między

tymi dwiema kategoriami były ewidentne. Ale nie trafiła mu się dotąd okazja do przyjrzenia się pozostałym mieszkańcom dominiów Verueli. A poza murami klasztoru żyła nieprzebrana ciżba poddanych, którzy pracowali dla cystersów.

Wśród tych ludzi poczuł się swobodniej, trochę tak, jakby na powrót znalazł się w którymś z miast na terenie królestwa. Podobała mu się ta krzątanina, a szczególnie, po niemal trzydniowym zamknięciu wśród mnichów, uradował go widok kobiet. Wspiął się na grzbiet wzgórza, skąd mógł podziwiać klasztor w całej okazałości. Aż do tej chwili traktował tę budowlę raczej jako scenerię zbrodni niż jako imponującą siedzibę opactwa.

– Ludzie nie powinni wznosić takich gigantycznych gmachów, nie sądzicie? – odezwał się za jego plecami jakiś kobiecy głos.

– Czemu tak uważacie?

– Ja cenię sobie rzeczy skromne – odpowiedziała mu staruszka z pomarszczoną twarzą, okoloną rzadkimi włosami.

– Nie ma nic złego w budowaniu wielkich klasztorów.

– Owszem, gdyby ich mieszkańcami nie byli ludzie – odrzekła starka.

– Nie taicie własnych myśli; czy mnisi uczynili wam jakąś krzywdę?

– W tym klasztorze odbywają się nie tylko msze i modlitwy. Ich reguła jest szczytna, ale ma tę samą słabość, która dotyczy samej budowli: koniec końców to ludzie są jej użytkownikami.

– Odnoszę wrażenie, że nie przepadacie za zakonnikami z Verueli.

– Powiedzmy, że mam do nich pewne zastrzeżenia – starka uważnie mu się przyjrzała. – Nigdy wcześniej nie widziałam was w Verueli.

– Jestem tu dopiero trzeci dzień, choć czuję się, jakbym tu spędził całe życie – odrzekł Bizén, wciąż nieco obolały po uderzeniu w głowę, którym zapłacił za wizytę w dormitorium oblatów.

– Powiadają, że w Moncayo czas płynie inaczej.

– A to dlaczego?

– Nie wiem – stara kobieta pokazała w uśmiechu nieliczne zęby, jakie jej zostały. – Wy nie jesteście duchownym, a mnisi nie lubią świeckich

ludzi.

– Już sobie z tego zdałem sprawę, ale będą musieli znosić moją obecność – odrzekł Bizén, niewiele sobie robiąc ze swojej rozmówczyni.

– Trudność polega na tym, że muszę spełnić swoją misję w pojedynkę.

– A więc to wy jesteście tym jedynym, który ocalał.

– Skąd o tym wiecie? – tym razem spojrzął na nią z zainteresowaniem.

– Napadli na waszą grupę o parę mil stąd – na twarzy Bizéna pojawił się wyraz zdumienia. – Nie patrzcie tak na mnie, ja wiem o wszystkim co dotyczy tej doliny, od równiny nad wielką rzeką Ebro aż po zbocza Moncayo.

– Wiecie zatem, kto na nas napadł?

– Możliwe. Przecież mówiłam, że wiem o tej dolinie wszystko, z wyjątkiem tego, co się dzieje w obrębie tamtych murów – zwróciła oczy w stronę klasztoru. – I muszę się dowiedzieć pewnej rzeczy. Może wy mi w tym pomożecie.

– Nie – wyraz twarzy Bizéna się zmienił – nie ma mowy.

– Jesteście pewni?

– Naturalnie, nie mam zamiaru zdradzać mnichów. A już na pewno przed nieznaną – Bizén zlustrował ją wzrokiem od stóp do głów, nie pojmując, jak to możliwe, że kobieta tego stanu zwraca się do niego bez skrupułów, proponując mu podobny układ.

– Gdybyście zmienili zdanie...

– Tego nie zrobię, szanuję własne słowa.

– Jak chcecie, ale przyjmijcie ode mnie pewną radę – obróciła się na odchodnym – strzeżcie się tam w środku. Bardzo często lęk przed złem nakłania ludzi do większego zła.

– Powtórzcie, coście rzekli!

– Niech wam szczęście sprzyja w śledztwie... Będzie wam bardzo potrzebne.

Starka oddaliła się, nie mówiąc ani słowa więcej, a Bizén nie próbował nalegać, wolał nie wzbudzać niczyjej uwagi. Nie pierwszy raz usłyszał to zdanie.

Schodził ze wzgórze, poruszony przelotnym spotkaniem z tą starą kobietą i, z postanowieniem wznowienia przesłuchań, skierował się ku bramie klasztornej. Po drodze zauważył przeora, dziekana oraz brata Adolfa w eremie dla cudzoziemców. Pomyślał, że ich nieobecność w klasztorze ułatwi mu spotkanie z mnichami, z którymi nie zdołał dotąd porozmawiać. Bardzo dyskretnie powrócił w obręb murów i szybkim krokiem skierował się do klauzury. Skorzystał z okazji, aby porachować kroki. Odległość była znaczna, odcinek do portalu świątyni klasztornej liczył sto czterdzieści trzy kroki.

Po drodze do pomieszczeń gospodarczych minął się z kilkoma oblatami i jednym nowicjuszem, a dotarłszy do wejścia do klauzury, zaczął się rozglądać za mnichami. Szczęście mu sprzyjało, bo w jednej z grup dostrzegł brata Hugo, najmłodszego i najbardziej stroniącego od ludzi zakonnika.

Przyspieszył kroku, ale kiedy doszedł do zakrętu korytarza, tamten gdzieś przepadł. Nieprawdopodobne, przecież dopiero co go widział. Dalszy odcinek trasy przebył jeszcze szybciej, prawie biegiem, a kiedy znalazł się na kolejnym zakręcie...

– Uwaga! – nieomal zderzył się z bratem Julianem, tym samym, który go skarcił w dormitorium oblatów. – Notariuszu, dokąd wam tak spieszno?

– Ja... – Bizén pochwycił spojrzenie brata Hugo, który zerknął na niego z przeciwnego końca korytarza, po czym się oddalił. – Darujcie, proszę, byłem zamyślony.

– To jest miejsce modlitwy, a nie miejska ulica, czy to dla was jasne?

– Ależ tak, proszę o wybaczenie.

– Wszystko, do czego jesteście zdolni, to burzyć spokój tego świętego miejsca. Dlaczego nie wracacie tam, skąd przybyliście? – i zakonnik usunął się na bok, żeby go przepuścić.

– To nie ja jestem podejrzany o zabójstwo, tylko wy, mnisi – przypomniał rozmówcy. – Czy może wy macie mi coś do powiedzenia na temat śmierci oblata? – zapytał.

- Jesteście głupcem. Niczego nie odkryjecie.
- Tak sądzicie? A skąd ta pewność?
- Spójrzcie na to – wskazał gestem jedną z konsoli, na której były przedstawione trzy przylegające do siebie męskie twarze.
- Nie znalazłem się tu dla zabawy.
- Ani ja. Dlatego słuchajcie uważnie – znów wskazał na konsolę. – To są trzej przyjaciele Hioba. Znacie Księgę Hioba?
- Tak, pobieżnie. Mówi się: bądź cierpliwszy od świętego Hioba.
- Chodźcie ze mną – mnich ruszył w kierunku *locutorium* i wszedł do wnętrza drzwiami, które się tam znajdowały. – To pomieszczenie służy do organizowania przewidzianych na dany dzień prac poddanych i oblatów, którzy zawsze rano czekają tu na przeora, żeby przydzielił im zadania.
- A co my mamy tutaj do roboty?
- Hiob to postać ze Starego Testamentu, człowiek, którego Bóg poddał najcięższym próbom, żeby się przekonać o jego wierze. Nie doczekał się pocieszenia od żadnego z przyjaciół. Mało tego, skierowali przeciwko niemu fałszywe oskarżenia, żeby zadać mu sroższy ból.
- Dlaczego mi o tym mówicie, bracie Julianie?
- Pytanie, jakie powinniście sobie postawić brzmi: czy oni zrobili to z własnej woli, czy też byli częścią planu Boga, którego celem było zmierzyć głębię wiary Hioba – wyjaśnił mu mnich.
- Nie znam odpowiedzi, przypuszczam, że mogli być częścią boskiego planu.
- Historia Hioba rozpoczęła się pewnego przeciętnego dnia, jakim mógłby być dzień dzisiejszy, w którym Szatan zechciał podważyć wierność Hioba. Bóg przyjął wyzwanie i pozwolił, aby Szatan zsyłał na jego sługę jedno nieszczęście za drugim, jednak mimo bezmiaru niezасłużonego cierpienia, Hiob nie uległ pokusie złorzeczenia Bogu.
- Ciężka próba.
- Jedna z najcięższych, jakie są ukazane w całej Biblii. Trzej towarzysze Hioba podkreślają w swoich mowach, że musiał widocznie dopuścić się

jakiegoś strasznego uczynku, żeby zasłużyć na tak srogą karę od Boga – uzupełnił brat Julian.

– I ja bym tak pomyślał.

– Ale Hiob odrzucił fałszywe rozumowanie tych, którzy go nawiedzili. Niezdolny do zrozumienia, dlaczego Bóg pozwolił mu tak cierpieć, troszczył się zanadto o to, by bronić swojej niewinności, to był jego błąd.

– Obrona własnej niewinności?

– Tak.

– Nie rozumiem tego – powiedział Bizén.

– Hiob też nie rozumiał.

– Kiedy człowiek, jakikolwiek człowiek, cierpi, nie powinniśmy stąd wyciągać wniosku, że cierpiący zbiera plon tego, co sam zasiał, a tym bardziej, że Bóg aprobuje to cierpienie – wyjaśnił mnich. – Hiob, zaślepiony goryczą, nie był zdolny do zastanowienia się nad innymi możliwymi przyczynami swojego nieszczęścia.

– Bardzo możliwe, że ból nie pozwalał mu na jasne myślenie.

– Zaczynacie pojmować. Księga Hioba pokazuje wyraźnie, że odpowiedzialnym za ludzkie cierpienie nie jest Bóg, tylko Szatan – podsumował brat Julian. – To, że Bóg przystał na zło na świecie, pozwala każdemu z nas wykazać się siłą własnej cnoty.

– Ścieżki Pańskie są niezbadane, nieprawdaż?

– Czasami Bóg wystawia nas na najcięższe próby – odrzekł mnich. – Prawdziwe góry, na które musimy się wspiąć. Droga jest trudna, czasem straszna, ale na szczycie czeka nagroda. Podczas tej wspinaczki nie możemy ufać nikomu, czy mnie rozumiecie?

– Myślę, że tak, choć wolałbym, żeby w waszych słowach było więcej konkretów. Jakie są wyniki waszych ustaleń dotyczących Octavia?

– O nim nic nie wiem.

– Wszyscy jesteśmy nieczyści i skażeni grzechem – wymówił z cicha Bizén de Ayerbe, spoglądając rozmówcy głęboko w oczy.

– Gdzie słyszeliście to zdanie? – wyraz twarzy mnicha odmienił się



na te słowa.

– Czy może je znacie?

– Mieście się na baczności, notariuszu – przestrzegł go brat Julian. – Być może wybraliście drogę niebezpieczną i fałszywą.

– Co się dzieje w tym opactwie? Co tu ukrywacie? – zapytał, być może nadmiernie podnosząc głos.

– W Verueli niczego nie ukrywamy, wszystko jest widoczne dla tego, kto chce widzieć. Dobro może istnieć bez zła, ale zło nie może się obyć bez dobra.

– To, co powiedzieliście, oznacza, że zło jest przeciwieństwem dobra, Boga.

– Jeśli chcecie dowiedzieć się, co się dzieje w tym miejscu, musicie zmienić sposób myślenia – pouczył go mnich. – Wyobraźcie sobie, że wasze oczy, zamiast działać jak lustro, w których odbija się świat, z natury rzeczy niewinne i bierne, są narzędziem służącym do tworzenia rzeczywistości.

– Bracie Julianie, nie jestem uczonym mnichem jak wy. Spróbujcie używać języka, który potrafiłbym zrozumieć.

– Czasami lepiej widzimy, kiedy się nie przyglądamy. Czy widzieliście Boga? – spytał go zakonnik. – Ja nie, ale widzę Go poprzez Jego dzieła. Gdybym się upierał, żeby zobaczyć Go bezpośrednio, nigdy by mi się to nie udało.

– Doprawdy, bracie Julianie, wasze słowa są dla mnie jak zagadka, której nie potrafię rozwikłać.

– Zły duch bardzo zręcznie naśladuje dzieła Pana naszego – odpowiedział mnich. – Szukacie śladów zła, czy jednak będziecie zdolni je rozpoznać, kiedy się wam objawi? Oto jest pytanie. Póki nie będziecie umieli na to pytanie odpowiedzieć, wasze poszukiwania będą bezowocne.

– Dobrze, powiedzcie mi zatem, jak to zrobić. W jaki sposób odróżnić dobro od zła.

– Nieraz demon przebiera się za osoby słabe, chcąc nas oszukać –

odpowiedział mu zakonnik. – Kimże jestem ja, żebym umiał go rozpoznać w jego podstępach?

– Próbuje nas zwieść.

– Otóż to – przyświadczył brat Julian. – Tym właśnie się trudni.

– Również tamtej nocy, kiedy zabito oblata, próbował nas zwieść? – upewnił się Bizén – Octavio był dobrym chrześcijaninem. Wykorzystano go, zginął z tego powodu. Nie w nim powinienem szukać przyczyny, tylko w tym, który go zwiódł, żeby owej nocy poszedł do kościoła. W mnichu, który otworzył mu drzwi.

Rozległ się dzwon, bił na kolejną modlitwę.

– Być może nie uda wam się dojść do prawdy – westchnął mnich. – Możliwe, że łatwiej wam będzie odkryć kłamstwo. Kiedy demaskujemy fałsz, droga do prawdy staje przed nami otworem.

– Jeden z zakonników kłamie. Który?

– Pora na mnie. Nie życzę sobie was widzieć myszkującego po izbach – ponownie przybrał surowy ton – czy biegającego po klauzurze, pamiętajcie o tym.

Mnich oddalił się na nabożeństwo, nie mówiąc ani słowa więcej. Bizén był skołowany, brat Julian wydał mu się jednym z najbardziej dwuznacznych zakonników w całej Verueli. Ale być może słusznie mu poradził, żeby przestał węszyć wokół zmarłego oblata i ponownie skupił się na mnichach. Chociaż jak do tej pory odkrył jedno: że każdy z nich kłamie.

## Kołysanka

**T**ego popołudnia, skończywszy pranie, kobiety rozwiesiły moką bieliznę wzdłuż rzędu drzew owocowych obok drogi do klasztoru, wiedząc, że jeśli *cierzo* ustąpi, o poranku będzie przymrozek. Marta, najmłodsza z praczek, zagapiła się na ptaszka, który miał na głowie jaskrawy czub z piórek ugrowej barwy z czarnymi końcówkami, długi dziobek i rozłożysty, ciemny ogon z białą obwódką. Tymczasem jej siostra Elena zaczęła nucić piosenkę:

*Moja maleńka to kwiat róży,  
moja maleńka – goździka kwiat,  
moja maleńka to lusterko,  
w którym jej mama widzi swą twarz.*

Marta przepadała za śpiewem swojej siostry, zostawiła bieliznę w koszu i wsłuchiwała się w głos Eleny. A ta powtarzała raz za razem ową strofkę, nucąc ją z niewymowną słodyczą.

– Wy dwie! A cóż to za próżniactwo! – zawołał od strony drogi jakiś mnich.

Na widok dwóch zakonników Marta podskoczyła tak gwałtownie, że niechcący potrafiła stopą kosz z praniem. Ten potoczył się po ziemi, a czysta bielizna się wysypała.

– Niezdarne dziewczyny! – zakonnik ruszył w jej stronę i chwycił ją za ucho. – Dosyć tych śpiewek! Zabawy wam się zachciało?

– Wieszaliśmy bieliznę – Marta zaniósła się łkaniem. – Wybaczcie mi, proszę.

– To moja wina, ja śpiewałam – powiedziała Elena, wbijając oczy w ziemię.

– Także i twoja, obydwie jesteście próżniaczkami!

– Bracie Julianie, przecież to prawie dzieci – wtrącił się drugi zakonnik, znacznie młodszy od swojego towarzysza.

– Bracie Hugo, trzeba je uczyć moresu póki czas, bo kiedy dorosną, będzie za późno.

– Ja się zajmę tą sprawą, wy idźcie skontrolować kanał – młodszy z braci wysunął się o parę kroków naprzód.

– Zgoda, jednak nie rozczulajcie się nad nimi.

– Bądźcie spokojni – i dał mu znak, żeby się oddalił.

Brat Julian ruszył przed siebie, nie przestając wyrzekać, jeszcze parę razy się obejrzał i wrócił na drogę prowadzącą do bramy klasztoru.

– Musicie być uważniejsze. Mam na imię Hugo. To wy śpiewałyście?

– Tak – odrzekła wesoło Elena.

– Skąd znacie tę kołysankę?

– Matka nam ją śpiewała.

– Naprawdę? – dopytywał się zakonnik. Przytaknęła skinieniem głowy. – A wy nie śpiewacie? – zwrócił się do Marty.

– Nie tak dobrze, jak moja siostra.

– Jesteście z jednej rodziny? – rzekł zaskoczony, spoglądając na ciemne włosy jednej i złote pukle drugiej.

– Tak – odrzekła.

– Możecie jeszcze raz zaśpiewać?

– Tylko ona śpiewa tę kołysankę – wyszeptała Marta.

– A dlaczego?

– Bo moja siostra była wtedy bardzo mała i mówi, że nie pamięta... – odpowiedziała Elena.

– Umarła?

– Tak.

– Współczuję wam, ja też straciłem matkę. Skąd pochodzicie?

– Z Balbuente.

– A ile macie lat?

– Ja mam siedemnaście, a moja siostra czternaście – Elena nie mogła oderwać oczu od młodego zakonnika.

– A wasz ojciec żyje?

– Nie poznałyśmy ojca.

Brat Hugo przypatrywał się jej w skupieniu, zapominając zupełnie o Marcie.

– Powiadacie, że matka śpiewała wam tę piosenkę?

– Tak.

– A co wy dwie tutaj robicie? – przerwała im nagle ciotka Francisca, która przestraszyła się na widok mnicha. – Bracie, wybaczcie, jeśli te dwie niezdary zrobiły coś niestosownego – i chwyciła je obie za ręce.

– O nie, nie potrzebujecie się niepokoić.

– Jeszcze nie skończyłyście? Krzyż Pański z tymi dziewczynami!

– To sieroty?

– No tak, sieroty.

– Kim byli ich rodzice?

– Cóż, bracie – przeżegnała się – ich matka umarła, a ojciec... nie wiadomo.

– Rozumiem – odpowiedział mnich w zamyśleniu.

– Bardzo się różnią od siebie.

– Tak – ciotka przyciągnęła je do siebie. – Jazda, późno się robi! Zechciejcie mi darować, bracie, ale mam dużo roboty, a te dwie w niczym mi nie pomagają.

– Ależ tak, idźcie w pokój.

Zakonnik pożegnał się z nimi i ruszył w swoją drogę, zatopiony w myślach. Po drodze nucił kołysankę, jakby ta śpiewka zbudziła w nim jakieś dawne wspomnienia.

Marta i Elena ruszyły za ciotką do domu. Starsza z dziewcząt radośnie witała się z każdą mijaną osobą, za to Francisca, małomówna i wiecznie naburmuszona, nie cieszyła się szczególną sympatią pośród ludzi. Młodsza z sióstr była dla odmiany nieśmiała i milcząca. Każda z nich

na swój sposób stanowiła przeciwieństwo wesołej Eleny, której radosne usposobienie ujawniało się we wszystkim, co robiła.

Przed wieczerzą ciotka kazała im zanieść pęczek czosnku jednej z kobiet, która potrzebowała go na kataplazmy przeciwko przeziębieniu. Spełniły polecenie, a kiedy ruszyły w drogę powrotną, Elena przystanęła, wpatrując się w pobliski las.

Wiatr *cierzo* ustał, topolowe liście drżały od powiewów z północy, a niebo nagle zaciągnęło się złowróżbnymi chmurami. Pomiedzy drzewami zamajaczyła jakaś budząca grozę sylwetka.

Była to stara kobieta odziana w ciemne suknie, która przyglądała się uważnie dziewczętom.

– Kto to? – zapytała Marta.

– Nie wiem, nigdy jej nie widziałam.

Starka jeszcze przez chwilę świdrowała je wzrokiem, wreszcie zdecydowała się podejść bliżej. Marta, przerażona, cofnęła się o parę kroków, ale się zatrzymała, widząc, że siostra nie idzie za jej przykładem.

– Co ty? Chodźmy! – zawołała zalękniona.

– Ale dlaczego? To bezbronna staruszka, nic złego nam nie robi.

I Elena ruszyła nieznajomej na spotkanie. Staruszka była zawinięta w ciemną chustę, spod której wyłaniała się jedynie pomarszczona twarz z parą dużych, brunatnych oczu. Pochyliła się ku Elenie i coś jej szepnęła do ucha, ale Marta była zbyt daleko, żeby usłyszeć słowa.

Potem się wyprostowała, z odległości posłała Marcie długie spojrzenie, obróciła się i znów zniknęła wśród drzew. Elena tymczasem zbliżyła się do młodszej siostry.

– Co ci powiedziała?

– Nic takiego, pytała, czy nie widziałyśmy owcy, która jej zginęła, więc powiedziałam, że nie.

– Owcy?

– Tak. No chodź – i Elena ruszyła w kierunku domu.

Kiedy tam się znalazły, a ciotka Francisca zbeształa je swoim zwyczajem, zjadły wodnistą zupę pozbawioną smaku i wkrótce

położyły się spać.

Parę godzin później Marta się przebudziła. Jakiś dziwny koszmar przerwał jej sen. Usiadła na sienniku. Jej siostra spała jeszcze głęboko po drugiej stronie łóżka. Ziewnęła i odgarnęła do tyłu gęste włosy, które spadały jej na ramiona jak zasłona. Popatrzyła na swoje drobne stopy, potem przesunęła oczyma w górę, po długich, smukłych nogach.

Zastanawiała się, jak wstać z pościeli, nie robiąc hałasu. W izbie panował przejmujący chłód. Podeszła do krzesła przy oknie i wzięła męską opończę, która służyła jej za zimowe okrycie. Marta była wysoka i ta opończa była jedynym w domu ubraniem, które sięgało jej do kostek. Lubiła zimne, górskie powietrze i nie miała nic przeciwko temu, że chłody przyszły tego roku wcześniej niż zwykle.

Wyjrzała przez okno. Na dworze panowały kompletne ciemności, było bezwietrznie, a kłaki wieczornych chmur, ześlizgnąwszy się z wolna po zboczu, ułożyły się teraz w ławice, przesłaniające światło księżyca. Ale i tak widać było sylwetę klasztoru, pogrążonego w głębokim, ciężkim śnie.

„Nikt z sąsiadów nie wyjdzie z domu aż do świtu”, pomyślała.

W takie noce zacierały się w ciemności wstążki ścieżek, a niezbadane czeluści góry stawały się niemożliwe do przebycia. Mroczne gąszcze leśne napełniały się grozą i wyciem wilków, zbiegających w dół ze skalnych pustkowi w poszukiwaniu zdobyczy, której brakło tam, wysoko. Labirynt dębów ostrolistnych gęstniał, otoczony pierścieniem kolczastych pnączy i mchów, zaś krystaliczna woda płynęła potokami z licznych źródeł, tryskających ze stromych zboczy Moncayo, owej góry, wokół której rozpościerały się te ziemie. Góry, do której wszyscy odnosili się z lękiem i czcią.

Kiedy była mała, babcia zawsze jej powtarzała, żeby nigdy nie przekraczała granicy, jaką wyznaczają dęby ostrolistne. Bo wyżej, tam gdzie ustępują miejsca dąbrowom i buczynom, a ziemię porastają paprocie, mchy i wiciokrzew, gdzie zaczynają się pojawiać jałowce, tam czyhają oddziały istot wygnanych, ludzi, którzy porzucili wiarę,

i więźniów tajemnic tak przerażających, że wyznać ich nie sposób.

Poczucie grozy nasilało się szczególnie o tej porze roku, zaledwie cztery dni przed Nocą Dusz Pokutujących, której najbardziej się wszyscy lekali, bo wówczas umarli mogli na parę godzin powrócić do świata żywych.

Często wspominała te stare historie, które babcia nieboszczka jej opowiadała w mgliste wieczory. Do tego od dwóch dni Martę prześladowało jakieś dziwne odczucie, jakiś głęboki rozstrój. Wykonywała normalne czynności, ale jakby nieobecna, zupełnie nie obchodziło jej, co robi. Czasem się rozglądała i nie dostrzegała wokół siebie niczego pociągającego, niczego, co mogłoby dać jej szczęście.

Minęło parę miesięcy, odkąd przestała być dzieckiem i od tej pory zawładnęła jej umysłem jakaś gorzka i niepewność.

„Co ze mną będzie?“, rozmyślała często. Przerażała ją myśl, że przyjdzie jej przeżyć całe życie w tym opactwie, patrząc wciąż na te same twarze, te same miny, każdego dnia wykonując te same czynności. Że nie będzie jej dane zobaczyć morza ani ogromnych miejskich katedr, gwarnych targów, kipiących różnorodnością egzotycznych towarów i tylu, tylu innych rzeczy. Że na zawsze zostanie niewolnicą Moncayo.

Kiedy spoglądała w okno pogrążona w tych rozmyślaniach, wydało jej się nagle, że widzi jakiś samotny cień błędzący wokół domu. Wpatrzyła się w tę sylwetkę, może to senność i nocne mroki łudziły jej wzrok fałszywym pozorem? Ale nie, była pewna, że tam, na zewnątrz, ktoś stąpa wolnym krokiem. Nie mogła dostrzec, kto, bo wkrótce mgła pochłonęła tę postać.

„Kto to taki?“, zadawała sobie pytanie.

Była pewna, że to, co widziała, nie było tworem jej wyobraźni.

Wróciła do łóżka niespokojna. Wszyscy mieszkańcy Moncayo bali się nocy. Mówili, że ta pora należy do istot z innych czasów, które wygnane z doliny, wycofały się do wnętrza góry, by czając się w tym ostatnim bastionie, próbować odbić tereny, które niegdyś do nich należały.



To były tylko rojenia, historie opowiadane od zawsze, te same, które opowiadała jej babcia. Legendy, których nikt nie mógł potwierdzić, bo mówiły o rzeczach, których nikt nigdy nie widział. A mimo wszystko nie brakowało ludzi, którzy w nie mocno wierzyli. Baśnie o olbrzymach, nekromantach, nereidach i kobietach, które przemieniały się w zwierzęta.

Dlaczego? Kto czerpał korzyści z podsycania płomienia tych historii?

Przewróciła się na bok, w kierunku swojej siostry Eleny, z którą dzieliła postanie, od kiedy mieszkały u ciotki. Elena była od niej o wiele niższa i miała zupełnie inne rysy twarzy. Była wesoła, radosna, beztroska, drobna i śliczna. Była jak promień słoneczny przenikający przez leśny gąszcz. A ona była mroczna, ciemna jak jej włosy i cera. Zbyt wysoka, za chuda, do tego milcząca i zamyślona. Elena była dniem, a Marta nocą.

Młodsza z sióstr z nikim nie dzieliła się swoimi myślami. Nie śmiała tego robić, ponieważ były to rzeczy, które nie mieszczą się w słowach, myśli, których nikt by nie zrozumiał, sprawy zakazane i pytania, które pragnęły ulecieć z wiatrem jak najdalej od tego miejsca.

Kto też mógł się kręcić nocą przy domu?

Może lepiej o tym zapomnieć.

Zerknęła na starszą siostrę. Nigdy się do tego nie przyznała, ale zawsze marzyła, żeby być taka, jak ona. Albo mieć choć odrobinę jej światła, jej poczucia szczęścia, urody, radości życia.

Zawsze zadawała sobie pytanie, skąd Elena bierze tę całą energię, czym żywi tę swoją ochotę do życia.

Marta nigdy nie czuła się szczęśliwa, obce jej było takie doznanie. Z tego, jak jej siostra się śmiała, bawiła, śpiewała, wnioskowała, że to musi być najcudowniejsze doznanie na świecie.

Czasami wyobrażała sobie, że jest nią, że ma lśniące, złociste włosy, tak odmienne od własnych. Zwłaszcza kiedy spały obok siebie. Zachwycało ją, jak Elena, ledwie się położy, zwija się w kłębuszek i obróciwszy się do niej plecami, śpi w tej samej pozycji do samego

świtu. Zawsze promieniowało od jej ciała miłe ciepło, jednak tej nocy jakoś go nie odczuwała.

Usłyszała szmer i poczuła, że coś się porusza. Obróciła się na drugi bok i zdała sobie sprawę, że miejsce koło niej jest zimne. Wyciągnęła rękę pod kocem i zbliżyła palce do pleców siostry, tam gdzie nie były okryte koszulą. Nie trafiła na ciepłe ciało, dotknęła czegoś lodowatego.

– Elena – odezwała się stłumionym głosem. – Elena! – ale nie było odpowiedzi.

Nie słyszała też jej oddechu i przestraszyła się, że siostra może być chora. Położyła na niej dłoń i poczuła coś niebywałego, jakby to był...

Przerażona usiadła na pościeli. Pochyliła się nad nią i jeszcze raz wymówiła jej imię.

– Elena, dobrze się czujesz?

I ta próba nie zdała się na nic.

Wstała, podeszła do łóżka z drugiej strony i niecierpliwie sięgnęła po świecę. Ciotka zabroniła im zapalać światło, ale Marta wykradła kilka ogarków i trzymała je w schowku pod deską w podłodze, razem z hubką i krzesiwem. Była taka zdenerwowana, że trudno jej było skrzesać iskrę, ale za trzecim razem knot się zapalił i płomyk świecy oświetlił izbę. Podeszła do siostry i oświetliła jej twarz.

Nie mogła uwierzyć w to, co widzi, zerwała koc, którym się przykrywały. Pod nim leżał kłęb zwiniętych, starych ubrań.

Jej siostry Eleny nie było.

## Stara z gościńca

**M**arta nie wiedziała, co począć. Włożyła swoją opończę i wyszła z domu na poszukiwanie starszej siostry. Dął lodowaty wiatr, a chmury całkiem zasłoniły księżyc. Marta domyślała się, dokąd mogła się udać jej siostra, poszła więc ku ścieżce okrążającej las. Nigdy nie zdarzyło jej się opuszczać domu w nocnej porze, bała się, a jednocześnie coś nakazywało jej iść dalej, coraz dalej od domostw osady. Usłyszała jakiś odgłos za plecami, poczuła jeszcze silniejszy lęk. Przyspieszyła kroku i mało się nie wywróciła na kamieniach. Na chwilę straciła orientację, ale kiedy księżyc błysnął zza chmur, odnalazła ścieżkę. W pewnej odległości majaczył jakiś cień. Nie wiedziała, co to może być za istota, przystanęła, żeby pomyśleć.

Jak się powinna zachować?

Jeśli to nie jej siostra, jest zgubiona. Nie chciała nawet sobie wyobrażać, jaki człowiek czy inny stwór mógł się włóczyć w okolicach lasu w środku nocy, ale była pewna, że nie może się spodziewać po nim niczego dobrego. Noc była głęboka, mroczna, mglista. Od czasu do czasu księżyc błyskał spomiędzy kłaków chmur, unoszących się ponad Moncayo.

Zbliżała się powoli, a cień też zachowywał się spokojnie i obserwował ją z mroku.

- Co ty tu robisz?
- Elena, to ty. Co za ulga!
- Marta, na miłość boską, po co za mną wyszłaś?
- Dokąd idziesz?
- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Idziesz do tej staruchy, tak? Do niej się wybierasz, może zaprzeczysz?
- nalegała Marta.
- Tak.
- Chcę iść z tobą.
- Nie, lepiej nie – Elena jakby się przestraszyła.
- Proszę, pozwól mi.
- Zgoda, ale chodźmy już, bo jeszcze nas ktoś z wioski zobaczy.

Nocne powiewy zaczęły gwałtowniej szarpać gałęziami topoli i groźne chmury szczelnie zasłoniły księżyc na niebie, sprawiając, że noc – czy to możliwe? – jeszcze głębiej utonęła w mroku. Dwie siostry szły brzegiem rzeki. Marta podążała za siostrą w milczeniu, skupiona na tym, żeby nie stracić jej z oczu i pokonywać paraliżujący lęk. Czuła na sobie spojrzenia leśnych zwierząt, śledzących każdy ich krok spośród drzew. Znowu jej się przypomniały historie, które opowiadała babka o tych istotach, które ponoć gnieździły się w górze i nocami, takimi jak ta, schodziły i rozpełzały się po dolinie. Bała się, że jej wzrok może się spotkać ze ślepiami któregoś z tych stworów, przyglądających się im z ciemności. Za to jej siostra szła zdecydowanym krokiem, jakby niczego się bała.

Obeszły kołem zgliszcza zrujnowanej, opuszczonej osady i szły dalej ścieżką, która doprowadziła je do jakiegoś wysuniętego fragmentu muru, skąd ukazała się przed ich oczyma budząca grozę sylweta.

- Co to jest? – spytała Marta.
- Trasmoz.
- Nie! Co my tu robimy? – rzuciła siostrze rozpaczliwe spojrzenie – musimy się trzymać z daleka od tego miejsca.
- Boisz się?
- To przekłete miejsce, tu mieszkają czarownice.
- Dzisiaj jest piątek, na pamiątkę Pana naszego Jezusa Chrystusa, który umarł w ten dzień, czarownice nie mogą nikomu zrobić krzywdy – oznajmiła Elena z pewnością siebie niespotykaną u osób w jej wieku.
- Skąd wiesz?

– Wiem. Wiem również, że ze swojego domu słyszą wszystko, co się o nich mówi, nawet jak ktoś szepce na ucho, choćby w najdalszym zakątku Moncayo – wyszeptała, spoglądając na przerażoną siostrę jakoś złośliwie.

– Chcę wracać do domu.

– Mówiłam ci, żebyś za mną nie łąziła, ale ty się uparłaś. Teraz za późno, żeby wracać, Marto.

– Ale co my tu robimy?

– Klasztor jest pełen tajemnic, mnisi nie chcą, żebyśmy się dowiedzieli, co się tam dzieje, jedyny sposób, żeby się przekonać, to przyjść w to miejsce – rzekła starsza z sióstr. – Właśnie po to nas straszą nas opowieściami o czarownicach, żeby nas trzymać z daleka od Trasmoz, żebyśmy nie wiedzieli, co się naprawdę dzieje w Moncayo.

– Skąd ty to wszystko wiesz, siostrzo?

– Nieważne, ale bądź spokojna, my się nie wybieramy do Trasmoz.

– To dokąd mnie prowadzisz? – nalegała Marta.

– Cierpliwości, siostrzo, cierpliwości.

Poszły dalej ścieżką, a przy kępie uschniętych zarośli Elena skręciła między szeregi drzew oliwnych. Niedaleko, w małej kotlinie, była prymitywna zagroda dla bydła, która o tej porze roku niewątpliwie musiała być zamknięta. Ta mizerna siedziba składała się z lichej chaty i okalającego ją muru ułożonego z polnych kamieni. Elena nie zatrzymała się przed ogrodzeniem, tylko przeszła przez nie i ruszyła do drzwi chaty. Zapukała trzykrotnie i otworzyła.

Marta wiedziała, że nie powinna tam wchodzić, ale coś silniejszego niż rozsądek zmuszało ją do wejścia, ciekawość. Przekroczyła próg. Wnętrze w niczym nie było lepsze od tego, co było widać na zewnątrz. Na palenisku buzował mocny ogień, a przy nim siedziała w kucki stara, skurczona kobieta. Wypłowiaste kosmyki włosów wiły się u jej czoła jak węże. Wokół jej zgarbionego ciała i kostropatych ramion piętrzyły się niezliczone graty, dzbanki, kociołki i metalowe rondle, a blask płomieni z paleniska mnożył się niezliczonymi rozbłyskami na ich

powierzchniach.

– Siostry sieroty postanowiły złożyć mi wizytę – powiedziała syczącym głosem.

– Powiedziałam, że przyjdę – odrzekła Elena, śmiało zbliżając się do staruszki.

– Tak, powiedziałaś – uśmiechnęła się. – Wejdźcie, nie bójcie się.

– Kim jesteś? – zapytała nieufnie Marta.

– Jedną z tych, które przeżyły, tak samo jak wy.

– Mówią na ciebie „stara z gościńca” – rzekła Elena bez skrpułów.

– Tak na mnie mówią?

– Tak. Tutaj mieszkasz?

– Nie, kto by chciał mieszkać w takim miejscu? – i zachęciła je gestem, żeby się rozejrzały po podupadłej izbie. – Tutaj się chronię w zimie, o tej porze roku nie ma co się zapuszczać w wyższe partie Moncayo, jest zimno i wilki schodzą w poszukiwaniu pożywienia, którego nie znajdują tam, w górze; poza tym nie tylko one schodzą z góry.

– A co robisz, kiedy jesteś w tym domu? – nalegała starsza z sióstr.

– To samo, co wszystkie kobiety na świecie: dostarczam mężczyznom tego, czego pragną, żeby nam pozwolili żyć w spokoju.

– Czego pragną mężczyźni? – tylko Elena się odzywała, jej młodsza siostra, zalękniona, trzymała się o dwa kroki za nią.

– Cha, cha! – starka wybuchła dźwięcznym śmiechem, od którego wszystko w izbie się zatrzęsło. – Dziecko, oni ci powiedzą, że przeróżnych rzeczy: władzy, bogactwa, rozkoszy, ale nie – potrząsnęła głową – tak naprawdę są o wiele bardziej prymitywni i pragną tylko jednego: uwolnić się od strachu.

– Strachu? – skrzywiła się Elena. – Strachu przed czym?

– Przed śmiercią, mężczyźni, od kiedy stają się mężczyznami, boją się śmierci, boją się tej chwili, kiedy będą umierać, a nawet i tego, co się stanie później. Boją się o to, jak będą umierali, czy będą cierpieli. Boją się tego, kto ich zabije, kogo napotkają, kiedy umrą.

– A ty to wszystko wiesz?

- Nie, moja mała – odpowiedziała, patrząc na Elenę.
- Jesteś czarownicą?
- Czarownice... ależ tak! Te kobiety nieprzerwanie mruczą zaklęcia, które sprawiają, że umarli wychodzą z grobów, wstrząsają dnem otchłani i przywołują ich, posłusznych własnej woli, na powierzchnię ziemi – rzekła staruszka, wpatrując się w ogień. – Są tacy, którzy w to wierzą, ludzie małej wiary, przypisujący im moce, w jakie jedynie Bóg jest wyposażony. Nie, ja nie jestem czarownicą.
- No to kim jesteś?
- Jestem strażniczką.
- Strażniczką czego? – zapytała Elena, a w jej wzroku odbił się wyraz powątpiewania.
- Tej góry, tego, co w sobie ukrywa.
- A co takiego ukrywa ta góra?
- Zło, cóżby innego? – stara podsycała ogień na palenisku.
- Powiedziałaś, żeby tu przyszła, jeśli chcę się wydostać z tego miejsca. No i jestem.
- Tak – stara przyjrzała się obu dziewczynom. – Naprawdę chcecie opuścić Moncayo? Obydwie?
- Ja tak – odpowiedziała Elena.
- A ty? Podejź – wycelowała długim, kościstym palcem w stronę Marty. – Chcesz stąd odejść?
- Tak, ona też chce odejść z Moncayo – wyręczyła Elena swoją młodszą siostrę.
- Dobrze, ja wam mogę w tym pomóc, ale w zamian za to musicie coś dla mnie zrobić.
- Najpierw powiedz, co – rzekła Elena bez skrpułów.
- W klasztorze jest pewien człowiek – stara znów spojrzała w ogień i pogrzebała w nim długim prętem, żeby ożywić płomień.
- Tam w środku mieszka ich wielu.
- Ten jest inny. To nie jest duchowny. A poza tym jest tam uwięziony, nikt go nie widział i nie wie o jego istnieniu.

– Kto to jest? I dlaczego go więżą? – zapytała stanowczo Elena.

– To nie wasza sprawa – odpowiedziała starka. – Powiem wam, gdzie go trzymają i jak się dostać do jego więzienia. W zamian za to on wam da pewną rzecz, a wy mi to przyniesiecie.

– A potem?

– Pomogę siostróm wy dostać się z Moncayo i nigdy więcej ich stopa nie dotknie tej przeklętej ziemi.

– Ale skąd mamy wiedzieć, że nas nie oszukujesz?

Wtedy stara przestała grzebać w palenisku, zwróciła głowę ku starszej z sióstr i przez dłuższą chwilę się jej przyglądała.

– Ja pokładam zaufanie w dwóch dziewczynkach, które przysły tu samotnie w środku nocy. Skąd mam wiedzieć, że prosto stąd nie pobiegniecie do mnichów i nie wygadacie im wszystkiego, co zamierzam wam powiedzieć?

– Hm... – Elena oceniła sytuację. – Zgoda, powiedz nam, jak się dostać do klasztoru i jak znaleźć więźnia.

– Pod fundamentami muru przebiega kanał. Znajduje się kawałek przed bramą, a dokładnie tuż za pierwszą wieżyczką południowego skrzydła. Nie widać go, bo jest ukryty, ale jest do niego wejście dość obszerne, żeby takie myszki jak wy się nim przecisnęły. Idąc tym kanałem, dostaniecie się do wnętrza Verueli.

Stara pouczyła je, co mają zrobić dalej, objaśniając drogę krok po kroku.



## Kwiaty

**B**rat Cipriano, furtian, był jedynym mnichem zwolnionym z obowiązku uczestniczenia w nabożeństwach w kościele. Nad bramą znajdowała się specjalna kaplica, w której mógł się modlić, żeby nie uchybić swoim powinnościom. Główne miejsce zajmowała w niej rzeźba świętego Bartłomieja, przedstawiająca ową postać z nożem w prawicy i diabłem zakutym w łańcuchy po lewej.

Brat Cipriano modlił się do świętego Bartłomieja, który mógł ich obronić przed nieprzyjaciółmi opactwa. Umiejętność przeciwstawiania się mocom piekielnym, jaką posiadał ten święty, była powszechnie znana.

Jego stanowisko było w Verueli związane ze szczególną odpowiedzialnością. Do straży w bramie zawsze wyznaczano rozsądnego mnicha w dojrzałym wieku, kogoś takiego, kto potrafi odebrać przesłanie i przekazać je w sposób jasny i zwięzły. Cipriano był jedynym zakonnikiem, który sypiał poza klauzurą, ponieważ miał swoją celę w sąsiedztwie furty, w jednej z wież, które z dwóch stron czuwały nad bezpieczeństwem bramy. Dzięki temu zawsze był uprzedzony o przybyciu obcych do Verueli. Ilekroć ktoś taki się zbliżał, miał obowiązek witać go słowami: *Deo gratiae*.

Po zmówieniu modlitwy do świętego wspiął się po stopniach na mur i rozejrzał się po otoczeniu klasztoru przez blankowanie. Za każdym razem, kiedy dokonywał takiej inspekcji, bał się, że jego obawy przemienią się w realną groźbę, wiedział bowiem, że za tymi murami nie mogą się czuć bezpieczni, że pewnego dnia nadciągną wrogowie, dlatego też przykładał się do swojej pracy z wielką dbałością.

Na bieżąco sprawdzał stan murów, wypatrując, czy nie pojawiły się jakieś pęknięcia, pilnował wycinki drzew wokół murów, żeby nieprzyjaciel ich nie użył w razie ataku, i wyćwiczył wszystkich poddanych opactwa w posługiwaniu się bronią. Wybrał na ich dowódcę Atilana, chłopca wyróżniającego się niezwykle krzepą, i przysposobił ich do walki lekkimi mieczami o krótkim ostrzu, ponieważ w razie konieczności obrony murów Verueli, takie były najsposobniejsze.

Czego mu brakowało, to łuczników. I to go martwiło. Poszukiwał mężczyzn obeznanych z tym rodzajem broni we wszystkich ziemiach należących do klasztoru, ale jego wysiłki okazały się daremne. Nie brakowało dobrych łuczników wśród myśliwych polujących w górach, ale ci nie chcieli wstąpić na służbę klasztoru. Wielu z nich pochodziło z leżącej w odległości paru mil osady Trasmoz, posiadającej potężny zamek. Ale te dwa miejsca były ze sobą skłócone od niepamiętnych czasów, od kiedy opat Verueli poprowadził procesję mnichów z klasztoru do wejścia do Trasmoz i rzucił klątwę na wszystkich tamtejszych mieszkańców.

Tak, Trasmoz było miejscem przeklętym, jego zamek, domy i ludzie, którzy tam żyli.

Od tamtego dnia spory o wodę, pastwiska i tereny łowieckie były tak częste, jak nieskuteczne, może dlatego, że Trasmoz stanowiło pierwszy i najsilniejszy przyczółek biskupstwa Tarazony ulokowany naprzeciw rozległych dominiów Verueli.

Biskupstwa nie łączyły z opactwem szczególnie serdeczne relacje, wprost przeciwnie, wzajemna wrogość była otwarta i powszechnie znana.

Mówili o bracie furtianie, że jest prorokiem nieszczęścia, on jednak dobrze wiedział, co robi. Opat powierzył mu tę trudną pracę, być może najważniejszą dla całej kongregacji: strzec Verueli przed wrogiem zewnętrznym. I był pewien, że nie zawiedzie.

Po nieszczęsnym zdarzeniu z oblatem z ulgą powrócił do swojej

służby, by znów spędzić noc na pilnowaniu wejścia do opactwa. Nie było to łatwe zadanie. Ten, który pełnił je przed nim, stracił rozum i pewnego dnia zniknął. Ponoć ruszył w góry i nigdy nie powrócił. Niektórzy twierdzili, że został pustelnikiem, że zamieszkał ponad bukowym lasem, do którego ludzie nie odważali się chodzić, bo żyły tam stada wilków. Mówiono, że są tam nawet niedźwiedzie, ale żaden z tych, którzy dotarli do najwyższych partii góry, nie wrócił, żeby opowiedzieć, co widział.

Zwątpienie Bizéna się pogłębiało, dlatego postanowił wybrać się na kolejną rozmowę z opatem. Ten, który piastował w Verueli najwyższą władzę, okazał mu zaufanie, ale jednocześnie go oszukał. Teraz wiedział, że to opat polecił świeckiemu bratu wydobyć szczątki dziedzica tronu z grobowca, żeby uniemożliwić ich wywiezienie z Verueli.

Musiał zachowywać się wobec opata z wielką przezornością; raz go oszukał, było więc prawdopodobne, że zrobi to po raz kolejny.

Idąc kłauzurą, uświadomił sobie, że nagość form architektonicznych nie oznacza pogardy dla szczegółów. Te gładkie ściany dawały poczucie piękna, porywającego swą wstrzemięźliwością. To prawda, że święty Bernard sprzeciwiał się nadmiernemu przepychowi kluniackich budowli i krytykował tendencję do pokrywania ścian kościelnych złotem, podczas gdy synowie Kościoła byli nadzy. A jednak, mimo tych napomnień, cystersi nie zrezygnowali ze stosowania kamienia dobrej jakości i starannie obrobionego ani też z planowania w najdrobniejszych szczegółach elementów dekoracyjnych: owszem, dbali o funkcjonalność, pamiętając jednak o harmonii i pięknie.

Przyglądając się kamiennemu ogrodowi, doszedł do drzwi komnaty opata. Wziął głęboki oddech, ale dokładnie w chwili, kiedy miał zastukać, drzwi się otworzyły i z wnętrza wyłoniła głowa najmłodszego mnicha, ozdobiona jasnymi włosami.

– Bracie Hugo, jak się miewacie?

- Dobrze, dziękuję.
  - Czy opat czuje się lepiej? Chciałbym się z nim widzieć – rzekł Bizén, wskazując oczyma na drzwi.
  - Nie, to niemożliwe – odpowiedział pospiesznie zakonnik. – Odpoczywa, to dla niego zbyt późna pora.
  - Wystarczy mi krótka chwila, chciałbym zdać opatowi sprawę z postępów mojego śledztwa.
  - Musicie z tym poczekać do jutra – upierał się brat Hugo, który, choć młody, nie był tak naiwny, żeby się narażać zwierzchnikowi.
  - W takim razie – Bizén cofnął się o krok – chciałbym porozmawiać z wami.
  - Ze mną? Nie wiem, w czym mógłbym wam być pomocny.
  - Podobnie jak wszyscy mnisi należycie do kręgu podejrzanych – przypomniał. – I jeszcze nie miałem okazji do rozmowy z wami.
  - Nie wiem, na jaki temat chcecie rozmawiać, ale znajdujemy się na terenie klauzury.
  - Wiem, dlatego lepiej przejdźmy do spichlerza, dobrze? Zdaje mi się, że o tej porze dziekana Estébana tam nie zastaniemy.
- Brat Hugo starannie zamknął drzwi i zanim śladem Bizéna podążył do spichlerza, obrzucił je ostatnim spojrzeniem.
- Nie będę was długo niepokoił, ale chciałbym na początek spytać, jakie są wasze funkcje w Verueli.
  - Nie mam żadnej szczególnej funkcji, poświęcam się modlitwie i pomagam we wszystkim, o co mnie poproszą. Wykonuję również zadania kopisty i inne prace w bibliotece – wyjaśnił brat Hugo ze spuszczonej oczyma.
  - Przypuszczam, że w waszej bibliotece znajdują się pokaźne zbiory, podobnie jak w innych klasztorach.
  - Nasza biblioteka nie jest szczególnie obszerna. Otrzymujemy wiele kopii z opactw Fitero i Piedra, w których przechowują cenniejsze egzemplarze.
  - Z jakiego rodzaju księgami macie do czynienia?

– To głównie rejestry, kopiuję dawne dokumenty, żeby nie przepadły. Sprawdzam, czy księgi znajdują się w dobrym stanie, a jeśli trzeba, to je naprawiam. W Verueli powstają liczne dokumenty, sami wiecie: rachunki, dochody, wydatki, sprzedaże, inwentarze...

– Zatem wszystko, co dotyczy spraw bieżących; wnioskuję stąd, że wszystko tutaj się zapisuje i przechowuje – podsumował Bizén wobec pasywnej postawy mnicha. – A poza biblioteką?

– Zostaje mi niewiele czasu, reguluję nowy zegar mechaniczny i wykonuję prace, które mi zlecają starsi wiekiem zakonnicy – wyliczył zakonnik bez większego zapału.

– W jaki sposób trafiliście do Verueli?

– Mój ojciec chciał, żeby jego syn przyjął święcenia zakonne.

– Musi być z was dumny – orzekł Bizén, przybierając przyjazny ton.

– To trudny człowiek, nie jestem pewien, czy słowo „dumny” jest odpowiednim określeniem.

– A wasza matka?

– Zmarła.

– Przyjmijcie wyrazy współczucia.

– To było dawno, już jej nie pamiętam – wyznał. – Mam na myśli to, że nie pamiętam, jaka była. Ale modłę się za nią co wieczór.

– Dobrze czynicie, bracie Hugo. I ona na pewno was słucha – Bizén przyjrzał się zakonnikowi i odwrócił się ku drzwiom. – To wystarczy, chodźmy stąd, musicie się udać na nabożeństwo.

– Tak, zbliża się pora – i obydwaj opuścili *cellarium*.

Zakonnik się pożegnał i powrócił do klauzury, a Bizén poczuł, że nie robi żadnych postępów, że ci zakonnicy tak pilnują każdego wypowiedzanego słowa, iż jego misja staje się coraz trudniejsza. Jako że znajdował się o parę kroków od przejścia dla oblatów, przypomniał sobie o tych dwóch, których widział w noc swojego przybycia: o wielkoludzie i tym drugim, mniejszym. Postanowił zatem ich poszukać, zanim rozpoczną się modlitwy. Udał się w kierunku warsztatów klasztornych i wkrótce zobaczył pomagającego kowalowi

w kuźni wielkoluda. Uderzał młotem w podłużny kawał metalu.

– Kujecie miecze?

– Tak, na rozkaz mnichów – odpowiedział brat Prudencio.

– Czy wiecie, kim jestem?

– Naturalnie, jesteście notariuszem, który prowadzi śledztwo w sprawie śmieci Octavia – przeżegnał się – niech odpoczywa w pokoju.

– Jaki był Octavio?

– No dobrze, kujcie miecze, ja przyjdę jutro – pożegnał się z kowalem i gestem wskazał Bizénowi, żeby mu towarzyszył. – Będę z wami szczerzy: Octavio był dobrym zakonnikiem, bardzo pracowitym i zdolnym.

– Jakie miał uzdolnienia?

– Wszelkiego rodzaju – odpowiedział bez namysłu, nie zwalniając kroku. – My, oblaci, wykonujemy w klasztorze prace fizyczne. Po to, żeby mnisi byli od nich wolni i mogli oddawać się modlitwom i doglądaniu najważniejszych robót. Octavio nie zadowolalał się takimi zajęciami, zawsze aspirował do pełnienia ambitniejszych funkcji.

– I jak na to patrzyli mnisi?

– Zależnie od sytuacji; czasami jego pomoc była im na rękę, kiedy indziej nie chcieli, żeby się wtrącał – odpowiedział oblat. – Bo Octavio był ambitny, bardzo ambitny.

– Czyli chciał być czymś więcej niż oblatem.

– Naturalnie, ale to... To było skomplikowane. Pochodził ze skromnego rodu, tak samo jak ja i tylu innych. Ale nie byłby to pierwszy przypadek awansu takiego jak on w Verueli, Octavio był w tym dobrze zorientowany.

Oblat przystanął w miejscu, gdzie zaczynały się ogrody, i na chwilę zamilkł, jakby chciał uporządkować myśli.

– Coś wam powiem, notariuszu – Octavio umiał czytać.

– Nie przypuszczałem.

– A to nie wszystko. On czytał wszystkie księgi, jakie mu wpadły w ręce, a poza tym o wszystko wypytywał, a nieraz nawet płacił

za różne informacje.

– Płacił? Jak to możliwe?

– Na różne sposoby, on przez jakiś czas był zatrudniony w spichlerzu. Czyli sprawował kontrolę nad wydawaniem mięsa, oliwy, ziarna, a przede wszystkim wina – wyjaśnił brat Prudencio. – Jedna beczka wina może sprawić, że otworzą się niejedne usta. I w ten sposób dowiadywał się o bardzo ciekawych sprawach, takich jak na przykład kwiaty na cmentarzu.

– O jakich kwiatkach mówicie?

– Otóż, co roku tego samego dnia, choć nie znam daty, ktoś kładzie kwiaty na jednej z mogił na cmentarzu przylegającym do kościoła – wyjawiał, ścisząc głos – zawsze tego samego dnia.

– Nie wydaje mi się to szczególnie dziwne.

– No tak, ale pomyślcie: nikt nie wie, kto te kwiaty tam kładzie ani skąd się biorą, a przysięgam wam, że co roku próbują się tego dowiedzieć, ale nic z tego nie wychodzi. Możecie sobie wyobrazić mnicha kładącego bukiet na grobie innego mnicha? – na twarzy brata Prudencio pojawił się dziwny grymas, pokręcił głową.

– Macie rację.

– No proszę – Bizén potarł kark dłonią. – Mnisi słowem mi o tym nie wspomnieli.

– Nie ufajcie im, notariuszu. Octavio dobrze wiedział, że nie można im ufać.

– Jak to możliwe, że nie zauważyliście, jak wstał tamtej nocy? – zmienił temat Bizén.

– Ja nie jestem stróżem innych braci.

– Sypiacie wszyscy w jednym pomieszczeniu, trudno mi uwierzyć, że nikt nie spostrzegł jego wyjścia – nalegał Bizén. – Być może powinienem zapytać każdego z waszych braci świeckich, jestem przekonany, że któryś z nich coś zauważył tamtej nocy.

– Zaczekajcie.

– O co chodzi, bracie? Macie mi coś do powiedzenia?

– Tamtej nocy nie było mnie w dormitorium – wyznał oblat ze zmieszaniem w głosie.

– Jak to: nie było? – Bizén zacisnął pięści, obawiając się, że zaraz będzie musiał ich użyć. – A z jakiej to przyczyny?

– Jeśli to ujawnicie, wyrzucą mnie z klasztoru.

– Posłuchajcie, jeśli to nie ma związku z zabójstwem Octavia, nikt się o tym nie dowie. Macie moje słowo – oznajmił Bizén, nie tracąc czujności.

– Tamtej nocy wstałem i poszedłem do spichlerza, miałem tam przygotowaną baryłkę wina. Wytoczyłem ją na zewnątrz, gdzie czekało dwóch wieśniaków. Pomogli mi ją przewieźć poza mury.

– Wino? Po co, jeśli wolno spytać?

– Oni je zabierają dla kupca z Borja, który nam bardzo dobrze płaci – wyjawiał brat Prudencio. – Ale proszę was, gdyby mnisi się dowiedzieli... to byłby mój ostatni dzień w klasztorze.

– Kradniecie wino z *cellarium*!

– Trzeba mieć jakiś sposób na przeżycie, nie macie pojęcia, jacy ci zakonnicy są dla nas surowi – poskarżył się oblat. – A sami robią, co im się spodoba. Obiecaliście, że mnie nie wydacie.

– I dotrzymam słowa. Za kogo mnie bierzecie? – Bizén głośno wypuścił powietrze i potarł kark – Jeszcze jedno pytanie. Tamtej nocy, kiedy wstaliście, Octavio był w łóżku?

– Nie, nie było go. I wiecie, co wam powiem? Nie pierwszy raz się tak zdarzyło.



## Więzień Verueli

**P**o wyjściu z domu starki siostry prawie ze sobą nie rozmawiały. Było jasne, że Elena podjęła decyzję za nie obie. Marta szła za nią niepewnie, pozwalając się prowadzić, ale nie odważyła się otworzyć ust. Czuła, że coś nią zawładnęło, jakieś nowe, wszechogarniające uczucie, którego nie potrafiła jeszcze rozpoznać.

Znalazszy się w okolicach klasztoru, dziewczęta skręciły w stronę wieżyczki w południowym skrzydle muru. W pobliżu przebiegała ścieżka, która pięła się w kierunku ostatnich zamków północnego zbocza Moncayo, powyżej nie było już nic prócz lasu. W tym rejonie mur wydawał się wyższy, a w ciemności zaledwie było widać, gdzie stawiają nogi. Mimo to Elena stąpała z całkowitą swobodą. Oddaliła się od muru długimi krokami w kierunku jakiegoś obniżenia terenu. Zatrzymała się, chwilę się zastanowiła, po czym ruszyła w dół, w kierunku ogrodów. Przykucnęła i zaczęła czegoś wypatrywać wśród zielsk przy jakimś kopczyku ziemi. Marta, bez słowa protestu, poszła jej śladem.

- Gdzieś tu musi przebiegać kanał, który doprowadza wodę do środka.
- Widzisz go?
- Jeszcze nie, szukaj z tamtej strony – poleciła Elena.

Zaczęła się rozglądać za wejściem, ale trudno było coś wypatryć w ciemności. Chłód coraz bardziej dawał się we znaki i Martę ogarniał niepokój. Ale jej starsza siostra uparcie trwała przy swoim zamiarze. Nagle gdzieś przepadła. Marta się przeraziła, postąpiła parę kroków naprzód i rozejrzała się wokół.

„Co ja tutaj robię?”, zadała sobie pytanie.

Poczuła, że jest śledzona, że z ciemności może się wyłonić jakieś

stworzenie. Była sama pośród nocy, ze wszech stron otoczona lasem.

Wróciła do miejsca, w którym straciła z oczu Elenę, próbowała ją odnaleźć bez powodzenia i zaczęła drzeć ze strachu. Z trudem łapała oddech, a mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa. Nagle poczuła jakieś szarpnięcie i pomyślała, że już po niej.

Uczuła wodę płynącą pod stopami, a po bokach ściany przesycone przykrą wonią. To było jak nora jakiegoś zwierza, wilgotna i ciasna.

– Chodź za mną – szepnęła Elena.

Ale niełatwo było się poruszać w tej wąskiej gardzieli. Do wnętrza nie dochodziło żadne światło, które pozwoliłoby się przekonać, jak głęboka jest ta gardziel. Ruszyła za swoją starszą siostrą, trzymając dłoń na jej plecach. Obydwie szły zgięte, niemal się czołgając przez tę wilgotną jamę. Elena parła wciąż naprzód, a Marcie zaczęło brakować powietrza, czuła, że ogarniają ją mdłości, czuła lęk, że nigdy stamtąd nie wyjdzie, że zostanie żywcem pogrzebana w tej dziurze.

Nagle dostrzegła, że podziemna gardziel się kończy, że wyrasta przed nią ściana ziemi, że jest w potrzasku.

Wpadła w panikę.

– Ruszaj się – jej siostra Elena pociągnęła ją za rękę i pomogła skrócić w prawo – teraz musimy być bardzo ostrożne.

Dalej szły kanałem wyłożonym kamieniem, a po krótkim czasie poczuły powiew powietrza i wynurzyły się na zewnątrz, dokładnie za murem, obok zbiornika z wodą.

Marta nie mogła uwierzyć własnym oczom: znajdowały się na terenie opactwa!

– A teraz idziemy dalej, trzymaj się blisko mnie. W tych ciemnościach łatwo się zgubić.

Marta skinęła głową.

Starsza siostra cichutko przemknęła przestrzeń dzielącą je od pobliskiego budynku. Kiedy się zatrzymała, Marta wpadła na nią z impetem i omal się nie przewróciła, z trudem zachowując równowagę.

– Lepiej uważaj.

– Przepraszam.

– Widzisz to światło? To o tym miejscu musiała mówić starucha. Trzeba się tam dostać – powiedziała szeptem.

– To daleko.

– We dwie damy sobie radę, jesteśmy siostrami. Musimy sobie wzajemnie pomagać, prawda?

– Tak, ale... jak nas nakryją?

– Nie nakryją – odpowiedziała z przekonaniem.

Marta przytaknęła już tylko opuszczeniem powiek. Była zbyt spięta, żeby myśleć samodzielnie, wszystko, na co mogła się zdobyć, to podążać za starszą siostrą.

Odległość była znaczna i, jakby jej słowa były prorocze, skądś wychynęły dwie sylwetki, zmierzające w tym samym kierunku. Siostry przystanęły, Elena kucnęła i zaczęła macać ziemię wokół. Wreszcie jej dłoń natrafiła na jakiś kamień. Wtedy się wyprostowała, wzięła głęboki wdech, zamachnęła się szeroko i z całych sił cisnęła kamieniem, odrzucając go tak daleko, jak potrafiła.

Dźwięk rozległ się głośno w panującej wokół ciszy.

Tamci dwaj go usłyszeli i natychmiast rzucili się w stronę, gdzie upadł kamień. Elena wykorzystała czas, aby dopaść do budynku, w którym migało światło. Ale Marta nie pobiegła za siostrą.

Gdzie się podziała? Ci dwaj wkrótce wrócą...

Mimo że wszystko tonęło w ciemnościach, Elena bez wahania ruszyła na poszukiwanie siostry.

– Marta! – zawołała z cicha – Marta, jesteś tam?

– Jestem, siostro.

– To ja, gdzie jesteś?

– Tutaj. Nic nie widzę, nie wiem, gdzie iść – odrzekła drżąca.

– Już dobrze – poczuła, że starsza siostra bierze ją za rękę – teraz chodź ze mną i zachowuj się cicho.

Pozwoliła jej się prowadzić, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd idą.

– Nie oglądaj się – powiedziała Elena.

Szła posłusznie i tak dotarły do ściany budynku i przesunęły się wzdłuż fasady do drewnianych drzwi.

– To musi być ten dom, o którym nam mówiła stara – orzekła Elena –  
Czekaj tu na mój znak.

Starsza siostra zniknęła w drzwiach, a Marta, zalekniona, została. Rozejrzała się na obie strony i przyszło jej na myśl, że czekając na zewnątrz, jest narażona na większe niebezpieczeństwo, toteż wślizgnęła się do środka, z poczuciem, że robi coś, czego robić nie powinna.

Kiedy znalazła się w budynku, Elena zganiła ją spojrzeniem i poleciła unikać hałasu, po czym skierowała się na dziedziniec, skąd widać było poszczególne pomieszczenia tej budowli.

– Uciekajmy, tu nie jest bezpiecznie!

– Nie ma mowy – odrzekła Elena.

Dziewczyna o białej cerze i złotych włosach podeszła do schodów w lewym rogu, wspięła się na wyższe piętro i rozejrzała po korytarzu, prowadzącym do licznych drzwi. Jednak zamiast ruszyć tym przejściem, skręciła w kierunku małych drzwi, znajdujących się z przeciwnej strony. Marta szła za nią jak cień.

Razem dotarły do kolejnych schodów, skręciły w prawo. Przed nimi otwierały się dwa korytarze. Elena się zatrzymała. Przyglądała się im, nie wiedząc, który wybrać. Marta rzucała jej rozpaczliwe spojrzenia, ale jej starsza siostra nie traciła zimnej krwi. Poszła dłuższym przejściem aż do końca. Przed nimi były już tylko jedne drzwi i maleńkie okienko, umieszczone wysoko w ścianie. Elena podeszła prosto do drzwi i próbowała je otworzyć, ale okazało się, że są zaryglowane.

Przyłożyła ucho do ściany, jednak z wnętrza nie dobiegał żaden odgłos. Ani myślała się poddać. Rozejrzała się po korytarzu i jej wzrok spoczął na starym stole kuchennym, stojącym w rogu.

– Chwytaj z tamtej strony – zakomenderowała.

– Co ty chcesz zrobić, Eleno?

– Pomożesz mi? Jak nie, to sobie poradzę bez ciebie.

Ustawiły stół obok drzwi, pod okienkiem, i Elena dała siostrze znak, żeby na niego weszła. Marta miała bardzo długie nogi, zahaczając palce jednej stopy o wgłębienie w ścianie, zdołała sięgnąć otworu okiennego. Kiedy się znalazła na tej wysokości, popchnęła okienko. Było otwarte. Włożyła głowę do środka i stwierdziła, że szczęście im sprzyja, ponieważ z drugiej strony stoi kufer, na którym można oprzeć nogi przy schodzeniu. Elenie, która ustępowała jej wzrostem, trudniej było się wspiąć do okienka, ale i ona pokonała tę przeszkodę.

Izba, gdzie się znalazły, była tylko przedsionkiem. Prócz okienka, którym się tam dostały, były jeszcze jedne drzwi. Elena podeszła do nich, ale i te były zaryglowane, za to w górnej części miały niewielki, okratowany otwór.

Podniosła klapkę.

A wówczas dobiegł ich uszu jakiś dźwięk dochodzący z wnętrza.

Marta się przestraszyła, ale jej starsza siostra tylko się uśmiechnęła i zbliżyła twarz do otworu.

– Nie rób tego – poprosiła – przecież nie wiemy, co jest w środku.

– No właśnie.

Elena przylgnęła do okienka, ale kiedy zajrzała do wnętrza, na jej twarzy zagościł wyraz rozczarowania.

– Co widzisz?

– Nic, jest ciemno.

– Nie powinniśmy były tu wchodzić – jęknęła Marta – chodźmy stąd, zanim nas mnisi złapią.

– Czekaj – Elena znów przywarła twarzą do okienka. Było maleńkie, a krata nie pozwalała włożyć głowy do środka, żeby lepiej się przypatrzeć.

Drzwi zaskrzypiały. Ktoś w nie zastukał od wewnątrz, po czym dały się słyszeć jakieś pomruki i niezrozumiałe wyrazy.

– Ktoś ty? – odważyła się zapytać Marta, ale nie było odpowiedzi.

– Hugh Hastings – odezwał się po chwili jakiś głos ku zaskoczeniu

dziewcząt.

– Co?

– Hugh Hastings – powtórzył głos.

– Nazywasz się Hugh.

– Hastings.

– To musi być jego nazwisko – wyjaśniła Elena – Skąd jesteście?

Nie odpowiedział.

– Rozumiecie, co do was mówię? Czemu was tu uwięzili? – nalegała.

– *The prince*.

– Co mówicie?

– *The prince of Welsh*.

– Nie pojmuję, co on gada – jęknęła zrozpaczona Marta.

– Ani ja...

– *Is this a monastery?*

– Monastyr. Tak, monastyr, opactwo – odrzekła Elena, silniej przyciskając się do drzwi – Veruela, cystersi.

– *Cister?* – zapadła cisza – *The prince, we have to prevent the prince*.

Za ich plecami zaskrzypiały w zawiasach drzwi prowadzące do przedsionka. Elena złapała siostrę za ramię w chwili, kiedy do pomieszczenia wpadła smużka światła, a za nią pojawiła się w uchylonych drzwiach czyjaś ręka. Nim drzwi otworzyły się na całą szerokość, siostry zdołały się schować za kufrem. Do przedsionka wkroczył mężczyzna w habicie, zamknął za sobą wejście i przekręcił klucz, pozostawiając go w zamku.

Mnich podszedł do celi.

– Widzę, że udało wam się otworzyć judasza, na nic wam się to nie przyda – zrzędził. – Nikt was tu nie usłyszy – otworzył znajdujący się w połowie wysokości drzwi otwór do podawania jedzenia i wsunął weń miskę zupy. – No, jedzcie, jedzcie. Nie chcę, żebyście tu nam się zagłodzili na śmierć.

Z drugiej strony doleciał jakiś pomruk i para zielonych oczu znów błysnęła zza kraty.

– Miło mi was widzieć – rzekł mnich.

Marta wystawiła głowę, usiłując odgadnąć, kim jest obrócony do nich plecami duchowny. Zobaczyła korpulentnego mężczyznę średniego wzrostu z długimi, czarnymi włosami.

– Myślę, że wkrótce będziecie mogli stąd wyjść. I ja tęsknię za tą chwilą.

– *Cister* – wymówił z dziwnym akcentem więzień.

– No, no – pokiwał głową zakonnik – bystry z was człowiek. Tak, jestem mnichem z zakonu cystersów, jak się zorientowaliście?

Wtedy rozległ się sygnał wzywający na modlitwę.

– Muszę iść, jedzcie i dobrze się sprawujcie – zasunął klapkę w okienku i upewnił się, że jest dobrze zamknięta.

Otworzył drzwi i opuścił przedsionek.

Siostry mogły wreszcie odetchnąć. Gdyby mnisi złapali je w klasztorze, byłyby zgubione. Wstały i wróciły do drzwi celi. Marta znów otworzyła klapę, którą zakonnik zamknął tak solidnie. A wówczas pomiędzy prętów kraty wysunęły się czyjeś palce i dotknęły jej twarzy. Marta skamieniała, nigdy wcześniej mężczyzna nie dotknął jej dłoni, co dopiero więzień.

– Co robisz! – tym razem Elena się zaniepokoiła. – Zmykajmy stąd, szybko!

Marta w bezruchu wbijała wzrok we wnętrze celi. Nagle coś błysnęło pomiędzy prętami kraty i upadło na posadzkę u jej stóp.

To była brosza. Marta się schyliła i wzięła ją do ręki. Tak, to była srebrna brosza w kształcie dzika. Znów spojrzała w głąb celi i zobaczyła błyszczące oczy.

– Idziemy – pociągnęła ją starsza siostra. – Musimy się stąd wydostać, już wiemy, kim jest więzień i mamy coś, co do niego należy.

Wspięły się po kufrze do wysokiego okienka, niezdarnie przecisnęły się przez otwór, czym prędzej zbiegły po schodach i wyszły z budynku.

Bizén był wyczerpany. To był naprawdę długi dzień, intensywny, to

za mało powiedziane. W ostatnich godzinach obszedł najodleglejsze zabudowania klasztoru. Był we młynie, gdzie znajdowała się tłocznia do wyciskania oliwek, które wieśniacy z posiadłości klasztornych zwozili do wytwarzania tak cenionej oliwy o głębokiej barwie złota. Potem obszedł całe mury, a następnie zatoczył koło wokół obrębu świątyni i klauzurowej części klasztoru.

Spóźniona pora, zmęczenie i nieodparte poczucie senności, jakiego doświadczał w Verueli, silnie dawały znać o sobie. Powietrze Moncayo sprawiało, że sypiał dłużej i mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. To musiało być związane z tutejszym suchym klimatem, pozbawionym wilgoci.

Powracał zatem do swojej celi w domu gościnnym klasztoru. Nagle coś przykuło jego uwagę na dachu kościoła. Ta sama wielka, biała sowa, którą widywał już wcześniej po zapadnięciu zmroku. Zerwała się do lotu. Fascynowały go te nocne istoty. Odprowadził ptaka wzrokiem do gałęzi drzewa rosnącego w pobliżu. Sowa również wpatrywała się w niego swoimi wielkimi oczami.

Wkrótce frunęła w górę i zniknęła z pola widzenia.

Podjął swoją wędrówkę na nocleg, ale kiedy miał wejść do domu gościnnego, z drzwi wypadły biegiem dwie młódki.

Pierwszą z nich była dziewczyna o długich, ciemnych włosach, spływających na plecy jak welon, wysoka, z trwożnym spojrzeniem. Jej towarzysza ustępowała jej wzrostem, była świetlista, jasna i piękna. Ta rzuciła mu bezczelne spojrzenie, na twarzy miała wypisaną pewność siebie.

Co też mogły robić dwie dziewczyny w obrębie murów klasztornych, w dodatku o tej porze?

– Nie uciekajcie, nie bójcie się – powiedział.

– Nakryli nas... Uciekaj! – blondynka puściła się pędem, ta wyższa zareagowała z pewnym opóźnieniem, ale też poderwała się do biegu.

– Nie, proszę! Nikomu nie powiem, że was widziałem.

Bizén dopędził wyższą z dziewcząt i przeciął jej drogę.



– Naprawdę nie chcę wam zrobić krzywdy – Bizén podniósł ręce do góry na znak pokoju. – Jak się nazywacie?

Marta próbowała mu się wymknąć, ale jej się to nie udało, bo obcy mocno chwycił ją za rękę.

– Nie jestem mnichem, jestem w Verueli przejazdem i nie mam najmniejszego zamiaru was wydać. Zaufajcie mi, proszę.

Odniósł wrażenie, że dziewczyna nieco się uspokoiła.

– Nazywam się Bizén de Ayerbe, a wy?

– Marta, ja się nazywam Marta – powtórzyła.

– Co robicie w klasztorze samotne w nocnych godzinach?

Bizén przyglądał się dziewczynie. Nie była równie piękna jak ta, która zdołała uciec. W jej spojrzeniu czaił się jakiś mrok, który go zmieszał. Musiała należeć do rodzaju kobiet nieodgadnionych, w których za pozorami kruchości kryją się liczne niespodzianki i nigdy nie ma się pewności, do czego są zdolne.

– Przyszliśmy tu bez wiedzy mnichów – wyznała Marta, wciąż unieruchomiona uchwytem jego dłoni.

– To bardzo niebezpieczne. A gdyby was złapali? Myślę, że nie potraktowaliby was zbyt wyrozumiale.

Ona ponownie spróbowała mu się wyrwać, ale na próżno.

– Nie bójcie się, nic wam złego nie zrobię.

W tej chwili usłyszał jakiś hałas za plecami.

– Stój! Ktoś ty? – rozległo się wołanie.

– To jeden z mnichów – rzekł z cicha Bizén, dostrzegając przerażenie w oczach Marty – Biegnijcie, uciekajcie stąd! – wypuścił jej rękę – Nie słyszycie? Musicie stąd zniknąć, zanim do nas podejdzie.

Młódka zwróciła oczy ku sylwetce nadchodzącej z zapaloną pochodnią.

– Dziękuję – i puściła się biegiem.

Zanim zniknęła jej z oczu, Marta się obejrzała i posłała Bizénowi ostatnie spojrzenie.

To trwało tyle, co mgnienie oka.

– Notariusz królewski! – z ciemności wynurzył się brat furtian z mieczem w ręku. – Co wy tu robicie poza swoją izbą?

– Musiałem zaczerpnąć łyk powietrza, bracie Cipriano.

– W środku nocy? To niewłaściwa pora.

– Wiem.

Usłyszeli miauczenie. Skądś się nawinął bury kot, zaczął się łąsić do nóg Bizéna z głośnym mruczeniem. Ten się schylił i pogłaskał go po grzbiecie, a zwierzak wyciągnął się na całą długość, prostując przednie łapy.

– Wracajcie do swojej celi, nikomu nie wolno się pętać po klasztorze w nocy.

– Macie rację, wybaczcie, że zakłóciłem wam wartę – Bizén nie mógł oderwać oczu od miecza i brat Cipriano zdał sobie z tego sprawę.

– Jestem furtianem, odpowiadam za wszystko, co wiąże się z bezpieczeństwem, nie dziwcie się zatem, że mnie widzicie z bronią – objaśnił. – Jestem tutaj po to, żeby bronić Verueli przed wszystkim, co mogłoby jej zagrażać.

– Naturalnie.

– Zanim zostałem zakonnikiem, byłem krzyżowcem. Byłem w Ziemi Świętej i przelałem dosyć krwi niewiernej, żeby nią podlać więcej pól, niż zdołalibyście sobie wyobrazić.

– Nie śmiałbym w to wątpić.

– Wiedźcie, że nie znoszę, jak ktoś się kręci po Verueli o tej porze – przestrzegł go brat Cipriano – dlatego nie róbcie tego po raz drugi – napomniał rozmówcę. – Za dużo mam kłopotów, żeby na dodatek zajmować się jakimś przyjezdny.

Bizén zostawił kota i skierował się ku drzwiom, jednak zwierzak pomaszerował za nim z wyraźnym zamiarem wejścia do wnętrza, rzucił mu zatem litościwe spojrzenie i pozwolił mu wejść. Wszedł po schodach w towarzystwie burasa, który nie spuszczał z niego oczu. Ledwie otworzył drzwi, kot natychmiast wkroczył do izby, chwilę się pokręcił, po czym wskoczył na łóżko.

Bizénowi nie uśmiechała się perspektywa spędzenia tej nocy w samotności, rozebrał się więc i położył na pościeli, okrywając się po samą szyję, a buras zwinął się w kłębek u jego stóp i zamknął ślepie.

Chociaż w ciągu ostatnich dwóch dni tak wiele mu się przydarzyło, owej nocy spędzonej w izbie gościnnej klasztoru w Verueli w jego głowie wciąż pojawiał się jeden, jedyny obraz: to była twarz Marty, kiedy się do niego odwróciła, zanim pobiegła, by zniknąć w ciemności.

DZIEŃ CZWARTY

BURZA

## Biblioteka

**B**rat Bartolomé dostrzegł bicz pierwszej błyskawicy, po której nastąpiły dwie kolejne, aż na koniec huk potwornego grzmotu wstrząsnął ziemią, jakby miał nastąpić kres dni. Mnich pospiesznie zamknął wszystkie okna w budynku.

W tym czasie pozostali bracia, jak każdego ranka, zbierali się na matutinum. Pokój, jaki normalnie towarzyszył modłom, zakłóciło tym razem bębnienie deszczu o dach świątyni. Przeróżliwy łomot spadającej z nieba wody zagłuszał śpiewy kongregacji. Ulewa nie ustawała przez cały poranek, po primie zdawało się przez chwilę, że deszcz złagodniał, ale wnet powrócił z poprzednią gwałtownością. Większość zakonników nie miała innego wyjścia, jak pozostać w pomieszczeniach klasztornych. W wirydarzu gargulce wypluwały z potwornych pysków strumienie wody, a wiatr wciskał się z wyciem przez wszystkie otwory w kamiennych ścianach, kiedy drzwi biblioteki otworzyły się z jękiem zawiasów. Brat Rogelio leniwie podniósł oczy, spotykając spojrzenie Bizéna de Ayerbe, który właśnie wychynął zza skrzydła uchylonych wrót.

– Notariusz – rzekł zaskoczony mnich z kędzierzawą czupryną. – Wydaje się, że niebo chce się nam zawalić na głowę.

– Święte słowa, może to za nasze grzechy – przyświadczył Bizén.

– Może.

– Jesteście sami?

– Tak, brat Hugo właśnie poszedł do *cellarium* szukać jakiegoś pergaminu, który musi przejrzeć.

– Wspaniała biblioteka...

- Lubicie czytać? – zagadnął brat Rogelio.
- Jakże by inaczej.
- Zapomniałem, czym się trudnicie, pewnie jesteście znużeni ciągłym sięganiem do praw, edyktów, testamentów – zaciekawiał się mnich.
- Interesują mnie też inne tematy – Bizén podszedł do półek bibliotecznych. – Mogę?
- Ależ tak.
- Przebiegł oczyma rzędy książek, zawieszając wzrok na tytułach widniejących na ich grzbietach.
- Widzę, że są poukładane zgodnie z tematyką. Macie też pieśni o bohaterskich czynach?
- Księgi rycerskie... obawiam się, że nie, to klasztorna biblioteka – odpowiedział z półuśmiechem.
- Szkoda.
- Podobają wam się takie rzeczy?
- To dobra rozrywka – odparł Bizén, zajęty przeglądaniem jednej z najmniejszych ksiąg.
- Któraś z nich w szczególności?
- Tak, niedawno wpadła mi w ręce historia kastylijskiego rycerza, który walczył, żeby odzyskać swój honor.
- O, to często powracający temat. Boję się, że w naszych czasach honor się zdewaluował, teraz ludzie zadowolają się bogactwem, sławą czy przyziemnymi dobrami – mruknął mnich.
- Moi bracia mieli szczęście poświęcić się rycerskiemu rzemiosłu, podobnie jak mój ojciec i dziad. Ja zamiast miecza mam pióro, a zamiast tarczy – książkę do czytania.
- Szanowny notariuszu, nie powinniście obniżać rangi słowa pisanego, ponieważ niejedyn raz się zdarzyło, że tym właśnie orężem wygrywano najstraszniejsze zmagania. Pergamin to potęga, w słowie pisanym drzemie moc, o jakiej mowa nawet nie ośmiela się marzyć.
- Ja jednak wolałbym walczyć mieczem, zawsze tego pragnąłem.
- Nie tak łatwo w wieku dorosłym spełnić swoje marzenia

z dzieciństwa – zauważył mnich cichym głosem. – Na tym świecie niewielu jest takich, którym dano wybierać; może w przyszłości czasy zmienią się na lepsze, ale nas tu już nie będzie, żeby to oglądać.

– Lub na gorsze.

– I to możliwe, oby Bóg nie dopuścił – brat Rogelio podniósł dłonie ku górze.

– Wy również nie marzyliście dla siebie o życiu zakonnym...

– Ja nie mogłem sobie pozwolić na marzenia. Ale Kościół posiada niezwykłą zaletę: uwalnia od więzów rodzinnych – powiedział brat Rogelio, odchylając ciało ku oparciu krzesła. – Wzbrania nam posiadania prawowitego potomstwa i to jest dobre.

– Czemu tak twierdzicie?

– Zmusza Kościół do nieustannej odnowy. Tu ceni się cnoty, nawet wówczas, kiedy występują u prostego oblata – wyjaśnił mnich. – Poza tymi murami jest inaczej, kto się rodzi wieśniakiem, jako wieśniak ten świat opuszcza.

Niezwykła powierzchowność mnicha, jego zapadnięte policzki, ciemne oczy i gęste brwi zakrywające znaczną część czoła przykuwały uwagę Bizéna.

– Obserwowałem wasze poczynania w tych dniach. Wiecie, że pokładałam w was duże nadzieje.

– Nie zapominam o tym, jednak powiem wam szczerze, że nie odkryłem nic z tego, co was interesuje.

– Chciałem wam tylko przypomnieć; zastanawiam się, czy postawiłem na właściwy los. Zdaje mi się, że nie zrobiliście szczególnych postępów w śledztwie – powiedział mnich z naciskiem.

– Uważacie, że nie jestem zdolny do odkrycia zabójcy oblata?

– Prawdę mówiąc, niewiele się posunęliście.

– Szukałem was właśnie z tej przyczyny, potrzebuję więcej informacji na temat pewnych aspektów działalności opactwa. Czy macie tu księgi z rejestrami?

– Oczywiście, tam je znajdziecie – brat Rogelio podszedł do półek

z licznymi księgami oprawnymi w ciemną skórę – zgony, zakupy, sprzedaże...

– Powiedzieliście: zgony?

– Tak, oczywiście.

– Czy śmierć Octavia już została tam odnotowana?

– Wszystko robimy na bieżąco. To jedyny sposób, żeby robić rzeczy należycie. Chcecie zobaczyć?

– Tak, proszę – Bizén okazał duże zainteresowanie.

– No to spójrzmy – brat Rogelio sięgnął po jedną z ksiąg. – Musi być tutaj – przewrócił kilka stronic. – Tak, to ten wpis, data i imię brata Octavia.

– Rzeczywiście. Są tu ujęte wszystkie zgony mnichów, prawda?

– Jak również oblatów i nowicjuszy, wszystkich, którzy zostali pochowani na cmentarzu klasztornym, który leży tuż przy murze świątyni.

– I można się tam dostać bezpośrednio wyjściem z kostnicy.

– Właśnie tak. Jak widzę, zaczynacie poznawać Veruelę – ukazał Bizénowi życzliwszą wersję swojego oblicza.

– Ciągłe napawa mnie zdumieniem ogrom waszych posiadłości – odezwał się Bizén, przeglądając jednocześnie inne wpisy w księdze zgonów.

– To esencja cystersów, nasze opactwa służą nie tylko pracy duchowej. Uprawa roli, wydobywanie metali, każda praca jest godna i przynosi nam zaszczyt – odrzekł mnich z dumą. – My, mnisi, modlimy się, a oblaci pracują pod naszym nadzorem.

– Dzięki temu wasz zakon posiada tak wiele środków i majątku.

– Nie powiedziałbym, że aż tyle.

– Wasz majątek przewyższa dobra niejednego królestwa – upierał się Bizén.

– Pierwsi bracia przybyli do tej dziczy, żeby głosić Słowo Boże. To była ziemia pogańska, a kiedy została odbita, miejscowa ludność nie odeszła, ponoć nawet nie podjęła walki w jej obronie.



– Nie bronili swoich siedzib przed nami, chrześcijanami? – zapytał zdumiony Bizén.

– Tak słyszałem, pogodzili się z przybyciem nowego pana i tyle. Pamiętajcie, że ci muzułmanie nie byli Arabami, tylko muwalladami, zarabizowanymi potomkami wcześniejszych mieszkańców tych ziem.

– Czyli przechrztami.

– W tym rzecz – potwierdził brat Rogelio. – Niewiele ich łączyło z niewiernymi z Kordoby czy Sewilli. W rzeczywistości ich przodkowie toczyli wojnę z emirami i kalifami, te terytoria zdołały się w owych czasach uniezależnić, niemal się przekształciły w królestwo – tłumaczył zakonnik.

– Czyli założyli, że chrześcijanie nie będą gorsi od Umajjadów, wodzów pochodzących z rodu przechrztów, czy Almorawidów.

– Można się z tym zgodzić w pewnym sensie; tyle że zachowali swoją wiarę.

– Przypuszczam, że jeśli ktoś został wychowany w wierze w jakiegoś boga, to niełatwo mu tę wiarę zmienić tylko dlatego, że tak każą najeźdźcy, choćby była najprawdziwsza – dorzucił Bizén, wzruszając ramionami.

– Dlatego właśnie osiedli tu cystersi – oświadczył mnich. – Żeby krzewić na tych ziemiach słowo Pana, ale jednocześnie uczynić je płodniejszymi. Nikt nie chciał się osiedlić w tym miejscu. Najlepszy sposób, żeby je ucywilizować polegał na tym, żeby przemienić je w tereny przynoszące zyski. Bo przecież ludzie dążą do dobrobytu i poczucia bezpieczeństwa: tam gdzie jest żywność i postęp, wszystko staje się łatwiejsze.

– A w jaki sposób udaje wam się wykorzystać taki szmat ziemi?

– Zakładamy grangie, folwarki zakonne.

– Wszędzie są folwarki – odparł Bizén, umniejszając znaczenie tego wyjaśnienia.

– Ale nasze grangie są odmienne, bardziej skomplikowane. W naszym zakonie liczy się specjalizacja w pracy. Każdy z nas ma własną,

dokładnie określoną funkcję. Człowiek ma skłonność do rozpraszania się, powinien w każdej chwili wiedzieć, czym powinien się zajmować.

– Doskonale, ale jakie są te grangie i w czym się specjalizują?

– To zespoły złożone siedzib mieszkalnych i miejsc pracy zamieszkiwane przez konwersów – odrzekł brat Rogelio. – Każde z nich posiada spichlerz oddalony od opactwa nie dalej niż o dzień drogi. I każdy z tych folwarków zatrudnia grupę liczącą do dwudziestu oblatów.

– To całkiem sporo.

– To liczba idealna dla celów gospodarki, taka, powyżej której mogą wystąpić trudności w zmotywowaniu wszystkich do pracy.

– Powiedzieliście, że jeśli liczba pracowników w folwarku przekracza dwudziestu robotników, to gospodarstwo przestaje być rentowne... Dlaczego?

– Ludzie dążą do tworzenia związków, zakładania rodzin w szerokim tego słowa znaczeniu i to sprawia, że wspólnie wykonują zadania i stawiają czoło trudnościom. Zwykłe poczucie przynależności do grupy sprawia, że... jakby to ująć? – zastanowił się głośno – że są gotowi poświęcać się dla bliźnich, których uważają niemal za swoich krewnych.

– To rozsądne... Ale istnieje granica – rozważał Bizén – powyżej dwudziestu osób, te więzy nie są już równie silne, czy tak?

– Są inne zakony, które zakładają klasztory w miastach i bogacą się na różne inne sposoby. Naszemu zakonowi zależy na posiadłościach ziemskich – im więcej, tym lepiej. Ziemie jałowe, lasy, obszary, które nigdy nie zaznały pługu, gdzie brak wody. My każdą pustynię przemienimy w urodzajny ogród.

– A w jaki sposób zdołaliście wejść w posiadanie tak dużych obszarów?

– Na różne sposoby, niektóre z nich oczywiste, jak kupno; innym sposobem jest wymiana, ale pozostają jeszcze inne, najważniejsze: donacje.

– Właściciele po prostu zapisują w testamencie swoje ziemie na rzecz

opactwa?

– O nie, najpierw musimy się ugodzić w sprawie liczby mszy, jakie w zamian za to będziemy odprawiać przez całe lata.

– I odprawiacie te wszystkie nabożeństwa?

– Mamy rozkład dzienny. Każdy członek kongregacji wie doskonale, jakie msze ma odprawić, żeby się wywiązać z umowy.

– Ale teraz w klasztorze przebywa was niewielu.

– To prawda.

– Nie możecie zatem się wywiązać z obietnicy.

– To już nie nasza wina, zdarzają się przypadki, kiedy siła wyższa nam w tym przeszkadza – wykręcił się zakonnik.

– To nie po chrześcijańsku!

– Robimy, co w naszej mocy, ale musicie zrozumieć, te ziemie od lat są uwikłane w wojnę.

– Nie wiem, co o tym sądzić... W tych stronach różne oszustwa i opowieści są rzeczą zwyczajną, słyszałem historie...

– Tak, domyślam się... Legendy o gnomach i nekromantach, nereidach i wiedźmach – powiedział mnich pod nosem. – Niewiele czasu spędziliście w Moncayo, a już ugrzęźliście w tych opowieściach. To przekleństwo tego miejsca.

– Jak to się stało, że ich nie wytrzebiliście?

– Moncayo to nie jest góra jak inne. Jedno wam mogę powiedzieć: jest opasana miejscami kultu. Z jednej strony twierdza zakonu joannitów, folwarki dawnych templariuszy, biskupstwo, nasze opactwo, eremy, dziesiątki kościołów... to wszystko otacza Moncayo.

– Tworzą rodzaj pierścienia, zapory.

– Wy to powiedzieliście.

– Między Veruelą a szczytem góry leżą zaledwie dwie placówki: Alcalá i folwark należący do joannitów w Añon. Z jakiej, waszym zdaniem, przyczyny w tym tak wysoko położonym miejscu utrzymują się zakonnicy mieczowi?

– Nie wiem i nie jestem pewien, czy chcę się tego dowiedzieć.

– W takim razie wszystko, co mogę rzec, to przypomnieć wam, że mamy tutaj pusty grobowiec i zwłoki człowieka zamordowanego w zamkniętym kościele, a to wszystko na parę dni przed Nocą Dusz Pokutujących – zakonnik się przeżegnał. – Jeśli pogłoski o tym się rozniosą, zapanuje panika i to może być koniec Verueli.

– Czy aby nie przesadzacie?

– Jeśli włościanie się dowiedzą... Zapewniam was, że nie, że oni uciekną jak stado wystraszonych owiec. Uwierzą, że zły duch się za tym kryje. Pospieszcie się z wykryciem winnego – brat Rogelio chwycił go za ramię. – A przede wszystkim nie zapominajcie o naszym układzie.

Słychać było deszcz bębniący o dach ze wzrastającą furią, groteskowe gargulce w wirydarzu klauzury nie radziły sobie z taką ilością wody i wewnętrzna część wirydarza zaczęła się zamieniać w sadzawkę, a kanały odprowadzające deszczówkę były przepełnione. Jeśli nawałnica miałaby potrwać dłużej, Veruela musiała się liczyć z okropnymi zniszczeniami.

– Czasami rzeczy nie są tym, czym się zdają – Bizén spojrział w głąb pomieszczenia, gdzie leżały stosy wielkich kodeksów. – Rozmowa z braćmi w klauzurze jest dla mnie rzeczą niemal niewykonalną.

– Ślub milczenia sprzyja nie tylko introspekcji i wzniesieniu się ducha – wyjaśnił zakonnik. – Odmówienie sobie pogawędki, przyjemności rozmowy, to jedno z większych wyrzeczeń, na jakie człowiek może się zdobyć, jedna z najcenniejszych ofiar w oczach Boga.

– Jednak współżycie z ludźmi wymaga choćby minimum porozumienia, a podczas posiłków, w których uczestniczyłem, choć nikt nie mówił ani słowa, miałem wrażenie, że porozumiewacie się samymi spojrzeniami, jakbyście rozmawiali na...

– Na migi.

– Tak, takie odniosłem wrażenie.

– Bizénie de Ayerbe, interesujący z was człowiek – stwierdził mnich – i obserwator, bystry obserwator.

– Są działania, które wymagają porozumienia; rozmawiacie, kiedy

jesteście ze mną sam na sam, ale kiedy inny zakonnik przecina wam drogę, trwacie w głuchym milczeniu.

– I nie macie jakiejś teorii na ten temat?

– Owszem, dobrze wam się przyglądałem w refektarzu – odrzekł Bizén. – Sądzę, że chodzi o gesty, które rozumiecie tylko we własnym kręgu, a które mają precyzyjne znaczenie. Używacie ich zamiast zwykłej mowy.

– Zbudowaliśmy język znaków.

– Gestów dłoni?

– Tak, we wszystkich prawie klasztorach cysterskich istnieje taki system – odpowiedział, rad, że padło takie pytanie. – Chociaż w niektórych klasztorach liczba znaków zbliża się do czterystu siedemdziesięciu, my nie używamy aż tylu – uściślił. – Jak łatwo sobie wyobrazić, ten sposób komunikacji dość skutecznie zastępuje nam mowę języka.

– Jaki sens ma w takim razie ślub milczenia?

– Spróbujcie spędzić jeden dzień, nie zamieniając z nikim słowa, a sami sobie odpowiecie na to pytanie.

– Nie jestem amatorem tego rodzaju zabaw – odpowiedział. – A zatem możecie się porozumiewać między sobą, nie otwierając ust?

– To nie wszystko. Umiemy również słuchać, nie słysząc.

– Co chcecie przez to powiedzieć? A może też zajmujecie się magią?

– Nie, to prostsze i o wiele mniej heretyckie, wierzcie mi – powiedział, przywołując znów na twarz ten swój irytujący półuśmiech. – Są wśród nas i tacy, którzy potrafią czytać z ust.

– Czytać z ust?

– Tak, kiedy na przykład coś mówicie w jednej z galerii klauzury, to mnich stojący po przeciwnej stronie nie może was usłyszeć, choćbyście krzyczeli. Ale, o ile może śledzić ruch waszych warg, dowie się, co powiedzieliście.

– Odczytuje słowa wychodzące z moich ust, wiedziałem, że da się to zrobić...

– Ależ oczywiście.

– To miejsce – Bizén potrząsnął głową – jest niczym ogromna szafa. Kiedy się otworzy jedną szufladę, napotyka się w niej mniejszą i tak w nieskończoność, nie wiadomo, która będzie ostatnia.

– Otwórzcie je wszystkie, to jedyny sposób, żeby znaleźć tę, w której się kryje przedmiot waszych poszukiwań – oświadczył mnich. – Opowiem wam coś o zwierzęciu zwanym bobrem. Bóbr jest bardzo łagodny, a jego jądra stosowane są w medycynie do leczenia różnorodnych schorzeń. Kiedy myśliwy trafi na jego trop, podąża za nim, jednak gdy zwierzak się zorientuje, że jest ścigany, jednym kłapnięciem zębów odgryza sobie jądra i odrzuca je na jego oczach, wywołując zdumienie myśliwego. Dzięki temu udaje mu się uciec, gdyż człowiek je podnosi i oddala się od bobra. A jeśli się zdarzy, że kolejny myśliwy wypatrzy to samo zwierzę, wówczas bóbr, wiedząc, że nie zdoła uciec, podnosi się na dwie łapy i pokazuje myśliwemu swoje podbrzusze. Ten, przekonawszy się, że zwierzak nie ma jąder, oddala się od niego.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby bóbr robił podobne rzeczy.

– W ten sam sposób postępuje każdy człowiek, żyjący zgodnie z przykazaniami Bożymi i pragnący żyć w czystości: odrzuca od siebie wszelkie przywary i wszelkie swoje nieczyste postęпки i rzuca je diabłu w twarz – wyjaśnił zakonnik – a wówczas ów oddala się od człowieka w pomieszeniu.

– Kiedy posługujecie się tymi parabolami, nie potrafię pojąć, o co chodzi...

Zakonnik wstał i podszedł do jednego z wielkich okien biblioteki.

– Wiecie, że Moncayo stoi czujnie tam, naprzeciw nas.

– Trudno o tym zapomnieć, skoro panuje nad całą okolicą.

– Z Saragossy, najważniejszego miasta w królestwie, spoglądają na zachód i widzą tę górę, piękną i samotną – rzekł brat Rogelio ze spojrzeniem zagubionym w dali. – Bardzo często wieje silny wiatr, który hula po całej dolinie wielkiej rzeki przepływającej przez to miasto, *cierzo*. Mieszkańcy zastanawiają się, skąd ten wiatr przybywa, a widząc

Moncayo, przeklinają tę górę, co im zsyła wichry lodowate w zimie, duszący letnią porą.

– Postąpiłbym podobnie – skomentował Bizén.

– Ten wichry nie przybywa z naszej góry, jedyne, co jest w tym całym rozumowaniu słusznego, to spostrzeżenie, że koryto rzeki jest położone w jej sąsiedztwie. *Cierzo* rodzi się w dolinie – wyjaśnił brat Rogelio.

– Próbujecie mi uświadomić tymi słowami, że...

– Czasami wydaje nam się, że dwie rzeczy są nierozdzielnie ze sobą związane, a jednak może tu chodzić o czysty zbieg okoliczności, błąd w naszym widzeniu rzeczy – stwierdził mnich.

– To potrafię pojąć, ale tego, co mówiliście o bobrze...

– Kiedy człowiek postanawia się pozbyć wszelkiego zła, wszelkich pokus, wówczas czyni jak bóbr – zwrócił się do niego, stojąc w półmroku okna – jednak jeśli jego wola nie jest dosyć silna, zawsze zachowa jakąś część. Znajdźcie tę część, a dowiecie się, gdzie kryje się zło.

– To znaczy, że...

– Sami to odkryjcie, a teraz muszę was pożegnać.

## Srebrny dzik

**B**urza nie ustawała, szalała, jakby morze zajęło nad ziemią miejsce nieba. Woda w pobliskich potokach kipiała i wiła się w łożyskach na kształt rozwścieczonej żmii, a zuchwały wicher miotał się w załomach skalnych, wzbijał wiry pyłu i suchych liści, przyginał do ziemi korony drzew.

Niebo pociemniałe, jakby tego dnia noc zapanowała nad światem, rozjarzyło się błyskawicą.

Mieszkańcy Moncayo musieli się chronić po domach przez cały dzień.

Mnisi zajęli się zabezpieczeniem licznych zabudowań i umieszczeniem wszelkiego prowiantu w bezpiecznych miejscach. Byli dobrze zorganizowani, dzięki czemu poradzi sobie z tym szybko i skutecznie.

Dziki łomot deszczu o dach zbudził Martę, która jeszcze nie oprzytomniała po ostatnich przeżyciach.

Drzwi rozwarły się z takim impetem, że trzasnęły o ścianę. Do domu wpadł najpierw tuman wody wepchniętej podmuchami wiatru, a po nim ciotka Francisca, przemoczona, z potarganymi włosami, oczyma zapadłymi w posiniałe oczodoły i tak opadła z sił, jakby się naraz postarzała o wiele lat.

– Co ty tu robisz, leniwa dziewczyno? – wrzasnęła.

– Ja... Co się stało, ciotko?

– Mnie nic. Nie widzisz, co się dzieje? – krzyknęła, jak to miała w zwyczaju. – Jazda, zamykaj wszystkie okna i sprawdź, czy dach gdzie nie przecieka.

– Dobrze, ciotko – dziewczyna zerwała się z miejsca i poszła do swojej izby.



– A można wiedzieć, gdzie się podziewa twoja starsza siostra?

– Nie wiem.

– Ta wietrznica! Jak się pojawi, to już ja jej pokażę, gdzie raki zimują! – ciotka Franciszka zdjęła z siebie wierzchnie okrycie i podeszła do ognia, żeby się ogrzać.

Marta upewniła się, że wszystkie otwory w domu są zamknięte, i postawiła kubły tam, gdzie kapłała woda. Deszcz wciąż szturmował lichy dach tego domu, zdatniejszego, by stawiać czoło mrozom niż gwałtownym ulewom.

– Pomóż mi podeprzeć to okno – poleciła ciotka, zabierając się za przesuwanie szafy.

Marta usłuchała, jednak mebel okazał się dla nich zbyt ciężki. Ciotka zmieniła zatem zdanie i wspólnymi siłami zablokowały okno stołem.

– A Elena?

– A niechby przepadła!

– Ale na tym deszczu... – Marta wciąż wsłuchiwała się w bębnienie wody o dach. – Jakby coś jej się stało?

– Co ma wisieć, nie utonie – warknęła ciotka Francisca, usiłując zatamować któryś z przecieków. – Jak wychodziłam, spałyście obydwie, leniwe piecuchy! Wasze szczęście, że mnie złapała burza i musiałam się schować. Jak następnym razem wrócę i zastanę was w łóżku... lepiej, żebyś nie wiedziała, co z wami zrobię.

Tym razem ciotka miała rację. Po tym jak minionej nocy wróciły z eskapady do klasztoru, przespały cały poranek. Deszcz sprawił, że i tak by się nie przydały do zwykłych prac, ale niepohamowana wściekłość ciotki była nieunikniona.

Ciotka Francisca podeszła do drzwi i założyła rygiel.

– Dlaczego to robicie?

– Jak wróci, to niech sobie poszuka innego dachu nad głową.

– Przecież leje jak z cebra, psa by nie wypędził na tę pogodę – Marta zbliżyła się do drzwi i je odryglowała.

– A co ty sobie myślisz? Zamykaj i to już! To mój dom.

- Nie zamknę. Nie możecie jej zostawić na dworze, proszę was, ciotko.
- Jeszcze się okaże, czy nie mogę.

W tej chwili drzwi znów się otworzyły i stanęła w nich Elena ze swoimi pięknymi, złotymi włosami zmoczoneymi deszczem. Weszła do domu, skierowała się prosto do paleniska i wyciągnęła dłonie, żeby je ogrzać.

– Gdzie się podziewałaś, bezwstydnico? – natychmiast naskoczyła na nią ciotka.

– Poszłam po chrust.

– Kłamczucha! – wrzasnęła. – Nic nie przyniosłaś, ciekawe, z kim się włóczyłaś – zachłystywała się z gniewu. – Już ty mnie nie oszukasz!

– Został na zewnątrz, jest go tyle, że pomógł mi Nuño, syn kowala – odpowiedziała z miną niewiniątka – pełny wózek.

– Nie wierzę ci – kobieta podeszła do drzwi i wychyliła się na lejący deszcz. – Boże jedyny! Nareszcie jakiś pożytek z tej dziewczyny – potarła brodę i wróciła do izby, mamrocząc pod nosem jakieś słowa, które z pewnością nie oznaczały nic przyjemnego.

Elena uśmiechnęła się i dalej grzała ręce. Jej młodsza siostra nie mogła uwierzyć w to, co widzi, skrzyżowały spojrzenia, a wtedy Elena lekko zmarszczyła brwi.

– Jak już wszystko wniesiecie do domu, pomożecie mi wydrążyć parę dyń – powiedziała ciotka. – Noc Dusz się zbliża, trzeba ustawić wokół domu tych parę, co mi się udało dostać.

– A to prawda, że jak się tego nie zrobi, to zmarli wejdą do domu? – zapytała Marta.

– Pewnie, że tak, czy to jednemu się zdarzyło? Dynie są po to, żeby im wskazać drogę do cmentarza. Jeszcze musimy zapalić świece, po jednej za każdego nieboszczyka.

– To my, ciotko, zapalimy za naszych rodziców – rzekła Marta.

– Świec trzeba oszczędzać, nie wiem czemu, ale mało ich zostało, więc zapalicie jedną. Rozumiesz, dziewczyno, co ci mówię?

– Ale dlaczego? To nasi rodzice, nie możemy tak zrobić – sprzeciwiła

się Elena.

– Bo tak! Jedna im wystarczy, świece są drogie i nie myślę ich marnować. Jak zapalicie jedną i pomyślicie o nich, to nie ma się czego bać.

– Ale, ciotko... – upierała się starsza siostra.

– Cisza, powiedziałam! A teraz do stołu, bo potem jest praca do zrobienia. Im szybciej się zabierzecie za chrust, tym szybciej skończycie.

Posiliły się wspólnie, a następnie wniosły do izby cały chrust, jaki przyniosła Elena. Deszcz padał bez przestanku. Ciotka się położyła i siostry mogły wreszcie wymienić między sobą parę zdań.

– Gdzie byłaś?

– Zbierałam chrust.

– Nieprawda, mnie nie oszukuj.

– A właśnie, że prawda. Zaspałyśmy dziś rano i wiedziałam, że jak czegoś nie wymyślę, to ciotka nam nie daruje. Więc, jakbyś nie wiedziała, to uratowałam ci skórę przed tęgim laniem.

– Ale skąd wzięłaś tyle drewna? Przecież syn kowala by ci go nie dał – nalegała młodsza siostra.

– Jeden mnich mi pomógł, ale jak powiesz ciotce...

– Mnich z klasztoru? Dlaczego?

– Tego to ja nie wiem, ale to był ten sam, co przedwczoraj – odrzekła Elena. – Ten, co z nami mówił, jak wieszaliśmy pranie.

– Ale czemu on ci dał drewno? Co ci powiedział?

– Poprosił, żebym mu zaśpiewała kołysankę.

– I zaśpiewałaś?

– No oczywiście, przecież on mi właśnie za to dał drewno – odrzekła rozpromieniona. – A potem mnie zapytał, czy pamiętam, kiedy mi ją śpiewali, ale cóż, ja nie pamiętam nic prócz tej piosenki.

– Jakie to dziwne.

– No wiesz, póki mamy z tego pożytek, co to nas obchodzi? Udało się ciotkę ułagodzić i dobrze – dodała Elena szeptem, żeby tamta

przypadkiem nie podsłuchiwała. – Są ważniejsze sprawy do obgadania. Musimy wrócić do zagrody staruchy z gościńca.

– Wiem, ale kiedy?

– Dzisiaj, a coś ty myślała? – rozwiąła jej wątpliwości starsza siostra.

– Cały czas leje!

– Jak się trochę uspokoï, ciemnoto! – odrzekła i spojrzała kątem oka na ciotkę, żeby się upewnić, że ich rozmowa nie zbudziła jej ze snu.

– Dobrze, dzisiaj, ale pod warunkiem, że przejdzie burza, bo przy takiej pogodzie tam nie dojdziemy.

– Marto, to moja jedyna szansa, żeby się stąd wydostać. Może i tobie nie trafi się lepsza. Pamiętaj o tym i nie zmarnuj jej.

Elena pozostawiła siostrę pogrążoną w myślach i też poszła się położyć. Marta została sama. Skorzystała z okazji, żeby wyjrzeć przez okno i wyjąć srebrną broszę, którą schowała w swoich ubraniach. Nigdy wcześniej nie trzymała w rękach równie drogiego przedmiotu, wpatrywała się w zadumie w błyszczący metal i gładziła opuszkami palców kształty zwierzęcia.

Dlaczego ten więzień dał jej ów klejnot?

Powiedział im, jak się nazywa. Teraz, kiedy czekał ją powrót do starej z gościńca, zadawała sobie pytanie, czy to, co robią, jest dobre. Kiedy były tam, w przedsionku, przyszedł mnich. Gdyby się mnisi dowiedzieli, na co się odważyły, to spotkałaby je kara sto razy surowsza niż ciotczyne ciągi.

## Relikwie

**B**izén stał przed portalem kościoła. Skromność jego architektury kontrastowała z przepychem budowli, które wznoszono w tym okresie w miastach. Potrzebował chwili samotności, żeby uładzić myśli. Brat Rogelio wytłumaczył mu, na czym polega organizacja życia mnichów w klasztorze i na czym się opiera zarządzanie w grangiach. Zwrócił mu uwagę, że niektórzy ludzie nie są zdolni do wyrzeczenia się, wzorem bobra, ciemnych stron własnego jestestwa. Teraz dodatkowo upewnił się co do istnienia tajnego języka gestów. Ale nie wiedział, jak to wszystko się ma do jego śledztwa.

Usłyszał zbliżające się kroki.

– Tych drzwi nie otwieramy prawie nigdy – brat Timoteo przywitał go takim zdaniem.

– O ile się nie mylę, są przeznaczone tylko dla dostojnych gości.

– Otóż to – brat architekt zasapał. – To surowy portal, podobnie jak my sami. Tacy powinni być wszyscy ludzie, pokorni i chętni do służby.

– Ale jest tu kapitel przedstawiający...

– Każda rzecz ma swoje wytłumaczenie, ta rzeźba wiąże się z tutejszą ziemią, to coś w rodzaju mrugnięcia okiem mistrza, który go wyrzeźbił.

– Przedstawiono tu pięciu ludzi, co to oznacza?

– Powiem wam, o ile dochowacie tajemnicy – brat Timoteo odczekał, aż notariusz przytaknie. – To się wiąże z jedną z legend, krążących w tych stronach i pogańskim bożkiem imieniem Caco. Otóż Caco mieszkał w pewnej jaskini, wokół której pasły się woły mitycznego Herkulesa. Skradł mu część tego stada, pilnując, żeby zwierzęta weszły do jaskini tyłem. W ten sposób ich ślady wskazywały, że woły nie

weszły do jaskini, tylko z niej wyszły.

– Udało mu się zmylić Herkulesa... To nie byle co.

– To tylko legendy, fałszywe bóstwa – pouczył go brat architekt. – Ale, wracając do opowieści, mimo tego podstępu, ryki zwierząt zbudziły czujność Herkulesa. Wściekły wszedł do jaskini, a że był obdarzony nieludzką siłą, wymierzył mu taki cios, że góra Moncayo się zawaliła, grzebiąc oszusta żywcem. Stąd nazwa góry: monte Caco.

– Znacie wszelkiego rodzaju opowieści... Nigdy nie słyszałem podobnej – Bizén potarł kark dłonią. – Ale jak ona się wiąże z tym kapitelem?

– Te figury przedstawiają bożka Caco z dowodem przestępstwa w ręku. Zamiast skradzionych wołów trzyma kurę. Jest pojmany, czterech ludzi prowadzi go na postronkach uwiązanych wokół szyi.

– Ach, rozumiem: nawet najlepsze kłamstwo musi wyjść na jaw. Wiele w tym prawdy – przytaknął Bizén ze wzrokiem wbitym w kapitel.

– No, pora na mnie. Musieliśmy wyjąć najcenniejsze relikwie, żeby się modlić o ustanie ulewy.

– Bardzo słusznie, idźcie spokojnie, bracie Timoteo.

Zakonnik się pożegnał i poczłapał w stronę wejścia do klauzury. Bizén zlustrował pozostałe kapitele portalu. Jeden z nich przedstawiał dwie potworne istoty z długimi, kręconymi ogonami. Resztę zdobiły motywy roślinne i geometryczne. Najbardziej zadziwiający był niewątpliwie ten, o którym opowiadał brat Timoteo.

Przerwał oględziny fasady i jął okrążyć świątynię, nie od strony klauzury, lecz od przeciwnej, gdzie znajdował się cmentarz klasztorny.

Przyglądał się bezimiennym grobom. Żaden nie był oznaczony imieniem zmarłego, jednak wszyscy byli zapisani w rejestrze zgonów. Wszystkie mogiły były z pozoru jednakowe. Nagle zdał sobie sprawę, że większość z nich pokrywa trawa, ale jest wśród nich parę takich, na których ziemia nie jest zarośnięta, jakby to były świeże groby. Cemu jest ich aż tyle?

I do tego opowieść o Cacusie, o podstępie, jakim się posłużył, żeby wywieść w pole Herkulesa.

Pewna myśl zaświtała mu w głowie, tak nagle, jakby stało się to za sprawą tajemnej sprężyny.

Czy rzeczywiście było to możliwe?

Strumień obrazów przetoczył się przez jego umysł z takim impetem, że aż zachwiał się na nogach z wycieńczenia. Wówczas udało mu się oczyścić głowę ze wszystkich powierzchownych myśli i zobaczyć to wyraźnie.

Decyzja zapadła. Ruszył do klauzury i skierował się pewnym krokiem do kościoła.

Kiedy tam wszedł, w trzech spośród siedmiu kaplic odprawiano nabożeństwa. Mnisi postanowili zanosić modlitwy błagalne do najważniejszych świętych, żeby uchronili klasztor przed deszczem. W pierwszej modlili się bracia Saturio, Bartolomé i Julian. W kolejnej przeor, brat Estéban i aptekarz. A w trzeciej zgrzybiały Adolfo, architekt, młody Hugo oraz brat Rogelio. Tam właśnie się zatrzymał i przyglądał zakonnikom, którzy, nie czekając na dzień Wszystkich Świętych, wystawili najcenniejsze relikwie, żeby się modlić do kości świętych o ocalenie Verueli od ulewnych deszczy.

Na pierwszym ołtarzu umieszczono alegoryczny relikwiarz w kształcie ręki, patenę z połączonym dnem, gdzie umieszczano opłatki, które miały zostać przemienione w ciało Chrystusa, a także kielich oraz mszał na pulpicie.

Bizén wyszedł z ambitu i przystanął naprzeciw grobu następcy tronu.

Płytę nagrobną ozdabiały płaskorzeźby przedstawiające dwie tarcze herbowe, na każdej z nich pięć słupów królewskiego herbu; na drugim z kolei widniał fryz złożony z dwudziestu małych tarcz ozdobionych wyobrażeniami potężnych zamków.

Zastanowił się, co się stanie z jego ciałem, kiedy umrze. Pogrzebią go w znacznie skromniejszym grobie na jakimś cmentarzu, ale co będzie później? Gdy przeminie sto lat... Co będzie z jego grobem? Jeśli

sprofanowano grób książęcy, to czego można się spodziewać w przypadku kogoś takiego, jak on sam?

I wówczas pojął przyczynę, dla której wielcy panowie i szlachta pragnęli, by ich ciała złożono w takim miejscu, jak to. I dlatego oddawali swoje ziemie i bogactwa w zamian za to, że mnisi będą strzegli ich grobów i modlili się za ich dusze.

Nikt nie chce, żeby o nim zapomniano.

Nikt nie chce, żeby jego grób sprofanowano po upływie stu lat, pozbywając się jego szczątków.

Możliwe, że zaczynał pojmować motyw podobnego przestępstwa.

Kiedy zegar mechaniczny wybił godzinę, mnisi zakończyli błagalne modły i zajęli miejsca na chórze. Przy akompaniamencie burzy szalejącej na zewnątrz i zakonnych śpiewów we wnętrzu świątyni Bizén uczestniczył w nabożeństwie.

Kiedy liturgia dobiegła końca i mnisi opuścili chór, Bizén ruszył im na spotkanie i stanął naprzeciw całej gromady.

– Ojciec przeorze, bracia – powitał ich.

– Co się stało, notariuszu? – przeor spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– Jak widzę, jesteście zajęci modlitwami o ustanie deszczu.

– Niech Bóg ma w opiece nasz klasztor – odrzekł przeor. – Nie z takich opresji się uratował w ciągu ponad dwustu lat, jak tu stoi, w Moncayo. Notariuszu, wyglądnacie na zaniepokojonego. Co się stało?

– Być może wiem, kto zabił brata Octavia – te słowa wypowiedział Bizén łamiącym się głosem.

Zakonnicy zaniemówili i wpatrzyli się w twarz notariusza. Na ich obliczach pojawił się wyraz powagi i przejęcia, a w oczach odmalował się przestach.

– To nieprawda – dziekan Estéban obrzucił go powątpiewającym spojrzeniem.

– Czy jesteście pewni tego, co macie zamiar powiedzieć? – brat Rogelio wyrzekł to podniesionym głosem. – To będzie bardzo ciężkie oskarżenie.

– Tak, jestem pewien.



– W takim razie musicie się tym podzielić z naszą wspólnotą.

Mnisi otoczyli notariusza kręgiem.

– Niech nam Bóg dopomoże – rzekł brat Bartolomé, po czym się przeżegnał.

– Mówcie, notariuszu – przeor złączył dłonie na wysokości piersi – słuchamy was.

– A zatem – rozpoczął Bizén łamiącym się głosem – owej nocy wszyscy spaliście w dormitorium – zrobił parę kroków i znów na nich spojrział. – Brat Octavio wszedł tej nocy do kościoła z konkretnym zamiarem – ciągnął głośniejszym głosem, żeby jego słowa dotarły również do brata Timoteo – jeden z was otworzył mu drzwi. Ten mnich czekał, czuwając, aż oblat ukaże się w okienku przy schodach, otworzył drzwi i wpuścił go do środka, aby następnie powrócić do dormitorium, gdzie wy wszyscy spoczywaliście pogrążeni we śnie – pomagał sobie gestami rąk. – Sądzę, że on nie zabił Octavia, a tylko otworzył drzwi, wypełniając rozkaz opata.

– Jedną chwilę – przerwał mu przeor – cóż to ma znaczyć? Insynuujecie, notariuszu, że zrobił to na rozkaz opata?

– Wiem, że trudno się z tym pogodzić, ale to opat zażądał, aby Octavio wyjął szczątki infanta z grobu, żeby ja nie mógł się domagać ich wydania.

– To jest zupełnie niemożliwe! Jak nasz opat miałby żądać czegoś takiego? – wtrącił się brat Julian. – To fałsz.

– Nie, zapewniam was, że nie – oświadczył Bizén. – Chciałem o tym powiadomić całą kongregację, zanim udam się osobiście na rozmowę z opatem.

– Popełniacie błąd. Bo skoro sam opat wyznaczył was do zbadania tej sprawy, to czy nie pojmujecie, że wszystko, co tu mówicie, jest pozbawione jakiegokolwiek sensu? – zaopiniował przeor.

– Proszę, abyście mnie wysłuchali. Czasami najlepszym sposobem ukrycia jakiejś rzeczy, jest ukazanie jej w taki sposób, żeby wydała się całkiem inna, niż jest w rzeczywistości. Wszyscy znacie legendę

o Cacusie – Bizén spojrział na brata Timoteo, którego twarz okryła trupia bladość.

– Dosyć tego! – brat Julian podniósł głos tak bardzo, że jego okrzyk odbił się echem po kościele. – Przeorze, wygnajcie tego człowieka z Verueli, nie zasługuje na to, żeby tu być.

– Żadna z rzeczy, które zaszły owej fatalnej nocy, nie jest tym, czym się zdaje, z tej przyczyny nie udawało nam się dotąd osiągnąć postępów. Musimy zapomnieć o tym, co zabójca chciał nam pokazać, ponieważ, tak jak Caco, robi wszystko, żeby nas zwieść.

– Odmawiam dalszego słuchania tego cudzoziemca! – brat Julian stanął twarzą w twarz z przeorem. – Czy pozwolicie mu oskarżać naszego opata? Na Boga żywego, przeorze!

– Notariuszu – przeor westchnął – sędzę, że posunęliście się za daleko w swoim zapale i czuję się zmuszony...

– Wszystko, co mówię, to prawda! To opat dał początek temu nieszczęściu i jeden z was wie o tym – zawiesił głos – i powinien to powiedzieć, zamiast trwać w kłamstwie.

– Nie możecie rzucać takich oskarżeń bez dowodów! Wynoście się z Verueli! Idźcie precz!

– Nie, zaczekajcie – włączył się brat Bartolomé – notariusz mówi prawdę – oblicza zakonników skamieniały. – To ja otworzyłem drzwi oblatowi. I zrobiłem to na polecenie opata.

– Ależ, bracie Bartolomé, co też mówicie? – przeor zrobił krok naprzód tak chwiejnie, że o mało się nie przewrócił.

– To jest prawda, ni mniej, ni więcej – potwierdził wcześniejsze słowa. – Ja otworzyłem drzwi kościoła.

– I zabiliście go... – brat Julian nagle zmienił zdanie. – Zabiliście Octavia!

– Nie! Oczywiście, że go nie zabiłem.

– Kłamie! To morderca, przyznał się – wołał wzburzony brat Julian.

– Przysięgam, że nie dopuściłem się takiego bestialstwa – oskarżony mnich osunął się na klęczki. – Ja tylko byłem posłuszny opatowi. To on

kazał mi otworzyć drzwi – zapewniał roztrzęsiony.

– Ja mu wierzę – Bizén podszedł i pomógł mu powstać z kolan. – On nie zabił oblata, opat musi nam wyznać, kto to zrobił.

– To niemożliwe, jego stan zdrowia się pogorszył, nie możemy z nim rozmawiać.

– Nie zabiłem go! – zawołał znów brat Bartolomé.

– Chwileczkę – zabrał znów głos notariusz ku zaskoczeniu wszystkich – Nie zabiliście go, wiem od was jednak, że po południu, kiedy Octavio przedstawiał wam swój plan, rozmawialiście z nim w kostnicy, czy to prawda?

– Tak, miałem tam robotę.

– Ale co robiliście w izbie zmarłych? Wydawałoby się logiczną odpowiedzią, że przygotowuywaliście zmarłego do pogrzebu, ale żaden z zakonników nie rozstał się ostatnio z życiem, sprawdziłem to w rejestrze zgonów w bibliotece.

– To prawda, ostatni brat, którego utraciliśmy, odszedł około miesiąca temu – potwierdził stary brat Adolfo.

– Po co zatem udaliście się tam w tamto popołudnie, kiedy rozmawialiście z oblatem? Wiele się nad tym zastanawiałem, do miejsca tego rodzaju nie wchodzi się bez powodu – zauważył Bizén – dlatego niewątpliwie zajmowaliście się jakimś zmarłym, tylko kto to był?

– O czym wy tu mówicie? – zapytał przeor podniesionym głosem – Dokąd to ma prowadzić? Czy brat Bartolomé zabił oblata czy też nie zabił?

– Przeorze, rzecz w tym, że owego dnia był jakiś zmarły do pochowania, sam brat Bartolomé powiedział przed chwilą, że tam pracował – Bizén zdołał uciszyć wszystkich obecnych i sprawić, że zapanowała atmosfera nieznośnego napięcia.

– Czy chcecie się dowiedzieć, kto spoczywał na stole w tej izbie?

– Ten, kto miał zająć miejsce w sarkofagu królewskim – rzekł dobitnie Bizén ku powszechnemu zaskoczeniu. – Grób infanta następcy tronu nie mógł pozostać pusty owej nocy, opat dążył do tego, aby zastąpić

szczątki królewskiego syna innymi, które zostały wydarte z ziemi na waszym własnym cmentarzu.

– Co za brednie! – zgromił go brat Julian.

– Pójdźcie na cmentarz, ziemia na wielu mogiłach jest wzruszona.

– Czy to prawda? – przeor spojrzał na mnicha.

– Ja...

– Odpowiadajcie!

– Opat tak kazał, Octavio miał wyjąć ciało infanta i wymienić je na jedno z tych, które ja miałem wykopać na cmentarzu. Tamtego wieczora umieściłem je w kostnicy i przygotowałem do pogrzebu.

– Panno Najświętsza! – brat Julian złożył obie dłonie na sercu.

– Co się zdarzyło, kiedy poszliście, żeby zamienić ciała? – wypytywał dalej Bizén.

– Razem z Octaviem otworzyliśmy grób infanta – wyznał, szlochając, brat Bartolomé.

– A później? – Bizén wypowiedział to pytanie spokojniejszym tonem.

– Co się zdarzyło później? Dlaczego go zabiliście?

– Ja go nie zabiłem. Po cóż miałbym to zrobić?

– To właśnie powinniście nam wyznać – naciskał Bizén, zbliżając się do zakonnika. – Z jakiej przyczyny zabiliście brata Octavia?

– Nikogo nie zabiłem! Zamieniliśmy ciało, to wszystko.

– A gdzie znajdują się szczątki następcy tronu? – zapytał Bizén – To już wiecie.

– Octavio je zabrał.

– Co powiedzieliście? – ta odpowiedź najwyraźniej zaskoczyła notariusza.

– Ja miałem tylko odkopać ciało i ubrać je w szaty, które będą wyglądały na królewskie, nie wiedziałem, co mają zamiar zrobić ze szczątkami następcy tronu, przysięgam! – poddany takiej presji wydawał się bliski omdlenia.

– Posłuchajcie mnie, bracie Bartolomé – Bizén chwycił go za szkaplerz na piersi. – Gdzie miał Octavio przenieść szczątki?

– Nie wiem! – wykrzyknął, podtrzymywany od tyłu przez dwóch braci, żeby się nie przewrócił. – Otworzyliśmy grób, ja poszedłem do izby zmarłych po to drugie ciało, a kiedy wróciłem...

– Co? Co się stało, kiedy wróciliście?

– Octavio leżał rozciągnięty na ziemi, wykrwawiał się...

– Bracie Bartolomé – Bizén uniósł prawą rękę do karku – wasze słowa nie budzą zaufania.

– Tak właśnie było, przysięgam na Chrystusa i wszystkich apostołów!

– A gdzie wtedy było ciało infanta? – drążył bezlitośnie Bizén.

– Nie wiem, przeraziłem się i nie myślałem o tym.

– A co ze zmarłym, któregoście przynieśli? Gdzie jest jego ciało? – zapytał Bizén, wbijając w niego spojrzenie.

– Zrobiłem to, co mi kazał opat – odrzekł z nieprzytomnym wzrokiem.

– Przygotowałem nieboszczyka, to wszystko – brat Timoteo wsunął mu rękę pod pachy, żeby go podtrzymać.

– Uspokójcie się, Bartolomé – Bizén położył mu dłonie na ramionach.

– Przypomnijcie sobie, wróćcie pamięcią do tamtej nocy. Octavio otworzył grób, co się wtedy zdarzyło?

– Zdjęliśmy płytę z królewskiego grobowca i wtedy poszedłem po to drugie ciało. Kiedy wróciłem, znalazłem Octavia na posadzce. Wtedy się przestraszyłem, nie wiedziałem, co robić dalej, i pobiegłem z powrotem do izby zmarłych. To ciało, które niosłem w ramionach... wrzuciłem je do kanału, który tamtędy przebiega – wyznał ku zdumieniu wszystkich słuchaczy. – Wpadłem w panikę, nie wiedziałem, co począć... To był błąd, żałuję swojego postępuku – ukląkł na posadzce świątyni.

– Boże święty! – zawołał brat Saturio, podczas gdy pozostali się żegnali, mamrocząc jakieś wyrazy.

– Żałuję! Wybacz mi, Chryste! – rozpostarł ramiona i legł krzyżem na ziemi.

– Bracie, powstańcie – przeor pochylił się nad leżącym, położył obie dłonie na jego głowie i starł łzy z twarzy. – Posłuchajcie mnie: ja wam wierzę – i podniósł go z posadzki.

– Naprawdę?

– Tak – przeor omiółł wyzywającym spojrzeniem wszystkich obecnych. – Ten zmarły, którego odkopaliście, w jakim stanie się znajdował? Czy umarł dawno?

– Tak, potrzebne było takie ciało, żeby zastąpić nim szczątki infanta.

– A jednak na dnie grobowca królewskiego była krew – rzekł przeor, spoglądając spod oka na Bizéna – Dlaczego? Jak to się stało?

– Nie wiem.

– Jesteście pewni?

– Tak, skąd by się tam wzięła krew?

Zapanowała cisza, jakby zabrakło nowych pytań do zadania.

– Bracie Bartolomé – Bizén spojrzał mu w oczy – kiedy zastaliście Octavia na posadzce, czy miał sztylet wbity w szyję?

– Że jak?

– Spokojnie, posłuchajcie – wziął go pod ramię. – Octavio leżał na ziemi, wykrwawiał się, złoty sztylet tkwił w jego szyi, tak czy nie?

– Nie, nie było sztyletu.

– No dobrze – mruknął brat Timoteo – a jakaś inna broń? Jakies inne narzędzie, którym mogli go zabić? Musiała być jakaś broń!

– Ja nie pamiętam. Nie widziałem żadnej broni.

– W porządku – Bizén puścił jego ramię – a ten sztylet? Widzieliście go wcześniej?

– Tak, sztylet był w grobie infanta. Kiedy otworzyliśmy grób, sztylet był złożony w jego dłoniach.

– Czemu nie powiedzieliście o tym wcześniej? To bardzo ważne.

– Notariuszu, to niczego nie wyjaśnia, tylko komplikuje – zabrał głos dziekan Estéban, który dotąd był bardzo milczący. – Brat Bartolomé dopuścił się profanacji dwóch grobów; jak możemy wierzyć w to, co mówi?

– Bo mówi prawdę. Po co miałby teraz kłamać? Czy winy, które wyznał, nie są dla niego wystarczającym brzemieniem?

– Nie wiem, co o tym sądzić – przeor westchnął. – Nigdy bym nie

pomyślał, że brat Bartolomé może być zdolny do takich czynów...

– Bracie Saturio – Bizén zmienił kierunek swojego dochodzenia i podszedł do zielarza ku zaskoczeniu zebranych. – Podczas naszej pierwszej rozmowy powiedzieliście, że po południu tamtego dnia widzieliście Octavia rozmawiającego z drugim zakonikiem w korytarzu oblatów.

– Notariuszu... – brat Saturio przełknął ślinę – to prawda, tak wam powiedziałem.

– Czy to był brat Bartolomé?

– Ledwie mogłem rozpoznać, światło było słabe.

– Spróbujcie sobie przypomnieć! Czy to był brat Bartolomé, czy nie on? – Bizén podniósł głos, żeby zmusić rozmówcę do odpowiedzi.

– Nie, to nie był on.

– Kto to był w takim razie? – rzucił mu prosto w twarz. – Z kim rozmawiał Octavio w klasztorze? Ilu jeszcze spośród was widziało różne rzeczy i wolało je przemilczeć? Bracie Saturio, kto to był? Powiedzcie prawdę, nie powtarzajcie błędów brata Bartolomé.

Chudy jak szczapa zakonnik trząsnął się ze zdenerwowania i bez ustanku tarł dłońią żylastą szyję.

– Ja... Światło było słabe...

– Pomyślcie o tym, co się zdarzyło z tego powodu, że brat Bartolomé nie wyznał prawdy. Czy zdajecie sobie sprawę, jak ciężką przewiną jest w takim przypadku milczenie? Naprawdę chcecie być współnikami tego przestępstwa?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Wy również musicie wyznać prawdę, teraz, tutaj, wobec waszych braci w Bogu. Z kim rozmawiał oblat tamtego popołudnia?

– Ja...

– Mówcie prawdę! – zawołał brat Julian wielkim głosem. – Jesteście w domu Chrystusa, jeśli ośmielicie się skłamać, będziecie płonąć w ogniu piekielnym.

– To był dziekan Estéban – wykrztusił wreszcie zielarz.

Bracia ponownie oniemieli, któryś z nich zrobił znak krzyża, a wszystkie spojrzenia zwróciły się ku wspomnianemu.

– Jesteście tego pewni? – nalegał Bizén, również zaskoczony.

– Jestem pewien – odpowiedział teraz stanowczo.

W tym momencie zaległa grobowa cisza, zdawało się, że nikt nie odważy się jej przerwać, bo był tylko jeden głos, który powinien był się odezwać.

– Owszem, to byłem ja – przyświadczył obojętnie dziekan Estéban.

– No i? Nie macie nic do dodania? – nalegał Bizén nieco skonfundowany wyrazem twarzy tamtego.

– Ja nikogo nie zabiłem, szanowałem Octavia.

– Z jakiej przyczyny rozmawialiście z nim o tej porze? Dlaczego wcześniej nie wspomnieliście o tym? – przeorowi ledwie sił starczyło, żeby zadać te pytania. – Nie rozumiem, co się tutaj dzieje.

– Poprosił mnie o pomoc.

– Pomoc, powiadacie. Jakiego rodzaju pomoc? – nalegał, wyraźnie zbity z tropu.

– Nie mógł się pogodzić z tym, co kazał mu zrobić opat. Ale nie miał innego wyjścia, to był bardzo posłuszny zakonnik, jak mało który. Pragnął stać się bratem takim jak my, poświęcić się modlitwie, tego najbardziej pragnął – wyjaśnił dziekan w bardzo przekonujący sposób. – Nie ośmielał się sprzeciwić opatowi.

– Dziekanie Estébanie, wyznaliście właśnie, że byliście wtajemniczeni w plan otwarcia grobu.

– Nie, Octavio powiedział mi tylko tyle, że opat polecił mu zrobić coś strasznego, nic więcej.

– Doprawdy – przeor nie potrafił się zdobyć na zdecydowaną reakcję – nie potrafię pojąć, dlaczego zachowaliście to w tajemnicy.

– Profanacja grobu królewskiego musiała stanowić traumę dla Octavia – wyjaśnił dziekan – dlatego był rozdarty, nie mógł tego znieść. Kiedy z nim rozmawiałem, czuł się osamotniony i przeżywał zwątpienie, ale nie opowiedział mi o swoich planach.



– Pewnie powiedział wam coś więcej – nalegał przeor.

– Tylko tyle, że się boi. Skąd miałem wiedzieć, co ma zamiar zrobić? Otworzyć grobowiec... – powiedział, spoglądając na pozostałych mnichów – jak mógłbym się czegoś takiego spodziewać? Powiedział mi, że musi zostać sam, dlatego się oddaliłem. Nie miałem nic wspólnego z tym, co się wydarzyło, chcę, żeby to było jasne.

– Ale, dziekanie Estébanie, dlaczego nic nie powiedzieliście do tej pory? – zapytał przeor, który nie potrafił się pogodzić z tym, czego się dowiedział.

– A po co? Octavio otrzymał rozkaz od opata i nie chciał go wypełnić. Tak czy owak, gdybym to powiedział, nie przydałoby się na nic: moje słowo przeciwko słowu opata.

– Czy jesteście świadomi, że wszyscy mnie okłamywaliście? Nikt nie powiedział dotąd prawdy. Żaden z was! – głos Bizéna odbił się od wysokiego kamiennego sklepienia. – Powinniście być świadomi, że zatajenie jest takim samym wrogiem prawdy, jak kłamstwo.

– Ubolewam nad tym, nie jestem dumy ze swoich uczynków – odezwał się ponownie brat Bartolomé – ale ja go nie zabiłem ani nie przyczyniłem się do jego nieszczęsnej śmierci. Nie chciałem okazywać nieposłuszeństwa rozkazom opata.

– Jak miałbym teraz wam zaufać? Któremukolwiek z was!

– Myślę, że powinniśmy teraz odzyskać spokój – wyglądało na to, że przeor odzyskuje swoją zwykłą równowagę i opanowanie. – Wysłuchaliśmy już braci, proponuję, żebyśmy wrócili do normalnych zajęć. Jest pora posiłku – wskazał zegar mechaniczny. – Udajmy się do refektarza, a później będziemy kontynuować.

– Chyba nie mówicie tego poważnie – powiedział rozsierdzony Bizén.

– Póki opat nie będzie świadom tego, co się wydarzyło, nie ma sensu przedłużać tej rozmowy. Poza tym ja odpowiadam za tę kongregację, dopóki opat jest niezdrów. Nikt nie ma prawa podważać moich decyzji – powiedział podniesionym głosem, co nieczęsto mu się zdarzało. – Dostyc już wzburzenia, począwszy od tej chwili nasze zajęcia będą się toczyły

normalnym trybem.

## Nigromanta

**R**ozległo się bicie dzwonu, nadeszła pora posiłku. Mnisi wychodzili z klauzury i podążali do *lavatorium*, żeby obmyć dłonie i stopy przed wejściem do refektarza. Bizén również poddał się temu rytuałowi, wszedł do sali jadalnej i zajął miejsce przy głównym stole obok przeora, dziekana Estébana i brata Adolfa.

Nie mógł uwierzyć, że mimo najnowszych odkryć dotyczących życia w kongregacji wszyscy zachowują się tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Czy kłamstwa nie miały w tym klasztorze żadnego znaczenia? Miało się wrażenie, że stanowią tu chleb powszedni na równi z modlitwą i nabożnymi śpiewami.

Brat Bartolomé zaczął podawać wino, podczas gdy dwaj oblaci roznosili tace pełne jabłek, endywii i bakłażanów, podawane przez okienko z kuchni. Porcje wina były szczodre jak zwykle. Na początek czyste wino, a później zmieszane z wodą. Tego popołudnia mnichom dopisywał apetyt i obficie raczyli się wszystkim, co trafiło na stół. Podczas gdy wszyscy pozostali jedli w milczeniu, brat Ramiro odczytywał rozdział z Reguły. Jako że rozdziały ze świętego Benedykta były dość krótkie, przeszedł wkrótce do odpowiedniego fragmentu jakiejś innej pobożnej księgi.

Bizén obserwował brata Rogelia i wspominał jego słowa. Jeśli mnisi naprawdę porozumiewali się językiem gestów, chciał się o tym upewnić, nie spuszczał więc oka z dłoni zakonników. Z początku były to normalne poruszenia, jakie towarzyszą jedzeniu, toteż pomyślał, że brat Rogelio nieco przesadzał. Ale kiedy podano zupę, którą kucharz przy nim gotował, wszystko się zmieniło. Od tej chwili dłonie zakonników

zaczęły się poruszać z większą prędkością niż ich łyżki. Nie okłamał go, używali bardzo rozwiniętego języka znaków, żeby móc się płynnie porozumiewać, nie łamiąc przy tym ślubu milczenia.

Cóż za hipokryzja! I jak mogli się pożywiać z takim apetytem po tym wszystkim, co wyszło na jaw parę chwil wcześniej?

Bizén przyjrzał się swojej misce zupy; nie był głodny. Jednak zanurzył w niej łyżkę i skosztował. Zaledwie można w niej było wyczuć smak drobiu. Wątpił, żeby to był efekt zamierzony. A może zamaskowanie tego smaku było głównym sekretem przygotowania tej potrawy?

Tak czy siak, zupa z kurczaków była smaczna. Wszystko, co ten kucharz miał w sobie odpychającego i sprzecznego z zasadami higieny, nadrabiał talentem do przyrządzania dań. Trzeba było przyznać, że to pierwsze nie przekreślało drugiego. I choć żołądek miał ściśnięty, opróżnił miskę do ostatniej kropli.

Gdy tak siedział pogrążony w rozmyślaniach, zwrócił jego uwagę niezwykle gest pośrodku stołu. Wykonał go brat Julian, wszystko trwało zaledwie krótką chwilę, ale wyglądało na znak. Przyłożył dwa palce do piersi, potem do ust, po czym wyprostowaną dłoń przesunął od piersi ku przodowi.

Musiał uważniej ich obserwować.

Pojawiło się danie główne: karpie. Podano je na owalnych półmiskach. Na główny stół trafił półmisek z czterema porcjami. Wszystkie wyglądały na dobrze przyprawione, ale Bizén nie zapominał żadnej z rzeczy, których nauczył się w klasztorze, i solidnie skropił swoją porcję oliwą, po czym rozkroił rybę nożem, uszczknął kawałek i wziął do ust. Nigdy w życiu nie jadł tak znakomitej potrawy, jak ta rzeczna ryba.

Tamto się powtórzyło: dwa niezwykle gesty, jeden tuż po drugim.

Brat architekt ułożył dłonie najpierw zwrócone wewnątrz ku sobie, a za chwilę na zewnątrz.

Siedzący naprzeciw młody brat Hugo przytaknął skinieniem głowy.

Te gesty nie były podporządkowane prostym czynnościom, odnosiło

się wrażenie, że kryją się za nimi złożone wypowiedzi. Jak to możliwe, że nie wpadł na to wcześniej?

Obrócił się w stronę brata Rogelio i dostrzegł, że spogląda ku jednemu z końców stołu, przy którym siedział brat Adolfo. Poszedł za tym spojrzeniem. Stary mnich poruszał rękami, wykonując długi ciąg gestów, których nie zdołał dokładnie rozróżnić.

Rzeczywiście to robili! Rozmawiali sobie w najlepsze za pomocą znaków, których nie rozumiał. Pewnie tak było od chwili jego przyjazdu, przy każdej okazji, kiedy znajdowali się w towarzystwie Bizéna.

Musieli go uważać za głupka.

Wypił łyk wina i ucieszył się w duchu, że nie musi się odzywać, ponieważ żadne z tych słów, które cisnęły mu się na usta, nie nadawałoby się do wypowiedzenia w tej sytuacji.

Posiłek się skończył i zaczęli opuszczać refektarz.

Ulewa nieco zelżała. Choć ciągle słychać było szum deszczu, zdawało się, że modlitwa do świętych podziałała.

Wnętrza domów były zalane na skutek przecieków w dachach, a kiedy pierwsi ludzie zaczęli wychodzić ze swoich siedzib, zobaczyli, że teren wokół pokrył się głębokim błotem i przypomina wielkie bagno. Mury także ucierpiały podczas nawałnicy; na jednej z kurtyn pojawiły się liczne szczeliny, a część była bliska zawalenia.

Bizén zatrzymał się u wyjścia z refektarza, chcąc porozmawiać z przeorem, jednak ten odmówił. Stwierdził, że jest późno, że musi odprawić swoje modlitwy, że decyzje w sprawie najnowszych wydarzeń podejmą nazajutrz.

Bizén tego nie pojmował: teraz, kiedy tak niewiele brakowało do poznania prawdy, kiedy wielu zakonników złożyło zeznania, przeor najwyraźniej zamierzał przykryć to wszystko grubą warstwą ziemi.

Nie mógł do tego dopuścić.

Wycofał się do swojej samotnej celi. Ale daremnie próbował się uspokoić, miotał się jak kurczak, któremu właśnie odrąbano głowę.

Przysiadł na łożku, by natychmiast się zerwać i chwycić w ręce pergamin i pióro. Sporządził listę z imionami zakonników i zanotował przy każdym kłamliwe i prawdziwe informacje. Rozmyślał nad tym przez kilka kolejnych godzin. Wyczerpany i ciągle jeszcze rozżłoszczony, postanowił wyjść z celi, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Poślizgnął się na błotnistym terenie i o mało się nie przewrócił. Nie wiedząc, co ze sobą począć, postanowił, że pójdzie zobaczyć szkody, jakie wyrządziła nawałnica.

Kiedy dotarł do bram Verueli, zdumiał go widok gorączkowej krzątaniny, jaka miała tam miejsce mimo późnej pory. Poddani klasztoru zgłaszali się do oblatów po instrukcje, żeby natychmiast rozpocząć naprawę uszkodzonych budowli. Bizén miał okazję ujrzeć w całej pełni, jaką zdolność do mobilizacji ludzi i środków posiada to opactwo.

Udał się do rejonu, gdzie gromada mężczyzn rąbała toporkami długie pnie dębowe. Byli to prości ludzie, zahartowani życiem w niedostatku i pracą fizyczną, całkiem odmienni od mnichów.

– To drewno pewnie dobrze się pali.

– Tego to my nie wiemy, to dla mnichów – odpowiedział niechętnie największy z osiłeków – ponoć mają taką izbę, gdzie zawsze się pali, i biorą do niej najlepsze drewno. Dla nas zostaje to wilgotne i porowate.

– Jak was zwa?

– Atilano.

– Ja się nazywam Bizén de Ayerbe, jestem królewskim notariuszem.

– To musi być coś ważnego, ale cudzoziemcy nie zwykli się tu zatrzymywać na długo – osiłek uważnie mu się przypatrył.

– Wielu ich przybywa do klasztoru?

– Nie, choć czasami zjeżdżają tu goście wysokiego rodu – odrzekł Atilano, przerywając pracę. – Ponoć cała szlachta czy ważne osobistości królestwa przejeżdżające w pobliżu mają obowiązek odwiedzić Veruelę. A że w tym tygodniu przypada dzień Wszystkich Świętych, to myślę, że ktoś taki się zjawi.

– To zrozumiałe, to opactwo należy do najważniejszych w całym

królestwie, a do tego jest najokazalszą budowlą na całej tej granicy.

– Pewnie tak, skoro tak mówicie.

– A wy widzieliście tych dostojnych gości, którzy bywają w Verueli?

– Tak, ma się rozumieć – powiedział Atilano, uderzając toporem w jeden z pni. – Trudno ich nie zauważyć, bo mnisi otwierają drzwi kościoła tylko wtedy, gdy przyjeżdża któryś z panów.

– Te główne drzwi w portalu?

– Ano te.

– I wtedy was też wpuszczają do świątyni? – zapytał z ciekawością Bizén.

– Nie, gdzie tam.

– Nigdy nie uczestniczyliście we mszy we wnętrzu wielkiego kościoła przy klasztorze?

– Nie – odrzekł stanowczo Atilano. – My jesteśmy poddani, należymy do Kościoła, ale jako poddani – powiedział z rezygnacją. – Mnisi to może święci ludzie, ale ja wiem tylko tyle, że nas traktują jak psy. Powiadają, że podanym opactwa lepiej się wiedzie niż poddanym jakiegoś pana... Ja tam nie wiem, moim zdaniem wszyscy są jednakowi.

– Mnisi i szlachta?

– Nie, bogaci – odpowiedział i kopnął pień, który właśnie rozłupał na dwoje. – To jest granica, tutaj różnych można spotkać, Kastylijczyków, Francuzów, Anglików, tych z Nawarry; a w osadach Borja czy Tarazona są i Żydzi, no a prawie w każdej wiosce czy miasteczku najwięcej ze wszystkich jest Maurów, którzy tu zostali i dobrze obrabiają ziemię.

– Tak, wiem o tej różnorodności.

– Nie ma większej różnicy między takim niewiernym a wieśniakiem, czy to z naszych, czy kastylijskim.

– Tak naprawdę sądzicie? Macie przecież innego króla, nawet innego Boga.

– Na jedno wychodzi, my, co nic nie mamy do gadania, jesteśmy własnością naszych panów; są tylko bogaci i biedacy – oświadczył

Atilano z przekonaniem. – To jest wielka prawda, wielka różnica.

– Nie ufacie waszym panom? Wątpicie w wolę Bożą?

– Co to, to nie. Jestem takim samym chrześcijaninem jak każdy. Ale czasami zadaję sobie pytanie, czy On o nas pamięta.

– Uważajcie, co mówicie, żeby do mnichów nie dotarły wasze bluźnierstwa.

– Oni mają ważniejsze sprawy na głowie i to wy powinniście na siebie uważać – rzekł Atilano, spuszczać wzrok.

– Ciekawe napomnienie jak na człowieka, który tu pracuje.

– Właśnie dlatego. Poza tym – podszedł bliżej, żeby nikt prócz Bizéna go nie mógł słyszeć – oni tam się modlą, modlą, a jednocześnie ciągle się szarpią z kanonikami z Tarazony czy z panem na Borja o grunty i wodę. Boga wychwalają, a młota z rąk nie puszcniają.

– Wiem, że ich dominia są dostatnie i obszerne.

– Wszystko, co nas otacza, to ich własność: pastwiska, wody, rola... Jest tylko jedna wioska, co do nich nie należy i drogo ich to kosztuje.

– Czemu tak mówicie?

– Bo jest wyklęta.

– Wyklęta? – Bizén odkaslnął – Jak to wyklęta?

– Tak jak słyszycie, sto lat temu jeden opat, który wtedy rządził Veuelą, chciał ją kupić.

– Niech zgadnę: nie udało mu się.

– Została w rękach świeckich, to Trasmoz – Atilano wskazał ku zachodowi. – Ot, cztery zagrody wokół potężnego zamku zbudowanego z czarnego łupku, jak powiadają, w jedną noc.

– Nie wierzę, żeby to było możliwe.

– Temu, co obiecał takiego cudu dokonać, też nikt wówczas nie uwierzył – Atilano pokiwał głową. – Król uznał, że to niemożliwe, tak samo jak jego rycerze i pasterze z Trasmoz, którzy z przerażeniem oglądali, jak ten zamek powstawał, ale...

– Żaden człowiek nie może zbudować zamku w jedną noc.

– Otóż właśnie – i Atilano powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach



pracy. – Ale co innego nigromanta.

– Czarnoksiężnik. Na Boga! Toż to są przesady – oburzył się Bizén.

– Ja tej opowieści słuchałem od małego, jak wszyscy, co się urodzili w Moncayo.

– A cóż to za opowieść, jeśli wolno spytać?

– Ten tam ją wam opowie lepiej ode mnie – wskazał na jednookiego mężczyznę – No chodź, cudzoziemiec chce posłuchać historii o nigromancie.

– Tym, co zbudował zamek w Trasmoz? – zapytał zagadnięty, który miał dziwny sposób mówienia, akcentował każde słowo na końcu.

– Jasne, że o tym, Jednooki, o jakim by innym? No, chodźże tu do nas – zachęcał go Atilano.

– E, czy ja wiem – mruknął tamten.

– Zechcielibyście mi opowiedzieć? – zwrócił się do niego Bizén.

– Mam robotę. Nie widzicie, jakich szkód narobiła burza?

– Dam wam tę monetę – Bizén bez wahania sięgnął po pieniądz.

– Było tak od razu – chwycił monetę błyskawicznie. – No więc, tak to było:

Pewnego ranka mauretański król Tarazony przechadzał się po swoich włościach, a kiedy się mijał z jednym starym pasterzem, powiedział te słowa:

– Warto by tu zbudować zamek.

– Ja to uczynię – powiedział stary, a wszyscy się roześmiali.

– Naturalnie, a ja wam wręczone klucze.

– Niech tak będzie.

Orszak ruszył w powrotną drogę do Tarazony, a staruch został sam na skalnym grzebieniu. Wspiął się wtedy na wielki głaz, z którego rozciągał się widok na wszystkie skały, i jął mamrotać, mamrotać diabelskie zaklęcia, które zaczęły przenikać wszystko wokół i napełniać otoczenie nadprzyrodzoną siłą i zapałem.

A on tam stał ze wzniesioną głową, wyciągając ręce, jedną ku wschodowi, drugą ku zachodowi. Podniósł głos i zwracając się

do istot niewidzialnych i tajemnych, które w pokorze oczekiwały jego rozkazów, zniewolone zakłęta potęgą jego słów, zawołał:

– Duchy wód i powietrza, wy, które potraficie drążyć skały i powalać pnie najsilniejszych drzew, poruszcie się i czyńcie, co rozkażę! Duchy ziemi i ognia, wy, które znacie skarbnice metali ukryte w trzewiach ziemi i poruszacie się podziemnymi chodnikami wraz z morzami wrzącej, rozpalonej lawy, poruszcie się i czyńcie, co rozkażę!

Po trzykroć wstrząsnęła się góra, a wówczas od skał oderwały się kamienne bryły, drzewa się rozpadły i kamienie oraz drzewa wzniosły się w powietrzu w dzikim wirze, spadając na podobieństwo gęstego deszczu w miejsce, które nigromanta wskazał uprzednio swoim sługom. Potężne pnie i tafle granitu oraz ciemnego łupku, rzucane, zdawałoby się, beładnie, układały się jeden na drugim w zadziwiającym porządku, tworząc krąg, rosnący w wysoki bastion, zaś woda strumieni, ciągnąc piach, drobne kamyki i wapno ze swoich łożysk, spajała ten mur, zapełniając jego szczeliny niezniszczalną zaprawą.

Nazajutrz, w pałacu królewskim w Tarazonie, jeden ze sług zaczął się niecierpliwie dobijać do wrót, a jego pan otworzył mu zagniewany:

– Kto śmie zakłócać mi odpoczynek takim hałasem?

– Panie mój, od strony granicy z Kastylią stała się rzecz niesłychana. Na szczycie góry Trasmoz, tam gdzie jeszcze wczoraj nie było nic prócz skał i zarośli, odkryliśmy zamek tak wysoki, tak wielki i silny, że nie ma sobie równego na wszystkich waszych ziemiach.

– To niemożliwe!

– Wiem, panie. Z początku nie wierzyliśmy świadectwu własnych oczu, sądząc, że to być może chmura mgły skłębionej nad szczytem góry. Kiedy jednak weszło słońce, ta mgła się nie rozproszyła; stoi tam zamek, ciemny, groźny i potężny, a jego strzelista wieża strażnicza panuje nad całą okolicą.

– Żywo, podajcie mi najszybszego z moich koni i ruszajmy do Trasmoz! Klnę się na moją brodę i na brodę proroka, że jeśli nie jest prawdziwa wieść, którą przynoszą gońcy, to w miejscu, gdzie miałby stać ten

zamek, każę ustawić pal, na którym znajdą się głowy winnych tego zmyślenia.

Tak rzekł król, a w parę chwil później nie pędził, a frunął w kierunku Trasmoz. Wtem, ku wielkiemu zdumieniu swojemu, jak i tych, co mu towarzyszyli, zobaczył nadchodzącego starca z pasterską torbą, w tej samej wytartej, połatanej tunice, w jakiej go widzieli poprzedniego dnia, w tym samym turbanie brudnym i poszarpanym i z tym samym chropowatym, krzepkim kosturem, którym się podpierał.

Król zatrzymał się przed nim, a staruch wyjął z torby dwa złote klucze. Władca zbliżył się o parę kroków. Dotarł do najwyższego wzniesienia łańcucha Diezma i, w rzeczy samej, zamek Trasmoz objawił się przed jego oczyma, ze swymi pięcioma ogromnymi basztami, strzelistą wieżą strażniczą, głęboką fosą, potężnymi bramami warownymi, mostem zwodzonym i murami zwieńczonymi ostrymi blankami.

– Ja dotrzymałem słowa, teraz pozostaje wam dochować wiernie, coście mi przyrzekli.

Bizén de Ayerbe uważnie wysłuchał całej opowieści o budowie zamku w Trasmoz. Nieczęsto zdarzała mu się sposobność rozmowy z ludźmi, którzy pracowali dla mnichów, i zdał sobie sprawę, że być może powinien był zrobić to wcześniej.

– Ta piękna opowieść doskonale się nadaje na baśń dla małych dzieci.

– I dla tych dużych też – wtrącił Atilano, który ponownie ścisnął w ręce drzewce siekiery. – Kiedy ktoś po raz pierwszy przybywa na te ziemie, zwykle traktuje z pobłażaniem tutejsze opowieści. Na pierwszy rzut oka wszystko to są zwykłe przesady, dawne wierzenia, baśnie do straszenia dzieciaków... Ale jak się spędzi parę dni w Moncayo, to krok po kroku wszystko zaczyna wyglądać inaczej.

– Ja spędziłem tu niemal cztery dni.

– To dobrze wam idzie, wielu się wyniosło pierwszego dnia – zauważył Jednooki.

– Dziękuję za czas, który mi poświęciliście, ale nie interesują mnie takie powiastki, nie ufam im.

– Ja myślę, że nie powinniśmy ufać nikomu, nawet własnemu cieniowi, który co chwilę pojawia się z innej strony, a w nocy się ukrywa.

– Szczera prawda – rzekł Bizén, patrząc, jak ten człowiek ponownie zabiera się do pracy.

Ruszył w kierunku klasztoru, rozmyślając nad tym, że jeśli nigromanta naprawdę zdołał wznieść zamek w ciągu jednej nocy, to jemu powinno się udać odnaleźć szczątki infanta i zakonnika, który dopuścił się morderstwa.

„Na tych ziemiach wszystko jest możliwe”, pomyślał.

## Mnich

Chwilę wcześniej spadła na Veruelę noc, ciężka i bezlitosna. Bizén przyzwyczał się do porządku dnia w klasztorze i dokuczało mu już zmęczenie. On, którego od dzieciństwa zaśnięcie kosztowało tyle trudu, sypiał w tym klasztorze więcej i lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Musiał to sprawiać spokój tego miejsca. Mimo wszystkich oszustw, które tu panowały, koniec końców zaczynał Veruelę lubić.

Nie chciał ulegać senności, choć oczy same mu się kleiły. O tej porze mrok obejmował władzę nad Veruelą, ale jako że od pierwszych spędzonych tu chwil obliczał na kroki odległości, dzielące od siebie najważniejsze punkty na terenie opactwa, potrafił się poruszać bez światła. Ze względu na błoto, pokrywające grunt, z pewnym trudem dotarł do wejścia do klauzury. Starał się tę drogę pokonać tak, żeby go nikt nie spostrzegł. Mnisi powinni być w swoim dormitorium. Rozejrzał się na obie strony i, jak przypuszczał, nigdzie nie widział żywej duszy.

Ten kamienny ogród porażał nadmiarem; każdy, kto chciał dojść do któregoś z pomieszczeń dla mnichów, musiał tędy przechodzić. To natchnęło go pewną myślą.

Doszedł do wejścia do kościoła i zatrzymał się przy trzech grobowcach rodziny Pedra de Atarés. Dokonując prawdziwego pokazu giętkości, wcisnął się pod drugi z nich.

Ledwie mógł wytrzymać w tej pozycji, ale wytrwał tam dobrą chwilę w bezruchu. Gdyby go tam ktokolwiek zobaczył, wzięłby go za szaleńca, ponieważ trudno by było wyjaśnić, po co się tam wcisnął. W tej ciszy i ciemności trudno było oprzeć się senności, po chwili zresztą się zdrzemnął.

Ale wkrótce szeroko otworzył oczy zbudzony skrzypieniem zawiasów drzwi do świątyni. Ocknął się nieprzytomny, nie pamiętając dokładnie, gdzie się znajduje i mało brakowało, a wyszedłby nieostrożnie z kryjówki. W ostatniej chwili odzyskał trzeźwość umysłu i przypomniało mu się, że jest tam na czatach.

Zobaczył parę bosych stóp.

Dojrzał też dół białego habitu, co świadczyło, że to jeden z mnichów. Kroki bosych stóp były niemal niesłyszalne, oddalały się od wejścia. Bizén odczekał jeszcze chwilę, zanim opuścił kryjówkę. Kiedy z niej wyszedł, postać mnicha ledwie majaczyła na końcu galerii klauzury. Nie udał się za nim jednak, tylko stwierdziwszy, że drzwi zostały uchylone, skierował się do świątyni. Jedynym jej oświetleniem było parę świec, jarzących się przy głównym ołtarzu. Podszedł tam bardzo ostrożnie i wziął jedną z nich.

W tych ciemnościach kościół wzbudzał lęk. Był świadom jego rozmiarów, ale brak światła wzmagił poczucie bezradności. Poczuł, jak głęboki dreszcz wstrząsa jego plecami, dając impuls do opuszczenia tego miejsca. Ale przewyciężył tę chęć i ruszył przez prezbiterium ku przeciwnej stronie transeptu. Skręcił przed wejściem do wieży dzwonnicy i odszukał, z pomocą mdłego płomyka świecy, jedyne drzwi, które mogły się tu znajdować: wejście do izby zmarłych.

Kiedy w końcu na nie trafił, wystarczyło je popchnąć. We wnętrzu panował silny, nieprzyjemny zapach, choć bardziej znośny, niż to sobie wyobrażał. Bizén obszukał ściany pomieszczenia, wreszcie trafił na to, co mu było potrzebne: lampkę oliwną, którą zapalił od płomienia świecy. Salka była małych rozmiarów, na planie kwadratu, ze sklepieniem żebrowym, którego nerwy wspierały się na konsolach wyobrażających istoty mitologiczne. W tym pomieszczeniu tłoczyło się relatywnie najwięcej wyobrażeń potwornych zwierząt, jakie można było spotkać na terenie całej klauzury. Słysząc tu było szemranie przepływającej wody i domyślił się, że to kanał, który musiał przebiegać pod kościołem do miejsca, w którym wydostawał się na powierzchnię.

O ścianę wspierał się stół, na którym spoczywało nagie ciało oblata, okryte jedynie całunem.

Podszedł do niego, w nikłym świetle trup wyglądał przerażająco. Bizén przyjrzał się ranie na szyi zmarłego; musiał się wykrwawić bardzo szybko. Potem obejrzał resztę ciała, ale nie znalazł na nim niczego szczególnego. Wydawało się, że przyczyna śmierci jest ewidentna, zaczął więc szukać narzędzia zbrodni. Kostnica nie była duża, toteż szybko natknął się na skrzynkę, w której wewnątrz znajdował się drewniany krzyż przewiązany sznurem oraz płócienny woreczek. Krzyż musiał należeć do zmarłego oblata, były na nim widoczne ślady krwi. Woreczek zawierał jakieś korzonki. Przytknął je do nosa; nie miały silnego zapachu, ale ich woń nie należała do przyjemnych. Wziął woreczek z korzeniami, zgasił kaganek i wyszedł z pomieszczenia.

Kiedy tylko postawił stopę na posadzce kościoła, poczuł, że coś jest nie tak, że ktoś jest w świątyni. Kiedy się obrócił, zobaczył jakieś jarzące się oczy. Podskoczył na ten widok i woreczek wypadł mu z rąk. Kiedy się zorientował, że to kot napędził mu takiego strachu, uczuł bezgraniczną otuchę.

W tej samej chwili usłyszał jakieś trzaśnięcie i poczuł ruch powietrza.

Pobiegł w kierunku chóru, żeby się tam ukryć i zobaczył jakiegoś mnicha idącego schodami w kierunku dormitorium. Przypuszczał, że to ten sam, którego widział wcześniej, ale z tej odległości nie widział, czy ma bose nogi.

Nie było takiej możliwości, żeby żaden ze współtowarzyszy nie widział, jak wraca do dormitorium, choćby spali jak zabici tam, na górze. Mnich, który wchodzi i wychodzi w środku nocy, nie może zostać niedostrzeżony.

Miał zamiar porozmawiać o tym z rana z przeorem i resztą kongregacji i dowiedzieć się, kim był ten amator nocnych spacerów. Wyszedł zza stalli w chórze i ruszył ku wyjściu. Kot tymczasem obwąchiwał rozsypane na ziemi korzonki. Kiedy Bizén po nie sięgnął, kocisko na niego prychnęło, więc zebrał tylko część; szkoda mu było czasu,

a buras zachowywał się, jakby za nimi przepadał.

Znalazłszy się z powrotem w klauzurze, Bizén odetchnął swobodniej, miał teraz do pokonania trzy czwarte jej długości, żeby się udać do domu gościnnego. Minął grobowce, za którymi się wcześniej ukrywał, salę kapitulną, *locutorium*, bibliotekę i zerknął w kierunku wejścia do izby opata.

Odkąd opat zlecił mu misję zbadania śmierci brata świeckiego, nie spotkali się ani razu.

Nagle usłyszał tupot za plecami i zobaczył biegnącą w jego stronę zakapturzoną postać w białym habicie. Zareagował natychmiast i pognął korytarzem klauzury, starając się uciec przed ścigającym go mnichem. Dobiegł do wyjścia, ale tamten chwycił go za plecy i pchnął z całej siły na ścianę.

Rąbnął twarzą o mur, a kiedy się obrócił, silne uderzenie w nos spowodowało obfity krwotok. Na domiar złego stracił równowagę i znów uderzył o ścianę, którą miał za plecami.

Był ogłuszony, a gdy zaczął się zbierać, cios pięści rozorał mu lewy łuk brwiowy, a następny zmiażdżył mu policzek. W dodatku spadł mu krzyż, który nosił na szyi. Rozciągnął się na posadzce, a prześladowca wymierzył mu kopniaka w bok, po pierwszym nastąpił kolejny i jeszcze jeden, wreszcie Bizén zdołał się poturlać po ziemi, próbując ucieczki, jednak tamten przycisnął go stopą, zmuszając leżącego do zgięcia ciała ku przodowi i osłonięcia twarzy obiema rękami.

– Nie pozwolę na to – powiedział napastnik chrapliwym głosem – jeśli dalej będziecie węszyć, uciszę was na zawsze. Wynoście się z Verueli i przestańcie wtykać nos w nieswoje sprawy.

Kiedy próbował się unieść, nowy cios pięści w podbródek powalił go znów na ziemię. Po tym uderzeniu brakło mu sił na dalsze próby.



## Noc

**Z**budził ją jakiś koszmar, starała się znów usnąć, ale tym razem przebudził ją hałas. Ziewnęła, usiadła na pościeli i stwierdziła, że Elena jeszcze śpi. Skorzystała z tego, żeby cichutko wysunąć się z łóżka; podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Noc była spokojna, a cisza brzmiała jak melodia kołysanki.

Obróciła się i zobaczyła, że siostra uważnie się jej przygląda.

– Przestraszyłaś mnie!

Elena bez słowa wstała z łóżka i sięgnęła po swoje ubrania.

– Co robisz? Chyba nie masz zamiaru iść do starej z gościńca?

Spojrzenie, które jej rzuciła, starczyło za całą odpowiedź.

– Ja też chcę iść.

– No to na co czekasz?

Siostry znów wymknęły się z domu w środku nocy i ruszyły ścieżką prowadzącą po obrzeżach lasu, z której widać było sylwetę czarnego zamku. W jednej z kotlin znajdowała się zagroda starej i choć Marta już wiedziała, co tam zobaczą, bała się bardziej niż za pierwszym razem. Za nic w świecie nie porwałaby się na podobny wyczyn, gdyby nie siostra, która dodawała jej odwagi, żeby iść naprzód.

Elena zastukała do drzwi, ale nie było odpowiedzi. Zupełnie się tym nie przejęła. Otworzyła zdecydowanym ruchem i wnet powitało je ciepło ognia, buchającego na palenisku. Powtórzyła się ta sama scena: stara coś warzyła w metalowym kociołku.

– Sieroty przysły – mruknęła, nie podnosząc wzroku – Co też mi przynoszą sieroty? Czy to dobre, czy złe wieści? – dopiero wówczas się obróciła i wpatrzyła się w nie swoimi wielkimi oczyma.

– Była umowa – rzekła Elena najbardziej stanowczym tonem, na jaki ją było stać.

– O tak, pamiętam. Ale to do was należało wypełnienie jej pierwszej części.

– I zrobiliśmy to.

– Znalazłyście kanał, który przebiega pod murem? – zapytała, zwracając twarz w stronę ognia.

– Tak, dostałyśmy się nim do wnętrza.

– No dobrze, a potem? Bo klasztor jest wielki, a wy jesteście zwykłymi dzierlatkami.

– Odnalazłyśmy więźnia w budynku, gdzie paliło się światło.

– Na pewno? – stara wciąż mieszała w kociołku.

– Tak.

– I co wam o sobie powiedział?

– Mówił w obcym języku.

– No, no. Ciekawe. A możecie mi powtórzyć, co powiedział w tym swoim języku?

– Powiedział coś jak *the prince* i że się nazywa Hugh, Hugh Has...

– Hugh Hastings – uzupełniła Marta słowa swojej starszej siostry.

– Bardzo ładnie, dziewczynki – stara się wyprostowała i spojrzała na nie z uśmiechem.

– Dlaczego ten człowiek jest uwięziony? – zapytała Elena.

– To jest rycerz angielski, należy do armii pewnego księcia, który uczestniczył w jednej bitwie na północy, w pobliżu wielkiej rzeki.

– To co on robi w opactwie? – nalegała dziewczyna.

– Zawędrował w te strony, uciekając i przypuszczam, że mnisi go oszukali i chcą osiągnąć jakąś korzyść z takiego więźnia w Moncayo. Francuscy najemnicy, którzy teraz panują nad tymi ziemiami, szczerze zapłacą za tę wiadomość. Obawiam się, że tym razem mnisi się srodze rozczarują.

– A dlaczego mnisi nie wydadzą go Francuzom? – zapytała Elena, z której twarzy zniknęło napięcie.

- Tego to ja nie wiem.
- Myślałam, że ty wiesz wszystko – odrzekła.
- Wiem o różnych rzeczach, o których nie chciałabym wiedzieć – powiedziała na to stara, obracając się, żeby metalowymi szczypcami poprawić żar na palenisku. – Są też inne, o których nie dowiem się nigdy. Jeśli czegoś naprawdę się w życiu nauczyłam, to rozpoznawać, jacy są ludzie, z którymi rozmawiam, dobrzy czy źli – gdy to mówiła, zajrzała głęboko w oczy Eleny. – Coś więcej wam powiedział ten angielski rycerz?
  - Nie – odrzekła starsza siostra.
  - Na pewno? Nie oszukujecie mnie chyba?
  - Ten człowiek nie powiedział nic więcej – rzekła Elena z kamienną twarzą.
  - A jednak coś jeszcze się zdarzyło, poznaję to po oczach twojej siostry – spojrzała na Martę. – Co przede mną ukrywacie?
    - Nic więcej nie powiedział, przysięgam – obstawała przy swoim Elena, stając między starą a Martą.
    - Któryś z mnichów was zobaczył? O to chodzi?
    - Żaden z nich się nie połapał, ale my widziałyśmy jednego, co przyszedł z jedzeniem dla więźnia.
    - I jesteście pewne, że was nie widział?
    - Całkowicie – ucięła Elena.
    - W takim razie – ciągnęła stara, przypatrując się jasnemu obliczu pięknej Eleny – coś wam musiał dać ten Anglik, prawda? Tak, oczywiście, że tak. Oddajcie mi to natychmiast!
      - Musisz nam pomóc, tak jak się umawialiśmy.
      - Owszem, ale jest pewien problem – odrzekła stara, wyjmując łyżkę z kociołka i odkładając ją na bok. – Mogę pomóc się wydostać z włości Verueli tylko jednej z was.
      - Nie taka była nasza umowa.
      - Obiecałam, że dopomogę siostrom. Eleno, pamiętasz swoją matkę?
      - Czemu nas o to pytasz? – syknęła rozzłoszczona Elena.

– Już ci mówiłam, że wiele wiem. To cena, jaką się płaci za odpowiedzi na pytania – stara umilkła na chwilę. – Każda kwestia zawsze wiąże się z jakąś inną, trzeba się dobrze zastanowić, jakie pytanie postawić. Czy jesteś pewna, że dobrze pamiętasz, jaka była twoja matka? Ta, która dała ci życie, i ta, która cię piastowała?

– Już ci mówiłam, że tak; nie byłam taka mała, kiedy umarła.

– Jesteś tego zupełnie pewna?

– Dlaczego wypytyujesz o naszą matkę? – wtrąciła się Marta.

– Ją pytam, nie ciebie.

– Naszą matką była Aysha – odrzekła Elena podniesionym głosem.

– Piękna kobieta, brunetka, z długimi, gęstymi włosami. Dużymi, głębokimi oczami – i przeniosła wzrok na Martę.

– Do czego zmierzasz?

– Ci mnisi są bezlitośni – mruknęła stara. – Nigdy by nie dopuścili, żeby któraś z ich poddanych tak po prostu sobie odeszła. Co wy im możecie ofiarować w zamian? Nic. Gdybyście posiadały coś, czego pragną, wzięliby to bez skrupułów.

Elena wpatrywała się w starą bez słowa, ale w jej oczach czaiło się coś groźnego, co wobec słodczy jej twarzy stawało się jeszcze bardziej czytelne.

– Nie patrzcie tak na mnie – zganiła ją stara z ostrzegawczym gestem rąk. – Mogę wam pomóc stąd uciec, ale dwie dziewczyny zwróciłyby zbyt dużą uwagę, nie zaszłybyście daleko. Dlatego pomogę tylko jednej i nie ma o czym gadać.

– Oszukałaś nas!

– Dajcie mi to, co dostałyście od angielskiego rycerza, a wtedy jedna z was będzie mogła opuścić Moncayo. W przeciwnym wypadku straciecie jedyną okazję, żeby się stąd wydostać i będziecie na tych ziemiach żyć do końca, do samej śmierci.

Wtedy starsza z sióstr podeszła do starej i pchnęła ją z całej siły. Stara upadła do tyłu. Elena sięgnęła po rozżarzone szczypcy i zbliżyła je do twarzy kobiety.

- Co robisz, przeklęta dziewczko!
- Marta, trzymaj ją!
- Ale...
- No już! Złap ją za ręce, to zwykła starucha – rozkazała starsza siostra.
- Nawet nie próbuj...

Gorące żelazo było tak blisko jej szyi, że czuła jego żar, a nim zebrała myśli, Marta stanęła za nią i chwyciła ją za przeguby dłoni.

– Posłuchaj mnie uważnie, stara więdźmo – Elena jeszcze bardziej zbliżyła rozżarzone szczypce do jej skóry. – Powiesz mi, jakim sposobem możemy się stąd obie wydostać. Zrozumiałaś, co mówię? Obydwie!

– Nie! – prawie jej się udało uwolnić ręce.

– Trzymaj ją mocniej – poleciła młodszej siostrze. – Jeszcze raz powtórzę: gadaj, jakim sposobem możemy uciec z Verueli?

– Puszczajcie, przeklęte!

– Gadaj! – zbliżyła szczypce do oczu starej.

– Tarazona – zachrypiała stara.

– Co?

– Biskupstwo w Tarazonie. Tamtejsi kanonicy nienawidzą mnichów z Verueli. Rywalizują między sobą o władzę kościelną nad Moncayo i nie tylko, chodzi o pola, pastwiska, lasy, zwierzynę, wioski.

– I? Co nam to daje?

– Jak się dogadacie z kanonikami z Tarazony, to oni was ochronią i będziecie mogli opuścić Veruelę na zawsze. Jak nie, to choćbyście stąd zbiegły, mnisi ustanowią cenę za wasze głowy i dopadną was – stwierdziła stara. – Ale jak biskup was ochroni, to co innego, możecie być wolne.

– Jak się możemy z nim skontaktować?

– W wiosce Grisel jest zamek, zarządza nim kapituła – odrzekła stara. – Tam najłatwiej znaleźć do niego dostęp.

– A gdzie jest Grisel?

– Mniej niż trzy godziny drogi pieszo. Tą samą ścieżką. Na skrzyżowaniu pójdziecie w prawo i droga sama was zaprowadzi

do zamku – wyjaśniła.

– A jak już tam będziemy?

– Powiedźcie o angielskim rycerzu; jak okażecie spryt, dostaniecie w zamian, co zechcecie.

– Jeśli nas okłamałaś – szcypce musnęły jej policzek.

– Nieeeee! – wrzasnęła z bólu.

– Eleno – jęknęła młodsza siostra – już powiedziała, co nam potrzebne. Elena odjęła szcypce i spojrzała na starą.

– Nie możemy jej zostawić, teraz już nie. Poszukaj sznura, zwiążemy ją – oświadczyła.

– Nie próbuj nawet! Drogo za to zapłacicie!

– Milcz, stara więdźmo.

– Czemu nas pytałaś o matkę? – próbowała się dowiedzieć Marta.

– Masz rację, Marto... No mów!

– Po moim trupie! – stara splunęła na ziemię – Diabelskie nasienie, jak ja mogłam wam zaufać!

– Za późno – Elena zakneblowała jej usta jakimś gałganem.

DZIEŃ PIĄTY

BIAŁY ŐZIK

## Wyznania

**K**iedy mnisi zebrali się w kościele na matutinum, rozległy się wyłącznie słowa chwały dla Pana, który ocalił ich świątynię. Kiedy zakończyli modlitwę, udali się prosto do sali kapitulnej, jedynie brat aptekarz został dyspensowany od udziału w zgromadzeniu, ponieważ jak co rano miał się udać do chorego opata.

Sala kapitulna służyła mnichom za miejsce zebrań, którym zazwyczaj przewodniczył opat. Zasiadali wokół niego kręgiem w porządku wyznaczonym powagą pełnionej funkcji. W tym pomieszczeniu wydawano polecenia związane z bieżącymi działaniami gospodarczymi, tu także odbywało się publiczne wyznanie błędów popełnionych przez poszczególnych członków kongregacji oraz przedstawienie problemów czy też nowych projektów.

Kapituła Verueli zbierała się w obszernym pomieszczeniu, o sklepieniu żebrowym wspartym na licznych kolumnach biegnących pośrodku sali. Z klauzury można tam się było dostać wejściem obramionym portalem, z którego obu stron otwierały się duże okna, pozwalające zajrzeć do sali z zewnątrz. Tam, za oknami, zajmowali miejsce nowicjusze oraz oblaci, którzy mogli tym sposobem przyglądać się obradom, jednak bez prawa zabierania głosu. Dopiero kiedy przemieniali się w mnichów, wolno im było wejść do wnętrza sali kapitulnej i uczestniczyć w zgromadzeniu. Na posadzce pomieszczenia i na ścianach umieszczone były groby poprzednich opatów Verueli.

– Bracia – rozpoczął przeor – deszcze już ustały i wszyscy wiecie, co należy teraz czynić. Najpilniejszą potrzebą jest zabezpieczenie zbiorów, potem młyna, cysterny i pomieszczeń klauzurowych.



– Musimy również przejrzeć kanały; wezbrana woda niosła wszelkie nieczystości, któryś z nich może być niedrożny – przemówił brat wodomistrz.

– To prawda, bracie Julianie – zgodził się przeor. – Nieprzerwany dopływ wody jest nieodzowny, zbierzcie potrzebnych ludzi i zajmijcie się tym.

– Sprawa murów obronnych wymaga bezzwłocznego rozwiązania – odezwał się brat furtian, który również uczestniczył w tej odprawie.

– Dla was zawsze mury są najważniejsze – wypomniał mu przeor.

– Nie powinniście ich lekceważyć, te mury to jedyna zaporą, jaka nas dzieli od lasu i góry.

– Wiem o tym, jednak jestem przekonany, że uszkodzenia nie mogą być zbyt poważne.

– Wystarczy jedna szczelina, jedno pęknięcie w murze, żeby dało się go sforsować, a wtedy...

– Tak, tak – pokiwał głową przeor, gwałtownie wypuszczając powietrze z płuc. – Poślemy ludzi, żeby je naprawili, nie potrzebujecie się o to martwić.

– A łucznicy? Brak nam dobrych łuczników, powinniśmy...

– Mamy dobrze uzbrojoną straż, kowal wykuł nowe miecze i na każdej wieży czuwają wartownicy – odrzekł przeor. – Obecnie są sprawy znacznie pilniejsze.

– Nasz rozsadnik także wymaga troski po tej ulewie – włączył się brat Saturio.

– Później.

– Jeszcze jedna rzecz: chłodnie. Jest bardzo prawdopodobne, że deszcze naruszyły nasze zapasy lodu – ponownie zabrał głos pan wód.

– Zgoda, bracie Julianie. Poślijcie dwóch oblatów, żeby zbadali stan wszystkich piwnic z lodem – po tych słowach przeor zrobił krótką pauzę.

– Jeśli chodzi o bieżące naprawy, to już wszystko. Jak wiecie, pozostaje jeszcze jedna sprawa, której uniknąć nie sposób, najpierw jednak pragnę o niej mówić z opatem.

Wszyscy się na to zgodzili.

– Brat Bartolomé będzie dalej wypełniał swoje powinności, to samo dotyczy dziekana Estébana, który uda się do *locutorium* i zajmie się organizacją pracy oblatów i poddanych w dniu dzisiejszym. Po tercji dokonamy podsumowania sytuacji całego kompleksu klasztornego. Teraz muszę się udać na rozmowę z opatem – ciągnął. – Mam nadzieję, że nie dojdzie do żadnego zamieszania i będziemy mogli wkrótce zamknąć kwestię śmierci naszego brata Octavia. Nie pozostało nic do dodania. Idźcie w pokoju.

Mnisi bez słowa, ze zwykłą godnością, zaczęli się rozchodzić. Zanim rozproszyli się po klauzurze, przeor podszedł do brata aptekarza.

– Bracie Ramiro, chcę rozmawiać z opatem, czy to możliwe?

– Stan opata Sancho jest stabilny na obecnym etapie choroby – rzekł brat aptekarz. – Nie śpi.

– Czy ma przytomność umysłu?

– Tak, przecież go znacie. Choć nie należy go denerwować.

– Rozumiem, muszę się z nim teraz rozmówić – wyjaśnił przeor.

– Dobrze, chodźmy zatem do jego komnaty.

– Bracie Adolfo, pójdźcie z nami – przywołał leciwego mnicha. – Chcę, żebyście mi towarzyszyli podczas rozmowy z opatem. Musi nam niejedno wyjaśnić i potrzebna mi wasza obecność.

– Jak sobie życzycie – odrzekł mnich.

– Nie powinniśmy go martwić. Jego stan zdrowia jest kruchy, trzeba go zatem uspokoić; przeżyliśmy już niejedną zawieruchę i zawsze udawało nam się wyjść obronną ręką. Musimy jednak z nim wyjaśnić sprawę Octavia, bo teraz cała kongregacja wie, co mu rozkazał.

– To prawda – przyświadczył brat Adolfo – Przekonamy się, co na to powie.

Przeor odwrócił się plecami do brata furtiana i wraz z dwoma towarzyszami udał się w kierunku komnaty opata. Dwukrotnie zapukali do drzwi.

Z wnętrza odpowiedział im bolesny jęk opata. Chory spojrzał na jedno

z malowideł, które zdobiły ściany jego komnaty. Obraz przedstawiał świętego Bartłomieja wojującego z szatanem, musiał tu wisieć już ze sto lat i z pewnością był świadkiem życia wielu opatów przed nim. Wyobraził sobie swoich poprzedników, klęczących przed tym malowidłem i błagających świętego, by ich wspomagał w tej straszliwej walce. Ilu z nich zechciał wysłuchać? Ile razy zstąpił na te ziemie, żeby zmierzyć się z nieprzyjaciółmi Boga?

Za czasów jego władzy opackiej – ani razu.

Otworzyły się drzwi i do komnaty wnikał snop światła. Opat pomyślał, że jego błagania zostały wysłuchane i święty przybywa na jego wezwanie.

Nie był to święty Bartłomiej, tylko trójka mnichów wkraczających do sali. Ku ich zaskoczeniu opat nie leżał jak zwykle w łóżu, tylko siedział przy jego wezglowiu. Na jego dłoni połyskiwał pierścień, symbol jego dostojnej godności.

– Zbliźcie się, bracia – polecił.

– Wróciły wam kolory, opacie.

– Tak was to dziwi, przeorze?

– Oczywiście, że nie, jestem rad, widząc was w tak dobrym stanie ducha i ciała – odpowiedział. – Modliłem się za was, wszyscy to czynimy. Zanosimy błagania do Najświętszej Panny.

– Duch we mnie silny, władze umysłowe zawsze dobrze mi służą, to jedynie moje ciało cierpi te słabości – odrzekł opat. – Jestem wam wdzięczny za modlitwy, niewątpliwie mi pomogły. Oby tylko, prócz kolorów na twarzy, odzyskały moc moje kiszki i apetyt.

– Wszystko po kolei, jesteście silni i Bóg czuwa nad wami z wysokości.

– Najwyższy ma pilniejsze troski niż taki starzec jak ja – odparł gorzko.

– Gdybym chciał, mógłbym wstać, ale wolę oszczędzać wątłych sił. Ostatni raz, gdy to uczyniłem, przyszło mi za to słono płacić.

– Winniście zachować ostrożność – doradził przeor.

– Nie dla opata ten przywilej – skrzywił się. – Jak stoimy

po nawałnicy? Spowodowała wiele strat?

– Burza już za nami, szacujemy szkody – wyjaśnił przeor Antón. – Nie ma powodów do niepokoju. Kościół i główne pomieszczenia są w dobrym stanie, brat furtian jest jak zawsze zaniepokojony o stan murów obronnych, ale te wkrótce zostaną doprowadzone do porządku.

– Miło mi to słyszeć.

– Opatcie, nie potrzebujecie się zamartwiać tymi sprawami – stwierdził przeor. – Jest inna troska, o której pragnę z wami rozmawiać. Bracie Ramiro, dziękuję wam za towarzysztwo, jesteście już wolni – mnich posłusznie opuścił komnatę i zamknął za sobą drzwi.

Obaj zakonnicy stanęli przed opatem, którego postać, na przekór pochlebnym uwagom przeora, zdradzała żalosne oznaki wycieńczenia chorobą.

– Co się stało? – oblicze przeora przybrało wyraz głębokiego niepokoju.

– Chodzi o śmierć Octavia – przeor przez chwilę szukał stosownych słów. – Brat Bartolomé wyznał, że... Opatcie, on zapewnia, że to wy rozkazaliście wyjąć z grobu królewskiego szczątki następcy tronu i umieścić tam ciało innego zmarłego.

– Brat Octavio powiedział to samo dziekanowi Estébanowi – dodał leciwy brat Adolfo. – Mamy dwa świadectwa.

– Rozumiem... – opat przyjął tę wiadomość z kamiennym obliczem.

– Jestem rozdarty, opacie. Jako przeor mam obowiązek zapytać was, czy to, co twierdzą, jest prawdą.

– Każdy człowiek zasługuje, by mu dano drugą szansę. Wielu z nas w tym klasztorze wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny – rozpoczął opat. – Pan oczekuje od nas, żebyśmy byli miłosierni w naszych uczynkach, łaskawi, żebyśmy miłowali bliźnich – stwierdził z nieobecny spojrzaniem. – Także tego, żebyśmy byli sprawiedliwi. Posłuszeństwo naszej regule jest zasadą, która musi być stosowana w sposób absolutny, całkowity. Ludzie mają tendencję do schodzenia z właściwej drogi, a reguła jest drogą, która nas prowadzi; ten, co z niej zboczy, musi zostać

napomniani.

Przeor i brat Adolfo przytakiwali słowom opata, aczkolwiek na ich twarzach malowało się lekkie zniecierpliwienie.

– Okres, w którym sprawowałem zwierzchność nad opactwem, był ciężki, dotknęła nas wojna między królestwami Kastylii i Aragonii, przyszło nam porzucić klasztor, a po powrocie zastaliśmy naszą siedzibę splądrowaną – potrząsnął głową. – Nigdy więcej się stąd nie ruszymy. Wolę zginąć wśród tych murów niż oglądać je zbezczeszczone. To wspomnienie klauzury przeobrażonej w stajnię, walające się wszędzie zwierzęce odchody i resztki paszy, którą karmili konie... Do tej pory trafiają się noce, kiedy ten straszny obraz nie daje mi zasnąć.

– Wszyscy przeszliśmy przez ów nieszczęsny epizod – odezwał się przeor, spuściwszy głowę.

– Zrobiłem, co trzeba, żeby znów ratować Veruelę i nie wyrzucam sobie tego.

– Ale śmierć oblata i profanacja grobu królewskiego... – przypomniał przeor. – Grób jest pusty!

– To niemożliwe, jest w nim ciało – opat odkaszlnął w znaczący sposób.

– Ja sam go widziałem – zapewnił przeor. – Płyta grobowa była splamiona krwią Octavia, to się wydawało podejrzanym i trzeba było rozważyć wszelkie możliwości. Notariusz królewski upierał się, żeby go otworzyć, prosiłem go, żeby to zachował w tajemnicy – wyjaśniał drobiazgowo przeor. – W grobowcu królewskim nie ma żadnego ciała.

– Matko przenajświętsza! – w tym momencie ciałem opata wstrząsnął przeraźliwy atak kaszlu. – To niemożliwe, gdzie jest?

– Z tym właśnie pytaniem przyszliśmy do was – powiedział przeor. – Wiemy, że kazaliście wykopać z cmentarza inne ciało.

– Dosyć tego! Ośmieliliście się otworzyć grobowiec królewski bez mojego pozwolenia.

– To było nieuniknione, opacie.

– To ja powinienem o tym decydować, jestem chory, ale jeszcze nie

umarłem – zachrypiał opat ze złością.

– Nie pojmuję, o co chodzi, wszak to to samo, co bracia Bartolomé i Octavio zrobili na wasze polecenie.

– Ja jestem opatem! Mam swoje powody.

– Jakież to powody? – odezwał się brat Adolfo.

– Szanuję wasz wiek, ale nie próbujcie ode mnie żądać wyjaśnień, bracie. Już wam powiedziałem, że zrobię wszystko, co konieczne, aby ratować Veruelę, a ten grobowiec jest jednym z naszych najcenniejszych skarbów – zachnął się opat. – Przeorze, jak mogliście otworzyć ten grób w obecności notariusza królewskiego?

– Wy sami upoważniliście tego człowieka do...

– Do tego, żeby rozmawiał z zakonnikami, a nie do tego, żeby nam tu otwierał groby! Czy zdajecie sobie sprawę z wagi swojego czynu? Wyobraźcie sobie tylko, co powiedzą ci, co go tu przysłali, kiedy się dowiedzą, że grób jest pusty. Są tu dwie bulle papieskie i edykt królewski, w którym domagają się tych szczątków, a nagle okazuje się, że my je zgubiliśmy – zgromił go opat podniesionym głosem.

– Z całym szacunkiem, wszystko to z waszej winy – przeor przeciwstawił się najwyższemu zwierzchnikowi opactwa. – Czy zdajecie sobie sprawę, w jakiej sytuacji stawia to nasz klasztor? Utraciliśmy szczątki infanta następcy tronu!

– Wyobrażacie sobie, że o tym nie wiem?

– Uspokójcie się obydwaj – próbował przerwać ten spór brat Adolfo. – Nikt przecież nie musi się o tym dowiedzieć, tylko ten notariusz wie o wszystkim. Pozwólcie mi z nim porozmawiać, mogę z nim dojść do porozumienia, przekonać go do milczenia.

– W jaki sposób zamierzacie to osiągnąć, Adolfo? – zapytał opat.

– Zaufajcie mi.

– Nie wiem – opat głośno wypuścił powietrze z płuc. – W porządku, spróbujcie z nim negocjować, zobaczymy, co wam się uda osiągnąć. Jeszcze jedno, jak kongregacja przyjęła wiadomość, że to ja poleciłem otworzyć grób królewski?

– Wiadomość nie została dobrze przyjęta – odrzekł przeor. – Poza tym brat Octavio został zamordowany! Są tacy, którzy gotowi myśleć, że wy za to odpowiadacie.

– Musimy ten problem rozwiązać, trzeba znaleźć mordercę i odszukać zaginione ciała.

– Brat Bartolomé zapewnił, że pozbył się szczątków wykopanych na cmentarzu – dodał przeor.

– Powtórzcie, coście powiedzieli.

– Powiedział, że znalazłszy zabitego oblata, tak bardzo się wystraszył, że wrzucił szczątki drugiego ciała do kanału wodnego w izbie zmarłych.

– To niemożliwe!

– Tamte szczątki nie są ważne.

– Co wy możecie o tym wiedzieć? – opat jeszcze bardziej się rozgniewał. – Jak śmiał! Chcę z nim rozmawiać, natychmiast!

– Naturalnie – zgodził się przeor, którego wzburzenie rosło. – Opatcie, sądzę, że w celu wyjaśnienia tego, co się wydarzyło, powinniśmy wziąć pod uwagę i inne opcje.

– Inne opcje? Co też macie na myśli?

– Myślę, że – przeor Antón popatrzył w oczy obu mnichom – jakiś zły duch wkradł się do naszego uświęconego klasztoru.

– Czy jesteście pewni tego, co macie zamiar powiedzieć? – opat poprawił się na łóżku.

– Tak, obawiam się, że tak.

– O czym wy mówicie? – leciwy brat Adolfo włączył się do rozmowy zaskoczony obrotem, jaki zaczynają przybierać sprawy.

Nie wyjaśnili mu, o co chodzi. W komnacie opata zapadło naraz milczenie tak gęste, że można by je kroić nożem.

– Przeorze Antón, czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? – odezwał się wreszcie opat. – Wstępując do tego klasztoru, przysięgaliście porzucić swoją przeszłość. To był warunek *sine qua non* – przypomniał mu surowym tonem. – Czy chcecie złamać tę przysięgę?

– Wiecie, opacie, że oddałbym życie za Veruelę, pragnę jedynie służyć

naszemu zakonowi najlepiej, jak potrafię.

– Kiedy przed laty zakazano wam tych praktyk, przyjęliście moją decyzję i przysięgliście się do niej stosować – ciągnął opat z determinacją. – Jak mi się zdaje, jesteście o krok od wyznania, że nie dotrzyмалиście słowa.

Stary brat Adolfo w skupieniu przysłuchiwał się tej intrygującej wymianie zdań.

– Nie miałem innego wyjścia.

– Zawsze istnieje inne wyjście. A zatem nie poprosiliście mnie o zgodę i w tym przypadku – opat przyjrzał mu się uważnie. – Ośmieliliście się przyjść tu mnie oskarżać po tym, co sami uczyniliście?

– Klasztor był zagrożony, zrobiłem to, co podyktowało mi sumienie i wiara – oświadczył przeor w nutą rozpacz w głosie.

– Skoro to prawda, dlaczego nie zwróciliście się do mnie? Jestem waszym opatem, każda sprawa, która dotyczy naszej kongregacji, musi być najpierw konsultowana ze mną.

– Jestem pewien, że jakaś złośliwa istota zagnieżdżyła się wśród tych murów i że to ona jest odpowiedzialna za wszystko: za śmierć naszego brata i za zniknięcie szczątków infanta. A któż wie – może za coś więcej, czego jeszcze nie jesteśmy świadomi. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać, kiedy wszyscy bracia spali, położyłem na każdym z nich krzyż i zmówiłem modlitwę Pańską.

– To także mnie dotyczy? – upewnił się niechętnie brat Adolfo.

– Tak, musiałem to zastosować do wszystkich bez wyjątku.

– I co wykazało wasze badanie, jeśli można wiedzieć?

– Nic, opacie, mnisi byli spokojni, ale...

– Co takiego? – zapytał zwierzchnik opactwa w Verueli. – Nie udało wam się znaleźć śladów złego w klasztorze...

– Owszem, znalazłem je.

– Więc mówcie! – ponaglił go opat.

– Wolałbym tego nie czynić, jeśli zechcecie mi tego oszczędzić.

– Nie rozumiem, dlaczego. Jeśli jest coś, czym powinniście się z nami



podzielić, uczynicie to. Po to się tu zebraliśmy. Kiedy opatem Verueli był mój poprzednik, posłał was do Francji, abyście się kształcili w tych sztukach, bo w tamtych czasach w Moncayo występowały problemy z siłami nieczystymi.

– Mam to w pamięci, ów epizod z niewyjaśnionymi zgonami – wtrącił się brat Adolfo – zbrodnie na cmentarzach kościelnych w paru wioskach.

– Pięć, było pięć wypadków śmierci – sprecyzował przeor – trzy w Trasmoz, jeden tutaj, w klasztorze, i jeszcze jeden w naszych włościach w Balbuente. Wszystkie ofiary z podezrzanymi gardłami!

– Tak jak nasz brat świecki – rzekł brat Adolfo. – Pięciu zmarłych znaleziono na grobach. Żadna z tych zbrodni nie była świeża. Z początku nie przywiązywaliśmy do nich znaczenia, aż do chwili, kiedy doniesiono, że widziano człowieka, który sprofanował jeden z grobów.

– W tamtym czasie i po rozpoznaniu sytuacji nie mieliśmy innego wyjścia, jak otworzyć ten grób – stwierdził opat, którego twarz i głos zaczęły zdradzać oznaki wielkiego wyczerpania.

– Grób był pusty, mogiła, na której zmarł jeden z tych ludzi, była czysta, jakby nigdy nikogo w niej nie pogrzebano. Stwierdzono zatem, że było to dzieło złego ducha – wyjaśnił spokojnie przeor. – Wszystkie pięć grobów otwarto i wszystkie były puste. Z tej przyczyny udałem się do Francji, do Cluny. W tamtejszym opactwie pobierałem nauki, w jaki sposób walczyć z duchami nieczystymi, wróciłem do Verueli i dokonałem egzorcyzmów na wszystkich cmentarzach Moncayo, ale sądzę, że popełniliśmy błąd – przeor westchnął – nie braliśmy pod uwagę grobów, które znajdują się w obrębie naszego własnego opactwa. Duch nieczysty jest przebiegły – mówił dalej przeor. – W jednej z ksiąg w naszej bibliotece napisano, że w pierwszych latach po osiedleniu się w Verueli nasi bracia musieli zabronić potwornego obrzędu, praktykowanego przez mieszkańców tych ziem. Lękali się oni, że ich umarli wyjdą ze swoich grobów i napadną na nich, dlatego ćwiartowali i palili ich zwłoki przed złożeniem do ziemi. Przeczytajcie rejestry, pierwsi mnisi z Verueli pozostawili opis owych praktyk na piśmie.

– Nie możemy brać pod uwagę tych pogańskich wierzeń – pobladła twarz opata była mokra od potu. – My jesteśmy ludźmi wiary, nie popadajmy w bluźnierstwo.

– Przypuszczaliście, że to znowu się tak dzieje? Z powodu śmierci oblata... – zachrypiał leciwy cysters. – Wiemy przecież, że to oblat z pomocą brata Bartolomé otworzył grobowiec królewski, a poza tym ciało infanta spoczywało tam pogrzebane ponad sto lat. Nie powiecie chyba, że... Na wszystkich świętych Pańskich!

– Przeor tego nie wiedział, dlatego postanowił wrócić do egzorcyzmów.

– Musiałem to uczynić – usprawiedliwiał się przeor Antón. – Na parę dni przed Nocą Dusz Pokutujących nie mogłem dopuścić do tego, żeby zmarli opuszczali swoje mogiły.

– Wy naprawdę sądzicie, że to możliwe? – nalegał opat.

– O tak, wierzę. Poza tym coś podejzwanego działo się z mnichami, kiedy stojąc przy każdym z nich, sprawdzałem, czy ich dusza jest wolna od zła – wyraz twarzy przeora nagle się zmienił, po raz pierwszy okazywał niesmak. – Żaden z nich się nie poruszył.

– To normalne, przecież spali – mruknął stary brat Adolfo.

– Spali nazbyt głęboko. Ani jeden z nich nawet nie drgnął w mojej obecności, nie wykonał najmniejszego ruchu.

– To co mówicie... Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie – Adolfo wzruszył ramionami.

– Owszem, ma, ponieważ, uwierzcie mi: ten bezruch był nienaturalny. To, że żaden z was dziewięciu nie zareagował na moją obecność i słowa choćby najdrobniejszym gestem, zmarszczeniem twarzy – przeor pokręcił głową. – Zapewniam was, że to nie jest normalne. W dodatku i ja sam z największym trudem walczyłem z sennością.

– Ja od paru dni sypiam znakomicie, nawet nie muszę wstawać, żeby się wysikać, co za szczęście! Oby zawsze tak mi się spało – rzekł radośnie starzec. – Tej nocy, kiedy wszystko się wydarzyło, mało się nie zesrałem do łóżka, jak się zbudziłem – zaśmiał się Adolfo.

– Dosyć tego – opat znów podniósł głos. – Przeorze, te lata, kiedy tropiliście ducha nieczystego, minęły, przypominam wam, że przysięgliście zaprzestać wszelkiego rodzaju egzorcyzmów. Zgodnie z umową utrzymywaliśmy w tajemnicy wasze praktyki, od tamtej pory upłynęło już ponad piętnaście lat – opat wpatrywał się w niego w skupieniu. – Nikt w tym czasie nie miał żadnych zarzutów wobec waszego postępowania. Temu zawdzięczacie tak wysoką pozycję w naszej kongregacji.

– Tak, opacie.

– Teraz wyznaliście swoją przewinę, powróciliście do tych niebezpiecznych praktyk. Czuję się zmuszony zwolnić was z dotychczasowej odpowiedzialności – oznajmił opat.

Zaniósł się głośnym kaszlem, odpluwając krwią.

– Wezwę aptekarza – brat Adolfo ruszył ku drzwiom.

– Nie! – opat uniósł rękę. – Nic mi nie jest.

– Opacie, powinien was zbadać...

– Powiedziałem, że nic mi nie jest – powtórzył, oddychając ciężko. – Przeorze, nie wątpię, że działaliście w przekonaniu, że czynicie, co najlepsze dla klasztoru i że daliście się zwieść wypadkom. Jednak okazaliście nieposłuszeństwo moim nakazom i ukrywaliście przede mną swoją wiedzę. Z tych wszystkich powodów wasza władza nad kongregacją zostaje wam cofnięta.

– Zrobiłem tylko tyle, ile było konieczne.

– Dziekan Estéban przejmie tymczasowo zadania przeora – oznajmił – będzie zobowiązany do konsultowania ze mną wszystkich decyzji, nie życzę sobie więcej niespodzianek. Mnisi zostaną powiadomieni, z jakiego powodu nakazałem wyjęcie z grobu szczątków następcy tronu.

– Zrobiłem błąd, pokładając w nim zaufanie; dziekan Estéban ukrył przed nami fakt, że rozmawiał z Octaviem.

– Czy znane mu były zamiary oblata?

– Nie był o nich dokładnie poinformowany, wiedział jednak, że zamierza zrobić coś, czego czynić nie powinien.

– Skoro tak, to nie możecie go o nic oskarżać, bracie Antón – zawyrokował opat. – Odwołuję was z funkcji przeora. Wasze miejsce zajmie tymczasowo dziekan Estéban.

– Stanie się zgodnie z waszym rozkazem, opacie.

– W dalszym ciągu nie wiemy, kto jest mordercą oblata i gdzie ukryto zwłoki – zwrócił uwagę brat Adolfo.

– To prawda. Wiadomo wam, czy notariusz królewski zrobił postępy w śledztwie? – zapytał opat.

– Byliśmy zdania, że tak, jednak po rozmowie z wami żywię obawy, że śledztwo się nie posunęło.

– Opacie – przeor ponownie zabrał głos – wątpię, żeby ów człowiek był zdolny do odkrycia czegoś istotnego. To człowiek świecki, nie należało mu zezwalać na wejście do naszej kongregacji. Nie robi nic z wyjątkiem wypytywania zakonników, co stanowi zagrożenie dla ich ślubu milczenia.

– Ależ to konieczne, skoro jego zadaniem jest wykrycie, który z nich, który z was, zamordował konwersa.

– Nie każdą metodę można zaakceptować – zaprotestował przeor – milczenie jest istotą modlitwy i, jak wiecie aż nadto dobrze, pomaga przewyciężyć lenistwo.

– Spędzam tu w samotności długie godziny, kto może lepiej ode mnie wiedzieć, co oznacza brak mowy? – zwrócił im uwagę. – Bracie Adolfo, jaka jest wasza opinia?

– Ja jestem odmiennego zdania – powiedział stanowczo leciwy mnich.

– Uważam, że notariusz królewski usilnie pracuje nad rozwiązaniem tajemnicy, trzeba dać mu więcej czasu.

– Ale on nie jest cystersem! – zaperzył się Antón. – Nie jest nawet duchownym!

– Jest chrześcijaninem, zna się na prawie i jest nawykły do walki z oszustwem i fałszem. Uważam, że powinniśmy uznać jego obecność wśród nas w tych fatalnych dniach, które przeżywamy, za błogosławieństwo – te słowa sprawiły, że obydwaj mnisi oniemieli.

– Zaufałem mu i dalej mu ufam – oświadczył opat. – Rozumiem, jak krępująca jest jego obecność w klasztorze, dlatego pozostawiam mu dwa dni, dzisiejszy i jutrzejszy do pory tercji. Jeśli nie otrzymam od niego odpowiedzi na pytania, cofnę mu przywileje, z jakich korzysta.

– Ależ opacie... – przerwał mu przeor Antón.

– Zamilczcie! – uniósł dłoń. – Z nadejściem jutrzejszego poranka nie będziecie zobowiązani do odpowiadania na jego pytania. Jego mieszanie się w nasze sprawy może być szkodliwe, jeśli zatem do wyznaczonej pory nie zdoła doprowadzić śledztwa do końca, nie przyda nam się na nic. Ma jeszcze dwa dni, do Wszystkich Świętych, to ostateczny termin. Wyraziłem się jasno.

– To niewiele czasu – mruknął Adolfo.

– To całe dwie noce, a pomyślcie, jak wiele się wydarzyło w jedną noc – odrzekł opat. – I sprowadźcie tu brata Bartolomé.

## Wątpliwości

**B**izén obserwował lot szpaków. Ptaki zawsze go zachwycały, zazdrościł im, że są tak swobodne, że unoszą się pod niebo. Jak to możliwe, że Bóg wyposażył je w tak cudowne umiejętności, a człowieka przykuł do ziemi? A wśród wszystkich ptaków nie było dla niego drugiego tak fascynującego, jak sowy; uwielbiał przypatrywać się temu białemu ptaszysku, które nocami krążyło nad Veruelą.

Był cały obolały, minionej nocy ledwie zdołał się dowlec do swojej kwatery. Kiedy się zbudził, przemył rany i przekonał się, że przynajmniej żadna z kości nie jest złamana. Jeszcze nigdy nie dostał takiego lania. Musiał wrócić do łóżka i odpoczywać prawie przez cały ranek, wreszcie zebrał wszystkie siły, wstał i poczłapał do infirmerii. Mnich aptekarz nie okazał zaskoczenia na widok jego ran i sińców, był równie milczący i nieufny jak zwykle. Zachowywał się, jakby miał do czynienia ze zwyczajnym katarem, ani razu nie zapytał, jak i gdzie, a tym bardziej kto zostawił takie ślady na jego ciele.

Brat Ramiro zaaplikował mu liczne maści i dał mu jakieś zioła uśmierzające ból, które należało pić zalane wrzątkiem. Ten lek przyniósł mu wyraźną ulgę.

Ale najbardziej doskwierała Bizénowi utrata krzyża, który nosił na piersi. Bez niego czuł się bezbronny.

Bizén nie chciał dalej siedzieć w swojej celi, ale też nie pragnął, żeby mnisi zobaczyli, jak został poturbowany. Zdobył się więc na odwagę, by dojść do bramy klasztornej i wyjść poza mury obronne. Ostatnio coraz częściej odczuwał potrzebę spędzania czasu poza klasztorem, bo w Verueli zaczynał się czuć jak więzień.

Przypomniały mu się słowa człowieka, który go zaatakował, i rozważał, czy warto dalej prowadzić śledztwo. Czy nie lepiej odejść, póki to jeszcze możliwe. Kto go tak urządził – nie ulegało wątpliwości. To było jedynie ostrzeżenie, kolejne spotkanie mogło się zakończyć gorzej.

Szedł dobrą chwilę wzdłuż kanału, który okręzał mury klasztoru, przypatrując się mieszkańcom tego miejsca, ludziom pracowitym i pilnym. Dostrzegł grupę kobiet idących z dzbanami i koszami bielizny. W tej grupie wypatrzył ciemne, długie włosy dziewczyny, którą spotkał ubiegłej nocy.

Starając się zachować ostrożność, pomimo bólu, jaki odczuwał podczas chodzenia, podążył za nimi w kierunku rzeki. Kiedy doszedł do brzegu, schował się za drzewami i stamtąd się jej przyglądał. Dziewczyna miała lekko skośne, błyszczące oczy i długą szyję, którą raz po raz gładziła palcami.

Przyglądał się jej długo, wreszcie kobiety zaczęły się rozchodzić, a ona została jako ostatnia. Kiedy się upewnił, że nikt go nie zobaczy, podszedł do miejsca, gdzie stała. Dziewczyna go nie zauważyła aż do chwili, gdy było za późno na ucieczkę. Ale i tak na jego widok szybko się cofnęła i lekko się potknąwszy, zaczęła umykać.

– Czemu uciekacie? – pobiegł za nią.

Miała bardzo długie nogi, była szybka, ale Bizén się nie poddawał. Mimo że bolało go całe ciało, nie dał się zwieść zwinnym unikom dziewczyny, przeskoczył przez pień drzewa, żeby mieć nad nią fory, i wreszcie zdołał ją pochwycić za ramię.

– Spokojnie! – chwycił ją w talii.

– Puśćcie mnie! – i wymierzyła mu policzek, który trzasnął gromko jak huk pioruna.

Bizén jęknął z bólu, częściowo z powodu siły uderzenia, a częściowo dlatego, że twarz miał obolałą po nocnej przeprawie.

Dziewczyna oniemiała, podniosła ręce do ust, przerażona tym, co zrobiła. Bizén spojrzał na nią osłupiały, z płonąącym policzkiem

i wytrzeszczonymi oczyma. Widząc jego reakcję, Marta zrobiła taką minę, jakby natychmiast zamierzała się rozpłakać, a wtedy on się roześmiał.

– A cóż wam strzeliło do głowy, żeby mnie tak uderzyć? Ostatnio wszyscy się uparli, żeby mnie bić, a wy mnie zdzieliliście tak mocno, że...

– To po co mnie goniliście?

Bizén, wyczerpany do cna, obolały, przysiadł na trawie. Wtedy dostrzegła siniaki na jego ramieniu.

– Co wam się stało? – przyjrzawszy się dokładniej, zobaczyła, że i na twarzy ma ślady uderzeń.

– Powiedzmy, że ostatnia noc nie była dla mnie zbyt przyjemna – Bizén poczuł silne ukłucie w kolanie – zdaje mi się, że nie zdołam się stąd ruszyć.

– To co mogę zrobić?

– Nic, wy już zrobiliście swoje – pomacał się po twarzy.

– Nie chciałam was uderzyć, ale dlaczego biegliście za mną?

– Też pytanie. A jak myślicie? – Bizén rozcierał kolano, próbując uśmierzyć nieznośny ból – Chciałem się dowiedzieć, co robiliście zeszłej nocy w klasztorze.

– Sza, nie mówcie tak głośno.

– Trzeba było się nad tym zastanowić przed wejściem do Verueli.

– Proszę, nie mówcie o tym mnichom – ulękła przy nim.

– A czemu nie miałbym im o tym powiedzieć?

– Ukarzą nas, błagam was.

– Nazywacie się Marta, ile macie lat? – nie odpowiedziała. – Jesteście taką wysoką dziewczyną, nigdy nie widziałem dziewczyny z takimi długimi włosami. Nie wydam was, jeśli mi obiecacie, że nie uciekniecie i pogadacie ze mną.

– O czym mam gadać?

– Obiecacie i zastanowimy się nad tym.

Marta oceniła sytuację. Obawiała się, że ten mężczyzna może być ciągle rozgniewany za policzek, jaki mu wymierzyła, i żeby się na niej



zemścić, opowie mnichom o ich wtargnięciu na teren klasztoru. Przytaknęła zatem skinieniem głowy.

– Dobrze. Co robicie na tych ziemiach?

– Pracuję dla mnichów, mieszkam z ciotką i moją starszą siostrą.

– Mieszkacie w trójkę... Jesteście już w takim wieku, że pora wam iść za mąż. Nie jesteście czasem zaręczona?

– Nie, nasza ciotka – Marta po raz pierwszy dała po sobie poznać, że jest zdenerwowana – nie wyraziła jeszcze zgody, żeby któraś z nas wyszła za mąż.

– Musi mieć ku temu ważne powody.

– Czeka, żeby się trafił taki, co dużo zaoferuje, nie odda nas za darmo, ani mojej siostry, ani mnie – powiedziała ze smutną miną.

– Na pewno was pilnuje i szuka dla was dobrych mężów. No ale powiedzcie mi, co robiłyście minionej nocy? Nie bójcie się, nie jestem mnichem.

– My tylko... zobaczyłyśmy, że brama jest otwarta i weszłyśmy do środka.

– Powiadacie, że brat furtian zaniedbał swoje obowiązki? Ja go znam i nie uwierzę w to. Wytłumaczcie mi, w jaki sposób dwie młode dziewczyny zdołały się dostać za mury klasztoru i w jakim celu. Nikomu o tym nie powiedziałem, ale zrobię to, jeśli nie dostanę jakiegoś przekonującego wyjaśnienia.

– Weszłyśmy przez kanał – wyznała Marta.

– Przez kanał? – Bizén spojrzał na nią zaskoczony.

– Tak, przechodzi pod murem. Przysięgam.

– W porządku, w to wierzę – oświadczył Bizén z leciutkim uśmiechem.

– Nie lękajcie się mnie, zgoda?

– A kto was tak urządził? Mnisi? – nalegała Marta.

– Ja tu jestem od zadawania pytań – Bizén zwrócił ku sobie palec wskazujący.

– Nie znam was, dlaczego miałabym wam ufać?

– No, no... Takie rzeczy mi mówicie po tym, jak od was oberwałem.

- A wy mnie goniliście – odcięła się dziewczyna.
- Nie, Marto. Co mam zrobić, żeby zdobyć wasze zaufanie?
- Powierzcie mi jakąś tajemnicę, coś ważnego, wtedy będę mogła na was polegać – oświadczyła dziewczyna z wyniosłym spojrzeniem.
- Tajemnicę?
- Tak, ja wam moją powierzyłam.
- Ależ ja mam pecha! Odkąd tu przybyłem, nie spotkałem nikogo, z kim dałoby się rozmawiać otwarcie. Nawet taka młoda dziewczyna stawia mi warunki – westchnął. – Co za miejsce... – Bizén rozejrzał się wokół siebie, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. – Powierzę wam pewien sekret, ale nie wolno go powtarzać nikomu. Dajcie mi słowo, że tego nie zrobicie – nalegał, wyciągając do niej rękę.
- Macie moje słowo – podała mu dłoń.
- Już wam mówiłem, że chociaż przebywam w klasztorze, nie jestem duchownym. Przyjechałem tutaj po pewną rzecz, którą mają mnisi.
- Jaką rzecz?
- Mniejsza o to.
- O nie, musicie mi wyjawić prawdziwy sekret, jeszcze tego nie zrobiliście.
- No dobrze – Bizén znów westchnął i z jakiegoś niezrozumiałego powodu poczuł, że nie potrafiłby tej dziewczyny okłamać. – Poszukuję człowieka, który zabił jednego z oblatów.
- Zabił?!
- Tak, pięć dni temu. Poza klasztorem nikt o tym nie wie.
- Jak go zabił?
- Któryś z mnichów poderżnął mu gardło za pomocą... Nie jestem jeszcze pewien, jak to zrobił – wyznał – ale go zamordował. Pamiętajcie, że nie wolno nikomu o tym mówić.
- Będę milczała – zapewniła Marta, nie mogąc ochłonać z wrażenia, jakie zrobiły na niej te słowa.
- No to teraz wy mi powiecie, co robiłyście tamtej nocy w klasztorze.
- Ja – zająknęła się dziewczyna, rozglądając się wokół, jakby

wypatrywała czyjejs pomocy – szukałyśmy pewnego człowieka. Zakonnicy trzymają go w więzieniu, on się posługuje obcą mową.

– To cudzoziemiec?

– Tak, chyba Anglik. Jedna stara kazała nam go odnaleźć i powiedziała nam, jak się dostać do klasztoru.

– Wielki Boże! A dlaczego wam kazała go znaleźć?

– Nie wiem.

– Oszukujecie mnie. Jakim sposobem angielski rycerz miałby być więźniem Verueli? Mnisi nie mogą tak postępować. To nie ma żadnego sensu – pochwycił ją za rękę – nie lubię, jak ktoś sobie ze mnie kpi.

– Powiedziałam prawdę – próbowała się uwolnić.

– Nie wierzę.

– Puście mnie – powiedziała, pokazując zęby, jak dzikie zwierzę – to wam udowodnię.

Wypuścił jej rękę, a ona włożyła dłoń pod suknię. Bizén poczuł się tak speszony tym gestem, że się zarumienił i musiał odwrócić oczy.

– Co robicie?

– Dał mi to – i wyciągnęła dłoń, na której spoczywała metalowa zapinka w kształcie dzika.

– Ależ – Bizén sięgnął po broszę i przyjrzał się jej uważnie – to srebro. To zapinka rycerza, kogoś z wysokiego rodu.

Rozległy się jakieś pokrzykiwania.

– To moja ciotka Francisca. Muszę iść, bo mi się dostanie.

– Czekajcie – Bizén znów chwycił ją za rękę, ale posłała mu spojrzenie, jakby go chciała zabić.

Natychmiast oswobodził jej rękę i zaszepotał tuż przy jej uchu.

– Teraz łączy nas tajemnica.

Dziewczyna się zerwała i podbiegła w kierunku, skąd dochodziły krzyki.

Bizén poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, położył dłoń na piersi, miał wrażenie, jakby ktoś tam, od środka, zadawał mu silne uderzenia. Spojrzał za biegnącą dziewczyną, odprowadził ją wzrokiem do miejsca,

w którym jakaś starsza kobieta obrzuciła ją na powitanie wiązanką wyzwisk i pogrózek.

Miał ochotę pójść za nią, ale się powstrzymał. Zanim zniknęły mu z oczu, rzuciła mu ostatnie spojrzenie, inne niż wcześniej, była w nim nutka słodyczy, czułości. Bizén uświadomił sobie, że nigdy dotąd żadna kobieta tak na niego nie patrzyła.

Zadumał się. Powrócił ból poturbowanego ciała, a wraz z nim wątpliwości, czy powinien co prędzej opuścić klasztor, czy nie. Wtedy pomyślał o Marcie i wszystkie wątpliwości się rozwiały.

Bizén ruszył do bramy. Powitał pełniącego wartę brata furtiana, skręcił ku małej bramie w wieży, przeszedł pod sklepieniem i dotarł do wybrukowanego terenu, mając grangię po prawej, a po obu stronach szpaler drzew.

Nie był zdolny oderwać myśli od tej dziewczyny. Pozdrowili go dwaj oblaci, z którymi się minął, dalej spostrzegł paru nowicjuszy.

– Bizén de Ayerbe – zatrzymał go brat Rogelio – od dawna was nie widziałem, gdzie byliście?

– Przebywałem poza murami klasztoru.

– My, mnisi, rzadko bywamy po tamtej stronie – stwierdził. – Ale co wam się stało?

– To – odpowiedział, wskazując na twarz – wygląda na coś gorszego, niż jest w rzeczywistości. Przewróciłem się nad rzeką i trochę się potłukłem – wskazał ręką w stronę brzegu.

– Tak się poturbowaliście podczas upadku?

– Tak, poobijałem się o jakieś gałęzie i... To długa i nieciekawa historia, bracie Rogelio. Wolałbym tego nie przeżywać po raz drugi, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Musicie bardziej uważać na siebie – stwierdził mnich, kiedy minęli ich wieśniacy z wózkiem naładowanym oliwkami. – Ci ludzie są trochę dzicy, nie sądzicie?

– To chrześcijanie.

– Tak, tak – przyświadczył – wierzcie mi, że czas i wysiłek, jaki im

poświęciliśmy, to sprawił.

– Co przez to rozumiecie?

– Nic, takie gadanie starych ludzi – wykręcił się brat Rogelio. – Jedyne, co wam chcę powiedzieć, to to, że nasze miejsce jest tu w środku, podobnie jak ich miejsce to pola i lasy.

– I zbocza Moncayo.

– O nie, do góry zbliżać się nie powinni.

– Dlaczego?

– Wysokość ma zły wpływ na słabe umysły. Ludzie z gór są odmienni od mieszkańców dolin, równin czy wybrzeży – wyjaśnił mu mnich – są inni. W każdym razie nie należy spędzać dużo czasu poza murami, pokusa często ukazuje nam się w postaci słodkiej i łagodnej. Musicie być bardzo ostrożni, obcując z tymi ludźmi, jestem pewien, że mnie rozumiecie.

– Zachowam czujność.

– Mówię tylko, żebyście uważali, wszyscy jesteście ludźmi, tyle tylko, że jedni z nas noszą habity, a inni nie – ton, jakim to powiedział, sprawił, że jego słowa zabrzmiały raczej jak poważne ostrzeżenie czy nawet pogrożka niż rada.

– Nadto się o mnie troszczycie.

– Każdy potrzebuje anioła stróża, wierzcie mi – odrzekł, wygładzając swój ciemny szkaplerz na białym, cysterskim habicie.

– A wy jesteście moim?

– W tym klasztorze – tak – zakonnik przybrał inny wyraz twarzy. – Musicie pojąć, że Veruela to nie tylko kościół i przylegające do niego pomieszczenia dla mnichów, to nie jest miejski konwent. Bernard de Clairvaux wyraził to bardzo jasno: „Uchodźcie z Babilonu, uchodźcie i ratujcie swe dusze. Pofruńcie wszyscy razem ku miastom schronienia, gdzie będzie wam dane nawrócić się z błędów przeszłości, przeżywać teraźniejszość w łasce i z ufnością oczekiwać przyszłości. Znajdziecie znacznie więcej w lesie niżli w księgach. Las i kamienie nauczą was więcej, niż jakikolwiek inny nauczyciel”.

- Miasta schronienia to klasztory monastyczne.
- Istotnie, u swego początku ruch cysterski należał do tych, które przeciwstawiały się miastom.
- Ale dlaczego? Miasta ciągle się rozrastają, są coraz bogatsze i potężniejsze.
- I bardziej niebezpieczne – dodał brat Rogelio. – Ich wielkość i liczba mieszkańców sprawiają, że w ich łonie lęgną się wszelkiego rodzaju poglądy, z których wiele to poglądy szkodliwe, obraźliwe, bluźniercze.
- Całkiem możliwe, że można tam trafić na zatruty owoc, ale co proponujecie? Porzucić miasta? Ludzie tego nie zrobią, miasta to nasza przyszłość.
- Niech nas Bóg ma w swojej opiece, jeśli taka ma być przyszłość ludzi. Wiem, że to realne zagrożenie, czasy się zmieniły – stwierdził mnich. – Teraz Kościół potrzebuje pasterskiej troski i kaznodziejów do walki przeciwko bluźnierczym ideom. Są tacy, którzy w łonie Kościoła zwrócili spojrzenie ku roztrząsaniu zła szerzącego się w naszych czasach. Ale nie cystersi. W oczach pozostałych zakonów, w tej liczbie dominikanów, uchodzimy za prostych mnichów.
- Wybaczcie moją niewiedzę, ale nie pojmuję, do czego zmierzacie.
- Wielu jest takich, którzy pragną nas zniszczyć, ale nie zdołają. Tutaj żyjemy z daleka od poglądów niosących zepsucie.
- Ucieczka przed nieprzyjacielem nie jest najlepszym sposobem obrony.
- Mylicie się, my nie uciekamy, tylko się bronimy, wzmacniając te mury. Pierwsza linia frontu znajduje się tutaj. Niektórzy zbyt szybko zapomnieli o przeszłości, na tym polega problem – mruknął. – Poza tym nie dajcie się zwieść temu ustronnemu miejscu, nie wszystkie opactwa cysterskie odwróciły się od studiów. Są takie, które oddają się studiom teologicznym, cystersi posiadają cenne biblioteki.
- Nie zapominajcie, że odwiedziłem wasze *scriptorium*.
- Jedną z podstawowych dziedzin działalności we wszystkich opactwach jest kopiowanie manuskryptów. Istnieje prawdziwa sieć

wymiany pism, co pozwala opactwom wypożyczać teksty, które są im potrzebne w celu zrobienia kopii – wyjaśnił powolnym, dobitnym głosem brat Rogelio. – W wielkich bibliotekach cysterskich w Cîteaux, Clairvaux czy Pontigny znajdują się egzemplarze Biblii z pierwszych wieków, teksty Ojców Kościoła, pisma autorów klasycznych.

– I wszystkie te księgi są kopiowane za odpłatnością.

– Ależ oczywiście, my, cystersi, wprowadziliśmy kaligrafię zaokrągloną, regularną i bardzo czytelną; jest ona dla innych przedmiotem zazdrości i pożądania.

– Znam ją, niejedną raz przyszło mi ją naśladować.

– Inne zakony upiększają swoje kodeksy barwnymi iluminacjami zdobnymi w motywy kwiatowe, sceny z życia codziennego, alegoryczne przedstawienia walki o wiarę albo odnoszące się do tajemnicy Boga – powiedział pogardliwym tonem. – Nasz styl jest czysty, stosujemy duże inicjały, w których jedyną ozdobą jest monochromatyczny światłocień, bez żadnych wyobrażeń istot ludzkich czy zwierzęcych; nie stosujemy też złocień.

– Nie będę dłużej dyskutował z wami na ten temat, bo co w tej chwili jest dla mnie najważniejsze, to dowiedzieć się, kiedy będę miał okazję do rozmowy z przeorem, a szczególnie z opatem. Nie mogę wprost uwierzyć, że można było tak po prostu uciąć rozmowę w chwili, kiedy wyszły na jaw kłamstwa wielu mnichów, w tym i samego opata.

– Posłuchajcie, Bizén, sprawy nie przedstawiają się tak prosto, jak wam się zdaje.

– Bracie Rogelio, co przez to rozumiecie? Przecież byliście obecni, słyszeliście wszystko, co tam powiedziano.

– Oczywiście, oczywiście, jednak powtarzam, że powinniście zachować więcej ostrożności – rzekł mnich. – Poza tym opat odsunął brata Antóna od funkcji przeora Verueli.

– Ale dlaczego? – Bizén gwałtownie zwrócił twarz ku rozmówcy. – Czym to uzasadnił?

– Są takie drogi, które ludziom wydają się proste, a tymczasem kończą

się w czeluściach piekła. Są tacy, którzy z pozoru prowadzą pobożny żywot, jednak kiedy nadejdzie dzień sądu, szale wagi nie przemówią na ich korzyść. Bizén, musicie czym prędzej odkryć, kto ponosi winę za śmierć Octavia.

– Staram się – odparł Bizén – ale wszędzie spotykam kłamstwa, hipokryzję, przeszkody, a teraz jeszcze to.

– Nie rozumiecie mnie: musicie go zdemaskować natychmiast!

– Gdybym tak mógł...

– Nie, Bizén, nie macie czasu – przestrzegł go mnich. – Po upływie dwóch nocy opat cofnie wam wszelkie dyspensy.

– Skąd wiecie?

– Nieważne skąd, spieszcie się!

– Ależ w tym klasztorze kryje się zbyt wiele oszustw. Co wiecie o więźniu?

– O czym wy mówicie? Jaki więzień?

– Człowiek uwięziony w Verueli.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie. Nie ma więzienia w naszym klasztorze. Jesteśmy mnichami. Skupcie się i pospieszcie, a nie zapomnijcie, że złożonych obietnic się dotrzymuje.

– Jestem człowiekiem honoru.

– O tak, jak bohaterowie tych opowieści rycerskich, które tak wam się podobają – zakpił brat Rogelio. – Honor to dla nich skarb najcenniejszy, nieprawdaż?

– Otóż to: honor i sprawiedliwość.

– I Bóg. Nie zapomnieliście o Bogu?

– Nie wierzę, aby On mógł negocjować honor bądź sprawiedliwość – odciął się Bizén.

– Bóg jest ponad nimi – mnich podniósł brwi. – Cieszcie się swoimi rycerskimi opowieściami, pamiętajcie tylko o jednym: radość pozostaje, ale ból również – położył mu prawą rękę na ramieniu. – Idźcie z Bogiem, Bizén.

Brat Rogelio odwrócił się i odszedł.





## Kościół

**P**rzed przybyciem do Verueli Bizén słyszał nieraz, że rozluźnienie obyczajów kluniackich, podporządkowanych regule benedyktyńskiej, stało się przed dwustu laty powodem, który skłonił świętego Bernarda z Clairvaux do zaostrenia reguły cysterskiej w odpowiedzi na owo odejście od surowych zasad.

Po pięciu dniach pobytu w Verueli miał wątpliwości, czy reguła jest tu stosowana zgodnie z zasadami świętego. Znał już dobrze to wnętrze; kościół klasztorny został skonstruowany na planie bazyliki trzynawowej. Wzniesienie tej budowli musiało być niezwykle kosztowne: zaplanowane z rozmachem prezbiterium z obejściem w apsydzie, podzielonej na pięć apsydioli. Do tego dwie kaplice boczne, usytuowane w transepcie u wejścia do prezbiterium, razem siedem. Cała ta świątynia wymagała silnego zaplecza, środków i solidnego wsparcia tych, którzy zarządzili w owym czasie.

Sto trzysta kroków długości od ołtarza do portalu w fasadzie i czterdzieści sześć kroków szerokości na skrzyżowaniu korpusu nawy głównej z transeptem. Bizén wciąż przeliczał odległości, to mu pomagało w myśleniu i oswojaniu się z opactwem.

Stojąc w jednej z naw bocznych, zobaczył zakonników przybywających na sekstę. Z wielką uwagą przyglądał się, jak zasiadają na swoich miejscach; jeden z tych mnichów był zabójcą oblata, a on nie czuł się na siłach, żeby rozstrzygnąć, który z dziesięciu dopuścił się zbrodni.

Miejsce opata w stallach znajdowało się po prawej stronie, naprzeciw prezbiterium; pierwsze na lewo od niego było zarezerwowane dla

przeora. Ku zdziwieniu Bizéna i to zostało puste, nie zasiadł na nim brat Antón, zajmując inne miejsce, odległe od tego, które mu przysługiwało.

Mnisi rozpoczęli modły od trzykrotnego powtórzenia jednego z wersetów i kontynuowali, recytując psalm ku chwale Pana, po nim drugi, tym razem śpiewany. On tymczasem nie spuszczał z nich oczu, myśląc jednocześnie o tym, że na wskazanie winnego pozostały mu niecałe dwa dni.

Oni dalej śpiewali psalmy, aż wreszcie dziekan Estéban udzielił im błogosławieństwa. Wówczas znów usiedli na swoich miejscach, odczytali trzy lektury z księgi znajdującej się na srebrnym pulpicie, a na zakończenie odśpiewali trzy responsoria. I znów podnieśli się z miejsc.

W trakcie nabożeństwa Bizén obrócił się i przyglądał zegarowi mechanicznemu ustawionemu przy zakrystii i schodach prowadzących do dormitorium mnichów, pod którymi znajdowało się znane mu okienko, potrzebne do regulowania urządzenia. To mechaniczne cudo od początku go fascynowało. Na przedniej powierzchni zegar miał wielkie słońce wpisane w okrąg z dwoma ciągami liczb rzymskich, z symbolami tetramorfy i czterema ewangelistami w rogach. W górnej części pyszniła się tarcza herbowa ze słupami domu królewskiego Aragonii, a w dolnym druga, poniżej opackiego pastorału.

Nabożeństwo dobiegło końca i bracia szykowali się do wyjścia. Zauważył, że przeor nie staje na czele rzędu ustawiającego się w nawie, że to leciwy brat Adolfo zajmuje miejsce, które wcześniej należało do tamtego.

To było niezwykle, brat Rogelio powiedział mu prawdę. Przeor Antón już nie był przeorem.

Udali się do klauzury, a Bizén ruszył za nimi. Kiedy zaczęli się rozchodzić, skierował się prosto do jednego z mnichów.

– Bracie Julianie – zawołał, ale zdawało się, że tamten go nie słyszy. – Bracie Julianie! – powtórzył.

Brat odpowiadający za zasoby wodne zatrzymał się, ale nie obrócił się

do wołającego, więc Bizén zrównał się z nim w paru krokach, po czym stanął przed nim. Brat Julian miał śniadą cerę, palce rąk grube i silne. To był jedyny mnich o kręconych, ciemnych włosach, wyróżniający się spośród innych obfitymi, ciemnymi brwiami.

– Można by sądzić, że głuchota brata architekta jest zaraźliwa.

– To jest miejsce milczenia, dobrze o tym wiecie – odpowiedział chłodno.

– Oczywiście. Czy zechcielibyście udać się ze mną do kościoła? Mam pewną wątpliwość, którą zapewne potraficie rozwiązać.

– Do kościoła? – mnich popatrzył Bizénowi przez ramię.

Ten się obrócił i zauważył habit znikający na schodach prowadzących z klauzury do dormitorium, nie zdołał jednak rozpoznać, kto był właścicielem tego habitu.

– Czy to problem?

– Nie, ale muszę wypełniać moje powinności, nawałnica zalała wiele kanałów, należy je oczyścić.

– Nie zabiorę wam wiele czasu, bracie Julianie – nalegał Bizén – wy jesteście jedyną osobą, która może mi pomóc.

– Możliwe, że... Czy nie zdajecie sobie sprawy, że mam pilną pracę?

– To tylko chwila, im szybciej to zrobimy, tym wcześniej będziecie wolni od mojego natręctwa.

Kiedy znów spojrzął na brata Juliana, ten maszerował już w stronę świątyni.

Bizén miał odczucie, że obserwuje ich więcej oczu, rozejrzał się wokół, ale ani w wirydarzu, ani w sali kapitulnej nie było żywej duszy, śledziły ich tylko umęczone oblicza gargulców.

Kiedy dotarli do kościoła, Bizén skierował się ku *via sacra* i przystanął naprzeciw pustego sarkofagu następcy tronu.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał brat Julian niechętnie.

– Chodźcie za mną, proszę.

Bizén skręcił w lewo i minął cztery nisze bębna apsydy. Znajdowało się w nich podzielone na części przesłanie, które nabierało sensu

po odczytaniu całości.

– Tutaj – Bizén wskazał inskrypcje – znajduje się informacja, że konsekracja kościoła miała miejsce osiemnastego grudnia roku tysiąc dwieście czterdziestego ósmego i że dokonał jej Acenario, biskup Calahorry. I że w świątyni złożono relikwie ciała i krwi Chrystusa, chleb z ostatniej wieczerzy, drewno Krzyża świętego, mleko, łzy, włosy i suknię Świętej Panienki, relikwie świętego Jana Chrzciciela i świętego Bartłomieja, apostołów Andrzeja i Jakuba mniejszego, Tomasza, Filipa oraz rozlicznych świętych męczenników i męczennic.

– W rzeczy samej.

– Jeśli dobrze sobie przypominam, te relikwie są przechowywane w zakrystii.

– Dobrze zabezpieczone aż do dnia Wszystkich Świętych.

– To najbezpieczniejsze miejsce w całym klasztorze? – zapytał Bizén, zostawiając za sobą ołtarz główny i obejście.

– Tak, drzwi zakrystii są zrobione z jałowca sabińskiego, stąd ich nieregularne słoje i czerwona barwa – wyjaśnił brat Julian. – To twarde drzewo z Moncayo. Poza tym mają dwa zamki. W jej wnętrzu relikwie znajdują się w bukowej szafie, wzmocnionej metalowymi płytami.

– Więc potwierdzacie, że to miejsce jest całkowicie bezpieczne.

– Naturalnie, wątpicie w to może?

– Ależ nie.

Ruszyli wspólnie ambitem obiegającym apsydę, który stanowił kontynuację konturów naw bocznych świątyni, harmonizując z nimi swą konstrukcją.

– O to właśnie potrzebowaliście mnie spytać tak pilnie? – rzekł brat Julian ze swoim charakterystycznym sarkazmem.

– Nie całkiem. Bo widzicie, jest dla mnie rzeczą niezrozumiałą trzymanie tak licznych i cennych relikwii w tym klasztorze.

– Relikwie są potężne, decydują o naszym bezpieczeństwie – odpowiedział brat Julian.

– O bezpieczeństwie?

– Człowiek zawsze jest zagrożony, podległy niezliczonym pokusom. Ten żywot nie jest nam dany po to, żeby używać, tylko po to, by cierpieć.

– Nie wierzycie, że możemy być szczęśliwi.

– Ależ możemy, jednak czy tego właśnie chce od nas Pan? – zastanowił się pan wód. – Nie, oczekuje od nas, żebyśmy dowiedli, że jesteśmy zdolni uniknąć pokus, lenistwa i przywar. Pragnie, abyśmy żyli w czystości i cnocie, pędząc czas na modlitwie. Tylko głupcy mogą pragnąć szczęścia, to najgorsze ze wszystkich dążeń. Mamy wielu nieprzyjaciół, notariuszu królewski. A relikwie to broń, której trzeba używać w poszukiwaniu świętości i drogi do Boga.

– Ogromne rozmiary tej świątyni nie są proporcjonalne do funkcji, którą spełnia w tym miejscu. Kongregacja liczy niewielu braci, do czego zatem służy ten ambit? Wszak Veruela nie leży na trasie pielgrzymek, jest odległa od drogi do Santiago.

– Przypominam wam, że jestem tu odpowiedzialny za ciągi wodne. Chcecie mnie zapytać o coś, co się wiąże z moimi zadaniami, czy mogę was pożegnać?

– Dobrze – uśmiechnął się Bizén. – W jaki sposób klasztor jest zaopatrywany w wodę? Zaspokojenie potrzeb tak ogromnej budowli nie może być sprawą prostą.

– To pierwsza rozsądna rzecz, o jaką mnie pytacie – odpowiedział ironicznym tonem. – Zaopatrujemy się w wodę za pomocą kanału, który jest zasilany ze zbiornika usytuowanego w górę rzeki. Kanał biegnie pod murami i woda z niego trafia do stawu. W tym miejscu dzieli się na dwa odgałęzienia: główne, którym dostarczana jest do młyna, i drugie, podrzędne, którym płynie do cysterny.

– A *lavatorium*?

– Jest zasilane w wodę z odnogi za młynem. Jest jeszcze jeden kanał, który obsługuje latryny, i kolejny, z którym są połączone te kaplice.

– No dobrze, ale jest jeszcze kuchnia, która również wymaga stałego

zaopatrzenia w wodę.

– To ten sam ciąg, który następnie biegnie do latryn.

– A którędy jest później odprowadzana woda z tych wszystkich miejsc?

– Naprawdę chcecie się tego wszystkiego dowiedzieć?

– Tak, mówiłem przecież, że chodzi o sprawę, którą jedynie wy możecie mi wyjaśnić, chyba się nie mylę? – powiedział Bizén, który tonem i gestami usiłował wkupić się w łaski opryskliwego mnicha.

– Mnie na takie pochlebstwa nie nabierzecie, zostawcie je sobie dla innych – złątał go brat Julian – ale udzielę wam odpowiedzi. Otóż odprowadzenie biegnie pod tym kościołem, jest wykorzystywane do nawadniania ogrodów i uchodzi do koryta rzeki.

– A czy to, że woda przepływa pod fundamentami, nie stanowi zagrożenia dla świątyni? – zainteresował się Bizén.

– Nie ma innej możliwości, przecież powiedziałem, że jest do niej dostęp w kaplicach, a także w kostnicy.

– W kostnicy? Do czego służy ten kanał w kostnicy?

– Żeby przygotować zmarłych do pochówku, wykonuje się różne czynności, dla których woda jest nieodzowna.

– Wyjaśniliście mi, że woda gromadzona w zbiorniku – podsumował Bizén – doprowadzana jest do klasztoru kanałem, przebiegającym pod murami.

– Tak.

– Jak duży jest przekrój tego kanału?

– Znaczny, potrzebujemy sporo wody – odrzekł pan wód.

– Mógłby się nim przedostać człowiek?

– Nie.

– Jesteście tego pewni? – nalegał Bizén mimo stanowczego zaprzeczenia rozmówcy.

– Absolutnie. Niejeden raz przeciskałem się początkowym odcinkiem tego kanału, jednak jego przekrój bardzo się zwęża w miejscu, gdzie znajdują się fundamenty murów. Człowiek nie zdoła tamtędy przejść;

kiedy budowano to doprowadzenie wody, miano to na względzie.

– A coś mniejszego?

– Jak to, mniejszego? Macie na myśli jakieś zwierzę?

– Niekoniecznie, na przykład jakiś dzieciak.

– Co za brednie! – zganił go brat Julian – Niby po co jakieś dziecko by miało się wpychać do takiego miejsca? Odpowiedziałem już na wiele bezrozumnych pytań...

– Jeszcze tylko jedno. Dlaczego przeor nie przewodniczył dziś nabożeństwu?

– To są wewnętrzne sprawy kongregacji – zachnął się mnich.

– Bracie Julianie, wiecie, że jesteście obowiązani udzielić mi odpowiedzi.

– Opat zawiesił go w obowiązkach przeora.

– A czy można wiedzieć, z jakiego powodu? – Bizén przypuścił atak frontalny.

– Dosyć tego, nic więcej wam nie powiem.

– O Nocy Dusz też mi nie powiecie? Dlaczego ludzie, którzy wam służą, tak wiele o niej rozmawiają?

– Czytaliście Księgę Hioba?

– Dowiedziałem się już, że stanowiła natchnienie dla wielu rzeźb we wspornikach arkad w klauzurze i znam tę historię.

– Wiecie zatem, że Hiob, dotknięty ciężką chorobą, zapragnął śmierci, ufając, że Bóg go wskrzesi do ponownego życia na ziemi – wyjaśnił mnich – dlatego rzekł: „O, gdybyś w Szeolu mnie schował, Ty mówiłbyś, ja bym odpowiadał, tęskniłbyś do dzieła rąk swoich”.

– Co znaczą te słowa?

– Kiedy ludzie cierpią i są w rozpacz, mogą uwierzyć w niejedno. Hiob pragnął umrzeć, ponieważ wierzył, że Bóg go wskrzesi – wytłumaczył brat Julian – a ludzie z Moncayo wierzą, że w Noc Dusz umarli wychodzą z grobów i mogą ich porwać ze sobą.

– To przecież tylko przesady, czemu do tej pory im hołdują? Czemu na to pozwalacie?



– Zło przybywa do Verueli z miast – odrzekł brat Julian, a jego głos stracił odcień aroganckiej pogardy, przybierając ton skromny i zbolący. – Tam umiarkowanie uchodzi za skąpstwo, godność zwą surowością, zaś milczenie – melancholią.

– Nie wszystko w miastach jest tak straszne.

– Zapewniam was, że jest, jak powiedziałem. Nie zmienicie moich poglądów. Ci bezwstydni nazywają rozluźnienie obyczajów rozsądkiem, rozrzutność szczodrobliwością, zamęt radością, zaś godność myślą z przepychem w strojach i wierzchowcach; nazywają higieną niepotrzebną dbałość o wygodne pośłania. A zapewnienie innym tych wszystkich rzeczy uważają za miłosierdzie. To rozsądek, który przeczy rozsądkowi. Tego rodzaju miłosierne czyny osłaniają okrucieństwo. Pochlebiają ciału, zabijając duszę. Niechaj nikt nie spodziewa się zaznać miłosierdzia za podobne czyny miłosierne, przynajmniej tego miłosierdzia, jakie obiecuje Ewangelia ustami Prawdy: „Błogosławieni miłosierni, ponieważ oni zaznają miłosierdzia”. Już wam dopomogłem więcej, niż wystarczająco – brat Julian się odwrócił i wyszedł ze świątyni.

## Furta

**P**o tej rozmowie z panem wód silny ból poturbowanego ciała tak mu się dawał we znaki, że Bizén udał się do kuchni po wrzątek do zaparzenia ziół otrzymanych od brata aptekarza.

– Notariuszu, powinniście bardziej uważać – tym razem kucharz czyścił jakieś jarzyny o długich łodygach. – Jak to możliwe, że pozwoliliście się tak sprać?

– Zapewniam was, że nie miałem zamiaru do tego dopuścić.

– Na wszystkie rzeczy najlepiej pomaga wino – i zawołał na jednego ze swoich pomocników. – Ej, ty, przynieś notariuszowi dzbanek. Wino leczy wszelkie dolegliwości, możecie mi wierzyć.

– Gdyby to było takie proste! Gdyby w tym klasztorze istniała choć jedna prosta rzecz!

– A czego się spodziewaliście? Że mnisi cały dzień nic, tylko się modlą i milczą? To dobrze wygląda przed ludźmi, ale jestem tu ja i przyrzędam takie dania, że samiutki król Pedro IV...

– Nie przesadzajcie...

– Coście powiedzieli? – podszedł do niego z nożem w ręce.

– Że król nie jada takich wspaniałości, słyszałem, że ma kiepskich kucharzy. Wasze dania są znacznie lepsze, co do tego nie ma wątpliwości. Wyobraźcie sobie, że dwór królewski ciągle się przenosi z miasta do miasta, a to utrudnia życie.

– Wy lepiej uważajcie na słowa i – wskazał mu dzbanek nożem – napijcie się wina.

– Racja – wypił łyk – dziękuję wam za wino i za wodę.

– Nie ma za co i dbajcie o siebie lepiej, bo żal na was patrzeć.

Czy to za sprawą ziół, czy trunku, czy też pomieszania jednego z drugim, Bizén poczuł się lepiej. Cokolwiek to sprawiło, stwierdził, że odzyskuje siły, a ból ustępuje. Skorzystał z tego, żeby udać się do cysterny i do stawu. Chciał przyjrzeć się ciągom wodnym, które opisał mu brat Julian, a szczególnie głównemu kanałowi zaopatrującemu klasztor w wodę, który przebiegał pod murami i którym dziewczęta zdołały się dostać do wnętrza, jeśli wierzyć zapewnieniom Marty.

Z uwagą przyjrzał się zbiornikowi i wejściu do kanału. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby ktoś zdołał się tamtędy przecisnąć.

Rozejrzał się dookoła. Nie było nikogo. Gdyby człowiek, który go pobił, zaskoczył go po raz kolejny, jego życie wisiałoby na włosku. Musiał być bardzo czujny, teraz już zdawał sobie sprawę, jakie zagraża mu niebezpieczeństwo.

Po zbadaniu tego rejonu udał się do przeciwległego zakątka klasztoru, tam gdzie kończył się kanał odprowadzający wodę ze świątyni tuż przed opuszczeniem obwarowanej przestrzeni. Zamyślił się głęboko podczas tych oględzin, a kiedy skończył, powrócił do bramy. Tym razem nie wyszedł poza mury, tylko zastukał do furty i wszedł do wnętrza.

– Notariuszu, jak się macie? – przywitał go brat Cipriano, który właśnie rozniecał ogień na swoim stanowisku.

– Chciałbym prosić, żebyście mi wyjaśnili parę rzeczy.

– Pytajcie śmiało – zaprosił go gestem do wnętrza. – W czym mogę być wam pomocny?

– Nie rozmawiałem z wami jeszcze o śmierci oblata.

– To zrozumiałe – stwierdził brat Cipriano. – Nie było mnie w dormitorium razem z pozostałymi.

– To prawda, macie własną celę tutaj, w furcie, żeby móc przyjmować przybywających do opactwa nocną porą.

– No właśnie. A zatem? Czego chcecie się dowiedzieć?

– Tak wielu rzeczy – jęknął Bizén z wyrazem twarzy znamionującym wyczerpanie. – Ten klasztor przypomina labirynt bez wyjścia.

- Śmierć brata Octavia bardzo nami wstrząsnęła, musicie to zrozumieć.
- Mój mistrz zawsze powtarzał, że kiedy stajemy przed problemem, to najważniejszą umiejętnością jest orientacja.
- To możliwe – brat furtian popatrzył na notariusza zdziwionym wzrokiem.
- Tak, to jak w tej grze, nie mogę sobie teraz przypomnieć jej nazwy... Jest dużo części różnych kształtów i chodzi o to, żeby ułożyć z nich kwadrat. Z początku człowiek nie ma pojęcia, od czego zacząć, wydaje się, że to niemożliwe – opowiadał Bizén, ilustrując słowa gestami dłoni – ale kiedy się uda ułożyć cztery boki, to już widać w tym jakiś porządek.
- To tutaj niezbyt przypomina grę; Veruela ma wielkie znaczenie, nawet nie wiecie, jak jest ważna.
- Mam wrażenie, że nadchodząca Noc Dusz Pokutujących wszystkich przejmuje wielkim niepokojem – sprowokował go sprytnie Bizén.
- To data, której nie wolno lekceważyć, po tych ziemiach krąży wiele pogańskich opowieści o zmarłych.
- Jednak to tylko podania...
- Niby tak – mnich zamilkł na chwilę. – A jednak nigdy nic nie wiadomo. Lepiej być czujnym, prawda?
- Niewątpliwie.
- Ja jestem furtianem, oglądałem takie rzeczy, że nikt by nie uwierzył. Do bram Verueli podchodzili przeróżni ludzie – wyjaśnił brat Cipriano.
- Wyobrażam sobie. Ale tutaj jesteście bezpieczni. Cóż, byliście bezpieczni do śmierci oblata – sprostował cichym głosem. – Opat zdjął z funkcji przeora.
- A wy skąd o tym wiecie? Nie wolno mi o tym rozmawiać.
- Ja tylko poszukuję mordercy, ci, którzy nie zawinili, powinni w tym pomagać, nie sądzicie?
- Każdy z nas ma coś na sumieniu – oznajmił brat furtian, kiwając głową.
- Każdy?

– Jedni więcej, inni mniej, ale każdy coś ma. Kiedy ktoś próbuje odkryć jedną tajemnicę, ryzykuje, że trafi na inne – zwrócił mu uwagę mnich. – Dlatego trzeba być bardzo ostrożnym.

– Nie pierwszy raz to słyszę.

Tym bardziej miejcie to względzie, chodząc po klasztorze i zadając pytania członkom kongregacji.

– Niewygodne pytania mogą tu mieć zasadnicze znaczenie – odrzekł Bizén.

– Ja tylko mówię, żebyście stawiali te właściwe, to moja rada – odpowiedział brat Cipriano. – Jeśli pozwolicie, to wrócę do moich obowiązków.

– Jeszcze tylko jedno: w dekoracji rzeźbiarskiej w klauzurze często powtarza się temat jednego świętego, świętego Hioba.

– Tak, ze Starego Testamentu.

– Mam wrażenie, że wasza wspólnota jest pod silnym wpływem tej księgi – ciągnął Bizén. – Jeśli Bóg jest łaskawy, jeśli jest wszechmocny, to dlaczego świat jest pełen bólu, cierpienia i nieprawości?

– Prawie wszyscy ludzie w swojej słabości – wyjaśnił brat furtian – przeżywają taką chwilę, w której zadają sobie pytanie, czy Bóg naprawdę istnieje.

– Brat Bartolomé powiedział, że odkopał na cmentarzu jakieś ciało, a widząc martwego Octavia, wpadł w panikę i wrzucił te zwłoki do kanału, który przebiega przez kostnicę. Wy wiecie, gdzie ten kanał ma ujście?

– Tak, wychodzi z tamtej strony – wskazał gestem w stronę miejsca, które Bizén przed chwilą oglądał.

– Czy zwłoki nie powinny się zatrzymać na którejś z krat, filtrujących odprowadzaną wodę, lub trafić do młyna, znajdującego się za murami?

– I ja tak mniemam, nie mówiąc o tym, że brat Bartolomé ponoć odział tego nieboszczyka w piękne szaty, więc gdzie one są?

– Notariuszu, więcej wam pomóc nie potrafię.

– W porządku – uśmiechnął się – jeśli Bóg jest łaskawy, jeśli Bóg jest wszechmogący, to dlaczego świat jest pełen bólu, cierpienia i nieprawości? Jeśli Bóg miłuje ludzkie stworzenia i troszczy się o każdego z nas, to dlaczego nie oszczędzi nam zbędnych nieszczęść, które nas trapią przez całe życie? Powinniście znać odpowiedź na to pytanie.

– A jeśli nie znam? Albo nie spodoba wam się ta, której mógłbym udzielić?

– Wy, mnisi, jesteście duchownymi, klauzura jest najbardziej prywatną przestrzenią w klasztorze. Odniesienia do Księgi Hioba zostały przeznaczone do wewnętrznego użytku członków kongregacji.

– Może dlatego wytrzymujemy nieszczęścia, aby zachować nieskalaną wiarę pomimo wszelkiego zła – ciągnął brat Cipriano. – Choć jesteśmy mnichami, jesteśmy tylko ludźmi. Nie zapominajcie o tym nigdy. A teraz proszę, żebyście mnie zostawili, mam obowiązki.

Brat furtian wskazał mu wyjście, dając do zrozumienia, że wizyta jest zakończona.

## Białe kompanie

**Z**apadał zmierzch, kiedy Marta dostrzegła stado jeżyków na niebie nad Veruelą. Zdumiała się, że nie krążą nad blankami klasztoru, tylko lecą wzdłuż rzeki, w kierunku zbiornika.

Przypatrywała się, jak fruują. Na wolności.

Takie zwyczajne stworzenia, a mogą decydować o własnym losie.

Z wolna mrok spowijał Moncayo. Przebiegła koło niej jakaś para wieśniaków, ale nie zwróciła na nich uwagi. Szła dalej jak nieobecna, zapatrzona w nadciągający zmierzch, póki nie spostrzegła gromady wzburzonych ludzi napływających z niższej części doliny. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, wokół panowało już zamieszanie, rozlegały się krzyki i lamenty. Spojrzała ku zachodowi. Dostrzegła obłok pyłu. Coraz więcej ptaków krążyło w powietrzu, jakiś pies pasterski szczekał wściekle.

– Co się stało? – zapytała psa, ale on tylko szczekał.

Marta ruszyła ku drodze, szukając jakiegoś wyjaśnienia, jednak ciżba ludzka zepchnęła ją w kierunku klasztoru. Wielu wieśniaków biegło do lasu, inni uciekali do barbakanu. W tę właśnie stronę porwała ją napierająca, krzycząca gromada.

Główna brama klasztoru była otwarta na całą szerokość, niby wielkie usta, połykające wszystko, co się nawinie. Aż nagle zaczęła się zamykać, niby paszcza potwora. Ten widok sprawił, że ludzie jęli wrzeszczeć jeszcze głośniejsze i tratować się wzajemnie w wyścigu do klasztoru. Marta się obejrzała. Chmura pyłu zbliżała się szybko, czuło się drżenie ziemi. Dostrzegła naraz sztandar z czarnym, dwugłowym orłem na białym tle, za nim pojawiło się wiele podobnych, zaś z pyłu wyłoniły się hełmy,

zbroje, proporce, kopie, pancerze i konie bojowe.

– Atakuj nas! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Dajcie nam wejść! – huknął jakiś wysoki mężczyzna.

Popychali ją, musiała walczyć, żeby dążyć do przodu, do bramy. Kiedy przestąpiła próg, przeszła pod sklepionym odcinkiem stropu. Znalazła się w obrębie murów obronnych klasztoru, w jego wnętrzu, bezpieczna.

Dzwony na wieży kościelnej biły nieprzerwanie. Brat Cipriano pospiesznie organizował wszystkich napływających mężczyzn, rozstawiając ich na murach.

– Żywo, nie mamy czasu – ponaglał. – Ty chodź ze mną – zwrócił się do mężczyzny, który był jednym z ostatnich i nie widział na jedno oko.

Pobiegł do celi na wieży strażniczej i otworzył kufer ukryty pod jakimiś derkami. W kufrze był płaszcz, pod nim koszulka kolcza, owalny hełm, a co najważniejsze, miecz.

Zrzucił czarny szkaplerz, biały habit i krzyż wiszący na konopnym sznurze.

– Pomóż mi – polecił Jednookiemu.

Ten wziął kolczugę i uniósł ją nad głowę mnicha, żeby mógł się w nią wsunąć. Potem dał mu ciemną przesywanicę bez żadnego emblematu, włożył hełm i chwycił miecz.

– Idziemy – zakomenderował brat Cipriano. Zanim opuścili celę, wziął krzyż i ponownie zawiesił go sobie na szyi, tak że był widoczny na kolczudze.

Gdy mnich wyszedł z wieży strażniczej na lewo od bramy, zebrała się tam już jakaś dwudziestka uzbrojonych i przysposobionych do obrony bramy oblatów i trzy razy tyle wieśniaków z sierpami i narzędziami do uprawy roli.

– Słuchajcie uważnie! – zawołał. – Musimy dać z siebie, co mamy najlepszego, walczymy za Boga, On nas poprowadzi w bitwie, On będzie dzierżył nasze miecze. Czy pozwolimy wrogom Chrystusa



wedrzeć się do Verueli?

– Nie! – zawołali jak jeden mąż.

Brat Cipriano westchnął, spojrzął przed siebie i zaszeptał:

– Niech nam Bóg dopomoże...

Pośrodku brukowanego placu klasztoru królował Atilano, wrzeszczący jak opętany na wszystkich, którzy stali w kolejce do kuźni, gdzie kowal wydawał miecze i topory najsilniejszym, najsprawniejszym mężczyznom.

– Na baszty! Po sześciu mężczyzn do każdej – krzyczał dziekan Estéban.

– Nie ruszycie się stamtąd, póki was nie zawołam z dzwonnicy. Żadna baszta nie może pozostać bez załogi.

Wówczas przybyło więcej oblatów i nowicjuszy.

– Uzbrójcie tych wszystkich braci, wszyscy muszą walczyć o Veruelę.

– Na rozkaz – kowal przydzielił każdemu po mieczu, nie pomijając dziekana.

– Nie – wymówił się mnich – ja muszę się modlić w kościele, to ważniejsze zadanie niż wywijać zwykłym mieczem – i zwrócił go kowalowi.

– Już tu są! – dobiegły okrzyki z wieży bramnej.

– Wielu ich? – odkrzyknął dziekan Estéban.

– Setki!

– Bez łuczników mamy małe szanse – mruknął Atilano do mężczyzn, którzy stali obok niego, czekając na swoje miecze.

– Posiadamy wystarczającą liczbę ludzi, żeby obronić mury – orzekł dziekan Estéban – nie wolno dopuścić do tego, żeby powstała wyrwa, rozumiecie? Brońcie murów, jak potraficie, byle tylko nie wtargnęli do Verueli, bo będziemy zgubieni.

– A jak nam się nie uda? – odezwał się na to anonimowy głos z gromady. – Oni mają konie bojowe, to żołnierze, najemnicy, a my jesteśmy zwyczajni chłopi...

– To prawda, oni mają zbroje, kolczugi i miecze. W otwartym polu nie zdołalibyśmy im stawić czoła – odrzekł dziekan Estéban – dlatego naszą

jedyną szansą jest nie dopuścić, żeby się wdarli w obręb murów. Dlatego musicie o nie walczyć jak o własne życie.

Ta krótka przemowa dodała ducha obrońcom Verueli.

Dziewkan ich pobłogosławił, obrócił się na pięcie i pobiegł co tchu do klauzury.

Bizén wspiął się schodami na jedną z wież strzegących bramy. W dole barbakan już był zamknięty, a w nim garstka kiepsko uzbrojonych mężczyzn, którzy mieli za zadanie go bronić. Zaraz za nim znajdowała się wieża bramna, mająca u boków wieżyczki strażnicze. U szczytu wieży szykowano kamienie i wielu obrońców zajęło tam pozycje, żeby zrzucić je na szturmujących, kiedy przyjdzie na to czas.

Rozejrzał się na obie strony, ale nie zobaczył tego, czego szukał wzrokiem: łuczników.

Brat Cipriano przebywał na wieży. Bizén ruszył w jego stronę chodnikiem biegnącym po murze do wieży. Cysters wyglądał jak prawdziwy żołnierz: kolczuga, miecz w ręku, nikt by nie uwierzył, że jego codziennym zajęciem była modlitwa.

– Bracie.

– Nie mam teraz czasu, notariuszu – powiedział mnich, zajęty układaniem w stos kamieni na parapecie blank.

– Gdzie są łucznicy?

– Nie mamy – odpowiedział krótko cysters.

– Jak to możliwe?

– Nigdy ich nie było na naszych ziemiach, lata temu ci nieliczni, co umieli się posługiwać łukiem, uciekli do Trasmoz z powodu sporu z opatem.

– I to jest przyczyna waszych niesnasek z tą placówką?

– Nie, ale zapewniam was, że wiele nam to nie pomogło – odrzekł, dźwigając kolejny kamień.

– Wezwijcie ich!

– Co mówicie? – rzucił, nie zwracając na niego szczególnej uwagi.

– Poślijcie po pomoc do czarnego zamku w Trasmoz, to pół dnia drogi, mogą przyjść na odsiecz. Jak planujecie odeprzeć szturm bez łuczników na murach?

– A czemu by mieli nam przyjść z pomocą? – furtian na chwilę przerwał swoją pracę, stanął przed notariuszem i zmierzył go wzrokiem.

– Trasmoz nie należy do dominium Verueli, to świecka posiadłość w kręgu wpływów diecezji Tarazony, zawsze byliśmy skłóceni.

– Bo to chrześcijanie, bo należymy do jednego królestwa!

Mnich podumał chwilę i spojrzał ku horyzontowi, gdzie zaczęły się pojawiać proporce unoszące się nad zastępami żołnierzy ubranych w białe płaszcze, dosiadających ogromnych rumaków bojowych, zakutych w błyszczące żelazo.

– Nadchodzi du Guesclin, hrabia Borja z francuskimi najemnikami! – dobiegł okrzyk z jednej wieżyczek.

– Słyszałem, co o nich opowiadają – Bizén westchnął. – Białe kompanie są niezwyciężone. Dlaczego was atakują?

– To nie pierwszy raz – odrzekł mnich. – Parę lat temu najechali nas Kastylijczycy, musieliśmy uciekać. Wszystko obrócili w perzynę, zniszczyli nawet część klauzury.

– W takim razie uciekajmy.

– Nie. Kiedy wróciliśmy, opat oświadczył stanowczo, że nigdy więcej nie pozwolimy na to, żeby ktokolwiek zbecześcił Veruelę – brat furtian mówił bez osłonek. – Obronimy klasztor, mamy załogę.

– Czy widzicie, co się do nas zbliża?! – Bizén wskazał na horyzont. – Wszak to najemnicy, panowie wojny, wy macie garść wieśniaków i zakonników, jak moglibyście się im oprzeć?

– Bóg jest po naszej stronie.

– Naprawdę? Mnie się zdaje co innego.

– Nie poddamy się; jeśli wejdą do klasztoru, zabiorą wszystko, co wartościowe – westchnienie, jakie wydał, nie napawało otuchą.

– Układajcie się z nimi.

– Co takiego? – brat furtian miał załzawione oczy, serce mu kołatało

jak oszalałe.

– Wyślijcie parlamentariusza, kogoś, kto potrafiłby z nimi negocjować i odwieść ich od szturmu. Nie możemy tracić nadziei, wyślijcie posłańca, jeszcze jest szansa na powstrzymanie szturmu.

– Kogo mamy wysłać?

– Mnie – Bizén wysunął się ku przodowi – pozwólcie mi spróbować.

– Straciliście rozum! Opat się nie zgodzi.

– Bracie Cipriano, opata tu nie ma i nie ma czasu do stracenia – chwycił go za rękę. – Poślijcie mnie. Nie jestem duchownym, mogę mediować między obiema stronami.

– Ale ja nie mogę – mnich nie odrywał oczu od wojsk, które zbliżały się do Verueli – nie mogę podejmować takich decyzji.

– Jak to nie? Przecież bramy Verueli znajdują się pod waszą pieczęcią, czyż nie? A zatem to wasza powinność nie dopuścić, żeby przedostał się przez nie żaden wróg. Powierzcie mi tę misję albo wszyscy zginieemy!

– A niech tam! W porządku – i brat Cipriano zawołał – Otwierać bramę! Jeden z naszych będzie paktował.

– Jedna sprawa – Bizén zbliżył usta do jego ucha – poślijcie tymczasem gońca do Trasmoz, proście ich o pomoc.

– To się nie uda.

– Tego nie możecie być pewni. Skorzystajcie z tej zwłoki, sami powiedzieliście: nie możemy pozwolić, żeby wtargnęli do klasztoru. Musicie wykorzystać wszystkie środki, wszystkie!

– A jak ich przekonamy?

– Zostali obłożeni klątwą przez jednego z waszych opatów, prawda?

– Tak, sto lat temu – przyświadczył brat Cipriano.

– Obiecacie im, że zdejmiecie z nich klątwę – rzucił Bizén na odchodnym. – Zapewniam was, że wówczas przyjdą.

– Nie mogę im obiecać takiej rzeczy, skoro nie wiem, czy obietnica zostanie dotrzymana, nawet nie wiem, czy coś takiego jest możliwe, to opat musi mediować w podobnych sprawach.

– Jeśli przyjdą z odsieczą, to zasłużą na zdjęcie klątwy, zgadzacie się

ze mną?

– No tak.

– Jeśli uratujemy Veruelę, opat to zrozumie.

– Ja... – brat furtian znów spojrzał na wojska nieprzyjacielskie. – No dobrze, zrobię tak.

– A joannici? Ich posiadłości leżą niedaleko, to kwiat rycerstwa z całego chrześcijańskiego świata.

– Wystarczający powód, żeby nie chcieli się bić z innymi chrześcijanami.

– Nawet jeśli tamci atakują opactwo? Jesteście o tym przekonani? Poślijcie do nich po pomoc.

– Oni stacjonują wysoko na górze, jeszcze dalej niż Trasmoz.

– Mimo wszystko powinniście spróbować. Zapalcie ogień, oni to dostrzegą. Trasmoz leży bliżej, ale bracia szpitalnicy to rycerze Chrystusa, mając ich po swojej stronie, zyskalibyśmy szansę na przetrwanie.

– Rozpalcie ognisko! Biegiem! Niech płomienie strzelają do samego nieba – zawołał mnich. – A wy, notariuszu, ruszajcie. Ruszajcie niezwłocznie. Pchnę konnego gońca do Trasmoz, zanim będzie za późno, niechaj wam Bóg dopomoże.

Bizén zbiegł z murów, wyszedł przez małą bramę w wieży, przemierzył osłonięty murami odcinek barbakanu, a wieśniacy zdjęli kłodę z tych najdalej wysuniętych wrót strzegących wejścia do klasztoru. Obejrzał się; na szczycie wieżyczki strażniczej, pośród zębów blankowania, stał brat Cipriano.

Starął się iść naprzód spokojnie, ale nie mógł opanować trwogi, więc przynajmniej usiłował nadać sobie pozory spokoju. Kiedy od Francuzów dzieliło go niewiele kroków, a dwaj kusznicy wymierzili prosto w jego głowę, strach zawładnął całym jego ciałem. Zdawał sobie sprawę, że jego życie nic dla nich nie znaczy, że bez wysiłku, bez skrupułów, mogą posłać śmiercionośne bełty w jego stronę.

Dwaj rycerze jadący przodem usunęli się na strony, a na środek wyjechał czarny rumak, wspaniały, silny, godny króla. Dosiadał go

rycerz w grawerowanym hełmie, z dwugłowym orłem na piersi i z wielkimi, czarnymi oczami.

– Kto wy? – zapytał, poprawnie wymawiając słowa.

– Bizén de Ayerbe, notariusz na całe królestwo Aragonii, parlamentariusz klasztoru Santa María de Veruela, wysłany, aby się układać z hrabią Borja, don Bertrandem du Guesclin.

– Z jakim zamiarem przybywacie?

– By spytać o powód waszej obecności na ziemiach Verueli, stanowiących włości zakonne.

– Powiadacie, że nie jesteście mnichem, tylko notariuszem – odparł Bertrand du Guesclin.

– Bronię interesów klasztoru.

– Interesy? Nie ma czego bronić. Wejdziemy, jest tam coś, co do nas należy. Dlatego lepiej, żeby mnisi otworzyli bramę i spełnili, czego żądamy.

– Jesteście chrześcijaninem, panie, nie możecie sprofanować świętego miejsca.

– I nie zrobimy tego, jeżeli się poddacie, w przeciwnym wypadku wejdziemy tam siłą, nie wątpcie w to – pogroził du Guesclin, tym razem z silniejszym obcym akcentem. – Czego się spodziewają mnisi, wysyłając nam notariusza? Dlaczego nie wyjdzie opat? No przecież nie zabiję jakiegoś zafajdanego opata... Jestem rycerzem króla Francji.

– Nie jesteście godni, żeby się mienić rycerzem.

– Co powiedzieliście?

– To, co słyszeliście.

– Jesteście zwykłym ignorantem, skoro ośmielacie się mówić takie rzeczy – oświadczył Francuz, szczerząc swoje poczerniałe zęby. – Zostałem pasowany na rycerza w wieku szesnastu lat. I od tej pory walczę i nieustannie szafuję życiem. Co wy o tym możecie wiedzieć!

– Więcej, niż wam się wydaje – i Bizén przywołał w pamięci wszystkie pieśni o bohaterskich czynach rycerskich, jakie czytał. – Nie wydaje mi się, żeby okradanie Verueli ze skarbów było zgodne z ideami

i cnotami chrześcijańskiego rycerza.

– Co wy pleciecie? Nie trzeba nam waszego złota ani srebra, nawet waszych ziem nie potrzebujemy. Chcemy dostać tego Anglika, którego trzymacie w klasztorze.

– Anglika? O czym wy mówicie?

– Nie będę tu tracił więcej czasu, pilno nam ruszać na północ, ale nie pozwolę, żeby ten szpieg dostarczał informacje księciu Walii.

– Informacje o?

– Gdybyście to wiedzieli, i was musiałbym zabić – ostrzegł go Francuz, zawracając koniem, żeby okrążyć parlamentariusza. – Chcę, żeby mi wydali angielskiego rycerza, który się chowa w klasztorze, bez niego stąd nie odjadę.

– Jesteście tutaj z tej przyczyny? Z powodu angielskiego jeńca?

– Chcę go dostać żywego. Natychmiast. Jeśli odmówicie, wejdziemy do klasztoru, niosąc krew i ogień.

– Wstrzymajcie się, rozmówię się z opatem.

– Ne mam wiele czasu – rzekł Bertrand du Guesclin, kładąc dłoń na mieczu.

– Będę się spieszył, przyrzekam.

– Nie, los tego klasztoru jest przesądzony, znajdziemy tego parszywego Anglika i rzucę go na pożarcie dzikom.

– Dzikom?

– Tak, to znak herbowy rodu, z którego się ten angielski rycerz wywodzi – Bertrand du Guesclin się roześmiał. – Będzie zabawa.

– Wstrzymajcie się, mogę wam sprowadzić Anglika.

– Łżecie!

– Nie, wiem gdzie przebywa. Ja również nie mam serca do tych mnichów. Przysięgam wam. Ale jestem chrześcijaninem, dlatego nie chcę, żebyście zniszczyli klasztor.

– Głupiec z was – Bertrand du Guesclin znów się zaśmiał. – To mi się podoba. Ten notariusz to głupiec – wskazał na niego swoim ludzom, a ci ryknęli śmiechem.

– Jeśli wam przyprowadzę Anglika, odejdziecie i zaniechacie szturmu.  
– Przyprowadźcie go szybko, wtedy może mi się uda powstrzymać moich ludzi. Jeden ptaszek nam wyśpiewał, że tam w środku macie niezłe dziewczki i specjalne wino, które wytwarzają wasi ukochani mnisi... Mniam – oblizał wargi. – Nie jestem pewien, czy ja i moi ludzie zdołamy się oprzeć takiej pokusie, sami rozumiecie – i znów parsknął śmiechem.

– Damy wam Anglika i wóz wina. Najświeższego, jakie jest spichlerzu, co o tym myślicie?

– Umiecie się targować, notariuszu.

– Zatem umowa stoi?

– Tak, ale się pospieszcie, bo wydam rozkaz do szturmu – obrócił konia i powrócił do swoich oddziałów.

Bizén pobiegł do bram Verueli, bez słowa przemierzył barbakan, wszedł bramą w obręb murów i nie zważając na pytania obrońców, stanął przed bratem Ciprianem.

– Co wam powiedział ten potwór?

– Muszę rozmawiać z opatem, mamy szansę, żeby uniknąć tej masakry – odpowiedział, z trudem łapiąc oddech.

– Jaką?

– Opat, opat może to zrobić.

– To biegnijcie do niego natychmiast – brat furtian popchnął go ku schodom. – No już, co tu stoicie jak głupi? Biegiem!

Bizén pognął jak błyskawica po bruku Verueli, jeszcze nigdy w życiu tak nie pędził. Kiedy dotarł do kościoła, brakło mu tchu w piersi, ale pomyślał o tych bohaterach, których znał z ksiąg, rycerzach zdolnych do baśniowych wyczynów. Gnał więc dalej wzdłuż kanału równoległego do ściany *cellarium*, póki nie wpadł do jego wnętrza. Napotkał tam dziekana Estébana w otoczeniu licznych oblatów.

– Dziekanie, naszykujcie wóz wina. Tego, którego jeszcze nie wlaście do tych waszych beczek.

– Po co?



– Damy je Francuzom, to nas uchroni przed ich wtargnięciem – wysapał Bizén z wysiłkiem.

– Oni się tym zadowolą?

– Nie, żądają czegoś znacznie ważniejszego, ale wino pomoże, zawsze pomaga.

– Jesteście pewni?

– Tak, zaufajcie mi, może to nasza jedyna szansa. Wóz pełen baryłek wina, pošlijcie go do bramy, im szybciej, tym lepiej.

– A wy dokąd tak spieszycie? – zapytał dziekan Estéban, wyraźnie niezadowolony.

– Muszę rozmawiać z opatem.

Bizén ruszył przejściem dla oblatów, napotykając dwóch mnichów, Adolfa i Juliana, biegnących z przestachem wymalowanym na twarzach. Kuchnia również była otwarta i spostrzegł, że ogień, który zawsze strzelał żywymi płomieniami na palenisku, prawie wygaś. Przebiegł wzdłuż ściany refektarza do komnaty opata. Dwukrotnie uderzył w drzwi i zaczął na odpowiedź.

Tarł dłonie w zdenerwowaniu.

Zastukał ponownie.

Nikt nie odpowiadał, uzbroił się zatem w odwagę i popchnął drzwi. Kiedy się uchyliły, spotkał się z parą zagniewanych oczu.

– Czego chcecie? – zapytał brat aptekarz.

– Muszę rozmawiać z opatem.

– To teraz niemożliwe. Czy nie zdajecie sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się znajdujemy?

– Nic nie rozumiecie! Możemy powstrzymać szturm, muszę z nim mówić!

– Opat źle się czuje – upierał się aptekarz.

– Bracie Ramiro, albo się z nim rozmówię, albo białe kompanie Bertranda du Guesclin zaatakują klasztor. To są najemnicy, ludzie bez honoru niemający nic wspólnego z rycerstwem. Będą mordować, kraść, łupić i obrócać Veruelę w zgliszcza – błagał go zrozpaczony. – Opat musi

mnie przyjąć, pozwólcie mi z nim rozmawiać.

– Nie wolno, nie będę tego powtarzać.

– Dobrze – Bizén cofnął się o krok, podniósł ręce w geście kapitulacji i odwrócił się.

Aptekarz spuścił oczy i wycofał się do izby opata, a wówczas młodzieniec zrobił błyskawiczny obrót i pchnął drzwi z całej siły, tak że uderzył aptekarza w twarz. Mnich padł jak długi na posadzkę, a Bizén przeskoczył przez jego ciało i podszedł do łoża, na którym spoczywał opat.

Kiedy go zobaczył, oniemiał.

Opat spoczywał na plecach ze skrzyżowanymi ramionami i odsłoniętym torsem. Twarz miał nieprzytomną, usta szeroko otwarte. Na jego obliczu połyskiwały jakieś ciemne kształty. Bizén zorientował się, że ma tego na sobie więcej, na ramionach, na piersi.

Poruszały się.

To były pijawki, gdzie nie spojrział, pijawki, wysysające z niego krew.

Opat wpatrywał się w niego martwym wzrokiem, z tak przeraźliwym grymasem na twarzy, jakiego nie widział nigdy, nigdy.

Usłyszał kroki za plecami i natychmiast się obrócił. Aptekarz rzucił się na niego. Twarz miał zalaną krwią, a oczy pałające wściekłością. Ale Bizén zdążył zrobić unik i mnich uderzył o łoże. Kiedy się podniósł, chwycił miednicę stojącą na sienniku i rzucił nią w stronę notariusza. Wysypało się z niej obrzydliwe robactwo, które wnet rozpełzło się po posadzkę, wijąc się, wyginając w poszukiwaniu nowej krwi.

– Co wy robicie z opatem, nieszczęsny człowieku!

– Leczę go.

– Zdejmijcie to z niego! Jak nie, przysięgam, że was zabiję! – krzyknął Bizén.

– Jak śmiecie mi rozkazywać?

Bizén podszedł do stołu i chwycił nóż; zakonnik próbował go powstrzymać, ale on był szybszy. Przyłożył mu nóż do gardła.

– Zdejmijcie to z niego albo was zabiję!

- Niełatwo je odczepić.
- Nic mnie to nie obchodzi – Bizén patrzył, jak się wiją, wysysając krew z żył opata.
- Póki się nie nasycą, trzymają się skóry zębami – mnich aptekarz wyszczerzył zęby w uśmiechu. – I jeśli się je próbuje odczepić, może się zdarzyć, że wyrwą kawałek skóry.
- Niech was piekło! Zdejmijcie z niego to paskudztwo!

## Nieprzyjaciel

**C**ała Veruela tonęła w mrokach, sylweta Moncayo ledwie dawała się odgadnąć, a na płaszczu nocnego nieba jarzyły się gwiazdy. Kobiety szukały schronienia pomiędzy grangią a domem dla gości, pod osłoną ogrodzenia dla bydła. Obserwowały stamtąd mężczyzn, którzy zostali skierowani do obrony baszt i murów Verueli i wciąż się przemieszczali, żeby zająć najlepsze stanowiska do walki.

Marta miała przy sobie Marię i Iguazel, była tam też żona kowala i ciotka Francisca, której nie zamykały się usta. Jakby miały jakikolwiek wpływ na to, co się wydarzy. Znała je prawie wszystkie, ale nigdy ich nie widziała tak przestraszonych. Strach malował się na ich przerażonych twarzach, wyzierał z ukradkowych spojrzeń, z każdego ruchu dłoni, a przede wszystkim z tego, co mówiły. Rozmawiały o gwałtach, porwaniach, batach, a nawet o torturach, wieszaniu i krwi.

Wszystkie się bały tego, co miało się wydarzyć.

Brakowało tylko jednej: jej starszej siostry.

Nie było z nimi Eleny, stale jej szukała, ale jej nie znalazła. Pytała tych, co ją znały, czy ją gdzieś widziały, ale żadna nie powiedziała nic pewnego, kończyło się na jakichś niewyraźnych przypuszczeniach.

Gdzie ona się mogła podziać?

Przeczesaując teren wzrokiem, dostrzegła burego kota, który się im przypatrywał znad kanału. Wyglądało na to, że bawi go ta cała sytuacja, w pewnej chwili otworzył pyszczek i ziewnął.

Babka opowiadała jej historie o kotach, które były sprytne jak ludzie. Mówiło się o nich, że są bardzo zwinne, potrafią wyjść cało, spadając z wysokości, że łatwo się wylizują z wszelkich ran. Widziała koty,

którym brakowało łapy, koty bez ogona, spadające z dachu, wrzucane przez dzieciaki do ogniska, umykające przed agresywnymi psami. Miały niezwykle rozwinięty instynkt samozachowawczy, może dlatego nie bały się tak, jak kobiety stłoczone obok zagrody, i oceniały sytuację inaczej: jako jedną z tych, z których zdołają wyjść bez szwanku. Pewnie dlatego ten buras uważał, że lepiej się spokojnie wylegiwać i czekać zamiast rzucać się do ucieczki.

Spojrzała w lewo, w prawo – nikt ich nie pilnował. Odłączyła się od grupy kobiet i powędrowała w stronę zabudowań klasztornych.

Oczekiwanie się przedłużało i noc zapadała bezlitośnie. Brat Cipriano obserwował w skupieniu zastępy nieprzyjaciół. Ich przeciwnicy zachowywali się spokojnie, obojętnie.

– Gdzie ten notariusz? – czas się kończył.

Dziekán Estéban dostarczył wóz z baryłkami wina do bramy, po czym wycofał się do klauzury. Brat Cipriano był jedynym mnichem, który pełnił wartę na murach razem z oblatami, nowicjuszami, służbą i wyznaczonymi wieśniakami.

Rozkazał otworzyć bramę i polecił czterem ludziom dostarczyć wózek z winem jak najbliżej Francuzów. Wracali biegiem, ścigani obelgami i kpinami wrogów, którzy z radością powitali ową zaliczkę przyszłych łupów.

Napięcie rosło do granic wytrzymałości, wyczerpanie było widoczne na twarzach wszystkich obrońców. Nagle jeden z ludzi stojących na wieży odsunął się od innych o parę kroków i zwymiotował na tych, co byli poniżej, na murach.

Potężny wybuch śmiechu wyrwał się z gardeł wszystkich obrońców, gdy tymczasem poszkodowani przeklinali nieszczęśnika, pnąc się po schodach, żeby dać mu porządną nauczkę. Ten zdecydował się ratować ucieczką i skoczył z wysokości, padając na jednego z uzbrojonych wieśniaków, i potoczył się po ziemi.

„Żałosny widok”, jęknął w myślach brat furtian. Wiedział dobrze, że to nie żadni żołnierze, tylko garstka przerażonych, kiepsko

uzbrojonych chłopów. Nie wystarczy wziąć miecz do ręki, żeby być żołnierzem; przede wszystkim potrzeba odwagi, żeby nim walczyć i być zdolnym do zabijania wrogów.

Kiedy brat furtian ponownie popatrzył na pole, wszystko się tam odmieniło.

Zadzwieczał róg bojowy, a po nim wiele innych, a gdy ogarnął wzrokiem białe kompanie, te już maszerowały naprzód. Wtem dzwony z wieży zabiły głośno, jednak to nie był sygnał alarmu, tylko wezwanie na modlitwę, co zmieszało wszystkich obrońców Verueli.

– Co się dzieje? Czy dzwonnik stracił głowę? – mruknął Jednooki stojący obok brata Cipriana.

– O czymś nas chce powiadomić...

– Ale o czym? Przecież widzimy, że nas atakują, dobrze się wybrali z tym dzwoniem – Jednooki pogardliwie machnął ręką.

– Nie, dzwony nie biłyby w ten sposób, żeby odwrócić naszą uwagę od ataku, tu musi chodzić o coś innego – brat furtian próbował sięgnąć spojrzeniem w dal, poza wojska najemników.

– Ojczy! Ojczy! – zawołał któryś z oblatów z drugiej wieży – patrzcie tam! – i wskazał w kierunku wschodniego skrzydła murów.

Obrońcy na tamtym odcinku podskakiwali i wymachiwali ramionami.

– Jednooki, pójdziesz ze mną – brat Cipriano zszedł z wieży i ruszył ku wschodniej flance.

Przeszli obok grangii przy bramie i trzymając się cały czas przy kurtynie muru, jedną za drugą, mijali wieżyczki wartownicze. Doszli wreszcie do portalu, gdzie była grupa licząca tuzin wieśniaków uzbrojonych w sierpy i toporki, których zaskoczył widok mnicha. Ten skierował się prosto ku schodom, na wieżę przeznaczoną do obrony tego ciasnego przejścia, obsadzonego przez trzech mężczyzn wyposażonych w hełmy i miecze. Ten, który górował wzrostem nad towarzyszami, podniósł rękę i wskazał przed siebie.

Mnich nie mógł uwierzyć własnym oczom: nadchodziła stamtąd ustawiona w szyku kolumna dwójkowa, poprzedzana przez jeźdźca.

– Otwierać bramę! Żywo! – zawołał do ludzi na dole.

Natychmiast wypełnili rozkaz i oto, jeden po drugim, łucznicy wkroczyli do Verueli.

– Przysyła mnie dowódca zamku Trasmoz, przybywamy z pomocą obrońcom Verueli.

– Niech was Bóg błogosławi!

– Nasz wódz żąda w zamian spełnienia obietnicy, jaką nam złożył ten człowiek – wskazał na Atilana, który pojawił się dokładnie w tym momencie – zdejmiecie klątwę, którą wasz opat obłożył osadę i zamek Trasmoz przed stu laty.

– Uczynimy to – bratu Cipriano uśmiech nie schodził z ust na widok wkraczających łuczników – Ilu ludzi prowadzicie?

– Czterdzieści łuków i dwanaście kusz. Stać! – i nowo przybyły podniósł ramię.

Łucznicy natychmiast się zatrzymali i ustawili w szereg przed swoim kapitanem.

– Podzielcie się na dwie kompanie, pierwsza ma się udać na krenelaż, a druga zostanie na ziemi, za bramą. Marsz!

Wszyscy pospieszyli bronić murów klasztoru.

Bizén patrzył z prawdziwą odrazą, jak aptekarz odrywa kolejne pijawki, pomagając sobie świecą, którą najpierw rozgrzewał miejsce na ciele, potem smarował je olejem, wreszcie szczypcami wyciągał stworzenie. On musiał asystować mnichowi, trzymając naczynie, do którego tamten wrzucał, jednego po drugim, te obrzydliwe robaki, które opite krwią opata, wiły się z łakomstwa.

Ostatnia pijawka była silnie wczepiona w twarz opata i na próżno zbliżał do niej świecę i ciągnął szczypcami – nie udawało mu się jej wyciągnąć.

– Co się dzieje? – niecierpliwił się Bizén.

– Czasami, kiedy są jeszcze głodne, trudno je odczepić.

– Nie mamy czasu – notariusz odłożył naczynie z pijawkami na stół. –

Opacie, czy mnie słyszycie?

Człowiek, który sprawował najwyższą władzę w Verueli, nawet na niego nie spojrział. Bizén ponawiał próby, ale daremnie. Wreszcie chwycił go za podbródek i obrócił jego głowę w swoją stronę.

– Opacie, jestem notariuszem królewskim, nazywam się Bizén de Ayerbe – powiedział dobitnie. – Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Białe kompanie zaatakują klasztor, nie zdołamy go obronić, czy mnie słyszycie?

Twarz tego zgnębnego człowieka nie przybrała żadnego wyrazu, usta nie wydały najmniejszego dźwięku. Bizén patrzył, jak pijawka się wije, wsysając w siebie krew.

– Usuńcie to, na Boga żywego!

Aptekarz zbliżył się ponownie, mocno ścisnął pijawkę szczypcami, przybliżył do niej płomień świecy, pasożyt się zwinął. Mnich przysunął świecę jeszcze bliżej i pociągnął. Wreszcie udało mu się oderwać pijawkę.

W tym samym momencie opat jakby się ocknął ze snu, otworzył usta, krztusił się, chwycił się dłońmi szat Bizéna.

– Francuscy najemnicy otoczyli Veruelę, wkrótce tu wtargną, słyszycie mnie?

– Czego chcą? – zapytał ledwie słyszalnym głosem.

– O, Bogu niech będą dzięki! – na twarzy Bizéna pojawił się cień nadziei. – Mówią, że w klasztorze ukrywa się Anglik, szpieg – odpowiedział. – Jeśli go wydamy, odejdą.

– Jaki znów Anglik?

– Nie wiem, myślałem, że wy wiecie, opacie.

– Nie, nic o tym nie wiem.

– Przecież to niemożliwe, jak możecie nie wiedzieć?

– Słuchajcie, macie moją zgodę, róbcie, co trzeba – wyszeptał z trudem.

– Znajdźcie tego cudzoziemca i ratujcie Veruelę.

– Chyba wiem, kto może mi pomóc.

– Byle nie weszli do Verueli, jest mi obojętne, jakich użyjecie środków



– znów opadł bezwładnie na posłanie.

Bizén zostawił go w spokoju, jednak przed wyjściem z komnaty o czymś sobie przypomniał. Rozejrzył się i zobaczył srebrny kufer. Podeszedł i podniósł jego wieko. Był pusty. Wydało mu się podejrzanym, że tak pilnie strzeżony przedmiot nic nie zawiera, ale teraz nie mógł tracić na to czasu.

Marta doszła do domu gościnnego i przyszło jej do głowy, że może tam znajdzie siostrę. Bardzo ostrożnie weszła do budynku. Pamiętała go dobrze. Poza tym była świadoma, że nie natknie się tam na nikogo, przecież wszyscy byli zajęci obroną murów. A jednak z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć, przeczuwała, że jest inaczej. Że jej siostra Elena nie jest tam sama.

Powoli weszła po schodach na piętro. Doszła do korytarza i ruszyła prosto w stronę celi, której szukała. Była zamknięta, zdawało się, że w pobliżu nie ma nikogo. Przyłożyła ucho do drzwi, z wnętrza nie dobiegał żaden odgłos.

„Co teraz?”, rozmyślała.

Wówczas usłyszała jakiś hałas od strony schodów, potem zdecydowane kroki. Rozejrzała się za jakimś ukryciem, przywarła do ściany w mrocznym rogu.

Ze swojej kryjówki dostrzegła zbliżającą się samotną postać, potem kroki zaczęły się oddalać i odetchnęła z ulgą. Niestety, po chwili znów rozległy się blisko i niewyraźna postać powróciła.

To nie była jej siostra.

Sylwetka była teraz lepiej widoczna, spostrzegła, że idzie w stronę jej kryjówki, a następnie skręca w inną stronę. Wtedy go poznała.

– Bizén!

Mężczyzna się odwrócił, był zaskoczony, ale kiedy ją zobaczył, jego twarz zajaśniała radością.

– Co wy tu robicie?

– Oni przyszli po cudzoziemca, prawda? – zapytała Marta.

- Skąd wiecie?
- Ten człowiek nie powinien być tu zamknięty.
- Marto, musicie mnie zaprowadzić do miejsca, w którym go zamknęli
- Bizén chwycił ją za ramiona – to jedyny sposób, żeby ocalić Veruełę.
- Dobrze, chodźmy! To tutaj – wyciągnęła do niego rękę, a Bizén mocno ją uchwycił.

Marta próbowała się nie zarumienić. Czuła, jak on ściska jej dłoń i to było miłe. Dziewczyna poprowadziła go jednym z korytarzy, skręcili raz i drugi i stanęli pod zamkniętymi drzwiami. Bizén napał na nie, ale nie ustąpiły. Szarpnął z całych sił – bez skutku. Cofnął się o parę kroków i spojrzał na nie w zamyśleniu.

Martę zdziwiło to zachowanie.

Podszedł do ściany i wziął stojący tam świecznik, podniósł go oburącz i jego podstawą uderzył w zamknięcie drzwi, powodując straszny hałas. Powtórzył to jeszcze raz i znowu, ale bez powodzenia. Zmienił technikę i kopnął w to samo miejsce. Drzwi lekko się ugięły, więc znów uderzył w nie butem. Odstawił świecznik na podłogę i zebrał siły do nowego kopniaka, który nareszcie przyniósł pożądany efekt: drzwi puściły.

Bizén stanął, ciężko oddychając po tym wysiłku.

- Nic wam nie jest? – zaniepokoiła się Marta.
- Wszystko dobrze, zostańcie tutaj.

Bizén zaczerpnął nieco powietrza i zniknął w celi. Marta się zawahała, ostrożność podpowiadała, żeby zaczekać. Wkrótce się pojawił, wyszedł tymi samymi drzwiami, prowadząc więźnia, którego podtrzymywał w pasie. Marta zobaczyła, że twarz tego człowieka zakryta jest maską.

- Pomóżcie mi – poprosił, a ona z drugiej strony podparła więźnia, który ledwie trzymał się na nogach.

Poprowadzili go do schodów, zeszli na dół i wyszli z budynku.

Jednooki patrzył na pole. Białe płaszcze najemników i ich sztandary z wizerunkiem dwugłowego orła rosły w oczach. Wiedział przecież, że ich konie nie przeskoczą murów Verueli.

„Po co oni tak galopują? Toż to nie ma żadnego sensu”, rozmyślał.

Tak czy owak Francuzi szybko się zbliżali, a łucznicy czekali z napiętymi cięciwami.

Jednooki widział błysk zbroi i hełmów, zdawał sobie sprawę, że strzały nie przebiją tych pancerzy, i ciągle nie pojmował, czemu ma służyć ten pęd jeźdźców ku murom obronnym.

To stało się nagle, manewr został wykonany perfekcyjnie: ariergarda natarcia rozdzieliła się na dwoje, jeźdźcy zaczęli otaczać mur skrzydłami jak rzeka, która natknąwszy się na górę, rozdziela się na dwie odnogi i obejmuje ją pierścieniem.

Zaskoczeni obrońcy patrzyli, jak dwa długie szeregi kawalerii ustawiają się w szyku równolegle do kurtyn muru.

Wówczas zjawili się oni, grupa licząca co najmniej trzydziestu piechurów, ukrytych za ogromnymi tarczami. Posuwali się ku bramie barbakanu równym szeregiem, jakby byli ze sobą zrośnięci. Za nimi postępował tuzin kuszników pod osłoną jeszcze większych tarcz niesionych przez ich towarzyszy. Świsnęły w powietrzu pierwsze bełty i łucznik stojący u boku Jednookiego został trafiony z taką siłą, że zwałił się na bruk wewnątrz murów obronnych. Jego towarzysze natychmiast ukryli się za merlonami krenelaża, a tymczasem tamci parli naprzód bez spoczynku. W zamieszaniu, jakie zapanowało, Jednooki dostrzegł łeb tarana. Było za późno, rozpędzona kłoda uderzyła z potwornym impetem w bramę barbakanu.

Ludzie, którzy bronili tego wysuniętego przyczółku, zrzucili na szturmujących wszystko, co mieli w zasięgu rąk, ale tarcze osłaniały ich szczelnie ze wszystkich stron i taran znów się rozpędził i uderzył. Kusznicy zdążyli tymczasem ponownie załadować broń, a bełty siały spustoszenie wśród załogi na murach.

Rozejrzał się za bratem Ciprianem, który próbował zapełnić owe wyłomy w obronie.

Kapitan Trasmoz podniósł ramię i jego podkomendni wystrzelili jednocześnie, bacząc, by ich strzały trafiły w miejsca nieosłonięte

tarczami. Ponownie dał znak i wówczas wystąpił naprzód drugi szereg łuczników, co zaskoczyło najemników; celne strzały dosięgły wielu kuszników wroga. Ci, którzy przeżyli, porzucili broń i pod osłoną ogromnych tarcz dołączyli do obsługi tarana, który dzięki ich pomocy zwiększył siłę rażenia i podczas kolejnej próby rozłupał belkę blokującą bramę i drzwi puściły.

– Uciekajcie! – wrzasnął Jednooki do towarzyszy tam, w dole. – Do klasztoru!

Ale brama pozostała zamknięta.

– Ojcie Cyprianie! Wydajcie rozkaz!

Zakonnik spojrzał na niego, ale nie rzekł słowa.

– Oni zginą...

Nie odpowiadał.

– Otwórzcie przynajmniej małą bramę! Szybko!

Nie wydał rozkazu. Francuzi wpadli jak huragan, siekąc wszystko, co napotkali na drodze, przelewając tyle krwi, że całe wejście do klasztoru zabarwiło się na czerwono, nawet wizerunek świętego Bernarda był zachlapany, twarz świętego ociekała krwią, jakby i on poniósł śmierć.

Atilano stanął przy nim i patrzył na natarcie Francuzów.

– Trzeba ich powstrzymać.

– Robimy, co możemy – odpowiedział Jednooki.

– To nie dosyć, nie uda nam się.

– Oczywiście, że się uda! Założysz się o dwa dzbanki wina, że nie wejda? – zwrócił się do niego długowłosey olbrzym.

– Przegrasz.

– To się okaże.

Taran wjechał do barbakanu i bez przeszkód sunął do głównej bramy, która była lepiej osadzona i twardsza. Poza tym obrońcy umocnili ją od wewnątrz pniami i belkami, a cała ich gromada ustawiła się w gotowości, żeby własnymi ramionami amortyzować uderzenia. Z wierzy bramnej posypał się na szturmujących deszcz kamieni. Łucznicy

zmierzili się do strzału, celując w pachy i inne słabiej osłonięte części ciała napastników. Udało im się powalić wielu Francuzów, jednak wrogowie wciąż pchali taran, który właśnie się cofnął, by nabrać rozpędu do kolejnego uderzenia w wielką bramę.

Elena dostrzegła niezrównaną okazję, żeby pomyszkować po klasztorze. Skoro prawie wszyscy mężczyźni byli skupieni przy obronie murów, któż by zwracał uwagę na wesołą młódkę, zdążającą pewnym krokiem ku sercu Verueli. Jeśli najemnicy sforsują mury klasztoru, to wszystkim kobietom pisany jeden los. A jeśli nie, to sprawy wrócą do dawnego stanu, co również nie było pocieszającą perspektywą. Wszystko, czego pragnęła Elena, to wyrwać się z tego miejsca. Ale nie była naiwna, dobrze wiedziała, że potrzebna jej pomoc i środki.

Gdzie ich szukać?

Właśnie to pytanie zaprzętało jej umysł, podczas gdy mury, za którymi się chroniła, spływały krwią obrońców.

Zobaczyła portal kościoła i budowlę, która rozciągała się na prawo od świątyni. Poszła wzdłuż jej fasady i dotarła do drzwi. Wyobrażała sobie, że będą zamknięte, jednak z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że jest inaczej.

W środku otwierał się korytarz oświetlony blaskiem dwóch pochodni. Po obu jego stronach znajdowały się szerokie drzwi, u jego końca były jeszcze jedne. Kierując się intuicją, otworzyła drzwi po prawej. Pachniało winem, które pijali mężczyźni. Weszła do podłużnego pomieszczenia, wypełnionego drewnianymi beczkami, workami i narzędziami do uprawy roli.

Pomyślała, że tu nie znajdzie tego, czego szuka. Nie chcąc marnować czasu, obróciła się, gotowa do wyjścia. Wówczas usłyszała jakiś dziwny szmer, dobiegający z głębi. Pokonała ją ciekawość, wróciła na środek izby.

To znów się rozległo.

Zagłębiła się w tym wnętrzu, stąpając wolno, cichutko, pomiędzy szeregami beczek. Przystanęła i nadstawiła ucha.

Odgłos się powtórzył, na prawo od niej. Zrobiła parę kroków w tym kierunku i ostrożnie wychyliła głowę.

Dostrzegła mężczyznę w brunatnym habicie, który, przykucnąwszy, grzebał w ziemi jakimś metalowym narzędziem. Wydłubał już głęboką jamę i dalej wyciągał ziemię, usypując wokół otworu ciemny kopczyk.

Elena przyglądała mu się z mieszaniną ciekawości i zdumienia. Nie rozumiała do końca, co robi ten człowiek. Wreszcie przerwał pracę, odłożył nóż, którym dłubał w ziemi, i zanurzył obie ręce w otworze. Teraz wyciągał ziemię dłońmi. Po chwili przerwał tę czynność i wydobył tobołek zawinięty w ciemne płótno.

Uśmiechnął się.

Położył znalezisko na ziemi i rozsypał węzeł, a wówczas blask monet rozzarzył pragnienia jasnowłosej dziewczyny.

## Taran

**K**amienie odbijały się od tarcz, a strzały łuczników nie przynosiły wystarczającego efektu, toteż brat Cipriano wydał rozkaz i grupa poddanych zrzuciła gliniane naczynia, które rozbiły się o tarcze napastników, wylewając na nich swą zawartość. On sam chwycił pochodnię i cisnął na ciżbę pod bramą. W kontakcie z ogniem ciecz się zapaliła i płomienie szybko się rozprzestrzeniły. Rozległy się okrzyki bólu i wielu Francuzów, ogarniętych żywym ogniem, uciekło od tarana.

Radość rozlała się po obliczu Jednookiego, wybuchnął śmiechem.

– A widzisz, Atilano? Co ci mówiłem? – śmiał się w najlepsze. – Jesteś mi winien dwa dzbanki wina.

– Chcesz podwoić stawkę?

– Co takiego? Cha, cha – uradował się tamten – doskonale! O co chcesz się założyć?

– Podwójna stawka albo nic. Zakładam się, że wycofamy się do kościoła jeszcze przed zachodem słońca – zaproponował Atilano.

– Oszalałeś? Patrz na ten taran, już jest nasz.

– Podwójna stawka albo nic z tego.

– Cztery dzbanki wina! – Jednooki oblizał wargi, wyobrażając sobie taką ilość trunku w ustach. – No to się upiję, znakomicie.

– Tak będzie, jeśli wygrasz.

– Cha, cha – Jednooki nie mógł powstrzymać śmiechu – przyjmuję. Ten wóz wina, który przywieźli mnisi, będzie cały dla mnie.

Na zewnątrz kompania licząca z pół setki francuskich łuczników ustawiła się w szyku wokół bramy barbakanu. Nie wyglądali tak groźnie jak konnica, która zajęła pozycje wokół murów, ani jak formacja,

która pchała taran, ale było ich wielu i natychmiast przystąpili do ostrzału. Atak był zawzięty; zajęci taranem obrońcy nie zdążyli się ukryć za merlonami krenelaża i większość strzał sięgnęła celu. Krzyki bólu obiegały cały chodnik wartowniczy; jeden z nich padł u stóp Jednookiego z szują przeszytą strzałą na wylot.

Atilano przeczekiwał ten deszcz pocisków przykucnięty za merlonem, patrząc, jak ugodzeni towarzysze wiją się z bólu.

– Jest gorzej, niż się spodziewałem – mruknął.

– A niech to zaraza! – biadolił Jednooki.

– Z winem raczej możesz się pożegnać.

– Bogać tam wino! Francuzi wybiją nas do nogi!

Taran znów gruchnął w bramę, a załogę na murach ogarnął strach.

– Co robimy? – zapytał Jednooki.

– Nie wiem – Atilano rozglądał się za przejściem, ale chodnik na murach był pełen trupów, rannych i konających.

W tej właśnie chwili do baszty lewego skrzydła, która strzegła dostępu do bramy, zaczęły się podnosić dwie potężne drabiny i najemnicy przystąpili do ostatecznego szturmu.

– Jak mogliśmy ich nie spostrzec? – brat Cipriano wziął głęboki oddech i zaniósł błaganie do nieba. – Oby nie weszli! Słuchajcie mnie, Bóg patrzy na nas z wysokości, Bóg nam ufa, nie możemy go zawieść!

Kiedy wymawiał te słowa, pierwsza drabina oparła się na krenelażu, a gdy obrońcy rzucili się, by ją odepchnąć od muru, pół tuzina strzał położyło ich trupem. Towarzysze nie chcieli podzielić ich losu; osłonięci tarczami czekali, aż pierwszy Francuz wychynie zza merlonu.

Ta chwila rozrosła się w nieskończoność.

– Co wy wyprawiacie? Zepchnijcie ją, bando tchórzy!

W owym momencie pojawił się ponad murem potężny rycerz w hełmie o kształcie ptasiego dziobu, z niewiarygodnych rozmiarów maczugą, która roztrzaskała dwie pierwsze głowy, jakie znalazły się w jej zasięgu, jakby to były dynie w ogrodzie. Jednym skokiem wylądował na murze, rąbnął trzonem swojej maczugi kolejnego



człowieka, który ośmielił się stanąć na jego drodze i poprawił uderzeniem głowy, które zmiażdżyło tamtemu nos. Z prawej strony nadbiegli jeszcze dwaj obrońcy, którym zgruchotał czaszki jednym ciosem. Zwrócił się znów na lewo i tam napotkał miecz brata Cipriana, który zagłębił się w jego boku na dłoń.

Francuz ryknął i uderzył mnicha głową, przewracając go na stos trupów piętrzący się na murze. Najemnik podniósł przyłbicę i oczyma błękitnymi jak samo niebo przyglądał się mnichowi, który odważył się go zaatakować, podczas gdy kolejni Francuzi pięli się po drabinach.

Mocno chwycił oburącz swoją maczugę i opuścił ją na mnicha. Ten ledwie zdołał się wywinąć, przetoczył się po chodniku i zerwał się na nogi. Z mieczem w ręku zrobił dwa wypady, które najemnik z trudem zablokował, odpowiadając kolejnym, wymierzonym w głowę duchownego ciosem maczugi. Ten jednak się pochylił i barkiem uderzył napastnika w żołądek z taką siłą, że Francuz zatoczył się do tyłu, uderzając plecami w blanki. Kiedy się otrząsnął, ujrzał sztych miecza zmierzający ku swej szyi. Zdążył zatrzymać atak przedramieniem, po czym natychmiast postąpił o krok naprzód i rąbnął przeciwnika maczugą w pierś. Brat Cipriano stracił równowagę i zachwiał się, spoglądając w pustkę z wysokości muru, ale utrzymał się na nogach. W tej chwili maczuga spadła na oblicze mnicha, zatrzęszczała czaszka i głowa brata Cipriana przemieniła się w bezkształtną miazgę krwi, ciała i kości.

Poniżej zawiasy głównej bramy opactwa zatrzęszczały od nowego uderzenia tarana.

– Nie wytrzyma długo – na twarzy Jednookiego pojawiło się przerażenie.

– Jeśli brama puści, to po nas – Atilano wychylił się zza merlonu i strzała drasnęła go w skroń. – Mam pomysł. Chodź za mną.

Przedarł się po murze na kolanach i zszedł po schodach do bramy.

– Otworzymy ją.

– Co ty gadasz? – zawołał jeden z tych, co podtrzymywali stemple

umacniająca bramę.

- Albo się rozprawimy z łucznikami, albo nikt z nas nie dożyje jutra.
- Ale kawaleria nas rozniesie.
- Musimy zaryzykować.
- Brat Cipriano się na to nie zgodzi – zaprotestował ten sam człowiek.
- Boję się, że dla niego już za późno. Ty wiesz, gdzie on jest?
- Atilano – tamten zaczynał mięknąć – jesteś pewien, że to dobry

pomysł?

– To nasza jedyna szansa, no ruszać się! – i podniósł ramię. – Wszyscy za mną! Teraz albo nigdy!

Mężczyźni stanęli za nim i na jego znak uwolnili belkę i usunęli stemple, które służyły jej za podparcie. Dwuskrzydłowe drzwi rozwarły się ku zaskoczeniu napastników i z wnętrza Verueli wypadli, niby gromada dzikich wilków z Moncayo, Atilano ze swoimi ludźmi. Na początku zmiotli tych, którzy pchali taran i nie mieli chwili, żeby pomyśleć o obronie. Później rzucili się na łuczników, a choć ci mieli już więcej czasu i niejeden zdążył napiąć łuk i wycelować, gromada była tak liczna, że nie dali jej rady.

Atilano, mocno dzierżąc miecz w dłoniach, rozpruł na całą szerokość brzuch pierwszemu z łuczników, jaki mu się nawinął. Drugiemu zatopił sztych w gardle tak głęboko, że musiał szarpnąć oburącz, żeby go wyciągnąć. Trzeci porzucił łuk i zmierzył się z nim z mieczem w ręku, wymienili jedno uderzenie, drugie, aż z głowni posypały się iskry, wreszcie Atilano się pochylił i wyciągnął ramię na całą długość, żeby zranić przeciwnika w udo; tamten, osłabiony, nie zdołał się obronić przed kolejnym atakiem i Atilano trafił go w szyję.

Wycieńczony tym przelewem krwi spostrzegł, że większość łuczników leży martwa lub ciężko ranna. Obok Jednooki dobijał leżącego, wypychając mu miecz w usta, nieco dalej zobaczył ku swojemu zaskoczeniu, jak kowal Pedro maczugą miażdży łeb innego wroga.

Pół tuzina łuczników umykało w przerażeniu i właśnie wtedy wychynęły z za nich płaszcze jeźdźców białych kompanii.

– Odwrót! – huknął Atilano gniewnie – Do bramy, biegiem!

Zuchwałe oblicza sprawców tej krótkotrwałej wiktorii zbyt szybko przybrały wyraz trwogi przed tymi, którzy przybywali w galopie. Jeźdźcy Bertranda du Guesclin gnali ku nim z takim impetem, że ziemia drżała pod nogami uciekających. Odwrót był chaotyczny, ludzie się przepychali i padali, obrońcy z wieży nie robili nic, żeby ich osłonić, zaczęto zamykać bramę klasztorną, nie czekając ich powrotu.

Jednooki przeskakiwał przez trupy, wyminął taran, wpadł w bramę i odetchnął, kiedy znalazł się po tamtej stronie. Kiedy się obrócił, zobaczył, że już dopychają skrzydła i szykują się do założenia stempli. Razem z nim wpadło do wnętrza jeszcze czterech, ale nie było wśród nich Atilana. Jednooki wstał i wrócił do bramy.

– Czekajcie! Jeszcze brakuje naszych.

– Za późno – odpowiedział jeden z obrońców z zakrwawioną twarzą. – Pomóż nam, no już!

Jednooki rzucił okiem na zewnątrz i ujrzał francuskich jeźdźców wpadających do barbakanu; jął posłusznie pchać co sił skrzydła bramy, które się wreszcie zawarły.

– Zakładać sztabę! Żywo!

Ledwie długa, drewniana belka spoczęła na zaczepach, potężne uderzenie z zewnątrz sprawiło, że skrzydła, których nie zdążyli jeszcze podeprzeć stemplami, rozwarły się na całą szerokość.

Brama padła, byli zgubieni.

Na zewnątrz, Atilano, rozciągnięty na ziemi i samotny, mógł się jedynie osłaniać ramionami przed szarżą kawalerii.

Wtem rozległ się głos rogu i z północy poczęła się zbliżać chmura pyłu. Najemnicy cofnęli się i ustawili w linii, by bronić tego skrzydła. Wnet dało się rozróżnić emblemat zakonu świętego Jana na sztandarach, to joannici przybywali opactwu na odsiecz. Kawaleria zakonu szpitalników natychmiast uformowała się w wydłużony szereg, zajmując całe zbocze w pobliżu Francuzów.

Najemnicy zaś przerzucili swoich łuczników na pierwszą linię, znosząc

jednocześnie z pola bitwy tych, co padli podczas szturm na barbakan.

Jednooki podszedł do Atilana i pomagał mu pozbierać się z ziemi. Był wyczerpany, obolały, zaschło mu w ustach. Z trudem trzymał się na nogach, dyszał ciężko, na jego twarzy malowało się cierpienie.

– Co się dzieje? – zapytał, gdy udało mu się wstać.

– Wycofują się, joannici są bardzo groźni.

– Jak to się wycofują? Nie pojmuję tego!

– Przeżyliśmy, to się liczy – odrzekł Jednooki – wielu innych nie może tego o sobie powiedzieć.

Wdrapali się znowu na jedną z baszt strzegących Verueli. Z krenelaża widzieli, jak białe kompanie odstępują od murów, zabierając swoich rannych i poległych. Tymczasem jakiś człowiek wchodził samotnie w mury barbakanu.

– To notariusz królewski – rozpoznał go któryś z obrońców.

– Co się, do licha, stało? – zapytał inny, ledwie trzymający się na nogach.

– Już po wszystkim, już dostali to, po co przyszli, nie będzie więcej rozlewu krwi.

– Ten człowiek właśnie dokonał cudu! – wykrzyknął Jednooki. – Ocalił nam wszystkim życie. To on uratował Veruelę!

Elena zdała sobie sprawę, że otwiera się przed nią szansa, której pragnęła od tylu lat. Oblat zawiązał węzełek z monetami, podniósł się i nogami zgarnął ziemię do otworu, a potem udeptał to miejsce, żeby nie zostawiać śladów, po czym ruszył do wyjścia.

Dziewczyna musiała coś zrobić, bo gdyby mu pozwoliła po prostu odejść, okazja do zdobycia monet pewnie by się nie powtórzyła.

Zanim się zdecydowała na jakiś krok, drzwi się otworzyły i wszedł inny mnich, w białym habicie z czarnym szkaplerzem. Oblat zareagował natychmiast – wcisnął zawiniątko za jedną z beczek.

– A co wy tu robicie? – zapytał przybyły.

– Nic takiego, sprawdzałem, czy w *cellarium* wszystko w porządku.

– Powinniście bronić murów – napomniał go tamten surowym tonem.  
– Tak, właśnie się tam wybierałem.  
– Bracie Prudencio, co z wami? Czemu jesteście tacy niespokojni?  
– Nie, nic mi nie jest. Czemu o to pytacie? – odpowiedział oblat.  
– Macie bladą twarz i wyglądacie na zdenerwowanego. Na pewno nic wam nie dolega? Boicie się Francuzów, zgadłem?

– Szczerze mówiąc, tak. Żyję jedynie po to, by modlić się do Boga, Pana naszego – odrzekł oblat. – Nie pojmuję, jak inni chrześcijanie mogą napadać na tak święte miejsce, jak Veruela.

– Macie rację, ale nie martwcie się, ja nie powiem nikomu o tym, co widziałem, tylko co prędeż udajcie się na mury.

– Udam się tam niezwłocznie. Dziękuję wam, bracie Bartolomé.

Oblat nie miał innego wyjścia, jak pozostawić swoją zdobycz za beczką. Obydwaj zakonnicy wyszli z pomieszczenia. Elena nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Opuściła swoją kryjówkę i skierowała się prościutko ku beczce. Rozwiązała płótno i spojrzała. Było tam ze czterdzieści złotych monet, na których wybito różne znaki.

Chwyliła w palce jedną z najbardziej błyszczących; jeszcze nigdy nie trzymała w dłoni monety, a szczególnie ze złota. Obejrzała ją w skupieniu, była przepiękna!

Wyszła ze swoim łupem z *cellarium* i usłyszała jakieś kroki, zbliżające się od strony pierwszego korytarza klauzury. Pobiegła w przeciwnym kierunku, sama nie wiedząc dokąd. Dotarła do drzwi, uchyliła je i spostrzegła, że prowadzą do kościoła, ale nie ośmieliła się tam wejść. Z drugiej strony korytarza znów usłyszała zbliżające się kroki, zaczęła więc poszukiwać innej drogi ucieczki.

Ruszyła przez klauzurę wzdłuż ściany graniczącej z kościołem i doszła do kolejnego zakrętu, kiedy jednak wyjrzała zza rogu, dostrzegła dwie postaci. Zatrzymała się, zanim mogły ją spostrzec i czując, że jest osaczona, postanowiła przeskoczyć na wewnętrzny dziedziniec. Ukryta wśród zieleni, która tam rosła, skierowała się w przeciwną stronę i ponownie skoczyła do korytarza. Nagle stanęła jak wryta. Przed sobą

miała wyjście, ale stało w nim dwóch mnichów, była w pułapce.

W tej chwili czyjaś ręka zatkała jej usta i czyjeś ramiona wepchnęły ją do jakiejś izby. Drzwi się za nią zamknęły.

– Spokojnie, to ja.

Elena się odwróciła i jej wzrok spotkał się z oczyma brata Hugo.

– Ja...

– Sza. Spostrzegłem was z przeciwnej strony klauzury i natychmiast was rozpoznałem – dotknął kosmyka swojej jasnej czupryny. – Niewiele osób ma złote włosy, prawda?

– Tak – odpowiedziała przestraszona.

– Co wy tu robicie?

– Atakują nas, chciałam się skryć...

– W klauzurze?

– Tak, przepraszam, ja nie chciałam...

– Nie trzeba się bać, jestem rad z tego spotkania – oświadczył mnich. – My dwoje mamy do pogadania, jest coś, o czym powinniście się dowiedzieć.

DZIEŃ SZÓSTY

POLEGLI

## Wyznania

**M**imo że białe kompanie nie weszły do Verueli, zniszczenia były poważne, a straty w ludziach liczne. Dom gościnny został zaadaptowany do potrzeb szpitala i ustawiono w nim łóżka dla rannych. Brat aptekarz z pomocą grupy konwersów kurował za pomocą maści, opatrunków i wywarów ciżbę poszkodowanych, którzy się tam tłoczyli.

Gdyby najemnicy wdarli się do środka, konsekwencje byłyby nieporównanie bardziej opłakane, jednak ani jeden z obrońców barbakanu nie uszedł z życiem.

Po zewnętrznej stronie fortyfikacji największemu zniszczeniu uległ erem dla cudzoziemców oraz obydwie bramy: do barbakanu i główna, w wieży bramnej. Ekipa dowodzona przez brata Timoteo wykonywała najpilniejsze naprawy. Brat architekt żwawo wydawał polecenia, tryskał taką energią, że odnosiło się wrażenie, jakby nawet głuchota nieco mu przeszła.

Najgorsze mieli za sobą, zdawało się, że Veruela zdoła się podźwignąć po tym nieszczęściu w oparciu o własne zasoby, bez żadnej pomocy zewnętrznej.

To nie Kawalerowie Świętego Jana uratowali klasztor. Dokonał tego Bizén, który nie okazując trwogi wyszedł z obrębu murów zachodnią bramą i śmiało podszedł do dowódcy francuskich odwodów. Przekazał im więźnia, a napastnicy dotrzyмали warunków umowy i przerwali szturm.

Bizén wszedł do klauzury i w całkowitej ciszy i samotności pokonał odcinek galerii wzdłuż refektarza. Minął kolejny, przy sali kapitulnej,



po czym wszedł w drzwi dla mnichów. Przystanął przy jednym z kapiteli wyobrażających Hioba.

– Nigdy nie należy tracić wiary, prawda? – przemówił, spoglądając na rzeźbę – Rozumiem was, Hiobie, pojmuję, ile wycierpieliście i, szczerze mówiąc, nie wiem, czy byłbym do tego zdolny.

Poszedł dalej i popchnął drzwi do świątyni. Wewnątrz rozlegały się psalmy mnichów, czuwających nad ciałem brata Cipriana. Kroki Bizéna odbiły się echem w nawie głównej, zakłócając modły. Mnisi zamilkli, wymieniając między sobą zdziwione spojrzenia. Dziekan Estéban przyjrzał się wchodzącemu spod oka i oddalił się na chwilę od swoich braci, aby mu wyjść na spotkanie.

– Notariuszu, czy macie jakiś problem?

– Nie, dziekanie. Bertrand du Guesclin ma przed sobą długą podróż do Logroño. Powiedział mi, że oczekują go tam wojska Piotra I, zdetronizowanego króla Kastylji. Wspólnie powstrzymają uzurpatora i jego angielskich sprzymierzeńców.

– Enrique de Trastámara – wszedł mu w słowo dziekan Estéban – Kastylja ma dwóch królów, nie chcę myśleć, do czego ta sytuacja może doprowadzić. Ludzie pozwalają się zaślepić ambicji, to bardzo powszechna przypadłość – zawyrokował mnich.

– To prawda, wszystkich nas dotyka. W dniu Wszystkich Świętych przybędą rycerze naszego króla, żeby wzmocnić granicę – dodał Bizén.

– A wy skąd o tym wiecie?

– Tego też dowiedziałem się od du Guescuelina. W zasadzie Korona Aragońska nie uczestniczy w wojnie kastylijskiej, ale król umocnił granicę, żeby zabezpieczyć się przed wszelkimi zakusami z tamtej strony. Po opuszczeniu tych ziem przez Francuzów, w przypadku, gdyby Kastylijczycy bądź Anglicy zdecydowali się na najazd, zostalibyśmy sami, bez ochrony.

– Jestem wam wdzięczny za odwagę, jaką wykazaliście pertraktując z najemnikami. Oby wojna między chrześcijanami już nigdy nie zburzyła pokoju w Verueli...

– Obawiam się, że walki nie ustaną, póki nad Kastylią nie zapanuje jeden monarcha. I miejmy nadzieję, że nie będzie nim Piotr Okrutny.

– Przynajmniej, kiedy przybędą oddziały królewskie, nie będziemy się musieli lękać powrotu tych francuskich najemników – mruknął dziekan Estéban.

– Jeśli przysyłają wojsko, to znaczy, że monarcha obawia się najazdu. Nie znajduję w tych wiadomościach nic uspokajającego. A ci najemnicy przyjechali się upomnieć o Anglika, który był więziony w tutejszym klasztorze. Kto go uwięził?

– Tego nie wiemy – dziekan Estéban rozłożył ramiona na znak, że przemawia w imieniu wszystkich cystersów obecnych w opactwie.

– W Verueli był przetrzymywany angielski jeniec i nikt nic nie wie. Trudno w to uwierzyć. Przeor lub opat powinni być o tym powiadomieni.

– Przypominam wam, że już nie mamy przeora.

– A z jakiej przyczyny?

– To wewnętrzne sprawy naszej kongregacji – uciął stanowczo dziekan Estéban.

– Więzień miał na twarzy żelazną maskę, co miało go uciszyć, uniemożliwić krzyk w niewoli. To musiał być ktoś znaczny – zwrócił mu uwagę Bizén – Białe kompanie mogły zrównać całą Veruelę z ziemią.

– Rozumiemy okoliczności i cenimy wasze zaangażowanie i odważne czyny – oświadczył dziekan.

– Powiadacie, że cenicie moje czyny!

– Nie podnoście głosu, czuwamy nad naszym bratem Ciprianem – zganił go Cysters. – Tak. I weźcie pod uwagę, że ktokolwiek mógł go uwięzić.

– Cóż wy mówicie? – Bizén zawołał jeszcze głośniejszym głosem, żeby dać mnichom do zrozumienia, co myśli o takiej postawie – Macie w tych murach zabójcę, sprofanowany grobowiec, angielskiego więźnia, brata furtiana ze zmiążdżoną czaszką i aptekarza, który był bliski uśmiercenia opata.

– Sza – dziekan ujął go pod ramię – A wy? Czy nie kryjecie jakiejś tajemnicy?

– Co to za insynuacje?

– Trzeba być bardzo ostrożnym, kiedy się grzebie w najciemniejszych zakamarkach ludzkiego wnętrza, każdy ma tam miejsca, do których nie lubi zaglądać. Miejcie to na uwadze, notariuszu.

– Każdy?

Zapadła między nimi cisza długa jak wieczność.

– Aptekarz próbował jedynie wykurować naszego opata – zmienił temat dziekan Estéban – jego postępowanie nie odbiega od przyjętych metod, popełniliście wielką nieostrożność, przerywając zabieg medyczny w sposób, o którym dowiedzieliśmy się od naszego brata. Z waszej winy opat utracił świadomość i nie wiemy, czy ją odzyska.

– Jeśli to nazywacie kuracją, wolałbym umrzeć – Bizén wytrzymał spojrzenie mnicha.

– Powtórzyłem wam tylko, że trzeba być przezornym, kiedy się rzuca oskarżenia na ludzi – zwrócił się do niego poufnym tonem – brat aptekarz jest niezwykłym zakonnikiem. Został skierowany do naszego klasztoru po pewnych kłopotach, jakie miał w innym opactwie naszego zakonu.

– Kłopotach?

– To wybitny medyk, jednak jego metody nie zawsze są przyjmowane ze zrozumieniem. Pozwólcie mu działać, mam do niego większe zaufanie.

– To, co widziałem...

– Stosowanie pijawek jest doskonale uzasadnione w starożytnych traktatach i, wiercie mi, jest bardzo niewielu medyków, którzy znają się na tej praktyce lepiej od naszego brata aptekarza.

– Nie zamierzam się teraz o to spierać z wami – Bizén nie chciał się upierać – Co dla mnie ważniejsze, to dowiedzieć się od was, kto uwięził Anglika.

Pytanie zostało bez odpowiedzi.

– Skąd ta zmiana postawy? Przypominacie raczej inkwizytora niż notariusza – wycedził dziekan Estéban, czyniąc następnie parę gestów w taki sposób, żeby pozostali mnisi je widzieli.

Bizén to zauważył, mnisi bawili się jego kosztem. Porozumiewali się za jego plecami swoim milczącym językiem. Choć nie umiał go odczytać, potrafił się zorientować, kiedy go używają. Nie ulegało kwestii, że rozmawiając z całą grupą, nic nie osiągnie. Musiał powrócić do metody, którą stosował przed najazdem najemników francuskich: wypyttywać każdego z osobna w prywatnych pomieszczeniach.

Opuścił kościół i udał się do domu gościnnego, wszedł po schodach i skierował się do celi więźnia. Wziął świecznik z paroma świecami i oświetlił izbę. We wnętrzu panował straszny smród, gorszy niż pozostał mu w pamięci. Był tam tylko materac na ziemi, miska i kubek na ekskrementy. Rozejrzał się po ścianach, człowiek przetrzymywany w takich warunkach musi czymś zająć myśli, żeby nie zwariować. Po chwili wypatrzył jakieś znaki wyskrobane na wapnie pokrywającym ścianę, przedstawiały dwóch walczących rycerzy. Nic przydatnego w jego śledztwie. Wówczas po raz kolejny spojrzął na gliniane naczynie, schylił się i zbadał jego zawartość. W misce były ości.

Opuścił celę i szybko wyszedł z domu gościnnego. Skierował się prosto do kuchni, gdzie kucharz siekał główki czosnku.

– No proszę, jak wy lubicie mnie odwiedzać, notariuszu!

– Posłuchajcie mnie uważnie, czy któryś z mnichów prosił was o potrawę z karpia po ostatnim posiłku?

– I ja się cieszę, widząc was w dobrym zdrowiu po szturmie...

– Wybaczcie mi, ale to ważne.

– Gdyby nie Kawalerowie Świętego Jana, już by nas Francuzi skrócili o głowę.

– Tu się mylicie, ale proszę, udzielcie mi odpowiedzi na pytanie – nalegał Bizén.

– Dajcie mi pomyśleć... danie z karpia. A tak, teraz sobie przypominam, ale to było parę dni temu, kiedy podawałem rybę.

- Kto to był?
- Brat Julian.
- Ten od wody?
- We własnej osobie. To nie pierwszy raz, ostatnio przychodzi po resztki, kiedy nikt się tu nie kręci. Pewnie to dla kota, czy jakiegoś innego zwierzaka.
- Z całą pewnością, dziękuję wam.

## Sprzedaż

**W**iele rodzin straciło swoich mężczyzn podczas ataku, ojcowie i pierworodni synowie polegali broniąc Verueli. Była wielka liczba rannych, ale na szczęście nieprzyjacieli nie spalił plonów ani domów, a trzoda, zagnana na ten czas do obwodu wewnątrz murów, też się uratowała. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

„Mogło być o wiele gorzej”, powiadali ci, którzy przetrwali potworności wojny. Dożyć do następnego dnia – to było osiągnięcie, nie mieli innego celu, nie mogli mieć innego. Dlatego przetrwanie ataku nie było dla nich niczym innym, jak przetrwanie choroby, słabych plonów czy kary wymierzonej przez pana. Być może dlatego powrócili do swoich normalnych obowiązków, jakby to oblężenie było jedną więcej z tylu codziennych spraw.

Kiedy Marta wróciła do domu, jej starsza siostra i ciotka grzały się przy ogniu.

– Gdzie się podziewałaś? – zapytała ciotka Francisca.

– Schowałam się.

– Można wiedzieć, gdzie?

– W klasztorze – odrzekła Marta.

– Złego diabli nie biorą – ciotka spojrzała na nią ze złością – Zjedz coś, bo jesteś chuda jak patyk, nikt cię nie zechce – wskazała stojącą na stole miskę z zimną zupą.

Rzuciła okiem na swoją siostrę; Elena miała ponurą minę. Nie widziały się podczas całego oblężenia i wydawało się, że atak bardzo mocno nią wstrząsnął. Zastanawiała się, jak ona to robi, jak jej się udało zniknąć, a potem wrócić tak, że nikt się nawet nie zorientował.

Marta nie potrafiła tego zrozumieć.

Spróbowała zupy, ale była bez smaku, woda z jakimś zielskiem. Nie zamierzała się skarżyć, bo i po co. Zdała sobie sprawę, że Elena jest nieobecna duchem, nie otwiera ust, nie patrzy na nią.

– Po tym ataku zostało pewnie mnóstwo wdów i nie będzie nam łatwo znaleźć dla was obu dobre partie – mruknęła ciotka – Ty, Eleno, jesteś starsza i urodziwsza, więc cię wydam za syna kowala, Nuña, dzisiaj się z nimi zmówiłam.

– Ale, ciotko...

– Żadnych ale, to postanowione. Po tym, co się stało, musimy działać szybko.

– Nie możecie... – Elena wreszcie wyrwała się z otępienia i spojrzała na nią ze wściekłością.

– Zrobicie, co wam każę i bez gadania! Już czas, żebyś coś dostała za to, co mnie kosztowałyście.

– Sprzedaliście mnie! – krzyknęła oburzona Elena.

– Oczywiście, że tak, przecież nie na to was żywiłam przez te wszystkie lata, żebyście teraz, kiedy jesteście na wydaniu, uciekły z jakimś opojem albo rodziły nie wiadomo czyje bękarty, macie mnie za niedojdę? Już ja się wam dobrze przyglądam, wiem, że zamierzacie się stąd wynieść, ale to wam się nie uda!

– To nieprawda.

– Milczeć, powiedziałam! Jeść i milczeć.

– A ona? – spytała Elena, wskazując młodszą siostrę.

– Za wysoka, za chuda, z tymi kudłami jak wilcza sierść i ciemnymi oczyskami, co mogą człowieka wystraszyć... Przecież takiej żony żaden chrześcijanin nie zechce.

Marta wysłuchiwała tego w milczeniu, tylko dreszcz przeszedł ją od palców stóp po palce dłoni.

– Co się ze mną stanie? – zapytała ledwie dosłyszalnym głosem.

– Z tobą – spojrzała na nią spod oka – z tobą tylko traciłam czas. Ale coś mi się za to należy, nawet z małego prosiaka jest jakiś pożytek.

W górę rzeki leży wioska Alcalá – powiedziała – jest tam jeden dom, gdzie potrzebują dziewczyny do... No, wszystko jedno. Ty pójdziesz tam na służbę, a ja zadbam o to, żeby mnisi się na to zgodzili.

– Nie wyjdę za mąż?

– Przecież nie masz nic do zaoferowania, niewydarzona dziewczyno – uświadomiła jej ciotka. – Kto by taką chciał za żonę?

– Ale dla Eleny, to znaleźliście męża.

– Zamknij gębę i ciesz się, że ci znalazłam miejsce, gdzie ci pozwolą żyć i umrzeć – odrzekła opryskliwie. – Mam już dosyć tego stręczenia, jestem zmęczona i nie mam ochoty dalej was tu znosić. Nogi mnie bolą, wykończycie mnie.

Francisca wstała, zalała ogień wodą i poszła na swoje posłanie. Obydwie siostry podniosły się również i poszły do łóżka. Dobrze się okryły kocem, Marta zwinęła się w kłębek, a Elena odwróciła się do niej.

– Odchodzę – powiedziała starsza siostra, siadając na sienniku.

– Eleno, co chcesz zrobić?

– Odchodzę, dawno powinnam była to zrobić.

– Ale gdzie się podziejesz?

– Pójdę daleko stąd – odpowiedziała Elena, wstając. – A ty? Pozwolisz, żeby cię sprzedała tak jak mnie?

– Eleno, nie możesz odejść. Nie zostawiaj mnie samej.

– Posłuchaj mnie. Nie jesteśmy takie słabe, jak się jej wydaje. To ciotka jest sama, nikt jej nie lubi, nikt jej nie wspomni, kiedy umrze. Chcesz, żeby z tobą było podobnie?

– Oczywiście, że nie – wzburzyła się Marta.

– Pójdę tam, gdzie nam mówiła stara, do zamku, do rady kapituły.

– Ale uwolnili więźnia, to już się nam nie przyda.

– O mnie się, siostro, nie martw. Ja potrafię zadbać o siebie, sytuacja się zmieniła.

– Co się zmieniło?

– Wszystko. Przykro mi, ale muszę odejść bez ciebie – odpowiedziała



Elena stanowczo.

– Nie chcesz mnie zabrać?

– To niemożliwe, nie mogę ci tego wyjaśnić, ale uwierz mi, że tak będzie lepiej – i spojrzała na nią ze smutkiem. – Widziałam, jak rozmawiałas z tym cudzoziemcem.

– Z kim?

– Nie udawaj przede mną głupiej, widziałam, jak na niego patrzysz, a on na ciebie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Posłuchaj mnie – Elena obróciła się o niej plecami, żeby pozbierać swoje rzeczy, ułożyć je na płótnie i zwinąć w tobołek – nie marnuj żadnej okazji; nam, kobietom, trafia się tylko jedna w życiu.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Wiem – Elena zajrzała jej w oczy – żegnaj, Marto. Proszę, posłuchaj mnie i nie zostawaj w Verueli.

– Ale dokąd mam iść? Nie mam nic, jestem zwyczajną, biedną dziewczyną.

– Siostrzo, myśląc w ten sposób, nigdy nie zdołasz się stąd wydostać, tego możesz być pewna – stwierdziła Elena, która nagle jakoś się odmieniła. – Zawsze byliśmy same i jakoś przeżyliśmy, pamiętaj o tym.

– Czekał – Marta przypatrywała się siostrze – bardzo się od siebie różnimy. Ja nie potrafię robić tego, co ty.

– I nie potrzebujesz. Szukaj własnej drogi. Odejdź z tym cudzoziemcem, on na ciebie patrzy inaczej niż reszta.

– Nieprawda.

– Owszem, prawda. Ten człowiek coś do ciebie czuje, a ty?

– Co ja? – Marta się zarumieniła.

– Co o nim myślisz?

– Nic, Eleno – odpowiedziała – nie wiem – spieszyła się.

– Marto, nie bądź głupia – pogładziła jej włosy – jesteś bardzo piękna.

– Masz mnie za idiotkę? – odsunęła rękę siostry.

– Czemu tak mówisz?

– Mężczyźni patrzą tylko na ciebie, mnie traktują jak powietrze.

– Nieprawda!

– Zawsze ci zazdrościłam urody, ale najbardziej radości, twojej ochoty do życia, tego, że jesteś szczęśliwa, choć nic nie mamy. Czasami budziłam się w środku nocy, patrzyłam na ciebie i rozmyślałam, jak ty to robisz. Skąd bierzesz siłę, siostrzo?

– Mylisz się, Marto, nigdy nie byłam szczęśliwa. Wszystko, co mam, to nadzieja.

– Nadzieja...

– Oczywiście. Większość ludzi, którzy tu mieszkają, straciło nadzieję, a są i tacy, co się bez niej rodzą – odpowiedziała Elena – a mnie nigdy nie opuściła, ale też nigdy jej nie czułam tak mocno, jak teraz. Mam nadzieję, siostrzo. Że mi się uda stąd uciec, być wolną, założyć rodzinę, wyjść za mąż za człowieka, którego będę kochała.

– Nadzieja – powtórzyła znów Marta.

– Tak, nigdy nie powinnaś się z nią rozstawać, w dniu, kiedy to zrobisz, będziesz jak umarła. Ja ją zawsze miałam i wreszcie... Odchodzę, wreszcie mogę odejść z tego miejsca – Elena objęła swoją siostrę, a potem okryła się płaszczem i wyszła z izby.

Jej młodsza siostra została sama. Wstała i wyjrzała przez okno. Patrzyła, jak się oddala w mrok.

Zdała sobie sprawę, że nie ujrzy jej nigdy więcej.

## Cysterna

**N**ie mógł się opanować, był wściekły. Mnisi oszukiwali go, odkąd się pojawił w Verueli. Kiedy on ryzykował życiem, żeby ocalić klasztor, oni schowali się w kościele. Nic się nie zmieniło.

Dziekán Estéban, którego brał za jednego z uczciwszych, teraz wydawał mu się podejrzany, choć nie tak bardzo, jak brat Julian, który uwięził angielskiego rycerza, ściągając na klasztor francuskich najemników. Co też zamierzał ten mnich? Miał ochotę go zapytać, jednak musiał bardzo się pilnować. Kradzież szczątków następcy tronu została obmyślona i przeprowadzona przez samego opata Verueli, który manipulował nim w swoim własnym interesie i z którym w dodatku nie pozwolono mu rozmawiać. Skądś się dowiedział, że Bizén przyjedzie, by je zabrać i wszelkimi sposobami chciał mu w tym przeszkodzić.

Ciągle jeszcze był obolały po ciosach i kopniakach, jakie dostał w klauzurze. Któryś z tych mnichów spuścił mu potężne baty.

Cały klasztor okazał się jednym wielkim kłębówiskiem intryg i kłamstw, a on został w tę sieć złapany. Niemal żałował, że ich ocalił przed Francuzami.

Nie mógł ufać żadnemu z nich, był zmuszony polegać wyłącznie na własnym instynkcie.

Kiedy się nad tym wszystkim zastanawiał, spoglądając przez okienko swojej celi, dostrzegł na tyłach domu gościnnego człowieka w brunatnym habicie. Podczas swojego pobytu w Verueli nauczył się, że każdy ślad, choćby z pozoru nic nieznaczący, może się okazać istotny. Nie zawahał się więc ani przez moment.

Natychmiast postanowił udać się na poszukiwanie, pędem pokonał

schody, wybiegł z budynku i okrążył go, ale tamten zniknął. Nie poddał się jednak. Zamiast udać się do klasztoru, ruszył w kierunku cysterny. Minął ją i wspiął się na górę po kamiennych schodach. Woda toczyła się wartko kanałem, a nim wpadła do młyna, uderzała z impetem o kamienną płytę dużych rozmiarów.

Ten dźwięk upajał i odprężał. Z wysokości obejmował wzrokiem sylwetę Moncayo, ale nie udało mu się wypatrzeć człowieka w brunatnym habicie. Uciekł mu. Bizén z wolna tracił wiarę, że zdoła rozwiązać zagadkę śmierci oblata. Był świadomy, że wszyscy go okłamują, że milczenie mnichów jest czystą farsą i że morderca celuje pośród swoich towarzyszy w ukrywaniu prawdy. Należało przypuszczać, że ten człowiek przez cały czas zręcznie ją ukrywa przed resztą kongregacji. A nawet, że będzie zdolny oszukać wszystkich i to na zawsze.

Przypomniały mu się wówczas słowa brata Rogelia: „Kiedy mówisz prawdę, nie musisz o niczym pamiętać, ale gdy kłamiesz, musisz pamiętać każde z własnych kłamstw”.

„Kaźde”, powtórzył w myśli.

Ruszył w kierunku bramy klasztornej. Zniszczenia po ataku były ciągle widoczne, ale przynajmniej pochowano już wszystkich poległych. Drzwi barbakanu były zdjęte, za to główna brama została wzmocniona. Nic dziwnego, to była jedna z najsilniejszych bram, jakie zdarzyło mu się oglądać, tylko dzięki temu zdołała się oprzeć uderzeniom napastników.

Po śmierci brata Cipriano, zadania furtiana przejął brat Saturio. Był on najspokojniejszym ze wszystkich mnichów, smagła cera i wydatny nos nadawały mu szczególny wygląd. Choć na pewno nie dorównywał poległemu doświadczeniem ani wiekiem, wyjątkowa sytuacja usprawiedliwiała tę zmianę obowiązków brata ogrodnika.

Wszedł do kaplicy świętego Bartłomieja, która znajdowała się w wieży ponad bramą. Zastał go tam na modlitwie, klęczącego z dłońmi złożonymi na wysokości piersi.

– Wybaczcie, jeśli wam przerwałem modlitwę, wyobrażałem sobie,

że o tej porze będziecie odpoczywali.

– Zbyt wiele jest dusz, za które trzeba się modlić – brat Saturio wstał, a potem przysiadł na ławie stojącej przy ścianie naprzeciw małego ołtarza kaplicy.

– Boleję nad śmiercią brata Cipriana.

– Dziękuję wam, ja boleję nad wszystkimi, których utraciliśmy. Odkąd został zamordowany oblat Octavio, ma się wrażenie, że w klasztorze trwa nieprzerwanie obrządek pogrzebowy – westchnął – Veruela taka nie jest, w każdym razie wcześniej taka nie była.

– Trudno to sobie wyobrazić.

– Notariuszu, rozumiem gorzkie słowa, jakie wypowiedzieliście dzisiaj po południu w kościele, ale nie wszyscy tacy jesteście. To prawda, że jeden z moich braci zasiał zło w tym klasztorze, jednak wszyscy pozostali czynią, ile mogą, żeby je wyplenić.

– Nie powiedziałbym.

– Przysięgam wam, że tak jest – rzekł brat Saturio.

– Trudno w to uwierzyć. A wy, co wy myślicie o tym, co wydarzyło się owej nocy w kościele?

– Nie wiem, co o tym myśleć. To prawda, że wielu z moich braci skłamało, a nie powinni byli tego robić. Nasza reguła zabrania kłamstwa.

– No właśnie, a wy jesteście wierni regule, jesteście dobrym cystersem.

– Jestem wierny – powiedział brat Saturio, opuściwszy oczy.

– Pomóżcie mi, bracie – Bizén położył mu dłonie na ramionach.

– Jak?

– Nie wiem – odrzekł Bizén z rezygnacją. Puścił go i przyglądał się malowidłu świętego Bartłomieja – Wy się zajmujecie rozsadnikiem, o ile dobrze sobie przypominam.

– Tak.

– To musi być zajęcie pasjonujące i wymagające wielkiej dokładności: wybierać nasiona, krzyżować je w celu osiągnięcia lepszych roślin, leczyc

ich choroby i odstraszać owady, które je niszczą...

– To lubię najbardziej.

– Najbardziej?

– Chciałem powiedzieć, że najbardziej poza modlitwą, nabożeństwami i moją przynależnością do zakonu – uściślił szybko.

– Oczywiście, musicie spędzać wiele godzin dziennie wśród roślin, prawie tyle, co na modłach – uzupełnił sprytnie Bizén.

– Trochę mniej, jednak to i tak wiele. Wybór najlepszych nasion jest najważniejszy, ale dogłębne uprawy, wyszukiwanie odmian, które najlepiej rosną...

– Jest pewien szczegół, w którym możecie mi pomóc z całą pewnością.

– Czego ten szczegół dotyczy?

– Wiecie, że Octavio miał wyjąć z grobu szczątki następcy tronu, żeby z pomocą brata Bartolomé zamienić je na inne, wykopane z cmentarza.

– To straszna rzecz.

– Octavio zabrał ciało infanta, ale musiało się wydarzyć coś nieprzewidzianego, ponieważ oblat został zamordowany, a zwłoki infanta zaginęły – przypomniał Bizén. – A jeśli morderca zdołał je wynieść z kościoła?

– Jakim sposobem?

– Może pomógł mu drugi oblat lub inna osoba, która tamtej nocy weszła do klasztoru.

– Nie sądzę, notariuszu. Rozmawialiśmy z oblatami. Jedyńm, którego tamtej nocy nie było z innymi, był Octavio. A przedrzeć się przez mury Verueli nie jest tak łatwo, sami się o tym przekonaliście podczas szturm.

– Jesteście pewni, że nie istnieje inny sposób, żeby dostać się do kościoła nocą?

– Tak, całkowicie. Dlatego brat Bartolomé musiał otworzyć Octaviowi drzwi.

– Wciąż wydaje mi się mało prawdopodobne, że ani w dormitorium

mnichów, ani u oblatów nikt nie spostrzegł, że brakuje jednego z was.

– Na swoją obronę mogę powiedzieć, że te kilka ostatnich nocy przespałem bardzo głębokim snem – powiedział zakonnik – a za to teraz...

– Co? Co teraz?

– Nic takiego, ostatnio znów mam kłopoty z zasypianiem. Budzę się często w nocy na każdy hałas, nie ten, to inny, chrapanie brata Bartolomé nie daje mi zasnąć...

– A tamtej nocy, kiedy zabito Octavia, było inaczej?

– O tak, przez parę nocy spałem słodko jak dziecko – uśmiechnął się brat Saturio – ale to mi się więcej nie zdarzyło.

– A oblaci? Wiecie, czy im również w tym czasie spało się lepiej niż zwykle?

– Nie przyszło mi do głowy, żeby ich pytać o takie rzeczy – wzruszył ramionami mnich.

– Wydaje się, że można się w tym dopatrywać przyczyny i skutku.

– Jeśli tak jest, to nie wiem, o co może chodzić.

– Zakładam, że z roślinami macie podobne doświadczenia: nie zawsze udaje wam się odkryć chorobę, która je zabija, prawda?

– Oczywiście, że nie. Czasami myślimy, że to owady, bo je znajdujemy na liściach i wiemy, że szkodzą innym roślinom. Zabijamy owady, a mimo to roślina więdnie – wyjaśnił brat ogrodnik – bo okazuje się, że to nie ten owad był winny, tylko jakieś inne stworzenie, które nam się wydawało nieszkodliwe.

– A skąd wówczas macie pewność, że się nie mylicie?

– Bo związek jest bardziej bezpośredni; owad był na liściach, nie wiem, związek między przyczyną a skutkiem wydaje się pewny.

– Ja myślę podobnie – Bizén spojrział mu w oczy – A co, jeśli przyczyną zabicia Octavia nie były szczątki następcy tronu?

– Jak mogłoby się to zabójstwo nie wiązać ze szczątkami infanta? Przecież wiadomo, że je wyjął z grobu na polecenie opata.

– Tak, to prawda, z pomocą brata Bartolomé i za zgodą dziekana

Estébana, który go nie powstrzymał. Ale żaden z nich go nie zabił, bo dlaczego mieliby to robić? – myślał głośno Bizén. – A jeśli motyw zbrodniarza był inny, tak jak w przypadku waszych owadów?

– Nie wiem, czy wam tym dopomogę, ale czytałem kiedyś, że są takie owady, które zabijają mniejsze. W jednym z gospodarstw pojawiły się takie insekty, podniósł się alarm, dołożyli starań, żeby się ich pozbyć – tłumaczył brat Saturio – ale uprawy, zamiast odżyć, zmarniały do reszty.

– Dlaczego?

– Te insekty się pojawiły dlatego, że się żywią tymi mniejszymi, których tam było mnóstwo i to one tak naprawdę niszczyły rośliny. Kiedy wytępiono te większe, które je zjadały, szkodniki zaczęły się mnożyć bez przeszkód i wszystko zniszczyły.

– Właśnie dlatego mogło się zdarzyć, że zabito Octavia bez wiedzy, że jest zamieszany w kradzież ciała infanta i zamiast rozwiązać problem, zabójca tylko go pogłębił.

– Albo przeciwnie, zabili go, korzystając z tej kradzieży – dodał mnich.

– Tak, możliwe, że wobec wysokiej pozycji osób zamieszanych w kradzież, zabójca założył, że nikt nie będzie dochodził prawdy.

– Zdajecie sobie sprawę, że wasze rozumowanie jest bardzo zawile? – w spojrzeniu brata Saturia odbiło się powątpiewanie.

– Teraz musicie mi pomóc. Zapomnijcie o grobie królewskim i o tym wszystkim, co się wydarzyło. Kto chciałby zabić Octavia? Powróćcie do dnia poprzedzającego jego śmierć. Gdyby was zapytano, kto może mieć coś przeciw temu oblatowi, to kto by wam przyszedł do głowy?

– Notariuszu... mógłbym wam powiedzieć...

– Kto?

– Naprawdę nie wiem.

– Dobrze, wierzę wam – z twarzy Bizéna zniknął wyraz napięcia. – Ale powiedzcie mi, z którym z mnichów Octavio spędzał najwięcej czasu?

– Nie jestem pewien, on był oblatem, zajmował się głównie wypiekiem chleba w kuchni i różnymi pracami ciesielskimi.

– Ja myślałem, że zajmował się tylko chlebem.



- Nie, tym się zajmował z rana – wyjaśnił mnich.
- A tak, kucharz mi to samo mówił.
- A później zajmował się drewnem.
- Robił meble?
- Nie, nie – brat Saturio się uśmiechnął – nie posiadał takich umiejętności. Octavio był dość krzepki, może nie tak jak Isidoro, ale był bardzo silny; dźwigał belki, tego rodzaju prace wykonywał. Chociaż...
- Chociaż?
- Kiedyś go zastałem na robieniu takich rzeczy drobniejszych, jakby artystycznych.
- Ach tak? Co to takiego było?
- Raz widziałem, jak wycinał figurki tej wielkości – mnich to pokazał, rozstawiając palec wskazujący i kciuk.
- Po co to robił?
- Nie wiem, myślę, że dla zabawy. Kiedyś widziałem taką figurkę u brata Bartolomé.
- Jak wyglądała?
- Była malutka, przedstawiała człowieka na koniu, rycerza. Pomyślałem sobie, że ją dostał od Octavia – odpowiedział zakonnik.
- A gdzie go widzieliście z tą figurką?
- Chyba w *cellarium*, wypadła mu, kiedy pomagał bratu Estébanowi i mnie w przestawianiu beczek – odpowiedział Cysters – zaraz ją podniósł i nie przywiązywałem do tego znaczenia.
- Brat Bartolomé często bywa w *cellarium*.
- Nie – zaprzeczył ruchem głowy – to Octavio często tam bywał.
- Dlaczego? Przecież już tam nie pracował.
- Właśnie dlatego. Macie pojęcie, jakie zlecenia wydał mu dziekan Estéban? Te beczki, w których przechowuje wino, to wszystko robota Octavia. We wszystkich próbach, jakie przeprowadził, żeby dobrać odpowiedni gatunek drewna, uczestniczył Octavio. Wreszcie Octavio musiał je sprawdzać, żeby nie dopuścić do wycieków.
- Wynika stąd, że Octavio wchodził i wychodził z *cellarium* bardzo

często, mimo, że właściwie nie był tam zatrudniony.

– Tak. Praca w *cellarium* należała wcześniej do jego obowiązków, dopóki dziekan Estéban nie przejął odpowiedzialności za wyrób wina. Dlaczego mnie o to wypytujecie?

– Jeszcze jedno. Dziekan Estéban powiedział, że robił wiele prób z beczkami, zanim znalazł odpowiedni gatunek drewna. Kto prócz niego wie, jakie beczki najlepiej się nadają do przechowywania wina?

– Nikt, z nikim się tym sekretem nie dzieli – widać było, że brat Saturio zaczyna się czuć niezręcznie, rozmawiając na ten temat.

– Ale Octavio mógł go znać.

– Przypuszczam, że tak.

– Dziękuję, bracie Saturio, bardzo mi pomogliście.

## Rodzina

**F**rancisca szybko odkryła, że jej starsza siostrzenica uciekła. Stała się bardziej złośliwa i podejrzliwa niż dotąd, przeistoczyła się w gorszą wersję siebie samej. Złorzeczyła na prawo i lewo, miotała się po domu, przeklinając i grożąc, że jak tylko ją dopadnie, to ją zabije. Z gniewu twarz jej poczerwieniała, pociała się i tak wrzeszczała, że głos na chwilę odmówił jej posłuszeństwa.

Marta nigdy jej nie widziała w takim stanie, wręcz bała się myśleć, do czego może się posunąć ciotka.

– Nie gap się na mnie! – pogroziła jej palcem – Mam dosyć was obu, przeklęty dzień, w którym zgodziłam się was przyjąć! Nijak mi się nie opłaciło.

– Zgodziliście się...

– Tak! Jaka ja byłam naiwna! Ale mnie oszukał, żeby go spało! – krzyczała ciotka, załamując ręce – Naiwna i głupia, o jaka głupia! Ten mnich...

– Ciotko, o czym wy mówicie?

– Nie jestem dla ciebie żadną ciotką, nie mam nic wspólnego z tobą ani z tamtą – chwyciła ją za ramię i popchnęła na ścianę. – W moich żyłach nie krąży wasza brudna krew. Wstręt, czuję wstręt, ile razy na was patrzę!

– Dlaczego tak mówicie? – Marta próbowała się wyswobodzić, ale ciotka trzymała ją mocno.

– Ty wiecznie jak niemowa, nieobecna, a twoja siostra szczęśliwa, wesolutka – Marta wyrwała się jej z rąk, ale ciągle była osaczona, pod ścianą.

– To nie może być prawda...

– A właśnie, że tak! – ciotka Francisca uderzyła ją otwartymi dłońmi. – Jesteście córkami grzechu – mówiąc to, zaczęła się zbliżać do Marty powolnymi, długimi krokami – Spłodzili was mnisi, oni są waszymi ojcami!

– Co takiego? Kłamiecie! – dziewczyna pochyliła się, usiłując się wymknąć rozwścieżonej kobiecie, ale to jej się nie udało. Była przerażona, zaczęła się cofać, nie miała drogi ucieczki.

– A tak, nie wytrzeszczaj na mnie ślepi – powiedziała ciotka – wasze matki się z nimi pokładały. Wy nie jesteście z jednej matki, czego jeszcze! Przecież w ogóle nie jesteście do siebie podobne, nie jesteście sierotami, tylko mnisim pomiotem, bękartami!

– Przestańcie! Nasz ojciec był...

– No kim był? Powiedz! Nikt go nie zna, nikt nie pamięta... Waszym ojcem jest mnich z Verueli.

– Nie, jak to – mnich? Dlaczego mi mówicie takie rzeczy, ciotko?

– Pewnie, że mnich. A ty sobie wyobrażałaś, że kto? Nie jesteście siostrami, niczym nie jesteście, tylko plugawymi łachmaniarzami!

– To nieprawda! Przestańcie! Przestańcie tak mówić – Marta usiłowała powstrzymać łzy.

– Twoja matka przyszła tu z tobą w ramionach, kiedy Elena była rozgadana smarkulą, wsadzającą nos gdzie popadnie. Nie trzeba było wielkiego rozumu, żeby się domyślić, że Elena nie jest jej bachorem, ktoś musiał jej kazać niańczyć tę smarkatą. A to mogło znaczyć tylko jedno: że jesteście córkami jednego ojca.

– W takim razie... jesteśmy siostrami.

– Przyrodnimi! Twoja matka była Mauretanką, ty masz jej twarz, jej skórę, włosy...

– A Elena jest blondynką, ma jasną cerę.

– Naprawdę nie zorientowałyście się wcześniej? Jakie głupie dziewczuchy – ciotka Francisca zrobiła szyderczy grymas – Twoja matka umarła. Pan Bóg pokarał ją za wszystkie grzechy. I mam nadzieję, że się

smaży w piekle.

– Nie mówcie tego...

– Zamknij gębę! Jesteś plugawą córką grzechu – i z całych sił uderzyła ją w policzek.

Marta była oszołomiona ciosem, ledwie się trzymała na nogach, kiedy ciotka się na nią rzuciła. Ale instynkt zmusił ją do szybkiej reakcji i uchyliła się w prawo. Jej ciotka rąbnęła całym ciałem o ścianę, a Marta wykorzystwała tę chwilę, żeby się wymknąć do kuchni. Francisca błyskawicznie doszła do siebie i rzuciła się za nią.

Dziewczyna już nie myślała, kierowała się wyłącznie instynktem samozachowawczym. Chwyliła nóż z kuchennego stołu i wyciągnęła go przed siebie, żeby się bronić. Ale jej ciotka już nie zdołała się zatrzymać, skoczyła ku niej, a czyniąc to, sama nabiła się na nóż, wycelowany w jej pierś.

– Ciotko! – jęknęła przerażona Marta.

Francisca zachwiała się na nogach i upadła na nią całym ciężarem, po czym osunęła się na ziemię.

– Nie! Nie, ja...

– Przeklęty bękarcie... jak mnie oszukali – wycharczała, wijąc się w spazmach bólu.

– Kto was oszukał? – Marta przykucnęła przy niej cała zakrwawiona i szepnęła jej do ucha. – Ciotko, kto jest moim ojcem?

– Mnich.

– Jaki mnich? – nalegała, ale ciotka już konała. – Jaki mnich?!

– Sam...

– Jaki mnich? Mówcie, ciotko! – Marta łkała, drżały jej ręce, a serce tak łomotało, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. – Proszę, powiedzcie mi, kto jest moim ojcem.

– Nie powiedzieli mi. Brat Adolfo cię tu przyniósł – odpowiedziała Francisca, która świadoma, że umiera, zdobyła się na moment na litość nad Martą – to on mi zapłacił, żebym was chowała.

– Boże drogi! Ten staruszek...

- Marto, chcę, żebyście obie wiedziały, że...
- Co takiego, ciotko? – Marta gładziła ją po twarzy.
- Na zawsze będziecie przeklęte! Ja was przeklinam!

Dziewczyna nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Odsunęła się od niej i próbowała wstać, ale poślizgnęła się w kałuży krwi umierającej.

– Jutro... jutro jest Noc Dusz. Przyjdę po ciebie – zaskrzeczała ciotka Francisca, układając pełne krwi usta w potworny uśmiech – zabiorę cię ze sobą, nigdy nie zdołasz się ode mnie uwolnić – zachichotała, a ten śmiech wbił się ostrzem w serce Marty.

To były jej ostatnie słowa.

## Staw

**B**izén opuścił kaplicę w wieży bramnej i obszedł cały wybrukowany teren, który znał już tak dobrze. Doszedł do drzwi do pomieszczeń monastycznych i wszedł do środka, by wnet skrócić w lewo. *Cellarium* było otwarte, kucharz właśnie wychodził stamtąd z workiem ziarna, rzucił na niego niechętnym wzrokiem i podłubał palcem w nosie. Bizén w duchu się pomodlił, żeby umył ręce, zanim się zabierze za gotowanie.

Postąpił w głąb pomieszczenia. Zapach wina był intensywny i rozkoszny. Dziekan Estéban stał przy swoich beczkach, spuszczać z jednej cenny trunek do misy za pomocą cienkiej rurki.

Widok wchodzącego przyjął z obojętnością, nie przerywając swojego zajęcia.

– Jak tam wino? – zagadnął Bizén poufałym tonem. – Mam nadzieję, że te wszystkie nieszczęścia, które przeżywamy, mu nie zaszkodziły?

– Wino jest bardzo delikatne, każdy drobiazg może mu zaszkodzić. Trzeba mu okazywać czułość, jak nowo narodzonemu dziecięciu.

– Rozumiem, co macie na myśli.

– To całe lata pracy: tutaj, w rozsadniku, na plantacji, a także w księgach – dodał dziekan Estéban, odkładając swoje przybory. – Wino jest wytwarzane od czasów Pana naszego, a On je wybrał, żeby było Jego krwią. Musiał mieć powód ku temu, nie sądzicie?

– Myślę, że tak.

– Nie wiem, czy jest wam wiadome, że sam Pan został oskarżony o pijaństwo i wówczas dał wino do picia swoim apostołom. I nie zapominajcie, że Ewangelia świętego Jana opowiada jak podczas godów

w Kanie Galilejskiej przemienił wodę w wino.

– Nie należę do takich, którzy by się odwrócili od wina, a już z pewnością tego, które wytwarzacie ze szczepu garnacha – zapewnił Bizén. – Oby wszystko w Verueli było tak dobre, jak to wino. Ale nie jest tak, prawda? Dziekanie Estébanie, powinniście być ze mną szczerzy, ja wam ufałem.

– Nie chciałem, żeby pamięć o zmarłym została splamiona. Octavio był dobrym człowiekiem. Opat kazał mu otworzyć grobowiec, nie możecie go za to winić, ani mnie, że to ukrywałem.

– Jeśli Octavio był tak dobry, to dlaczego odebraliście mu miejsce w *cellarium*?

– To nie ma nic do rzeczy – dziekan Estéban musiał się wysilić, żeby nie zdradzić rozdrażnienia – On robił wino, tak jak kiedyś. Za to ja chcę osiągnąć o wiele więcej. Mam wielkie plany związane z tym *cellarium*.

– I gdyby wyszła na jaw jakaś ciemna sprawa związana z tutejszym opactwem, te plany by ucierpiały?

– Co chcieliście przez to powiedzieć, notariuszu?

– Powiedzcie mi prawdę – Bizén zrobił dłuższą pauzę, żeby wyprowadzić mnicha z równowagi – co wam powiedział oblat?

– Już wam to mówiłem w kościele: nie chciał otwierać grobu.

– A wspominał wam o kimś innym zamieszonym w tę sprawę? Poza bratem Bartolomé, ma się rozumieć – nalegał Bizén.

– Nie, nic takiego nie mówił – odrzekł dziekan Estéban, a spojrzenie, towarzyszące tym słowom, miało pozory szczerości.

– W porządku, obyście mówili prawdę – Bizén patrzył mu prosto w oczy – tym razem.

– Nic innego nie robię. Wkrótce miną te fatalne dni – dodał zakonnik – i spokój powróci do naszego klasztoru.

– Tak sądzicie?

– Wierzę w to żarliwie. Wy uratowaliście opactwo, nie Kawalerowie Świętego Jana, dziękuję wam za to. Gdyby wtargnęli do klasztoru, to byłaby to katastrofa. Zaskarbiliście sobie naszą nieustającą wdzięczność,



notariuszu – oświadczył dziekan Estéban bardzo uroczyście – mówię wam to w imieniu całej naszej wspólnoty.

– Dziękuję – te słowa wdzięczności zaskoczyły Bizéna. – Teraz, kiedy sprawujecie obowiązki przeora, oczekuję od was współpracy.

– Pozwólcie, że udzielę wam pewnej rady: odejdźcie stąd – zwrócił się do niego protekcjonalnym tonem. – Opowiedzcie braciom, którzy was tu przysłali o napaści francuskich najemników na klasztor. Oni to pojmą. Najechali nas, na Boga żywego! Nikt wam nie będzie czynił wyrzutów, że powracacie z pustymi rękami. To najlepsze dla wszystkich.

– Dla wszystkich?

– Ma się rozumieć.

– Nie, dziekanie Estébanie, zapewniam was, że to nie jest najlepsze dla wszystkich. Ani dla Octavia, ani dla pamięci infanta następcy tronu, który w żaden sposób nie zawinił, że bezpieczeństwo jego szczątków jest pod znakiem zapytania – Bizén wyrzekł te słowa z wielkim przekonaniem – Żadne względy nie przekonają mnie do odejścia stąd bez ciała potomka króla Jakuba I. Dałem na to słowo.

– Jesteście bardzo uparci – mruknął dziekan Estéban – ja próbowałem tylko dojść z wami do porozumienia. Teraz, kiedy zapewne mnie mianują...

– Przeorem! To chcieliście powiedzieć?

– Bardzo prawdopodobne, że tak się stanie, brat Antón nie może dalej piastować tej odpowiedzialności.

– Winszuję wam, nie wątpię, że będziecie dobrze zarządzać klasztorem. Wyobrażam sobie jednak, że wówczas mniej czasu będziecie poświęcać *cellarium*. Wybraliście już następcę?

– Myślę, że nie będzie takiej potrzeby – odpowiedział dziekan.

– O ile wiem, w większości opactw cysterskich zajmują się tym oblaci.

– W niektórych – odrzekł mnich, powracając do przerwanej pracy – nie we wszystkich.

– Czy nie jest to zajęcie podrzędne dla dziekana? A tym bardziej dla nowego przeora, którym spodziewacie się zostać.

– Praca w *cellarium* przynosi mi dużo zadowolenia, a żadna praca w naszym klasztorze nie jest uznawana za podrzędną.

– Jesteście kongregacją cysterską, to powód, dla którego powinno wam być obojętne, czy praca wam się podoba, czy nie. Ani dziekan, ani przeor nie powinien odpowiadać za *cellarium* – Bizén dawał dowody, że jest niezłomny w swoim uporze – Nie powiecie mi chyba, że brak u was oblata, który mógłby przejąć te obowiązki?

– Nie w tym problem.

– Octavio – drążył Bizén – on byłby dobrym kandydatem. Pomagał wam z tymi drewnianymi beczkami, prawda? – i położył dłoń na jednej z nich.

– Czasami przychodził, żeby trochę pomóc, owszem.

– A ja słyszałem, że nawet jak go odsunęliście od tej funkcji, spędzał tu długie godziny.

– Aż tyle, to nie. Wpadał tylko czasami, jak było dużo pracy.

– Przypuszczam, że od czasu do czasu zostawał tu sam – z wolna stawało się jasne, że pytania Bizéna są dla niego kłopotliwe.

– Zdarzało się. Notariuszu, do czego zmierzacie? – zapytał mnich.

– Kiedy Octavio wam pomagał, to w którym miejscu zwykł pracować?

– Tam – wskazał na róg pomieszczenia – sprawdzał tam szczelność beczek, pomagał mi je czyścić, patrzył, czy się nie poca. Zwracaliśmy szczególną uwagę na to, żeby wino nie przeciekało przez ścianki i na pomiary, jak dużo wsiąka w drewno.

Bizén rzucił okiem na stół do pracy, na narzędzia i przybory, jakie się tam znajdowały.

– Inni mnisi też przychodzili do *cellarium*?

– Poza Octaviem... – namyślał się – brat Saturio, a kiedy trzeba było przynieść ciężary, to jeszcze Isidoro. Czasem brat Hugo też nam pomagał.

– Hugo? – Bizén się zadumał – On się nie zajmuje księgami i rejestrami?

– Jest bardzo młody i bardzo niedawno został tu przeniesiony z innego opactwa naszego zakonu, opat jeszcze mu nie wyznaczył

żadnych konkretnych zadań. Pomagał, gdzie akurat była potrzeba, przy różnych drobniejszych pracach – sprecyzował dziekan Estéban – choć to także prawda, że większość czasu spędza nad dokumentami.

– Znacie go dobrze?

– Brata Hugo? Szczerze mówiąc – nie – odrzekł stanowczo dziekan Estéban – Zachowuje duży dystans, nie wiem, gdzie się urodził, nie wiem nawet, w którym opactwie przywdział habit. Jeśli mam wam rzec prawdę... to przypuszczam, że jest nieślubnym potomkiem jakiegoś szlachcica.

– Na czym opieracie to przypuszczenie? – te słowa wzbudziły czujność Bizéna.

– Musiał w bardzo wczesnym wieku wstąpić do nowicjatu. Nie okazuje żadnych szczególnych zdolności, jest nieufny, nadmiernie ostrożny. Nie pojmuję, jak zdołał złożyć śluby w tak młodym wieku, chyba, że... korzysta z jakiegoś rodzaju pomocy – odpowiedział dziekan Estéban, który zrobił przerwę w swoich czynnościach.

– Sugerujecie, że ktoś z jego rodziny ma wpływy, które pozwoliły mu tak wcześnie uzyskać śluby zakonne, a następnie trafić do Verueli?

– To nie ulega wątpliwości – oświadczył mnich, kwitując słowa czymś w rodzaju sapnięcia – jego rodzina musiała brać w tym bardzo istotny udział. Przypuszczam, że rozumiecie, co mam na myśli.

– I nie wiecie nic więcej na jego temat?

– Nie, ale parę dni temu widziałem, jak rozmawiał z jakąś dziewczyną – dodał cichym głosem – Był zdenerwowany. Pierwszy raz oglądałem go w takim stanie. Jak mogliście zauważyć, jest bardzo milczący i skryty.

– Co to była za jedna?

– Nikt taki, jakaś wieśniaczka – odpowiedział z ociąganiem mnich.

– Powiedzieliście mi, że waszym zdaniem jego rodzice są wysokiego rodu, co was w tym upewnia?

– Przybywa tu wielu młodszych synów znacznych rodów z królestwa – wyjaśnił dziekan Estéban tym samym, poufnym tonem – Ojciec brata Hugo musi być zamożnym człowiekiem, inaczej nie zostałby

duchownym w tak młodym wieku. A co do jego matki... może to był czysty przypadek i była zwykłą wieśniaczką, którą on zmusił, opłacił czy oszukał – któż to wie?

– Ach tak, rozumiem – pokiwał głową Bizén – A czy to dobry zakonnik?

– Już wam mówiłem, że jest milczący, spokojny, trudno się wyznać – odpowiedział dziekan – Chociaż kiedyś słyszałem, jak rozmawia z opatem.

– O czym mówili?

– To nie była rozmowa, jaką opat Sancho mógłby prowadzić z pierwszym lepszym – dziekan przysunął się do Bizéna – rozmawiali na temat zła, o tym, jakie jest jego źródło.

– W jakim tonie?

– Otóż opat, powołując się na świętego Tomasza z Akwinu, utrzymywał wówczas, że „dobro nie może istnieć bez zła, ale zło może istnieć bez dobra” – stwierdził dziekan Estéban – ale ten młody Hugo mu się sprzeciwiał – samemu opatowi! To mnie bardzo zaskoczyło, dlatego dotąd to pamiętam.

– Co mu powiedział?

– Że gdyby nie zło, człowiek nie mógłby pojąć, czym jest dobro. A jeśli nie potrafi pojąć czym jest dobro, to nie potrafi go docenić.

– To znaczy, że usprawiedliwiał istnienie zła.

– Tak, dokładnie to powiedział – dziekan Estéban podszedł do którejś z beczek i sprawdził, czy jest porządnie umocowana.

– A opat? Jakie środki zastosował?

– Środki... Opat nie rozmawiał z nim zwyczajnie. Jak by wam to powiedzieć – dziekan Estéban szukał odpowiednich słów – był zbyt wyrozumiały dla brata Hugo, powinien był natychmiast go oddalić i poddać pod sąd kapituły.

– Rozumiem. A jak układały się relacje między bratem Hugo a Octaviem? Sądzicie, że mogła ich łączyć przyjaźń?

– Przyjaźń? Jak mam to rozumieć?

– Czy mogli się przyjaźnić, dzielić się jakimiś myślami, zwierzeniami – wzruszył ramionami Bizén.

– Nie pojmuję, do czego mają prowadzić te pytania.

– Nic takiego, moje sprawy.

– Potrzebujecie ode mnie czegoś więcej?

– Nie, chyba że ukrywacie przede mną jakieś sekrety... poza tajnikami wytwarzania tego trunku – uśmiechnął się Bizén swobodnie.

– Nikt mocniej ode mnie nie pragnie wyjaśnienia wszystkich tajemnic naszego opactwa, musicie jednak pojąć, że pewne kwestie są bardzo skomplikowane. Brat Octavio wyznał mi swoje wątpliwości, ale to była spowiedź, dlatego o tym nie mówiłem. Ja go nie zabiłem, ani też nie mam najmniejszego pojęcia, kto mógł to uczynić.

– W porządku – Bizén podszedł do stołu i spostrzegł płótno, na którym leżały jakieś rośliny. – Dodajecie do wina jakichś ziół?

– Tak, po to, żeby się nie psuło po przejściu fermentacji.

– Nic ponad to?

– Cóż, chcielibyście, żebym wam zdradził sekret mojego wina – zmarszczył brwi – jak sami rozumiecie, nie mogę wam powierzyć takiej tajemnicy.

– Macie rację, proszę o wybaczenie. Jeszcze tylko jedno pytanie: to jest wino, które jest podawane do posiłków w refektarzu, prawda?

– Nie, to jest przeznaczone na sprzedaż. Wino dla potrzeb klasztoru jest tutaj – mnich podszedł do tej części pomieszczenia, gdzie na ziemi stały pionowo baryłki przykryte deską.

– Czyli stąd przelewają je do dzbanków – zainteresował się Bizén – i podają na stół?

– Zgadza się. Nie rozumiem, czemu tak mnie wypytujecie o to wino. Już wam mówiłem, że najlepsze jest w tamtych beczkach, nie to, które podajemy w refektarzu – dziekan Estéban był zaniepokojony tymi pytaniami – My zwykle je pijemy zmieszane z wodą, podgrzane lub z dodatkiem jakichś aromatycznych ziół, jak słusznie spostrzegliście.

– Macie rację, przemawiała przeze mnie czysta ciekawość. Całe

szczęście, że Francuzi nie wiedzieli, że macie tu tyle wina, bo w przeciwnym wypadku z pewnością by nie odstąpili.

– Przypominam, że na wasze żądanie dałem im pełny wózek.

– Uratowaliśmy Veruelę, myślę, że było warto.

– Owszem, ale teraz ci najemnicy popijają sobie moje wino, śpiewając, bluźniąc i Bóg wie, co jeszcze – poskarżył się mnich.

– Dziękuję wam za wszystko, nie chcę wam przeszkadzać dłużej.

– Pamiętajcie, co wam mówiłem: lepiej stąd wyjechać, póki drzwi są otwarte.

Bizén skinął głową i wyszedł z *cellarium*, ale bez zamiaru zastosowania się do rady. Poszedł dalej kłauzurą. Idąc wzdłuż refektarza trafił na brata architekta. Powitał go gestem, nie zamienili słowa.

Doszedł do biblioteki i bez pukania wszedł do środka. Trafił tam tylko na dwóch konwersów, którzy na kłęczkach zmywali podłogę szmatami, umoczonymi w wodzie z miednicy. Jeszcze raz się rozejrzał, aby się upewnić, że prócz nich nie ma tam nikogo i wyszedł z sali.

Zawiedziony wyszedł z budynku. Przy kanale biegnącym równolegle do ściany stał brat Julian, pan wód, i obserwował bieg strumienia.

– Bracie Julianie – zwrócił się do mnicha z kręconymi włosami – czy nie wiecie, gdzie znajdę brata Rogelia?

– Niedawno widziałem go przy młynie.

– Zastanę go tam jeszcze?

Zakonnik nie spieszył się z odpowiedzią, splótł węzłaste palce dłoni i obrzucił go swoim przygasłym spojrzeniem.

– Możliwe, często tam chodzi liczyć karpie z hodowli.

– Dziękuję – i Bizén ruszył bez zwłoki we wskazanym kierunku.

Minął liczne warsztaty garbarskie i tkackie, doszedł do młyna, wspiął się po kamiennych schodach i poszedł brzegiem rowu z wodą w kierunku stawu, usytuowanego przy samym murze. Brat Rogelio wpatrywał się w wodę sadzawki, w której widać było karpie i inne, mniejsze ryby.

– Nigdy do końca nie pojąłem, jak się mnożą ryby – powiedział Bizén

przyjacielskim tonem.

– Jest wielu takich, co utrzymują, że podobnie jak owady, robaki i żaby, lęgną się one samoistnie wszędzie tam, gdzie jest dostatek wody.

– Jest inaczej?

– Ależ tak. Żeby karpie się wylęgły, trzeba mieć dorosłe ryby. Karpie, które dały początek hodowli w Verueli, zostały tu sprowadzone z Fitero, które także należy do naszego zakonu. To najstarszy klasztor na południe od Pirenejów, oddalony stąd zaledwie o trzy dni drogi konno – sprecyzował. – Zaczęliśmy od kilku ryb, a teraz, popatrzcie sami!

– Czyli mnożą się podobnie, jak zwierzęta.

– I tak, i nie. Oczywiście zachodzi tu pewien proces. Jeśli założycie sztuczny staw z wodą i nie będzie w nim ryb, to się w nim nie zalęgną. Za to pojawią się wszelkiego rodzaju muchy i robaki.

– I pijawki.

– O tak, pijawki również – zakonnik przyjrzał się rozmówcy. – Z czym przychodzie? Jest coś, o czym chcecie mi powiedzieć?

– Możliwe, że trafiłem na zabójcę Octavia.

– Macie pewność? Ostatnim razem, kiedy tak mówiliście, skończyło się na rozczarowaniu – przypomniał mu brat Rogelio, rzucając do stawu okruchy chleba i spoglądając na karpie, które stłoczyły się wokół, wystawiając pyszczki.

– Jest pewien mnich bardzo odmienny od całej kongregacji.

– Kto taki?

– Brat Hugo.

– On jest ze wszystkich najmłodszy – stwierdził zakonnik – i jako taki, niedoświadczony. Zachowuje się cicho, z szacunkiem, przykłada się do modlitwy i bardzo dużo czyta. Nie sądźcie po pozorach.

– Wydaje mi się, że jego ojciec jest wysoko postawionym szlachcicem, ważną osobistością w królestwie.

– To całkiem możliwe; z tego, co widziałem, opat zawsze miał go pod szczególną ochroną, ale to już inna śpiewka.

– Trzeba dobrze powiązać wszystkie końce – Bizén się zamyślił –

i Hugo...

– Jaki motyw mógłby wchodzić w grę? Zawsze musi być jakiś powód do zbrodni.

– Tego jeszcze nie wiem, ale wydaje mi się, że bracia Hugo i Octavio byli związani przyjaźnią, razem pracowali w *cellarium*, może doszło między nimi do jakiejś sprzeczki.

– O co na przykład? Nie możecie polegać na czystych spekulacjach.

– Zawiść, zazdrość, rozpusta...

– Rozumiem – mnich sypnął do stawu kolejną garść okruchów. – Na pewnej górze Orientu występują ogniste kamienie, zwane w języku greckim *terobolem*, samce i samice. Kiedy są od siebie oddalone, nie ma w nich ognia, jednak kiedy się zdarzy, że samica zbliży się do samca, natychmiast wybucha w nich ogień tak silny, że obejmuje wszystko, co znajduje się w sąsiedztwie owej góry – opowiadał, przyglądając się, jak pożywiają się ryby. – Dlatego również my, mężczyźni w służbie Boga, musimy być oddzieleni i oddaleni od kobiet, gdyż może się przydarzyć, że kiedy się do nich zbliżymy, zapłonie pożar, niszcząc dobra, jakie złożył w nas Chrystus.

– Dotrzymujecie ślubu czystości?

– Tak, ale zanim staliśmy się mnichami, byliśmy mężczyznami, młodzieńcami – sprecyzował mnich. – Niejeden duchowny wstępuje do zakonu, spłodziwszy wcześniej potomstwo.

– Wybaczcie, ale teraz nie do końca was rozumiem.

– Chcę wam tylko powiedzieć, że żaden mężczyzna nie przychodzi na świat w habicie.

– A wy... obcowaliście z kobietą?

– Tak, ja też – odpowiedział bez wahania brat Rogelio – zanim złożyłem śluby. I możecie być pewni, że nie jestem jedyny.

– Jaki to ma związek z tym, co wam przed chwilą powiedziałem?

– Sami mówiliście, że śmierć naszego brata nie musi się wiązać bezpośrednio z wykradzeniem szczątków infanta. A zatem znajdźcie rację, przyczynę, która dała temu początek. Zamiast zgadywać, kto



zawinił i zadawać trywialne pytania – napomniał go mnich – trzymajcie się faktów, tropcie ślady zła.

– Nie wydaje mi się, żeby zło mogło być wytworem człowieka. Bóg stworzył dobro, a my stworzyliśmy zło ze wszystkich dobrych rzeczy, którymi nas obdarzył. Dobro nie potrzebuje niczego, jest naszą naturą.

– No, no, notariuszu! Nie oczekiwałem od was takich słów, zdaje się, że pobyt w Verueli zaczyna na was wywierać wpływ – brat Rogelio nie ukrywał uśmiechu – dobry wpływ.

– Zapewniam was, że nie, ale wiem, że przez cały czas, od momentu przybycia, bracia mnie oszukiwali. Żadne z tych kłamstw nie mogło się obejść bez pięknych szat, podczas gdy prawda nie lubi zasłaniać swojej nagości. Kłamstwo jest niczym wielki zamek, trzeba je oprzeć na solidnych fundamentach, do których warto dorzucić niewielką domieszkę prawdy, potem trzeba zbudować mury, baszty i blanki. Ale jeśli czegoś zabraknie, zamek zawali się pod własnym ciężarem. To jest słaby punkt kłamstwa, choćby zamek był najlepiej zbudowany, jeśli się w nim znajdzie jedna źle położona cegła, zawali się. W Verueli wszyscy kłamią, bracie Rogelio.

– W takim razie, niech Bóg się nad wami zmiłuje.

## Zjawa

**A**ż do Wielkiego Postu wieczerza była jedynym posiłkiem w ciągu dnia. To było ich pierwsze spotkanie w refektarzu od czasu ataku Francuzów, który o mały włos nie zakończył się całkowitym zniszczeniem Verueli. Jednak to opactwo wydawało się miejscem odpornym na wszelkie zawieruchy, jakie toczyły się dokoła. Czy to wojna domowa między kastylijskimi królami, zagrożenie najazdem Czarnego Księcia z jego wielotysięcznym wojskiem, czy oblężenie przez białe kompanie Bertranda du Guesclin, klasztor Santa María de Veruela stanowił jakby osobny świat, rządzący się regułą świętego Benedykta i żelazną organizacją cysterską.

W refektarzu wszystko przebiegało zwyczajnym trybem. Podano zupę z jarzyn i dużo wina. Zakonnicy dyżurni się zmienili, teraz przypadła kolej na braci Juliana i Hugo, którzy posługiwali przy głównym stole. Ku zaskoczeniu Bizéna, odsunięty przeor nadal zajmował przy nim miejsce, choć od czasu zawieszenia w pełnionej funkcji, jego sposób bycia zmienił się drastycznie. Był milczący, nie rzucał się w oczy. Trudno było uwierzyć, że to ta sama osoba, jakby uwiądnął z dnia na dzień.

Cisza panowała w sali przez całą wieczerzę. Bizén nie spuszczał oka z rozmowy dłoni zakonników. Kiedy posiłek się skończył, rozejrzał się za bratem Hugo, który pospiesznie opuścił refektarz i szybkim krokiem przemierzał korytarz klauzury. Bizén skradał się za nim ostrożnie. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, po przebyciu krótkiego odcinka, młody zakonnik zatrzymał się przy stajni i wszedł do środka. Bizén czekał cierpliwie. Mnich spędził tam dobrą chwilę; co mógł robić w takim miejscu?

Bizén nie chciał, żeby go zobaczył, ale właśnie, kiedy zaczął odgadywać przyczynę tego opóźnienia, mnich opuścił stajnię. Bizén przycupnął za jakimś wozem i odprowadził brata Hugo wzrokiem, aż ten nie zniknął ponownie za drzwiami klauzury. Zachował bezpieczną odległość, żeby się nie zdradzić, po czym ruszył za nim i wszedłszy do pierwszego korytarza zobaczył, jak zamyka za sobą drzwi do biblioteki.

Mógł się z nim rozmówić od razu, ale zaufał swoim przecuciom i postanowił zdobyć więcej informacji, zanim zacznie go wypytywać. Skierował się zatem z powrotem do stajni. Kiedy znalazł się w jej wnętrzu, upewnił się, że nie ma tam nic poza paroma mułami, kilkoma starymi końmi i dwoma ogierami. Postanowił wszystko dokładnie zbadać. Zaczął od żłobów, potem przyjrzał się uprzędom, zbadał, czy kopce słomy czegoś nie kryją, na koniec dokonał oględzin samych zwierząt.

Czym się tam mógł zajmować brat Hugo?

Z tym pytaniem kołaczącym się w głowie poszedł w kierunku brukowanego terenu w obrębie klasztoru. W ciszy obserwował budynek apteki. Potem znów zwrócił się w stronę stajni i zamyślił się.

W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonu wzywającego na ostatnią modlitwę dnia. Bizén nie mógł się zdecydować, co powinien zrobić. Ostatecznie wszedł do klauzury i czekał do zakończenia mszy.

Choć przybył tu zaledwie przed sześcioma dniami, te kamienie były mu już tak dobrze znane, jakby przechadzał się wśród nich przez całe życie. Szczególny spokój, jakim tchnęły, trudno by było odnaleźć w jakimkolwiek innym miejscu, dawały mu odczucie, jakby wracał do dzieciństwa. Sprawiały, że czuł się bezpieczny jak wówczas, gdy był niewinnym dzieckiem, które jeszcze nie odkryło ogromu okrucieństwa i zła, do jakiego skłonni są ludzie. Gargulce ciągle były jego ulubionymi rzeźbami; nie wiedzieć czemu, hipnotyzowały go te nieforemne, wykrzywione oblicza z szeroko otwartymi paszczami.

Msza święta dobiegła końca, rozwarły się drzwi kościoła i jeden

po drugim zaczęli wychodzić mnisi w białych habitach z czarnymi szkaplerzami. Żaden nie zwrócił na niego uwagi. Wkrótce objawił się brat Hugo. Pozwolił mu przejść i ruszył jego śladem. Mnisi rozpraszali się. Hugo skierował kroki do biblioteki.

Bizén odczekał bezpieczną chwilę w bezruchu, po czym ruszył za nim, pchnął drzwi i wszedł do sali.

Brata Hugo nie było.

Przecież widział, jak wchodzi, jak to możliwe?

Zamknął drzwi i podszedł do środka pomieszczenia. Ani śladu młodego mnicha.

Noc była ciemna, tylko słaby blask paru świeczek przełamywał mrok zalegający w bibliotece.

Bizén miał go już zawołać po imieniu, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Przyjrzał się, jak chyłą się płomień świec.

Podszedł bliżej.

Odczuł lekki prąd powietrza. Wydawało, że ten nikły powiew dobiega z lewej strony, choć nie było tam niczego poza wysokimi półkami pełnymi książek, zwróconych grzbietem do wewnątrz. Brzegi stronic były pomalowane na czarno i to na nich wypisano tytuły. Były to księgi religijne; w miarę, jak postępował wzdłuż półek, spostrzegał starożytne dzieła łacińskie i greckie.

Powiew powietrza mógł pochodzić z jakiejś szczeliny w ścianie za regałami.

To było jedyne możliwe wyjaśnienie.

Bizén wyjął parę woluminów z działu tekstów greckich, dosyć, żeby przyrzeć się ścianie. Przesunął po niej ręką, ale trafił jedynie na chłodne kamienie.

Jeszcze raz przyjrzał się płomykom świec. Prąd powietrza nie mógł dopływać z tak znacznej odległości. Cokolwiek było jego źródłem, musiało się znajdować bliżej.

Jeśli tak, to skąd się brał ten ruch powietrza?

Podszedł do wielkich okien, przyjrzał się im i zdał sobie sprawę, że coś

jest z nimi nie tak. Ich nieproporcjonalnie wielkie rozmiary zaburzały harmonijną strukturę sali. Bizén przypomniał sobie, że zło zawsze zostawia ślady. Coś takiego miały w sobie te okna: nie były oryginalne, wstawiono je później, po zakończeniu całej budowy, o czym świadczył sposób wykończenia kamiennych obramień, odmienny od tradycyjnego.

Ale nie to było przyczyną zagadkowego ciągu powietrza.

Któreś z okien musiało być źle zamknięte. Zbliżywszy się jeszcze trochę, Bizén zauważył, że jedna ze szklanych szyb nie wygląda na dobrze zamocowaną. Podniósł wzrok i zauważył zawiasy.

W jakim celu ktoś miałby otwierać to okno?

To nie miało sensu.

Przyjrzał się innym i stwierdził, że wszystkie pozostałe są zamocowane na stałe. Żadnych zawiasów.

Podszedł do jednego ze stołów i wziął krzesło. Stanąwszy na nim, dostrzegł u górnej krawędzi okna dyskretną zasuwkę. Próbował ją zwolnić, ale bezskutecznie.

Kolejna, bardziej energiczna próba też na nic się nie zdała; coś blokowało to okno z zewnątrz.

Zszedł, natychmiast opuścił bibliotekę, skręcił w kierunku *locutorium* i otworzył szerokie wrota stanowiące wyjście z klauzury w rejonie, gdzie oblaci i poddani przychodzili co rano po polecenia dotyczące przydziału zadań. Skręcił znowu i podszedł wzdłuż muru pod okna biblioteki.

Przyjrzał się trzeciemu z kolei i ujrzał żelazne zabezpieczenia na jego zewnętrznej stronie. To z ich przyczyny nie dało się go otworzyć.

Zacisnął pięści. Podniósł z ziemi jakąś suchą gałąź, wrócił do klasztoru, minął odcinek przy refektarzu i udał się prosto do kuchni.

– A czego wy tu szukacie? – zapytał kucharz, niezadowolony.

Bizén nie odpowiedział; podszedł do stołu, chwycił ścierkę i owinał ją wokół gałęzi. Potem wziął jakąś butelkę i wylał z niej oliwę na tkaninę, na koniec zbliżył się do drugiego końca stołu i wysmarował wszystko świńskim smalcem, a wreszcie ruszył do paleniska, na którym tliły się jeszcze główne, przyłożył do nich swoją wykonaną naprędce

pochodnię, a ta zaraz zajęła się ogniem.

Ku zdumieniu kucharza wyszedł bez słowa, opuścił budynek i ruszył szybko pod zewnętrzną ścianę biblioteki. Oświetlił grunt i zobaczył ślady stóp.

Próbował za nimi podążyć, ale że robił coś takiego po raz pierwszy w życiu, niemało trudu go to kosztowało. To były ślady brata Hugo, nie miał co do tego wątpliwości. Rozejrzał się wokół siebie, ale wszystko spowijał mrok. Dokąd się ten mnich wybierał?

Skierował pochodnię ku oknu i oświetlił ślady. Przy takim oświetleniu łatwiej je dostrzegał. Ruszył naprzód i dotarł do muru w pobliżu bramy, którą wyszedł, żeby przekazać więźnia francuskim najemnikom podczas oblężenia klasztoru.

Blokująca ją belka była zdjęta, a brama otwarta. Bardzo ostrożnie przeszedł na drugą stronę. Oświetlił teren wokół pochodnią, ale młodego mnicha tam nie było. Obszedł cały obręb ciągnących się w nieskończoność murów obronnych Verueli aż do rejonu barbakanu. Znajdował się poza klasztorem, nad światem panowała noc i chłód.

Nie napotkał żywej duszy. W chwili, kiedy zdecydował, że najlepiej będzie wrócić do klasztoru, usłyszał jakiś trzask. Musiał się mieć na baczności, nie wiedział, czego należy się spodziewać; to była ta sama ziemia, na której zaledwie dzień wcześniej pojawiły się oddziały najemników. Zacisnął pięści, wziął głęboki wdech i... jakież było jego zaskoczenie, kiedy rozpoznał osobę, która wyszła z ciemności! Nie był to brat Hugo, ani przeor, ani dziekan. To nie był żaden mnich ani oblat, to nawet nie był mężczyzna.

Tam, po drugiej stronie murów stała Marta, dziewczyna o mrocznym spojrzeniu.

– Co wy tu robicie? – przyjrzał się jej uważnie, drżała, a na jej pobladłej twarzy malowało się przerażenie. – Uspokójcie się, nic złego wam nie zrobię, zapewniam.

– Zrobiłam coś strasznego.

– Marto, nie zamartwiajcie się, opowiedzcie mi, co się stało, a ja wam

pomogę.

– Nie, nikt już nie zdoła mi pomóc...

– Dlaczego tak mówicie? – Bizén bardzo powoli postąpił parę kroków w kierunku dziewczyny i położył jej dłonie na ramionach. – Marto, spójrzcie na mnie. Co się stało?

– Ja...

– Nie bójcie się, możecie mi zaufać.

– Zabiłam moją ciotkę.

– Co takiego?

– Już powiedziałam – Marta się cofnęła.

– Czekaście. To prawda? Naprawdę to zrobiliście?

– Oczywiście, że prawda! Po co miałabym coś takiego zmyślać?

– No dobrze – Bizén przyłożył obie dłonie do skroni, a potem rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchał jej słów.

– Powiedziała mi, że nigdy nie wyjdę za mąż, że mnie sprzeda jak niewolnicę.

– Marto, ona nie może tak postąpić. Należycie do włości Verueli, tylko mnisi mogliby na to wyrazić zgodę. To prawda? Zabiliście ją? – zapytał znów Bizén.

– Tak. Urodzić się tutaj, to tyle co zostać skazanym. Nigdy nie będę wolna – szepnęła dziewczyna.

– Nie mówcie tak. A wasza siostra? Gdzie jest?

– Elena... odeszła – rzekła Marta z błyskiem w oczach – Uciekła z tego przeklętego miejsca i cieszę się, że się jej poszczęściło.

– Uciekła z Verueli! – Bizén nie dowierzał własnym uszom. – A gdzie zamierza się schronić?

– Nie wiem – odrzekła Marta łkając – Ja nie chcę tu zostać, wolę – wyciągnęła nóż spod swojej kapoty i skierowała go w stronę piersi – umrzeć jeszcze dzisiaj.

– Stójcie! – Bizén w jednej chwili stanął przy niej – dajcie mi to natychmiast.

– Życie nie ma żadnego sensu.

– Oczywiście, że ma!

– Jak się jest niewolnikiem, jak się jest kobietą – odpowiedziała Marta zanosząc się łkaniem – to lepiej nie żyć.

– Oddajcie nóż!

– Nie!

Bizén przyskoczył do niej, zanim zdołała wbić sobie nóż w serce. Siłowali się; przemocą wydarł jej nóż z zaciśniętych palców w chwili, kiedy ostrze już przecięło odzież i niemal sięgnęło jej delikatnej skóry.

– Oszalesiście! Jak wam mogło coś podobnego przyjść do głowy?

– Wy tego nie rozumiecie – i spojrzała na niego oczyma, z których wyzierał bezdenny smutek – powiedziałam wam, że zabiłam ciotkę. Oddajcie mi nóż!

– Nie ma mowy.

– Oddajcie! Tak czy owak się zabiję, utopię się w rzece, jak mi go nie dacie.

– Dosyć już, Marto! Uspokójcie się.

– Zabiłam ciotkę, czy nie słyszycie?

– Tak, słyszałem – westchnął.

– Oddajcie – wyciągnęła rękę – nic już mi nie pozostaje, powieszają mnie. Ona... Ona powiedziała, że mój ojciec – Marta spojrzała mu w oczy szlochając – że mój ojciec jest mnichem i że Elena i ja nie jesteśmy siostrami, że ją urodziła inna matka.

– Boże miłosierny! – Bizén miał wątpliwości, czy wolno mu ją objąć, ale tak zrobił.

– Ten stary mnich, to on powiedział mojej ciotce, żeby się nami opiekowała.

– Brat Adolfo?

– Tak. Może mój ojciec żyje, to może być którykolwiek z mnichów...

– Posłuchajcie mnie – delikatnie chwycił ją za podbródek i obrócił ku sobie – gdzie jest ciało waszej ciotki?

– W domu.

– Chodźmy tam – położył dłonie na jej policzkach i obrócił twarz



Marty ku swojej – zaradzimy temu, zaufajcie mi.

– Jak? To niemożliwe. Ona nie żyje.

– Przestańcie to powtarzać – Bizén chwycił ją za rękę – Szybko, prowadźcie mnie do domu.

Marta zaprowadziła go do skromnego domku. Wewnątrz Bizén zobaczył rozciągniętą na podłodze, wykrwawioną kobietę. Poprosił dziewczynę o szmaty i wodę i wspólnie umyli podłogę. Potem zawinęli zmarłą w prześcieradło i Bizén przerzucił sobie ciało przez ramię. Zapytał Martę o groby wykopane dla mieszkańców wioski poległych podczas ataku na Veruelę. Marta go tam zaprowadziła. Znajdowały się w pobliżu klasztoru. Doły stały puste do chwili, kiedy rodziny nie zakończą czuwania przy swoich zmarłych. Notariusz podszedł do jednego z najdalej położonych i wrzucił tam ciało ciotki Franciski. Wspólnie zasypali je ziemią i kamieniami.

– Marto, musicie zapomnieć o tym, co się zdarzyło, rozumiecie?

– Ale...

– Posłuchajcie mnie, wy nic nie wiecie o ciotce, zgoda?

– Dlaczego jesteście dla mnie tacy dobrzy?

– To teraz nie ma znaczenia – Bizén spojrział na smukłą dziewczynę, której gęste, ciemne włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze o tej nocnej porze. – Chodźcie ze mną.

– Dokąd?

– Będziecie robić wszystko, co powiem, zgoda? – chwycił ją za ramię, a ona podniosła wzrok, spoglądali na siebie w milczeniu. Nagle miauczenie burego kota przywróciło ich do rzeczywistości.

– Schowacie się w mojej celi, nikt nie może was zobaczyć. Absolutnie nikt!

– Ciotka przyjdzie po mnie – oświadczyła Marta łamiącym się głosem.

– Przecież właśnie ją pochowaliśmy!

– Zanim skoła, przeklęła mnie, a jutro jest Noc Dusz – dziewczyna drżała ze strachu – jej duch mnie odnajdzie i porwie mnie do piekła.

DZIEŃ SIÓDMY

NOĆ DUSZ

## Tajemnice

**K**iedy Bizén powrócił do tylnej bramy, prowadząc dziewczynę, przejście nadal było otwarte. Wszedł pierwszy, sprawdził, czy nikt się na nich nie czai, i obydwójce wkroczyli na teren opactwa.

Panowały nieprzeniknione ciemności, Marta zatrzymała się zalekniona.

– Nie bójcie się, tylko idźcie za mną.

– Ale nie ma żadnego światła.

– Zaufajcie mi – Bizén wziął ją za rękę i szedł, poruszając w ciemności wargami.

Marta to zauważyła, ale nie ośmieliła się o nic pytać, bo widziała, że jest skupiony. W ten sposób kroczyli pewnie naprzód do chwili, kiedy Bizén się zatrzymał.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył.

– Jak to? – Marta widziała wokół tylko ciemność.

– Znam na pamięć wszystkie odległości, wystarczy policzyć kroki, żeby się nie zgubić w ciemności. Chodźcie, stoimy pod domem gościnnym.

Bizén postąpił naprzód i fasada budynku zamajaczyła im przed oczami. Marta знаła już to miejsce. Weszli i udali się po schodach do korytarza, gdzie znajdowały się cele. Nie robiąc najmniejszego hałasu, dostali się do izby. Bizén zablokował drzwi stołkiem i nareszcie odetchnął z ulgą.

– Musimy się zastanowić, jak was stąd wyprowadzić. Jak myślicie, kiedy odkryją, że was nie ma?

– Z rana, jak nie przyjdziemy do pralni. Chociaż moja ciotka nie ma wielu znajomych, więc może dłużej zejdzie, zanim ktoś pójdzie

sprawdzić, co się z nami stało.

– Dobrze, dzięki temu trochę zyskamy na czasie – raz i drugi przemierzył izbę w zamyśleniu. – Tutaj nikt was nie będzie szukał, musimy poczekać stosownej chwili.

– Nie, ja nie mogę.

– Czemu nie? Uspokójcie się.

– Jutro... jest Noc Dusz.

– Marto, nie ma się czego obawiać.

– Zabiłam ciotkę. Jej duch przyjdzie po mnie.

– Posłuchajcie mnie: nikt po was nie przyjdzie, ona nie żyje – Bizén przerwał na chwilę. – Możliwe nawet, że to dla nas dobra okazja. Ludzie z Moncayo gotowi są uwierzyć we wszystko, co się wiąże z umarłymi. Korzystając z tej nocy, możemy im dać do zrozumienia, że to umarli was porwali.

– Bizén, jak zamierzacie to zrobić?

– Nie wiem, później się nad tym zastanowię. Wcześniej muszę wykryć zabójcę oblata i znaleźć szczątki infanta, żeby móc odejść z Verueli. A ten mnich mi się wymknął. Gdzież on się mógł podziać?

Spojrzał na Martę. Dziewczyna już spała.

Przypatrzył się leżącej i okrył ją kocem. Sam położył się na podłodze i usiłował usnąć.

Spali obydwoje aż do wschodu nowego dnia. Bizén szybko wstał i zbudził dziewczynę.

– Mam pewien plan. Czekać tu na mnie. Gdybyście usłyszeli jakiś hałas, schowajcie się pod siennikiem.

Bizén wyszedł z celi. Teraz wszystko się zmieniło i powinien działać szybko; czas, kiedy mógł sobie pozwolić na ostrożność, minął. Teraz musiał już myśleć nie tylko o sobie, a zegar grał przeciwko niemu.

Zaczął do zakończenia pierwszej mszy, ukryty za jedną z kolumn świątyni. Mnisi podnieśli się ze stall i ruszyli w kierunku drzwi klauzury. Wierzył, że tym razem szczęście będzie mu bardziej sprzyjało.

Ale się omylił.

W świątyni pozostali dwaj mnisi: bracia Saturio i Adolfo. Obydwaj ukłękli przed głównym ołtarzem i kornie skłonili głowy, by rozpocząć modlitwę. Wyszedł ze swojej kryjówki i podszedł do nich pewnym krokiem.

– Bracie Saturio – powiedział stanowczo – dziekan Estéban chce się z wami widzieć natychmiast.

– Teraz? – zdumiał się zakonnik.

– To pilna sprawa, wierzcie mi.

– No dobrze – wstał – Może wiecie, o co mu chodzi?

– Nie wiem, powiedział tylko, że czeka na was w *cellarium*. Teraz, kiedy przejął obowiązki przeora, jest bardzo zapracowany. Ja jeszcze raz przyjrzę się grobowi królewskiemu, być może coś przeoczyłem.

– Wątpię – brat Saturio powędrował w stronę klauzury.

Bizén ruszył w stronę grobowca, ale kiedy tylko drugi mnich opuścił świątynię, zawrócił.

– Chodźmy! Muszę z wami porozmawiać.

– Co się stało? – zapytał zaskoczony brat Adolfo.

– Odkryłem coś takiego, że słowa uwięzną wam w gardle z wrażenia. Ale mogę to powierzyć tylko wam. Nie tutaj. Chodźcie ze mną. Szybko!

– Dokąd mam iść?

– Wyjdziemy tędy – Bizén wskazał drzwi prowadzące na cmentarz – zanim ktoś tu przyjdzie.

– Ja nie mogę biegać.

– Pomogę wam, nie lękajcie się.

Otworzyli drzwi i wyszli. Nowy dzień dopiero się rodził, światło było nikłe i chłód smagał boleśnie.

– Tędy – Bizén wskazał zewnętrzną ścianę apsydy.

Obeszli parę apsydioli i zatrzymali się w połowie trasy.

– Czy mi wreszcie powiecie, o co tu chodzi? – zapytał gniewnym tonem sędziwy Adolfo.

– Odkąd polecono mi wyjaśnić sprawę morderstwa, była pewna okoliczność, która mnie zmyliła. Przez cały czas zakładaliśmy, że ktoś

zabił Octavia, żeby wykraść szczątki infanta – przypomniał Bizén – ale teraz wiemy, że nie, że mamy do czynienia z dwoma wydarzeniami, które miały miejsce w jednym czasie. Jedno zazębia się z drugim, zaciemniając wizję tego, co wydarzyło się naprawdę.

– No dobrze i co z tego? – mnich pochylił głowę i przypatrywał mu się spod przymkniętych powiek. – Macie jakieś nowiny?

– Czy nie mówiliście mi, że tamtej nocy trudno wam się było obudzić?

– Tak, rzeczywiście.

– Nie byliście jedyni. Przeor Antón i inni mnisi powiedzieli to samo – stwierdził Bizén. – A czy to nie jest prawdą, że kolejnej nocy znów spaliście znacznie głębiej niż normalnie? Ja doświadczyłem tego samego, kiedy tu przybyłem.

– To prawda, nawet nie wstałem, żeby się wysikać, a to w moim wieku rzecz niebywała. Ale do czego zmierzacie, notariuszu? – starzec spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Wiem, że Octavio był ambitny, że nie chciał pozostać prostym oblatem. Bardzo szybko zdał sobie sprawę, że Veruela jest ogrodem kłamstwa, a pośród tych wszystkich kłamstw odnalazł jedno, które go zafascynowało. Jeden z grobów na waszym cmentarzu, tam gdzie leżą mnisi – Bizén wyciągnął rękę – ten, który mamy przed sobą.

– Macie na myśli grób z kwiatami. Ta historia nie jest mi obca, ani mnie, ani innym.

– Tak, znacie ją wszyscy, chociaż oblat był jedynym spośród was, który się zorientował, jaki potencjał się za nią kryje, a zatem zdołał wyznaczyć datę, kiedy pojawiały się kwiaty, i zaczął się, żeby wyśledzić, kto je przynosi. Nie wiem, ile go to kosztowało, żeby wyliczyć dokładnie dzień, ale to mu się udało i nadarzyła się okazja do odkrycia, który z mnichów je tam zanosił.

– Opat – oświadczył bez zająknięcia brat Adolfo.

– Owszem – Bizén był zaskoczony. – Wiedzieliście o tym.

– Powiadają, że nie dlatego diabeł mądry, że diabeł, tylko że stary – i spojrział na niego z niezwykłym błyskiem w oku. – On jeden mógł

sobie na to pozwolić i przeprowadzić w taki sposób, żeby nikt go nie zauważył. Nigdy nie miałem całkowitej pewności, ale teraz wy, notariuszu, potwierdziliście moje podejrzenia.

– Dlaczego to robił? – Bizén był mocno poruszony, kiedy zdawał sprawę ze swoich odkryć. – Octavio również chciał się tego dowiedzieć, a zatem wykopał ciało. Znalazł kości, a przede wszystkim szaty... kobiety. Oblat nie mógł o to spytać bezpośrednio opata, a zatem udał się na rozmowę do mnicha najstarszego wiekiem – do was, bracie Adolfo – ciągnął Bizén.

– Nie wiem, o czym mówicie.

– A co mi powiecie o dwóch dziewczynkach, które oddaliście pod opiekę jednej z kobiet mieszkających w pobliżu klasztoru? Może na ten temat coś wam wiadomo?

– Jak wam się udało...?

– To nie ma znaczenia, powiedzcie mi prawdę. Octavio rozmawiał z wami, czy tak? Zwrócił się do was, bo wiedział, że zakonnik w waszym wieku powinien wiedzieć, kim była kobieta z cmentarza.

– Inteligencja jest przecenianą cnotą; kiedy człowiek wie, że ktoś jest inteligentny, może nim manipulować jak najgłupszym z głupców.

– Tak właśnie postępowaliście ze mną, odkąd przybyłem do Verueli.

– Z tego co widzę, niewystarczająco – westchnął brat Adolfo. – Przyszedł do mnie zgodnie z tym, co mówicie. To było parę tygodni temu. Octavio był ambitny, i to bardzo, skoro nie zawahał się przed wyciągnięciem ciała z grobu.

– Za wszelką cenę pragnął się dowiedzieć, kim była ta nieboszczka.

– Ode mnie niczego się nie dowiedział, jednak w innych naszych posiadłościach nie brakuje mnichów w moim wieku. On nie spoczął, dopóki nie znalazł takiego, który odpowiedział na jego pytania. Pewien chory kapłan wyznał mu, że nie wie, kto jest pochowany w tym grobie, ale wie, kiedy grób powstał.

– W ten sposób się dowiedział, w którym roku zmarła pochowana tam kobieta – przytaknął Bizén.

– Już wam mówiłem, że Octavio był uparty, toteż wyszukał zgony, które miały miejsce owego roku.

– W rejestrach, w ten sam sposób ja dowiedziałem się, kiedy był ostatni pogrzeb. Kościół wszystko zapisuje – Bizén się uśmiechnął. – Octavio przeszukał rejestry i znalazł imię kobiety odnotowane w owym roku.

– Na imię miała Aysha.

– Kim była? Córką szlachecką?

– Nie próbujcie biegać, zanim się nauczycie dobrze chodzić – upomniał go mnich. – Octavio zadawał sobie to samo pytanie, wybrał się więc na spytki do domów poddanych w okolicach Verueli. Szukał najstarszych ludzi i natknął się na takiego, co to pamiętał. Tamten mu powiedział, że może chodzić o jedną Mauretankę, która przybyła do Verueli z pobliskiej osady.

– Której?

– Nie powinniście podążać dalej tą drogą – upomniał go starzec po raz kolejny.

– O tym sam zdecyduję, powiedzcie mi, która to osada.

– Balbuente, leży u wejścia do doliny. Jest posiadłością opactwa, posiada kościół i wysoką wieżę.

– Zdaje mi się, że przejeżdżałem tamtędy w drodze do Verueli; zamek padł podczas ataku, a wieża jest zrujnowana.

– Takie rzeczy się zdarzają podczas wojny – odrzekł dziekan Adolfo, lekceważąc tę informację.

– I jakim to sposobem ciało niewiernej spoczęło na klasztornym cmentarzu?

– To samo pytanie zadawał sobie Octavio; w gruncie rzeczy niewiele się od siebie różnicie – powiedział, wytrzymując jego spojrzenie. – Udał się do Balbuente, do zamku, naszego zamku. Powiadacie, że dziś jest w ruinach, ale kiedyś to była wspaniała forteca z mnóstwem komnat. Octavio wypytywał i oczywiście docieknął prawdy. Po upływie tylu lat kłamstwom brakuje pożywki, nikt nie dorzuca do ognia, a kiedy się



wypalą, prawda wychodzi na jaw.

– Kim była ta kobieta?

– Balbuente jest o dzień drogi stąd, było zatem w zwyczaju, że kiedy mnisi udawali się w podróż, zatrzymywali się tam na nocleg – opowiadał rozwleknie starzec. – A czasami nawet na dłuższy okres. Jest tam osada, pola, dzięki niższemu położeniu tamte winnice dają lepsze plony, a poza tym z tego miejsca ma się kontrolę nad żyzną łąką nad rzeką. Bywało, że sam opat spędzał w Balbuente pogodne dni.

– Opat?

– Nasz opat – przyświadczył. – Ta Mauretanka pracowała dla zamku. Była służebną i... nie tylko. Balbuente było ważne dla naszego młodego wówczas brata Sancho, to nie był pierwszy raz, kiedy się tam udawał na spotkanie z kobietą.

– Miał więcej kochanek.

– Tak. I zwykło się o nim mówić, że w Balbuente najbardziej lubi ciemne jagody, ale nie z tych, co mają kolczaste gałęzie. Opat zaczął składać częste wizyty w tym zamku i spędzał całe godziny w ich towarzystwie.

– I co się stało?

– Okazało się, że Mauretanka jest brzemienna – odpowiedział niechętnie brat Adolfo.

– Urodziła opatowi córkę!

– Tak, wtedy kazał ją przenieść na ziemie Verueli.

– Ale ta kobieta, o której mówicie, jest matką obu siostr czy to siostry przyrodnie? Bo nie do końca zrozumiałem.

– Mauretanka to matka tej młodszej, a starsza jest córką innej kobiety. To była bardzo urodziwa chrześcijanka imieniem Ixeia. Ludzie z Balbuente powiadają, że postradała rozum, kiedy opat ją porzucił dla Mauretanki. Odebrała sobie życie.

– Czy to prawda?

– Myślę, że tak. Opat czuł się winny tego nieszczęścia i oddał Mauretance na wychowanie tę starszą dziewczynkę. Dziecko było

malutkie, ledwie zdążyło poznać swoją rodzoną matkę. Ale za to syn...

– Syn?!

– Ixeia już wcześniej urodziła opatowi syna, malec chował się na zamku w Balbuento.

– Teraz musi już być mężczyzną. Jakie były jego losy?

– Tego nie wiem. Zniknął bez śladu – odpowiedział zakonnik – nigdy go nie widziałem.

– Opat ma wiele do ukrycia.

– Ta Mauretanka, Aysha, umarła wkrótce po przybyciu do Verueli. Opat musiał ją kochać do szaleństwa, dlatego pochował ją skrycie na cmentarzu monastycznym. Chciał ją mieć blisko siebie i, jak się okazało, kłaść kwiaty na jej grobie – starzec potrząsnął głową – co za głupota.

– Octavio to wszystko odkrył.

– Tak.

– I rozmawiał z opatem – Bizén zaczął rozumować w szalonym tempie – i oczywiście zażądał czegoś w zamian za milczenie. Tak, tak właśnie postąpił, nie chciał dłużej być oblatem, chciał zostać mnichem chórowym, uczestniczyć w godzinach liturgicznych.

– Chciał się dostać do chóru monastycznego i zaprzestać prac fizycznych. Jego ambicja była nieokiełznana. Z czasem i z nieocenioną pomocą opata, chciał się piąć w górę, aż do... Któż to wie? Może liczył, że kiedyś zostanie opatem?

– Ale to się nie powiodło. Kiedy Octavio został zabity, razem z nim zginęła tajemnica – Bizén próbował zajrzeć rozmówcy w oczy. – Opat uległ szantażowi?

– Tego nie wiem.

– Co Octavio miał z tego, że wam o tym wszystkim opowiadał? – Bizén zaczynał się niepokoić, rzecz rozwijała się w nieprzewidzianym kierunku.

– Potrzebował mieć w klasztorze jakiegoś sojusznika.

– Ukrywaliście to przede mną przez cały czas.

– Wyobraźcie sobie, co by się działo, gdyby pozostali mnisi dowiedzieli się o miłostkach opata.

– Bracie Adolfo – powiedział bardzo dobitnie Bizén – kto zamordował Octavia?

– Nie wiem, a jeśli myślicie, że ja, to jesteście w błędzie. Ale trzeba wam wiedzieć, że z powodu swojej wybujałej ambicji Octavio zrobił sobie mnóstwo wrogów w klasztorze.

– Czy opat mógł to zrobić?

– Myślę, że to mógł być którykolwiek z mnichów. Ale chyba zdajecie sobie sprawę, że dzisiejszy dzień nie jest najlepszy, żeby rozmawiać o zmarłych i cmentarzach.

– Noc Dusz.

– W samej rzeczy – sędziwy Adolfo przez chwilę patrzył na notariusza w milczeniu. – To taki dzień, w którym zawsze się zdarza coś niezwykłego, więc lepiej zachowujcie się bardzo ostrożnie.

– Odkąd przebywam w Verueli, wciąż jestem świadkiem niebywałych rzeczy, nie sądzę, aby ta noc miała przynieść coś gorszego od poprzednich.

– Ostrzegłem was, a teraz chciałbym wrócić do środka, strasznie tu zimno.

## Calefactorium

**W**szedł ostrożnie do izby i zamknął drzwi; zdawało się, że cela jest pusta, może zdecydowała się odejść?  
Wtedy usłyszał jej oddech.

– Jesteście tam? – zapytał Bizén.

Marta wyszła spod łóżka.

– Nie potrzebujecie się ukrywać przede mną.

Dziewczyna skinęła głową i usiadła na materacu. Bizén spostrzegł, że związała włosy w koński ogon. Teraz lepiej widział jej twarz, zwłaszcza te lśniące oczy, większe, ciemniejsze niż dawniej. Wydała mu się mniej dzika, łagodniejsza. Jakby się wyrzekła napiętej do granic czujności i, mimo okoliczności, nabrała trochę swobody. Ucieszył się, że ją widzi taką, ale starał się tego nie okazywać.

– Odkryliście to, czego szukacie? – zapytała Marta i zdziwiła się, że zwleka z odpowiedzią.

– Jeszcze nie i prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy mi się to uda.

– Co zrobimy? – zapytała. Wzięła do rąk książkę ze stolika przy łóżku.

– I tego nie wiem – odpowiedział Bizén zrezygnowanym głosem.

Bo rzeczywiście nie wiedział, co począć. Usiadł przy stole ze spuszczoną głową i westchnął. Milczał, zatopiony w rozmyślaniach. Tymczasem Marta przeglądała książkę i czekała, aż Bizén się odezwie. Cisza się przedłużała i dziewczyna była zmieszana.

– Umiecie czytać, prawda?

– Oczywiście, jak bym mógł nie umieć? – odrzekł Bizén, nie przykładając wagi do tego pytania.

– Gdybym tak ja potrafiła czytać – westchnęła Marta, przekładając

strony i wodząc palcem po atramentowych znakach.

– Mógłbym was nauczyć...

– To musi być takie trudne, a zarazem takie cudowne... – Marta się zadumała, jej spojrzenie było nieobecne.

– Jestem pewien, że szybko będziecie się nauczyli.

– Powiedzcie mi jedną rzecz, czy to prawda, co mówią?

– A co takiego mówią? – zapytał Bizén, nie pojmując pytania.

– Że jak się czyta, to tak jakby wejść do głowy innej osoby.

– Nigdy tego nie słyszałem. Kto tak powiedział?

– Jeden z mnichów, kiedyś słyszałam takie słowa – odpowiedziała i odłożyła książkę na dawne miejsce.

– Marto, czytanie to o wiele więcej. Kiedy się zaczyna czytać książkę, dzieje się coś niewiarygodnego: różne osoby i miejsca zaczynają się pojawiać w naszej głowie. To całkiem nowy świat, coś jak podróż po krainach, w których nie byliśmy nigdy. A najlepsze ze wszystkiego jest to, że każdy przeżywa tę podróż po swojemu.

– Naprawdę? Podróż?

– Tak, dla mnie tak właśnie jest – potwierdził Bizén z wyrazem szczęścia na twarzy.

– Nigdy się nie nauczę czytać – ton jej głosu zmienił się niespodziewanie, Marta podniosła się gwałtownie. – Nie wydam się stąd żywa.

– Cierpliwości, coś wymyślę, żebyśmy mogli razem opuścić to miejsce – oświadczył Bizén, podchodząc do niej i biorąc ją za rękę. – Obiecuję.

Zapanowało gorzkie milczenie, oczy, które się spotkały, długie oddechy, cęła stała się mniejsza, przytłaczająca. Bizén chciał jej obiecać tyle rzeczy, ale się obawiał, że nie zdoła wypełnić obietnicy.

– Jestem samotna – szepnęła Marta z ciemnym, smutnym spojrzeniem. – Moja siostra zniknęła, a moja ciotka... To ona się nami zajmowała.

– Przykro mi, to ciężka chwila.

– Jaka jest wasza matka? – Marta podniosła oczy, szukając spojrzenia

Bizéna.

– Moja matka to nadzwyczajna kobieta.

– Opowiedzcie mi o niej – wydawało się, że dziewczyna pragnie usłyszeć więcej.

– Zrobiła wszystko, żeby dać mi szansę w tym świecie. Naprawdę o mnie walczyła – Bizén się zamyślił. – A ja ją zawiodłem.

– Czemu tak mówicie?

– Marto, ja nie jestem dobrym człowiekiem, zrobiłem coś, z czego nie mogę być dumny. Ale... Nie miałem wyboru.

– Opowiedzcie mi wszystko, ja się wam przyznałam, że zabiłam ciotkę – spojrzenie Marty go rozbroiło, nie potrafił nic przed nią zataić.

– Nikt nie oczekiwał mojego przyjścia na świat, bardzo wczesnie zdałem sobie z tego sprawę, wszyscy moi bracia byli już żonaci, siostry zamężne, a ja byłem małym dzieciakiem. Kiedyś matka mnie zawołała i powiedziała mi prawdę: nic dla mnie nie zostało, cały majątek się rozszedł na posagi, na to, żeby mojemu starszemu rodzeństwu zapewnić odpowiednią pozycję. Nie miałem szans nawet na wstąpienie do stanu duchownego, a żeby zostać żołnierzem, trzeba było konia i rynsztunku, na co nie mieli pieniędzy. Poza tym nie wykazywałem talentu do posługiwania się bronią, więc ojciec po prostu machnął na mnie ręką. Ale nie ona. I pewnego popołudnia mnie wezwała i powiedziała, że musimy działać. Nie wiedziałem, co chce zrobić, ale matka miała plan.

Parę dni później zaprowadziła mnie do don Antonia Martíneza de la Peira, notariusza królewskiego. Przyszło nam czekać dwie godziny, zanim nas przyjął. Jego wygląd i zachowanie wywarły na mnie wielkie wrażenie. To był postawny mężczyzna. Ani razu na mnie nie spojrzał, rozmawiał z moją matką, jakby mnie wcale tam nie było.

– Posłuchajcie mnie, pani, przyjmuję na służbę wyłącznie takich, którzy wykazują się zdolnościami.

– Poddajcie go próbie, przekonacie się, ile jest wart.

– To nie wszystko, musi pochodzić z dobrej rodziny. Ja potrzebuję koneksji. Co mi po którymś z kolei synu ojca, który tylko się bił

na wojnie? Nie ma tego rodzaju przyjaźni, jakie są mi potrzebne. I nikt nie ma u niego zobowiązań; wiem, że wyczerpał wszystkie środki i stosunki, żeby zabezpieczyć przyszłość reszcie potomstwa.

– Ale na coś się wam mój syn przyda, może robić cokolwiek.

– Słuchajcie, pani, jedyne, czego mi trzeba, to pomocnik opłacalny. Ja go nauczę czytania, pisania, prawa, sztuki obracania się wśród możnych, a on co? A jego rodzina? Co wy ofiarujecie mi w zamian? Ktoś, kto nadaje się do wszystkiego, do niczego się nie nadaje.

– Synu, wyjdź na chwilę na ulicę.

Posłuchałem matki. Wyszedłem na plac naprzeciw domu notariusza i czekałem tam co najmniej pół godziny. Dopiero po tym czasie moja matka ukazała się w drzwiach.

– Zaczynasz od jutra – powiedziała na mój widok. – Będziesz pomagał przy sprzątanii i wypełniał inne polecenia.

– Mam być sługą? – zapytałem.

– Milcz – matka wzięła mnie za rękę. – Znajdziesz się w domu jednego z najpierwszych notariuszy królestwa. Wyobrażasz sobie, ile mnie to kosztowało? Lepiej dla ciebie, żebyś nigdy się nie dowiedział.

Kolejnego ranka matka odprowadziła mnie w to samo miejsce, ale tym razem sama nie weszła do środka, ucałowała mnie w czoło i odeszła ze łzami w oczach.

Ja nie miałem pojęcia, co mnie czeka od tej chwili i nigdy bym sobie nie wyobraził, jak bardzo będzie mi ciężko. Notariusz królewski miał trzech pomocników, poza tym służbę. Cały dół tego budynku to było ogromne biuro, jego prywatne mieszkanie znajdowało się na piętrze. Jego pomocnicy siedzieli przy długich stołach i tam oczekiwali na polecenia don Antonia. Ściany były zastawione półkami zawierającymi mnóstwo ksiąg i pergaminów, wszystko to w idealnym porządku.

– Już tu jesteś – przywitał mnie bez entuzjazmu. – Znalazłem dla ciebie zajęcie. Widzisz ten stos pism przewiązanych taśmami? – wskazał na zwitek zbutwiałych pergaminów, pokrytych plamami wilgoci.

– Tak.  
– Chcę, żebyś je skopiował.  
– Ale... one wyglądają jak śmieci.  
– Co powiedziałaś?  
– Wystarczy spojrzeć – odrzekłem. – Są w strzępach.  
– Tak, dlatego masz je skopiować. Co do jednego! – podkreślił don Antonio.

– To zajmie całe tygodnie.  
– Być może całe miesiące, będziesz miał zajęcie. Jeśli wolisz, możesz natychmiast odejść, ale powiedz jasno swojej matce, że ty sam podjąłeś taką decyzję. Ja jestem człowiekiem słownym i nie chcę, żeby były między nami jakieś nieporozumienia. Twoja matka jest dzielną kobietą.

Spędziłem trzy kolejne miesiące na kopiowaniu zawiłych pism prawniczych. Pergaminy były tak brudne i poszarpane, że musiałem to robić z wielką ostrożnością. Jako że moja praca była niezbyt efektowna, nie udało mi się zaskarbić sobie przychylności pozostałych trzech pomocników, którzy od pierwszego dnia odwrócili się ode mnie. Tym bardziej, że w grę wchodziło współzawodnictwo, a i oni nie pochodzili ze szczególnie znaczących rodzin.

Tak czy owak ukończyłem to pierwsze zadanie. Kolejne nie było o wiele lepsze. Kazano mi przewietrzyć wszystkie księgi i pergaminy, jakie były w domu, żeby nie zawilgły, a przy okazji sprawdzić, czy są w dobrym stanie. I tak otwierałem jedną po drugiej wszystkie księgi, rozwijałem rulony pergaminów i chuchałem na ich powierzchnie, żeby oddychały. Robiłem to wszystko, kiedy don Antonio uczył pozostałych pomocników zasad zawodu i zlecał im pisanie dokumentów o charakterze prawniczym.

Tak minął mi cały miesiąc, po czym dostałem nowe zadanie: skopiować wszystkie dokumenty, które podpisywał notariusz królewski. To była monotonna praca, a jedyna korzyść, jaką z niej wyniosłem, polegała na tym, że mogłem się zorientować, czym właściwie zajmuje się don Antonio.



Półtora roku później nadeszło pismo z zapytaniem od pewnego zakonu z miasta Huesca. Potrzebowali notariusza do załatwienia bardzo zawiłej sprawy na granicy królestwa. Na ile zdołałem się zorientować z rozmów moich towarzyszy, opłata za wykonanie zlecenia była bardzo wysoka ze względu na to, że sprawa była trudna. I zaczęły się dociekania, którego z nich wybierze don Antonio, żeby mu towarzyszył w tak ważnym zadaniu.

Wiedziałem, że nie ma najmniejszych szans, żebym to ja został wybrany, więc w przeddzień wyjazdu, po południu, kiedy notariusz wyszedł wezwany na jakąś rozprawę, wziąłem pióro i pergamin. Wykorzystując umiejętności kopisty, jakie nabyłem w jego służbie, napisałem list, pod którym podpisałem się jako prokurator królewski Aragonii, i wręczyłem to pismo pierwszemu z pomocników. Udawałem, że przyniósł je posłaniec. Było tam napisane, że wzywają go do objęcia miejsca w kancelarii królewskiej. Mój towarzysz naturalnie nie zawahał się porzucić służby u don Antonia, ku niezadowoleniu mistrza.

Nie mogłem posłużyć się tym samym wybiegiem po raz kolejny, uknułem więc bardziej skomplikowany podstęp. Poszedłem na targ i wypytałem o znachora. Powiedzieli mi, żebym się udał do szpitala i pytał o „córkę kpiarza”. Tak też uczyniłem, znalazłem ją nad rzeką. Dobrze wiedziałem, co mi potrzebne, wiedziałem, że mogę to od niej dostać i tak też było. Kupiłem od niej środek przeczyszczający; zapewniała, że działa natychmiast i nie powoduje bólu. Zaopatrzony w ten specyfik wróciłem na obiad do domu notariusza. Wziąłem ze sobą również wino i poczęstowałem nim obu pomocników don Antonia. Niestety, mimo mojego nalegania, jeden z nich odmówił.

Po krótkim czasie środek przeczyszczający zadziałał i jeden z moich towarzyszy musiał odejść niemal bez uprzedzenia. Ale został jeszcze trzeci, a czas naglił. Byłem w trudnej sytuacji, potrzebowałem natychmiast znaleźć jakiś sposób.

– Mam nadzieję – zwróciłem się do ostatniego z rywali – że wszystko pójdzie gładko w tym opactwie w Moncayo.

– A czemuż by nie?

– Ono leży na samej granicy, słyszałem, że Anglicy szykują się do przejścia przez Pireneje, żeby wesprzeć uzurpatora w pretensjach do tronu Kastylii, a że królestwo Aragonii należy do ich sojuszników, jest poważna obawa, że Kastyljczycy ponownie nas zaatakują.

– Już prawie zima, do końca wiosny nie będzie nowych starć.

– Mnie mówili, że na granicy grasuje pełno uzbrojonych band. W sytuacji kiedy nikt nie waży czuwać nad tymi terenami...

– Don Antonio zebrał żołnierzy do obstawy, nie ma się czego bać.

– Wiele placówek znajduje się w rękach francuskich najemników, to ich zapłata za to, że nam pomogli powstrzymać Kastyljczyków, kiedy już się szykowali do najazdu na stolicę królestwa.

– Oni są naszymi sprzymierzeńcami, czy wy czasem nie przesadzacie? Skoro don Antonio zdecydował się na tę podróż, to wie, co robi. Poza tym szczęście się do mnie uśmiechnęło i będę mistrzowi towarzyszył. To wielka szansa.

To była wielka szansa, dobrze o tym wiedziałem.

O poranku, w dniu wyjazdu do Moncayo, don Antonio szykował swój ekwipunek, a zbrojna eskorta pod dowództwem rycerza o nazwisku Ramiro de Aguilera, jaką wynajął do ochrony, oczekiwała na sąsiednim placu. Wówczas przybył posłaniec i zapytał o notariusza. Don Antonio przyjął go nieco podejrzliwie, a jego zaskoczenie wzrosło niepomniernie, kiedy przeczytał pismo, jakie mu tamten dostarczył. Wysłał je trzeci z jego pomocników; pisał, że tejże nocy w jego domu wybuchł pożar, a ziszczenia są tak wielkie, że zmuszają go do rezygnacji z podróży. Don Antonio przeklął swojego pecha. Wyglądało na to, że wszystko się sprzyściło przeciwko niemu, sprawiając, że cała trójka pomocników odmawia udziału w tak ważnym przedsięwzięciu.

Ale się omylił, bo w odwodzie pozostał jeszcze jeden.

Marta uważnie wysłuchiwała tej całej opowieści i teraz milczała, a Bizénowi było wstyd, że tak się obnażył przed tą młódką.

– Cieszę się, że to wszystko zrobiliście, i z tego, że waszej matce udało

się przekonać notariusza.

– Na pewno? Przecież wam mówiłem, że dopuściłem się rzeczy...

– To mnie nie obchodzi, nie potrzebuję wiedzieć nic więcej.

– To dobrze – uśmiechnął się Bizén. – Chcę was wyciągnąć z Verueli jak najprędzej, ale w tym celu muszę rozwiązać sprawę zabójstwa oblata i przyznam się, że trochę się w tym wszystkim pogubiłem.

– Ja, kiedy się zgubię, wracam do początku – powiedziała dziewczyna z całej głębi swoich czarnych oczu.

– Czemu to mówicie?

– Kiedy idę sama do lasu i tracę orientację, staram się odtworzyć w myślach pierwsze kroki. A potem przypomnieć sobie, którądy doszłam do miejsca, gdzie się znajduję. Nie zawsze wszystko dokładnie pamiętam, ale to mi jednak pomaga.

– Cofacie się krok po kroku.

– Tak, trzeba się cofać bardzo powoli, póki nie dotrzemy do miejsca, które znamy.

Bizén przypomniał sobie wszystkie swoje wędrówki wzdłuż i wszerz Verueli, kiedy to odliczał kroki dzielące poszczególne punkty.

– Marto, macie rację – spojrzała na niego ze szczególnym błyskiem w oku. – Kiedy człowiek trzyma się prawdy, zawsze pamięta, co było na początku; tylko ten, kto kłamie, musi pamiętać o każdym ze swoich kłamstw.

Podniósł się z miejsca i podszedł do okna, zatrzymał się przed nim, a następnie się odwrócił i ruszył dokładnie śladem własnych kroków, by znów stanąć przed dziewczyną.

– Trzeba zawsze powracać do samego początku, ponieważ łatwiej ukryć oszustwo, kiedy się postępuje naprzód. Jeśli się zmusi kłamcę, żeby się cofnął, może zrobić fałszywy krok i wpaść w pułapkę.

Podniósł wzrok do sufitu i zaczął poruszać palcami prawej ręki, jakby coś obliczał w myślach. Zamknął oczy i znieruchomiał.

– Co się dzieje? – Marta przyglądała mu się zdziwiona, aż wreszcie nie mogła się powstrzymać.

– Nie możecie sobie tego wyobrazić – wskazał palcem w jej stronę. – Czekajcie tu na mnie.

– Nie chcę znów zostać sama, błagam was – szepnęła dziewczyna.

– No to co mamy zrobić? Nie mogą was widzieć w klasztorze...

– Jeśli mnie tu samą zostawicie, odejdę – zabrzmiało to jak poważne ostrzeżenie, z tych, których lepiej nie sprawdzać w praktyce.

Bizén nie spodziewał się takiej stanowczości i nie od razu zareagował.

– W porządku – odpowiedział, nie tyle przekonany, że to dobry pomysł, ile pełen podziwu dla odwagi tej młodej dziewczyny. – Pójdziecie ze mną.

Para wyszła z domu gościnnego kiedy już zapadła noc. Doszli do portalu świątyni. Przekonali się, że nie ma w pobliżu żadnego mnicha ani oblata, obeszli kościół od lewej strony i dotarli do cmentarza monastycznego. Bizén przyjrzał się krzyżom. Wydawało się, że niczym się od siebie nie różnią.

– Co my tu robimy? – Marta była bardzo zdenerwowana. – Czy nie zdajecie sobie sprawy, co to za noc?

– Owszem, ale musimy znaleźć jeden grób.

– Chyba nie mówicie tego poważnie – dziewczyna zbladła jak chusta.

– Pośród tych wszystkich grobów jest jeden, w którym nie pochowano zakonnika, tylko kobietę. Który to może być?

– Po to przyszliśmy, tak? – Marta pojęła, że o to właśnie chodzi, kiedy Bizén, schylony, przyglądał się kolejnym krzyżom. – Kim była ta kobieta?

– Kochanką opata, to on ją tu pochował potajemnie...

– Opat musiał ją bardzo kochać, skoro zdecydował się na coś takiego – Marta stała w zamyśleniu, przyglądając się grobom.

– Tak myślicie? – Bizén miał ochotę jej powiedzieć, że tą kobietą była jej matka, ale czuł, że to nie jest odpowiednia chwila.

– Tak, oczywiście, że tak. Pochował ją tu, żeby ją mieć przy sobie, żeby ją odwiedzać, nawet z nią rozmawiać.

Bizén dalej przyglądał się krzyżom, zaś Marta z lękiem poruszała się

pośród zmarłych.

– Bardzo niebezpiecznie przebywać dzisiaj w takim miejscu – upierała się. – Nie zapaliłam żadnej świecy, ciotka przyjdzie po mnie.

– O to się nie martwicie. Ta kobieta, Aysha, została tutaj pochowana i lata później opat zaczął składać kwiaty na jej grobie w rocznicę jej śmierci – opowiadał Bizén.

– A czemu nie przynosił kwiatów od samego początku?

– Marto, co mówicie?

– Byłoby logiczne, gdyby jej zanosił kwiaty od samego początku, nie uważacie? – zastanawiała się na głos, przez cały czas zerkając trwożnie na wszystkie strony.

– No tak, macie rację – Bizén się zamyślił. – Jak można to wyjaśnić? Może przyszedł czas, kiedy tak bardzo się za nią stęsknił, że zaczął przynosić kwiaty, żeby nie czuć się tak samotnym?

– Jesteście pewni, że nie robił tego od dnia, kiedy została pochowana? – upierała się Marta, która ze związanymi włosami wyglądała jakoś inaczej.

– To się zaczęło później, tego jestem pewien, ale w waszych słowach coś jest.

– Ja nie lubię kwiatów, więdną, umierają.

– Za to są piękne – powiedział Bizén zapatrzony w szyję dziewczyny. Dotąd nie spostrzegł, jaka smukła jest ta szyja.

– Są nietrwałe, zachwycają pięknnością, a potem znikają. Mnie się to nie podoba, wolę drzewa, są silne, proste, odporne – oświadczyła Marta, nie odrywając wzroku od mogił. – Kiedy ludzie ścinają drzewo, odczuwam jego cierpienie, ból. A kwiatki znaczą niewiele.

– Nie chcielibyście, żeby kładli kwiaty na waszym grobie?

– Przecież bym ich nie widziała, więc jak by mi się mogły podobać?

– To jakiś dowód pamięci – odpowiedział Bizén, zaskoczony sposobem rozumowania dziewczyny. – Tego, że nie popadacie w zapomnienie.

– Może to raczej pociecha dla żyjących, ale dla zmarłych nie mają znaczenia – stanowczo oświadczyła Marta. – I jeśli opat zwlekał przez

lata z tą tęsknotą, która mu kazała kłaść kwiaty na jej grobie, to odwołuję to, co powiedziałam. Nie kochał jej tak bardzo.

Bizén był głęboko poruszony szczerością i mocą jej słów, sposobem, w jaki je wypowiadała, a przede wszystkim tym, że jej spostrzeżenia były słuszne. Opowieść o kwiatach na grobie była niepełna, coś w niej szwankowało.

– Chodźmy już stąd, kto zaręczy, że ci mnisi spoczywają w pokoju? Że nie zostawili niezafatwionych spraw w naszym świecie? Dzisiaj wszystko jest możliwe, dzisiaj otwierają się wrota piekła.

– Marto, to są zwykłe przesady, nic więcej.

Nagle rozległ się jakiś trzask, obydwójce popatrzyli na siebie i Bizén podbiegł, żeby ją chwycić za rękę. Pociągnął ją na drugi koniec cmentarza, ukryli się za rogami kościoła.

Na cmentarzu pojawił się jakiś cień, przeszedł pomiędzy grobami i przystanął przy jednym z nich. Stał i patrzył w milczeniu na mogiłę. Marta i Bizén oczekiwali ukryci w ciemnościach.

– To upiór!

– Sza! – Bizén przyłożył palec do ust. Cień dalej stał w bezruchu.

– Słuchajcie – szepnął jej do ucha – nie możemy tu zostać dłużej. Obejdziemy kościół, chodźcie za mną bardzo ostrożnie.

– Dokąd pójdziemy? Dzisiaj umarli mogą nas ścigać wszędzie.

– To nie umarli wzbudzają moje obawy, wierzcie mi. Chodźcie za mną, nikt nas nie może zobaczyć.

Bizén i Marta okrążyli kościół, stąpając w gęstym mroku. Musieli stawiać nogi bardzo ostrożnie, żeby się nie potknąć i nie przewrócić. Zachowując największą czujność, skręcili i stanęli przed wejściem do klauzury. W tym momencie cichy szelest zdradził obecność jakiejś istoty w pobliżu. Bizén zatrzymał się i spojrzał na dziewczynę. Dał jej dłonią znak, żeby zachowała spokój. Jakiś czas stali w bezruchu i wyczekiwali, ale żaden nowy dźwięk nie zakłócił ciszy, więc Bizén wziął ją za rękę i ruszyli ponownie. Wtedy znów usłyszeli hałas. Marta mocno ścisnęła go za rękę, co go zaniepokoiło i jednocześnie odciągnęło

jego uwagę od tego, co miało się wydarzyć.

Bizén odwrócił się do niej i patrzył na nią wystarczająco długo, by nie zauważyć pięści, która wymierzyła mu cios w szczękę.

– Uwaga! – krzyknęła Marta, za późno.

Zachwiał się, ale utrzymał się na nogach, nie brakło mu refleksu, żeby uchylić się przed kolejnym uderzeniem. To był ten sam mnich, który poturbował go za pierwszym razem, poznał go po zwinności ruchów, choć założył kaptur na głowę, żeby ukryć twarz. Wówczas Bizén dostrzegł błysk sztyletu i uskoczył do tyłu, raz i drugi unikając pchnięcia.

Świadom przewagi napastnika, musiał działać błyskawicznie. Mnich znów rzucił się ku niemu; ledwie zdążył się wycofać, jednak teraz poczuł mur za plecami.

– Kim jesteście? – krzyknął wyzywająco. – To wy zabiliście oblata, nie zaprzeczycie! Jesteście zwyczajnym tchórzem!

Mnich, ukryty pod osłoną mroku i kaptura, nie odpowiedział, ale powstrzymał się od kolejnego ataku. Zwlekał przez parę chwil, zastanawiając się, jak się zachować i Bizén dostrzegł w tym swoją szansę.

– Wiem, kim jesteście – powiedział z pewnością siebie, którą osłaniał własny lęk. – I nie jestem jedynym. Nie uda się wam postawić na swoim, choćbyście mnie zabili. Złapią was i tak.

– Ja nie zabiłem Octavia.

Mnich ze sztyletem w garści skoczył na Bizéna, a ten, choć był przygotowany, nie zdołał się wywinąć i napastnik ciął go głęboko w lewe ramię, wyrrywając z ust ranionego głośny krzyk bólu.

Napastnik przyglądał mu się przez chwilę rad ze swojego zwycięstwa, zapominając na swoje nieszczęście, że nie są sami. Marta doskoczyła do niego od tyłu. Oburącz, ze wszystkich sił, uderzyła mnicha kamieniem w podstawę czaszki. Padł jak długi.

Wypuściła kamień z rąk i podbiegła do Bizéna, który nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zrobiła ta wątła dziewczyna.

– Co z wami? – zapytała, patrząc z przestraczem, jak krwawi. – Chwileczkę.

Marta rozchyliła poły kapoty, podwinęła spódnicę i zdumione oczy Bizéna ujrzały, jak szarpnąwszy z całych sił, oddziera z własnej sukni kawał płótna. Potem złapała notariusza za ramię i przewięzała ranę, żeby powstrzymać krwotok.

– Dzięki! – to było wszystko, co zdołał powiedzieć, bo zwróciwszy spojrzenie na mnicha, zobaczył, że się podnosi z ziemi – Szybko, uciekajmy!

Rzucili się biegiem do drzwi klauzury. Mnich już wstał i szykował się, żeby zakończyć to, co zaczął.

– Otwórzcie drzwi – poprosił Bizén, zbyt osłabiony, żeby to zrobić.

Marta go posłuchała, ale nie mogła sobie poradzić z ciężarem tych solidnych wrót i Bizén musiał jej pomóc, uderzając w nie barkiem. We wnętrzu korytarz oświetlały dwie pochodnie, a na końcu majaczyły inne drzwi. Szybko podążyli w ich stronę, tymczasem napastnik już wchodził do wnętrza. Otworzyli drzwi i po drugiej stronie zaskoczył Martę widok długiej galerii ze sklepienymi stropami.

– Zamykajcie! Szybciej, nie ma czasu!

Uchwyciła za sztabę i pchała mocno, mocno, póki nie wsunęła jej w okucia po przeciwnej stronie. Drzwi zadrzały. Mnich nie mógł ich otworzyć, wszelkie wysiłki były próżne.

– Kto to jest? I dlaczego was atakuje?

– Jeszcze nie mam pewności – Bizén poczuł, że rana mocno mu dolega.

– Marto, uratowaliście mi życie! Przysięgam, że was zabiorę z tego klasztoru.

– Ale – Marta obróciła się i spojrzała na konsolę w kształcie ludzkiej twarzy – mam wrażenie, że tkwimy w nim coraz głębiej. Co to za miejsce?

– To klauzura, możliwe, że jesteście pierwszą kobietą, jaka znalazła się w tym miejscu.

– To jest ta słynna klauzura mnichów? Naprawdę? – Marta była



oślńiona.

– Tak, ale nie czas teraz na podziwianie – chrząknął Bizén – gdyby was mnisi tu znaleźli... Naprzód, tędy pójdziemy.

Poruszali się powoli. Bizén wprowadził ją do refektarza, tam otworzył inne drzwi i naraz Marta znalazła się w gorącej izbie.

– Tu jesteśmy bezpieczni – i przypatrzył się opatrunkowi, żeby się upewnić, że nie traci więcej krwi. – O tej porze nikt tu nie wejdzie.

– Co to za miejsce?

– Nazywa się *calefactorium*, to jedyne miejsce w całym klasztorze, gdzie zawsze jest ciepło – odpowiedział. – Mnisi rzadko go używają, chłód sprzyja ich modłom, skupieniu.

– Wy też się boicie – szepnęła Marta, a blask płomieni odbił się w jej włosach.

– Czemu tak mówicie?

– Bo to wyczuwam – powiedziała, zaglądając mu prosto w oczy.

– Tak, boję się, że was tu w środku odkryją i nie będę mógł was zabrać z Verueli, również tego, że mogę znów trafić na tego mnicha, a was nie będzie, żeby go rąbnąć w głowę. Ale go rozłożyliście, to było... niewiarygodne!

– To do mnie niepodobne, raczej by pasowało do mojej starszej siostry – szepnęła. – Widać coś od niej przejęłam, nie wiem...

Marta przybliżyła się do niego.

– I czego jeszcze się boicie, Bizén?

– W tej chwili... Że się ode mnie odsuniecie – wyznał cicho, gubiąc się w mroku jej spojrzenia.

Bizén ujął w palce kosmyk jej włosów, potem prześlizgnął się oczyma po jej piersiach, po szyi i znów trafił na nieskończoną ciemność jej oczu, które go obserwowały, milczące i głębokie. Zapomniał wszystkich słów, jakie znał, jakby te wszystkie książki, które przeczytał, i te wszystkie zdania, które słyszał w życiu, nigdy nie istniały.

Nie był zdolny wymówić słowa, zgubił się w oczach Marty.

Spojrzał na jej złączone wargi i znów zapatrzył się w jej oczy, chociaż

czuł, że te usta go wzywają. Chciał, żeby się otworzyły, chciał je usłyszeć, ale one się nie poruszyły.

Marta stała nieruchoma, nieruchoma, jak kamienna rzeźba, a jednocześnie Bizén czuł na sobie jej wzrok. Wówczas nie czekał dłużej na jej słowa, postanowił wykraść je prosto z jej ust. Przymknął oczy, pochylił się ku niej i ucałował te milczące wargi, które smakowały jak czereśnie i miód. Poszukał jej spojrzenia i dostrzegł błysk, gwiazdę. Marta tam była i też patrzyła na niego.

Wargi Marty pochwyciły jego usta, jej dłoń spoczęła na jego karku, znów przymknął powieki.

Całowali się.

Całowali się, jakby każdy z tych pocałunków był najpierwszy, a jednocześnie ostatni.

Spędził w tych murach siedem dni, ale nie przyszło mu do głowy, że będzie się w nich całował z kobietą. Tyle było rzeczy niepojętych, niemożliwych, a jednak się wydarzyły...

– Teraz musimy stąd odejść.

– Dobrze – przytaknęła.

– Ale nie mogą nas zobaczyć. Jeśli zaczekamy do jutra, może być za późno, odejdziemy przed świtem.

Marta pochyliła głowę.

– Co się stało?

– Tej nocy we wszystkich wioskach Moncayo zapalą świece dla zmarłych. I oznaczą im drogę na cmentarz dyniami, żeby dusze pokutujące odnalazły drogę. Jeśli ktoś zapomni zapalić świecę za któregoś ze swoich zmarłych, przyjdzie zjawa i zabierze go na tamten świat – powiedziała dziewczyna z przerażonym spojrzeniem. – Nikt nie zapali świecy dla ciotki Franciski.

– Marto, nie powinnaś zważać na te przesady...

– Pozwólcie mi zapalić dla niej świeczkę – upierała się Marta – w kościele.

– Co? To niemożliwe, a gdyby was ktoś zobaczył?

- Błagam.
  - W kościele się nie da – stanowczo sprzeciwiał się Bizén.
  - Jeśli zapalę dla niej świeczkę blisko ołtarza, gdzie są te wszystkie relikwie, nic złego mi się nie stanie.
  - Marto, to szaleństwo.
  - Zabiłam ją. Wiem, że po mnie przyjdzie. To były ostatnie słowa, jakie powiedziała przed śmiercią, wiem, że to się spełni.
  - Boże miłosierny! – jęknął. Przy tej dziewczynie czuł się kruchy i bezwolny. – Dobrze, ale będziecie posłuszni wszystkiemu, co powiem, jasne?
  - Jasne.
- Opuścili *caleftorium*. Bizén szedł przodem, wychylił głowę zza rogu i stwierdził, że droga jest wolna. Przywołał ją gestem i ruszyli szybkim krokiem prosto do drzwi świątyni. To był najdłuższy, najbardziej niebezpieczny odcinek, ale udało im się tam dotrzeć. Marta weszła wystraszona, ale oczy jej rozbłyły na widok tej ogromnej przestrzeni. Podniosła wzrok i przyjrzała się każdemu ze szczegółów: skrzyżowaniu naw, prezbiterium, ołtarzowi, aż nagle jej spojrzenie zatrzymało się na zegarze mechanicznym.
- Sam wybija godziny, nikt go nie musi dotykać.
  - Jak to możliwe?
  - W jego wnętrzu jest dużo kół zębatach i przekładni – wyjaśnił Bizén
  - ale muszą codziennie go regulować, bo się spóźnia. – Wówczas spojrzął, którą godzinę wskazuje zegar i na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.
  - Coś się stało? – zapytała Marta, którą z kolei zdziwiła mina Bizéna.
  - Nie jesteśmy sami, musimy stąd uciekać.

## Umarli

Jakieś hałasy zaniepokoiły parę. Bizén gestem nakazał jej milczenie. Stali tak przez chwilę, a dźwięk, który ich spłoszył, więcej się nie powtórzył. Bizén odetchnął z pewną ulgą, choć zmienił się na twarzy i Marta zdała sobie z tego sprawę.

– Ukryjcie się, szybko!

– A świeczka? Muszę zapalić świeczkę.

– Marto, nie ma czasu. Biegnijcie do tamtych drzwi w głębi! Prowadzą na dzwonnice – Bizén rozejrzał się dokoła. – Nikt tam nie wejdzie o tej porze, ukryjcie się tam i czekajcie na mnie.

– Nie odważę się, ja...

– Idźcie już! – pogładził ja po policzku. – Czekajcie w wieży, tylko niech was nikt nie zobaczy.

Marta odeszła z wyrazem głębokiego smutku na twarzy; Bizén podjął decyzję, musiał zaryzykować. Mnisi zaczęli się gromadzić na pierwszą modlitwę. Minął się z bratem Timoteo, nie odezwał się do niego i szybko wyszedł do klauzury. Obok sali kapitulnej spotkał dwóch innych zakonników, których również minął bez słowa. Był zdenerwowany, musiał to ukryć. Obszedł całą klauzurę dookoła i doszedł do drzwi refektarza, koło kuchni, dokładnie w chwili, kiedy wychodził stamtąd brat Bartolomé.

– Muszę z wami porozmawiać.

– Ja nic nie zrobiłem.

– Wiem – uspokoił go – pozwólcie.

Weszli do kuchni, Bizén upewnił się, że nikogo tam nie ma.

– Czego chcecie ode mnie? Muszę iść na modlitwę.

– Chcę jedynie, żebyście mi odpowiedzieli na jedno pytanie. Wy się zajmujecie kostnicą. Kto wam tam pomaga? – zapytał Bizén niespokojnym głosem.

– Nikt, to małe pomieszczenie – odrzekł mnich, cokolwiek zaskoczony.

– Sam sobie daję radę.

– Kiedy umiera któryś z zakonników, ktoś wam pomaga przy zwłokach, żeby je podnieść, owinąć w całun...

– Owszem, brat Hugo – odrzekł mnich.

– Hugo? On również prowadzi rejestr zgonów.

– Tak i czasami przychodzi mi pomagać – wyjaśnił.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? – zapytał Bizén gniewnie.

– Nie wiem.

– Od kiedy brat Hugo pomaga wam przy zmarłych?

– Zaczął, kiedy się zjawił w naszym klasztorze, już wam mówiłem, że potrzebuję niewielkiej pomocy. On spędza większość czasu w bibliotece, opat zawsze go dobrze traktował. Wyznaczył go do pracy przy księgach – powiedział z naciskiem brat Bartolomé. – Wiecie, że brat Hugo potrafi czytać w różnych językach?

– I ma dostęp do wszystkich ksiąg i rejestrów. Jeszcze jedna sprawa: oblaci umieją czytać? – zapytał Bizén przyjaźniejszym tonem.

– Nie sędzę, ich pochodzenie jest skromne.

– A Octavio?

– No cóż, on różnił się od pozostałych, możliwe, że potrafił czytać.

– Kto go nauczył?

– Przypuszczam, że Hugo.

– Do kroćset! – Bizén chwycił się rękami za głowę. – Wiecie o kwiatach, które ktoś kładzie co roku na jednym z grobów?

– Nie, ja o tym... – wyjąkał brat Bartolomé.

– Wszyscy w zakonie znacie tę historię, więc nie udawajcie, bracie Bartolomé.

– Dobrze, wiem o czym mówicie.

– Czy słyszeliście, żeby brat Hugo o tym mówił? Jakoś się do tego

odnosił?

– Nic takiego sobie nie przypominam – zapewnił brat Bartolomé. – To dobry mnich. Za to często go widywałem na cmentarzu, jak się modlił za pochowanych tam zakonników, on jedyny to robi.

– Rozumiem – westchnął Bizén. – Ostatnie pytanie. Wykopaliście z grobu ciało tej kobiety i przechowaliście je w kostnicy do czasu, który wyznaczył opat. Czy ktoś prócz was mógł się zorientować, że jest ukryte w tej izbie?

– Dobrze je ukryłem.

– To małe pomieszczenie, gdzie je umieściliście? – nalegał Bizén.

– Pod stołem, było przykryte derkami, nikt by tam nie zajrzał.

– Brat Hugo zna kostnicę, jeśli do niej wszedł, to mógł przypuszczać, że coś tam ukrywacie?

– Notariuszu... Ja... Ja sądzę – brat Bartolomé krztusił się każdym wymawianym słowem – że tak. Że mógł pomyśleć, że to coś niezwykłego. On chyba był jedynym, który mógł to spostrzec, macie rację.

– Dziękuję, idźcie, zdążycie jeszcze na koniec modlitwy.

Bizén pozwolił mu odejść, a sam pozostał w zamyśleniu. Brakowało jednego elementu, jednego jedynego. Wiedział, że gdyby go odnalazł, gdyby zdołał umieścić go na właściwym miejscu, wszystkie pozostałe same by się ułożyły.

Brat Hugo, nie ulegało wątpliwości, że to on był kluczem do zagadki.

Wrócił do sali kapitulnej i przyglądał się kamiennemu wzorcowi miary. Takie wzorce długości stopy posłużyły do budowy całego klasztoru. Zwykły, wyżłobiony w kamieniu odcisk stopy umożliwił wzniesienie tak skomplikowanego kompleksu.

Ruszył przez klauzurę w kierunku wejścia do świątyni, przypatrzył się trzem kamiennym sarkofagom ustawionym po prawej stronie i płycie nagrobnej, na której wyryto miecz, w progu, pod stopami. Cała rodzina pochowana w jednym miejscu, don Pedro de Atarés, ten, który mógł władać, na ziemi, w pokorze. Jego potomkowie i małżonka obok,

wywyższeni. Razem na wieczność.

Wówczas wyszedł z sali i wychylił głowę przez arkady dziedzińca. Był tam zegar słoneczny, który do czasu sprowadzenia mechanicznego konkurenta rządził godzinami w klasztorze.

– Notariuszu – usłyszał za plecami.

Obrócił się. Zobaczył dziekana Estébana, sędziwego brata Adolfa oraz dwóch oblatów, Prudencja i Izydora.

– Przed utratą przytomności przeor wydał nam ważne polecenie, które musimy wypełnić – oświadczył dziekan Estéban. – Otóż wyznaczył czas na zakończenie waszego śledztwa w sprawie wykrycia zabójcy Octavia do końca dzisiejszego dnia.

– Trochę czasu jeszcze mi zostało.

– Cóż takiego zdążycie odkryć teraz, czego nie odkryliście do tej pory?  
– rzekł z przekąsem dziekan Estéban.

– Wiele. Wierzcie mi, że parę minut może mi wystarczyć w zupełności.

– Czy może znów zamierzacie nam powiedzieć, że wykryliście winnego? Taki macie zamiar? – stary Adolfo spojrział na niego, opierając się na swojej lasce.

– Dzisiaj mamy dużo pracy, musimy przygotować relikwie na dzień Wszystkich Świętych – oświadczył dziekan Estéban. – Chodźmy najpierw do świątyni i zawiadommy braci o wygaśnięciu waszych przywilejów w tym klasztorze, żeby wszyscy mogli w większym spokoju i skupieniu zająć się swoimi obowiązkami.

– Zamierzacie zamknąć sprawę śmierci oblata?

– Jeśli nie udało się nam jej wyjaśnić, to tylko z przyczyny waszej nieporadności, notariuszu. Nie zapominajcie o tym – pouczył go dziekan.

– Dobrze zatem, chodźmy do kościoła – i Bizén wszedł do świątyni, a za nim zakonnicy.

Światło dnia wnikało już przez witraże. Zakonnicy polerowali srebrne relikwiarze, niektóre z nich połyskiwały już na podstawkach ustawionych na ołtarzach w ambicie. To był dla Verueli jeden z najważniejszych dni w roku, liczne i cenne relikwie znajdujące się

w posiadaniu opactwa nabierały jeszcze większej wartości w to niezwykle święto. Dziekan Estéban zaklaskał w dłonie, a na ten znak mnisi porzucili swoje zajęcia i podeszli do skrzyżowania naw, ustawiając się w półkole.

– Bracia – zabrał głos dziekan Estéban – rozpoczyna się nowy dzień, a ten świta, przynosząc nam dodatkowo wieść o wygaśnięciu przywilejów, jakimi cieszył się notariusz królewski.

Szmer przebiegł po gromadzie mnichów.

– Kiedy fałszywi bogowie ośmielają się zaprzeczać słowu Pana, mamy nadzieję odnaleźć nieco światła w relikwiach naszych świętych i męczenników – przeżegnał się, a pozostali mnisi poszli za jego przykładem – które chronią to opactwo przed szponami zła.

– Chwileczkę – przerwał mu Bizén ku zaskoczeniu mnichów.

– Cóż to znaczy? – dziekan rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Pozostał mi jeszcze czas – tu Bizén wskazał dłonią w kierunku zakonika stojącego najbliżej zegara. – Bracie Bartolomé, spójrzcie przez okno.

Mnich posłusznie otworzył okienko przy schodach.

– To prawda – wycofał się i popatrzył uważnie na zegar mechaniczny – spóźnia się prawie o trzydzieści minut.

– Ależ to niemożliwe, spóźnia się zaledwie o parę minut w ciągu doby – obruszył się dziekan Estéban.

– Posłuchajcie mnie – Bizén ponownie zabrał głos – wiem, że jeden z was zamordował oblata. Prawda u Boga jest jedna. Ale na nasze nieszczęście, każdy człowiek na ziemi ma swoją.

– Jak śmiecie? Tylko prawda boska jest prawdziwa – wtrącił się oburzony brat Julian.

– Owszem, ale żeby wykryć winnego, trzeba poznać prawdę poszczególnych ludzi, wasze prawdy, wasze, mnichów z Verueli – Bizén spojrzał na niego wyzywająco. – Tamtej nocy, kiedy tu przybyłem, był wśród was taki, który sądził, że przyszłość Verueli jest zagrożona. Był przekonany, że ani ja, ani nikt inny spośród tych, którzy mi



towarzyszyli, nie przekroczy bram tego opactwa. Napaść, której ofiarą padł nasz orszak, nie była dziełem przypadku, zastawiono na nas pułapkę.

– O czym wy mówicie? – zapytał brat Saturio.

– Ten sarkofag – wskazał na grób infanta następcy tronu – jest pusty – zwrócił oczy ku odsuniętemu przeorowi, a ten przyświadczył skinieniem głowy. – Gdybym zabrał stąd szczątki infanta, klasztor nigdy nie doczekałby się spełnienia swoich aspiracji, że kiedyś stanie się panteonem królewskim, że spocznie w nim ciało któregoś z królów, a wraz z nim zagoszczą w opactwie prestiż i bogactwo. To dlatego nie dopuściliście przez sto lat, aby zwłoki infanta zostały wywiezione z Verueli.

– Rzucacie bardzo poważne oskarżenia – napomniął go leciwy brat Adolfo.

– Owszem, są poważne, co nie czyni ich mniej prawdziwymi. Mając tutaj zwłoki członka rodziny królewskiej, łatwiej zabiegać o to, by Veruela została wybrana na miejsce wiecznego spoczynku monarchy.

– Nie macie dowodów na to, co twierdzicie – dodał dziekan Estéban.

– Słuchajcie! – zawołał Bizén – Opat wydał braciom Octavio i Bartolomé polecenie, aby wyjęli ciało infanta z grobowca i ukryli je przed moim przybyciem. Uprzedzono go, że się tu zjawię. Ale tutaj, w klasztorze, tajemnice i ambicje mkną szybciej od wiatru. Dziekanie Estébanie – zwrócił się w jego stronę – opat niedomaga, wy i przeor Antón rywalizowaliście o to, który z was zostanie jego następcą. Gdyby przeor Antón zyskał większą władzę w Verueli, wasz plan rozszerzenia uprawy winorośli na posiadłości w środkowej części doliny byłby zagrożony.

– To kłamstwo! – krzyknął oburzony dziekan Estéban.

– Chwileczkę – wtrącił się odsunięty przeor – pozwólcie mu mówić. Jak słusznie powiedział, zostało mu jeszcze parę minut.

– Opracowaliście nową metodę produkcji wina i potrzebowaliście więcej ziemi na winnice, a dobrze wiecie, że najlepsze znajdują się w dół

rzeki, w okolicy włości miasta Borja – oświadczył Bizén z całkowitą pewnością siebie. – Dlatego zwróciliście się do Octavia – on był ambitny – i zawarliście z nim układ.

– Notariuszu, to ciężkie oskarżenia – upomniał go dawny przeor. – Mam nadzieję, że macie dowody.

– Łżecie! – warknął dziekan Estéban. – Zamilczcie wreszcie!

– Dajcie mu trochę więcej czasu – nalegał odsunięty przeor. – Jeśli nie zdoła uzasadnić tych zarzutów, to nie macie się czego obawiać.

– Spiskowaliście, dokąd nie udało się wam doprowadzić do tego, że przeor utracił swoją pozycję, a wy staliście się jedynym kandydatem.

– Nie macie na to najmniejszego dowodu – warknął dziekan.

– Opat polecił bratu Octavio wyjąć z grobowca szczątki infanta, zaś bratu Bartolomé umieścić tam inne ciało – relacjonował Bizén, nie zwracając uwagi na protesty tamtego. – Octavio wyjął szczątki infanta, ale wówczas coś nie zagrało, ponieważ wiemy, że został zamordowany, zaś tamte szczątki zniknęły.

– I to wszystko? To całe wasze wyjaśnienie? – dziekan Estéban wyciągnął rękę, wskazując go całemu zgromadzeniu.

– Kradzież została bardzo dokładnie zorganizowana, opat zajął się tym, żeby żaden z mnichów się nie przebudził tamtej nocy i nie przeszkodził bratu Bartolomé i zmarłemu oblatowi.

– A w jaki sposób tego dokonał? – zainteresował się dawny przeor.

– Z pomocą waszego tak cenionego wina.

– Straciliście rozum?

– Czy zaprzeczycie, że wszystkim wam trudno się było przebudzić owego dnia? Że spaliście głębokim snem przez kilka nocy z rzędu?

Mnisi spojrzeli po sobie z niedowierzaniem, ale ten i ów przytaknął skinieniem głowy.

– Dodawano wam do wina korzeni pewnego zieleńca przez co najmniej dwa dni. To była waleriana – wyjaśnił Bizén – pochodząca z upraw brata ogrodnika. On sam potwierdzi, że sadzonki tej rośliny doznały ostatnio uszczerbku.

– Tak, to prawda – przyznał zakonnik.

– Znalazłem walerianę w kostnicy – kontynuował płynnie Bizén. – Miał ją przy sobie Octavio, powoduje głęboki sen. Pierwszej nocy, jaką spędziłem w klasztorze, ja także zbudziłem się późno po nieprzerwanym śnie, nigdy wcześniej tak nie spałem. Podobnie było kolejnej doby; wino, które piliście przez te dwa dni, pochodziło z tej samej beczki.

– Podawali nam truciznę – mina brata Juliana wyrażała powątpiewanie.

– Najprostszym sposobem, żeby poddać was działaniu tego ziele, było zmieszanie go z winem podawanym podczas posiłku w refektarzu.

– To zakazane praktyki! – na obliczu dawnego przeora pojawił się wyraz zgorzzenia, który najlepiej odzwierciedlał uczucia wszystkich obecnych. – Do tego się posunęli, notariuszu?

– Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Kto z was nie pił wina podczas posiłku owego wieczora?

– Ja – brat Bartolomé odezwał się jako pierwszy. – Opat mi zabronił, powiedział, że nie powinienem, i byłem mu posłuszny.

– Tak przypuszczałem, ale musiał być inny mnich, który nie pił wina, dlatego pozostali z was nie zorientowali się, kto opuścił dormitorium w środku nocy. Wszystko było dobrze przygotowane. Spróbujcie sobie przypomnieć, kim były osoby siedzące przy stole obok was podczas tamtej wieczerzy. Kto jeszcze powstrzymał się od picia wina? – nalegał Bizén.

Nie było odpowiedzi.

– Gdyby ktoś jeszcze nie pił, zapewne byśmy na to zwrócili uwagę. W jaki sposób dowiedzieliście się, że to była waleriana? – zainteresował się brat Adolfo.

– Bury kot mi pomógł; brat Saturio mi opowiadał, że nazywają to ziele kocimiętką, ponieważ koty za nim przepadają, mówił też, że rośnie w obfitości w ogrodzie.

– To prawda – potwierdził brat ogrodnik.

– Nikt zatem nie przypomina sobie, żeby jego sąsiad przy stole nie pił

wina podczas tamtego posiłku? – powtórzył pytanie Bizén. – Bracie Hugo, piliście wtedy wino?

Mnisi obrócili głowy ku najmłodszemu mnichowi.

– Tak, naturalnie, że tak.

– Czy ktoś może to potwierdzić? – nie było odpowiedzi. – W tamtych dniach pełniliście dyżur, podawaliście posiłek wspólnie z bratem Bartolomé. Co za zbieg okoliczności, brat, który nie pił wina, właśnie nam to wyznał.

– To nic nie znaczy – odparł młody zakonnik.

– No i co teraz, notariuszu? – dziekan oczekiwał na odpowiedź, która się opóźniała. – Co jeszcze macie nam do powiedzenia? Gdzie są szczątki infanta? To właśnie mieliście zbadać, a wasz czas się kończy.

– Szczątki infanta ukrył opat, nie wiem gdzie. Za to szczątki kobiety, jego ukochanej, która zmarła prawie dwadzieścia lat temu, zostały ukryte tutaj, w kościele.

Mnisi popatrzyli po sobie w osłupieniu.

– Przeszukaliśmy kościół! – zaprotestował odwołany przeor. – Znaleźlibyśmy je, gdyby to była prawda.

– Nie, nie mogliście ich znaleźć. Ponieważ miejsce, w którym je ukryto, jest zbyt widoczne – i wskazał zegar mechaniczny, ustawiony pomiędzy schodami do dormitorium a drzwiami zakrystii.

– W zegarze? – stary Adolfo zacisnął dłoń na swojej lasce.

– Tak, brat Hugo ukrył je w zegarze. To przyczyna, dla której zegar spóźniał, nie mógł go otwierać, żeby go naregulować.

– Jest tam schowane? – brat Julian, władca wód, podszedł do zegara.

– Sprawdźcie, jeśli chcecie. Nie macie nic przeciwko temu, bracie Hugo?

– Nie ma po co go otwierać, nie ma nic nadzwyczajnego w jego wnętrzu – powiedział młody zakonnik.

– Przekonajmy się! – brat Julian poprosił o pomoc architekta i obydwaj stanęli naprzeciw zegara.

Wypatrzyli otwór znajdujący się w bocznej ścianie; niełatwo im było

otworzyć, ale wreszcie brat Julian zdołał to zrobić i wstrzymał oddech. Zakonnicy zbliżyli się i czekali z tyłu w wielkim napięciu.

Drzwiczki się otworzyły. W górnej części pudła zobaczyli przekładnie i koła zębate, dolna była pusta. Ani śladu zwłok.

Bizén zerknął ku drzwiom dzwonnicy. W jaki sposób wydobędzie teraz Martę z Verueli? Zwalił się na kolana. Zwiesił głowę, pokonany, upokorzony. Podniósł wzrok na zegar. Znów się omylił. Jak to możliwe?

Przybity, szukał w myśli wyjaśnienia.

Brat Hugo musiał zabrać ciało z zegara poprzedniej nocy, po tym jak ścigał go do biblioteki. Dlatego okno biblioteki było otwarte. On był wtedy z Martą poza obrębem klasztornych murów, a mnich musiał wrócić, wyjąć ciało i przenieść je w inne miejsce. Nie naregulował mechanizmu, bo było ciemno i nie mógł się kierować zegarem słonecznym.

Zabrakło mu jednej nocy; gdyby był szybszy, miałby teraz mordercę w ręku.

## Opat

**B**izén wciąż klęczał zrozpaczony, oniemiały. Mnisi, zmieszani i rozczarowani, wrócili na swoje miejsca, a brat Hugo zachował obojętność, jakby nic z tego, co się wydarzyło, nie dotyczyło jego osoby.

– To niemożliwe – powiedział cicho Bizén. – Przysięgnęłbym...

– Notariuszu, dość już się nasłuchaliśmy waszych wymysłów. Nic, wszystko to, co odkryliście, nie jest nic warte – zasapał dziekan. – Koniec tego.

– Zostało mi jeszcze parę minut.

– I na co je wykorzystacie? Ciągłe to samo, żadnych dowodów, żadnych postępów – zgromił go dziekan Estéban.

– Jest mnich, co do którego możemy powiedzieć z całkowitą pewnością, że nie umoczył warg w winie podczas tamtego posiłku.

– Który, jeśli wolno spytać? – dziekan Estéban popatrzył na notariusza.

– Wasz opat.

– Ale co wy też mówicie? – sędziwy brat Adolfo z trudem się powstrzymał od głośnego bluźnierstwa.

– To on polecił oblatowi oraz bratu Bartolomé otworzyć grobowiec królewski i wstrzymać się od spożywania wina.

– Nasz opat leży przykuty niemocą do łóża od tygodni – sprzeciwił się dziekan Estéban. – Nie może wstawać!

– Jesteście tego pewni?

– Bizén, na Boga! – tym razem brat Rogelio starał się go powstrzymać.

– Liczcie się ze słowami. Do czego zmierzacie?

– Wiem bardzo dobrze, o czym mówię. Opat przykuty do łóża, jego

choroba, pijawki brata aptekarza, to wszystko bardzo przekonywające. Ale kiedy z nim rozmawiałem, zrobił na mnie wrażenie człowieka tryskającego energią.

– Taki jest, a właściwie był – poprawił się brat Rogelio – uważajcie na to, co mówicie i pamiętajcie, że mowa o naszym opacie – napomniął.

– Pamiętam noc mojego przybycia, jak bezzwłocznie wezwał mnie do siebie, ale skąd wiedział, że tu jestem? To ciekawe pytanie – Bizén przesunął wzrokiem po twarzach zakonników. – I dlaczego powierzył mi śledztwo? Powiedział, że to dlatego, że nie należę do kręgu podejrzanych i ponieważ dla niego było rzeczą jasną, że winny jest jeden z mnichów, ale dlaczego? To proste: on sam rozkazał wykraść ciało, nie podejrzewał jednak, że jego precyzyjne plany zostaną udaremnione.

Szmer przeszedł po obecnych.

– Opat nie ufał żadnemu z was, wybrał mnie, bo nie miał alternatywy. Poza tym wasz opat może chodzić. Pierwszej nocy zwróciłem uwagę na jego laskę i nogi; miał ubrudzone stopy, musiał się niemało nachodzić.

– Bizén, dajcie spokój – stary Adolfo lekceważąco machnął ręką – opowiadacie brednie.

– Jestem innego zdania.

– Ta teoria nie znajduje żadnego potwierdzenia – upierał się mnich. – Nasz opat jest słabszy ode mnie!

– Niewątpliwie tak jest obecnie, po tych wszystkich udrękach, które wycierpiał. Ale kiedy przybyłem do klasztoru nocą, jego stan – sięgnął po coś za pazuchę – był znacznie lepszy. Mam na to dowód – podniósł chustę zbroszoną krwią, żeby wszyscy mogli się jej przyjrzeć.

– A cóż to znowu takiego? – zapytał dziekan Estéban.

– Zapytajcie o to brata aptekarza, ta chusta leżała na jego stole, kiedy udałem się do niego po raz pierwszy.

– Notariuszu, to najzwyczajniejsza rzecz w infirmerii.

– Czy nie powiedzieliście mi, że chusty, które tam leżą, są poplamione krwią opata?

– Ja... – mnich poczuł, że spojrzenia wszystkich obecnych zwróciły się ku niemu.

– Jesteście w domu Chrystusa, pamiętajcie o tym. Jesteście pewni, że chcecie dać fałszywe świadectwo?

– Nie – przeżegnał się.

– Kiedy podczas ataku udałem się do infirmerii, wy upuszczaliście krew opatowi. Widziałem tę krew, była ciemna i gęsta – ciągnął Bizén – wy sami wyjaśniliście mi, że taka krew jest znamieniem choroby.

– Tak, w chorobie krew staje się ciemna.

– A jednak krew na tej chuście jest normalnej barwy – i jeszcze raz pokazał ją obecnym. – To nie jest krew opata, tylko Octavia. Opat użył tego płótna, żeby się otrzeć, a żeby się pozbyć tych śladów, polecił wam je wyrzucić. Dlatego tak bardzo was rozzłościła moja wizyta tamtego dnia.

– Bracie Ramiro – stary mnich podszedł do niego – czy to prawda?

– Ja nikogo nie zabiłem.

– To prawda, nie zabiliście – włączył się Bizén. – Kiedy udałem się na cmentarz, szukałem grobu, na którym co roku pojawiają się kwiaty, jednak nie mogłem go znaleźć. Wszystkie są jednakowe. Bracie Bartolomé – spojrzał w jego kierunku – opat nie zażądał od was, żebyście odkopali zwłoki z pierwszej lepszej mogiły, dał wam bardzo wyraźne wskazówki, który grób odkopać, prawda?

– Tak, tak było.

– Zwłoki, które odkopaliście, to było ciało kobiety, jego dawnej kochanki. Opat życzył sobie, żeby spoczęło w kościele, najbliżej ołtarza, jak to możliwe, i nadarzyła się znakomita sposobność. Gdyby się znalazło na miejscu szczątków infanta, byłoby pogrzebane w królewskim grobie.

– Ja wiem tylko tyle, że to były zwłoki kobiety – wyznał brat Bartolomé. – Zdałem sobie z tego sprawę, spostrzegłszy naszyjnik, włosy i medalion, z którym była pochowana.

– Gdyby któregoś dnia otwarto sarkofag królewski, cóż by to było



za zgorzenie! Nikt by się nie ważył tknąć tego ciała – mówił dalej Bizén. – A zatem, tak czy owak, opat dopiąłby swego: jego ukochana spoczywałaby w tym uprzywilejowanym miejscu. Pamiętam, co mi powiedział: życie jest tak samo ważne, jak śmierć, to tylko dwie strony tej samej monety.

– Kto w takim razie to zrobił? Kto zamordował Octavia? – niecierpliwił się brat Julian.

– Najpierw spytajcie o sztylet. Zmylił mnie fakt, że brat Timoteo nie spostrzegł sztyletu wbitego w szyję oblata. To zagmatwało całą sprawę, naturalnie, że oblat zginął od tej broni, ale pamiętajmy, że to był sztylet następcy tronu.

Zabójca zaskoczył braci Octavia i Bartolomé, który zresztą uciekł, jednak nie wyrzucił zwłok kobiety wykopanych na cmentarzu do kanału, tak, jak nam opowiadał, bo wówczas wypłynęłyby na powierzchnię przy kościele. Czy się mylę?

Brat Bartolomé potwierdził skinieniem głowy, że to prawda.

– Zresztą gdyby to uczynił, to któż by je pozostawił na posadzce tej świątyni? Zabójca, mając przed sobą otwarty grób królewski, chwycił sztylet i zabił nim Octavia. Krew oblata splamiła nie tylko płytę nagrobną, lecz również wewnątrz sarkofagu. Potem położył sztylet na miejscu i zamknął grób. Następca tronu pozostał na swoim miejscu, ponieważ Octavio nie miał dosyć czasu, żeby wyjąć jego szczątki.

– Notariuszu, przecież sarkofag jest pusty.

– Tak, ponieważ brat Bartolomé pobiegł do komnaty opata i opowiedział mu, co się wydarzyło. A ten wstał, kosztowało go to wiele wysiłku, ale się przemógł i razem poszli do świątyni. W tym czasie brat Timoteo poszedł po jedzenie i zobaczył ciało zabitego, bez sztyletu, oraz zamknięty grób.

– To prawda – potwierdził architekt.

– Kiedy przybyli opat i brat Bartolomé, zobaczyli to samo i coś więcej: zwłoki kobiety zniknęły.

– Chcecie powiedzieć, że zabójca je zabrał? – zapytał dziekan Estéban.

– Tak, oczywiście, że to on je zabrał.

– A na co mu były zwłoki kobiety, która zmarła przed wielu laty? – nalegał dziekan.

– Krok po kroku. Kiedy opat wszedł do świątyni, kazał bratu Brtolomé ponownie otworzyć grób królewski, wyjąć z niego ciało infanta i umieścić sztylet w szyi Octavia, żeby to wszystko układało się w logiczną całość – wyjaśnił spokojnie – Zabrali ze sobą szczątki infanta, ale nie udało im się odnaleźć zwłok kobiety. Dlatego potrzebował mojej pomocy. Opat od samego początku był przekonany, że Octavia zabił jeden z mnichów i że to on ukrył drugie ciało.

Jeśli mówimy prawdę, nie musimy o niczym pamiętać, ale jeśli kłamiemy, musimy pamiętać każde z naszych kłamstw. Dlatego zawsze można przyłapać kłamcę – podsumował Bizén z całą stanowczością. – Opat zapomniał o jednym ze swoich kłamstw.

Ambicja Octavia była jego słabością i wiedzieliście, że nie ma w sobie dość cnoty, dość siły, żeby się jej przeciwstawić. Dziekan Estéban wyrzucił go z *cellarium* właśnie dlatego, że był sprytny i mógł wykryć jego nadużycia, to, że przywłaszcza sobie część zarobków ze sprzedaży wina i oliwy.

– Nieprawda! – warknął wzmiankowany mnich.

– Ależ owszem, zgodzicie się, bracie Rogelio?

– Nie wiem, o czym mówicie, notariuszu.

– Jest tu pewien mnich, który doszedł do tych wszystkich wniosków przede mną, znał wszystkie wasze sekrety, ponieważ was śledził. Wiedział o tym, że rachunki z *cellarium* się nie zgadzają, że opat nosi kwiaty na grób i ma zamiar podmienić zwłoki w grobowcu infanta; także o tym, że przeor jest dawnym egzorcystą, brat Timoteo cierpi na chorobliwe łakomstwo, że aptekarz stosuje zakazane zioła, a i o tym, że jeden z waszych oblatów, Prudencjo, wraz z bratem Julianem ukryli angielskiego szlachcica w zamiarze sprzedania go Francuzom. Wiedział również, że opat kazał doprawić wino korzeniami waleriany, żeby nikt nie pokrzyżował mu planów. Wiedział o czymś jeszcze!

- Czego więcej mógł się dowiedzieć?
- Że opat jest jego ojcem.
- Co takiego?! – dziekan Estéban, rozwścieczony, postąpił krok naprzód. – Co to za obłąd?
- Opat pochował swoją kochankę w Verueli, to była Mauretanka z Balbuente imieniem Aysha. Umarła wkrótce po tym, jak przybyła do osady na obrzeżach klasztoru. Brat Adolfo potwierdzi, że wcześniej była inna kobieta, Ixeia, którą porzucił dla tej Mauretanki.
- Wielkie nieba! – na twarzy brata Saturio malowała się groza.
- Jak na razie, mówi prawdę – stwierdził ku ogólnemu osłupieniu sędziwy Adolfo. – Nadeszła pora, żeby grzechy naszego opata wyszły na jaw, bo to one są powodem wszystkich naszych nieszczęść.
- Dziękuję wam, bracie. Ixeia odebrała sobie życie i osierociła śliczną dziewczynkę i chłopca, dwójkę rodzeństwa o złotych włosach. Ta mała została oddana pod opiekę Mauretance. Była taka malutka, że jak się zdaje, nie mogła pamiętać swojej rodzonej matki – wyjaśnił Bizén – za to chłopiec – tak. Został więc odesłany daleko stąd, do jednego z klasztorów cysterskich. Lata mijały, dzieciak wyrósł na młodzieńca, został zakonnikiem i postanowił powrócić do Verueli, żeby się zemścić na swoim ojcu opacie. A ten nie potrafił odmówić mu przyjęcia do klasztoru, bo to była krew z jego krwi. Czy nie tak było, bracie Hugo?
- To jedynie wasze nowe wymysły; który to już raz, notariuszu?
- Wiele mnie kosztowało dotarcie do prawdy, nie zaprzeczam. Zawsze byłem o kilka kroków za wami, ale teraz was złapałem.
- A dlaczego mielibyśmy wam uwierzyć tym razem? Niedawno wmawialiście nam, że w zegarze jest ukryte ciało, jednak niczego tam nie znaleźliśmy.
- Uprzedziliście mnie, przyznaję.
- Jaki nowy dowód przedstawicie? – powiedział hardo młody mnich.
- Poza murami klasztoru mieszkają dwie siostry, jedna z nich to blondynka, jak wy... i jak opat.
- I?

– Rozmawialiście z nią kiedyś, prawda?

– Nie – zaprzeczył brat Hugo.

– Ależ tak, rozmawiał – wtrącił się brat Julian – to ta dziewczyna, którą spotkaliśmy na drodze. Nuciła jakąś kołysankę, miałem zamiar ją skarcić, ale mnie poprosił, żebym jemu to zostawił.

– To była tylko dziewczynka, nie było powodu, żeby ją karać – powiedział na swoją obronę.

– Lubicie księgi, dobrze znacie bibliotekę Verueli. Wasi bracia skarżą się, że opat was faworyzuje, pozwala wam na zbyt wiele. Byli przekonani, że tak dobrze was traktuje, ponieważ jesteście synem nieślubnym jakiegoś znacznego szlachcica, jednak motyw, jakim się kierowaliście, był znacznie silniejszy.

– Nie macie na to żadnego dowodu!

– Ależ tak, mam. Brat Bartolomé okłamał nas w pierwszej chwili. Powiedział, że wrzucił sprofanowane na cmentarzu szczątki do kanału. Ja mu uwierzyłem, to brzmiało logicznie, tamte zwłoki wydawały się nieważne. Ale co innego ciało infanta, wszyscy się na to nabraliśmy – tłumaczył Bizén z zapałem. – Tymczasem zabójca zostawił na miejscu zwłoki infanta, a ukrył ciało kobiety, dlaczego zrobił coś takiego? Chyba że właśnie te zwłoki miały dla niego znaczenie.

– Ale gdzie ukrył szczątki infanta? – dopominał się brat Julian. – Przecież tego się chcemy dowiedzieć.

– Myślę, że schował je w którymś z licznych grobów w tej świątyni, w którym konkretnie – tego nie jestem pewien. Wyobrażam sobie, że w jednym z tych, który najłatwiej otworzyć, tym niemniej ciało, na którym zależało bratu Hugo, to było ciało kobiety.

– Nie potraficie tego dowieść.

– Znaliście dobrze kostnicę, znaleźliście ciało przygotowane do zamiany i odkryliście, na czym polegał plan.

– Nie! Kłamiecie! To są czyste domniemania.

– Mieliście znakomitą sposobność, żeby się podwójnie zemścić na opacie – upierał się przy swoim Bizén – z jednej strony pogrążyć jego

autorytet jako zwierzchnika opactwa, a z drugiej, wziąć na nim odwet osobisty, odbierając mu to jedyne, co mu pozostało po kobiecie, którą tak mocno kochał, tej, która była przyczyną gorzkiego końca waszej matki. Kiedy opat dojdzie do siebie, będzie musiał wyznać, że jesteście jego synem. To już koniec, bracie Hugo!

Brat Hugo przez chwilę milczał, obracał coś w palcach, mały, błyszczący przedmiot, który wyglądał jak krzyż.

Mnich się uśmiechnął, schował krzyż i biegiem skierował się ku drzwiom do klauzury.

– Dokąd się wam tak spieszy? Do kroćset! Mój krzyż!

Bizén nie mógł znieść tego szyderstwa, wybiegł za nim i pobiegł jego śladem jednym z korytarzy klauzury. Po drodze roztrącał zakonników, którzy w osłupieniu przyglądali się temu rozpaczliwemu pościgowi nieznanego dotąd Bizéna, Bizéna, który nie panował nad sobą, za bratem Hugo, który przed nim umykał, wzywając pomocy.

Ale choć biegł najszybciej, jak potrafił, mnich miał nad nim przewagę i skręcił w kolejny korytarz. Notariusz jeszcze przyspieszył i zobaczył, że tamten otwiera drzwi *cellarium*.

Popchnął je bardzo ostrożnie. We wnętrzu panował mrok. Woń wina przesyciła powietrze, kształty beczek rysowały się niewyraźnie w tej przepastnej przestrzeni. Bizén szukał czegoś, co by mogło mu posłużyć do obrony. Na jednym ze stołów wymacał dłonią jakiś podłużny, drewniany przedmiot, prawdopodobnie trzonek jakiegoś narzędzia. Zmierzał powoli w głąb izby, wytyczając słuch.

Zatrzymał się w połowie pomieszczenia.

– Wychodź, tchórze!

Odpowiedziało mu milczenie.

– Niczego w ten sposób nie osiągniesz – ciągnął Bizén, ale nadal bez żadnego efektu. – Stań do walki teraz, z odkrytą twarzą, bez podstępów!

Usłyszał hałas u wejścia, a kiedy się obrócił, drzwi do *cellarium* się zamykały. Przyskoczył do nich, ale były zablokowane. A wtedy poczuł coś dziwnego za plecami, dym i żar. Kiedy chciał sprawdzić, co się pali,

ogień już się rozprzestrzenił w głębi spichlerza.

– Co uczyniliście, Hugo! Gdzie jesteście?

– Spóźniliście się, notariuszu – usłyszał, ale nie mógł się zorientować, skąd dochodzi głos.

– Dlaczego teraz się zdradzacie? Nie rozumiem was... Przyznajcie się, wasi bracia postąpią z wami sprawiedliwie.

– Nie macie pojęcia, jacy są ci mnisi, zapewniam was.

– A może wy jesteście od nich lepsi? Zabicie człowieka, kradzież zwłok... Mam mówić dalej?

– Wydaje wam się, że dotarliście do prawdy, jednak to wszystko fałsz. Nie macie pojęcia o tym, co tu się dzieje, jesteście zwykłą zabawką w ich rękach, zwykłym pionkiem w grze – odpowiedział brat Hugo. – Na mnie czekają, czekają od piętnastu lat. Więcej się nie zobaczymy, przykro mi.

I głos zgasł, a tymczasem dym i płomienie ogarniały całe *cellarium*.

Bizén z całych sił szarpał drzwiami, napierał na nie i kopał, ale na nic się to nie zdało. Pożar, podsycany winem i dużą ilością drewna, rozprzestrzenił się błyskawicznie. Spojrzał ku drzwiom, którymi wnoszono do magazynu różne towary, jednak były poza jego zasięgiem, wszystko ogarniały płomienie. Te drzwi były jedyną szansą, żeby ratować życie.

Krzyknął co sił w płucach, ktoś przecież musiał go usłyszeć.

Całe *cellarium* zatonęło w dymie, a on położył się na podłodze, szukając tam odrobiny powietrza, którym mógłby napełnić płuca. Ale to nie pomogło, płomienie pochłaniały wszystko, żar go dusił i Bizén pojął, że czeka go śmierć.

## Zamek w Grisel

**U**czuł w ustach słodkawą, lepki smak, jakby coś głęboko tkwiło w jego gardle. Otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że leży w infirmerii. Próbował się poruszyć, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Zaniósł się kaszlem i nagły atak wymiotów zmusił go do przewrócenia się na bok, żeby się nie zachłysnąć.

– Ostrożnie, Bizén – ktoś przytrzymał mu głowę.

Podniósł oczy i ujrzał brata Saturio.

– Mieliście szczęście, Isidoro wyłamał drzwi – powiedział mnich.

– Wszystko mnie boli, kręci mi się w głowie.

– Nawdychaliście się dymu i jesteście poparzeni, rany nie są bardzo głębokie, ale bolesne. Przykładamy wam maść ze śluzu ślimaka, to wam pomoże, przekonacie się.

– Co się stało z bratem Hugo?

Mnich rzucił mu spłoszone spojrzenie i podał jakąś ciepłą miksturę do picia.

– Przyznał się?

– Bizén – zakonnik był zmieszany – brat Hugo do niczego się nie przyzna, nie żyje.

– Co mówicie?

– Pobiegliście za nim do *cellarium*, biliście się i spowodowaliście pożar. Was udało nam się uratować, ale... brat Hugo nie miał takiego szczęścia. Znaleźliśmy jego ciało całkowicie zwęglone.

– To nie może być prawda... Ja tam wszedłem, ale później... Nie pamiętam dobrze, co się wydarzyło.

– To normalne, że jesteście dezorientowani i wszystko się wam

miesza w głowie, to przejdzie – powiedział mnich – ale nie tutaj. Opat rozkazał, żebyście opuścili klasztor, skoro tylko odzyskacie przytomność. Nie chce was dłużej w Verueli.

– Ledwie mogę się ruszać, wszystko mnie boli.

– Obawiam się, że wóz już was oczekuje. Wszystko gotowe do waszego wyjazdu.

– Nie traciliście czasu – Bizén jęknął z bólu, próbując się poruszyć. – Marta! Gdzie ona jest?

– Kto?

Bizén się zmieszał, rozejrzał się wokół, byli sami, tylko on i brat Saturio.

– Ja... Jestem jeszcze oszołomiony.

– To normalne, ale posłuchajcie, notariuszu, musimy o czymś porozmawiać – na obliczu brata Saturia pojawił się wyraz zatroskania. – Kongregacja byłaby wam bardzo wdzięczna, gdybyście zachowali dla siebie wszystko, co wydarzyło się w Verueli.

– Nie chcecie, żeby się rozniosło, że macie pusty grób królewski.

– Powiedzmy, że to by nie przysporzyło dobrej reputacji klasztorowi, a to dla nas ważne.

– Zdajecie sobie sprawę, że przybyłem tutaj właśnie po ciało infanta?

– Tak, jesteśmy tego świadomi, jednak żadną miarą nie możemy dopuścić do tego, żeby rozniosły się pogłoski, że straciliśmy szczątki infanta, następcy tronu. Gdyby tak się stało, który szlachcic, który król zechciałby tu spocząć po śmierci?

– Rozumiem, tak czy owak to, o co mnie prosicie...

– Pozwalamy wam spokojnie stąd odejść, a przypomnę wam, że podszyliście się za notariusza królewskiego. Gdyby to doszło do uszu prokuratora jego wysokości, kara za taki czyn byłaby niezwykle surowa.

– Jak widzę, wysłali was, żebyście mnie przekonali.

– Bizén, macie wiele do stracenia, jeśli nie przyjmiecie tych warunków.

– Zgoda – odparł Bizén ku zadowoleniu mnicha. – Jednak muszę



dostać coś w zamian...

– Tak też myśleliśmy, sądzę więc, że zdołamy dojść do porozumienia, które uczyni zadość oczekiwaniom obydwu stron – brat Saturio usunął się na bok i uczynił jakiś gest.

Bizén spojrział w głąb pomieszczenia i zobaczył jakąś postać podchodzącą do łóżka. To była Marta. Zmieniła się. Miała zebrane włosy i nową, białą suknię, w której wyglądała doroślej. Znać było po niej onieśmienie, zupełnie nie wiedziała, co zrobić z rękami.

– Opat zwolnił ją z obowiązku pracy dla klasztoru, jest wolna – szepnął brat ogrodnik. – Jeśli taka wasza wola, ta dziewczyna może opuścić Veruelę razem z wami, pod warunkiem, że zachowacie w tajemnicy wszystko, co się tu wydarzyło. Rozumiecie?

– Marta!

– No dobrze, lepiej was zostawię samych.

Marta powoli zbliżała się do pośłania, na którym leżał Bizén, nie mogąc się ruszyć. Zatrzymała się o dłoń od niego i stała w milczeniu. On też nic nie mówił.

Patrzyli tak na siebie bez słowa, aż wreszcie ona rozchyliła wargi.

– Obiecaliście, że po mnie przyjdziecie.

– Macie rację, ale sprawy potoczyły się nie po mojej myśli.

– Odejdziemy stąd? – zapytała Marta, splatając dłonie na wysokości talii.

– Oczywiście, że tak – Bizén wyciągnął rękę, szukając jej dłoni.

– Moja siostra, Elena, przepadła bez wieści. Nikt nic o niej nie wie.

– Nie wiecie, dokąd się mogła udać?

– Tak, wiem, co się z nią stało – dziewczyna zniżyła głos do szeptu. – Nasza ciotka po nią przyszła i zabrała ją do piekła.

– Marto, ja nie sądzę, żeby tak się to potoczyło.

– Owszem, nie zapaliłyśmy świecy. Ja byłam w kościele, na poświęconej ziemi, ale moja siostra nie. Zabrała ją, już nigdy jej nie zobaczę.

– Musicie już jechać, Bizén – przerwał im brat Saturio. – Zabierzcie stąd

dziewczynę, to dla was – wręczył mu jakieś pismo. – Na mocy tego dokumentu jest wolna, podpisał go opat.

– Ale brat Hugo jest synem opata i...

– Sza! – mnich wskazał na Martę – zamilczcie, nieroztropny człowieku! Mielicie prawdziwe szczęście, posłuchajcie mojej rady i natychmiast opuście Veruełę.

– Nie wiecie wszystkiego. Zanim stąd odejdę, muszę wyznać ostatnią rzecz. Jeden z waszych braci zdradził Veruełę, skontaktował się z braćmi z zakonu w Huesce i zawarł z nimi porozumienie. W zamian za informację, kiedy nadarzy się najlepszy moment, żeby żądać szczątków infanta, miał otrzymać wynagrodzenie. Dlatego tu przybyłem, bracia z Hueski wynajęli mojego mistrza i opłacili zbrojną eskortę dla naszego bezpieczeństwa.

– Czy może wiecie, który mnich nas zdradził?

– Nie.

– Wobec tego, Bizén, przyjmijcie nasze warunki, to wasza jedyna możliwość opuszczenia Verueli razem z dziewczyną – mnich się obrócił i opuścił izbę.

– O co chodzi? – zapytała Marta rwącym się głosem.

– Musimy go posłuchać, obawiam się, że w przeciwnym wypadku nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Brat Hugo i jego towarzyszka pozostawili klasztor daleko za sobą. Opuścili domina opactwa, skręcając pod czarnym zamkiem Trasmoz w gościniec prowadzący do Tarazony, ostatniej placówki dzielącej królestwo od ziem Kastylii.

– Starczy wam sił? – zapytał mnich.

– Tak, jesteście pewni, że nie posłali za nami pościgu?

– Są przekonani, że zginąłem w pożarze.

– A ciało?

– Po szturmie najemników miałem ciało pod dostatkiem. Jednooki i jego kompan pomogli mi je przenieść i tak wszystko przygotować, żeby

nabrać mnichów, że się spaliłem w *cellarium*.

– Skąd wiedzieliście, że was ten notariusz nakryje?

– Nim się nie przejmowałem, obawiałem się raczej naszego ojca, dlatego byłem przygotowany.

– A jak przekonaliście tego starego mnicha, żeby wam wyznał, że ja też jestem córką opata?

– Powiedziałem mu, że jeśli mnie okłamie, to ja wyjawię, że skontaktowałem się z braćmi z zakonu w Huesce i to za jego sprawą przyjechali do Verueli po ciało infanta.

– Ale czemu ten stary tak postąpił?

– On wie lepiej od pozostałych, że Veruelą zawładnęła chciwość. Przypuszczam, że mu się wydawało, że robi to dla dobra opactwa, że to stanie się dla kongregacji sygnałem ostrzegawczym.

– A ciało infanta?

– Jest schowane w miejscu, z którego nie będzie mógł go wydobyć.

– Myślicie, że straci godność opata?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie chcę go widzieć nigdy więcej, niech się smaży w piekle. Wróciłem tylko po to, żeby pomścić naszą matkę i go ukarać. Teraz wszyscy się dowiedzieli, co to za człowiek.

– To wy zabiliście tego oblata?

– Tak, byłem do tego zmuszony. I wcale tego nie żałuję. Od dawna czekałem na chwilę, w której będę mógł wyrównać rachunki z naszym ojcem. A Octavio stanął mi na drodze, więc nie miałem wyboru.

– Patrzcie – Elena wskazała przed siebie – zdaje mi się, że jesteśmy prawie na miejscu.

Po chwili ukazał się ich oczom zamek. Był otoczony murami zwieńczonymi licznymi blankami, a na skrzydłach strzegły go dwie baszty, po jednej z każdej strony. Był zbudowany z solidnych ciosów, nie tak jak inne fortece, które w tych stronach najczęściej wznoszono z lichego kamienia, spojonego dużą ilością zaprawy. Zamek w Grisel był twierdzą budzącą respekt, żadna inna w Moncayo nie miała tak dostojnego wyglądu.

Łatwo było poznać, że to siedziba kanoników Tarazony i że nie szczędzono grosza na jej budowę.

Rodzeństwo ruszyło naprzód. Musieli okrążyć cały zamek, ponieważ brama była usytuowana od strony zachodniej, w wieży przewyższającej rozmiarem poprzednie.

Zatrzymało ich dwóch uzbrojonych strażników, a kiedy zakonnik powiedział, kim jest, pozwolili im podjechać na mułach do głównej bramy, tam jednak musieli zostawić swoje wierzchowce.

Kapitan straży był mężczyzną niewielkiego wzrostu, rozrośniętym w barach, o spłaszczonym nosie i grubym karku. Poleciał, by szli za nim. Przeszli pod ostrołukową bramą, wspięli się po stromej skarpie, aż wreszcie doszli do właściwej bramy twierdzy. Brat Hugo podniósł wzrok i zobaczył nad głową potężne machikuły, z których szczytu wychylały się twarze dwóch wartowników.

Brama się otworzyła i weszli do środka. Forteca był surowa: ściany bielone gipsem, okute sztabami pozbawionymi ozdób. Kapitan powiódł ich na dziedziniec. Pod samym donżonem oczekiwał na ich przybycie samotny duchowny w ciemnym habicie i szkarłatnym kaftanie ze złotymi lamówkami i laską.

– Jestem dziekanem kapituły katedry w Tarazonie – przemówił dobitnie. – W jakim celu przybył tu mnich z Verueli, w dodatku w towarzystwie niewiasty?

– Ta niewiasta jest moją siostrą. Przybywamy, by was prosić o ochronę. Potrzebujemy glejtu, żeby przekroczyć granicę.

– A jak zamierzacie za to zapłacić?

– Tymi pieniędzmi – mnich wyciągnął sakiewkę z monetami z *cellarium*.

– Sprawdźcie to – zwrócił się dziekan do kapitana straży, który wziął sakiewkę i pokazał duchownemu, że zawiera złote monety.

– To suma więcej niż wystarczająca.

– Owszem – zgodził się dziekan. – Jak słyszałem, klasztor został zaatakowany przez Francuzów.

– Tak jest, zaś opat jest ciężko chory – uzupełnił brat Hugo. – Veruela znajduje się w trudnym położeniu, możecie z tego skorzystać.

– Nie omieszkamy. Opaci nie pojmują, że Moncayo należy do biskupstwa w Tarazonie, ta ich dokuczliwa omyłka domaga się pilnego wyjaśnienia. Trudno, doprawdy, ułożyć dobre relacje z Veruelą. W Koronie Aragonii pozycja cystersów jest zbyt silna, szczególnie teraz, kiedy panteon królewski znajdzie się pod ich kontrolą.

– Zbudują panteon królewski?

– Owszem, choć nie w Verueli – wyjaśnił – tylko w opactwie Poblet.

– Mnisi cysterscy są silni i niebezpieczni, dobrze o tym wiecie.

– Naturalnie.

– Poza tym nie możemy się wyrzec ich wspaniałego wina – dziekan się uśmiechnął. – Trzeba przyznać, że to dar niebios.

– Nie ulega wątpliwości.

– Wiem, w jakim chaosie pogrążyła się Veruela; oczy, które mam w tym klasztorze, przekazały mi wieści.

– Macie konfidenta w klasztorze?

– Tak, to jeden z mnichów.

– Który? – zapytał zaintrygowany brat Hugo.

– Architekt.

– Brat Timoteo! Nigdy bym go o to nie posądzał.

– I o to chodzi. Obiecaliśmy mu zatrudnienie przy planowanej odnowie naszej katedry, która doznała wielkich szkód podczas wojny z Kastylią.

– Hugo, wcale mi się to nie podoba – szepnęła Elena, spoglądając za siebie, a następnie ku szczytowi donżonu.

– Mnie też nie – on również podniósł wzrok na chodnik wartowniczy na murach zamku – Potrzebne nam tylko listy żelazne, dobrze im zapłaciliśmy.

Brat Hugo zaczął się niecierpliwić.

– Podróż, w którą wyruszacie, jest ważna, to najważniejsza podróż waszego życia – oświadczył dziekan.

- Dopełnicie warunków umowy? – zapytał mnich.
- Brat Timoteo opowiedział nam, że szczątki infanta, następcy tronu, zaginęły, podobnie jak zwłoki kobiety, która została wyciągnięta z grobu na cmentarzu.
- To prawda.
- Nie wiecie, gdzie się znajdują?
- Jestem przekonany, że opat dobrze ukrył szczątki syna Jakuba I Zdobywcy, nie potrafię jednak powiedzieć, gdzie je trzyma.
- A ciało kobiety?
- Ona była niewinna, spoczywa w pokoju.
- W porządku, oto wasze dokumenty – dziekan kapituły wręczył pisma kapitanowi, a ten przekazał je zakonnikowi. – Dokąd się wybieracie?
- Na południe, tam jest wiele ziemi odbitej z rąk niewiernych – odpowiedział brat Hugo. – Z całą pewnością znajdziemy dobre miejsce do życia.
- Życzę wam powodzenia. Te ziemie są niebezpieczne, będzie wam potrzebne.
- Nie sądzę, żeby ustępowały pod tym względem miejscu, z którego przybywamy.
- Idźcie z Bogiem.

## Prawda

**M**arta patrzyła, jak Bizén, słaby i oblały, podnosi się z posłania i usiłuje przejść parę kroków ku drzwiom apteki. Zgodnie z tym, co powiedział brat Saturio, musieli opuścić Veruelę niezwłocznie.

Zawsze bała się zbliżyć do klasztoru, jakby przeczuwała, że jakieś zło gnieździ się w jego wnętrzu. Teraz, kiedy je poznała, jej lęk jeszcze się pogłębił wraz z poczuciem, że póki znajduje się na jego terenie, wisi nad nią niebezpieczeństwo. Pomyślała o swojej siostrze, o potwornym nieszczęściu, jakie musiało jej przypaść w udziale. O tym, jak ciotka wróciła, żeby ją porwać.

– Musimy się dobrze zastanowić, dokąd się udamy – zbudziły ją z transu słowa Bizéna. – Ja nie mogę wrócić do Saragossy. Nie wypełniłem misji, z którą tu przybyłem, a mój mistrz nie żyje.

– Może powinniśmy przekroczyć granicę.

– Ani w Kastylii, ani w Nawarze nie możemy się spodziewać pomocy – powiedział z ciężkim westchnieniem. – Musimy ruszyć na południe. Wojna była bardzo gwałtowna w królestwie Walencji, należy do Korony i trzeba będzie zaludnić tamte terytoria. Jeśli nas będą pytać, skąd przybywamy, wystarczy, że powiemy, że z Moncayo.

– I co tam będziemy robili?

– Zaczniemy nowe życie, zapomnimy na zawsze o tym, co przeżyliśmy. Możemy zapomnieć o przeszłości, możemy robić, co nam się spodoba.

– Co nam się spodoba? – Marta zwlekała z odpowiedzią.

– Tak, chcę się udać w miejsce, gdzie nikt nas nie zna, gdzie będziemy mogli zacząć od początku, być, kim jesteśmy, bez żadnych kłamstw.

W owej chwili dziekan Estéban wszedł do izby z kwaśną miną. Zamknął za sobą drzwi i przyglądał się im uważnie. Bizén mógłby przysiąc, że słyszał ich rozmowę, dlatego zachował czujność.

– Zanim odejdziecie, opat chce z wami rozmawiać. To dotyczy was obojga.

Marta szybko przełknęła ślinę, żeby się nie zakrztusić. Serce zakołatało jej gwałtownie, poczuła ostre ukłucie w boku.

– Mogę iść sam, lepiej, żeby ona...

– Powiedziałem, że macie się do niego udać obydwójcie, sądzę, że wyraziłem się jasno.

– Tak, wybaczcie, ale...

– I to już. Chodźcie za mną – obrócił się na pięcie i otworzył drzwi apteki.

– Lepiej bądźmy posłuszni – szepnął Bizén. – Nie musisz się odzywać, będę mówił za nas dwoje.

– Nie chcę tam iść.

– Obawiam się, że nie mamy wyboru.

Dzekan Estéban zaprowadził ich do wejścia do klauzury i jednym z korytarzy do komnaty opata. Szli w całkowitej ciszy, nie spotykając nikogo po drodze, jakby w Verueli nie było prócz nich żywej duszy.

Dwukrotnie zastukał w drzwi, po czym otworzył je przed nimi. Kiedy weszli, sam pozostał na korytarzu i zamknął drzwi od zewnątrz.

Marta nie mogła uwierzyć w to, co widzi: pomieszczenie było pełne dywanów, malowideł, kobierców. Świece płonące gdzieś w ukryciu i aromatyczne zioła napełniały całe pomieszczenie słodką wonią. W głębi stało wykwintne łóżko, a na nim leżał człowiek.

– Bizén, nie zamierzaliście chyba opuścić Verueli bez pożegnania ze mną?

– Sądziłem, że nie chcecie mnie widzieć, cofnęliście mi przywileje. Odkryłem zabójcę, ale nie odnalazłem szczątków infantu.

– Tak, to już wiem – opat zwrócił oczy na dziewczynę. – A więc ty jesteś Marta. Jesteś bardzo podobna do swojej matki, zbliż się, chcę cię



lepiej zobaczyć.

Bizén zachęcił ją do podejścia gestem dłoni i Marta zrobiła parę nieśmiałych kroków w stronę łoża.

– Nie bój się, nie zjem cię – Marta zbliżyła się jeszcze trochę. – Tak, nie ulega wątpliwości, że jesteś moją córką – westchnął.

– Zgodnie z umową, jaką zaproponował nam brat Saturio, pozwolicie nam stąd odejść razem – przypomniał Bizén.

– O to się nie martwicie, chciałem ją tylko zobaczyć i przekonać się, że to moja córka.

– Skoro zatem poznaliście prawdę, pozwólcie nam odejść.

– Prawdę, powiadacie? Prawda to zbyt potężna broń, żeby pozostawiać ją w rękach pierwszego lepszego człowieka.

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– Że większość ludzi nie zna żadnej prawdy, żyje w oszustwie, że świat jest pełen kłamstw. Że prawda jest dostępna nielicznym wybrańcom.

– Nie rozumiem was.

– To fakt, że poszukiwaliście prawdy w murach Verueli i wasze wysiłki zasługują na pochwałę, mówię to szczerze. Podążałem za wami krok w krok, stałem za waszymi plecami przy każdych drzwiach, które otwieraliście, i moje uszy słyszały każde słowo, jakie udało wam się wydobyć z tych mnichów.

– Jak to... Śledzili mnie?

– A czego się spodziewaliście? Może sądziliście, że pozwolę wam myszkować w Verueli zgodnie z waszymi kaprysami? Proszę, nie zachowujcie się jak głupiec. Kiedy was zobaczyłem, od pierwszej chwili wiedziałem, że mi się przydadacie: co lepszego od kłamcy tropiącego innego kłamcę?

– Dosyć! Po to nas wezwaliście?

– Jeśli człowiek zbyt długo wierzy w kłamstwo, prawda nie przynosi mu poczucia wyzwolenia, tylko poczucie klęski – oświadczył bez ogródek opat. – Kiedy Hugo przybył do naszego klasztoru, natychmiast zdałem sobie sprawę, że jest inny od pozostałych. Niewiele czasu

potrzebowałem, żeby się upewnić w swoich podejrzeniach, choć nigdy mu o tym nie powiedziałem.

– Dlatego traktowaliście go inaczej od reszty.

– To mój syn.

– Porzuciliście go.

– Pomogłem mu dostać się do klasztoru i gdyby poszedł właściwą drogą, mógł zająć bardzo wysoko w tym opactwie. To o wiele więcej niż niektórzy ojcowie czynią dla swoich dzieci, nieprawdaż, Bizén?

– Mnie do tego nie mieszajcie, tu nie ma miejsca na porównania.

– A czy wasz ojciec kiedykolwiek zrobił dla was aż tyle? Może sądzicie, że jest lepszy ode mnie?

– Dosyć! – Bizén stracił panowanie nad sobą.

– W takim razie nie ważcie się mnie osądzać.

– Hugo nigdy nie patrzył na was jak na ojca, nie przybył tu nie po to, żebyście mu pomogli, miał całkiem inne zamiary.

– Zemsta jest bardzo ludzką rzeczą, zwierzęta nie odczuwają potrzeby odwetu, tylko my, ludzie. Przechowywać w sobie jad, obsesję, która nas truje, pożera... Jaki mamy z tego pożytek?

– Myślę, że właśnie po to szukamy zemsty, żeby się od niej uwolnić.

– Czy nie łatwiej by było zapomnieć?

– Obawiam się, że nie wszyscy jesteśmy do tego zdolni.

– To prawda, mój syn nie potrafił tego zrobić. Ukrył szczątki twojej matki, Marto. Ukradł mi je! Tylko po to, żeby się na mnie zemścić, któż by to pomyślał?

– Ale je odnaleźliście – wtrącił się Bizén. – Chociaż nie znajdowały się w zegarze mechanicznym, moje podejrzenie sprowadziło was na ich trop. Skoro Hugo wydobył je stamtąd poprzedniej nocy, nie mógł ich przenieść daleko.

– Tak sądzicie?

– Tak – Bizén przeszedł się po komnacie i stanął naprzeciw jednego z kobierców zdobiących ściany komnaty opata. – Hugo otworzył zegar, wyjął zwłoki, opuścił kościół i... spieszył się, więc nie mógł zanieść ciała

daleko. Musiał je ukryć w klasztorze... W klauzurze. Mógł jedynie przenieść je z jednego miejsca do innego. Gdzie?

– Oto jest pytanie.

– Gdzie ukryć ciało kobiety w męskim klasztorze – spojrzał na Martę – gdzie nie ma kobiet? Ale owszem, w Verueli są też kobiety: w grobowcach żony i córek fundatora, don Pedra de Atarés. Te sarkofagi stoją tuż przy wyjściu z kościoła. Nie są zbyt wielkie, wystarczy jeden człowiek, żeby je otworzyć.

– To prawda, tam spoczywają jej szczątki na wieczność.

– Są tam, prawda? Przyszło wam to do głowy, kiedy dowiedzieliście się, że Hugo wyjął je z zegara.

– Wam zawdzięczam trop; jak słusznie mówicie, nie mógł jej przenieść daleko. I jakie miejsce może być lepsze do ukrycia kobiety od tego, w którym spoczywały szczątki kobiety? Nikt by ich nie rozróżnił...

– Z wyjątkiem was.

– Owszem – potwierdził opat, przyglądając się Marcie. – Kiedy na ciebie patrzę, moja mała, odczuwam ból, że jej nie mogę oglądać.

– Macie jej szczątki? – spytała niepewnie – Chciałabym się z nią pożegnać.

– Myślę, że ona również by tego chciała.

Opat odsunął narzutę, która przykrywała jego nogi, obrócił się na łóżku i postawił stopy na ziemi. Z widocznym wysiłkiem zrobił kilka pierwszych kroków, a potem już o wiele pewniej podszedł do stołu, na którym leżała skrzynka przypominająca relikwiarz.

– Zbliź się – powiedział i Marta wykonała polecenie. – Już nigdy się z nią nie rozstanę – i położył dłoń na skrzynce.

Marta podeszła jeszcze o krok, wyciągnęła rękę i położyła dłoń przy dłoni opata. Wpatrzyła się w kufer i westchnęła głęboko.

– Musicie już iść, kiedy się dowiedzą, że podawaliście się za notariusza królewskiego, postawią was przed sądem, a w takich przypadkach nie ma co się spodziewać łagodnego wyroku.

– Tak uczynimy – odparł Bizén. – Chciałbym wam jednak zadać

ostatnie pytanie: gdzie są szczątki infanta?

– Myślę, że nie znacie prawdziwej historii pierworodnego syna Jakuba I Zdobywcy. Był synem monarchy Aragonii oraz księżniczki kastylijskiej. To małżeństwo było całkowitą porażką i zostało unieważnione z powodu zbyt bliskiego pokrewieństwa między małżonkami. Król ponownie się ożenił i miał dwóch innych synów, którzy mieli zasiadać na tronie, jednak Alfonso był pierworodnym i został zaprzysiężony na następcę ojca.

– On powinien być zostać spadkobiercą całej Korony Aragońskiej.

– To prawda, ale w miarę jak Jakubowi I przybywało potomstwa, zaczął zmieniać zapisy w testamencie i dzielić swoje ziemie w bardzo chaotyczny sposób. Infant Alfonso przeciwstawił się ojcu i przez jakiś czas przebywał na wygnaniu w Kastylii.

– Jeszcze jeden ojciec, który zapomniał i zlekceważył własnego syna.

– Już wam mówiłem, że ja zrobiłem dla mojego syna znacznie więcej, niż wam się wydaje... Ale synowie zawsze domagają się więcej, pragną przewyższyć swoich ojców...

– Jak się potoczyły sprawy między infantem i jego królewskim ojcem?

– Pierworodny zostałby królem, choćby ojciec ze wszech sił się temu sprzeciwiał. Ale zmarł, to była śmierć niespodziewana, a jednak pożądana.

– Dlaczego mi to wszystko opowiadacie? – zapytał Bizén.

– Czasami śmierć nie przychodzi w sposób tak naturalny, jak by się mogło wydawać, a kości nie kłamią. Ciało infanta zostało sprowadzone do Verueli w tajemnicy i ta tajemnica musi taką pozostać dla dobra korony.

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– Lepiej dla wszystkich, żeby jego szczątki nie wyszły z tego klasztoru, ponieważ mogłyby ujawnić coś, o czym lepiej nie wiedzieć – opat powrócił do łoża. – Dlatego też my, opaci Verueli, musimy ich strzec w najbezpieczniejszym miejscu klasztoru.

– Które to miejsce?

– Powiem wam jedynie, że infant nie jest jedynym pochowanym w naszym klasztorze człowiekiem, który powinien był rządzić. A teraz odejdźcie – znów spojrzął na Martę. – Twoja matka cię kochała. Kiedy mnie już nie będzie, ty musisz zachować żywe wspomnienie o niej, rozumiesz?

Dziewczyna skinęła głową.

Bizén podał jej ramię i wyszli do klauzury, gdzie oczekiwał ich dziekan Estéban. Nie zamienili ani słowa; Bizén chciał co prędzej opuścić to miejsce. Przemierzyli długą trasę do wieży bramnej.

– Chodźmy, nie chcę się zatrzymywać w tym miejscu ani chwili dłużej. Zrobimy, jak powiedziałem, nie będziemy spoglądać wstecz, nowa ziemia, nowe życie.

– Tak, nowe życie, nasze wspólne.

Brat Saturio patrzył na nich z wysokości baszty. Brama czekała otwarta. Bizén ujął dłoń Marty w swoją i przeszli pod jej łukiem. Tam, poza murami opactwa, promienie słoneczne przezierały przez kłęby chmur. Opuszczali na zawsze klasztor i jego sekrety. Podnieśli głowy i zapatrzyli się w czarną bryłę Moncayo: po raz ostatni spoglądali na jej widmową sylwetę, mieli zapomnieć te opowieści o krwiożerczych bestiach, które schodzą z jej zboczy, o złośliwych stworach, które mieszkają w jej czeluściach, i o upiorach, które powracają do świata żywych w Noc Dusz Pokutujących.

## Od autora

**P**raca nad tą powieścią zajęła mi ponad trzy lata, chociaż gromadzenie notatek, szkiców i pomysłów rozpoczęło się o wiele wcześniej. To pierwsza moja książka, dla której tłem jest miejsce, gdzie się urodziłem. W poprzednich narracjach przemierzyłem mnóstwo krain: Pireneje, Albarracín, Madryt, Barcelonę, południową Francję i wody Grecji, jednak nigdy dotąd nie osadziłem wydarzeń na ziemiach Moncayo.

W tej powieści składam hołd postaciom, które darzę podziwem, takim osobistościom, jak Lope de Vega i Gustavo Adolfo Becquer. Szczególne znaczenie mają tu dzieła tego ostatniego, wielkiego pisarza z XIX wieku. Jego wiersze i legendy pomogły mi odtworzyć szczególną aurę Moncayo. Postacie dwóch sióstr są wzorowane na bohaterkach jednej z jego opowieści<sup>[1]</sup>.

Są tu również odniesienia do innych osób, które pomogły mi przy tworzeniu *Opactwa*, bez których nie zdołałbym zawinąć do upragnionego portu.

Tym, którzy nie znają Moncayo, chcę wyjaśnić, że góra ta wznosi się na trasie między dzisiejszymi wspólnotami autonomicznymi Kastylii, Nawarry i Aragonii, gdzie niegdyś leżały trzy wielkie królestwa średniowiecznej Hiszpanii.

Moncayo to góra odmienna od wszystkich innych. Wysoka na 2313 metrów, dominuje nad środkowym biegiem rzeki Ebro, ziemią Celtyberów, Rzymian, zakonów rycerskich templariuszy i joannitów, mnichów cysterskich oraz Mudejarów – potomków islamskich najeźdźców.

To obszar obrosły w historię i legendy, jak ta o zaklętej Mauretance z Balbuente czy o studni Ainės w Grisel. Ziemia czarownic, gdzie Noc Dusz Pokutujących nabiera szczególnego smaku w Trasmoz, jedynej

hiszpańskiej miejscowości, na której do dziś ciąży oficjalna klątwa i ekskomunika. Wokół Moncayo usytuowane są historyczne twierdze: Ágreda, Tudela, Tarazona i Borja.

Na samym zboczu góry leży opactwo Santa María de Veruela, jeden z najznakomitszych kompleksów cysterskich w całej Hiszpanii, którego istota zachowała się do dziś w całej okazałości. Zwiedzanie opactwa to wędrówka szlakami historii i sztuki.

W 1141 roku don Pedro de Atarés, pan na Borja, wraz ze swoją matką dokonał donacji dolin Veruela i Maderuela nad rzeką Huecha na rzecz mnichów francuskich z opactwa Escaladieu w celu założenia tam opactwa pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Zakon cysterski wydał zgodę na fundację w roku 1146, co oznacza, że mamy do czynienia z najstarszym opactwem cystersów w Aragonii.

Veruela, jako dominium feudalne, weszła w posiadanie wsi Ainzón, Alcalá de Moncayo, Balbiente z zamkiem mieszczącym pałac opacki, Litago, Pozuelo de Aragón, Vera de Moncayo, folwarku Muzalcoraz w Magallón oraz wyludnionej osady Villamayor. Do 1409 roku opactwo posiadało również Maleján i – do wieku XV – La Joyosa. Posiadanie tak licznych włości sprawiło, że Veruela urosła do rangi największej potęgi w dolinie rzeki Huecha i w dzisiejszych gminach Borja i Tarazona.

Średniowieczne opactwa nie są tym, czym wydają się nam dzisiaj, kiedy zwiedzamy pobieżnie ich klauzurę i świątynię, zapominając o całej reszcie. Trzeba pamiętać, że opactwa cysterskie stanowiły autentyczne miasta; miały mury obronne, baszty i fortyfikacje. W obrębie murów znajdował się plac targowy, liczne magazyny, warsztaty rzemieślnicze, młyny, stawy, kuźnie i stajnie. Rekrutowano i przysposabiano poddanych do obrony murów, sprawowano sądy i zarządzano rozległymi ziemiami lennymi z wioskami i folwarkami zwanymi grangiami.

Opactwa cysterskie należały do zakonu świętego Benedykta; mnisi nosili jednolite szaty i często przemieszczali się z jednego ośrodka

do drugiego. Wszystkie opactwa miały jednakową strukturę, niezależnie od tego, w którym z ówczesnych królestw były usytuowane, toteż możemy je nazwać pierwszymi w historii organizacjami wielonarodowymi.

Opactwo Santa María de Veruela stanowi świetny przykład takiego miasta i jest jednym z zespołów architektonicznych, gdzie znaczna część pierwotnej struktury przetrwała do dzisiaj.

W wieku XVII do pierwotnej, średniowiecznej bryły dobudowano klauzurę w stylu barokowym. W jednoosobowych celach tej nowej klauzury, pisarz Gustavo Adolfo Becquer i jego brat Valeriano spędzili długi okres jako kuracjusze. Stało się tak w wyniku procesu przejmowania przez państwo i sprzedaży dóbr kościelnych w wieku XIX, kiedy to Veruela została przekształcona w pensjonat-sanatorium, ponieważ suchy klimat Moncayo był zalecany chorym cierpiącym na gruźlicę.

Infant Alfons Aragoński był synem pierworodnym Jakuba I Zdobywcy i jego pierwszej małżonki, Leonor Kastylijskiej. W 1228 roku został wyznaczony na następcę tronu, jednak nie przeżył swojego ojca. Zmarł bezpotomnie w Calatayud 23 marca roku 1260, w tym samym roku, w którym wstąpił w związek małżeński.

Został pochowany w królewskim opactwie Santa María de Veruela, mimo że w swoim testamencie, spisany w mieście Huesca dnia 8 sierpnia 1256 roku, wyraził wolę, aby jego szczątki spoczęły w ufundowanym przez niego klasztorze zakonu kaznodziejskiego w Huesce.

W roku 1633 szczątki infanta zostały przeniesione do panteonu książąt Villahermosa, znajdującego się na terenie opactwa, i złożone w trumnie z białego drewna w sąsiedztwie grobów fundatora opactwa, Pedra de Atarés oraz Lopego de Luna, który również pochodził z królewskiego rodu. Grób infanta został usytuowany pomiędzy bocznymi łukami prezbiterium świątyni klasztornej, jako jeden z grobów książęcego panteonu.



Niektórzy znawcy przedmiotu utrzymują jednak, że szczątki infanta Alfonsa spoczywają w tym samym grobowcu, gdzie pochowano jego żonę Constanzę, w kaplicy świętego Jakuba w katedrze walenckiej.

Istnieje też inna wersja, według której mnisi z Hueski zwrócili się do samego papieża z żądaniem, by testament infanta Alfonsa został wypełniony, a jego szczątki przeniesione z Verueli, gdzie został pogrzebany, do ich klasztoru.

Papież Aleksander IV przychylił się do tej prośby zakonników, wydając dwie bulle, pierwszą z datą 18 czerwca 1260 roku, a w roku 1262 następną; papież Urban IV wydał dwie kolejne bulle, przypominając, że prochy infanta Alfonsa powinny być przeniesione do Hueski, co świadczyłoby, że polecenia jego poprzednika nie zostały wypełnione.

W opactwie Veruela zachowała się płyta nagrobna, którą przykryto grób infanta. Wykute na niej godło jest jednym z najstarszych wyobrażeń emblematu Korony Aragońskiej.

Obecnie kompleks należy do Delegatury Prowincji Saragossy, a w jego wnętrzu możemy odwiedzić salę Becquera oraz Muzeum wina apelacji DO Campo de Borja.

Zespół architektoniczny zachował się w tak dobrym stanie, że często służy za scenerię filmów oraz seriali telewizyjnych.

W roku 2018 zakończono prace adaptacyjne zmierzające do przekształcenia barokowej części obiektu, liczącej ponad dziewięćdziesiąt pomieszczeń, w wykwintny hotel, aspirujący do rangi jednego z najbardziej luksusowych w Hiszpanii.

Powieść *Opactwo* powstała w hołdzie dla Verueli, Moncayo, w hołdzie dla historii i legend, a przede wszystkim dla ludzi tej ziemi.

W obecnych czasach, kiedy wszyscy dążymy do wielkich miast, warto przystanąć na chwilę i przyjrzeć się małym miejscowościom położonym w sercu kraju, a szczególnie górzystym obszarom celtiberyjskim, takim prowincjom, jak Soria, Cuenca, Guadalajara, Teruel i Saragossa, które stanowią najbardziej zapomnianą część Hiszpanii.

To obszar liczący 63 098,69 kilometrów kwadratowych. Żeby łatwiej było to sobie wyobrazić, odpowiada w przybliżeniu dwukrotnej powierzchni Belgii. Obejmuje 1632 gminy, ale liczba mieszkańców sięga pół miliona. To daje 7,98 mieszkańców na kilometr kwadratowy; inaczej mówiąc, gęstość zaludnienia osiąga wartość 0,98 na kilometr kwadratowy, mniejszą niż w Laponii, porównywalną z Syberią.

Ja mieszkam tutaj, w Moncayo, najbardziej wyludnionym rejonie Hiszpanii i Europy. Ale ten obszar pograniczny nie zawsze był tak opustoszały, warto spojrzeć wstecz, przypomnieć sobie naszą historię i dowiedzieć się, skąd przybywamy, żeby łatwiej zrozumieć, dokąd idziemy. Nie możemy pozostawić własnemu losowi ziemi, która widziała nasze narodziny, nie powinniśmy zapominać o naszych korzeniach i lekceważyć własnej przeszłości, bo to tyle, co zapomnieć, kim jesteśmy.

W moich powieściach zawsze lubiłem umieszczać wspomnienia o ludziach, którzy nas opuścili w okresie, gdy je pisałem. Zwykle są to pisarze, artyści, jednak tym razem zapragnąłem uczcić jednego z najznakomitszych zawodników sportu motorowego, Ángela Nieto. Rozdział trzynasty został opatrzony numerem 12+1, co jest aluzją do zdobytych przez niego trzynastu tytułów mistrza świata, a jednocześnie do jego skłonności do przesądów.

Ta powieść jest trzecią i ostatnią z cyklu, w którego skład wchodzi *Zamek* (2015) oraz *Miasto* (2016). Celem owej trylogii było stworzenie możliwie całościowej wizji znaczącej części rzeczywistości wieków średnich, opartej na trzech podstawowych sceneriach architektonicznych: zamku, miasta i opactwa.

Każda z powieści stanowi autonomiczną całość, nie są powiązane wspólnym stuleciem, miejscem akcji ani bohaterami. Są natomiast uporządkowane chronologicznie, ponieważ odnoszą się odpowiednio do XI, XII i XIV wieku.

[1] W tekst powieści zostały wplecione fragmenty opowiadań ze zbioru *Rimas y Leyendas* słynnego poety czasów romantyzmu, G.A. Becquera. Niektóre teksty zawarte w tym zbiorze doczekały się polskiego przekładu (Gustavo Adolfo Becquer, *Legendy hiszpańskie*, tłum. Henryk Pietruszczak, wyd. Henryk Pietruszczak, Zgorzelec 2015). Polski czytelnik może również sięgnąć po znakomity przekład Floriana Śmiei (Gustavo Adolfo Becquer, *Legendy i Listy literackie*, wyd. Wacław Bagiński, Wrocław 2000), w którym odnajdzie inne legendy wspomniane przez Autora, nieobejmujący jednak opowiadań „Dwie siostry” i „Nigromanta”, których fragmenty przytacza Luis Zueco. Tu zostały one zamieszczone w przekładzie Tłumaczki. Prócz wspomnianych cytatów Autor włącza do powieści fragmenty aragońskich legend, anonimowego wiersza, wreszcie zdania zapożyczone z Biblii, z dawnej reguły zakonnej benedyktynów, z Cyncerona... Te pierwsze nie były nigdy tłumaczone na język polski, te drugie nie są cytatami w dosłownym sensie: występują w powieści w postaci zaadaptowanej dla potrzeb literackich, czyli takiej, w jakiej mogli je zapamiętać i przytoczyć średniowieczni bohaterowie książki. Tłumaczka zrezygnowała z komentowania tych przytoczeń na rzecz zachowania płynności i naturalności narracji, wychodząc z założenia, że *Opactwo* jest labiryntem pełnym niespodzianek, osnutą na kanwie historii fikcją, która daje czytelnikowi impuls do samodzielnych poszukiwań.